

ZDANIE

“Trzech na jednego”
z JÓZEFEM HENEM

M. Śliwa, SAMORZĄDNA RZECZPOSPOLITA | A. Romanowski, POLSKA - ROSJA PO SMOLEŃSKU
E. Górski, GLOBALIZACJA I UNIWERSALIZM | M. Stępień, O WŁADYSŁAWIE BRONIEWSKIM

E. Kabatc, STANISŁAW BRZOWSKI WE FLORENCJI (proza)

3-4 (146-147) 2010





W numerze prezentujemy prace Stanisława Wiśniewskiego, prof. krakowskiej ASP, członka Kuźnicy. Wszystkie pochodzą z wystawy w Pałacu Sztuki, jaką z okazji 50-lecia twórczości Artysty zorganizowało w 2010 r. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie.

I str. okładki: *Okno*, akryl - płótno
powyżej: *Drzewa*, tusz - papier

JOANNA BĄK

*zaprawdę nie będzie nawet potopu
bo za prawdą nikt nie przepada*

domy rosną jak dawniej
w brzuchach zapłodnionych kobiet

mężczyźni zdobywają stanowiska
coraz szybsze samochody
coraz młodsze kochanki

kobiety obok świecą w ciemności
nagością i opłaconym pożądaniem

Jesteśmy łatwi w użyciu
przyjemni w dotyku
niewidoczni dla otoczenia

nikt nie wymyślił jak rzucić cień
przez telefon
jak dotknąć prawdziwie
w sieci internetu

przydałaby się jakaś apokalipsa
czterech jeźdźców na koniu
trojańskim
aby symbolika była większa

Może ktoś się przebudzi
może ktoś uwierzy
że to nie reklama prezerwatyw
zatrzymujących dzieci w locie
że to nie o proszek tu chodzi
który nas wybieli

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (146–147) 2010

OD REDAKTORA

„ZDANIE” należy do kategorii czasopism społeczno-kulturalnych. Staramy się ten profil zachować, choć tendencje na tzw. rynku prasowym są inne, nam raczej nie sprzyjające. W ogóle prognozy dla wszystkich tytułów prasowych, a konkretnie dla ich wydań papierowych, nie nastroją optymistycznie, to jednak dla nas marna pociecha. Prasa kulturalna poniosła największe straty w okresie transformacji i choć na miejsce tytułów ukazujących się w PRL-u w kilkudziesięciu tysiącach jednorazowego nakładu pojawiły dziesiątki, a nawet setki – jeśli wziąć pod uwagę internet – nowych, to wszystkie one zaliczane są do pism niszowych. Ale i tutaj wyraźnie zarysowuje się podział na prasę społeczno-polityczną i kulturalno-literacką. Giną niczym dinozaury czasopisma społeczno-kulturalne, mające długą, jeszcze dziewiętnastowieczną tradycję.

To nas tym bardziej mobilizuje do utrzymania dotychczasowego profilu. Dlatego w „Zdaniu” było, jest i będzie miejsce dla tekstów zawierających wnikliwe analizy politologiczne, historyczne czy socjologiczne, prezentujące zróżnicowane stanowiska i poglądy ich autorów, a także dla poezji i prozy, dla artystów uprawiających różne dziedziny twórczości, których prace i wypowiedzi staramy się upubliczniać.

Taki właśnie jest rekomendowany przeze mnie numer 3-4/2010 „ZDANIA”. Mam nadzieję, że w jego bogatej zawartości treściowej nasi starzy i nowi – a tych nam przybywa – Czytelnicy znajdą teksty, które dostarczą im lekturowej satysfakcji.

EDWARD CHUDZIŃSKI

JÓZEF HEN WIEDZIAŁEM, ŻE PISARZEM MOGĘ BYĆ TYLKO TUTAJ	3
Michał Śliwa SAMORZADNA RZECZPOSPOLITA – OSTATNIA UTOPIA DWUDZIESTEGO WIEKU?	18
Andrzej Romanowski POLSKA – ROSJA PO SMOLEŃSKU	22
Eugeniusz Górski GLOBALIZACJA I UNIWERSALIZM Z PERSPEKTYWY AMERYKI ŁACIŃSKIEJ I EUROPY WSCHODNIEJ	25
Lech M. Nijakowski KAPITALIZM I MĄSAKRY	32
Marek Zagajewski DWIE KONCEPCJE KOMUNIZMU	40
Marcin Popławski MIECZ DAMOKLESA	47
Karolina Rab PRYWATYZACJA – UPADEK CZY NOWA SZANSA DLA KIBUCU?	49
Zbigniew Bauer JOURNAMORFOZA PO POLSKU (II)	53
Janusz Tazbir „SPISKOWA TEORIA DZIEJÓW” JEST NIESMIERTELNA	60
Andrzej S. Nartowski SSPONZ – WENTYL, KTÓRY PUSCIŁ	63
Marian Stępień MIĘDZY POEZJĄ A POLITYKĄ. O WŁADYSŁAWIE BRONIEWSKIM	66
Stanisław Gebala FATALNE ZAURÓCZENIE JAROSŁAWA MARKA RYMKIEWICZA	75
Joanna Bąk WIERSZE	80

82	Leszek Polony KWIĄTEK DO KOŻUCHA
85	Eugeniusz Kabac OSTATNIE WZGORZE FLORENCJI
95	Urszula Kuzińska DEBIUT POETYCKI
96	LUDWIGA WITTGENSTEINA DZIENNIKI SEKRETNE
100	Krzysztof Miklaszewski „UMARŁA KLASA” W AMERYCE (II)
104	Filip Ratkowski PROGRAM DLA POLSKI (sprawozdanie)
107	Adam Budzyński NADZIEJE I ROZCZAROWANIA RACJONALISTY (wspomnienie o KTT)
110	Bohdan Chwedeńczuk UNIWERSALNE ZJAWISKO. PAMIĘCI STANISŁAWA TYROWICZA
113	Piotr Sztompka ZASKAKUJĄCA TRANSFORMACJA
116	Władysław Markiewicz MŁODOŚĆ JANA SZCZEPAŃSKIEGO
119	Marcin Kula STUKILOWY GŁAZ ZAGINĄŁ...
122	Jerzy J. Wiatr CZY TO JUŻ WIOSNA?
123	Krzysztof Komornicki CALL FOR PROPOSALS
126	Jerzy Piekarczyk RODOS NAD WISŁĄ
127	Sceptyk MUZYKA I OBYCZAJE



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:
JÓZEF HEN

TRZECH:
EDWARD CHUDZIŃSKI
ADAM KOMOROWSKI
FILIP RATKOWSKI

WIEDZIAŁEM, ŻE PISARZEM MOGĘ BYĆ TYLKO TUTAJ

EDWARD CHUDZIŃSKI: Słowniki podają, że urodził się Pan w Warszawie w 1923 roku, że ojciec był rzemieślnikiem...

JÓZEF HEN: Pisałem o tym w dwóch swoich, po części autobiograficznych powieściach: „Przed wielką pauzą” i „Opór”. To dwie części tryptyku, którego część trzecia „Nikt nie woła” powstała jako pierwsza. Nie mogła się jednak ukazać, akcja toczy się podczas wojny w Środkowej Azji, była niecenzuralna. A może by prze-

szła jako trzecia powieść trylogii? Dopisanie niejako początku uzgodniliśmy w 1965 roku z „Czytelnikiem”, z panią Wichową, nawiasem mówiąc żoną popaźdźnikowego ministra spraw wewnętrznych.

FILIP RATKOWSKI: A sam Wicha? Co to za postać?

HEN: Twardy, przedwojenny KPP-owiec, ale w czasach gdy go poznałem, w początkach lat 60., już słuchał Wolnej Europy. Zresztą to przychodziło

na każdego ważnego działacza. Wolnej Europy słuchał w końcu nawet Gomułka, ale oczywiście już w czasach, kiedy został odsunięty od władzy.

ADAM KOMOROWSKI: Ale wróćmy do pańskiej biografii...

HEN: Napisałem te dwie książki, trwało to trochę, ale zdążyły wyjść zanim nadeszły wydarzenia marcowe. Moje kłopoty zaczęły się zresztą jeszcze przed Marcem, z powodu nauczyciela historii mojej córki. Sporo współpracowałem wtedy z radiem, gdzie miałem życzliwych mi ludzi, takich jak Włodzimierz Odojewski, Jadzia Płomska, żona byłego redaktora naczelnego tygodnika „Żołnierz Polski”, Jan Mietkowski czy Jarosław Abramow-Newerly... Zadzwonili do mnie, żebym zaraz przyszedł. Przychodzę, a oni od razu: siadaj, rozbierz się, a ja - jakby w przeczuciu - dopowiedziałem: pasek i sznurówki też? I rzeczywiście, pytają co narozrabiałem, bo przyszedł dziś „zakaz” na Wygodzkiego, na „Dziady” i na mnie. To był 9 grudnia 1967, dobrze pamiętam.

CHUDZIŃSKI: No, znalazł się Pan w niezłym towarzystwie!

HEN: Mówię: „Dziadów” nie napisałem, na emigrację - tak jak Wygodzki - się nie wybieram, miałem rozmowę z Putramentem, może o to chodzi? Kilka dni temu na jego prośbę rozmawialiśmy i on do mnie: „kolego Hen, ta historia z nauczycielem waszej córki wygląda poważnie! Już doszła do Gomułki”. A ja na to: skoro Gomułka nie ma ważniejszych spraw niż nauczyciel mojej córki, to źle widzę przyszłość tego państwa! A szło o rzecz rzeczywiście nieprzyjemną, bo ten człowiek polecił uczniom do czytania „Mein Kampf”...

KOMOROWSKI: Wróćmy jednak do początków. Jak to było z pańskim pochodzeniem społecznym?

HEN: Określenie „rzemieślnik” w odniesieniu do mojego ojca to pewien skrót. On rzeczywiście zaczął jako monter-hydraulik, ale już gdzieś w 1913 roku - miał wtedy lat 22 - założył firmę, przedsiębiorstwo wodno-kanalizacyjne. Robili tam też rzeczy, którymi można się i dziś poszczycić, a mianowicie metalowe wykucia balustrad balkonowych.

CHUDZIŃSKI: To musimy zrobić korektę do „Słownika Pisarzy Polskich”, że pochodzi Pan jednak ze środowiska drobnej burżuazji!

HEN: Powiedzmy, drobnomieszczańskiego...

RATKOWSKI: Ale w czasach stalinowskich „rzemieślnik” brzmiało lepiej. I pewnie tak już w papierach zostało.

HEN: Gdzieś w latach 30. ojciec pojechał do Berlina i przywiózł stamtąd zdjęcia fasad różnych domów. Oglądałem je i wydawało mi się, że Berlin jest najpiękniejszym miastem świata, bo właśnie tam były te balkony. Potem w Paryżu widziałem podobne, albo jeszcze piękniejsze. Zresztą i to, co ocalało w Warszawie, czyli warszawska secesja, to naprawdę rzeczy wspaniałe. Chce się w tym żyć!

KOMOROWSKI: Alejo Carpentier napisał całą rozprawę o balkonach Hawany! A więc, jak się okazuje, jest Pan z rodziny artystycznej...

RATKOWSKI: Wracajmy jednak na Nowolipie! Przychodzi Pan na świat w rodzinie drobnego przedsiębiorcy...

HEN: W kamienicy, w której rodzili się sami chłopcy: u Rosenkierów trzech chłopców, u Gorynow trzech

chłopców, u Katzów trzech chłopców... Moje starsze siostry urodziły się gdzie indziej, mój brat i ja już na Nowolipiu. Wtedy mówiło się, że jak się rodzą chłopcy, to będzie wojna... Zrobiliśmy nawet kiedyś w „Żołnierzu Polskim” taką okładkę: „Wojny nie będzie, rodzą się dziewczynki”!

CHUDZIŃSKI: W którym to było roku?

HEN: W 1946. Ale chodziło chyba o to, że urodziły się czworaczki – same dziewczynki.

CHUDZIŃSKI: I rzeczywiście. Wojny nie było...

HEN: A starsze siostry dobrze mieć! Dzięki temu zawsze mogłem czytać książki ponad wiek. Moja rodzina była czytająca. Ojciec czytał gazety w jidysz, razem z dodatkami literackimi, miał swoich ulubionych felietonistów...

CHUDZIŃSKI: W domu mówiło się po żydowsku?

HEN: Nie, tylko gdy rodzice kłócili się między sobą. Szczególnie matka mówiła zupełnie swobodnie i ładnie po polsku, a ojciec różnie, ale bez żydowskiego akcentu. Wychowałem się w Radzynie Podlaskim wraz z tamtejszymi chłopcami, zapamiętał chłopskie piosenki i podlaski akcent, gdy mówił po polsku. Zastanawiałem się także nad sobą, dlaczego ja nigdy nie miałem śladu żydowskiego akcentu, bo przecież wokół wszyscy „żydłaczyli”. I w pewnej chwili uprzytomniłem sobie, że ja byłem „radiotą”! Wychowałem się na radiu. A to była tak świetna polszczyzna... Dość wspomnieć nazwiska – Tadeusz Bocheński, Opieński, Świętochowski i inni spikerzy...

KOMOROWSKI: Zwrócił Pan uwagę na kapitalną sprawę – rolę radia w kształtowaniu pisarzy pańskiego pokolenia...

RATKOWSKI: I jednolitej, ogólnokrajowej normy języka polskiego!

HEN: W Wilnie, wiem to chyba od Miłosza, pilnował polszczyzny Hulewicz, potem Tadeusz Łopalewski. W latach 50. zawsze marzyłem o tym, żeby występującym w radiu dygnitarzom ktoś wreszcie powiedział, jak się powinno mówić po polsku. To Tuwim gdzieś napisał: „Koledzy pamiętajmy, że piszemy dla ludzi prostych! Dla prostych chłopów, prostych robotników, prostych ministrów, prostych profesorów...”

CHUDZIŃSKI: Od którego roku zaczął Pan słuchać radia?

HEN: Od kryształków, powiedzmy od 1929 roku.... Były dwie pary słuchawek i koncertu Kiepurę mogły słuchać cztery osoby...

RATKOWSKI: Można też było słuchawki położyć na talerzu i wtedy mogło słuchać więcej osób.

CHUDZIŃSKI: Ale w latach 30. pańską rodzinę stać już chyba było na odbiornik lampowy?

HEN: No oczywiście. Mieliśmy wspaniałego telefonkenu „Ambasador”. To był piękny odbiornik, swobodnie łąpało się Paryż. Po wrześniu Niemcy kazali wszystkie radia oddać. Odnosiło się je na komisariat granatowej policji i po drodze go rozwalilem. Rozbiłem lampy.

CHUDZIŃSKI: Ale wcześniej była jeszcze szkoła...

HEN: Szkołę miałem niedaleko. Kilkaś metrów od mojego domu, na Nowolipkach 24, była szkoła Krelmana. Wspominam ją z sentymentem w „Nowolipiu”. Zajęcia trwały na początku 4 godziny dziennie, dwie godziny według programu polskiego i dwie żydowskie.

Była więc godzina hebrajskiego, którego uczył pan Becher i wtedy któregoś dnia okazało się, że ja jestem zdolny. Bo przedtem sądziłem, że jestem najgorszy. W przedszkolu rysunki mi nie wychodziły, nie umiałem dzbanka wymalować, wszystko było poplamione. Gdy chciałem narysować konia, wychodził mi pies i odwrotnie. Nie umiałem złożyć samolociku.... A ja chyba poszedłem do tego przedszkola za wcześnie. I oto w pierwszej klasie, podczas lekcji hebrajskiego, pan Becher porozwieszał na ścianach obrazki z podpisanymi i po hebrajsku mówił co to jest. Potem odpytywał i moim kolegom szło jak po grudzie, a ja wręcz dziwiłem się, że tak prostych rzeczy nie potrafią zapamiętać! Gdy mnie wywołał, odpowiadałem na wszystko bez zająknięcia, co go tak zdumiało, że nawet wezwał moją mamę, by jej powiedzieć, że jestem „gieniuś”! Taką miał wymowę. I tylko brat potem długo się ze mnie nabijał i wołał na mnie „gieniuś”, „gieniuś”. Za to niestety nie bardzo radziłem sobie z matematyką i mówiono, że „jadę na opinię”.

Pamiętam też, że jak byłem w pierwszej klasie, to zachorowałem na szkarlatynę, która była wówczas chorobą bardzo niebezpieczną, i mama kupiła mi na straganie książeczkę o Królowej Jadwidze. Przeczytałem ją i strasznie się przejąłem. Popłakałem się, bo taka dobra była królowa, dawała jałmużnę ubogim i twardo sobie postanowiłem, że ja też będę dawał jałmużnę. Oczywiście jak tylko zostanę królem! To była moja pierwsza lektura, ale też jakiś znak, bo przecież w końcu zrobiłem serial telewizyjny, wprawdzie nie o Jadwidze, ale o Jagielle. Życie lubi takie zaokrąglenia.

CHUDZIŃSKI: ...że coś ma w życiu swój początek, a potem dopełnienie.

RATKOWSKI: A te początki to także bardzo wczesny debiut, powiedzmy „literacki”...

HEN: Czytało się u mnie w domu „Mały Przegląd” - dodatek dla dzieci do „Naszego Przeglądu”, mieszczącej gazetę żydowskiej wydawanej po polsku. I tam była taka rubryka „Po raz pierwszy do nas napisali”. Nie posyłało się tego pocztą. Redakcja była na Nowolipkach i na drzwiach wisiała skrzyneczka. Można tam było wrzucić korespondencję, nawet bez koperty, bo przecież dzieci nie miały pieniędzy ani na kopertę, ani tym bardziej na znaczek. I w takiej rubryce ukazała się notka: „po raz pierwszy napisał do nas Józio Cukier”! No, to było wydarzenie! Wszyscy koledzy z podwórka też chcieli się w tej rubryce znaleźć, więc każdemu podyktowałem to samo i rzeczywiście, nazwiska wszystkich znalazły się w tej rubryce w gazetce. Na tym u nich to się skończyło – ale nie u mnie. Pisałem potem dalej, a to o jakimś psie, a to o innych ważnych dla dziecka sprawach. Było to w 1929 roku, kiedy mrozy złapały takie, że pękały masowo rury wodociągowe i hydraulicy mieli mnóstwo pracy... W firmie ojca zwykle pracowało kilku robotników, a tamtej zimy, jak pamiętam, było ich nawet ze trzydziestu! Po tej zimie ojciec wybudował nawet willę. I stąd ten pies, strzegł willi.

KOMOROWSKI: To był 1929 rok? Ojciec Pana dorobił się w kryzysie?

HEN: Nie. Kryzys to zjawisko późniejsze, chyba zaczął się w październiku, a z willą to była cała historia. Przedtem co roku jeździliśmy w lecie na wieś

do Michalina pod Warszawą, na linii otwockiej, i tam wynajmowaliśmy w cudzych domach mieszkanie na lato. I kiedyś, obok, wybuchł pożar. To było straszne przeżycie dla dzieci, te domy były drewniane, brakowało wody i pożar łatwo mógł się przerzucić. I wtedy ojciec zdecydował, że wybuduje dom z wodą i z wszelkimi wygodami. I rzeczywiście, postawił dom jak trzeba, z pięknymi werandami, z elektrycznością i prysznicami.

RATKOWSKI: To jak liczna była wasza rodzina?

HEN: Dzieci była czwórka: dwie starsze siostry, brat i ja, najmłodszy. Podobno mnie mama uśmiewała się pozbyć. Skakała ze stołu, ale bez skutku. Tak się uczerpiłem życia, że nic się nie udało i potem stałem się beniaminkiem rodziny. Ogromnie rozpieszczęły mnie siostry, mama mnie też wyróżniała. A ojciec nie, chyba wołał mojego brata. To było typowe chłopaczkostwo – łobuz, błyskotliwy, ale nieuk, za to miał smykałkę do rzemiosła. Strasznie lubił się bić.

CHUDZIŃSKI: Czy to przy okazji współpracy z „Małym Przeglądem” poznał Pan Korczaka?

HEN: Właściwie nigdy go nie poznałem, choć był moim ulubionym pisarzem. Mam jednak w swojej pamięci pewien epizod. Oto kiedyś, za stałą współpracę z „Małym Przeglądem”, dostałem taką pocztówkę z wisienkami, która była zaproszeniem od redakcji do kina. Wejściówka dla trzech osób. To był zresztą pomysł Korczaka, żeby to dzieci zapraszały do kina rodziców, a nie rodzice – dzieci... Zaprosiłem więc mamę i brata, siedzieliśmy w kinie, ale bratu bardzo się to nie podobało, że ja tu jestem najważniejszy i zwyczajnie rozrabiał. Kopał ciągle krzesło jakiegoś pana z bródką, który siedział przed nami i trwało to dobrą chwilę, nim ten pan się obejrzał i powiedział: „uspokój się”. Poznałem go natychmiast! To był Korczak, którego mój brat kopie po łydach! I mówię bratu: daj mu spokój, to Korczak. Ale ten smarkacz kopać nie przestał, tak że w pewnej chwili Korczak zniecierpliwiony przeniósł się na inne miejsce. I tak stałem się świadkiem jego klęski pedagogicznej! Dziś tyle mówi się o jego osiągnięciach pedagogicznych i o bohaterskiej śmierci, że usuwa to jakby w cień Korczaka-pisarza. A pisarz to był znakomity! Poza „Królem Maciusiem I” jest „Kajtuś czarodziej”, jakby „Harry Potter” tamtego czasu...

RATKOWSKI: Było i „Bankructwo małego Dżeka” – powieść o szkolnej spółdzielczości.

HEN: Jego język i stylistyka są znakomite

KOMOROWSKI: W pismach pedagogicznych Korczaka można znaleźć tyle fantastycznych sportrzezeń.

HEN: Cóż, w jego pamiętnikach pisanych w getcie można znaleźć też takie uwagi, że bywają dzieci nieznośne. Korczak przyznaje się nawet, że niekiedy ma ochotę takiego smarkacza wręcz rozszarpać! Mój brat nie był złym chłopcem. Akurat w tej sytuacji miał powody do wściekłości! Był w końcu starszy aż o trzy lata, a to ja wziętem jego i mamę do kina! Zresztą biedak miał ze mną same kłopoty. Był w innej szkole, pana Karpa, o dwa lata wyżej, ale programowo przestał się uczyć. Najpierw cofnięto go do klasy niższej, potem raz jeszcze i ostatecznie trafił ze mną do tej samej klasy u Krelmana. To było dla niego straszne poniżenie. Ostatecznie, ponieważ chłopak zdecydowanie uczyć się nie chciał, ojciec wziął go do swojego zakładu. I tu okazał się znakomity, szybko się



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

nauczył fachu. Minęły dwa, trzy lata i nagle okazało się, że sam poszedł na jakieś kursy wieczorowe, bardzo dużo czytał, miał bardzo inteligentnych kolegów, związanych zresztą z młodzieżą komunistyczną. Jeden z nich, Julek Konar, chłopak z naszego podwórka na Nowolipiu, był po wojnie dyrektorem Muzeum Lenina w Warszawie, które mieściło się tam, gdzie teraz jest Muzeum Niepodległości.

RATKOWSKI: No i mamy dwóch chłopców z porządnego burżuazyjnego domu, jeden się wdaje w konszachty z komunistami, drugi też socjalizuje... Jak to jest?

HEN: Mój brat brał nawet udział w strajku przeciwko ojcu! Robotnicy zażądali podwyżki, przyszedł do ojca jakiś działacz ze związku zawodowego, świetnie ubrany, pod krawatem... Ale w trakcie rozmowy okazało się, że ojciec im lepiej płaci niż wynosiły wówczas stawki. Hydraulik to był zresztą dobry zawód, bo monter dostawał dwa złote za godzinę, czyli 16 złotych dziennie!

RATKOWSKI: Dwa złote to ówczesny, całodzienny zasiłek dla bezrobotnego!

HEN: Natomiast taki kopacz, który nic nie umiał, zarabiał 65 groszy za godzinę.

RATKOWSKI: To więcej niż dostawała kobieta za cały dzień pracy w majątku ziemskim na kresach.

HEN: A ja tymczasem kończyłem szkołę Krelmana. Pamiętam stamtąd jeszcze cudownego pana Akermana od religii, który zabawnie mówił po polsku, bo pochodził z Rosji, ale miał taki cudowny sposób opowiadania, że umiał zaczarować klasę. Myśmy

plakali, śmiali się, tworzył z tych zajęć prawdziwy spektakl. Niezwykle utalentowany człowiek. No i gdy on odszedł, skończył się mój związek z Bogiem. To stało się zresztą bardzo wcześnie. Straciłem wiarę gdy miałem 11 lat. Krelman skończył się po 5 klasie, na szósty rok nauki poszedłem do szkoły Zrzeszenia Nauczycieli i przeżyłem pewien wstrząs. Okazało się, że przychodzę z gorszej szkoły i z innego środowiska. Że jestem „obcy”. Gdy pisałem wypracowanie, za które u Krelmana dostałbym piątkę, tu miałem tylko lakoniczną notkę „nie na temat”. Minus 3 to była góra. Wtedy zrozumiałem, na czym polega uprzedzenie czytającego. „Czytanie to trudna sztuka” - zauważył kiedyś Adolf Rudnicki, bijąc się w piersi po śmierci Tuwima, że nie poznał się na jego poezji. Potem zdawałem do Kryńskiego, szkoły dobrej i nawet snobistycznej. To był pomysł mojej mamy, ale nie dla mnie, bo to było gimnazjum matematyczno-przyrodnicze, a ja takich zdolności nigdy nie miałem. Mimo to szanowali mnie, bo przy egzaminie z polskiego wypadłem znakomicie. Ta szkoła mieściła się na Senatorskiej, róg Miodowej.

RATKOWSKI: Jak na owe czasy, to odszedł Pan już wtedy dość daleko od Nowolipia?

HEN: Mogłem do gimnazjum jechać tramwajem zero, a z Leszna dziewiątką, na piechotę przechodziłem przed kościołem ewangelickim, gdzie zawsze, o tej samej godzinie, przechodziła w przeciwnym kierunku dziewczynka w niebieskim mundurkowym płaszczu. Śliczna blondynka z ciemnymi brwiami... Ale ona miała do swojego gimnazjum, Dicksteinowej na Lesznie, już tylko kilka minut, a ja jeszcze kawał drogi i musiałem

ostro zasuwać! Nigdyśmy się nie poznali, ale zawsze mijaliśmy się w tym samym miejscu i o tej samej godzinie.

CHUDZIŃSKI: A tymczasem nadchodzi wojna.

HEN: W ostatniej klasie mieliśmy przysposobienie wojskowe i powiem, żeśmy to lubili. No bo oto przychodzi kapral, traktuje nas jak dorosłych, mówi do nas „ja wasz ojciec, ja wasza matka, kurwa wasza mać”! Coś zupełnie innego. Zresztą ten chłopak zapisał się na „żywą torpedę”. To miały być w razie wojny samobójcze misje... Ale przychodzi oto wrzesień 1939. Szóstego wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni mieli wyjść z Warszawy na wschód. Brat poszedł, a ja zostałem jako prawdziwy opiekun rodziny. Już nie ojciec, a ja! W dodatku okazało się, że wyłoniony wcześniej komendant domu panicznie boi się, co będzie, jak przyjdą Niemcy i rzucił opaskę, którą ja podjąłem i rządziłem całym domem, posyłałem na dach dyżurnych, by gasili pożary.

To była przyspieszona dorosłość, bo dopiero w listopadzie miałem skończyć 16 lat. I ciekawe - nie było po mnie widać lęku, gdy trwały bombardowania. Chyba dlatego, że ja świadomie obserwowałem sam siebie i całe otoczenie. Jeśli się bałem, to obserwowałem swój strach, utrwalając go niejako literacko - i przestawałem się bać. 8 września zacząłem pisać książkę, autentyk, i od razu nazwałem ją „Opór”, bo oporem żyłem. To miało być coś wyraźnie pod wpływem „Podróży do kresu nocy” Céline’a, a zaczynało się od sceny palenia „Wiadomości Literackich” i „Szpilek” w kuchni z fajerkami. Musiałem to zrobić, bo mój szwagier wpadł w prawdziwą panikę i bał się potwornie, że gdy wejdą Niemcy, to gestapo natychmiast wtargnie do każdego domu i rozstrzela wszystkich, którzy czytali te gazety.

KOMOROWSKI: U mnie w domu przetrwały całe roczniki „Wiadomości Literackich”!

HEN: Ale nie miał pan takiego szwagra! Zresztą i mnie odechciało się wkrótce palić te gazety. Inna rzecz, że potem wszystko to spłonęło w getcie...

CHUDZIŃSKI: A kto prenumerował u was „Wiadomości Literackie”? Pan, czy ktoś z rodziny?

HEN: To by było za drogie. Chodziłem na bazar i na straganie kupowałem stare „Wiadomości Literackie”, nawet sprzed kilku lat. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Kroniki Słonimskiego, teksty Boya i dziś czyta się świetnie!

KOMOROWSKI: Ale jak piętnastolatek czytywał Céline’a? Czy to nie była zbyt trudna lektura?

HEN: Miałem dziewięć lat, kiedy przeczytałem „Włóczęgów” Hamsuna i nie zapomnę do końca życia sceny, jak Lovisa rozpina spódnicę. Bosonoga. Żeby pokazać Edevertowi, że go kocha. Nie do końca wiedziałem, o co w tym rozpinaniu spódnicy chodzi, ale obraz był piękny. W tamtych czasach panował jeszcze kult dziewiczości, wiem to z domu.

CHUDZIŃSKI: Czy to były lektury sióstr?

HEN: Na początku tak, zresztą każde z nas wypożyczało w innej bibliotece, tak że zawsze były u nas po cztery książki na chodzie. A Céline’a to już sam czytałem, bo szybko siostry przeskoczyłem. Dzięki temu nie czytałem nigdy Karola Maya, typowej chłopięcej lektury. Czytałem Maine Reida i oczywiście Jacka Londona i Verne’a, ale także Maurice’a Leblanca z Arsenem Lupin. Naśladowałem go zresztą i napisałem

nawet powieść kryminalną... Kiedy chłopak zaczyna pisać, to zawsze na początku są to plagiaty.

RATKOWSKI: A co było pierwszą poważniejszą próbą pisania?

HEN: „Mały Przegląd” ogłosił wśród dzieci konkurs na powieść i ja napisałem dzieło w takim zeszytiku mającym może ze 20 stron. Powieść tenisową. W „Małym Przeglądzie” zawsze na dole drobnym drukiem była umieszczona korespondencja redakcji do konkretnych czytelników i pewnego dnia znalazłem tam prośbę, że bym się w niedzielę zgłosił do redakcji. Poszedłem, ale prawdę mówiąc nie od razu. Kiedy szedłem pierwszy raz, to tak mnie brzuch rozboleł, że musiałem wrócić do domu i położyć się. Dotarłem do redakcji następnej niedzieli. Noweży (wtedy jeszcze jako Jerzy Abramow) wyszedł zza biurka, nawet nie zauważyłem, że kuleje, przywitał się i pyta: „Czy ty widziałeś kiedyś mecz tenisowy”? Przyznałem, że nie, ale czytam „Przegląd Sportowy”... I on wtedy mówi, że trzeba pisać o tym co się zna, bo u mnie cała intryga romantyczna kończyła się tym, że on i ona walczą ze sobą w finale tenisowego meczu. A więc dość wyraźnie wbrew regułom tego sportu.

Nie pamiętam, kto u mnie wygrał, ale już wtedy wiedziałem, że dzieło literackie musi kończyć się albo ślubem, albo śmiercią bohatera, a to chyba miał być ślub. Strasznie zawstydzony stamtąd wyszedłem, a wygrała ten konkurs 11-letnia Dycia z Zamościa, która napisała coś niesamowitego, prawdziwą powieść o swojej rodzinie. Tam były takie zdolne dzieciaki – Dycia zginęła, i inni zginęli... A ja tymczasem pisałem wedle tego Leblanca historię, której bohaterem był dżentelmen-włamywacz André Rolls, ale potem także coś sensowniejszego i bardziej ambitnego, jak na takiego chłopaka, naturalnie. Napisałem coś o zdobyciu Jerozolimy przez Rzymian. Był tam Tytus i Berenika, a wszystko na podstawie lektur, porządnie zbieranych materiałów. Stale coś pisałem.

CHUDZIŃSKI: Ale przedmiotem pańskich pierwszych poważnych prac literackich stało się doświadczenie września?

HEN: Pamiętam, jak siedziałem przez dwie doby we Lwowie w areszcie na Podzamczu, oskarżony o szpiegostwo. I w pewnej chwili wezwał mnie „upołnomocznijny”, Polak. Siedział z moimi rękopisami, a obok siedział major, któremu referował, co czytał. W pewnym momencie pełnomocnik zauważył: „on tałantliwyj” – utalentowany! I teraz mogą sobie panowie postmoderniści odmawiać mi talentu, ale ja go mam, potwierdziło to NKWD!

RATKOWSKI: Jak to się stało, że jednak opuścił pan Warszawę?

HEN: To było 8 listopada, dokładnie w dniu moich 16. urodzin. Siostra była wówczas w zajętych przez wojska ZSRR Białymstoku i przyjechała do Warszawy po zegarki, które tam można było dobrze sprzedać. Wiadomo, „czasy”. Była tam także moja druga siostra, ale już wybierała się do Lwowa, gdzie przebywał „starający się” o jej rękę inżynier Marian Toronczyk. Z twarzy przypominał Woody Allena. Nie był przystojny, ale za to uroczy, dowcipny, inteligentny. Kochał ją strasznie...Więc zostałbym sam, bez rodzeństwa. Ja tymczasem byłem pod wrażeniem zachowania Niemców. Niby wtedy jeszcze nic takiego nie robili, czasem

tylko kopnęli jakiegoś Żyda, szarpali nim... Ale wiedziałem, że mogą zrobić wszystko. Zdecydowałem się wyjechać. Wieczorem, wiedziony jakimś przecuciem, utleniłem jeszcze włosy na jasno, co chyba uratowało mi życie. Jechaliśmy nocą furmanką i zatrzymał nas patrol niemiecki. Szukali Żydów, a to chyba byli Mazurzy, bo tam specjalnie dawano żołnierzy mówiących po polsku.

– Jude? - pyta taki. A ja na to: – Że co proszę?

Ten zagląda mi pod czapkę. Zobaczył jasne włosy i macha do tego drugiego: Keine Jude.

A już czułem, jak dostaję kopa w brzuch. Tak więc przeszedłem na tamtą stronę, ale też różne przygody mnie czekały.

KOMOROWSKI: I wybiera Pan Lwów a nie Białystok?

HEN: W Białymstoku mieszkała moja siostra z mężem, z którym zresztą wkrótce się rozwiodła. Kiedy we Lwowie zabrano ją do transportu, żeby wywieźć, inny mężczyzna z nią pojechał. To była zresztą niezwykle romantyczna historia. Siostra była piękną dziewczyną i do wagonu odprowadzał ją młody człowiek, prawnik, szalenie w niej zakochany. Miała jechać do Jakucji, na budowę, do miasta Ałdan nad rzeką o tej samej nazwie. I w ostatniej chwili chłopak powiedział, że chce z nią jechać, a komandir eszelonu stwierdził uprzejmie: „Pożalujsta”!

Ale póki się nie rozwiodła, jeszcze w Białymstoku, mąż siostry zrzędził, że zajmuję miejsce, w efekcie siostra poradziła mi, żebym jechał do Lwowa. Tam był mój nauczyciel, polonista, który bardzo mnie cenił, można rzec, że byliśmy zaprzyjaźnieni, schronili się tam też chłopcy z mojego gimnazjum. Zetknąłem się jakoś z ludźmi ze środowiska literackiego, np. z Leonem Pasternakiem, był tam też Aleksander Dan...

RATKOWSKI: Postać mocno dwuznaczna!

HEN: Miałem wtedy 16 lat i żadnego pojęcia o tych sprawach. Zetknąłem się też z późniejszym naczelnym redaktorem „Żołnierza Polskiego”, Dorianem Płońskim. Miał kłopoty, bo jako korektor w „Czerwonym Sztandarze” przepuścił jakiś błąd. A w owych czasach błąd w gazecie to była straszna rzecz. Stosunki były tam zresztą przedziwne. Po latach opowiadał mi Lec, jak odbywało się szkolenie kadry. „Czerwony Sztandar” był pismem „oblastnym” (obwodowym) i przyjechał instruktor z Kijowa, z republikańskiej centrali. Siedzą więc Przyboś, Ważyk, Wał, Strykowski, a ten zaczyna im różne polityczne banialuki opowiadać. Dyskretnie ktoś mu zwrócił uwagę, że to doświadczeni literaci, więc nie powinien opowiadać politycznych frazesów, tylko porozmawiać o literaturze. Wtedy ten niewiele myśląc zadaje pytanie: „Szczo ce take metachfora...”, bo w ukraińskim „f” wymawia się blisko „ch”. Wszyscy ryknęli śmiechem, gdyż zabrzmiało to przezabawnie.

CHUDZIŃSKI: I nie próbował Pan postać czegoś do „Czerwonego Sztandaru”?

HEN: Nie, choć rzeczywiście posłałem nieduży tekst do powstającego miesięcznika literackiego „Nowe Widnokreği”, w którego redakcji figurował zresztą także Boy Żeleński, a robili je Kuryluk i Ważyk. To był fragment powieści „Opór”, którą wówczas znów zacząłem pisać. I dostałem list podpisany przez obu redaktorów, że rzecz nie może pójść, ale „fragment napisany

jest z młodzieńczym temperamentem i młodzieńczą naiwnością”. Dlaczego pójść nie może, nie wyjaśnili, poszło to widać na karb „młodzieńczej naiwności”, ale list kończył się życzeniami literackiego rozwoju – widać potraktowali mnie jednak poważnie.

RATKOWSKI: A naiwność tracił Pan w „strojbalionie”?

HEN: No cóż, literatura, literaturą, ale z czegoś trzeba było żyć. W Busku k/Lwowa mieszkałem z siostrą i jej mężem, Marianem Torończykiem, który pracował jako inżynier przy budowie drogi Lwów - Kijów i zaprotegował mnie do pracy. Przy budowie tej drogi pracowali jeńcy, żołnierze polscy z Kozielska, ale ani my, ani oni nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje w Katyniu. Kapral Szewczyk przyznał się, że przed wojną był komunistą, ale nie krył rozczarowania. „Panie Józiu! – mówił. – To jest fuszerka, nie komunizm”!

RATKOWSKI: Kornel Filipowicz mówił mi, że przed Katyniem najprawdopodobniej uratowało go to, że nie miał białych czerwonych obszuwek podchorążackich na podoficerskim mundurze.

HEN: Jestem pewien, że i wśród tych żołnierzy byli oficerowie, na tyle mądrzy, że ukryli stopnie. A ja, początkowo, byłem pomocnikiem magazyniera i pamiętam, że zazdrościłem jeńcom, bo oni za dobrą pracę dostawali „prembłudę”, czyli premią dokładkę krupniku z kotła. Mieli też sklepik z rzeczami, których nie można było dostać we Lwowie. Z herbatą i innymi cudami... I tak jakoś się poskładało, że z pomocnika magazyniera zostałem pomocnikiem naczelnika bazy przygotowującej smołę na drogę. To był zresztą świetny facet, młody, elokwentny, odczytany inżynier, Siemion Laks, absolwent MADI – Maskowskovo Awtodorożnowo Instytutu. Kiedy on odjechał to ja, polecony zresztą przez niego, nie mając jeszcze 17 lat siłą rozpędu zostałem p.o. naczelnika bazy. Dlatego na wieczorach autorskich powiadam, że śmierci się nie boję, bo w piekle będę funkcyjnym – umiem doskonale gotować smołę!

W miejscowości pod Lwowem, gdzie mieściła się baza budowy, był pewien milicjant, Ukrainiec Myćko, bezrolny chłop, któremu kiedyś szwagier pomógł i dał mu robotę, zanim ten jeszcze jako najbiedniejszy we wsi został milicjantem. I ów Myćko powiada mi kiedyś: „Pytały mene, czy je tu beżeńci”. A szczo ty skazał? „Szczo ne ma”! Tym jednym „ne ma” uchronił mnie, przynajmniej na pewien czas, a może nawet uratował mi życie?

Był jednak poważny kłopot. Oto nie miałem żadnego dowodu osobistego ani paszportu. W Polsce nie miałem jeszcze 16 lat i takich dokumentów nie wydawali. Naczelnik budowy, którą już kończyliśmy, jak się zorientował, że nie mam żadnych papierów, kazał mi iść na milicję zameldować się, a oni wydali mi paperek, że mam „paragraf 38”. „Liszeniec” to się nazywało, a oznaczało, że jestem „liszenyj graždanskich praw”, czyli pozbawiony praw obywatelskich, z czego właściwie byłem zadowolony, bo po cholere mi te „graždanskie prawa”? W rezultacie, z takim zapisem, nie miałem prawa przebywać bliżej niż 200 km od granicy i mieszkać w żadnym obwodowym mieście. Skończyła się praca pod Lwowem, więc pojechałem do Dąbrowicy na Wołyniu, gdzie już przebywał mój szwagier Marian z Mirką i było szczęśliwie 202 km od granicy. Okaza-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

to się jednak, że „zamknięto meldunki” w tej miejscowości. Rudowłosa nauczycielka języka niemieckiego w miejscowej szkole pedagogicznej podszeptała, że meldują uczniów tej szkoły. Kompletnie nieprzygotowany poszedłem na egzamin z rosyjskiego i zdałem go! Jak to się stało, opisałem w „Najpiękniejszych latach”. Potem zdałem rachunki, coś jeszcze i dostałem się do tej szkoły. Problem zameldowania zniknął, ale pozostawała kwestia przeżycia. I na to mój wspaniały szwagier powiada: „Skoro zdałeś, to się ucz!” I uczyłem się, byłem najlepszy z matematyki, nawet z fizyki, która u Kryńskiego zupełnie mi nie szła. Przyłożyłem się, dostawałem 65 rubli miesięcznie stypendium, z czego 60 musiałem dać na opłacenie stołówki... Cieniotko było.

CHUDZIŃSKI: I tam zastała pana druga wojna, czerwiec 1941 roku?

HEN: Ta szkoła była czymś niesamowitym, zaprzeczeniem wszelkich stereotypów. Ja tam zupełnie nie odczuwałem presji ideologicznej. Dzieci głównie pochodziły z domów sierot, z Czernihowa i Horodni, a miały zostać, po trzyletnim kursie, nauczycielami wiejskimi. Zresztą Różewicz przed wojną też miał zostać wiejskim nauczycielem, ale nie zdał egzaminu, bo zawalił śpiew! 28 czerwca 1941 roku szkołę ewakuowano, jesteśmy w pociągu i nagle w Szepietówce, na dawnej granicy polsko-radzieckiej, zaczęli chodzić pogranicznicy i wszystkich, którzy nie urodzili się w ZSRR, wyciągają z wagonów. Trzech nas było w takiej sytuacji, wszyscy chłopcy w klasie. I wtedy dziewczyny zdecydowały się nas ukryć. Położyliśmy się

na podłodze, przykryty nas paltami, walizkami, nie wiedząc, że ratują nam życie.

CHUDZIŃSKI: A siostra i szwagier zostali na Wołyniu?

HEN: Tak. Pukałem do nich, namawiałem, żeby się ewakuowali razem z nami, ale siostra powiedziała, że nic się nie stanie, „Ukraińcy nas lubią”... I taki jest paradoks dziejów - gdyby jej mąż nie był lubiany, to by uciekli i być może mieliby szansę przeżyć? Korespondowała potem z moją mamą w getcie i stąd wiadomo, że żyła przynajmniej do 1942 roku...

RATKOWSKI: A Pan jest w drodze na wschód...

HEN: Tak.

CHUDZIŃSKI: Jak to było z próbą dostania się do armii Andersa?

HEN: Ta historia dzieli się na wiele etapów. Kiedy po raz pierwszy z kolegą znaleźliśmy się na stacji Morozowskaja, zatrzymał nas patrol. Byliśmy cywilami, nie mogliśmy wrócić do kołchozu, bo już pożegnaliśmy się. Kobiety-kołchożnice zrobiły nam rękawice, nauszники, słowem wykwipowały nas jak do wojska, na ile mogły... Ale patrol pyta, co tu robimy. Mówię, że chcemy do Saratowa, bo tam się organizuje polskie wojsko. „A skierowanie macie?” Nie. „No to chodźcie z nami, dostaniecie co trzeba.” Aresztowali nas po prostu.

Następnego dnia wezwał nas jakiś major i powiada: „Nie mam tu nic o armii Andersa, nie mam żadnych danych. A chcecie się bić?” Chcemy! „To idźcie do Armii Czerwonej!” Dał nam skierowanie, które mogliśmy wyrzucić i spokojnie wrócić na stację. Ale unieśliśmy się honorem, a ponadto rzeczywiście chcieliśmy się bić!

CHUDZIŃSKI: A więc był Pan w Armii Czerwonej?

HEN: Tak, ale Hitler nie miał do mnie szczęścia, bo właśnie w dniu, kiedy wstąpiłem do wojska, miała miejsce pierwsza porażka wojsk niemieckich, odbicie Rostowa nad Donem. To był, pamiętam jak dziś, 18 listopada. Wszystko płacze się koło daty moich urodzin.

Teraz niektórzy piszą, że w Armii Czerwonej byłem oficerem. Gdybym w wielu 18 lat i po kilkutygodniowym przeszkoleniu został oficerem, to Napoleon wysiada! Byłem natomiast cekaemistą. Front stał wtedy w Donbasie, koło miejscowości Irmino, tej samej, w której bił swój rekord legendarny Stachanow, ten od „wyścigu pracy”. Były piekielne mrozy, a wtedy Rosjanie zwykle uderzali. I w dniu, kiedy o siódmej wieczór mieliśmy iść do ataku, w południe przyszedł goniec wzywający mnie do sztabu batalionu.

– „O, pareń – mówili chłopcy – ty już nie wrócisz!” To wypijcie mój spirytus, powiedziałem. I rzeczywiście, tego dnia, 28 stycznia, na całym froncie, od Morza Białego do Morza Czarnego, wszystkich urodzonych w Polsce i na Zachodniej Ukrainie, którzy nie mieli obywatelstwa ZSRR, wycofano z frontu. Uratowała mnie podejrzliwość Stalina. Było wiadomo, że jeśli atak się nie uda i będziemy się wycofywać, to ja, jako „pulemiotczyk”, mam ostanąć kolegów do ostatniego naboju. Koledzy poszli do ataku i ze 130 w kompanii przeżyło 18. Rzeź była!

A mnie tymczasem posłano na tyły, do „strojbatalionu” do Stalingradu, ale jeszcze zanim zaczęły się walki o miasto. I stamtąd daliśmy dyla, pod fałszywymi nazwiskami, do armii Andersa. Stacjonowali już

w Uzbekistanie, a „Komenda placu” znajdowała się pod Taszkientem, w Jangi-Julu.

Dojechałem tam, lecz nie miałem żadnych dokumentów. Nie chcieli mi wierzyć na słowo. Pamiętam takiego porucznika Worotyńskiego, który uprzejmie powiada: „Niech pan odejdzie (pan!), bo każę kolbą pana potraktować”!

CHUDZIŃSKI: Byliście po cywilnemu?

HEN: W dość mieszanym stroju, zresztą ja nie ukrywałem, że byłem w Armii Czerwonej i stamtąd uciekłem. Naiwnie myślałem, że to się liczy! W tej sytuacji, wycieńczeni z głodu, sami zgłosiliśmy się do jakiegoś „strojbatalionu”, coś nakłamałiśmy i oni wzięli to za dobrą monetę. Zresztą było im to na rękę, bo oni chcieli mieć człowieka do łopaty, a my chcieliśmy mieć 800 gramów chleba dziennie. Posłali nas budować linię kolejową do kopalni. O tym jest właśnie „Nikt nie woła”, bo wcale nie było tam słodko. Solżenicyn pisze o tym batalionie „nie chuże łagieria” – nie gorszy od obozu. Byliśmy bez konwoju, ale warunki życiowe były okropne.

Uciekłem znowu z innym facetem, który miał dowód osobisty, polski, wystawiony przez starostę. Gdy trafiliśmy znowu na punkt werbunkowy w Jangi-Julu, powiedziałem chłopakowi żeby, gdy przejdzie procedurę, powiedział, że jest z nim kolega z gimnazjum w Warszawie, że znamy się dawno, jest bez dokumentów i co, ma ginąć? Miałem nadzieję, że wtedy usłyszysz „dawaj go tu”. I tak się dokładanie stało. Kiedy wygłosił kwestię, plutonowy powiedział „dawaj go tu!” I dopisali mnie do listy. Co z tego, kiedy na komisji lekarskiej, kiedy stanęliśmy nadzy przed areopagiem, a byłem wtedy już w niezłej formie, pan major spojrzął na dół z ukosa i zawyrokował: kategoria D! Nie nadaje się. To było pożegnanie andersowców, 19 sierpnia 1942.

KOMOROWSKI: A przecież Begina przyjęli, a Pana nie?!

HEN: Bo on był wywieziony i chyba siedział, a ja nie! Międzyrzeckiego przyjęli, Herlinga-Grudzińskiego i innych, zwłaszcza tych, co przeszli przez więzienia i obozy. Ja byłem z Armii Czerwonej. Ale przecież uciekłem!

KOMOROWSKI: Myśleli, że sowiecki szpieg! Chwilami wydaje mi się, że jesteśmy bardziej szpiegomańscy niż Rosjanie!

HEN: Ale wystarczyło na mnie spojrzeć! Jaki szpieg chodzi bosi, głodny, bez papierów? Szpieg miałby wszystkie potrzebne dokumenty. Gdybym miał 200 rubli, to bym do wojska się dostał, bo za taką sumę w kancelarii można było to załatwić. Ale nie miałem i nie wiadomo, czy to nie odezwało się po raz kolejny moje wojenne szczęście. Wyszedł za mną, po tej komisji, lekarz, kapitan Hoffman (pamiętam nazwisko) i powiada: „Niech pan się nie martwi! Pan będzie wcześniej w Polsce niż my”... I chyba widziałem jego mogiłę pod Monte Cassino. Już wtedy wiedziano, że muszą być następne dywizje. Zostali przecież ludzie na Kołymie...

CHUDZIŃSKI: Władze miejscowe często bojkotowały nabór do polskiego wojska.

HEN: Dostałem wreszcie jakiś papierek: imię, nazwisko, obywatel polski, przeszedł komisję, kategoria D. Potem okazało się, że wojsko ewakuując się z Rosji ma do rozdania trochę mundurów. Zrobili zbiórkę odzuczonych nieszczęśników. Kaprał spojrzął na mnie

wyraźnie przejęty i wskazał: Ty! Ależ musiałem być obdarty, skoro na mnie wskazał?! Dostałem mundur, bez którego bym zginął, bo zbliżała się zima, a ja byłem bez butów. Mam zresztą piękne zdjęcie w tym mundurze.

KOMOROWSKI: Czy rzeczywiście w czasie wojny, za frontem, tak tragicznie wszystkiego brakowało?

HEN: Wszystko było dla wojska. Żołnierze w podróży służbowej mieli talony i gdzie się przyjechali, można było za nie dostać obiad. Gdy uciekaliśmy ze Stalingradu, to w miejscowości Poworino bez talonu przyszedłem do wojskowej jadłodajni i powiedziałem, że jadę do wojska polskiego. Jestem kucharzem i chciałbym wiedzieć jak tu gotujecie, przenieść wasze doświadczenia do bratniej armii! Posadzili mnie za stołem, dali ogromną miskę rosółu z makaronem. Może kucharz nie uwierzył, ale dał! Miska była ogromna i tego rosółu nie mogłem dojeść, a naprzeciw siedział jakiś Uzbek i oczy mu się tylko świeciły. Mówił „dawaj, dawaj”, dał mi pięć rubli i dojadł do końca.

CHUDZIŃSKI: Jak Pan w końcu trafił do wojska polskiego?

HEN: W Samarkandzie próbowałem kontynuować swoje „wykształcenie pedagogiczne” w podobnej szkole do tej, którą zostawiłem w Dąbrowicy, ale zrobiło się głodno i poszedłem do pracy w miejscowej wytwórni win i wódek, o co wcale nie było łatwo (znowu „Nikt nie woła”). Szalenie cenne były pracownicze przydziały alkoholowe. Nie musiało się kraść, bo i robotnicy je dostawali, i - jak przypuszczam - strażnicy... I w tej fabryce nie tylko doczekałem się pozycji brygadzysty, ale nawet zdobyliśmy „Czerwony Sztandar” dla przodującej brygady, a fabryka pierwsze miejsce w całym Uzbekistanie! Wynika z tego, że byłem najlepszym robotnikiem Uzbekistanu! Starłem się o skierowanie do wojska, lecz fabryka nie chciała mnie zwolnić. Dopiero w maju 1944 roku zdecydowałem się zrobić prawdziwą awanturę w wojenkomacie (komisji uzupełnień). Zacząłem normalnie wrzeszczeć: Ja frontowik! Ja chcę walczyć!

Prawdą jest, że i w II Armii Żydów nie bardzo chcieli, a przynajmniej woleli dozować ich liczbę, bo kiedy Rosjanie byli na froncie, to Żydzi polscy w dużym stopniu uratowali rosyjską gospodarkę. Rosyjskie kobiety i polscy Żydzi. Dość na tym, że wreszcie zacząłem na nich wrzeszczeć i jakiś major pyta mnie, gdzie też na froncie byłem. A ja, że w 12. armii. „A gdzie?” - pyta major. Irmino-Gorłowka. „Ja też tam byłem”, powiada i dodaje: „ustrojcie majewo ziemiaka” (urządźcie mojego krajana). I załatwili. Pojechałem do Sum. A tam przyniosłem od razu wiersz i stałem się sławny! Wiersz grafomański, jak dziś na to patrzę, ale miał zalety estradowe, nadawał się do recytowania. Nagle radykalna zmiana: z głodomora- obdartausa zostaję chwalonym literatem.

Różne rzeczy opowiadają dziś o Świerczewskim, że Rosjanin, że p.o. Polaka... U nas zastępcą dowódcy pułku do spraw politycznych był rozmitowany w teatrze Michał Gruda, który do 1915 roku pracował ze Świerczewskim u Gerlacha w Warszawie. Czasem Świerczewski wpadał do niego i byłem niekiedy świadkiem ich warszawskich rozmów, autentycznej, starej przyjaźni.

CHUDZIŃSKI: I wtedy, w Sumach, wyszła z pana dusza estradowca? Człowieka teatru?

HEN: Jako estradowiec byłem tam potrzebny. I chyba tylko jako taki! Przejąłem z teatru 1. Dywizji postać zabawną, „Felusia oferemę”, dodałem trochę surrealizmu i to chwyciło. Wszyscy sypali się ze śmiechu. Byłem tym „Felusiem oferemą” i wyżywałem się strasznie. Bywały i aluzje mające polityczny posmak, nieco ryzykowne, ale jakoś to przechodziło.

CHUDZIŃSKI: **I występował pan jako aktor?**

HEN: Tak, jako aktor.

KOMOROWSKI: **I znowu miał pan mnóstwo szczęścia, bo u Kościuszkowców miałby Pan większą konkurencję!**

HEN: Oczywiście. Tam był teatr pełną gębą i fantastyczni aktorzy. Byliśmy zresztą zaprzyjaźnieni, a nawet podkradaliśmy sobie to i owo. Skecze, pomysły, teksty... Tam była Rysia Hanin, Bossak, Ford, Ludwik Perski i Leon Pasternak, z którym współpracowałem potem w Lublinie. On był naczelnym redaktorem „Stańczyka”, pisma satyrycznego, które po pięciu numerach Osóbka-Morawski, nie mający poczucia humoru, kazał zamknąć. Pisał Minkiewicz w jakimś wierszyku, że będziemy „nie dbając o osobkę, klucz każdego lekko w pupkę” i że „to jest nasz sztańczyk, na którym gotów paść jest Stańczyk”. I padł

CHUDZIŃSKI: **A potem zanioś Pana aż w okolicie Berlina...**

HEN: Najpierw do Centralnego Domu Żołnierza w Lublinie. Stamtąd do Rzeszowa, do teatru 10. dywizji. Mogę powiedzieć, że byłem jednym z pierwszych polskich żołnierzy w Krakowie, bo z 10. dywizją wkroczyłem do miasta pod koniec stycznia 1945...

Ale wróćmy do naszego teatru dywizyjnego, który był prawdziwym schronieniem dla akowców. Każdy coś tam umiał zaśpiewać, zatańczyć i był to najlepszy sposób dekowania się. Gdzieś w grudniu 1944 zawezwaliśmy mnie do „Informacji” w Rzeszowie, a z „Informacją” zawsze był dylemat – czy ci panowie, Rosjanie, mają występować w polskich mundurach i udawać Polaków, czy w rosyjskich, skoro i tak są „doradcami”. Tym razem byli w sowieckich mundurach i od razu pytają: „Czy wiecie, że tam u was są akowcy?” Odpowiadam: może są, ja tym się specjalnie nie interesuję, ale mogę powiedzieć jedno – póki jestem ich dowódcą, mogę ręczyć za ich lojalność.

„A możecie podpisać takie poręczenie?” – Mogę! I coś podpisałem, ale dziś nie pamiętam nawet, czy tekst był rosyjski, czy polski.

Chłopcy czekali na mnie w świetlicy. Mówię: poręczyłem za waszą lojalność. Kamień spadł im z serca, nikt nie będzie aresztowany. 15 czerwca 1945, już po wojnie, kiedy stacjonowaliśmy w Jeleniej Górze, przeniesiono mnie do Poznania. Następnego dnia Wiesiek Smyk uciekł.

KOMOROWSKI: **I były jakieś konsekwencje?**

HEN: Żadnych. Pojechał do Wrocławia, zapisał się na Politechnikę pod swoim nazwiskiem. Nikt go nie szukał. Ale ta historia miała swoje konsekwencje w Marcu 1968 roku. Jeden z tych chłopaków napisał do mnie z Bystrzycy Kłodzkiej, gdzie był wówczas dyrektorem szpitala gruźliczego. Nie wiedzieli, jak sytuacja w Warszawie się rozwinie, a wyglądało to wszystko nieprzyjemnie i napisał mi, że nie zapomną nigdy tego mojego poręczenia i w razie czego mam u nich schronienie wraz z rodziną. Tak było.

CHUDZIŃSKI: **Po wojnie dalej był Pan związany z wojskiem. Piszą w różnych materiałach, że był pan oficerem politycznym.**

HEN: Fakt! Teatr podlegał wydziałowi politycznemu dywizji, a na froncie przygotowywałem biuletyn bojowy, kronikę dywizji i niektóre egzemplarze mam do dziś.

CHUDZIŃSKI: **A potem znalazł się pan w redakcji „Żołnierza Polskiego”.**

HEN: Wojsko miało środki i na dobry teatr, i na tygodnik, a „Żołnierz Polski” był zwyczajnie sprzedawany w kioskach i nawet konkurował z „Przekrojem”.

RATKOWSKI: **To było ciekawe pismo, sam „Żołnierz” chętnie czytałem jako nastolatek. Zresztą moje pokolenie czuło jeszcze ciśnienie doświadczeń wojny...**

HEN: Pisywał tam Ksawery Pruszyński, Janusz Meissner...

CHUDZIŃSKI: **I Pruszyński napisał wstęp do pana pierwszej książki.**

HEN: Po ukazaniu się kilku odcinków wspomnień przyszedł do redakcji i zaczął mnie komplementować. Mówi, że powinienem zrobić z tego książkę. Zapytałem, czy napisze do niej wstęp, a on od razu się zdeklarował. „Z miłą chęcią” - powiedział i rzeczywiście napisał.

Zresztą historia mojego książkowego debiutu ma swój, niemal anegdotyczny, początek. Doskonale wystartował wówczas „Przekrój” i miałem wielką ochotę coś tam wydrukować, bo to człowieka od razu nobilitowało w środowisku dziennikarsko-literackim. Zaniośłem Eilemu fragment „Oporu”, dość mu się spodobało, ale powiedział, że wolałby coś ze „wschodu”. Wtedy zresztą szaloną karierę zrobiła w „Przekroju” „Szczotka do butów” Koźniewskiego.

Zacząłem pisać ten „Kijów” pod „Przekrój”, taką swobodną stylistyką, ale byłem w wojsku i wiedziałem, że muszę mieć zgodę mojego naczelnego na druk w innym piśmie. Przyniosłem mu więc to co miałem i powiedziałam: Tu mam coś, panie majorze, ale to nie dla pana. A on: „Drukujemy”! I cała kariera przepadła!

CHUDZIŃSKI: **Ale wkrótce rozstał się Pan z wojskiem definitywnie!**

HEN: W 1952 roku. Dostałem jeszcze mieszkanie na Mokotowie.... Chcieli mi dać mieszkanie na Muranowie, ale powiedziałem, że tam, na gruzach getta, nigdy w życiu nie będę mieszkał, bo ciągle będzie mi się zdawało, że słyszę krzyki. Żona była w ciąży. Pisałem wtedy powieść „W dziwnym mieście” i potrzebowałem na to czasu. Wyszedłem już wówczas z „Żołnierza Polskiego” i pracowałem w Domu Wojska Polskiego w nadziei, że zdołam jakoś uładzić się ze swoją poważniejszą twórczością. Poprosiłem o urlop na pisanie, a mój szef, Henio Huber, nie zgodził się. Poszedłem więc do generała Leszka Krzemienia i mówię mu, jak sytuacja wygląda, że w końcu wydałem już książkę, że piszę następną, a tu mi każą robić jakieś audycje dla wojska. Generał powiada na to: „Nie mogę Wam dać urlopu wbrew waszemu dowódcy, ale mogę was zwolnić z wojska”! A ja na to: proszę bardzo!

KOMOROWSKI: **I miał Pan jakąś perspektywę?**

HEN: Tak, wychodziło właśnie w „Naszej Księgarni” coś masowego...

CHUDZIŃSKI: **Zaczyna się apogeum stalinizmu, a Pan pisze książki dla dzieci. Czy to była forma**

ucieczki od socrealizmu? Wtedy Iwaszkiewicz też pisze „Wycieczkę do Sandomierza”...

RATKOWSKI: W tej Iwaszkiewiczowskiej „Wycieczce” jest jednak spora doza „stalinowskiej szpiegomanii”.

HEN: Ja nie czułem się dotknięty przez socrealizm. Były sprawy, które mi odpowiadały – nie w socrealizmie czy stalinizmie, ale w socjalizmie – i pewne rzeczy mogłem pisać z przekonaniem. Ale wiedziałem jedno: że „agitki” to nie jest literatura. To dobrze wiedziałem. Napisałem takie opowiadanie „Smolakowo”, którego akcja toczy się na Ziemiach Zachodnich i od biedy można by do socrealizmu je przypisać. Ale Osmańczyk, który stamtąd pochodził, powiedział mi kiedyś: „Wiesz? Ja to przeżyłem!” Chodziło w tej nowelce o to, że jak to bywało często, żołnierz umówił się z dziewczyną, na jakiejś ulicy, „o szóstej, po wojnie” i nie zjawił się. Bo zginął. Ja też zresztą tak się umawiałem z dziewczyną na pewnej ulicy w Warszawie i kiedy wróciłem, nie było nie tylko dziewczyny, ale i ulicy...

W każdym razie w noweli dziewczyna szuka chłopaka, nazywał się Smolak i znajduje miejscowość „Smolakowo” od nazwiska żołnierza, który tam zginął.. Rzecz była wzruszająca, Wanda Jakubowska się spłakała i wyculi w tym film. I gdyby nie to, że młody Łomnicki powiedział: „Ja tam nie widzę roli dla siebie”, to powstałby ckliwy film. A miał go kręcić Konrad Nałęczki, który potem robił „Czterech pancernych”.

RATKOWSKI: **Ciężko się gra nieboszczyka. A pierwszy pański film?**

HEN: Od mojego debiutu filmowcy zwrócili na mnie uwagę. Nie ja chodziłem do nich, tylko przedwojenni filmowcy się mną zainteresowali. „On pisze jakby do kina”! I nawet coś tam zamawiali, ale nic z tego nie wychodziło, bo ja się po prostu do socrealizmu nie nadawałem!

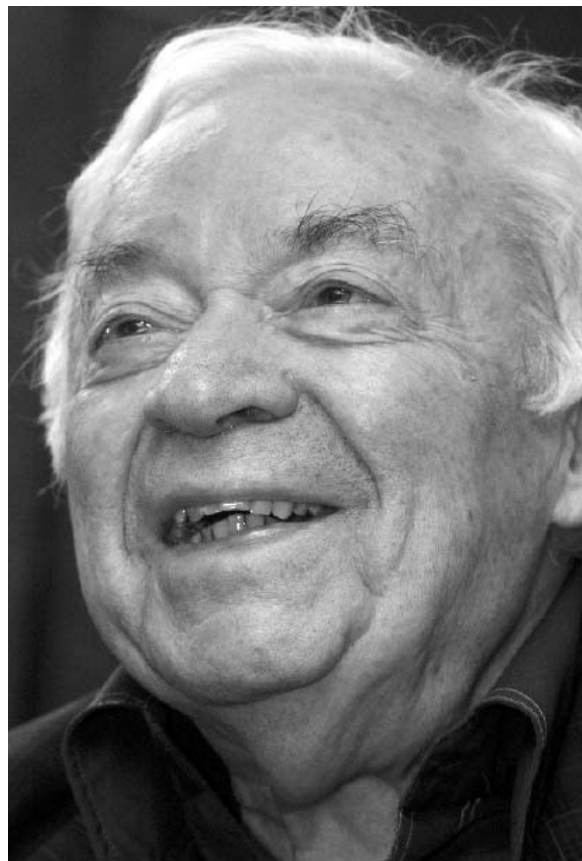
CHUDZIŃSKI: **Teraz nie musi się Pan z tego czasu tłumaczyć!**

HEN: Ludzie związani jakoś z filmem byli na swój sposób uprzywilejowani. A do nich i ja należałem, choć przecież jeszcze nic dla kina nie napisałem. Na Puławskiej, grubo przed Październikiem, pokazywali nam filmy, które nie szły w kinach. Pierwszego Felliniego, jakieś filmy amerykańskie, słowem byliśmy na bieżąco. I „prześladowany” Tyrmand też tam bywał. Nie czytali jeszcze listy dialogowej, tylko na żywo tłumaczył albo Zyzio Kałużyński, albo Krzys Toeplitz, bo oni znali języki. I był tam taki film „The Little Fugitive” („Mały uciekinier”) - o chłopcu, który uciekł z domu...

KOMOROWSKI: **... i zbiera butelki! Oglądałem to także. To się dzieje na Coney Island!**

HEN: I ja mówię do pani Grombowej, od której scenariusze zależały, a która ten film też oglądała: Co by Pani powiedziała, gdybym przyszedł z takim scenariuszem na jedną stronę. Chłopak uciekł z domu i zbiera butelki. A potem jeździ karuzelą, a potem coś tam... „Wyrzuciłabym Pana za drzwi” – przyznała. Bo dla nich wszystko musiało być dokładnie opisane, każdy szczegół.

Ale Słowacy zainteresowali się moim opowiadaniem „Bokser i śmierć” (nakręcili je dopiero w 1963, dostał na festiwalu w San Francisco nagrodę „za humanistyczne treści” czyli za scenariusz) i to zainspirowało Konwickiego i Kawalerowicza. Zaproponowali



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

mi, żebym złożył jakąś propozycję filmową, a oni mi zapłacą. Nawet jeśli nie będą tego kręcić... Ale ja nie lubię brać pieniędzy za darmo, a że podobały mi się te włoskie filmy nowelowe...

CHUDZIŃSKI: **Neorealistyczne?**

HEN: Tak. Zresztą gdyby nie było filmu Rosselliniego, to bym nie wpadł na to. Przyniosłem cztery opowiadania. Trzy z nich nakręcono, bo cztery to by było za dużo i powstał tryptyk. Potem przyjechał Konwicki do Obór z takim bladym chłopczykiem. „To będzie twój reżyser”. I to był Kazimierz Kutz.

CHUDZIŃSKI: **I tak powstał „Krzyż Walecznych”?**

HEN: Tak się urodził „Krzyż Walecznych”, a potem „Nikt nie woła”, a potem „Kwiecień”.

CHUDZIŃSKI: **To wszystko działo się po Październiku. Czym był dla Pana 1956 rok? Czy to była jakaś ważna cezura w pańskiej biografii?**

HEN: Nic podobnego. Ja nie prowadziłem żadnych „nocnych rozmów”, bo to był problem różnych partyjnych oszołomów. Ja nigdy do partii nie należałem i dlatego ominęło mnie wiele stresów. I różne były tego powody, na różnych etapach.

CHUDZIŃSKI: **A w wojsku nie było presji, żeby wstąpić?**

HEN: Była. Ale partia miała swoje problemy. Ja też byłem zdania, że w partii jest za dużo Żydów, potem na wschodzie zaczęto atak na „kosmopolitów”, w gruncie rzeczy antysemicki.

CHUDZIŃSKI: **Nie chciał Pan pogarszać statystyki?**

HEN: Nie chciałem. Ale bardziej przerażała mnie nuda partyjnych zebrań.

RATKOWSKI: **Bo to w istocie była kopia nabożeństwa, nawet ze śpiewami!**

HEN: Dorośli ludzie wstają, coś krzyczą, skandują. Uważałem, że to dziecinada i że jest to obraźliwe dla mnie i dla wszystkich uczestników tego cyrku. Ale pewnego razu sekretarz partii „prasy wojskowej” w stopniu porucznika (dowódcy byli cwani i zawsze na sekretarza wybierali oficerka, który im podlegał) powiada do mnie: „Kapitanie Hen, wyście powinien być w partii, towarzyszka Zatorska podpisze wam rekomendację”. I wręcza mi kwestionariusz. Ja mam przejść tylko kilkanaście metrów korytarzem. Idę, ale mam nadzieję, że coś się jeszcze stanie! Wchodzę, wręczam Zatorskiej kwestionariusz, ona mówi „Kapitanie Hen, cieszę się żeście nareszcie dojrżeli do partii!” A mnie olśniło i wypalam: Ja to widzę inaczej, to partia nareszcie dojrzała do mnie! Na to ona wściekle rzuciła ankietę: „Nie podpiszę!” A ja wyszedłem szczęśliwy.

Tak się złożyło też, że w 1956 roku pojechałem na kilka miesięcy do Moskwy. Posłał mnie Arski ze „Świata” jako znawcę tamtejszych stosunków, dziś powiedzieliśmy - „sowietologa”. I trafiam akurat na to, co Nikita opowiada. Cała polska kolonia dziennikarska: Grzegorz Lasota, Woroszyński, Dziewanowski, Brodzki, przeżywa XX Zjazd KPZR i dosłownie wrze.

RATKOWSKI: **I oni wszyscy przeżywają wstrząs, a Pan nie?**

HEN: Nie. Za to pojechałem sobie do Uzbekistanu. Już nie jako obdartus, ale z nesekerkiem w rękę jako człowiek wolny, dobrze ubrany, ktoś „z Zachodu”. Spotykałem się z dziewczynami z mojej szkoły pedagogicznej, z moim nauczycielem uzbeckiego Gijasowem, który mnie pyta, czy coś jeszcze pamiętam.. A ja mu zaczynałem odmieniać czasownik! Aż się chłop rozplakał...

RATKOWSKI: **I ma Pan ten uzbecki teraz jak znalazł, w wydanych dwa lata temu „Brulionach profesora T”.**

HEN: Tak, nigdy nie wiadomo, co i kiedy się przyda. Ale wkrótce potem, pół roku po wizycie w Moskwie, zostałem zaatakowany przez „Litieraturną Gazietę” za książkę, która właśnie wyszła w Polsce, „Skromny chłopiec w haremie”. Część naszej prasy wzięła mnie w obronę, było jeszcze sporo wolności popaździernikowej. A sprawa ma swoją nieoczekiwaną pointę po półwieczu. Jestem oto niedawno temu w Moskwie, na wydziale slawistyki. Mówię, że teraz jestem pisarzem w Rosji nieznanym, ale przecież nie zawsze tak było, bo gdy zaatakowała mnie „Litieraturnaja Gazietka”, to nagle zrobiłem się w ZSRR popularny. I siedzi tam, w prezydium, członek władz jednego ze stowarzyszeń pisarzy i kiedy kończę, on wstaje, chwali moje opowiadania i mówi tak: „Pięćdziesiąt lat temu, jak byłem młody, napisałem artykuł, którego do dziś się wstydzę. To ja zaatakowałem pana Hena. Ja przyszedł siuda, szto by publicznie pakajatsia (przyszedłem, żeby się publicznie pokajać), choć przecież mogłem przeprosić pana Hena w cztery oczy. Ale skoro atakowałem publicznie, to i publicznie przepraszam!” Ucisnąłem mu rękę i dodałem: stoilo dólgo żyt’ (warto było żyć długo)!

Dla mnie w 1956 roku nie było przełomu. Ja o zbrodniach stalinowskich wiedziałem wiele, choć nie wszystko, bo Nikita powiedział to ze szczegółami.

Jednak miałem też do tego sporo dystansu! Pamiętam, jak tuż przed przemianami październikowymi zadzwoniła do mnie w nocy zmarła niedawno Monika Warneńska. „Słuchaj, podobno jesteś na liście, mają cię aresztować!” A ja się tym w ogóle nie przejąłem. Widziałem już w życiu sporo.

CHUDZIŃSKI: **Napatrzył się Pan na różne rzeczy.**

HEN: Napatrzyłem się, ale i przed wojną nasłuchiwałem. Klóćliśmy się nawet o to z bratem. No bo jak Bucharin czy Rykow, człowiek który był premierem, mógł być szpiegiem japońskim? Brat był w KZMP, mieliśmy w domu nawet jakąś rewizję, znaleziono w tapczanie broszury i policjant powiedział do ojca, żeby wytoił skórę synowi...

CHUDZIŃSKI: **I co się stało z bratem?**

HEN: Uciekł do ZSRR i ostatecznie trafił do łagru. Miał problem z dziewczyną, za którą pojechał, a która wyszła za jakiegoś inżyniera, „bo z inżynierem zawsze więcej się tego socjalizmu zbuduje” (jak zauważyłem w „Nowolipiu”). Brat przestał pracować, czymś handlował, a kiedy przyszli po moją siostrę na wywózkę, to i jego zgarnęli. Był w łagrze w Rybińsku i dopiero tuż przed najazdem niemieckim na ZSRR pozwolili mu korespondować z rodziną. Wiedzieliśmy, że był oskarżony o to, że nielegalnie przekroczył granicę niemiecko-radziecką. Porozumieliśmy się z jakimś adwokatem w Równem, który uważał, że można go wybronić na zasadzie, że niczego nie przekraczał tylko zmiana granicy go zastała...

RATKOWSKI: **To oni przekroczyli granicę!**

HEN: I to nielegalnie. Ale z chwilą najazdu niemieckiego obóz został rozwiązany, wiem, że więźniów wypuścili, ale co się dalej z nim stało - nie wiem. Gdyby przeżył, byłby pewnie w I Dywizji, gdzie byli jego koledzy: Julek Konar i jego dwaj bracia; jeden z nich został po wojnie w wojsku, nawet potem był chyba dowódcą dywizji...

CHUDZIŃSKI: **Wróćmy jednak do filmu. Rozmawialiśmy kiedyś z Kutzem, pod koniec PRL-u, także o Panu, o „Krzyżu Walecznych” i o „Nikt nie woła”. A z tym drugim filmem były problemy. Publiczność nie dopisała, krytyka go skopała, a teraz, po latach, zaczyna się mówić, że to jest jeden z najbardziej nowatorskich polskich filmów...**

HEN: W warstwie wizualnej, montażowej...

KOMOROWSKI: **W stylu Antonioniego!**

HEN: Jeśli chodzi o „Krzyż Walecznych” to nie mam pretensji, chociaż oni tam zrobili pewne zmiany, moim zdaniem raczej nieudane (w noweli pierwszej, w której grał Turek). Ale o to nie będziemy się wyklócać. Natomiast gdy chodzi o „Nikt nie woła”, to przeczytali w maszynopisie niecenzuralną powieść, byli zachwyceni tą romantyczną historią z części drugiej, ale trzeba było przenieść akcję do Polski. I przeniósłem na Ziemię Odzyskaną, bo chodziło o to, żeby ci młodzi ludzie byli oderwani od swoich rodzin i od swoich środowisk, tak jak ja w Samarkandzie, i wtedy sprawa miała psychologiczne prawdopodobieństwo. Scenariusz był realistyczny, a film się zrobił wizyjny. Moim zdaniem jest bardzo manieryczny. Nie dotyczy to dziewczyny, ona jest sobą, a grała ją Zosia Marcinkowska, tragicznie zmarła aktorka Starego Teatru z Krakowa. Te wizje to podobno pomysły Wójcika, świetnego operatora. Kutz

miał powiedzieć do niego: „Trzeba tak zrobić, żeby Józek nie poznał swojego scenariusza”.

KOMOROWSKI: I udało się!

HEN: Udało! A dlaczego? Bo po „Krzyżu Walecznych” dużo pisano o opowiadaniach.

CHUDZIŃSKI: A nie o Kutzu?

HEN: O Kutzu też. Dostał przecież „Syrenkę” za najlepszy film roku jako debiutant! I zaczęła się jego kariera. Ale np. Toeplitz pisał, że historia o psie jest arcydziełem literackim. Jackiewicz też...

KOMOROWSKI: No i jest pan wziętym pisarzem, twórcą filmów i szuka Pan kontaktu z paryską „Kulturą”... Jest list Wata do Giedroycia, że mógłby Pan napisać opowiadanie o batalionach pracy w czasie wojny. To list z 60. roku.

HEN: Nie szukałem kontaktów. Moja współpraca z paryską „Kulturą” zaczęła się po Marcu 1968. Myśmy się z Watem dobrze znali, często rozmawialiśmy w Oborach, może on mnie polecał. Ale ja o tym nie wiedziałem. Dopiero jak wyszła korespondencja Zygmunta Hertza z Miłoszem, to ja się dowiedziałem, że Hertz poświęcił jedno zdanie powieści „Kwiecień”: „Hen napisał dobrą i uczciwą książkę”. Napisanie w paryskiej „Kulturze”, że książka o Ludowym Wojsku Polskim jest „uczciwa”, to był wielki komplement.

RATKOWSKI: A więc był Pan patriotą PRL-u? Tak jak wielu?

HEN: Słowo „patriota PRL” się do mnie nie odnosi - dystans zapewnił mi pobyt w batalionie pracy. Aby być ścisłym powiem, że od Października 1956 do roku 1964 ja się czułem dobrze w PRL-u. Wiedziałem, że nie mogę wydrukować „Nikt nie woła”, ale to są sprawy polityki zagranicznej i stosunku do Związku Radzieckiego. W końcu jednak pisałem to, co chciałem i tak jak chciałem. Mówiliśmy o tej literaturze eskapistycznej dla dzieci. Był jeszcze jeden temat niby eskapistyczny – sport! Ja w 1953 roku pisałem felietony sportowe.

KOMOROWSKI: W „Świecie”!

HEN: W „Świecie”. Felietony, które tak się różniły stylem i nastawieniem od zwykłych tego typu wypracowań w gazetach, że miałem mnóstwo komplementów. Nawet od Broniewskiego, choć jego komplementy mnie zdenerwowały. Bo proszę sobie wyobrazić, że napisałem kiedyś opowiadanie, którego bohater mamrocze w malarii wiersz Broniewskiego. Na to on w ogóle nie zwrócił uwagi, za to komplementował moje felietony sportowe.

RATKOWSKI: A jest Pan dalej kibicem?

HEN: Chyba nie. Ale może tenisa i gdy gra Real Madryt...

RATKOWSKI: Siedzi w panu ten tenis z dzieciństwa? Z pierwszej próby powieściowej...

HEN: Kiedyś dzwonił do mnie Kwaśniewski z komplementami za „Dziennik na nowy wiek” i dodał: „I jeszcze jedno nas łączy, bo i pan, i ja lubimy Pete’a Samprasa”.

CHUDZIŃSKI: Po rozstaniu z „Żołnierzem Polskim” wiąże się Pan ze „Światem”.

HEN: I trwało to do 1968 roku.

KOMOROWSKI: Myśmy zresztą ten tygodnik odbierali jako konkurencję dla „Przekroju”.

HEN: Arski chciał raczej zrobić polski „Life”. Powstała wówczas polska szkoła fotografii reportażowej.

CHUDZIŃSKI: Czarno-biała fotografia, na bardzo wysokim poziomie artystycznym, w ogromnym formacie.

HEN: Były tam fenomenalne osobowości: Dziewanowski, Marian Brandys kierował działem reportażu, był Lucjan Wolanowski, Wiesław Górnicki, świetne pióra. No i tam stale był Lec oraz mój felieton, który zresztą w pewnej chwili urwałem. Zaoferowali mi wyższą stawkę, pytali dlaczego nie chcę. Ale ja już byłem inny. Już mnie to nie interesowało.

CHUDZIŃSKI: I przychodzi rok 1968, data, która Pana dotknęła.

HEN: Dla mnie te procesy zaczęły się wcześniej. Nieprzyjemna atmosfera narastała już od 1964 roku. W 1963 byłem w Izraelu i miałem umowę z Iskrami na książkę o tej tematyce. To miało być coś wyważonego, coś jak „Skromny chłopiec w haremie”, bo tam były i blaski, i cienie, walka z malarią, walka o wodę... Gdy wróciłem, to Wittlin, naczelny Iskier, powiedział: „Mowy nie ma”. Już mi wtedy mówił profesor Fiszel, ekonomista, autor podręcznika ekonometrii tłumaczonego na wiele języków: „Chodzą do zakładów i wypytują, kto jest Żydem”. Gdy kadrowy instytutu powiedział, że go to nie interesuje, to dowiedział się, że „brak mu czujności”.

RATKOWSKI: Czy Pana zdaniem były to sugestie płynące z Moskwy, czy działalność naszego Moczara?

HEN: Rosjanie starali się trzymać od tego z daleka. Przecież Moczar nie zrobił wielkiej kariery. Kiedy pytałem Stefana Staszewskiego, dlaczego Rosjanie Moczara w końcu nie poparli, powiedział, że oni boją się chuliganów politycznych. A Moczar był nieprzewidywalny, choć przecież od zawsze ich agent.

CHUDZIŃSKI: W marcu 68 wszystko zaczyna się kotłować wokół warszawskiego Oddziału ZLP, którego jest Pan wiceprezesem.

HEN: Ja zacząłem mieć kłopoty już wcześniej, z powodu tego nauczyciela...

CHUDZIŃSKI: No właśnie. Czy nigdy Panu nie przyszło do głowy wyjechać z Polski? Były przecież trzy fale wyjazdów ludzi żydowskiego pochodzenia. Zaraz po wojnie, potem lata 1956–57 i 1968.

HEN: W 1957 roku wyjechały z Polski moja matka i siostra. Przetrwały getto i... wyjechały. Zdecydowały o tym głównie kłopoty męża siostry, który był mocno partyjny, ale został z fałszywego oskarżenia aresztowany. Potem go wypuszczono, ale on swojego uwięzienia nie mógł partii wybaczyć. W Tel-Awivie został jednym z założycieli i kwestorem uniwersytetu. Ja natomiast na zaproszenie kuzyna wyjechałem w 1969 na pół roku do Paryża, miałem już wydrukowany „Western” w „Kulturze” paryskiej, pod pseudonimem oczywiście. Nie wyjechałem z Polski na zawsze, bo wiedziałem, że pisarzem mogę być tylko tutaj. No i żona nie popierała takiego pomysłu. To bardzo ważne, bo o wyjazdach decydowała często żona. Wygodzki wyjechał i mam go na sumieniu trochę, bo gdy pytał co robić, to powiedziałem: wyjedź! Miał zdaje się nawet do mnie żal o to. Tam się nie odnalazł, publikował jakieś felietony, które tłumaczyli mu na hebrajski, wydał napisaną jeszcze w Polsce powieść „Zatrzymany do wyjaśnienia”... A przecież to człowiek, który przed wojną osiem lat siedział w więzieniach, komunista.

I on mnie przekonywał kiedyś w swoim radiowym biurze, że jest tyle pozytywów, że ludzie wstępują do spółdzielni produkcyjnych, a ja sobie myślałem: złudzenia... Choć dla mnie życie kolektywne wydaje się dość naturalne i wyobrażam sobie, że mógłbym żyć bez pieniędzy tak jak w izraelskim kibucu. Byłem więc za kolektywem, ale przeciw kolektywizacji. Szczególnie przymusowej.

CHUDZIŃSKI: A najważniejsze przeżycie „marcowe”?

HEN: To chyba zebranie literatów, kiedy Jasienica pokazał taki wierszyk antysemicki i antimickiewiczowski, z którego wynikało, że tylko Żydzi kochają tego antyradzieckiego łajdaka, Mickiewicza.

KOMOROWSKI: Ale w swojej twórczości patrzy Pan na wydarzenia, także wydarzenia Marca '68, z perspektywy polskiej, jak choćby w „Oku Dajana”. Ci, którzy u Pana przez Marzec cierpią, to Polacy.

HEN: No nie tylko oni, w „Bliźniaku” jest to Żyd, ale były komunista. Interesowali mnie ludzie, którzy przeżywali dramat. W „Oku Dajana” pierwowzorem był Andrzej Miłosz, brat Czesława, w „Westernie” jakiś nauczyciel Polak, zresztą postać autentyczna, który nawet nie protestował, tylko wstrzymał się od głosu i to wystarczyło, by go wyrzucili. Wtedy, na fali Marca, wydrukowałem pierwsze rzeczy w „Kulturze” i pamiętam, jak w Oborach pewna młoda pani pokazuje mi świeżo wydany numer z moim opowiadaniem i pyta, czy czytałem i co o tym sądzę? Powiedziałem, że czytałem i rzuciłem lekceważąco: „Ja bym to napisał lepiej”!

KOMOROWSKI: Wygląda na to, że jest pan przeciwnikiem mistyfikowania dialogu polsko-żydowskiego?

HEN: Bo ja jestem profesjonalista. Jakiś czas temu chciał wszystkie te trzy opowiadania kręcić zmarły niedawno Łazarkiewicz, szwagier Agnieszki Holland. Rozmawialiśmy o tym także z Mirkiem Chojeckim i oni zwracali uwagę, jakie to moje patrzenie na Marzec wydaje się świeże... A w takich sytuacjach bardzo ciągnie do agitki. Ale ja już raz sobie powiedziałem, że agitek nie będę robił - piszę utwór literacki!

CHUDZIŃSKI: Ale wróćmy do tego zebrania literatów...

HEN: No i na tym zebraniu Putrament zaczął krzyczeć, że Jasienica szkaluje, że partia walczy z antysemityzmem... Poniosło mnie wtedy i wykrzyknąłem, że to nieprawda, że partia nie walczy z antysemityzmem. On na to „Kolego Hen! Mylicie się”. A ja na to: może walczy, ale przegrywa walkowerem! Potem podchodzi do mnie Alojzy Sroga i przekonuje mnie, że się myślę, więc powiedziałem mu: chętnie to przyznam, niech pan napisze artykuł przeciw antysemityzmowi i zamieści w „Trybunie Ludu”. Kiwnął głową. W kilka dni później ukazał się w „Trybunie” tekst atakujący Wygodzkiego i „syjonistów”. Jego autorem był... Alojzy Sroga.

RATKOWSKI: Oficjalnie antysemityzmu rzekomo nie było! Był tylko „antysyjonizm”.

HEN: Cała sprawa zaczęła się 19 czerwca 1967 roku na Kongresie Związków Zawodowych, gdy Gomułka mówił o „piątej kolumnie”. Ja tę sytuację odczułem wręcz fizycznie. Dostawałem zawrotów głowy, co trwało kilka miesięcy i syn musiał mnie przeprowadzać przez zebra.

CHUDZIŃSKI: Czy pękły wtedy jakieś przyjaźnie?

HEN: Przyjaźnie? Nie. Zawiodłem się na kilku osobach, z którymi miałem sympatyczne stosunki, ale przyjaźnie przetrwały. A niektóre osoby pokazały wtedy klasę, jak Witold Lesiewicz, reżyser „Kwietnia”. Chcieli mu dać zespół filmowy, ale on powiedział, że „mienią żydowski” nie bierze! Po prostu byli przyzwyczajeni do ludzi.

CHUDZIŃSKI: Mówił Pan, że żona była zawsze przeciwko emigracji...

HEN: Ja sobie w takich sytuacjach myślałem, bo powtórzyło się to w 1989 roku, że chętnie wyjechałbym gdzieś na dwa – trzy lata. Żeby odpocząć. W 1969 r. dostałem zaproszenie od kuzyna, który mieszkał we Francji. Złożyłem podanie, ale po limitowanym terminie, aby władze wiedziały, że nie zmuszą mnie do emigracji. I dalej było to, co opisałem w „Brulionach profesora T.”. Ubek w biurze paszportowym zaproponował mi współpracę...

RATKOWSKI: Jak każdemu!

HEN: Jak każdemu, więc spodziewałem się tego. Wyciągnąłem legitymację Związku Literatów Polskich i mówię, że chcę robić tylko to, co z tej legitymacji wynika, czyli być pisarzem. I jak ten ubek powiedział: „Panie Józiu, to pan nie wyjedzie”, odpowiedziałem, że wcale nie muszę wyjeżdżać, bo w Warszawie na Alejach Ujazdowskich, między Placem Zamkowym a Belwederem, można spędzić przyjemnie całe życie. Kiedy czuli, że ktoś strasznie chce wyjechać, to naciskali. I ludzie, którzy chcieli się kształcić za granicą, pisali sprawozdania. Wielu tego nie ukrywa, jak Cimoszewicz czy choćby Olechowski, który wręcz współpracował z wywiadem - ale gospodarczym. A ja nie musiałem. Szło o to, żeby wyjechać ze stolicy Wieszenskiej, a jak zaczął wyjeżdżać, to źle skończył. Ostatecznie dali mi paszport i oczywiście nie zdecydowałem się zostać za granicą, choć Giedroyc starał się dla mnie o jakąś profesurę w stanie Indiana, ale coś tam nie wyszło, bo emigracja miała mnie zatwierdzać...

RATKOWSKI: Czerwonego? Czerwonego!

HEN: Miałem inną propozycję, posady u Renaulta. Chodziło o udział w negocjacjach handlowych z Rosjanami i trzeba było dobrze znać oba języki. Musiałbym się tylko nauczyć pewnych technicznych określeń.

KOMOROWSKI: To byłoby niezłe pieniądze!

HEN: Niezłe, ale nienadzwyczajne.

CHUDZIŃSKI: Ale pan został pisarzem, mając te 9 czy 11 lat!

HEN: Juliard robił wtedy z Państwowym Instytutem Wydawniczym wspólną wystawę w Paryżu i dowiedziałem się, że „Mgiełka” poszła do składu. Moja książka! Co na to powie cenzura jeszcze nie było wiadomo, a bezpieka beczelnie dawała im fałszywe informacje...

CHUDZIŃSKI: Ale po doświadczeniu marcowym, w „dekadzie Gierka”, Pan się szybko odnalazł? Został Pan nawet prezesem warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

HEN: Nie tak szybko. Do roku 1976 byłem na czarnej liście. I w ten sposób zbliżamy się do Montaigne’a. Uchodziłem wtedy za człowieka, który jest sam-swoj.

CHUDZIŃSKI: Jak to się dziś mówi: poza układami.

HEN: Oczywiście, partia nie chciała mnie, nie byłem nawet delegatem na zjazd katowicki w 1978 roku



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

i nagle dzwoni do mnie Loranc, wiceminister kultury, że chce ze mną pogadać. Okazało się, że władze chciały nawiązać jakiś kontakt z opozycją. Wychodził już „Zapis” i miał bardzo silną pozycję, więc potrzebny był ktoś, kto umiałby rozmawiać z tamtym środowiskiem.

KOMOROWSKI: Dokładnie jak Montaigne.

HEN: Jak Montaigne, który nie był ani u katolików, ani u protestantów. Ja to zresztą napisałem, że czasem są bardzo potrzebne osoby niezaangażowane. Inna rzecz, że zdarza się to rzadko, a w efekcie osoba taka dostaje po kulach i od jednych, i od drugich.

CHUDZIŃSKI: Jak się nie uda!

RATKOWSKI: A jak się uda, to jeszcze bardziej...

HEN: Powiedziałem, że ostatecznie mogę być wiceprezesem, ale pod warunkiem, że Wanda Żółkiewska będzie prezesem, czyli że odnowimy skład „marcowy”. A ona powiedziała to samo, że może być prezesem, jeśli ja będę wice.

CHUDZIŃSKI: Czy ta strategia pozostawania „poza układami” dalej okazała się skuteczna?

HEN: Moje decyzje często determinowało pochodzenie. Nie chciałem, żeby pan Łukaszewicz mówił, że „syjoniści inspirowali protesty”. A takich argumentów nie raz już używano, choćby wtedy, kiedy podpisaliśmy list przeciw zmianom w konstytucji. Michał Sprusiński opowiadał mi, że Łukaszewicz na jakimś spotkaniu czytał listę podpisanych i przy moim nazwisku wręcz wrzeszczał, że to wszystko robią „syjoniści”! I wtedy postanowiłem, że więcej tej przyjemności im nie zrobię. Sądziłem, że takie nazwiska jak Dojczgewand czy Blumsztajn zobowiązują jednak do pewnej powściągliwości.

RATKOWSKI: Dla mnie istotniejsze, że to były dzieci komunistów, które na serio brały ideologię rodziców i widziały, jak daleko rozeszła się teoria z praktyką. W końcu Marta Fikówna, znacząca postać intelektualnego zaplecza Solidarności, to też córka komunisty i bez żadnych żydowskich korzeni!

HEN: Ale kardynał Wyszyński już w listopadzie 1980 roku powiedział, że trzeba, by „Solidarność była bardziej polska”! Tak powiedział. Namawiał też do zaprzestania strajków, tuż przed podpisaniem Porozumień Gdańskich. I to był główny motyw, dla którego nie zaangażowałem się w Solidarność.

CHUDZIŃSKI: Ale jako prezes największego oddziału ZLP nie mógł Pan uciekać od pewnych obowiązków...

HEN: Coś tam organizowałem, np. wieczór Miłozna - i to pod jego nieobecność, przed Noblem!

CHUDZIŃSKI: I dotrwał Pan na tym stanowisku do stanu wojennego?

HEN: Tak. Zresztą w stanie wojennym, kiedy związek został zawieszony, koledzy nadal mnie uważali za prezesa i koordynowałem działalność charytatywną...

CHUDZIŃSKI: Ale do drugiego obiegu Pan nie schodzi?

HEN: A z czym ja mógłbym zejść do drugiego obiegu? Witek Woroszyński, który zaczął wydawać „Zapis”, zaproponował mi druk „Nikt nie woła”, bo on to znał z maszynopisu. Ale za kilka miesięcy miał się ukazać „Montaigne”. Wydasz mi i to? – zapytałem. Inna rzecz, jak dzisiaj na to patrzę, należało wydać „Nikt nie woła” w drugim obiegu, a z „Montaigne’em” poczekać, aż się uda oficjalnie. Byłyby szybko tłumaczenia zagraniczne, kariera. Na Zachodzie wydawano nawet kiepska literaturę.

CHUDZIŃSKI: Francuzi przełożyliby „Montaigne’a”?

HEN: Niekoniecznie. Nie przekładają „Montaigne’a”, bo z niego żyją. Byłem zaproszony na Sorbonę jako „grand spécialiste de Montaigne”. Na spotkanie autorskie przyszło siedemdziesiąt parę osób, a prowadziły je dwie panie, z których jedna kilka tygodni wcześniej wydała książkę o Montaigne’u. I ona miałaby popierać tłumaczenie książki konkurenta z Polski?

RATKOWSKI: Z jej punktu widzenia to kłusownictwo! Przyjeżdża taki z Polski i zabiera się za naszego filozofa!

HEN: Wydali „Apolinaire’a” Julii Hartwig, przy jej ogromnych znajomościach, a i to trochę trwało. A swoją drogą to świetna książka.

RATKOWSKI: Ale „Montaigne” to tylko jedna z pańskich wielkich biografii...

HEN: To bardzo bliskie mi książki. I bardzo bliskie postaci. Boy towarzyszył mi od 14 roku życia i pamiętam swoją reakcję, kiedy dowiedziałem się z artykułu Wandy Wasilewskiej w jakiejś rosyjskiej wojskowej gazecie, że został zamordowany. Byłem wtedy w Armii Czerwonej, byłem żołnierzem, a rozplakałem się jak dziecko. Otoczyli mnie koledzy żołnierze, twarde chłopcy, bo kozacy dońscy i pytają co się stało? Zdziwili się trochę, że tak się przejąłem... Pierwotnie zamierzałem napisać książkę „Montaigne i jego tłumacz”, ale potem rzecz się potoczyła inaczej. Ostatecznie do książki o Boyu namówił mnie Wiesław Uchański... Mówiłem

mu, że ma już książkę Winklowej „Nad Wisłą i nad Sekwaną”, ale on na to, że to będzie przecież inna książka. I tak się stało. Cieszę się, że p. Winklowa powiedziała mi przy jakiejś okazji, iż jest nią oczarowana, a takie komplementy od konkurencji zdarzają się rzadko!

KOMOROWSKI: Przy okazji stworzył pan nową poetykę biografii w formie bardzo osobistej „rozmowy z bohaterem”.

HEN: Nie powiem, że to świadomy zamysł pisarski. Ja tak piszę i koniec.

CHUDZIŃSKI: Ale jest kilka klasycznych modeli biografii. Pana nie ciągnie w stronę wie romancée?

HEN: Coś w tym rodzaju robi André Maurois, pisząc „Olimpio czyli życie Wiktora Hugo” czy książkę „Lelia” o George Sand.

CHUDZIŃSKI: Ale gdy czyta się pańskie książki, to jest Pan jakby w stałym dialogu ze swoimi bohaterami.

HEN: Obie te książki, i ta o Boyu, i ta o królu Stanisławie, zebrały podobne opinie. Pewien dorosły mężczyzna powiedział mi: „ja się z Panem w sprawie oceny Stanisława Augusta nie zgadzam, ale po skończeniu książki się rozplakałem”. Chodziło mi o to, żeby wejść w postać, zrozumieć ją, podzielić niejako jej los... A reszta jest w piórze.

RATKOWSKI: Pozostaje jeszcze sprawa wyboru. Wszystkie trzy postacie to intelektualiści. Żaden z nich nie był Kościuszką...

HEN: Mam niekiedy poczucie, z pewną pychą, że coś podarowałem polskiej inteligencji. Tak. Namawiali mnie, żebym napisał o księciu Józefie, ale i Kościuszko, i książkę Józef stoją na pomnikach, natomiast król Staś i Boy są szkalowani, a przecież zrobili bardzo dużo dla Polski.

RATKOWSKI: Ale w zupełnie innej sferze niż „militarna”. Nie biegali z szablą, tylko budowali świadomość narodową.

HEN: Polska inteligencja kształtowała się w znacznej mierze dzięki Boyowi, a i bez Komisji Edukacji Narodowej i wszystkiego tego, co Stanisław August zrobił, nie byłoby dziś tego narodu!

CHUDZIŃSKI: Zaborów być może nie przetrwalibyśmy. To okres Oświecenia stworzył fundamenty dla przetrwania.

HEN: W „Wiadomościach Literackich”, w ankiecie opublikowanej jesienią 1938 roku, sporo uczestników zwracało na to uwagę.

RATKOWSKI: I z narodu szlacheckiego wykształcił się naród polski. A to trochę co innego!

HEN: Stanisław August robił to świadomie. Wiedział, że Polska musi mieć elity, kilkadziesiąt tysięcy osób o jasnych umysłach! Zauważył, że młodzież szlachecka jest przygotowana do tego.

CHUDZIŃSKI: A było to ostatnie dzwonicie.

HEN: Ale król miał program, pochodzący zresztą od jego ojca, o czym mało się wie. Jedną z największych niespodzianek dla czytelników tej książki jest postać Poniatowskiego ojca, który był osobowością ogromnie interesującą. Był nawet zaprzyjaźniony z Karolem XII.

CHUDZIŃSKI: Król Staś i Boy są nam bliscy i wiemy o nich sporo, ale gdy się czyta „Montaigne’a”, to uderza pańska kompetencja erudycji-

na. Na każdej stronie jest tyle przypisów, odsyłaczy do źródeł, że aż nie do wiary. Ile ta książka zajęła Panu czasu?

HEN: Robiłem też w międzyczasie coś innego. Ale od pomysłu do wykonania minęło siedem lat, choć samo pisanie trwało krótko. Natomiast rzeczywiście pracochłonne było zbieranie materiałów. Najważniejsza rzecz to przygotowanie notatek z samych „Prób” Montaigne’a....

RATKOWSKI: Pojęcie „esej”, tak zadomowione w kulturze, też pochodzi od tego tytułu.

HEN: Podzieliłem notatki na tematy: stosunek do edukacji, seks, starość, próżność, itp. Wiedziałem, że tu ma przyjść jakiś cytat, na który się trzeba powołać, więc pisząc zostawiałem na to miejsce, nauczyłem się pisać z dużym marginesem. No i przepisałem sam! Pytali mnie ludzie: „kto ci przepisuje na maszynie?” Odpowiadam: ja sam, bo prawdziwa redakcja następuje dopiero w tym momencie.

RATKOWSKI: I dalej pan pisze na maszynie? Czy już na komputerze?

HEN: Maszyna stoi, nie mogę się z nią rozstać, ale „Dziennik na nowy wiek” już przepisałem na komputerze. Mam laptopa.

CHUDZIŃSKI: Nie będziemy już o „Dziennik” pytać, bo można go sobie kupić, a pański punkt widzenia na współczesność każdy może tam znaleźć. Natomiast na zakończenie naszej rozmowy chciałbym o jeszcze jedną rzecz zapytać. Oto w książce o Boyu pisze pan, że życiu jej bohatera, człowieka urodzonego w 1874 roku, towarzyszą szalone zmiany. Zmienia się komunikacja, pojawia się radio, kino, nie jest mu oszczędzony kataklizm 1939 roku... I tak sobie pomyślałem, że Pan, urodzony w początkach niepodległej Polski, doczekał laptopa. Pan również w ciągu swego życia przeżył przemiany o niezwykłej głębi i sile. Czy miał pan poczucie, że to was obu łączy?

HEN: Pisząc o Boyu zastanawiałem się nad moim bohaterem, a nie nad sobą, ale być może jest coś na rzeczy. Bo jest przecież sprawa Nowolipia, kawałka Warszawy, w której jeszcze Prus by się dobrze czuł. Pamiętam gazowe latarnie, Prus znał już telefon i był jednym z pierwszych, którzy pisali na maszynie. Warszawa Prusa była mi bliska i jest do dziś, a co do laptopa... Buntowałem się, ale dzieci mnie zmusiły.

RATKOWSKI: A czy w dzisiejszej Warszawie zostało coś z tej starej, którą Pan pamięta?

HEN: Nie. Chyba niewiele. Nawet jak przejeżdżam koło Ogrodu Saskiego, w którym spędziłem dzieciństwo, to nie chcę tam nawet zaglądać.

CHUDZIŃSKI: Dziękujemy za rozmowę, a właściwie za tę niezwykłą opowieść o życiu, które było Pana udziałem.

ROZMAWIALI:
EDWARD CHUDZIŃSKI
ADAM KOMOROWSKI
FILIP RATKOWSKI

Kraków, 21 kwietnia 2010 r.

MICHAŁ ŚLIWA

SAMORZĄDNA RZECZPOSPOLITA - OSTATNIA UTOPIA DWUDZIESTEGO WIEKU?

Wielki ruch społeczny „Solidarność” powstawał i rozwijał się pod hasłami rewindykacji praw i wolności obywatelskich. Toteż wiadomo było, iż będzie nadawał wartościom demokracji rozumianej w sensie aksjologicznym i prawno-ustrojowym pierwszorzędne znaczenie, przeciwstawne i alternatywne wobec praktyki społecznej i ustrojowej realnego socjalizmu, określanej przez rządzących eufemistycznie mianem systemu demokracji socjalistycznej. Według bowiem ówczesnych władz państwowych i partyjnych (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), istota demokracji socjalistycznej miała się wyrażać w zapewnieniu pełnego uczestnictwa „ludziom pracy” w rządzeniu krajem oraz w świadomym podejmowaniu i realizowaniu zadań społeczno-gospodarczych. Zgodnie z wyznawanym założeniem doktryny komunistycznej o klasowym uwarunkowaniu, miała ona stanowić najlepszą formę urzeczywistnienia zasady ludowładztwa i wykazywać zdecydowaną przewagę nad demokracją burżuazyjną, będącą zawsze dyktaturą mniejszości (klas posiadających) nad większością (klasami pracującymi).

Chociaż, jak już coraz częściej wówczas zauważano, istniejące instytucje reprezentacji politycznej z parlamentaryzmem na czele stwarzają tym drugim grupom społecznym możliwość oddziaływania na politykę państwa, w stopniu jednak niewielkim ze względu na uwarunkowania przez niesprawiedliwe stosunki społeczno-ekonomiczne i polityczne powszechnej nierówności w społeczeństwie. W konsekwencji nie dają realnych szans zmiany położenia owym warstwom pracującym. Dlatego nie jest celowe i uzasadnione korzystanie z doświadczeń demokracji burżuazyjnej i przejmowanie jej wzorów i rozwiązań do demokracji socjalistycznej jako jedynie prawdziwej i autentycznej, urzeczywistniającej w pełni zasadę ludowładztwa – ludu pracującego miast i wsi. Jest to tym bardziej nieprzydatne, ponieważ funkcjonowanie demokracji burżuazyjnej charakterystyczne jest dla społeczeństw kapitalistycznych, przenikniętych silnymi sprzecznościami i konfliktami klasowymi, gdy tymczasem społeczeństwo socjalistyczne od tych antagonizmów jest wolne, wykazując trwałą jedność moralno-polityczną.

Jednakże pod wpływem budzącego się solidarnościowego ruchu wolnościowego władze komunistyczne coraz wyraźniej dostrzegały, iż lansowany przez nie model rzekomej demokracji socjalistycznej nie spełnia oczekiwań społecznych i nie zapewnia rozwiązywania istniejących jednak w społeczeństwie socjalistycznym sprzeczności i konfliktów społecznych. Dlatego wyrażano opinię, iż sama idea demokracji socjalistycznej jest właściwa i dobra, natomiast zła i zawodna była praktyka jej realizacji, co doprowadziło do alienacji władzy, jej delegitymizacji i konfliktów społecznych. W tej sytuacji należy wzmacniać proces demokratyzacji stosunków władzy i rozwijać demokrację socjalistyczną, by uniknąć już w przyszłości powtarzających się błędów i wypaczeń w systemie rządzenia. W kilka dni po podpisaniu porozumień gdańskich (31 VIII 1981) I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, Stanisław Kania, dokonując próby rozrachunku z przedsierniową praktyką rządów komunistycznych, wyraził zdanie, że „demokracja nie jest gestem władzy wobec społeczeństwa, lecz wielką i rosnącą potrzebą socjalizmu”¹. Rozwój wydarzeń potwierdził jednak, iż deklaracja ta, mająca przede wszystkim werbalny charakter, rozmiękała się z oczekiwaniami społecznymi.

Wszak już podczas strajków sierpniowych ujawniło się z wielką siłą dążenie społeczne nie do naprawiania istniejącego stanu organizacji społeczeństwa, lecz do jego ewolucyjnej przebudowy i w konsekwencji – całkowitej zmiany. Miano na uwadze nieskuteczność doraźnych działań reformatorskich w ostatnim ćwierćwieczu, zapoczątkowanych w październiku 1956 roku. Chodziło więc o wysunięcie takich projektów i rozwiązań ustrojowych, których realizacja doprowadziłaby do ukształtowania się nowej organizacji społeczeństwa, alternatywnej wobec systemu realnego socjalizmu. W tej sytuacji punktem wyjścia i docelowym stanem społeczno-politycznym powinna być demokracja. Nic też dziwnego, iż stała się ona powszechnie uznaną nadrzędną ideą tworzącego się ruchu solidarnościowego i centralną wartością jego myśli społeczno-politycznej. Różnice zdań dotyczyły jedynie sposobu realizacji demokratycznej idei przebudowy stosunków polskich, uwarunkowanych wielością postaw i zachowań wielomilionowej rzeszy „Solidarności”, sytuujących się – jak zauważał wówczas aktywny uczestnik tego ruchu społecznego, Jakub Karpiński – „między ugodą i sprzeciwem, między rewolucjonizmem i ewolucjonizmem, między insurekcją i pracą organiczną”².

W wyrażanych wówczas koncepcjach i projektach społecznych i w toczonej sporach ideowych kontynuowano w sposób niejako naturalny, nie zawsze jednak uświadomiony i tym bardziej potwierdzany, wszystko to z dążeń wolnościowych i demokratycznych, co wniosło do polskiej myśli politycznej pokolenie Października 1956 roku. Dlatego idee społeczno-polityczne ruchu solidarnościowego stanowiły naturalną kontynuację najlepszych nurtów polskiej tradycji demokratycznej. W czasie od porozumień sierpniowych do stanu wojennego ścierały się w „Solidarności” dwie koncepcje zmiany społecznej w Polsce: pierwsza – za-

kładająca odbudowę pluralizmu politycznego (m.in. przez utworzenie czterech nowych partii politycznych: socjalistycznej, demokratycznej, ludowej i liberalnej) i przeprowadzenie wolnych wyborów parlamentarnych lub też przeprowadzenie tych wyborów z udziałem samej „Solidarności”, pozwalających na stopniowe ograniczenie wpływów partii rządzącej i w przyszłości odsunięcie jej od władzy; druga – inicjowanie samoorganizacji społeczeństwa przez usamorządowanie wszystkich możliwych dziedzin życia społecznego, przede wszystkim struktur i instytucji państwa, organizacji przedsiębiorstw i innych instytucji społecznych, itp. O wyborze jednej z nich miały zdecydować względy geopolityczne związane z obawą obcej (radzieckiej) interwencji i wybuchem wojny domowej. Jacek Kuroń, wówczas doradca „Solidarności”, ostrzegął, iż „społeczeństwo nie może zrezygnować z postulatu wolnych wyborów, ale nie powinno robić niczego, co zmusiłoby Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich do interwencji. Nie stać nas na to, żeby obalić władzę i przystąpić do kampanii, która musiałaby być długotrwała, aby doprowadzić do wyborów z rozwiniętymi programami. Od tego nie przybędzie ani chleba, ani mięsa, natomiast przybędą najpewniej obce wojska”³.

W obu jednak wariantach możliwość dokonania zmiany społecznej w Polsce wiązano z demokratyczną, samorządną organizacją społeczeństwa, możliwą do osiągnięcia w wyniku powstałego właśnie w drodze samoorganizacji społecznej pierwszego w powojennym okresie ogólnokrajowego ruchu społecznego „Solidarności”. Miała ona być bowiem – jak dowodził Waldemar Kuczyński – „pierwszą szansą na spełnienie od razu tak powszechnych wieloletnich tęsknot do życia w warunkach, które można kształtować samemu, [...] nadzieją na autentyzm, wolność i demokrację [...], szansą usunięcia niegodziwości i niesprawiedliwości, które rozplenily się niebywale w stosunkach społecznych, wskutek wieloletniego braku skutecznej kontroli społecznej nad administracją i władzą”⁴. Prowadzić ona miała do budowy nowego ładu społecznego w postaci „Samorządnej Rzeczypospolitej”.

Autorem tego terminu miał być Jan Waszkiewicz⁵. Natomiast wizję „Samorządnej Rzeczypospolitej” rozwijało i precyzowało wielu innych publicystów i animatorów ruchu solidarnościowego, m.in. Stefan Wilkanowicz, Witold Trzeciakowski, Stefan Bratkowski, Bronisław Geremek. Większość ich odwoływała się do polskich tradycji demokratycznych i zakładała opracowanie swoistej, wyrosłej z warunków polskich koncepcji nowego ładu społecznego, odpowiadającej jednocześnie współczesnym wyzwaniom. Inspiracji poszukiwano również w nauce społecznej Kościoła katolickiego, ale przede wszystkim szeroko sięgano do polskiego dziedzictwa ideowego, w tym zwłaszcza do idei społecznych Edwarda Abramowskiego. Z realizacją wizji „Samorządnej Rzeczypospolitej” wiązano nadzieję na odbudowę aktywności społecznej, więzi społecznych, integracji społecznej, samodoskonalenia i samosta-

¹ Przemówienie I sekretarza KC PZPR tow. Stanisława Kania na naradzie aktywu partyjnego w Katowicach 9 IX 1980 roku, „Ideologia i Polityka” 1980, nr 11, s. 5.

² J. Karpiński, *Ustrój komunistyczny w Polsce*, Londyn 1985, s. 128.

³ J. Kuroń, *Dyskusja o programie „Niezależność”*, 1981, nr 121, s. 3.

⁴ W. Kuczyński, *Solidarność a państwo*, „Tygodnik Solidarność” 1981, nr 15, s. 3.

⁵ Zob. J. Waszkiewicz, *Samorządna Rzeczypospolita*, tamże, „Tygodnik – Solidarność”, 1981, nr 31, s. 6-8.

nowienia jednostki, uspołecznienia instytucji państwa i wszelkich organizacji życia społecznego itp. Wszystko to powoduje, że „należy przebudować Polskę – jak dowodził Wilkanowicz – biorąc pod uwagę nasze tradycje, polską mentalność oraz wymogi racjonalnej gospodarki. Wszelkie obce modele mogą pobudzać do refleksji, nie nadają się jednak do kopiowania. Współczesny obraz Polski nierządnej, zniewolonej biurokratycznym anarchizmem musi ulec zmianie dzięki odrodzeniu społecznej inicjatywy i samorządności”⁶. Aczkolwiek istota „ideologii samorządowej” ruchu solidarnościowego wyrażona już została wczesną jesienią 1980 roku podczas starań o rejestrację związku „Solidarność”, który miał być organizacją „niezależną i samorządną”, czyli autonomiczną formacją wolnych obywateli.

Ostatecznie program „Samorządnej Rzeczypospolitej” został przyjęty na I Zjeździe „Solidarności”, obradującym na przełomie września i października 1981 roku. Zastąpił on różne hasła i postulaty zgłaszane od ponad roku, dotyczące organizacji społeczeństwa, w tym przede wszystkim przebudowy stosunków politycznych i ekonomicznych kraju. Stanowił jednocześnie podsumowanie rozważań ideowo-politycznych podejmowanych przez opozycję demokratyczną od połowy lat siedemdziesiątych, dotyczących kształtu przyszłego ładu społeczno-ustrojowego Polski. Końcową wersję projektu tego programu opracowała komisja programowa Zjazdu pod przewodnictwem Bronisława Geremka. Samej koncepcji „Samorządnej Rzeczypospolitej” poświęcono oddzielny, VI rozdział programu „Solidarności”. Projektowano w nim budowę nowego typu ładu społeczno-ustrojowego, opartego na zasadzie szeroko rozumianego pluralizmu światopoglądowego, politycznego i kulturalnego, którego podstawę stanowiłaby struktura samorządowa jako najwłaściwszy sposób organizacji i aktywności ludzkiej. Zwieńczeniem samorządowej budowy państwa miał być system demokracji parlamentarnej, uzupełniony drugą izbą, samorządową lub społeczno-gospodarczą. Dopelnieniem zaś ustroju parlamentarnego samorządnej Polski miał być w sferze społeczno-gospodarczej szeroko rozbudowany system samorządu pracowniczego jako istotny czynnik zarządzania przedsiębiorstwem samorządowym, a także system samorządu terytorialnego – jako najlepszy sposób organizacji i funkcjonowania społeczności lokalnej. Rzeczpospolita samorządna gwarantować miała wszystkim obywatelom szerokie prawa i wolności polityczne, ekonomiczno-socjalne i kulturalne na podstawie zasad równości i sprawiedliwości.

Najlepszą więc formę urzeczywistnienia „woli narodu” animatorzy „Solidarności” dostrzegali w demokracji, której centralną kategorię stanowić miała nie wolność jednostki, ale „wola narodu”. Przekonywali, że „samorządność staje się coraz powszechniejszą ideologią ludową i ma swoją realną przyszłość”⁷.

„Solidarność” nadawała idei samorządowej konkretne funkcje i kształt ustrojowy. Miała to być podstawowa forma organizacji i zarządzania bezpośrednio przez daną społeczność pracowniczą i społeczność lokalną we właściwych dla nich sferach życia publicznego. Zwieńczeniem samorządnej struktury społeczeństwa miała być na poziomie najwyższych organów państwowych druga izba o charakterze samorządowym, stanowiąca przeciwwagę wobec pierwszej izby o charakterze politycznym, czyli sejmu. W tej sytuacji instytucje demokracji politycznej miały już być wystarczającym gwarantem budowy „Polski samorządnej”, gdyż takich gwarancji ustrojowych poszukiwano w celu uzupełnienia demokracji politycznej urządzeniami demokracji społeczno-gospodarczej.

Niejasno wyobrażano sobie funkcjonowanie gospodarki w przyszłej „Polsce samorządnej”. Żądano powszechnie odpolitycznienia gospodarki i odejścia od systemu nakazowo-rozdzielczego, wprowadzenia mechanizmów rynkowych, stworzenia konkurujących między sobą rzeczywistych podmiotów gospodarczych przez nadanie tytułów własności konkretnym grupom pracowniczym, itp. Z nowym sposobem organizacji gospodarowania wiązano nadzieję na racjonalizację produkcji, wzrost jej efektywności i w konsekwencji – poprawę sytuacji ekonomicznej społeczeństwa. I choć postulat oparcia działalności gospodarczej na zasadach rynkowych zyskiwał coraz więcej zwolenników w „Solidarności”, to jednak dominowało optymistyczne przekonanie o bezkryzysowym i bezkonfliktowym reformowaniu gospodarki i o rozwoju gospodarczym, zapewniającym pełne zatrudnienie, realną wartość płac i dochodów, egalitarną politykę państwa i utrzymanie szerokich funkcji socjalno-opiekuńczych państwa.

W kwestii sposobu urzeczywistnienia ideału „Polski samorządnej” brak było w „Solidarności” jednolitego stanowiska. Miał go promować i wspierać jego realizację zainicjowany jesienią 1981 roku ruch społeczny w postaci Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej „Wolność–Sprawiedliwość–Niepodległość”. Pewna część „Solidarności”, pozostająca w sferze oddziaływania Komitetu Obrony Robotników, opowiadała się za porozumieniem z władzami komunistycznymi jako najbardziej właściwą i realną metodą realizacji celów solidarnościowych. Znaczna jednak część „Solidarności” preferowała metody konfrontacyjne: bierny opór, bojkot, strajki i demonstracje aż do strajku generalnego.

Sytuacja uległa zmianie po wprowadzeniu stanu wojennego. Przeważał odtąd pogląd, że z władzami tymi, pozbawionymi legitymizacji społecznej i politycznej, nie powinno się pertraktować, lecz dążyć do obalenia wszelkimi sposobami, tym bardziej, iż są one z nadania Kremla i pełnią rolę okupanta narodu. Powoli jednak, zwłaszcza od połowy lat osiemdziesiątych, co było związane z nasileniem się w społeczeństwie niechętnych postaw wobec działań konfrontacyjnych i wyraźnym osłabieniem „Solidarności” oraz zmianami w sytuacji międzynarodowej, zyskiwał uznanie pogląd o możliwości i potrzebie podjęcia dialogu z władzami. Zaowocowało to w 1989 roku obradami <okrągłego stołu>.

Bliskie poglądy solidarnościowej idei kolektywistyczno-demokratycznej głosiły ugrupowania o socjalistycznej proveniencji, z Polską Partią Socjalistyczną

⁶ S. Wilkanowicz, *Formy i zadania samorządu*, „Tygodnik Solidarność”, 1981, nr 25, s.11; por. także inny jego artykuł: *Ku Polsce samorządowej*, tamże, 1981, nr 23, s. 10.

⁷ Por. m.in.: *O co walczyć?*, „Naprzód” 1985, nr 1, s. 12; S. Jakubowicz, *Stawić na samorząd*, „Tygodnik Mazowsze” 1986, nr 189, s. 3; *Demokracja przemysłowa jako ewentualny element szerszego programu społeczno-politycznego*, „Refleksje” 1989, nr 1, s. 23–24.

na czele, odbudowaną w 1987 roku. Również działacze socjalistyczni stwierdzali, że budzący się ich ruch społeczny stawia przede wszystkim na „solidarny wysiłek swobodnie organizujących się zbiorowości”, by jednocześnie nie zaprzepaścić „wielkiego potencjału indywidualnych inicjatyw”⁸. I oni także zakładali wyzwolenie warstw pracujących spod ucisku ekonomicznego i politycznego. Osiągnięcie tego celu widzieli w przejęciu przez załogi pracownicze swych fabryk i zakładów pracy. Sprzeciwiali się kategorycznie podejmowanemu u schyłku lat osiemdziesiątych próbom wprowadzenia systemu gospodarki rynkowej, upatrując w tym zawłaszczenie przez wąską grupę nomenklatury komunistycznej majątku narodowego. Odrzucali zarówno model gospodarki planowej, jak i rynkowej, której stałymi cechami jest monopolizacja w sferze produkcji i podziału wytworzonych dóbr, bezrobocie, dążenie do zysku bez względu na koszty, itp. Dlatego sądzili, że najlepszy sposób gospodarowania zapewnią upodmiotowieni wytwórcy przez ich uwłaszczenie, czyli załogi zakładów pracy zorganizowane w instytucje samorządu pracowniczego, pełniącego funkcje właściciela i zarządcy. Projektowali także objęcie różnymi formami demokracji samorządowej pozostałych dziedzin życia społecznego, by odpowiednio „naprawić” system demokracji parlamentarnej. Toteż przejęli od „Solidarności” ideę „Samorządnej Rzeczypospolitej”, rozumianej jako pewien model „państwa uspołecznionego” – wspólnoty wszystkich obywateli, zorganizowanej na zasadach samorządowych, w której najwyższa władza, parlament, składałaby się z dwóch izb: politycznej i samorządowej. Tylko w tak zorganizowanej Rzeczypospolitej Polacy mogliby osiągnąć pełną suwerenność narodową i zapewnić sobie najlepsze warunki rozwoju i postępu cywilizacyjnego.

Słabość programowa i niezdolność opozycji antykomunistycznej do wypracowania zwartej koncepcji doktrynalnej i realnej na miarę przeżywanego epoki dziejowej powodowały, iż nie była ona przygotowana do przejścia władzy z chwilą załamania się i upadku realnego socjalizmu w Polsce. W konsekwencji nie potrafiła przedstawić społeczeństwu konkretnego programu zmiany społecznej i modernizacji kraju. Zarysowujące się od początku jej działalności różnice zdań w kwestiach ideowych i politycznych szybko doprowadziły do dezintegracji po 1989 roku obozu solidarnościowego i polaryzacji politycznej społeczeństwa polskiego. Szybko także na znaczeniu straciły wartości liberalno-demokratyczne, wypierane skutecznie przez radykalizm prawicowy, populizm, integralizm narodowo-katolicki, itp. Przypadek polskiej opozycji antykomunistycznej potwierdził jedynie bardziej ogólne zjawisko, iż cała Europa Wschodnia, przeżywająca swój triumf historyczny, nie sformułowała, niestety, żadnej nowej idei społecznej. Poprzestała na spełnianiu założenia dawnych swych opozycjonistów i późniejszych reformatorów, że wystarczy „dołączyć do Europy”, by zaoszczędzić aspiracjom cywilizacyjnym i kulturalnym tej części kontynentu europejskiego.

⁸ Deklaracja polityczna PPS, Warszawa, 15 XI 1987, s. 1; por.: P. Ikonowicz, *Dojrzenia rewolucji*, „Robotnik Mazowiecki” 1988, nr 5, s. 1; *Nowa lewica*, „Robotnik” nr 138, 15 XI 1988, s. 1; *Co to jest socjalizm*, „Robotnik” 1989, nr 144, s. 1; R. Makowski, *Cele polskiej socjaldemokracji*, „Naprzód” 1989, nr 11, s. 3.

Realizacja projektowanego wzorca ustrojowego w postaci „Polski samorządnej”, zdaniem części jego promotorów z Waldemarem Kuczyńskim na czele, prowadzić miała do demokratyzacji wszystkich dziedzin życia polskiego, tj. „przywrócenia obywatelom w granicach podstawowych założeń ustrojowych prawa do stanowienia praw, wyboru władz, określenia podstaw polityki państwa, w tym gospodarczej, kontrolowanie jej realizacji, rozliczanie powierników woli społecznej. Słowem przekształcenie socjalizmu realnego w socjalizm konstytucyjny”⁹. Jednakże już w współczesnych, samych animatorów ruchu solidarnościowego, budziła wątpliwości i zastrzeżenia ze względu przede wszystkim na utopijny charakter. Zaraz po przyjęciu programu „samorządnej Polski” kwalifikował go działacz i intelektualista „Solidarności”, Jerzy Holzer, do „długiego szeregu wolnościowych utopii socjalistycznych”¹⁰. U schyłku lat osiemdziesiątych nawiązała do niej Solidarność Walcząca, wyrosła z ruchu solidarnościowego pod przewodnictwem Kornela Morawieckiego najsilniejsza podziemna organizacja opozycyjna – pod hasłem „Polski solidarności”. Hasło to zostało później ponownie spopularyzowane, zwłaszcza po 2005 roku, z nowymi jednak treściami, w programie i działalności partii Prawo i Sprawiedliwość Lecha i Jarosława Kaczyńskich. Nic też dziwnego, iż nadal stale powraca pytanie o zasadność i sens proklamowania owej utopii socjalnej u schyłku XX wieku, w obliczu dokonujących się procesów globalizacyjnych świata i kształtowania się społeczeństwa poprzemysłowego, przez ostatnią bodaj rewolucję robotniczą w Europie. Nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi. Być może była to spóźniona – jeśli nie o cały wiek, to co najmniej o kilka dziesięcioleci – próba odnowienia ideałów socjalizmu i demokracji. Może była także pewną próbą odpowiedzi na problemy i wyzwania kształtującej się od połowy dwudziestego wieku nowej cywilizacji – postindustrialnej; a może wyrazem odwiecznej tęsknoty ludzkiej za wymarzoną krainą szczęśliwości i godnego życia po dwudziestowiecznych doświadczeniach upadku człowieka i barbaryzacji kultury ludzkiej. Pewne jest, że stanowiła istotny czynnik motywacji postaw i zachowań ludzkich wielkiego ruchu społecznego „Solidarność”, zapoczątkowującego wielkie, na niespotykaną dotąd skalę, historyczne przemiany w skali krajowej, europejskiej i ogólnoświatowej.

MICHAŁ ŚLIWA

Jest to fragment monografii pt. *Demokracja polska. Idee – Ludzie – Dzieje*, przygotowanej do druku w Wydawnictwie Sejmowym w Warszawie.

⁹ W. Kuczyński, *Oczami gospodarzy i obywateli*, „Tygodnik Solidarność” 1981, nr 22, s. 3.

¹⁰ J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981. *Geneza i historia*, Paryż 1984, s. 195.

ANDRZEJ ROMANOWSKI

POLSKA – ROSJA PO SMOLEŃSKU

15 maja 2010 r. odbyła się doroczna konferencja „Kuźnicy”, tym razem poświęcona wizji Polski i świata do 2030 roku.

Poniżej wystąpienie prof. Andrzeja Romanowskiego podczas tej konferencji.

W następnym numerze planujemy druk wypowiedzi pozostałych panelistów, którymi byli:

minister Michał Boni, profesorowie Henryk Domański, Jerzy Pomianowski, Adam Daniel Rotfeld,

Jan Widacki i prowadzący konferencję Hieronim Kubiak.

Jest sloganem stwierdzenie, że po katastrofie smoleńskiej stosunki polsko-rosyjskie weszły w nowy etap. A przynajmniej mają szansę wejść – i jeżeli nawet nie w nowy etap, to na pewno w nowy klimat. Prawda: katastrofa uaktywniła ekstremistów po obu stronach. W Polsce zwiększyła się – i to niepomierne – rzesza wielbicieli teorii spiskowych, w Rosji bezkrytycznych apologetów przeszłości. Ale obu tych zjawisk nie sposób kłaść na jednej szali. Do teorii spiskowych Polacy mają, niestety, genetyczną wręcz skłonność: przypisywanie plotce cech obywatelstwa już w XV wieku uznawał Jan Długosz za cechę odróżniającą nas od innych narodów. Irracjonalizm takich postaw odciska się na naszych działaniach, rzutuje na poziom emocji. Na tym tle imperialne tęsknoty Rosjan są – zważywszy historię tego narodu – czymś, co zapewne nie jest sympatyczne, ale jest z grubsza normalne.

Dominuje jednak co innego. Trudno przecież było nie zauważyć fali współczucia wśród Rosjan. Myślę tu i o kwiatkach pod polską ambasadą, i o pamiętnym „przepraszamy was, Polacy” Matwieja Ganapolskiego z „Echa Moskwy”, i o reakcji rosyjskich władz – jeżeli nawet nie całkiem bezinteresownej (cóż jest bezinteresownego w polityce?), to daleko większej niż można było oczekiwać: zarządzenia żałoby narodowej w całej Rosji, obecności premiera Putina w miejscu katastrofy

i prezydenta Miedwiediewa na Wawelu... Wśród Polaków, karmionych od lat widzeniem w Rosji tylko zaborczego imperium, postawy te wywołały najpierw zaskoczenie i niedowierzanie, lecz zaraz potem – zwyczajną, ludzką wdzięczność uzewnętrzniającą się w apelach, listach, artykułach czy przejmujących świadectwach rodzin ofiar. Tak więc, niezależnie od wszelkich aktów podejrzliwości i wrogości, rosyjska reakcja na tragedię i polska reakcja na tę reakcję tworzy niewątpliwie ów, przywołany na początku, nowy klimat. Uległ mu nawet Jarosław Kaczyński, wygłaszając swe orędzie do Rosjan. Czy i jak można ten nowy klimat podtrzymać?

Oczywiście, warunek wstępny, to nie mieć złudzeń. Ani nawet – nadmiernych oczekiwań. Polska i Rosja nie należą przecież do jednego systemu zbiorowego bezpieczeństwa, mają różne potencjały ludnościowe, różną geopolitykę, rozbieżne interesy. Na jednym oddechu można wymienić odmienne podejście naszych krajów do transportu ropy naftowej, do Białorusi, do Ukrainy... Nie ma więc potrzeby studzenia emocji; one i tak studzą się same, bo nie tworzą nowej jakości politycznej. Odkładając więc na bok to, co w oczywisty sposób jest nierealne i niepotrzebne, trzeba się zastanowić, czy i co możemy wykorzystać w wytworzonej tak nieoczekiwane aurze bliskości i przyjaźni, jaka zaczęła dominować wśród naszych społeczeństw.

Najpierw konstatacja zasadnicza: mimo wszelkich różnic Polska i Rosja są sobie wzajemnie potrzebne. Dla Rosji stanowi Polska zarówno odwiecznego, choć od stuleci już słabszego rywala w świecie słowiańskim, jak też fenomen kraju zarazem słowiańskiego, co łańcuchowego, bliskiego przez stulecia wspólnej historii, w której zniewolenie lat 1795, 1831 czy 1863 kontrastowało z wyzwoleniem (czy – zgodą na wyzwolenie) lat 1815, 1917 czy 1989. Jak bardzo zaś wszystko to było splątane, świadczy rok 1945, który – jak wiadomo – przywrócił Polsce zarówno wolność (od nazizmu, w tym więc i od zagłady Żydów), jak i niewolę, polegającą na znieszczeniu państwa, które zastąpiono tworem marionetkowym, oraz na masowych represjach, wywózkach i mordach sądowych i skrytobójczych. Tak czy inaczej, dla Rosji Polska była i pozostaje problemem, budzi emocje, czasem złe, lecz czasem przecież dobre, pełne (słowiańskiego?) sentymentu. Polska, pamiętając o imperialnym nierzadko charakterze tych sentymentów, powinna jednak umieć je wykorzystać.

Bowiem Rosja dla Polski, choć nie stanowi już, jak w czasach Kongresówki, podstawowego rynku zbytu ani też, jak w czasach PRL, terenu kulturowej ekspansji, nie przestaje być nie tylko wyżej wspomnianą wspólnotą doświadczenia historycznego, ale i przestrzenią do możliwego oddziaływania, bez porównania silniejszego niż w przypadku któregośkolwiek z krajów zachodnich. Gdy jednak mówimy o doświadczeniu historycznym, to warto pamiętać, że totalitaryzm uderzył w Rosję, w jej tradycję duchową i państwową, i znacznie dłużej, i znacznie bezwzględniej niż w Polskę. Tej świadomości właściwie w Polsce nie ma – nawet gdy się czytało Płatonowa, Grossmana czy Sołżenicyna.

Ale nie ma też u nas – jakkolwiek ryzykownie by to brzmiało – świadomości własnej tożsamości. Bo przecież Polska (lub – mówiąc ściślej – ta przestrzeń kulturalna, którą pozostawiła w spadku przedrozbiorna Rzeczpospolita) była obszarem, na którym Zachód łączył się ze Wschodem. Czy poszukując własnych korzeni powinniśmy zatrzymać się na granicy białorusko-rosyjskiej czy ukraińsko-rosyjskiej? Na pozór byłoby to logiczne, ale – po pierwsze – jest nierealne, bo od biedy można było tego próbować dwadzieścia lat temu, w okresie postsowieckiej smuty. Po drugie – między wschodnią Ukrainą i wschodnią Białorusią a Rosją przejście historyczne, kulturowe i językowe jest na tyle płynne, że właściwie niemożliwe do przeprowadzenia. Chyba że... dokonałby się podział tych krajów na wzór okresu międzywojennego. Dlatego odszukanie „ruskiego płuca” polskiej kultury nie powinno – jakkolwiek to zabrzmiało – wyłączać ze wspólnej przestrzeni także Rosji. Katolicka Polska, zakorzeniona w strukturach zachodnich i euroatlantyckich, w NATO i Unii Europejskiej, zarazem jednak bliska prawosławnej Rosji, utrzymująca z nią stałe kontakty kulturalne, tworząca z nią jakiś rodzaj wspólnoty duchowej (sic!) – oto wyzwanie, które stoi przed nami na progu XXI wieku. Bezustannie wzywał do niego Jerzy Giedroyc.

Jak na wyzwanie takie mogliby odpowiedzieć Rosjanie – tego nie podejmuję się rozstrzygać. Choć przecież wszystkie przesłanki wskazują, że podobne myślenie byłoby bliskie ich myśleniu – temu „zapadniczemu”, które od stuleci złości ich kulturę. Natomiast wyzwanie takie jest na pewno trudniejsze dla Polaków.

Wymaga ono bowiem gruntownej rewizji polskiego patriotyzmu. Bo też przedziwny to patriotyzm, polegający – jak w „Polityce” zauważa prof. Bronisław Łagowski – na „kulcie patriotyzmu”, kulcie nie Polski, lecz siebie samego.

Gdy mówię więc o rewizji polskiego patriotyzmu, mam na myśli częściowe odejście od powstańczej martyrologii, dowartościowanie pracy organicznej i polityki ugody, a wreszcie gotowość uznania odrębności rosyjskiej misji dziejowej, w której opanowana niegdyś przez Polskę „ruskość” stała się z czasem konstytutywnym składnikiem nie polskości przecież, lecz właśnie rosyjskości. Taka rewizja patriotycznego kanonu byłaby, jak sądzę, dla polskich postaw korzystna, pozwoliłaby bowiem określić polską mentalność jako postawę ludzi wolnych, nie zamykających się na powstańczych szafkach (choć przecież nie zapominających o nich), lecz raczej umiejących łączyć, jednać i jednoczyć – w tym przypadku: sprzyjać jedności naszego kontynentu, który (czy nam się to podoba, czy nie) nie byłby sobą, bo nie byłby pełny, bez Rosji. A chyba lepiej, by do takiej jednoczącej misji okazali się zdolni Polacy – ludzie znający Rosję. Znający także od najgorszej strony. Najważniejsze jednak pozostaje to, że przez świat prawosławny właśnie, a więc także przez Rosję, wiedzie droga do odszukania zapomnianej polskiej tożsamości – kraju europejskiego pogranicza.

Jeżeli jednak powiemy, że w rezultacie przetomu psychologicznego, jaki zaistniał „po Smoleńsku”, dobrze by było zacząć odchodzić od stereotypu męczeństwa i ofiary, to nie chodzi, rzecz jasna, o relatywizację wzajemnych krzywd i win. Chodzi o prawdę, a ta w warunkach wolności jest imperatywem bezwzględny. Zdanie „doznaliśmy od Rosji wiele zła” jest oczywistością, bo to z Rosji przecież przyszła zagłada naszego państwa, to stamtąd pojawił się podbój i eksterminacja. Ale – powtórzmy – chodzi o prawdę. Dlatego, gdy myślimy o Katyniu, nie jest absurdem upominanie się o los jeńców sowieckich 1920 roku – choć przecież nikt ich nie mordował strzałem w tył głowy. Gdy mówimy o „rzezi Pragi” w powstaniu kościuszkowskim, to warto pamiętać o rzezi garnizonu rosyjskiego w Warszawie, któregośmy pod wodzą szewca Kilińskiego dokonali zaledwie pół roku wcześniej. Gdy pyszni się, nie bez racji, wyższością cywilizacyjną Polski w dawnych wiekach, nie zaszkodzi przypomnieć, że to na rozkaz polskiego wodza i humanisty Jana Tarnowskiego wymordowano w r. 1535 tysięcy czterystu moskiewskich jeńców wojennych – obrońców Staroduba. I nawet gdy najłuszniej w świecie pomstujemy na rosyjskie rządy w XIX-wiecznej Warszawie, pamiętajmy, że dzieła europeizacji dawnej polskiej stolicy dokonał pewien carski generał, przybędą z odległego Taganrogu – Sokrat Starynkiewicz. To nazwisko zna każdy warszawiak – dlaczego nie wyciąga wniosku?

Historią rządzi jedno podstawowe prawo: nic nie jest proste. Nic nie wygląda tak, jak chcieli nam wmówić niedouczeni twórcy „polityki historycznej” starający się podporządkować sferę polityki nie tylko historii już, lecz mitowi, a to tłumaczyło się czasem kłamstwem. Z drugiej strony warto pamiętać o ewangelicznym porównaniu „żdźbta i belki”. Byłem może pierwszym, który (na polsko-rosyjskiej konferencji w Warszawie 14 listopada ub. roku) użył sformułowania „pornografia

Katynia”, toteż dziś chciałbym tym mocniej przestrzec przed odżywianiem tonu oskarżycielskiego i protekcyjnego wobec Rosjan, przed wzywaniem ich do „rozliczenia się z własną historią”, popieraniem „w ciemno” ich wrogów – czy to prezydenta Saakaszwilego, czy bojowników czeczeńskich. Nie robią tego na ogół czynniki oficjalne (choć warto pamiętać, że demonstracyjnego wsparcia Saakaszwilemu udzielał prezydent Kaczyński), natomiast ton rusofobii wzniesioną najczęściej mało odpowiedzialne środki przekazu. Tymczasem nie ma najmniejszego powodu kluc w oczy Rosjanom tym, co zdarzyło się przed 70 laty. Nie ma powodu pytać, jak jedno z polskich „opiniotwórczych” pism: „Czy pojednanie z Rosją jest możliwe?”, skoro to pojednanie nastąpiło już prawie 20 lat temu – i dzięki „prostitie” Borysa Jelcyna, i dzięki przekazaniu materiałów katyńskich prezydentowi Lechowi Wałęsie. Tym bardziej zaś najmniejszego już powodu nie ma, by tragedię katyńską odgrzewano przy okazji Smoleńska. Wszak jest to w najwyższym stopniu niewłaściwe, niestosowne i niesmaczne, urągające elementarnemu poczuciu sprawiedliwości. I w gruncie rzeczy jest zniewagą dla ofiar Katynia – bo jakże tu porównywać oba te wydarzenia? Dlatego postulat odpowiedzialności wydaje się dziś szczególnie ważny. I leży on w najlepiej rozumianym polskim interesie, bo nie ma nic groźniejszego niż odżycie w Rosji stereotypu „kiczliwego Lacha”.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że wciąż traktujemy Rosjan inaczej niż Niemców i nawet inaczej niż Ukraińców. W przypadku Niemców to wprawdzie zrozumieli – w kontekście ich olbrzymiej, wieloletniej pracy nad przewyciężeniem spuścizny nazizmu. Mniej jest to zrozumiałe w przypadku Ukraińców, którzy – podobnie jak Polacy – mają swą własną „politykę historyczną”. Tak czy inaczej to, czego w minionych latach domagaliśmy się od Rosjan, było w istocie albo niespełnialne, albo niesprawiedliwe. Niespełnialne, bo zbrodnia katyńska z całą pewnością nie podlega kategorii ludobójstwa. Niesprawiedliwe, bo czy choć raz zadaliśmy sobie pytanie o wkład mniejszości narodowych państwa rosyjskiego w sowiecką maszynę terroru? Twórcą czerezwyczajki, poprzedniczki NKWD i (sic!) Gestapo, był Polak, szlachcic Feliks Dzierżyński. A Paweł Jasienica wspomina, że w latach rewolucji bolszewickiej jedynym elementem ludzkim w „organach” byli Rosjanie.

Polskie otwarcie na Rosję powinno też zaowocować przypomnieniem kart współpracy. Nie chodzi o współpracę polityczną, a przynajmniej nie o nią w pierwszym rządzie. Ta była lansowana w PRL, na ogół wbrew prawdzie historycznej, bo w XIX wieku (i wcześniej) konflikt polsko-rosyjski był nieusuwalny, skoro jedna i druga strona pretendowała do dziedzictwa jeżeli nie całej, to większości, a przynajmniej istotnej części dawnej Rusi Kijowskiej; albo – z bliższej historii – do dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego, „litowsko-russkiego gosudarstwa”, używając terminologii z czasów carskich.

Polityczna współpraca polsko-rosyjska załamywała się zresztą na dziesiątkach innych pól, o których nie czas tu mówić. Ale ta współpraca dokonywała się równocześnie i najzupełniej realnie na niwie kultury i nauki. Już w *Panu Tadeuszu* widać, że cywilizacyjną stolicą szlachty litewskiej nie była ani Warszawa, ani nawet Wilno, lecz... Petersburg. W żadnej też nauce

obecny udział Polaków nie był tak liczny, wręcz masowy, jak w nauce rosyjskiej. Ludzie typu Czernieckiego, Czekańskiego czy Dybrowskiego służyli nauce rosyjskiej, lecz czuli się Polakami, nieraz zresztą wracali potem do Polski i gdy tylko okazało się to możliwe, Polsce służyli jak umieli najlepiej. Jakże głęboką prawdę o polskim losie skrywa życie Prusowego Stanisława Wokulskiego!

Że jednak nierówno traktujemy udział uczonych polskich w nauce Rosji i w nauce krajów Zachodu, to widać na przykładzie Marii Curie i Arego Sternfelda. Ta pierwsza osoba jest naszą narodową chlubą, o której wie każde dziecko. Ta druga, sieradzko-lódzki Żyd, pionier kosmonautyki sowieckiej (choć przecież wcześniej – także kosmonautyki francuskiej...) jest traktowany jak ktoś całkowicie obcy, kogo pręcej już będziemy się wstydić, niż nim się szczyścić. Choć przecież Sternfeld mówił po polsku jak madame Curie... odwiedzał też Polskę, a swe moskiewskie mieszkanie wyposażał w polskie akcesoria. Zjawisko takiego polskiego wstydu jest oczywiście znacznie szersze, obejmujące wiele innych dziedzin. Myślę, że czas ludzi wolnych ma szansę umożliwić i to, by nie wstydić się także (nawet?) Konstantego Rokossowskiego, który – choć trzymał Polskę pod sowieckim butem – czuł się Polakiem (może tylko jak Mickiewiczowski major Płut?), a przy tym był chlubą Armii Czerwonej w dziele rozgromienia III Rzeszy, największym po Żukowie rosyjskim bohaterem narodowym. Czy w naszej rozmowie z Rosjanami i takie atuty będziemy umieli wykorzystać?

A może wykorzystać je warto. Przeżyliśmy nie tak dawno akcję zapalania zniczków żołnierzom Armii Czerwonej. Na ziemiach, które dziś należą do Polski, zginęło tych żołnierzy 600 tysięcy. Nic i nigdy nie zmieni faktu, że miliony sowieckich ludzi maszerujących w latach 1944-45 (także pod dowództwem Rokossowskiego) przez terytoria między Bugiem a Odrą przyniosły nam nową niewolę, upokorzenie, unurzanie w błocie. Paleń świąteł na ich grobach – to nieledwie sprzeniewierzenie się Polsce Niepodległej. A jednak – chrześcijaństwo uczy miłości bliźniego. I Bóg jest dla chrześcijanina kimś daleko ważniejszym niż Polska... A wreszcie zwyczajny humanizm każe pamiętać: to byli ludzie tacy sami jak każdy z nas (by już nie wspomnieć, że jednym z nich był Aleksandr Sołżenicyn...). Kto chce zamknięcia błędnego koła wrogości, a więc i w konsekwencji uczynienia Polski silniejszą i bezpieczniejszą, ten powinien przełamać się i włączyć – teraz i w przyszłości – w taką akcję. Będzie to godna odpowiedź – jedyna naprawdę godna odpowiedź – na zarysowującą się dziś rosyjską pamięć o polskim Katyniu.

Gdy jednak patrzymy wokół – do optymizmu daleko. Wystarczy czytać w „Rzeczpospolitej” artykuły Piotra Skwicińskiego. Wystarczy spojrzeć na komentarze internautów. Emocjonalna, skłonna do historii i podległa plotce natura Polaków może okazać się podatna na barbarzyństwo. Więc warto powtarzać, jakkolwiek byłby to slogan: stoimy przed perspektywą psychologicznego unormowania stosunków z Rosją. A to unormowanie nie jest – wbrew wszelkim pozorom – niezgodne z polską tradycją. Na pewno zaś jest zgodne z polską racją stanu.

ANDRZEJ ROMANOWSKI

EUGENIUSZ GÓRSKI

GLOBALIZACJA I UNIWERSALIZM

Z PERSPEKTYWY AMERYKI ŁACIŃSKIEJ I EUROPY WSCHODNIEJ

W 1992 roku uroczystie obchodzono 500-lecie dramatycznego spotkania się na ziemi amerykańskiej dwóch światów, rezultatu śmiałej podróży podjętej w 1492 roku przez Krzysztofa Kolumba. Obecnie, w 2010 roku, mija 200 lat od czasu, gdy kraje Ameryki Łacińskiej, zwane tak od końca XIX wieku, zaczęły zdobywać niepodległość. Rozpoczął się żmudny okres budowy nowych państw, kształtowania się nowych narodów, proces ich mentalnej emancypacji i kielkowania oryginalnej refleksji na temat ich miejsca w świecie.

Rocznica ta stanowi dobrą okazję do ponownego spojrzenia na Nowy Świat, na oczekiwania z nim związane - z perspektywy Starego Świata, a zwłaszcza z punktu widzenia wschodniej części Europy, która zetknęła się z Ameryką znacznie później niż potęgi kolonialne Europy Zachodniej. Już na wstępie warto zaznaczyć, że kraje Ameryki Łacińskiej zdobywały niepodległość w okresie, gdy kraje Europy Wschodniej i Południowo-Wschodniej na ogół od dość dawna pozostawały ujarzmione przez silniejsze potęgi regionalne, które zwykły dokonywać ekspansji nie na odległych terenach zamorskich, ale w geograficznie bliskim sąsiedztwie.

Już ta pozornie powierzchowna obserwacja świadczy o tym, że dość długo wspólnym realnym i palącym problemem dla obu rejonów świata pozostawała kwestia wolności, wyzwolenia, zdobycia niepodległości, wyrwania się z upokarzającej zależności państwowej,

gospodarczej, kolonialnej i neokolonialnej od dominujących potęg. W Europie Wschodniej chodziło o wyzwolenie się spod panowania Niemiec (Prus), Austrii, Rosji (ZSRR) i Turcji (te dwa ostatnie kraje cechowały się swoistym, raczej euroazjatyckim charakterem), a w Ameryce Łacińskiej chodziło o wyzwolenie spod zależności od Hiszpanii, Portugalii, Anglii, od USA i od całego tzw. centrum północnoatlantyckiego. W niniejszym tekście podejmuję próbę naszkicowania tego problemu z perspektywy ogólniejszej myśli, bliskiej perspektywie filozoficznej, ale w ścisłym powiązaniu z kontekstem społeczno-politycznym i kulturowym.

Dotychczas, jak wskazałem w swoich publikacjach (Górski, 1992: 243-266; 2004; 2007a: 115-168), stosunkowo mało prowadzono porównawczych badań nad charakterem myśli w krajach Ameryki Łacińskiej i Europy Środkowowschodniej. Autorzy, pragnący podjąć tę płodną poznawczo – jak nadal sądzę – problematykę, winni inspirować się twórczością przedstawicieli innych nauk społeczno-humanistycznych, zwłaszcza historyków, którzy mają już znaczny dorobek w badaniu społeczeństw peryferyjnych. Z kolei dociekania filozoficzne mogą wzbogacić szeroko pojmowaną wiedzę społeczno-historyczną.

W ostatnich kilkunastu latach opublikowano wiele studiów porównawczych na temat przemian społeczno-politycznych i gospodarczych w krajach Ameryki Łacińskiej i Europy Środkowo-Wschodniej. Od zorganizowa-

nej w roku 1990 przez Roberta Mroziwicza i Ryszarda Stemplowskiego słynnej konferencji w Pułtusku¹ i od czasu publikacji szeroko komentowanej książki Adama Przeworskiego (1991) na temat reform polityczno-gospodarczych w obu regionach świata, temat ten stał się wręcz modny w całej Europie i obu Amerykach². Ostatnio znowu podkreśla się (Zukowski: 2007), że Ameryka Łacińska jest szeroko znana z rozpowszechnionej korupcji, niedostatku demokracji i braku kapitału społecznego i że podobne bolączki występują w postkomunistycznej Europie, gdzie prosto i woluntarystycznie podjęty przed dwudziestu laty zamysł przejścia od komunizmu do gospodarki rynkowej i zachodniej demokracji nie przyniósł znaczących rezultatów w postaci wyraźnego zbliżenia się tej części Europy do kojarzonego z dobrobytem Zachodu.

Można mówić o ważnej roli demokratyzującej się nieco wcześniej Ameryki Łacińskiej w polskim i środkowoeuropejskim dyskursie politycznym, zwłaszcza po 1989 roku. Była ona postrzegana zarówno jako godny uwagi przykład do naśladowania, ale i jako alarmująca przestroga. Skrajnie odłamy lewicy, a nawet prawicy, często porównywały dzisiejszą Polskę do tzw. bananowej republiki latynoskiej. Najpierw widoczny, ale tłumiony i słabo słyszalny był radykalno-lewicowy dyskurs na temat realnej możliwości przekształcenia się Polski (i prawie całej postkomunistycznej Europy) w kraj Trzeciego Świata typu latynoamerykańskiego, ze skorumpowanym kapitalizmem oligarchiczno-politycznym, zamiast harmonijnego przejścia do „normalnego” demokratycznego Zachodu, co miało być celem polskiej transformacji.

W formie nieco złagodzonej podobny dyskurs pojawił się później u populistycznych przywódców „Solidarności” i w ideologii Prawa i Sprawiedliwości, partii niezadowolonej z mizernych rezultatów polskich przemian i z objawów rzeczywistej „latynizacji” Polski (jedynie Chile wydawało się być wyjątkowym krajem, który dzięki krwawej łaźni miał rzekomo trwale przezwyciężyć biedę)³. „Pozytywną” rolę polityczną (przynajmniej w sensie dydaktycznym) miała odgrywać szeroka popularyzacja seriali latynoskich w polskiej telewizji publicznej wczesnego okresu transformacji. Te realistyczne seriele wedle słabo skrywanej opinii autorytarnych liberałów miały pokazać masie ludności, „zdeprawowanej” przez komunizm i przez tzw. robotniczą „Solidarność”, właściwe, „przykładne” relacje między nielicznymi elitami finansowymi a liczną służbą nisko urodzonych.

Kraje Europy Środkowo-Wschodnich, które wstąpiły z czasem do Unii Europejskiej, skupiły uwagę na intensyfikacji stosunków z Europą Zachodnią i Sta-

nami Zjednoczonymi, a Ameryka Łacińska uznana została za „naturalną” strefę wpływów USA i zaczęła mieć marginalne znaczenie dla postkomunistycznej Europy. Latynoamerykańskie doświadczenia z przechodzeniem do demokracji z czasem przestały interesować Europę Wschodnią, uważającą się za należącą już w pełni do „wyższej” cywilizacji. W wysokonakładowej, półoficjalnej prasie i w dyskursie prawniczych publicystów i polityków, zwłaszcza polskich, pojawiała się niechęć, a nawet pogardliwy ton w stosunku do lewicującej Ameryki Łacińskiej (częściowo też w odniesieniu do Hiszpanii rządzonej przez PSOE).

Również w Rosji, pogrążonej w głębokim kryzysie za czasów Borysa Jelcyna, pojawiło się wiele prac porównujących jej nowe problemy do tych dobrze znanych z najnowszych dziejów Ameryki Łacińskiej. Z czasem jednak pozycja Rosji w globalnym świecie znacznie wzrosła i znowu wzmacnia ona więzi z krajami Ameryki Łacińskiej poszukującymi skutecznej przeciwwagi dla hegemonii USA. Nowa postkomunistyczna Rosja nadal jednak nie podjęła strategicznej decyzji – pogłębiać sojusz z Europą Zachodnią i Ameryką Północną (chodzi tu o tzw. północną strefę bezpieczeństwa cywilizacji „białego” człowieka, rozciągającą się od Vancouver do Władywostoku) czy budować euroazjatyckie mocarstwo w ścisłym sojuszu z krajami Południa: Chinami, Indiami oraz radykalnymi krajami islamskimi (Iran) i latynoamerykańskimi. Polska aktualnie toczy geopolityczne zmagania z Rosją, jako niedoszły protektorat⁴ USA marzy o pozycji mocarstwa środkowoeuropejskiego, ale jej mesjanistyczne zapędy nie przynoszą rezultatów. Ani Polska, ani tym bardziej żaden inny duży kraj tego regionu (Ukraina, Rumunia) nie należy do grupy 20 największych gospodarek świata, do której należy już coraz więcej krajów Południa. Mimo to wielu przedstawicieli prawicy wciąż marzy, by przekształcić Polskę w regionalne mocarstwo, a nawet chciałoby przekształcić ją w tarczę skierowaną przeciwko cywilizacji prawosławnej, islamskiej i chińskiej⁵. Niedawna rezygnacja przez prezydenta Baracka Obamę z instalacji elementów tarczy rakietowej w Polsce i w Czechach początkowo uznana została przez prawniczych oszołomów za zdradę, podobnie jak kiedyś za zdradę rewolucji uznali lewicowi radykałowie wycofanie przez Nikitę Chruszczowa instalacji nuklearnych z Kuby.

Rozważania o globalizacji

Powszechnie podkreśla się, że w procesie globalizacji główną rolę odgrywają czynniki ekonomiczne: powstawanie globalnego rynku, globalna dominacja wielkich ponadnarodowych korporacji, wzrost obrotów handlu międzynarodowego, nasilenie przepływu kapitału, towarów i technologii.

¹ Zob. *Eastern Europe and Latin America in the 20th Century*, „Estudios Latinoamericanos”, Warszawa 1992, vol. 14, dwa tomy.

² Oto kilka pozycji z ostatnich lat: H. Szlajfer, *Droga na skróty. Nacjonalizm gospodarczy w Ameryce Łacińskiej i Europie Środkowo-Wschodniej w epoce pierwszej globalizacji*, INP PAN, Warszawa 2005; (Un)Civil Societies. *Human Rights and Democratic Transitions in Eastern Europe and Latin America*, Ed. R. A. May, A. K. Milton, Lanham, Md, Lexington Book, 2005.

³ Warto byłoby też wspomnieć o próbach wzorowania się w Polsce na chilijskiej, rzekomo w pełni udanej reformie emerytalnej. W Polsce za rządów Jerzego Buzka bardzo często pokazywano w państwowej telewizji energiczne emerytki żwawo pluskające się gdzieś w egzotycznych morzach za duże pieniądze, ponoć możliwe do uzyskania ze sprywatyzowanego systemu emerytalnego. Temu celowi służyło m. in. „szybkie” wydanie w Warszawie przez Centrum im. Adama Smitha propagandowej broszury José Piñera (twórcy reformy emerytalnej w Chile) *El cascabel al Gato. La batalla por la Reforma Provisional*.

⁴ Jako pierwszy użył tego terminu Zbigniew Brzeziński, a Lech Wałęsa - mówiąc kiedyś pół żartem, pół serio - jako dobry sposób na rozwiązanie polskich problemów uznał wypowiedzenie wojny USA, a następnie szybkie poddanie się.

⁵ Dalszym ciągiem tego szalonego pragnienia było niedawne uhonorowanie przez prezydenta RP najwyższymi odznaczeniami państwowymi głównodowodzącego armii USA w Azji Centralnej, gen. Davida Petraeus. Fakt ten nastąpił w 70. rocznicę tragicznej śmierci Polaków na wschodzie w Katyniu, a zarazem w przeddzień tragicznej śmierci w katastrofie lotniczej w pobliżu Katynia, donkiszoteryjnie stawianej polskiej elity polityczno-wojskowej. Była ona przekonana, że „polski lotnik jak trzeba to i na drzwiach od stodoły polecie!”, ogarnięta mistyczną wiarą w duchową lewitację, zapomniała na moment o fizycznych prawach grawitacji.

W wyniku globalizacji rozprzestrzeniają się podobne zjawiska i procesy w różnych częściach świata. Nie oznacza to jednak globalnej homogenizacji i uniformizacji wszystkich aspektów życia ludzkiego, zaniku różnorodności kulturowej i narodowej. Typowymi nurtami epoki globalizacji są przeciwieństwo postmodernistyczny pluralizm, pełen tolerancji multikulturalizm, antyfundamentalizm i neoliberalizm (ten ostatni może zawierać wątki autorytarne). Postępująca globalizacja przyczyniła się do zniesienia żelaznej kurtyny między Wschodem a Zachodem, do upadku komunizmu, ale nie przewyciężyła napięć między biednymi a bogatymi, między czołową gospodarczą a resztą świata, między wygranymi a przegranymi, między Północą a Południem, między centrami a peryferiami.

Procesy globalizacji, jakie nasiliły się w epoce postindustrializmu, postmodernizmu i postkomunizmu w końcu XX wieku, wywołują wiele kontrowersji, obejmują wiele zróżnicowanych zjawisk z obszaru gospodarki, kultury, demografii i życia społeczno-politycznego. Gwałtowny rozwój środków komunikacji i rewolucja informacyjna doprowadziły do kurczenia się czasoprzestrzeni, wyeliminowały dawne bariery między odległymi krajami, pogłębiły poczucie jedności i współzależności różnych obszarów dzisiejszego, coraz bardziej integrującego się świata. Oprócz ambiwalentnej integracji wyraźnie dostrzega się też procesy dezintegracji, niebezpiecznego chaosu i chronicznej niepewności.

Jako reakcja na globalizację, oprócz otwartych tendencji antyglobalistycznego nacjonalizmu o konserwatywnym obliczu, pojawiają się, głównie w Ameryce Łacińskiej, ciekawe nurty alterglobalistyczne, wskazujące na możliwość propagowania innej globalizacji, obejmującej ideę globalnej sprawiedliwości i solidarności, a zwłaszcza globalizacji solidarności z ubogimi. Bliżsi im są myśliciele wywodzący się z tradycyjnej i ponowoczesnej lewicy oraz z katolickiej nauki społecznej. W świecie powstało wiele teorii interpretujących procesy globalizacji, internacjonalizacji i uniwersalizmu. Godną uwagi jest zapomniana polska tradycja refleksji uniwersalistycznej, obejmująca rozmaite typy filozoficznego myślenia rozwijane na ogół na bazie narodowości i uniwersalizmu chrześcijańskiego.

Kultura – społeczeństwo – zależność

Przed analizą związków zachodzących między kulturą a społeczeństwem na obszarach Ameryki Łacińskiej i Europy Wschodniej, poświęcić należy nieco uwagi naturze samych społeczeństw w interesujących nas tu, pozornie tylko odległych od siebie krajach. Pożyteczne jest tu krytyczne nawiązanie do teorii zależności powstałej w Ameryce Łacińskiej, a także do uogólnionej i zmodyfikowanej przez Immanuela Wallersteina koncepcji tzw. kapitalistycznej gospodarki-światowej i systemu światowego. Polscy historycy pod kierunkiem Tadeusza Łepkowskiego już w latach 70. rozpoczęli badanie społeczeństw latynoamerykańskich w kategoriach zależności, owocnie nawiązywali też do prac Wallersteina, a Marian Małowist był nawet jednym z jego prekursorów. Ryszard Stemplowski już w latach 70. XX wieku zwrócił uwagę na to, że kategorie centrum, peryferia, dominacja, zależność, itp. mają zastosowanie nie tylko w badaniach nad historią Ameryki Ła-

cińskiej i Trzeciego Świata, ale odnoszą się również do zróżnicowanej wewnętrznie Europy.

Zależny typ rozwoju dostrzegamy tak w filozofii i kulturze Ameryki Łacińskiej, jak i Europy Wschodniej. Choć unikać należy stosowania mechanicznych schematów w dziedzinie kultury, podejście zależnościowe i socjologiczne wydaje się być płodne również w badaniach historyczno-filozoficznych. Ulegało mu w dużym stopniu wielu badaczy filozofii latynoamerykańskiej, począwszy od Augusto Salazara Bondy i Leopolda Zei aż do nowszych nurtów filozofii wyzwolenia.

Pamiętać trzeba, że aby poznać myśl rosyjską, polską, czeską, meksykańską i latynoamerykańską w ogóle, nie można ograniczać się do prac o charakterze ściśle filozoficznym, ponieważ najbardziej abstrakcyjne kwestie filozoficzne nie stanowiły na ogół wyróżnionego pola badawczego w krajach peryferyjnych. W krajach tych myśliciele koncentrowali uwagę na problemach filozofii społecznej, moralnej i politycznej, a ich religijna metafizyka i etyka chciała analizować ułomności zastanego przez filozofów społeczeństwa. Zagadnienia te podejmowała nie tylko filozofia, ale i szeroko pojmowana literatura. Problemy pojawiające się po utracie niepodległości przez liczne kraje Europy Wschodniej i nie mniejsze utrapienia po jej uzyskaniu przez kraje Ameryki Łacińskiej, skłaniają nieustannie do refleksji nad przyczynami ciągłych niepowodzeń i braku wolności.

Nowe, często utopijne idee, importowano jednocześnie i ze znacznym opóźnieniem z Europy Zachodniej do Ameryki Łacińskiej, do Rosji i licznych krajów Europy Wschodniej. Przyjmowane one tam były z wielkim, niemalże religijnym entuzjazmem, często znacznie większym niż w tych krajach, gdzie powstały. Łączono je w sposób eklektyczny i traktowano jako gotowe odpowiedzi na palące problemy społeczne, łatwe do natychmiastowego, praktycznego zastosowania. Tak było kiedyś z pozytywizmem, marksizmem, a niedawno i z neoliberalizmem ekonomicznym.

W ostatnich dziesięcioleciach wielu myślicieli w Ameryce Łacińskiej zastanawiało się nad rolą filozofii w społeczeństwie, nad problemem jej narodowej oryginalności i autentyczności, zastanawiało się nad tym w większym jeszcze stopniu i bardziej radykalnie niż było to w zwyczaju kiedyś w Rosji i w Polsce. Prekursor latynoamerykańskiej filozofii wyzwolenia, znany peruwiański filozof Salazar Bondy, starał się wykazać, że w Ameryce Łacińskiej zawsze istniał wielki dystans między tymi, którzy uprawiają filozofię, a całą resztą społeczeństwa. Kraje te, zależne kolejno od Hiszpanii, Anglii i Stanów Zjednoczonych, stały się również krajami o zdominowanej kulturze (Salazar Bondy, 1969: 121). Społeczno-kulturowym skutkiem zależności jest zdeformowane społeczeństwo i ułomna kultura, którą filozofia zastaje. Filozofia ta staje się też naśladowcza i zależna.

Inni autorzy latynoamerykańscy byli na ogół mniej nihilistycznie nastawieni niż Salazar Bondy w ocenie dotychczasowej filozofii na ich kontynencie i jej społecznych funkcji. Na pomocną rolę filozofii w dziele wyzwolenia i przygotowania rewolucji społecznej, budowy nowego systemu politycznego, wskazywało bardzo wielu filozofów, zwłaszcza marksistów z Ameryki Łacińskiej i Europy Wschodniej. Ostatnio jednak, w rezultacie upadku wielu rewolucyjnych projektów i praktycz-

nych prób ich realizacji narosta, zwłaszcza w Europie Wschodniej, frustracja i melancholia, spowodowane niewydolnością wszelkiego procesu wyzwolenia, wyzwolenia prowadzącego często do nowych deformacji społecznych, do subzależności w ramach peryferii i do nowego zniewolenia. Poszukuje się zatem nowych, bardziej nowoczesnych niż zależność i wyzwolenie paradygmatów myślowych w celu realizacji idei jedności Europy, Ameryki i całego świata. Stąd biorą się liczne postulaty tworzenia filozofii interkulturowej i uniwersalistycznej (Janusz Kuczyński).

Już tych kilka przytoczonych głosów z Europy Wschodniej i Ameryki Łacińskiej świadczy o wspólnocie niepokojów twórczych i „przeklętych pytań” często stawianych przez myślicieli w obu biednych, pozornie tylko oddalonych od siebie rejonach świata.

Wskazywano też na swoiste cechy środkowoeuropejskiej, zwłaszcza polskiej, zbyt wyidealizowanej i nieco wypaczonej percepcji Europy i europejskości, co widoczne jest w naszych ciągle podejmowanych powrotach do Europy. Niechętnie pamięta się o tym, iż Polska od wieków leżała na peryferiach Europy, co świadczy o nie w pełni zachodnim charakterze naszej cywilizacji. Niepełna europejskość Polaków jest widoczna, jak sygnalizuje Marcin Kula (1994: 44-52), w częstszym niż gdzie indziej kompensacyjnym zapewnianiu, że Polska to na pewno Europa. Mimo licznych kompleksów wobec Zachodu znacznie częściej wybierano pragnienie całkowitej okcydentalizacji niż gniewne odwracanie się od Zachodu.

Również intelektualiści latynoamerykańscy wielokrotnie zastanawiali się nad charakterem związków zachodzących między ich krajami a Zachodem. Jedni twierdzili, że Ameryka Łacińska należy do Zachodu, inni temu zaprzeczali. Tendencja do silnego podkreślania swego okcydentalizmu charakteryzowała zwłaszcza te kraje Ameryki Łacińskiej, które zamieszkuje prawie wyłącznie ludność pochodzenia europejskiego.

Na początku XX w. pojawił się w Ameryce Łacińskiej nowy typ okcydentalizmu, przeciwstawny bezkrytycznemu uwielbieniu Stanów Zjednoczonych. Ta reakcja na północnego sąsiada wyraziła się w twórczości Urugwajczyka José Enrique Rodó (1872-1917). Humanistyczny idealizm i prometeizm Rodó były skierowane przeciwko utylitarystycznej cywilizacji amerykańskiej, a w jego myśli istotnego znaczenia nabiera opozycja Hispanoameryki i Angloameryki. Jest to proeuropejski okcydentalizm, świadomy niektórych negatywnych aspektów kultury masowej i utylitarnej ideologii. Taki okcydentalizm, ograniczony do klasycznych korzeni kultury zachodnioeuropejskiej, był obecny także w niektórych wariantach okcydentalizmu środkowo- i wschodnioeuropejskiego, które krytkowały powierzchowność niektórych wytworów masowej kultury amerykańskiej.

Wedle Leopolda Zei (1948), wybitnego filozofa meksykańskiego, amerykańskość nie może zostać odkryta w dawnych wierzeniach Azteków i Majów. Amerykańskość wynika z europejskości, jako że wszyscy mieszkańcy Nowego Świata próbują ją naśladować. Gdy przyswajają sobie kulturę europejską, czują, że powinni to czynić, lecz odczuwają niepewność co do własnych możliwości. Zea podkreślał z całą mocą, że Latynoamerykanie nie są dziedzicami kultur tubylczych, ale odczuwają jednocześnie, że kultura

europejska jest im obca, jakkolwiek rozumiała. Pragnąc stać się Europejczykami wielu Latynoamerykanów próbowało zapomnieć o swoim specyficznym bycie, co przypomina sytuację syna zapominającego o tym, że jest synem i pragnącego być własnym ojcem.

Jakkolwiek krytycznie nastawiony do licznych aspektów cywilizacji zachodniej, Zea kładł zwykle nacisk na to, że Latynoamerykanie są potomkami kultury europejskiej, z Europy pochodzi ich język, religia, zwyczaje i wizja świata. Nie mogąc zanegować tych korzeni powinni jednak zachować swoją osobowość, która jest odmienna od europejskiej, podobnie jak dzieci są odmiennie od swoich ojców. Jako spadkobiercy kultury europejskiej, Latynoamerykanie powinni zająć oddzielne w niej miejsce, miejsce odpowiedzialnych współtwórców.

Latynoamerykanie wiedzą, że pozycja ich krajów jest peryferyjna w stosunku do Zachodu i zależna w stosunku do krajów najwyżej rozwiniętych. I chociaż stopień zależności nie jest tak wysoki jak w czasach kolonialnych, to nadal zachowują poczucie krzywdy i pewien kompleks niższości. Istnieją różne rodzaje zależności myśli i rzeczywistości latynoamerykańskiej od normy europejskiej, co nie przez wszystkich filozofów uważane jest za nieszczęście. Wedle Celiny Lértory de Mendoza (1992) *mimesis* i postawy naśladowcze są tak samo wartościowe, jak i inne opinie i nie oznaczają w żadnym stopniu poniżenia własnej wartości czy zaprzeczania swej tożsamości. Aktualne procesy globalizacji sprzyjają podporządkowaniu.

W Europie nieczęsto zaliczano Amerykę Łacińską do świata zachodniego. Wedle Hegla Ameryka Południowa nadal należała do przestrzeni geograficznej, a nie do świadomej historii. Wedle niego duch nie wstąpił do Ameryki Południowej, podobnie jak i do Europy Wschodniej. Kraje słowiańskie późno pojawiły się w dziejach ludzkości i pozostawały w związku z Azją. Do swych rozważań historiozoficznych Hegel nie włączył ani słowiańskich, ani południowoamerykańskich narodów czy „mas ludzkich”, ponieważ nie występowały one jako niezależna siła w historii. Narody słowiańskie w swej większości zajmowały się rolnictwem w układzie pan-niewolnik. Ponadto w rolnictwie to siły przyrodnicze – twierdzi Hegel – spełniają dominującą rolę, a nie subiektywna przebiegłość. To z tego powodu jego zdaniem Słowianie dość późno sformułowali swą subiektywną osobowość i państwowość. Dlatego nie mogli uczestniczyć w rozwoju duchowej wolności.

Jeszcze w XX w. Ameryka Łacińska została wykluczona z pojęcia Zachodu ukształtowanego przez Spenglera i kilku innych myślicieli, ale wielu zaliczyło ją już do dalekiego Zachodu, niekoniecznie dzikiego czy barbarzyńskiego.

Z innego punktu widzenia lewicowi myśliciele latynoamerykańscy zwykli akcentować swoistą niepowtarzalność własnych krajów, specyficzne aspekty „metyckiego” kontynentu, zwykli dostrzegać pozytywne elementy w dziedzictwie indiańskim, rehabilitując w ten sposób obraz Kalibana symbolizujący „dzikie” istoty, które zamieszkiwały Amerykę prekolumbijską.

Z powyższych rozważań można wyciągnąć wnioski, że niektórzy wschodni Europejczycy i południowi Amerykanie posiadali podobne wzory myślenia w stosunku do Zachodu. Rosjanie, jak Piotr Wielki i jego

następcy, oraz Argentyńczycy jak Sarmiento, pragnęli wyrwać swoje kraje z tradycyjnego barbarzyństwa pochodzenia azjatyckiego czy indiańskiego.

Dzisiejsi neoliberalowie latynoamerykańscy, już coraz mniej liczni, są nadal głęboko przekonani, że Ameryka Łacińska stanowi część Zachodu, wierzą, że ich rządy już wkrótce, dzięki dalszej liberalizacji gospodarczej, wprowadzą ich kraje z Trzeciego do Pierwszego Świata. Charakterystyczne dla latynoamerykańskich liberałów, podobnie jak i dla liberałów środkowoeuropejskich, było do niedawna przekonanie, że bogata cywilizacja zachodnia przy odrobinie dobrej woli łatwo może zostać upowszechniona na jej peryferiach, a nawet poza nimi, na całym świecie. Liberałowie ci żywili do niedawna wczesnokomunistyczne, naiwne przekonanie o niczym nieograniczonych możliwościach rozwoju gospodarczego całego świata. Nie dostrzegali na ogół ograniczeń ekologiczno-surowcowych, związanej z nimi konieczności innego rozwoju i radykalnej zmiany mentalności.

W stronę uniwersalizmu

Wysiłki stworzenia, rozwinięcia czy zbudowania od nowa filozofii, światopoglądu, wizji, postawy uniwersalistycznej – czy tylko próby ugruntowania postulatu uniwersalizmu – były podejmowane od dość dawna w licznych krajach świata. Wśród tych prób znajdują się zarówno takie, które bezpośrednio odnoszą się do tego wieloznacznego pojęcia, jak i takie, które na ogół milcząco zakładają lub implikują jakiś uniwersalizm. Stosunkowo liczne były takie wizje w kulturach Polski i Ameryki w XIX i XX wieku, których twórcy, a nie tylko ich komentatorzy sami i wprost określali swą bardziej lub mniej dopracowaną filozofię jako uniwersalizm.

Wspomniany polski filozof Janusz Kuczyński jest autorem najbardziej rozbudowanej z dotychczasowych wizji uniwersalizmu (dość szeroko znanej w Polsce i w obszarze anglojęzycznym). Uniwersalizm Kuczyńskiego jest niezależnym i oryginalnym ukoronowaniem różnych światopoglądów uniwersalistycznych. W jego ujęciu uniwersalizm ma wiele znaczeń; jest to przede wszystkim metafizologia i metateoria ludzkości przechodząca od stanu „w sobie” do wyższego stanu „dla siebie”, wychodząca od świadomości kryzysu wszelkich dotychczasowych filozofii. Ujmuje ona w syntetycznej formie całe bogactwo kultur, indywidualności i różnic w ich dążeniu do ogólnoludzkiej jedności. Uniwersalizm stanowi również intelektualną podstawę do prawdziwej tolerancji, otwartości, holistycznej integracji, synergetycznej kooperacji i zapowiedź wyłonienia się w świecie uniwersalistycznego społeczeństwa po upadku komunizmu, podminowanego najwcześniej w Polsce.

Uniwersalizm na nowo odrodzony, zreformowany i zinstytucjonalizowany w formie International Society for Universal Dialogue (ISUD) i jego krajowych oddziałów (organizacji zarejestrowanej w 1989 r. w Bostonie), spotkał się z pewnym zainteresowaniem w krajach Ameryki, zwłaszcza Ameryki Północnej (w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej słowo to nadal zbyt mocno kojarzy się z roszczeniami Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych do uniwersalnego panowania w świecie). Obecnie przewodniczącym ISUD jest Edward Demenchónok, rosyjski filozof latynoamerykanista mieszkający w USA.

Meksykanin Leopoldo Zea uważał, że filozofia amerykańska, która powstałaby z połączenia wartości kultury angloamerykańskiej i iberoamerykańskiej, stałaby się filozofią uniwersalną, zdolną do zatarcia różnic między Wschodem a Zachodem, do wyrażenia jedności świata. Wybitny filozof peruwiański Francisco Miró Quesada (1992: 206-209), dostrzega istotny dylemat między specyficznym rozumianym uniwersalizmem a historyzmem w myśli latynoamerykańskiej. Niedawno uznał on spór między uniwersalistami a latynoamerykanistami za centralny na swoim kontynencie. Nie tracąc optymizmu uznał, że Ameryka Łacińska jest w stanie stworzyć nową filozofię syntetyczną i uniwersalistyczną, która nadejdzie w XXI w. po koniecznej analizie filozoficznej i pozwoli połączyć poznanie teoretyczne z mądrością i moralnością opartymi na godności, wolności i ludzkiej twórczości (Quesada 1998: 61-77).

Problem uniwersalności filozofii i kultury latynoamerykańskiej podnosił ostatnio także wielu innych myślicieli tego regionu. Przykładowo urugwajski filozof Acosta (2005) optuje za uniwersalizmem konkretnym zamiast dość mglistego i abstrakcyjnego, w sumie fałszywego, uniwersalizmu zachodniego. Autor w swych filozoficznych i humanistyczno-politycznych rozważaniach wielokrotnie powołuje się na twórczość Karola Marksa i José Martíego, a z nowszych autorów znajduje inspirację u Immanuela Wallersteina, Franza Hinkelammerta (teologa wyzwolenia zamieszkałego ostatnio w Kostaryce), u zapatystów i u swych wielkich mistrzów z rejonu La Platy – Artura Andrés Roiga i Artura Ardao. Acosta rozwija tezę o głębokim, uniwersalnym humanizmie tkwiącym w filozofii latynoamerykańskiej i stanowiącym o jej tożsamości. Filozofia ta jako myśl krytyczna dostrzega ograniczenia innych dziedzin działalności człowieka zamkniętych całkowicie w ekonomicznym mechanizmie rynku, w jego totalizującej „racjonalności”, która prowadzi do wykluczenia znacznych odłamów społeczeństwa, a więc do radykalnego antyhumanizmu, zamiast do demokratycznego świata społecznego, w którym znalazłoby się godne miejsce dla wszystkich. Wielu filozofów latynoamerykańskich i ich zwolenników – sygnalizuje Demenchónok (1999: 39-63) – krytykuje technokratyczne, zbyt eurocentryczne i okcydentalistyczne wizje globalizacji. Wskazują na dużą rolę kultury, nowej myśli wyzwolenczej i moralnej uniwersalności, na potrzebę myśli postkolonialnej i postokcydentalistycznej. Studia postkolonialne ostatnio również w Polsce znalazły wielu godnych uwagi badaczy.

Fernando Ainsa w ślad za Edgarem Morinem wiąże duże nadzieje z tzw. drugą globalizacją czy mundializacją, dla której istotne są takie kwestie jak demokracja bezpośrednia i szersza obrona praw człowieka, a nie tylko globalizacja ekonomiczno-finansowa. Jej pierwszymi efektami jest kształtowanie się przekonania, że inny świat jest możliwy, a zatem możliwe jest kształtowanie się obywatelstwa planetarnego, obrona praw ludów, a nie tylko indywidualnych praw człowieka. Powraca na Południu, a zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej, marzenie o demokracji partycypacyjnej i radykalnej⁶,

⁶ Zob. dwa teksty F. Ainsa, *Adiós a la utopía? Balance, cuestionamiento y propuestas para un pensamiento fundacional en la América Latina* i H. Cerutti Guldberg, *Nuestra América integrada y democrática: sueño diurno?*, помещенные в Dembicz, Andrzej, coord. (2009).

o której polska, początkowo lewicująca i wyzwolenicza „Solidarność” raczej zapomniata.

Meksykański lewicowiec Aguirre Rojas (2007) uważa, iż peryferyjna, przez wieki zepchnięta na margines i wciąż zależna od obcych mocarstw Ameryka Łacińska zaczyna odgrywać coraz bardziej podmiotową rolę w skali globu. Subkontynent obejmuje jedną szóstą powierzchni Ziemi, jego ludność osiągnęła 550 milionów osób (to już znacznie więcej niż połowa całego kontynentu amerykańskiego) i szybko rośnie, a więc co dziesiąty człowiek jest dziś Latynoamerykaninem i mówi trzecim (po chińskim i angielskim) pod względem liczby ludności językiem świata. Zatem Ameryka Łacińska i jej cywilizacja nie może już pozostawać niezauważona na scenie światowej. Szczególną uwagę światowej opinii publicznej zwraca lewicowy zwrot w Ameryce Łacińskiej, gdzie zdecydowana większość partii zdobywających władzę sytuuje się dziś na lewo od politycznego centrum.

Ostatnio interesujące efekty przynosi próba zbudowania filozofii międzykulturowej, bazującej na solidarnym dialogu wszystkich, jednakowo traktowanych kultur. Filozofia ta korzysta z doświadczeń latynoamerykańskich i pozaeuropejskich. Filozofia międzykulturowa w ujęciu Raúla Fornet-Betancourta (2000), kubańskiego emigranta żyjącego w Akwizgranie, występuje przeciwko neoliberalnej, uniformizującej globalizacji planety, przeciwko pośpiesznym zamiarom stworzenia jednorodnej kultury światowej. Filozofia ta dąży do prawdziwej uniwersalności nie poprzez forsowną unifikację, ale wszechstronną komunikację między różnymi kulturami tej samej ludzkości.

Do niedawna zwłaszcza w kołach rządzących dominowała neoliberalna, abstrakcyjna i technokratyczna wersja uniwersalizmu w obu Amerykach i jako taka była uznawana za najwyższą ekspresję uniwersalizmu. Jej zwolennicy chcieli zmienić radykalnie kulturę latynoamerykańską, uczynić ją bardziej pragmatyczną i kompatybilną z wymogami centrów zachodniego świata. Politycy wprowadzający neoliberalne metody w Ameryce Łacińskiej (i w Polsce) obiecali zmodernizować swe kraje, wprowadzić je do Pierwszego Świata, do Zachodu, do Ameryki (Północnej) i do Europy (Zachodniej). Jednakże latynoamerykańscy intelektualiści preferują zwykle te wersje uniwersalizmu, które odrzucają wszelką jednostronność, szeroko uwzględniają pluralizm, rozmaite style życia, co jest istotnym składnikiem „metyskiego kontynentu”. W obawie przed zgnieceniem przez zewnętrzne potęgi podchodzą do nieodzownego uniwersalizmu, planetarnych wymiarów dzisiejszego świata, biorąc za punkt wyjścia własną partykularność.

Stosunkowo łatwe nawiązywanie do uniwersalistycznych koncepcji w krajach obu Ameryk wiąże się ze specyficznym charakterem kultur amerykańskich jako tygla, w którym wymieszały się różne rasy, narody i kultury. Dla Ameryki Łacińskiej istotny był zawsze z jednej strony konflikt między własną partykularnością a dążeniem do uniwersalności, a z drugiej zaś dążenie do wszechobejmującej syntezy kulturowej. Dodajmy, że również Polska, leżąca na pograniczu międzykulturowym między Wschodem a Zachodem, często uważana była za możliwego pośrednika między różnymi cywilizacjami, za katalizatora nowej uniwersalistycznej

cywilizacji. W nieco podobny sposób spoglądali na kulturę hiszpańską i cały świat iberoamerykański autorzy z Hiszpanii i Latynoamerykanie. Meksykanin José Vasconcelos marzył o powstaniu w Ameryce Łacińskiej tzw. rasy kosmicznej, łączącej w sobie najlepsze cechy ludzkości; zmarły stosunkowo niedawno wybitny filozof hiszpański Rivera de Ventosa uważał, że największym wkładem hispanojęzycznej myśli do kultury był jej sens i wyraz uniwersalistyczny.

Wizja nowego uniwersalizmu przenika też ideę globalnego społeczeństwa obywatelskiego. Wielu ludzi marzy dziś o nowej sile, która przemawiałaby w interesie całej ludzkości, wyrażałaby potrzeby i marzenia ponad sześciu miliardów ludzi zamieszkujących naszą planetę, a nie działałaby w egoistycznym interesie poszczególnych narodów. Takiej kontrolnej przeciwwagi dla postawy rządu Stanów Zjednoczonych nie może stanowić dziś żaden kraj czy grupa narodów. Jedynie wyłaniający się globalny ruch obywatelski, utożsamiający się z interesami światowej społeczności, może stanowić dziś przeciwwagę dla partykularyzmu USA.

Od starych do nowych zależności

Wraz z upadkiem realnego socjalizmu ogłoszono upadek wszelkiego marksizmu, lewicowej teologii wyzwolenia i teorii zależności. Triumfy, zwłaszcza w Polsce, zaczęły święcić neoliberalne teorie modernizacji, propagujące złudzenia na temat równości i solidarności różnych narodów zachodniej cywilizacji łacińskiej, przynoszące nadzieję na nowoczesność i dobrobyt dla wszystkich zacofanych krajów, jeżeli będą posłusznie imitować zachodnią demokrację i wolnorynkową gospodarkę kapitalistycznego centrum, i nie będą uciekać się do rewolucji. Ostatnio jednak w Polsce i na świecie znowu nawiązuje się do kategorii wypracowanych przez Argentyńczyka Raúla Prebisha, który już dawno temu podważył mit rozwoju peryferii na obraz i podobieństwo centrów.

Wielu autorów nadal za aktualny uważa podział świata na centrum i peryferie, taki model rozwoju globalnej gospodarki, w którym silne centrum narzuca swe reguły peryferiom i półperyferiom. Peryferyzację, w tym peryferyzację wewnętrzną, uważa się za stan normalny w epoce globalizacji. Przejście z pozycji państw peryferyjnych do centrum jest niezwykle trudne, aczkolwiek możliwe (zaledwie kilku krajom spośród ponad dwustu to się udało). Awans w hierarchii z peryferii lub półperyferii do centrum lub rdzenia systemu światowego powoduje z reguły degradację innego państwa. Niektórzy propagandziści wskazują właśnie na te nieliczne przykłady przechodzenia od peryferii do centrum (dotyczy to zwłaszcza małych czy stosunkowo słabo zaludnionych krajów, jak Irlandia, Finlandia, Tajwan czy Singapur). Zwłaszcza w Polsce panuje przekonanie, że wraz z wejściem do Unii Europejskiej napłyną poważne środki, które zapewnią awans z marginesu Europy do centrum świata, choć część eurosceptyków uważa to za naiwność, a za realną uważa groźbę utrwalenia się znanego z dawnych lat latynoamerykańskiego modelu kapitalizmu zależnego. Względy psychologiczne i interes społeczny wymagają wiary we własne siły, wymagają odrobiny uniwersalistycznego optymizmu, by wierzyć w możliwość wyjścia poza fatalistyczny determinizm zależności peryferii od centrum, wierzyć

w skuteczne działanie zasady solidarności w poszerzonej Unii Europejskiej.

Wpływ teorii zależności i systemu światowego widoczny jest obecnie u wielu polskich autorów występujących z pozycji skrajnie lewicowych, konsekwentnie prawicowych i centrowych. Wedle Przemysława Wielgosza w krajach Europy Środkowej i Wschodniej odtwarzają się dawne, niesymetryczne zależności na linii centrum-peryferia. Również prawicowo nastawiona Jadwiga Staniszkis po krótkim okresie modernistycznego entuzjazmu w ujmowaniu polskiego procesu przechodzenia do demokracji zaakceptowała wiele tez pesymistycznej teorii zależności: „Rosną kontrasty i sfery trwałego, bez nadziei na poprawę, ubóstwa z umywającym ręce państwem”. W Pekinie doszła ona do wniosku, że polska rewolucja najprawdopodobniej skończy się klęską, czyli trwałym statusem peryferii przemysłowych.

Władysław Baka, aktywny uczestnik obrad Okrągłego Stołu po stronie rządowej, stwierdził niedawno, że transformacja może w rzeczywistości okazać się kolejną nieudaną próbą wyprowadzenia Polski z peryferii do centrum cywilizacyjnego, a szansa historyczna, będąca nadal udziałem naszego kraju – zmarnowana. Nieco podobne obawy wyraził ostatnio Zdzisław Krasnodębski. Czołowy ideolog Prawa i Sprawiedliwości, jakby przejęty diagnozą Baki stwierdził niedawno, że nieudany projekt IV RP wyrastał z przekonania, że polskie państwo wykazuje wszystkie cechy państwa peryferyjnego, słabego i że należy dokonać jego wzmocnienia i sanacji także po to, by mogło właściwie funkcjonować w ramach Unii Europejskiej.

Tradycyjnie świadomość polska (także węgierska, słowacka, itp.) żywiła się dość długo oszukańczym mitem o przynależności peryferyjnej i katolickiej Polski do kulturowo-cywilizacyjnego centrum świata. Ostatnio w Polsce utrwala się świadomość, że formalna przynależność do Unii Europejskiej i do NATO nie spowodowała silnego zakotwiczenia się Polski w zachodniej strefie dobrobytu i bezpieczeństwa. Ustrój polityczny, który powstał w wyniku pokojowego przejścia do formalnej i wciąż nieskonsolidowanej demokracji, określa się jako postkomunizm, jako kulawą demokrację lub kapitalizm zależny i peryferyjny, pod wieloma względami bardziej podobny do krajów pozaeuropejskich niż do Europy Zachodniej.

Woluntarystycznie nastawiona prawica polska głosiła kiedyś, że wraz z przejściem do demokracji nastąpi przejście od usytuowania Polski na peryferiach systemu światowego do kapitalistycznego centrum. Niemożność osiągnięcia tego wywołała rozczarowanie i populistyczną złość na pokojowe, nazbyt „hiszpańskie” przejście do „fasadowej” demokracji, skłoniła do poszukiwania kosztów ofiarnych wśród postkomunistów i lewicowo-liberalnych architektów pokojowej przemiany ustrojowej, skłoniła do podjęcia autorytarno-konserwatywnej, ostatecznie nieudanej próby ustanowienia nowego prawa i sprawiedliwości. Nawet wśród liberalnych komentatorów zaczyna upowszechniać się przekonanie, że 1989 rok nie doprowadził do wyrwania się Polski z peryferii systemu światowego, a bardziej prawicowi autorzy (Jadwiga Staniszkis, Robert Krasowski) dochodzą nawet do wniosku, że mimo „potrzeby walenia głową w mur” (postulat Jarosława Kaczyńskiego) nie da się

uciec z peryferii i stworzyć na nich prawdziwego, w pełni demokratycznego Zachodu⁷.

EUGENIUSZ GÓRSKI

Bibliografia

ACOSTA, Yamandú (2005). *Sujeto y democratización en el contexto de la globalización. Perspectivas críticas desde América Latina*, Montevideo, Editorial Nordan-Comunidad.

AGUIRRE ROJAS, Carlos Antonio (2007). *América Latina en la encrucijada*, México, Editorial Contrahistorias.

DEMENCHONOK, Edward (1999). „La globalización y su planteamiento en la filosofía latinoamericana”. *CUYO. Anuario de Filosofía Argentina y Americana*. No. 16: 39-63.

DEMBICZ, Andrzej, coord. (2009). *América Latina. Interpretaciones a inicios del siglo XXI*, Varsovia, CESLA.

FORNET-BETANCOURT, Raúl (2000). *Interculturalidad y globalización*, Frankfurt am Main, San José, IKO.

GÓRSKI, Eugeniusz (1992). „El pensamiento filosófico y social latinoamericano desde la perspectiva europea oriental”, „Estudios Latinoamericanos” Wrocław, 15.

GÓRSKI, Eugeniusz (1994). *Dependencia y originalidad de la filosofía en Latinoamérica y en la Europa del Este*, México, UNAM.

GÓRSKI, Eugeniusz (2007a). *Civil Society, Pluralism and Universalism*, Washington, DC, Council for Research in Values and Philosophy.

GÓRSKI, Eugeniusz (2007b). *Globalization, Universalism and Changes in the World-System*, „Dialogue and Universalism”. Warsaw. No. 3-4: 85-102.

KULA, Marcin (1994). „Czy bliżej nam do Europy, czy do Ameryki Łacińskiej?”. En: W. Władysław (coord.) *Inni wśród swoich*. Warszawa, IBL PAN.

LÉRTORA DE MENDOZA, Celina Ana (1992), „European Culture in Argentina”, *Dialogue and Humanism*. Vol. II, No. 1: 69: 77.

MIRÓ QUESADA (1992), Francisco, „Historicismo y universalismo en la filosofía”. En: Marcelo Dascal (ed.), *Relativismo cultural y filosofía. Perspectivas norteamericana y latinoamericana*, México, UNAM: 206-209.

MIRÓ, Francisco (1998), „Universalismo y latinoamericanismo”, *Isegoría. Revista de Filosofía Moral y Política*, 1998, No. 19: 61-77.

PRZEWORSKI, Adam (1991). *Democracy and the Market: Political and Economic Reforms in Eastern Europe and Latin America*, Cambridge, Cambridge University Press.

SALAZAR BONDY, Augusto (1968). *Existe una filosofía de nuestra América?*, México, SIGLO XXI.

ZEA, Leopoldo (1948). *Ensayo sobre filosofía en la historia*, México, Stylo.

ŻUKOWSKI, Ryszard (2007). *Social Capital and Challenges of Development in Latin America and East Central Europe*, Warsaw University, CESLA.

⁷ Zob. szeroko komentowany, inspirowany twórczością Jadwigi Staniszkis, która dla prawicowych spekulacji politycznych wykorzystuje lewicowe teorie zależności i systemu światowego, esej R. Krasowskiego, *Dramat peryferyjnego rozumu*, „Dziennik” 11.05.2009.

LECH M. NIJAKOWSKI

KAPITALIZM I MASAKRY

Funkcje masakry w ewolucji kapitalistycznej gospodarki-świata na przykładzie Europy Środkowo-Wschodniej

Masakra pojawiła się jako mechanizm władzy wraz z pierwszymi cywilizacjami i towarzyszy ludzkości do dziś. Mimo rewolucyjnych zmian struktur społecznych, zasad gospodarowania, transformacji natury ludzkiej - masakry nie zaniknęły. Zmieniały się ich funkcje, ale doskonale dopasowywały się one do nowych zasad życia społecznego. Są niczym cień, który rzucają nawet najbardziej cywilizowane społeczeństwa. Aby należycie opisać masakrę niezbędne jest podejście interdyscyplinarne (należy uwzględnić zwłaszcza dorobek: socjologii, antropologii, psychologii społecznej, politologii) oraz historyczne. Doskonale nadaje się do tego socjologia historyczna Immanuela Wallersteina, który w wielu miejscach podkreśla, że kapitalistyczna gospodarka-świat (używa tego neologizmu, który przyjął się w polskich przekładach) szerzyła się w oparciu o kolonialne masakry i terror. Jednocześnie analiza w systemie pojęciowym Wallersteina masakr wczesnonowożytnych pozwoli na wzbogacenie jego teorii i ukazanie mechanizmów rozwoju kapitalistycznej gospodarki-świata, których nie diagnozował szczegółowo autor *The Modern World System*.

Użyta w tytule nazwa obszaru geograficznego wymaga komentarza. Nazwy takie, jak „Europa Środkowa”, „Europa Wschodnia”, „Mitteleuropa”, „Europa Słowiańska”, czy tytułowa „Europa Środkowo-Wschodnia” odsyłają nie tyle do obszarów o różnych granicach,

ile raczej do konkurencyjnych ideologii politycznych¹. Obecnie w dyskursie publicznym sukces odniósł termin przywołany w tytule. Jest to zwycięstwo „szkoły Haleckiego-Kłoczkowskiego”, wedle której termin ten miał oddawać istnienie historycznych związków tego obszaru z „obiema współczesnymi potęgami: środkowo-zachodnio-europejskimi Niemcami i wschodnioeuropejską Rosją, a jednocześnie podkreślać odrębność od obu potęg”². W niniejszym artykule tytułowy termin ma być nie tyle wyborem ideologicznym czy dopasowaniem się do siatki pojęciowej współczesnej informacji bibliograficznej, ile raczej wskazaniem na obszary geograficzne leżące w części centralnej i wschodniej Europy. Co istotne, interpretując myśl Wallersteina należy pamiętać, że podążał on za interpretacjami Mariana Małowista i Witolda Kuli, którzy posługiwali się pojęciem Europy Wschodniej. Dla Małowista prototypem Europy Wschodniej były jego studia nad strefą bałtycką³; Kula rozumiał ją bardzo polonocentrycznie⁴. Granice Europy Środkowo-Wschodniej (przede wszystkim w sen-

¹ Por. A. Podraza, „Europa Środkowa jako region historyczny”, referat wygłoszony na 17. Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich 15-18 września 2004 r., <http://jazon.hist.uj.edu.pl/zjazd/>; A. Sosnowska, *Zrozumieć zacołanie. Spory historyków o Europę Wschodnią (1947-1994)*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2004, s. 125 i n.

² A. Sosnowska, *Zrozumieć zacołanie...*, wyd. cyt., s. 142.

³ Tamże, s. 146-158.

⁴ Tamże, s. 163-164.

sie gospodarczym) zarysowały się w wyniku najazdu mongolskiego i wielkiego kryzysu strukturalnego rozwiniętych krajów Zachodu, którego kulminacja przypadła na połowę XIV wieku⁵. Ważną granicę południową Europy Środkowo-Wschodniej wyznaczały wpływy Imperium Osmańskiego, nie będącego pierwotnie częścią kapitalistycznej gospodarki-świata⁶. Piszząc o Europie Środkowo-Wschodniej mamy na myśli w tym artykule ziemie polskie, litewskie, ukraińskie, białoruskie i inne składowe Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Prusy krzyżackie (książęce), ziemie czeskie, węgierskie i mołdawskie.

Warto może podkreślić, że nawiązania Wallersteina do polskich historyków nie były zdawkowe. Bibliografia pierwszego tomu *The Modern World-System*⁷ zawiera 13 pozycji autorstwa Mariana Małowista i jedną Witolda Kuli; zaś drugiego tomu⁸ po 4 pozycje obu autorów. W trzecim tomie⁹ w bibliografii brak publikacji obu autorów. Nie są to jedyni autorzy polscy obecni w bibliografii.

Narodziny peryferii kapitalizmu

Wedle Wallersteina, istotą kapitalizmu jest nieustanna akumulacja kapitału. Kapitalizm nie redukuje się do gospodarki towarowej. Straty ekonomiczne wchłaniane są przez jednostki polityczne, a zyski, będące następstwem zawłaszczania wartości dodanej, przechodzą w prywatne ręce. Rozmiar gospodarki-świata zależy od poziomu technologii, a zwłaszcza od możliwości transportu i komunikacji w jej granicach. Kapitalistyczna gospodarka-świat narodziła się w „długim wieku XVI”, trwającym od ok. 1450 do 1620-40 roku. Kluczowe znaczenie dla powstania i szybkiego rozwoju miało odkrycie i podbój Nowego Świata, który stał się w pierwszej kolejności niewyobrażalnym dla ówczesnych mieszkańców Europy źródłem złota i srebra, które pozwoliło im konsumować i inwestować ponad stan (choć z czasem doprowadziło do kryzysu monetarnego). Dodajmy od razu, że ważnym „działem konsumpcji” była wojna, która spalała nie tylko ludzkie życie, ale i ogromne zasoby monarchów. Jednocześnie naturalnym zapleczem dla Zachodu – kolebki kapitalizmu – stała się Europa Środkowo-Wschodnia, eksportująca tanie zboże, drewno budowlane, bydło, futra, metale szlachetne, miedź, miód, воск, itd.

Znacząca terytorialna ekspansja kapitalizmu miała miejsce w latach 1750-1850¹⁰. Do gospodarki-świata włączono wtedy imperia rosyjskie i otomańskie, Azję Południową i część Azji Południowo-Wschodniej, Afrykę Zachodnią oraz pozostałe obszary Ameryk. W latach 1850-1900 system rozciągnął się na Azję Wschodnią, Afrykę i Oceanie. Tym samym pod koniec XIX wieku kapitalistyczna gospodarka-świat stała się systemem światowym.

⁵ H. Samsonowicz, „Strefy gospodarcze Europy w średniowieczu i wczesnej epoce nowożytnej. Próba analizy porównawczej”, referat wygłoszony na 17. Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich 15-18 września 2004 r., <http://jazon.hist.uj.edu.pl/zjazd/>

⁶ Por. I. Wallerstein, *The Modern World-System*, t. I, wyd. cyt., s. 301 i n.

⁷ *Capitalist Agriculture and the Origins of the European World-Economy in the Sixteenth Century*, Academic Press, London i in. 1974-cop.

⁸ *Mercantilism and the Consolidation of the European World-Economy, 1600-1750*, Emerald 2008-cop.

⁹ *The Second Era of Great Expansion of the Capitalist World-Economy, 1730-1840s*, Academic Press, London i in. 1989-cop.

¹⁰ Por. I. Wallerstein, *The Modern World-System*, t. III, wyd. cyt., s. 127 i n.

Europa Środkowo-Wschodnia w teorii Wallersteina pełni – obok Nowego Świata – istotną funkcję jako peryferyjne zaplecze dla kształtującej się gospodarki kapitalistycznej na Zachodzie już od jej narodzin. „Złoty wiek” Rzeczypospolitej Polskiej to w istocie czas fundowania *quasi*-kolonialnej zależności krajów Europy Środkowo-Wschodniej od Zachodu. Zaletą podejścia Wallersteina z tego punktu widzenia jest traktowanie zapóźnionych obszarów kapitalistycznych nie jako ewolucyjnie wcześniejszych stadiów rozwoju systemu-świata lub jako historycznych aberracji i wyjątków, ale jako strukturalnie koniecznych elementów. W tym sensie specyfika krajów Europy Środkowo-Wschodniej jest związana z miejscem w systemie, a nie stadium ewolucji. Jak pokazują także polscy historycy gospodarczy (np. Marian Małowist¹¹ czy Witold Kula¹²), o miejscu gospodarek krajów tego regionu w rodzącym się systemie kapitalistycznym zdecydowała trwałość gospodarki folwarcznej oraz wcześniejszy rozwój przemysłu kapitalistycznego w Europie Zachodniej. Prowadziło to do importu wyższej techniki (towarów wyżej przetworzonych, o wyższej wartości dodanej) oraz współistnienia zaawansowanych i zacofanych form technicznych i społeczno-ekonomicznych. Warunkiem napędzającym kształtowanie się strukturalnej zależności była taniość żywej siły roboczej. Prowadziło to z jednej strony do paraliżu procesu mechanizacji produkcji, z drugiej do utrzymywania ludności chłopskiej w poddaństwie (wtórne poddaństwo) i stałej depriwacji potrzeb. Warto przy tym pamiętać, że proces akumulacji ziemi i pracowników uderzał także z czasem w „szlachtę gołotę”, co pokazał, naruszając mit solidarności „braci szlacheckiej”, Daniel Beauvois¹³.

Magnateria i szlachta eksportowała ogromne ilości zboża i innych produktów naturalnych. Czyniła to jednak za pośrednictwem kupców bałtyckich – dość szybko prym zaczęli wieść kupcy niderlandzcy, co wpłynęło na rozwój potęgi Amsterdamu (stada bydła przepędzano przede wszystkim na rynki śląskie). W zamian szlachta sprowadzała i kupowała produkty luksusowe i wysoko przetworzone. Były to nie tylko dobra luksusowe (korzenie, tkaniny, ubrania, wina, itd., nawet relikwie), ale również broń, którą można postrzegać jako inwestycję w reprodukcję podstaw gospodarki folwarcznej (siła militarna była niezbędna do nadzoru pańszczyźnianej siły roboczej). Kupcy zachodnioeuropejscy coraz bardziej wiązali ze sobą polskich producentów, oferując kredyty i zawierając kontrakty na przyszłe dostawy zboża. Tym samym utrwalali monokulturę rolną. Wąski rynek wewnętrzny, którego chłonność – po okresie boomu XVI-wiecznego – została ograniczona na skutek zubożenia chłopstwa, nie był w stanie zapewnić utrzymania szerokiej warstwie rodzimych rzemieślników i producentów. Jak podkreśla Małowist: „Zwiększające się poddaństwo absorboowało wszystkie siły chłopstwa i paraliżowało mieszkańców miast, którzy byli zmuszeni walczyć z obcą konkurencją, wspieraną przez szlachtę. Na początku XVII w. gospodarka polska przejawiała

¹¹ Por. np. M. Małowist, *Europa i jej ekspansja XIV-XVII w.*, pod red. H. Zaremskiej, PWN, Warszawa 1993.

¹² Por. np. W. Kula, *Historia, zacofanie, rozwój*, Czytelnik, Warszawa 1983.

¹³ D. Beauvois, *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793-1914*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2005, s. s. 75 i n.

pewne cechy charakterystyczne dla krajów kolonialnych¹⁴. Tym samym gospodarka ziem polskich wpadła w spiralę napędzającą jej zależność. Przesłanki jej zapóźnienia wzmocnione były w toku rozwoju kapitalizmu. Szczególnie widać to w przypadku miast, których słabość paraliżowała szanse rozwojowe, a gospodarka folwarczna dodatkowo je sabotowała. Na rolę miast w rozwoju nowożytnego systemu światowego wskazywał nie tylko Wallerstein, ale również – w większym stopniu – Fernand Braudel¹⁵. Dodajmy przy tym, że na Rusi i w pewnym okresie w Polsce na gospodarce folwarcznej korzystali także kupcy, którzy byli powiązani interesami z rolnictwem¹⁶.

Wymiana w tym czasie (XV-XVI w.) dokonywała się między trzema strefami: Europą Zachodnią, Środkowo-Wschodnią i Południową (wytworzyły się one w XIII w.)¹⁷. Z Zachodu w zamian za produkty rolne i surowce płynęły pieniądze. Magnateria, szlachta i patrycjat miejski kupowały zaś dobra luksusowe głównie na południu – w Imperium Osmańskim i miastach włoskich. Płacono za nie pieniędzmi – na Południe nie eksportowano prawie żadnych polskich towarów. Henryk Samsonowicz w następujący sposób podsumowuje handel między trzema strefami późnośredniowiecznej i wczesnonowożytnej Europy: Europa Środkowo-Wschodnia eksportowała surowce, importowała wyroby przemysłowe z Zachodu, zaś luksusowe z Południa; jej bilans był „aktywny” z Zachodem, zaś „pasywny” z Południem. Strefa zachodnia eksportowała wyroby przemysłowe, importowała surowce i produkty luksusowe; jej bilans był pasywny i z Południem, i ze Wschodem. Strefa południowa eksportowała produkty luksusowe i przemysłowe, importowała wyroby przemysłowe i luksusowe (ze wschodu); bilans był aktywny i z Zachodem, i ze Wschodem¹⁸. Oczywiście, ta skala porównania zacierza różnice wewnątrz każdej z trzech europejskich stref. Wyraźnie widać, że oprócz bilansu handlowego ważna była jego struktura. Zachód i – w mniejszym stopniu – Południe eksportował produkty wysokoprzetworzone, napędzające rodzimą produkcję i postęp technologiczny, zaś Europa Środkowo-Wschodnia prowadziła eksport nie pobudzający rozwoju poza gospodarką rolną (a i tu w ograniczonym zakresie), a do tego paraliżowała rodzimych wytwórców importem. Biorąc pod uwagę bilans handlowy między tymi trzema strefami nie można zapominać także o „bezwrotnych pożyczkach” w złocie i srebrze z Ameryki Środkowej i Południowej, które kredytowały rozwój potęg kolonialnych i całej Europy Zachodniej.

Niezwykle istotną cechą struktury władzy w Rzeczpospolitej była słaba pozycja króla, liczne przywileje i autonomia magnatów i szlachty oraz niezwykle wysoki – jak na standardy i zachodnioeuropejskie, i wschodnie – odsetek szlachciców w społeczeństwie. To, co przez wielu opiewane jest jako demokracja szlachecka wyprzedzająca swój czas oznaczało w istocie znaczące wzmocnienie polskiego zacofania. Nie mo-

gła się bowiem wykształcić władza absolutna, która odegrała istotną rolę w zachodnioeuropejskim rozwoju gospodarczym i państwowym. Jenő Szűcs traktuje wręcz absolutyzm jako pierwszą formę państwa narodowego¹⁹. Warto przy tym pamiętać, że wedle Wallersteina w XVI w. europejska gospodarka-świat była na ogół systemem jednoklasowym. Raczujący kapitaliści (o różnym społecznym pochodzeniu) przeciwstawiali się wszystkim innym, uzależnionym od tradycyjnych struktur statusowych, cechowych i religijnych. Aparat państwowy służył interesom jednych grup, a szkodził innym. Polska szlachta i magnateria były ważnym trybem systemu kapitalistycznego, choć problem, czy folwark był przedsiębiorstwem kapitalistycznym budził gorące dyskusje historyków i socjologów historycznych²⁰. W wyniku decentralizacji władzy struktury i majęta państwa wykorzystywane były w interesie bogatej szlachty, która się niebawem bogaciła.

W kontekście masakr, niezwykle istotne jest również wzięcie pod uwagę tego, że imperium polsko-litewskie musiało toczyć na wschodzie i południowym wschodzie nieustające walki. Inwazje osmańskie i mongolsko-tatarskie utwierdziły i nadal utwierdzały kulturę militarną, wzmagały wojenną demoralizację, osłabiały struktury państwa, pochłaniały ogromne środki materialne i wzmagały fale migracyjne. Europa Zachodnia nie była oczywiście wolna od wojen i związanych z nimi masakr, zaś wojna trzydziestoletnia osiągnęła na ówczesne standardy skalę apokaliptyczną, ale jednak nie była ofiarą militarnych burz na tę skalę (co oczywiście wynikało nie tylko z pozycji geopolitycznej, ale przede wszystkim z dostosowania struktur państwa do wyzwań militarnych).

Funkcje i dysfunkcje masakry

Funkcję definiuję za Mertonem jako dające się zaobserwować skutki działania pewnego mechanizmu społecznego, które przyczyniają się do adaptacji i modyfikacji danego systemu, zaś dysfunkcje jako skutki, które je pomniejszają. Mówienie o funkcjach społecznych wymaga pamiętania, że trzeba je zrelatywizować do określonej grupy odniesienia, że społeczeństwo nie jest w pełni zintegrowaną całością, że nie każdy element struktury społecznej musi być funkcjonalny i o stanie społeczeństwa decyduje równowaga skutków funkcjonalnych, a nie zupełny brak dysfunkcji oraz że tę samą funkcję mogą realizować różne elementy kulturowe. Ponadto funkcje mogą być jawne (zamierzone i uznane przez członków społeczeństwa) i ukryte (niezamierzone i nieuświadomiane)²¹. Systemowa perspektywa Wallersteina sprawia, że pojęcie funkcji doskonale pasuje do jego teorii. Poszukując funkcji masakry chcemy ukazać, w jakiej mierze mogły one sprzyjać narodzinom, rozwojowi i wzmocnieniu kapitalistycznej gospodarki-świata. Funkcjonalność masakry dla systemu w określonym przedziale czasowym nie oznacza, że nie mogła ona być dysfunkcyjna dla określonych grup społecznych, czy – w długiej perspektywie czasowej – dla całego systemu.

¹⁴ M. Małowist, *Europa...*, wyd. cyt., s. 28.

¹⁵ F. Braudel, *Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II*, tłum. 2004; tenże, *Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm XV-XVIII wiek*, t. 1-3, tłum. M. Ochab, P. Graff, D. Żółkiewska, J. Strzelecki, J. Strzelecki, PIW, Warszawa 1992.

¹⁶ M. Małowist, *Europa...*, wyd. cyt., s. 30.

¹⁷ H. Samsonowicz, „Strefy gospodarcze...”, wyd. cyt..

¹⁸ Tamże, tabela na s. 13.

¹⁹ J. Szűcs, *Trzy Europy*, tłum. J.M. Kłoczowski, Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1994.

²⁰ Por. A. Sosnowska, *Zrozumieć zacofanie...*, wyd. cyt., s. 62-63.

²¹ R. K. Merton, *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 2002, s. 93-109, 117-126, 131-150.

Już pobieżny ogląd pozwala stwierdzić, że wobec pańszczyźnianego wyzysku i skostnienia struktur feudalnych kluczowego znaczenia nabrały masakry jako *m e c h a n i z m r e g u l a t y w n y*. Zapewnienie lojalności poddanych i posłuszeństwa podbitych ludów stanowiło wyzwanie organizacyjne już w pierwszych organizmach państwowych i imperiach.

Pierwsze znane imperium Sargona z Akadu (XXIV-XXIII w. p.n.e.) było zależne od handlu, co powodowało podatność na zranienie w wyniku ataków ludów nomadycznych i wrogich organizmów społecznych. Prowokowało to władców dynastii do rozciągnięcia władzy wzdłuż międzynarodowej sieci handlowej. Komunikacja była jednak wtedy poważnym problemem. Koń był efektywnie wykorzystywany dopiero po 1500 roku p.n.e. w bardziej mobilnych rydwanach. W Mezopotamii transport zapewniały rzeki – poza macierzystym terenem władca musiał dokładnie planować marszrutę. Sargon posiadał stałą armię 5400 żołnierzy, która – wedle wyliczeń Michaela Manna - mogła podejmować wyprawy na odległość do około 300 km (pod warunkiem, że po drodze znajdowały się źródła wody). Zniszczenie osady w łańcuchu komunikacyjnym oznaczałoby przerwanie szlaku lub śmierć najeźdźców. Socjogeneza masakry jako mechanizmu społecznego wymagała zatem rozwiązania *d y l e m a t u k o m u n i k a c y j n e g o*.

W imperium Sargona stosowano cztery rozwiązania dylematu nadzoru nad podbitym terytorium: rządy przez wasali (podbite lokalne elity), bezpośrednie rządy wojskowe, obowiązkową kooperację (przymus eksploatacyjny oraz handel) oraz wpływ kultury klasy rządzącej. Władza militarna była – wedle Manna - socjoprzestrzennie dualna: skoncentrowany rdzeń zapewniał pozytywną, przymusową kontrolę; otaczała go sfera ekstensywna ze sterroryzowaną ludnością, której zachowania nie mogły być pozytywnie kontrolowane. Za bezpieczeństwem lojalności stały się z czasem wyprawa karna oraz zakładnicy (dzieci brane na „edukację”). Jednocześnie trzeba pamiętać, że ludzie jako siła robocza mieli zbyt wielką wartość, aby ich bezkarnie masakrować. To rodziło *d y l e m a t e k o n o m i c z n y*, który także stawał na drodze rozpowszechnienia się masakry jako mechanizmu terroru politycznego. Dopiero, gdy rozwiązania technologiczne, logistyczne i organizacyjne oraz intensywna gospodarka zapewniająca trwałe nadwyżki umożliwiły krwawe przykładowe karanie poddanych i wrogów, masakra mogła się stać mechanizmem regulatywnym, służącym mordowaniu buntowników, przykładowemu ich karaniu i zastraszeniu poddanych (aspekt komunikacyjny masakry)²². Bez wątplenia takim mechanizmem stała się w słynnym imperium asyryjskim Sargona II (VIII w. p.n.e.), choć opowieści o okrucieństwie Asyryjczyków²³ były po części pochodną ich propagandy i czarnej legendy rozpowszechnianej przez wrogów, w tym zwłaszcza Żydów, których kroniki stały się pismem świętym kilku religii²⁴.

W czasach narodzin kapitalistycznej gospodarki-świata masakra miała już wielowiekową tradycję jako znany i uznany środek represji. W szczególności trwałemu rozwiązaniu uległ dylemat komunikacyjny. Ówczesni często uznawali masowe mordy za „naturalne” prawo zwycięzców, swoistą klęskę żywiołową. Oczywiście, skala masakrowania wrogów i poddanych różniła się w poszczególnych okresach, organizmach państwowych i kręgach cywilizacyjnych. W Europie Środkowo-Wschodniej masakra także była znana, choć terror w Rzeczypospolitej nie był tak wielki, jak na niektórych innych obszarach Europy i Azji. Wobec plebejuszy stosowano niekiedy zbiorową odpowiedzialność. Okrucieństwo dnia codziennego budziło protest jedynie w ekstremalnych wypadkach²⁵. Rozwój wtórnego poddaństwa związany z koniunkturą rolną docelowo znacząco pogorszył sytuację chłopstwa, popychając wielu do buntów. W czasie XVI-wiecznej koniunktury opresja nie była tak wielka²⁶, co zwiększało spolegliwość chłopów i ułatwiało transformację społeczno-gospodarczą, ale w czasie kryzysu i dekonunktury XVII wieku nowy feudalizm ukazał wszystkie swe najgorsze cechy. Szlachta nie była skora do nadmiernego stosowania strategii „marchewki”. Poprawa życia chłopów kosztem zysków ze sprzedaży nie leżała w ekonomicznym interesie właścicieli folwarków, choć starali się oni ich bronić przed podatkami na rzecz króla czy kościoła. Sytuację chłopów poprawiał także konflikt interesów między posiadaczami ziemskimi – ci, do których chłopci zbiegali, chronili ceną siłę roboczą. Ograniczało to pańskie nadużycia, przynajmniej w czasach dobrobytu²⁷. Wraz z pogorszeniem stanu gospodarki powszechnie uciekano się – zwłaszcza w wieku XVII - do topienia buntów we krwi i powszechnych, rozproszonych represji.

Ważne jest także geograficzne zróżnicowanie represji. Poważniejsze wystąpienia antyfeudalne na ziemiach etnicznie polskich występowały „niezmiernie rzadko”, „ich widownią stały się przede wszystkim królewszczyzny” – podkreśla Janusz Tazbir. - „Wszystkie te wydarzenia były jednak odosobnione i do masowych przejawów oporu chłopskiego w dawnej Rzeczypospolitej na ogół nie dochodziło. Wpłynęło na to wiele przyczyn, wśród których nie najmniej istotną stanowiła możliwość ucieczki na Ukrainę; tam więc gromadził się element najbardziej skłonny do oporu”²⁸. Tym samym zmniejszaniu się wrzenia chłopskiego w Rzeczypospolitej towarzyszyło powstawanie trwałego gniazda oporu. Dodatkowym czynnikiem zwiększającym zagrożenie dla władz Rzeczypospolitej była „sprawa kozacka”, a więc dążenie do uzyskania dodatkowym praw i opór

²² M. Mann, *The Sources of Social Power*, vol. I, *A History of Power from the Beginning to A.D. 1760*, Cambridge University Press, Cambridge 1987, s. 130-155.

²³ Przykładem popularnego wykładu może być: D.P. Mannix, *The History of Torture*, Sutton Publishing 2006, s. 19-26.

²⁴ Por. A. Lato, *Assyrian Propaganda and the Falsification of History in the Royal Inscriptions of Sennacherib*, „Vetus Testamentum” 1995, Vol. 45, Fasc. 2, s. 198-226.

²⁵ J. Tazbir, *Okrucieństwo w nowożytnej Europie*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 1999, s. 147.

²⁶ Andrzej Wyczański, przeciwnik tezy o peryferyjnym charakterze Europy Środkowo-Wschodniej, zauważył: „Obciążenie coraz większą pańszczyzną mogłoby doprowadzić gospodarstwa chłopskie do ruiny, gdyby nie dogodna sytuacja rynkowa, z której chłop umiał korzystać”. H. Samsonowicz, A. Wyczański, *Historia powszechna*, t. 1, *Historia Polski. Polska do 1586*, Biblioteka Gazety Wyborczej, Mediasat Group, Warszawa 2007 (Cop.), s. 497. Anna Sosnowska określiła model zawarty w pracach Wyczańskiego jako „model doganiania Europy” (por. A. Sosnowska, *Zrozumieć zacołanie...*, wyd. cyt., s. 213-223).

²⁷ H. Samsonowicz, A. Wyczański, *Historia...*, wyd. cyt., s. 513.

²⁸ J. Tazbir, J. Staszewski, T. Kizwalter, *Historia powszechna*, t. 6, *Historia Polski. Polska 1586-1831*, Biblioteka Gazety Wyborczej, Mediasat Group, Warszawa 2007 (Cop.), s. 29.

przeciw zapędzaniu w pańszczyznę Kozaków, osiedlonych na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej²⁹. Zbiegli chłopci traktowali Zaporozże jako miejsce schronienia przed szlachtą. XVII wiek jest areną nieustannego wrzenia na kresach. Sygnałem skali zagrożenia było nieudane powstanie Zaporozców z lat 1637-38, a kulminacją powstanie Chmielnickiego 1648-54. Chłopi, widząc sukcesy Kozaków, ochoczo przyłączali się do buntowników. Chmielnickiemu udało się m.in. organizować buntury chłopskie na tyłach wojsk polskich³⁰.

Represje wobec buntujących się poddanych osiągały nieraz niewyobrażalny poziom barbarzyństwa. „Jarema Wiśniowiecki kazał swym żołnierzom zabijać powstańców kozackich tak, aby «czuli, że umierają» (m.in. popom miano oczy wyjmować szwidrem). Uważając zbuntowaną «czerń» za rozbójników, dopuszczających się gwałtów, księżę najczęściej karał Kozaków w podobny co i tamtych sposób, mianowicie wbiem na pal. W przeszło sto lat później represje przeciw uczestnikom buntu Gonty i Żelaźniaka przybrały takie rozmiary, że zaczęto się obawiać, iż niebawem zabraknie na Ukrainie rąk do pracy. Tortury Gonty trwały przez trzy dni, podczas których codziennie zrywano mu po jednym pasie skóry. Następnie został żywcem poćwiartowany, a dopiero pod sam koniec odrąbano mu głowę. Szlachta, czując się zagrożona, mściła się później surowo nawet nad tymi, którzy jej zdaniem dopiero szykowali, swym panom krwawą łaźnię. Kitowicz pod rokiem 1789 notuje, że tam, gdzie u chłopów ruskich znaleziono jakąkolwiek broń, wszędzie jej posiadaczy «śmiercią surową skarano, ćwiartując, pasy z nich drąc, ręce smołą oblewane i pakułami okręcone paląc, a potem łby ucinając»³¹. Opisy te odtwarzają tradycyjną „celebrę” karania w wydaniu władzy suwerena, którą charakteryzował Michel Foucault: dla niego „Zbytek» karni jest inwestycją w ogólną ekonomię władzy”³². Władca mógł skazywać na śmierć i darować życie, ale jego wpływ był bardzo ograniczony w przestrzeni i w czasie. Dlatego, gdy już dochodziło do wymierzania kary, musiała ona być okrutna na tyle, aby zastraszyć wszystkich potencjalnych buntowników.

Rzeczpospolita Obojga Narodów od unii lubelskiej z 1569 roku, gdy stała się unią personalno-realną (choć osobne pozostały: skarb, wojsko, aparat administracyjny i sądowiczy), a także już wcześniej zwycięska Rzeczpospolita, były bez najmniejszych wątpliwości imperiami. Tym samym można i powinno się je porównywać z innymi imperiami, które także stosowały masakry jako wewnętrzny i zewnętrzny mechanizm regulacyjny. Szczególnie interesująca jest komparatyka z Imperium Osmańskim, tradycyjnie stosującym masakry, wymierzone zwłaszcza w poddanych o odmiennym wyznaniu, którzy kontestowali przypisaną im rolę politycznych pariasów. Masakra – podobnie jak w Rzeczypospolitej - służyła mordowaniu buntowników, widowiskowemu karaniu ich w celu zastraszania współplemieńców. Sułtanowie wykorzystywali często zależne plemiona (np. Kurdów), zwykle górali, do masakrowania wskazanych społeczności. Masakry miały

na celu obronę tradycyjnej struktury społecznej i porządku religijnego Imperium Osmańskiego³³. Także i w Rzeczypospolitej posługiwano się nieraz wyspecjalizowanymi grupami, w tym etnicznymi, do pacyfikowania wroga. Masakrowanie poddanych na ziemiach Rzeczypospolitej było zatem przejawem typowej strategii nieciągłej (czasowo i przestrzennie) władzy suwerena. Należy przy tym pamiętać, że chłopci w czasie postępów Imperium Osmańskiego niejednokrotnie z zadowoleniem witali zmianę systemu władzy, gdyż sułtani stopniowo zastępowali feudalną decentralizację scentralizowaną administracją i ogólnymi regułami. Korzystali z tego także kupcy³⁴.

Włączanie ziem polskich i litewskich do rodzącego się systemu kapitalistycznego oznaczało, że logika reprodukcji imperium była stopniowo zastępowana przez logikę kapitalizmu. Wtórne poddaństwo doprowadziło do zwiększenia buntów i represji. Masakra nadal służyła pacyfikowaniu poddanych, ale tym razem wspierała ona także transformację systemową – przekształcenie się Rzeczypospolitej w peryferium systemu kapitalistycznego. W Imperium Osmańskim masakry miały służyć utrzymaniu statusu zdominowanych społeczności i spetryfikowaniu tradycyjnej struktury społeczno-gospodarczej. W Rzeczypospolitej XVI-XVIII wieku miały wspierać transformację struktury społecznej (wtórne poddaństwo) i jej utrwalenie. O ile w wieku XVI zyski środkowowschodniego peryferium Europy były na tyle duże, że również chłopci (relatywnie) korzystali z koniunktury, to już w wieku XVII bez opresyjnej władzy system pańszczyźniany by się zawalił.

Chłopi nie zawsze biernie znosili katusze. Do szczególnie ostrych konfliktów dochodziło np. na Podhalu, gdzie w latach 1630-33 ma miejsce powstanie przeciwko staroście nowotarskiemu Mikołajowi Komorowskiemu³⁵. Symbolem buntów ludowych stały się jednak powstania hajdamaków (głównie te z XVII i XVIII w.), które często są ahistorycznie traktowane jako „narodowe” wystąpienia Ukraińców przeciw polskiemu panowaniu. W istocie buntownicy stanowili zbiorowość chłopów o bardzo różnym pochodzeniu i *de facto* bez świadomości narodowej. Kozacy wybijali się na pierwszy plan przede wszystkim na skutek swej militarnej biegłości i szkód, jakie wyrządzali szlachcie. Powstania chłopskie także cechowało okrucieństwo. Natan Hannover, kronikarz żydowski z połowy XVII wieku, szczególnie barwnie opisuje okrucieństwa wojsk Chmielnickiego, które wedle niego „obcinały swym ofiarom ręce i nogi, a kadłuby rzucano na drogę. «Innych grzebano żywcem [...] kobietom ciężarnym rozpruwano brzuchy i wsadzano żywego kota do wnętrza i tak zostawiano przy życiu zaszywając brzuchy. Następnie obcinano im ręce, żeby nie mogły wyjąć tego kota. I wieszali [Kozacy] niemowlęta na piersiach matek, inne dzieci nabijano na rożen, i tak pieczono na ogniu i przynoszono matkom aby jadły ich mięso»³⁶. Bez wątpienia sporo w tym opisie przesady, uogólniania pojedynczych patologii, podda-

²⁹ Tamże, s. 49 i n.

³⁰ Tamże, s. 59.

³¹ J. Tazbir, *Okrucieństwo...*, wyd. cyt., s. 276.

³² M. Foucault, *Nadzorować i karać. Narodziny więzienia*, przeł. T. Ko-mendant, Fundacja Aletheia, Warszawa 1998, s. 35.

³³ Y. Ternon, *Ormianie. Historia zapomnianego ludobójstwa*, przeł. W. Brzozowski, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2005.

³⁴ H. Inalcik, *Imperium Osmańskie. Epoka klasycyzmu 1300-1600*, przeł. J. Hunia, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2006, s. 25, 30.

³⁵ J. Tazbir, *Okrucieństwo...*, wyd. cyt., s. 155.

³⁶ Tamże, s. 276-277.

nia się konwencji epoki i potrzeby oczernienia mordercy współziomków, ale nawet jeśli odjąć z tego znaczną część zbrodni, to i tak obraz pozostaje apokaliptyczny. W czasie rzezi humańskiej (1768, w czasie tzw. koliszczyzny) wymordowano kilka tysięcy polskich rodzin w ten sposób, że ofiary zakopywano w ziemi po szyję, a następnie ścinano im głowy kosą niczym zboże. Przepiłowywanie żywcem czy rozrywanie koźmi należały do typowego repertuaru buntowników³⁷.

Okrucieństwo ludu zwrotnie legitymizowało represję szlachty. Dość szybko powstało coś, co we współczesnej terminologii politologicznej można opisać jako dylemat bezpieczeństwa. Ponadto represję postrzegano jako odpowiedź na zbrodnię drugiej strony, uruchamiając cykl m a s a k r r e t r y b u t y w n y c h . Wzajemna wrogość, brak zaufania i strach potęgowały się i z czasem zinstytucjonalizowały we wzorce kulturowe wspierane zmyśloną wykładnią przeszłości. „Chamy” zawsze groziły „panom” irracjonalnym barbarzyńskim wybuchem, a „pany” ciągle gnębiły i mordowały „chamów”. Antagonizm ten okazał się niezwykle trwały. Gdy w wieku XX nawiązały się na to podziały i konflikty narodowościowe, doszło do krwawej rzezi, której kulminacją były walki i masakry polsko-ukraińskie w czasie II wojny światowej i bezpośrednio po niej. Dodajmy, że relacji stanowych nie można postrzegać w kategoriach czarno-białych, np. w czasie potopu szwedzkiego chłopci wstępowali do ludowej partyzantki i bronili kraju (znaczenie miały bez wątpienia także czynniki religijne).

Masakry w wydaniu chłopów bez wątpienia pełniły funkcję wentylu bezpieczeństwa (z punktu widzenia systemu). Najbardziej sfrustrowani, zdolni do walki i przywództwa, wykrwawiali się w kolejnych buntach. Były jednak także silnie dysfunkcyjne dla całego systemu, gdyż prowadziły nie tylko do marnotrawienia dóbr materialnych i siły roboczej, ale także prowadziły do dezintegracji społecznej i anomii. Trudno znaleźć jakieś funkcje masakr chłopskich dla samych chłopów (wyjątkiem byłyby prawa Kozaków rejestrowych). Nie prowadziły one raczej - w większości wypadków - do cywilizowania opresji szlacheckich posiadaczy. Trudno dostrzec wzrost „świadomości klasowej” czy kumulację doświadczenia buntowników. Nieobecność „podżegaczy”, którzy ginęli w walce, nie poprawiała sytuacji wsi (no, chyba, że w porównaniu do potencjalnej pacyfikacji). Mimo krótkookresowych zaburzeń produkcji rolnej i marnotrawienia środków produkcyjnych i konsumpcyjnych, okrutne bunty chłopskie wpisywały się w logikę opresji peryferium kapitalistycznej gospodarki-świata.

Funkcja regulatywna i wentylu bezpieczeństwa nie wyczerpuje jednak pola problemowego. Nieustające wojny i konflikty zbrojne prowadzone wówczas przez Rzeczpospolitą i jej magnatów na rubieżach wiązały się bowiem z występowaniem masakr w wydaniu wojska. Dolegliwość ze strony oddziałów wojskowych była pochodną nie tylko niewysokiej dyscypliny czy morale, ale przede wszystkim tego, że wojskowi musieli sami organizować sobie środki do życia (intendentura nie istniała), a do tego miesiącami nie otrzymywali żołdu. Czas zorganizowanych, karnych masowych armii miał

dopiero nadejść³⁸. Grabieże i rozboje były całkowicie bezkarne³⁹. Często dokonywane w pijackim widzie masakry były także formą rozładowania napięcia, a zatem pełniły funkcję wentylu bezpieczeństwa dla armii. Lepiej przecież, by żołdacy pacyfikowali wieś niż puścili z dymem szlachecki dwór.

Okrucieństwa ze strony żołnierzy były także skutkiem zaślepienia w boju i żądzy zemsty. W czerwcu 1596 r. doszło np. do rzezi powstańców kozackich, którzy skapitulowali nad Sołonicą (na Ukrainie). Zabito około tysiąca jeńców wraz z rodzinami. Ponoć mimowolny sygnał do rzezi dał Stanisław Żółkiewski⁴⁰. Ten styl wojowania był powszechny, a wzmagał się wraz z demoralizacją wywołaną przeciągającą się wojną. Także i w tym wypadku możemy zatem mówić o masakrach retributywnych.

Choć problematyka funkcji masakry dla wysiłku zbrojnego i armii przekracza ramy tego artykułu, to warto w tym miejscu podkreślić, że masakra była nie tylko „wybuchem” żądzy mordy, erupcją tłumionej agresji, a więc czymś z istoty irracjonalnym, ale także w pełni racjonalną strategią. Masakrowano z premedytacją mieszkańców miast i twierdz, które odmówiły poddania się i stawiały opór najeźdźcy. Terroryzowanie ludności sprawiało, że nie była ona już tak skora do ukrywania trzody i zapasów. Masakra przednowoczesna, choć zawierała silny komponent transgresyjnej orgii okrucieństwa, mający charakter samonagradzający (można mówić w tym kontekście o „radosnej masakrze” także w czasach nowoczesnych i odróżniać ją od „chłodnej masakry” w wydaniu np. *Einsatzgruppen* na froncie wschodnim II wojny światowej⁴¹), to jednak pełniła różnorodne funkcje, w tym w pełni jawne dla współczesnych.

Analizując funkcje masakry na peryferiach systemu kapitalistycznego warto przyrzeć się bliżej szczególnej kategorii ofiar – mniejszościom pośredniczącym, pełniącym dyżurną rolę kozła ofiarnego⁴². W Europie Środkowo-Zachodniej byli to Żydzi, ale skala represji wymierzona w nich nie była taka sama w historii. Zainteresowanie dla podań dotyczących okrucieństwa Żydów, utarczających krew dzieci w beczkach nabitych gwoździemi, wzrasta na Zachodzie w XVI wieku. Procesy o mordy rytualne czy profanację hostii były często wstępem do pogromu lub wypędzenia Żydów. Janusz Tazbir uważa, że wiąże się to z próbą pokonania Żydów jako przedstawicieli groźnej konkurencji gospodarczej. W Polsce zjawiska te nasilają się w XVII wieku, podobnie jak palenie czarownic⁴³. Warto przy tym zauważyć, że – upraszczając – na Zachodzie Żydzi byli konkurencją rodzimych kapitalistów, zaś w przypadku Europy Środkowo-Wschodniej stawiali się znienawidzonymi sługami panów feudalnych, wykorzystujących ich do sprawnego zarządzania majątkami. Żydzi pełnili

³⁸ Howard, *Wojna w dziejach Europy*, przeł. T. Rybowski, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 2007.

³⁹ J. Tazbir, *Okrucieństwo...*, wyd. cyt., s. 158.

⁴⁰ Tamże, s. 163.

⁴¹ Szerzej: L.M. Nijakowski, *Radość masakry. Transgresyjne funkcje masakry w nowoczesnych czystkach etnicznych i ludobójstwie*, w: Magdalena Kamińska, Adam Horowski (red.), *Erotyzm, groza, okrucieństwo – dominanty współczesnej kultury*, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2008, s. 45-61.

⁴² Na temat mniejszości pośredniczących por. L. Kuper, *Genocide. Its Political Use in the twentieth Century*, Yale University Press, New Haven, London 1981, s. 57-83.

⁴³ J. Tazbir, *Okrucieństwo...*, wyd. cyt., s. 85.

³⁷ Tamże, s. 277.

ważne funkcje fiskalne i biurokratyczne, za co korzystali z ochrony króla i swych panów. Kiedy – na przykład – pod koniec XV wieku grupa „krzyżowców” w drodze na wojnę z Turkami napadła na dzielnicę żydowską w Krakowie, król stłumił zamieszki i ukarał miasto za brak ochrony. Bogaty Żyd przechodząc na chrześcijaństwo stawał się szlachcicem, o czym nie mógł marzyć (przynajmniej do pewnego czasu) bogaty mieszczanin. Dlatego Stefan Bratkowski określa Żydów w feudalnej Polsce mianem stanu „dwa i pół”⁴⁴. Niezależnie od prawdziwości tej tezy, nie może dziwić nienawiść ludu (chłopstwa, ale i mieszczaństwa) do Żydów, wzmagana religijnym fanatyzmem. Oddziały Bohdana Chmielnickiego na przykład zmasakrowały ponad 100 Żydów⁴⁵.

Peryferia, kolonializm, ludobójstwo

Sytuacja Europy Środkowo-Wschodniej jest zarazem wyjątkowa, jak i typowa dla peryferii kapitalistycznej gospodarki-świata. Choć zarówno Nowy Świat, jak i Europa Środkowo-Wschodnia stały się już u zarania kapitalizmu peryferiami, to ich funkcje były odmienne. Wschód w największym skrócie karcił potęgę kolonialną, dzięki czemu były one w stanie podołać podbojowi Ameryk. Kolonie w Ameryce Środkowej i Południowej zapewniły zaś Europie niewyobrażalny strumień złota i srebra, a z czasem innych produktów (przede wszystkim trzciny cukrowej)⁴⁶. Europejskie peryferium miało własną siłę roboczą, zaś Indianie okazali się problematycznymi pracownikami, dlatego szybko zaczęto sprowadzać murzyńskich niewolników. W Europie zyskowość handlu łagodziła konflikty między chłopami a szlachtą. Z kolei w Ameryce tylko nieliczne elity indiańskie zyskiwały wysoki status. Szerokie rzesze Indian były tępiące i wyzyskiwane, do czego zresztą były po części przyzwyczajone opresją Azteków czy Inków.

Michael Mann wymienia 5 głównych typów kolonialnej gospodarki: 1) handel z autochtonami; 2) plądrowanie i pobieranie daniny; 3) osadnicy używają rozproszonej siły roboczej; 4) osadnicy używają skoncentrowanej siły roboczej oraz 5) gospodarka bez autochtonicznej siły roboczej. W przypadku pierwszych czterech typów inwazja Europejczyków rzadko skutkowałą czystkami etnicznymi – uciekano się raczej do politobójstwa i etnobotójstwa (wraz z masakrami) w celu usunięcia elit i spacyfikowania ludności rodzimej. Jednak gdy ludność autochtoniczna była zbędna, dochodziło do masowych czystek, osiągających niekiedy ludobójczą skalę. Kolonialne rządy nie chciały zabijać autochtonów, ale osadnicze demokracje (demokracje *de facto*, nie *de iure*) uciekały się do masakr i czystek, gdy Indianie przestawali być potrzebni. Dlatego doszło do prawie całkowitej czystki w Ameryce Północnej i Australii, a jedynie ograniczonego mordy w Ameryce Środkowej i Południowej⁴⁷. Hiszpanie potrzebowali pracowników, sojuszników i żon, a ponadto byli zorganizowani w wi-

cekrólestwa. Znany neomarksista Erik O. Wright zauważył, że ludobójstwo „jest zatem zawsze potencjalną strategią dla uciskających, którzy nie posługują się wyzyskiem. Nie wchodzi to w grę w sytuacji wyzysku ekonomicznego, ponieważ wyzyskiwacze potrzebują pracy wyzyskiwanych, aby zapewnić sobie materialne powodzenie”⁴⁸.

Zarysowane tu kryterium przydatności autochtonów dla modelu kolonialnej gospodarki i skali mordów wydaje się bardzo przydatne. Masakra może stać się funkcjonalnym mechanizmem regulatywnym wtedy, gdy zostanie rozwiązany dylemat ekonomiczny. Na europejskich peryferiach systemu kapitalistycznego ludzie byli na tyle cenni, że nie dochodziło do masowych czystek etnicznych czy eksterminacji pewnych kategorii ludności (np. prawosławnego chłopstwa). Nie istniała możliwość sprowadzenia masowej siły roboczej (np. niewolników, jak w przypadku kolonii amerykańskich czy uprowadzania jeńców⁴⁹). Jednocześnie praca chłopów była na tyle mało wyspecjalizowana, że wymordowanie wioski nie oznaczało trwałej wyrwy w strukturze produkcji. Jak pokazuje historia (nawet Holocaustu), szczególnie cennych rzemieślników chroniono przed mordem. Chłopi, „doskonale wymienni”, byli cenni w swej masie, a nie jako pojedynczy pracownicy.

Nie znaczy to, że przed narodzinami nowoczesności nie starano się wcielać w życie projektów demograficznych usuwających ludność kolidującą z utopijnym obrazem ojczyzny. Pierwsza ustawa wypędzająca Cyganów z Polski z 1557 roku określa ich jako „ludzi niepotrzebnych”⁵⁰. Gdy sobie przypomnimy dodatkowo rekonkwistę i późniejsze prześladowanie i wypędzenie Żydów, czy też masakry Albigensów⁵¹, to widzimy, że oskarżenie o doprowadzenie do ludobójstwa jedynie mechanizmów społecznych charakterystycznych dla nowoczesności jest sporym uproszczeniem⁵².

Funkcjonalne zróżnicowanie w ramach systemu światowego nie sprawiło, że wszystkim społecznościom udało się uniknąć statusu *pariasów*. Geograficzny podział pracy sprawił, że na peryferiach znaczne kategorie ludności nadal mogły być usuwane bez gospodarczej szkody. Przykładem mogą być masakry na ludobójczą skalę autochtonicznej ludności indiańskiej (Majów) w Gwatemali w latach 1981-83. Chcąc spacyfikować warstwy ludowe, stanowiące zaplecze dla partyzantki, wojsko przystąpiło do planowych masakr. Wymordowano ponad 200 tys. Majów. Wedle raportu ONZ, który nie miał jednak (z założenia) skut-

⁴⁴ S. Bratkowski, *Pod tym samym niebem. Krótka historia Żydów w Polsce i stosunków polsko-żydowskich*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2006.

⁴⁵ J. Tazbir, *Okrucieństwo...*, wyd. cyt., s. 96.

⁴⁶ Por. J.Ch. Chasteen, *Ogień i krew. Historia Ameryki Łacińskiej*, przeł. Katarzyna Bartuzi, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2007, s. 15-41.

⁴⁷ M. Mann, *The Dark Side of Democracy. Explaining Ethnic Cleansing*, Cambridge University Press, Cambridge 2006, s. 70-98, 107-110.

⁴⁸ E.O. Wright, *Klasy się liczą*, w: A. Jasińska-Kania, L.M. Nijakowski, J. Szacki, M. Ziolkowski (wybór i opracowanie), *Współczesne teorie socjologiczne. Antologia tekstów*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, t. I-II, Warszawa 2006, s. 814. Tamże definicja ucisku i wyzysku. Ten drugi określają trzy zasady: odwrotnej wzajemnej zależności dobrobytu, wykluczenia oraz przywłaszczenia.

⁴⁹ Należy pamiętać, że wykorzystanie pracy niewolniczej i handel niewolnikami nie były obce Słowianom, w tym Polakom. Praga np. stanowiła ważny rynek niewolników przeznaczonych na eksport. Por. M. Małowski, *Europa i jej ekspansja...*, wyd. cyt., s. 16-17.

⁵⁰ J. Tazbir, *Okrucieństwo...*, wyd. cyt., s. 101.

⁵¹ Por. F. Chalk, K. Jonassohn, *The History and Sociology of Genocide. Analyses and Case Studies*, Yale University Press, New Haven, London 1990.

⁵² Por. Z. Bauman, *Nowoczesność i zagłada*, Fundacja Kulturalna Masada, Warszawa 1992. Niektórzy polemizują ze słynną tezą Baumana przytaczając praktyki społeczne świata starożytnego – por. M. Frejman, *Genocide, Civilization and Modernity*, „The British Journal of Sociology” 1995, Vol. 46, No. 2, s. 207-223.

ków prawnych, w latach 1981-83 doszło do ludobójstwa. Raport wskazywał na trzy przyczyny przemocy państwa: ekonomiczne wykluczenie biedoty, panujący rasizm oraz polityczny autorytaryzm⁵³. Do dziś status pariasów zachowali w Europie Romowie.

Takie postawienie sprawy pozwala odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Rzeczpospolita nie uczestniczyła w wyścigu do kolonii, mimo iż była mocarstwem (przynajmniej regionalnym). Tym bardziej, że lenno Rzeczypospolitej – Kurlandia (na Inflantach) – prowadziło niezwykle sprawną politykę handlowo-kolonialną. Z inicjatywy książąt kurlandzkich, którzy zresztą chcieli wciągnąć w swoje wyprawy polskiego seniora, założono małą kolonię (czy raczej faktorię) w Gambii, w której zakupiono od lokalnych plemion bezludne wyspki (Św. Andrzeja i Banjul) oraz skrawek lądu. Później podjęto wyprawę do Ameryki Południowej, gdzie założono placówkę na Tobago (wyspę przemianowano na Nową Kurlandię, choć Kurlandzcy zajmowali jedynie zachodnią część wyspy).

Skoro więc w zamorską politykę mogła się zaangażować Kurlandia, to czemu nie Rzeczpospolita? W zamian za to obserwować możemy w naszej historii słabą i sabotowaną politykę bałtycką i zasiedzenie gdańskich kupców, którzy przedkładali handel z europejskimi portami nad zamorskie wyprawy. Odpowiedź jest prosta: obszarów do podboju szukano w najbliższym sąsiedztwie Rzeczypospolitej. Wyż demograficzny mógł wylewać się na Dzikie Pola. Folwark przynosił dobre dochody i nie narażał szlachcica na niebezpieczne ekspedycje. Ponadto Rzeczpospolita musiała ciągle bronić swych „kolonii” - przed Moskwą i Imperium Osmańskim. Energia Polski miała gdzie uchościć – inaczej niż w przypadku państw zachodnich, czy nawet małej Kurlandii⁵⁴. Gdy patrzymy na mapy, to czas wielkich odkryć geograficznych (XV-XVI wiek) w przypadku Rzeczypospolitej oznacza wielką ekspansję wschodnią. Podobnie było w przypadku Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, co zresztą było jednym z czynników powodujących, że nie stało się ono częścią rodzącej się kapitalistycznej gospodarki-świata (nadwyżkami handlowano w ramach państwa)⁵⁵. Urzeczenie egzotycznymi ziemiami i ludami nastąpiło wtedy, gdy skończyła się już koniunktura, gdy o kolonie trzeba było walczyć nie z rdzennymi mieszkańcami, ale armiami kolonialnymi.

Na koniec należy jeszcze wspomnieć o ważnym europejskim kontekście systemu przemocy w Polsce. W XVI i XVII wieku doszło w Europie do rewolucji militarnej. W większości krajów Europy Zachodniej doprowadziło to do wzmocnienia władzy monarchy, który mógł odpowiednio zmobilizować wewnętrzne zasoby i finansować rozwijający się aparat państwowy. Polska, choć była narażona na nieustanne ataki, nie zreformowała struktur władzy i wojska, na co bez wątpienia wpłynęła postawa magnaterii i szlachty broniącej się

przed wzrostem potęgi króla⁵⁶. Nie znaczy to, że polscy monarchowie nie próbowali zmienić stanu rzeczy – np. Władysław IV Waza dążył do wojny z Imperium Osmańskim (przygotowania rozpoczął po 1644 roku), zakładając posiłki kozackie i licząc na wzmocnienie swej pozycji w wyniku wygranej⁵⁷. Lata szwedzkiego potopu pokazały, że szczupła armia regularna nie jest w stanie walczyć z kilkoma przeciwnikami, natomiast wojska magnackie mogły pokonać miejscowe bunty antyfeudalne, lecz już nie powstanie na skalę wznieconego przez Chmielnickiego⁵⁸. Mimo to system ten utrzymał się aż do upadku Rzeczypospolitej. Można zaryzykować tezę, że decentralizacja legitymizowanej przemocy zwiększała skalę okrucieństw i ułatwiała transformację ziem Rzeczypospolitej w peryferium systemu kapitalistycznego.

* * *

Masakry stały się w kapitalistycznej gospodarce-świecie elementem koniecznym. Były nie tylko wyrazem „szlacheckiego rozpasania” połączonego z dehumanizacją chłopstwa (choć te „radosne masakry” utrzymały się zaskakująco długo), ale przede wszystkim sposobem na utrzymywanie opresyjnej eksploatacji w warunkach taniości niewykwalifikowanej siły roboczej i jej obfitości. Masakra była nie tylko formą likwidowania wrogów oraz miejscowego przywracania suwerennej władzy, ale także sposobem komunikacji, wyrazistym znakiem kary. Była niezbędną w sytuacji forsownego zawłaszczania wartości dodanej i utrzymywania wyłączenia ludu z systemu społeczno-politycznego. Jak określa Wallerstein: „Bez impetu XVI stulecia nigdy by nie doszło do narodzin nowoczesnego świata, a – przy wszystkich jego okrucieństwach – lepiej się stało, że powstał, niż gdyby nie powstał. [...] Nowoczesny świat znamionuje zarówno pomysłowość jego beneficjentów, jak i odpowiadająca jej stanowczość uciskanych. Wyzysk i niezgoda na wyzysk albo są nieuniknione, albo stanowią trwałą antynomię epoki nowoczesnej – powiązane w dialektyce, która w XX w. nie osiągnęła jeszcze swojego szczytowego punktu”⁵⁹.

LECH M. NIJAKOWSKI

⁵³ Szerzej: G. Grandin, *History, Motive, Law, Intent. Combining Historical and Legal Methods in Understanding Guatemala's 1981-1983 Genocide*, w: R. Gellately, B. Kiernan (red.), *The Specter of Genocide. Mass Murder in Historical Perspective*, Cambridge University Press 2003, s. 339-352.

⁵⁴ Szerzej: M.A. Kowalski, *Kolonie Rzeczypospolitej*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2005.

⁵⁵ I. Wallerstein, *The Modern World-System*, t. I, wyd. cyt., s. 302 i n.

⁵⁶ B.M. Downing, *The Military Revolution and Political Change. Origins of Democracy and Autocracy in Early Modern Europe*, Princeton University Press, Princeton, New Jersey 1993, s. 140-156.

⁵⁷ J. Tazbir, J. Staszewski, T. Kizwalter, *Historia powszechna...*, wyd. cyt., s. 50-52.

⁵⁸ Tamże, s. 55.

⁵⁹ I. Wallerstein, *Nowoczesny system-świat*, w: A. Jasińska-Kania i in., *Współczesne teorie...*, wyd. cyt., s. 753.

MAREK ZAGAJEWSKI

DWIE KONCEPCJE KOMUNIZMU

Antykomunizm w postkomunizmie

Deklaracja Jarosława Kaczyńskiego w kwestii jego stosunku do lewicy była zapewne najbardziej bulwersującym wydarzeniem w całej kampanii prezydenckiej. Prezes Prawa i Sprawiedliwości 21 czerwca 2010 roku przybył do Szczecina na spotkanie ze swoimi kilkuset zwolennikami. Gwoli przypomnienia, w Zachodniopomorskiej prowincji, mateczniku Grzegorza Napieralskiego, Kaczyński zdobył zaledwie 25 proc. głosów wyborców, najmniej spośród wszystkich województw. I właśnie tam kandydat PiS na prezydenta wygłosił na stopniach Wałów Chrobrego znamienne oświadczenie. „Nasi przeciwnicy mówią nam, że jesteśmy lewicowi. A niech tam mówią. Może i jesteśmy. Teraz nie będę już używać określenia postkomuniści, choć kiedyś tak mówiłem. Teraz będę mówił lewica”. (A. Zadworny, *Kaczyński: może i jestem lewicowy*, „Gazeta Wyborcza”, Szczecin, 22. 06. 2010.)

Wypowiedź Kaczyńskiego, czego nie udało się zauważyć naszym politykom i ich komentatorom, jest jego reakcją na krytykę i dotyczy wyłącznie politycznej retoryki w kwestii używania słowa „lewica”. Najpierw, replikując na kierowany przez PO pod adresem jego partii zarzut „lewicowości”, prezes godzi się, chociaż bez entuzjazmu i ze znakiem zapytania, na przypisywanie PiS lewicowego charakteru. W efekcie pośrednio daje do zrozumienia, że nie byłoby zżęcznie, gdyby PiS okazał się być w Polsce jedyną partią lewicową, skoro epitet „postkomunista” w żadnym sensie nie oznacza jakkolwiek pojętej lewicowości. Zapewne

dlatego Kaczyński odcina się od terminu „postkomunista”, którego tradycyjnie używał wobec SLD i ogłasza, że zgodnie z oficjalną terminologią, będzie określał niewymienioną z nazwy partię, w domyśle SLD, jako lewicę. Nie jest także bez znaczenia ukryta sugestia Kaczyńskiego, że nie jest dla niego istotne, czy jest lewicowy lub prawicowy, bo ma na względzie inne bardziej fundamentalne wartości.

Zamiana w politycznej retoryce, zwłaszcza w ramach kampanii wyborczej, istotnych słów, a tym bardziej „postkomunizm” na „lewica”, musi być traktowana jako sztuczny zabieg, bowiem nie jest to czas, ani miejsce na poważną merytoryczną debatę polityczną. Nadal te terminy pełnią funkcję propagandowych etykietek i w politycznym dyskursie operacja ich podmianny poza mechanicznym zmniejszeniem częstotliwości występowania nazwy „postkomunizm” nie przyniosła znaczących rezultatów.

Mamy w historii najnowszej przykład podobnego typu spektakularnej wypowiedzi, która jednak nie zaowocowała ciekawszą dyskusją. Otóż 28 października 1989 roku w „Dzienniku Telewizyjnym” inteligentna i urocza Joanna Szczepkowska ogłosiła, że „4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm”, co dla wielu widzów stanowiło swoistą rewelację, bowiem dopiero wtedy dowiedzieli się, iż przez minione dziesięciolecie żyli w komunizmie.

Wolno zatem stwierdzić, że w Polsce „komunizm” zaczął się w 1989 roku wraz z ogłoszeniem jego upadku. W tym kontekście warto sobie uświadomić, że ter-

min „komunizm” ma w polskim świecie mediów, nauki i polityki dosyć świeżą metrykę, sięgającą zaledwie początków lat dziewięćdziesiątych i związany jest między innymi ze sprytną podmianą, używanego w opozycji lat osiemdziesiątych, słowa „czerwony” (przed wojną „bolszewik”) na „komunista”, a w dalszej kolejności „post-komunista”. Całkowicie zasadnie powstaje wrażenie, że nasilenie obecności wyrazu „komunizm” i jego pochodnych w politycznym dyskursie, jaki współcześnie obowiązuje w publicznym narzeczu przebiega zgodnie z rytmem upływu czasu, czyli im dalej od PRL, tym więcej w nim komunizmu i jego negacji.

Wynika stąd, że wśród naszych osobliwości kulturowych można bez wielkiego mozółu odnaleźć nie tylko antysemityzm bez Żydów¹, katolicyzm bez katolików, ale i antykomunizm bez komunistów – taka nasza narodowa specyfika.

Samo słowo „komunizm” rozumiane jako polityczna kwalifikacja ma aktualnie tak znaczącą wagę symbolu, że jego rytualna obecność w publicznym dyskursie jest obowiązkowa, najczęściej w postaci epitetu. Jednak nie zwalnia to z myślowego obowiązku poczynienia badań, zakresów znaczeniowych i rozlicznych konotacji „komunizmu” i „antykomunizmu”, jak słusznie domaga się Walicki, „nad historią tych pojęć oraz zależnością nadawanych im znaczeń od konkretnych kontekstów historyczno-intelektualnych”².

Zadanie to jednak do łatwych nie należy, jeśli zważyć, że wiedza o komunizmie jest w naszym kraju niska albo żadna, zarówno w wymiarze akademickim jak i popularnym.

Komunizm społeczny – komunizm polityczny

Dla rozpoznania dystynkcji między komunizmem społecznym a politycznym niezwykle instrukttywne jest dokonane przez Walickiego rozróżnienie między „komunizmem we właściwym sensie tego słowa”, czyli społecznym a „komunizmem” w „żargonie dziennikarskim”, czyli politycznym w rozumieniu niniejszego tekstu. Jego zdaniem, „komunizm w pierwotnym i właściwym sensie tego słowa”³ określa „pewną wizję przyszłości”, gdy ten drugi „żargonowy” masowo używany „komunizm” stosowany jest do określania „wszelkich systemów, w których władzę sprawuje partia uważająca się (bądź w jakimkolwiek sensie, choćby tylko »genetycznym«) za komunistyczną”⁴.

W klasycznym znaczeniu komunizm pojmowany był wyłącznie w sensie pewnego sposobu organizacji życia społecznego, którego podstawą była własność wspólna obejmująca zarówno całą sferę wytwórczości, jak i zaspokajanie indywidualnych potrzeb ludzi, takich jak wyżywienie, ubranie, zamieszkiwanie czy edukacja i ochrona zdrowia. Zgodnie z tradycją europejską wizja wspólnoty komunistycznej wykluczała istnienie prywatnej własności i pieniędzy w jakiegokolwiek postaci. Jej życie społeczne miało być kierowane przez demokratycznie wybrany apolityczny organ zarządzający, wyposażony w nader ograniczone atry-

buty, przypisywane instytucjom o charakterze administracyjnym.

Takie pojmowanie komunizmu w pierwotnym i właściwym sensie tego słowa występuje niezwykle rzadko w polskim życiu politycznym i umysłowym. Chociaż oczywiste jest przekonanie, że w czasach PRL komunistyczna organizacja życia społecznego nie miała miejsca, to od niedawna w odniesieniu do Rzeczypospolitej Drugiej i Pół (1944-1989) często używane są określenia „komunizm” czy „komuna”.

Tego typu koncepcje można określić jako komunizm społeczny, ponieważ jego autorzy i zwolennicy zajmowali się głównie konstruowaniem rozmaitych systemów organizacji wspólnot opartych na zasadach swoście pojmowanej sprawiedliwości społecznej. Ich pierwszy opis datuje się na początek szesnastego wieku, ale termin „komunizm” jest znacznie późniejszy, bo pojawił się dopiero około połowy dziewiętnastego wieku. Za prekursora komunizmu społecznego uznano z czasem Tomasza Morusa, który w latach 1515-1516 napisał sławne dzieło *Utopia*⁵, zawierające tak wspaniałą wizję doskonałego społeczeństwa, że po latach nabrała ona charakteru kanonicznego. W podobnym stylu Tomasz Campanella skreślił w 1602 roku *Miasto Słońca*⁶, (wydane w ostatecznej wersji w 1637 roku), a w 1624 roku Franciszek Bacon *Nową Atlantyde*⁷. Te dzieła trzech wybitnych przedstawicieli doktryny katolickiej wyznaczyły na stulecia kierunek rozwoju tego nurtu politycznego piśmiennictwa, który w późniejszym czasie został określony jako literatura socjalistyczna i komunistyczna.

W XX wieku komunizm społeczny, rozumiany jako formacja ideologiczna, ustąpił miejsca komunizmowi politycznemu. Od połowy minionego stulecia pojęcie komunizmu zostało ściśle powiązane z funkcjonowaniem struktur partyjnych i państwowych. Komunizm polityczny po zakończeniu II wojny światowej posłużył do kwalifikowania jako komunistyczne całego bloku państw, poczynając od Europy Środkowo-Wschodniej, poprzez Związek Radziecki do Chin, Wietnamu i Korei Północnej. Jednak żadna z partii obejmujących władzę w krajach Europy Środkowo-Wschodniej po wkroczeniu Armii Czerwonej, poza działającą na terenie byłej Czechosłowacji przedwojenną partią komunistyczną, nie miała w nazwie nawet przymiotnika „komunistyczna”.

Z drugiej strony Indie, wedle preambuły konstytucji z 26 listopada 1949 roku (wejście w życie 26. 01. 1950.) są suwerenną, socjalistyczną, zsekularyzowaną, demokratyczną republiką. Przymiotnika „socjalistyczna” nie było w pierwotnym tekście konstytucji i został później dodany bez żadnych objaśnień. Wedle tego tekstu republika Indii ma zabezpieczyć wszystkim obywatelom sprawiedliwość (społeczną, ekonomiczną i polityczną), wolność (myśli, słowa, przekonań, wiary i wyznania), równość (statusu i możliwości) i braterstwo (zapewnienie poszanowania godności człowieka oraz jedności i integracji Narodu). Tego typu konstytucyjne zapisy mieszczą się znakomicie w używanej obecnie

¹ Por. R.J. Weksler-Waszkinel, *Antysemityzm bez Żydów*, „Znak”, nr 12, 2008.

² A. Walicki, *Nieporozumienia wobec antykomunizmu*, op. cit., s. 223.

³ M. Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii*, przeł. M. Walicki, Warszawa 1996, s. 11, 473.

⁴ M. Walicki, *Polska droga od komunizmu*, „Zdanie. Pismo Stowarzyszenia »Kućnica«”, 2009, 1-2 (140-141), s. 15.

⁵ T. More, *Utopia*, przeł. K. Abgarowicz, wprowadzenie W. Ostrowski, Warszawa 2001.

⁶ T. Campanella, *Miasto Słońca*, przeł. L. i R. Brandwajnowie, Warszawa 1994.

⁷ F. Bacon, *Nowa Atlantyda*, przeł. W. Kornatowski, w: idem, *Nowa Atlantyda i z Wielkiej Odnowy*, przeł. W. Kornatowski, J. Wikarjak, wstęp J. Szacki, Warszawa 1995.

retoryce komunizmu politycznego, która jednak wobec Indii nie jest praktykowana.

Nie jest to zapewne dzieło przypadku, jeśli zauważyć, że amerykański pionier PR i marketingu Edward L. Bernays, nawiasem mówiąc siostrzeniec Siegmunda Freuda, wykonał dla rządu indyjskiego pracę zleconą polegającą na przekształceniu „wizerunku kraju w obraz państwa, które Ameryka mogła wspierać w walce z komunizmem”. (D. Schäfer, *Sztuka wma-wiania*, „Forum”, 2009, nr 33, 17. 08.-23. 08. 2009, za „Süddeutsche Zeitung”). Równie wielkim sukcesem zakończyła się jego kolejna kampania polityczna w latach pięćdziesiątych, tym razem dla United Fruit Company, która tak skutecznie oczerniła lewicowy rząd Gwatemali, że uznano go w USA za komunistyczny, co znacząco ułatwiło jego obalenie w 1954 roku przez Stany Zjednoczone. W ramach tej samej konwencji ideologicznej, od czasów Clintona wąską specjalnością Amerykanów stało się urządzenie „kolorowych rewolucji” w postradzieckiej strefie wpływów w Europie i Azji, które jak się wydaje owocnie zakończyły okres „zimnej wojny” z komunizmem, będącej zawaolowaną formą III wojny światowej, której dzięki temu nie było.

W poglądach Marksa nie występuje komunizm w znaczeniu politycznym, jako forma sprawowania władzy państwowej, gdyż w bezklasowym społeczeństwie komunistycznym państwo jako wyspecjalizowany aparat przemocy pozaekonomicznej zanika w naturalny sposób. W tym sensie konstrukcja pojęciowa „państwo komunistyczne” jest wewnętrznie sprzeczna, ponieważ tam, gdzie jest państwo, nie ma komunizmu i odwrotnie, gdy w społeczeństwie występuje komunizm, to nie może być państwa. Taki jest sens rozwiniętej formuły społeczeństwa przyszłości, jaką zapisali autorzy *Manifestu Partii Komunistycznej*.

„Gdy w przebiegu rozwoju znikną różnice klasowe i cała produkcja zostanie skupiona w rękach zrzeszonych jednostek, władza publiczna utraci swój charakter polityczny. Władza polityczna we właściwym znaczeniu jest zorganizowaną przemocą jednej klasy w uciskaniu innej. Gdy w walce z burżuazją proletariąt siłą rzeczy jednoczy się w klasę, poprzez rewolucję staje się klasą panującą i jako klasa panująca znosi przemocą dawne stosunki produkcji, to wraz z tymi stosunkami produkcji znosi warunki istnienia przeciwieństw klasowych, znosi w ogóle klasy i tym samym swoje własne panowanie jako klasy.

Miejsce dawnego społeczeństwa burżuazyjnego z jego klasami i przeciwieństwami klasowymi zajmuje zrzeszenie, w którym swobodny rozwój każdego jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich”⁸.

Warto od razu zauważyć, że aforystyczna formuła zrzeszenia jako wspólnoty, w której „swobodny rozwój każdego jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich” jest jedyną charakterystyką komunizmu na tych łamach. Warunkiem niezbywalnym tej koncepcji jest przekonanie Marksa i Engelsa, że konieczną podstawą społeczeństwa komunistycznego musi być rozwinięty globalny kapitalizm, co stawiało ich w zdecydowanej opozycji wobec ówczesnych komunistów i socjalistów.

Z tą perspektywą teoretyczną nie kłóci się obecność w dyskursie publicznym takich wyrażań, jak ko-

munista, idee komunistyczne, ideologia komunistyczna, partia komunistyczna, przekonania czy doktryny komunistyczne lub rewolucja komunistyczna, i szereg pochodnych określeń, afirmatywnych lub negatywnych, związanych z kształtowaniem przyszłego ustroju społecznego. Istotne jest jedynie, czy konkretne wypowiedzi zostały umieszczone w polu semantycznym komunizmu społecznego, ponieważ odnoszą się do przyszłego życia społecznego na bazie własności wspólnej czy w płaszczyźnie komunizmu politycznego, gdyż wiążą się z dzisiejszym realnym funkcjonowaniem instytucji państwa i struktur partyjnych, których zachowanie w przyszłym społeczeństwie komunistycznym jest wykluczone. Natomiast negatywne kwalifikacje typu „prawo komunistyczne”, „zbrodnia komunistyczna” czy „terror komunistyczny”, bądź pozytywne, jak „rewolucja komunistyczna” z pola semantycznego komunizmu politycznego opisują konkretne fakty i wydarzenia ze współczesności, chociaż najczęściej ich stosowanie nie wiąże się z uszczegółowieniem ich „komunistycznego” charakteru.

Triumf komunizmu politycznego

Współcześnie komunizm w znaczeniu politycznym łączy się przede wszystkim z działalnością rozlicznych partii czy ugrupowań politycznych odzianych w szaty ideologii socjalistycznych czy komunistycznych, a zwłaszcza z historyczną praktyką krajów, które były określane przez ich grupy przywódcze jako „socjalistyczne” czy „komunistyczne”. Najczęściej w PRL używano dziwacznej nazwy „demokracja ludowa”, tworząc absurdalną formułę „władza ludu ludowa”, skoro po grecku demokracja to „władza ludu”.

W języku powojennej propagandy z czasem wyeksponowano takie formuły, jak „demokracja socjalistyczna”, „ustrój socjalistyczny”, „socjalistyczny system wychowania” czy „rozwinięty socjalizm”, z pominięciem terminów „komunizm” czy „komunistyczny”. Andrzej Walicki, nie tylko ze względu na swoje kompetencje, ale także jako świadek historii przypomniał, że Gomułka, świadom braku popularności komunizmu w Polsce, „uniknął mówienia o komunistycznej przyszłości”⁹. Tak samo postępował Gierek, za którego czasów słowo „komunizm” w społecznym sensie nie pojawiała się nawet w publicystyce partyjnej, ponieważ „powoływanie się na komunizm mogło mu tylko znacznie zaszkodzić”¹⁰. PZPR w tym czasie utraciła już jakiegokolwiek oblicze ideowe, stając się masową organizacją ludzi pochłoniętych zabiegami o realizację własnych interesów i zdecydowanie odrzucających marksizm i komunizm. Społeczeństwo w czasach PRL mogło mieć w swojej masie jedynie mylące, negatywne doświadczenie komunizmu politycznego, określanego jako ustrój socjalistyczny, którego treść społeczna jednak do dzisiaj cieszy się aprobatą.

Mimo wszystko w preambule Statutu PZPR z 1975 roku, partii w nazwie ani komunistycznej, ani socjalistycznej komunizm został wyraźnie zapisany jako wartość najwyższa, czego nie była świadoma zdecydowana większość trzymilionowej partii gierkowskiej, „przewodnie siły rewolucji socjalistycznej”. Po robotniczych protestach Grudnia i Czerwca, w czasach stopniowo

⁸ K. Marks i F. Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, MED, t. 4, wydanie drugie poprawione, Warszawa 1986, s. 667.

⁹ M. Walicki, *Marksizm i skok do królestwa wolności*, op. cit., s. 490.

¹⁰ Ibidem, s. 501.

postępującej gierkowskiej prywatyzacji i po Sierpniu, PZPR deklaracyjnie stała na stanowisku komunistycznym.

„Idea, której służy Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – to idea komunizmu. W niej ucieleśnia się przyszłość świata.

Jest to idea, której zwycięstwo uwolni ludzkość od niepewności jutra, od strachu przed wojnami, od nędzy i poniżenia, położy kres panowaniu wyzyskiwaczy nad ludem pracującym, panowaniu narodów silnych nad słabszymi. Tylko komunizm może zapewnić materialny i duchowy rozkwit ludzkości, a zdobycze pracy i geniuszu ludzkiego przeznaczyć całkowicie dla dobra i szczęścia człowieka.

Służąc tym ideałom, PZPR służy Polsce. Dla dobra i lepszej przyszłości narodu PZPR dąży do zbudowania w Polsce ustroju socjalistycznego¹¹.

Punktem wyjścia preambuły jest zapowiedź wyzwolenia człowieka od wszelkiego wyzysku i niesprawiedliwości, wedle idei komunizmu, której zwycięstwo jest zarazem punktem dojścia procesu historycznego. Partia musi, przezwyciężając „wewnętrzne sprzeczności okresu przejściowego”¹², pokonać wspomagane przez „imperializm i międzynarodową reakcję” reakcyjne siły. Wskazane sprzeczności odnoszą się do okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu, po którym ma nastąpić socjalizm i komunizm. Formuła okresu przejściowego bardziej trafnie opisywała strukturę społeczną Polski z prywatną własnością w mieście i na wsi niż obowiązująca w obozie Układu Warszawskiego urzędowa koncepcja rozwiniętego socjalizmu z monopolem własności państwowej. Polska nie jest też wolna od „przeżytków feudalizmu”, które nie odeszły w przeszłość ani w okresie II Rzeczypospolitej, ani Rzeczypospolitej Drugiej i Pół.

Statutowa „idea komunizmu” ma być nader osobliwy, bowiem, będąc z natury rzeczą duchowym, niecielesnym tworem, zarazem „ucieleśnia” przyszłość świata. Ta idea zawiera w sobie ideały rozkwitu ludzkości oraz dobra i szczęścia człowieka, w służbie których PZPR zapewnia ich urzeczywistnienie. Dzięki natchnionym autorom partyjnej preambuły, „idea komunizmu” zawędrowała do królestwa odrzuconych w *Manifestie* „wieczystych prawd” o platońsko-heglowskiej proweniencji w dramatycznie zwulgaryzowanej postaci. Ten wykład doktryny nadaje się na podręcznikowy przykład idealizmu w pojmowaniu dziejów i życia społecznego, całkowicie sprzecznego z materializmem historycznym. Marks i Engels bezustannie dowodzili, że to nie ludzie służą ideom, ale na odwrót – ludzie za pomocą wytworzonych przez siebie idei wyrażają swoje konkretne życiowe problemy. Dla klasyków fantastyczne, na poty religijne wyobrażenie, że losami ludzkości kieruje jakaś idea, tym bardziej „komunizmu”, której służy partia, zwłaszcza komunistyczna, by urzeczywistnić nawet najbardziej słuszne ideały, jest absurdalnym opisem procesu społecznego. Idea komunizmu, wedle preambuły, w świecie ducha bytuje w pełni realnie, odgrywając rolę demiurga dziejów o wielkiej mocy, który, posługując się partią jako swym narzędziem, zwycię-

sko urzeczywistnia swoje ideały w życiu społecznym w trudnej do przewidzenia przyszłości. To przedmarksowska tradycja utopijnej ideologii komunistycznej. W kolejnej edycji statutu z 1981 roku w I rozdziale „Partia – jej cele i charakter” zapisano, że PZPR jest „partią polskich komunistów” i że jest „wierna idei komunizmu, której zwycięstwo przyniesie ludzkości (...)”¹³ itd. Okres przejściowy zniknął, a w kwestii komunizmu poprzednia redakcja została zachowana. W preambule kolejnego X Zjazdu nadal występuje ogólnikowy zapis o zniesieniu „wyzysku człowieka przez człowieka”¹⁴, mimo że Marks zawsze wskazywał, kto kogo wyzyskuje w ramach konkretnych stosunków własności i jak z wyzyskiem walczyć, z reguły w kontekście zniesienia prywatnej własności.

Przywołane fragmenty statutów zdają się wskazywać, że elity PZPR w pojmowaniu komunizmu niebezpiecznie zbliżyły się do karykatury tradycji *Manifestu*. Jego autorzy, zaledwie trzydziestoletni Marks i młodszy o dwa lata Engels jasno i wyraźnie pisali wówczas o komunistach, że „cele ich mogą być osiągnięte jedynie przez obalenie przemocą całego dotychczasowego ustroju społecznego. Niechaj drżą panujące klasy przed rewolucją komunistyczną”¹⁵. A dwa lata przed śmiercią, stary Engels korespondentowi „Le Figaro” na pytanie o cel ostateczny niemieckich socjalistów, odpowiedział: „Ależ my nie mamy celu ostatecznego! Jesteśmy *rewolucjonistami*, wcale nie zamierzamy dyktować ludzkości jakichś praw ostatecznych. Powzięte zawnazadażania na temat szczegółów organizacji społeczeństwa przyszłości? Nawet śladu tego u nas Pan nie znajdzie. Będziemy już usatysfakcjonowani, kiedy zdołamy przekazać środki produkcji całemu społeczeństwu, zdajemy sobie jednak z tego doskonale sprawę, że przy obecnym rządzie monarchistycznym i federacyjnym nie jest to możliwe”¹⁶. Innymi słowy rewolucję po prostu się robi, a nie planuje, zwłaszcza w szczegółach, jak przepisach kulinarnych przepis. Wynika stąd zupełnie jasno, że poglądy klasyków i stanowisko PZPR, jak zresztą cały dwudziestowieczny postbolszewicki „komunizm”, reprezentują zgoła odmienne i nieprzystające do siebie ideologie.

Chociaż komunizmu społecznego z kart *Manifestu*, rozumianego jako rewolucja i wspólna własność, w Polsce i w żadnym innym kraju nie było, to jednak problem jego usunięcia z życia politycznego i sporów ideologicznych nie tracił na znaczeniu. Dobrym rozwiązaniem okazało się przeniesienie krytyki komunizmu z płaszczyzny społecznej na polityczną, a więc paradoksalnie ogłoszenie, wbrew faktom, państw Układu Warszawskiego za komunistyczne. W ten sposób komunizm społeczny, którego nie było, objawił się w postaci odnoszącego się do funkcjonowania władzy państwowej, negatywistycznie pojmowanego komunizmu politycznego, który także w historii realnie nie za-

¹¹ Statut Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ze zmianami i uzupełnieniami uchwalonymi przez VII Zjazd PZPR w grudniu 1975 r., Warszawa 1978, s. 6-7.

¹² Ibidem, s. 11.

¹³ Statut Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ze zmianami i uzupełnieniami uchwalonymi przez IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR w lipcu 1981 r., Warszawa 1982, s. 3.

¹⁴ Statut Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z uzupełnieniami i poprawkami uchwalonymi przez X Zjazd PZPR. Regulamin wyboru delegatów, władz i organów kontrolnych w PZPR, Warszawa 1986, s. 5.

¹⁵ K. Marks i F. Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, op. cit., s. 683.

¹⁶ [Wywiad udzielony przez Fryderyka Engelsa 8 maja 1893 r. korespondentowi dziennika „Le Figaro”], w: K. Marks, F. Engels, *MED.*, t. 22, Warszawa 1971, s. 649.

istniał. Interesującą osobliwością tego stanu rzeczy jest niejednokrotnie pełna zgodność poglądów reżimowych apologetów rzekomego „komunizmu” w jego politycznej wersji jako forma sprawowania państwowej władzy z antykomunistycznymi krytykami zaprzęskiego ustroju i jego reżimu politycznego.

Krytyka politycznego komunizmu jest ciekawa, ale mało rozwinięta merytorycznie, gdyż traktowana jest instrumentalnie jako wygodne narzędzie zamaskowanej krytyki zniesienia prywatnej własności. Powstaje wrażenie, że głównym starannie przemilczanym celem tej operacji jest usunięcie, zarówno z kart historii jak i współczesności, krytyki własności prywatnej oraz dyskredytacja rozmaitych projektów jej uspołecznienia, czyli klasycznego komunizmu społecznego.

Warto przypomnieć, w jakich realiach historycznych przed półwieczem wprowadzone zostało do obiegu publicznego nowe rozumienie komunizmu w sensie politycznym. Wskazuje się na to między innymi w depeszy, którą 14 kwietnia 1989 r., po zakończeniu Okrągłego Stołu wysłał z Brukseli zastępca przedstawiciela Stanów Zjednoczonych przy NATO John Kornblum do sekretarza stanu George’a Shultza o wystąpieniu zastępcy asystenta sekretarza stanu do spraw europejskich Thomasa W. Simonsa Jr., na posiedzeniu Rady Północnoatlantyckiej zwołanym przez Stany Zjednoczone w sprawie Polski.

„Kraje zachodnie zdefiniowały komunizm jako totalitarny system kontroli absolutnej. Teraz Polacy z niego wychodzą. Okrągły Stoł zbliżył ich do demokracji i oddalił od komunizmu, jaki znamy i jakemu się sprzeciwialiśmy.

Historia Polski stanowi przykład zewnętrznych ingerencji, teraz oni sami tworzą historię, zmierzając w kierunku, który my obraliśmy od czasu narzucenia komunizmu”¹⁷.

Wyrażenie „totalitarny system kontroli absolutnej” brzmi bardzo groźnie, chociaż równie dziwacznie, jak „demokracja ludowa”, ale już neologizm „demoludy” okazał się bardzo udany. Oczywiście, że „system kontroli absolutnej” jest „totalitarny”, podobnie jak każdy „totalny system kontroli” musi opierać się na „kontroli absolutnej”. Tym sposobem uzyskuje się klasyczny efekt negatywnego wzmocnienia treści pojęcia „komunizm”, gdy w przypadku „demokracji ludowej” chodziło o wyzwolenie pozytywnych emocji. Ten brak logiki wynika z silnie motywowanej intencji ideologicznej, by za wszelką cenę uzyskać nośną marketingowo koncepcję komunizmu politycznego o antykomunistycznej treści. Promotorzy natowskiej doktryny antykomunizmu koncentrują się na realnie istniejącym *hic et nunc* komunizmie, który został narzucony Polsce w okresie powojennym. To świetna baza retoryki antykomunizmu politycznego, która sytuuje kwestię komunizmu w kontekście władzy, wokół wewnętrznie sprzecznej formuły „państwa komunistycznego”.

W natowskiej tradycji, jeszcze sprzed okresu powołania Paktu w 1949 roku, za ideologiczny fundament jego powstania uważa się mowę Winstona Churchilla z 5 marca 1946 w Fulton (USA), zawiera-

jącą zarys doktryny powstrzymywania komunizmu¹⁸. Churchill bije na alarm z powodu groźby potężnych „łupieżców” czy „złoczyńców” – wojny i tyranii. Niebezpieczeństwo tyranii zagraża swobodom jednostki w tych państwach, w których „różnorakie wszechobecne systemy policyjne narzucają swoją kontrolę zwykłym ludziom. Z władzy państwowej korzysta, bez żadnego hamulca, albo dyktator, albo zwarta oligarchia działająca poprzez uprzywilejowaną partię oraz policję polityczną”¹⁹. Ta charakterystyka tyranii została użyta do „odmalowania cienia”, jaki padł na „światową scenę” po zwycięstwie aliantów. Churchilla niepokoją zamiary Rosji Sowieckiej oraz jej komunistycznych międzynarodówek, a zwłaszcza pytanie: „jakie są – o ile w ogóle istnieją – granice ich ekspansji i zniewalania umysłów”²⁰. Zwraca uwagę na Rosjan, którzy w swojej strefie okupacyjnej budują partię quasi-komunistyczną jako polityczną bazę przyszłych prokomunistycznych Niemiec, a także na partię komunistyczną we Włoszech, popierającą roszczenia „wyszkolonego przez komunistów” marszałka Tity do byłych terytoriów włoskich na północnym wybrzeżu Adriatyku. W tym kontekście Churchill zarysował nowy podział świata, który przysporzył mu dodatkowej sławy

„Od Szczecina nad Bałtykiem po Triest nad Adriatykiem na kontynent opadła żelazna kurtyna. Za tą linią pozostały wszystkie stolice starodawnych państw Europy Środkowej i Wschodniej. Warszawa, Berlin, Praga, Wiedeń, Budapeszt, Belgrad, Bukareszt, Sofia: sławne te miasta i ludność wokół nich znalazły się w tym, co muszę nazwać sferą sowiecką. Wszystkie podlegają w ten czy inny sposób nie tylko sowieckim wpływom, ale daleko idącej i w wielu przypadkach nasilającej się kontroli Moskwy. (...) Zdominowany przez Rosjan polski rząd został zachęcony do niestłusznego zagarnięcia ogromnych połaci Niemiec; dochodzi do masowych wysiedleń milionów Niemców na niestłuchaną, straszną skalę.

Dotychczas wątle w tych państwach partie komunistyczne wyniesione zostały do rangi i władzy daleko wykraczającej poza ich liczebność, wszędzie dążą one do przejęcia totalitarnej kontroli. W niemal wszystkich wypadkach górę wzięły systemy policyjne i jak na razie z wyjątkiem Czechosłowacji nigdzie nie ma prawdziwej demokracji”²¹.

Tyrania występowała jedynie za ustanowioną przez Moskwę „żelazną kurtyną”, mimo że po II wojnie świat był usiany dyktaturami w jego „zachodniej” części. Totalitaryzm posłużył Churchillowi wyłącznie do definiowania komunizmu, a przyczyną jego niepokoju było kształtowanie się grupy krajów pod kontrolą Moskwy i posłuszne jej „komunistyczne piąte kolumny”. Chociaż Brytyjskiej Wspólnocie i Stanach Zjednoczonych komunizm znajdował się „w powijakach”, to jednak stanowił już zagrożenie dla cywilizacji chrześcijańskiej.

Stawianie czoła niebezpieczeństwu komunizmu i odrzucenie doktryny równowagi sił, to jedyna droga pozbawienia Rosji Sowieckiej możliwości nieograni-

¹⁷ Ku zwycięstwu „Solidarności”. Korespondencja Ambasady USA w Warszawie z Departamentem Stanu styczeń – wrzesień 1989, przeł. M. Jastrząb, P. Sowiński, przedmowa J.R. Davies Jr, wstęp i wybór G.F. Domber, opracowanie G.F. Domber, M. Jastrząb, A. Paczkowski, P. Sowiński, Warszawa 2006, s. 155.

¹⁸ Por. *Vademecum NATO. Wydanie jubileuszowe*, Warszawa 1999, s. 404.

¹⁹ W. Churchill, *Filary pokoju*, Westminster College, Fulton w Stanie Missouri, 5 marca 1946, przeł. P. Bravo, w: *Wielkie mowy historii. Od Hitlera do Eisenhowera*, t. 3, Warszawa 2006, s. 209.

²⁰ *Ibidem*, s. 211.

²¹ *Ibidem*, s. 211-212.

czoney ekspansji jej władzy i ideologii. W świetnej mo- wie Churchill ukształtował zręby przyszłej anglosaskiej, a wkrótce natowskiej doktryny politycznej o klarownie antykomunistycznym przesłaniu.

Neokomunizm Manifestu

Wypowiedź Engelsa w „Le Figaro” jest zbieżna z charakterystyką komunizmu w *Manifestie*, rozumia- nego jako bezklasowe społeczeństwo, oparte na kie- rowanym przez zrzeszone jednostki wspólnym majątku produkcyjnym, w którym apolityczna władza publiczna, traci atrybuty państwa jako instytucji przemocy poza- ekonomicznej. Społeczeństwo komunistyczne ma być taką wspólnotą, w której „swobodny rozwój każdego jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich”. W tej ubogiej, ale dostatecznie pojemnej formule, fak- tycznie nie wymienia się żadnych szczegółów dotyczą- cych organizacji społeczeństwa przyszłości, nie ma też traktowania komunizmu jako „ostatecznego celu ludz- kości”, co oznacza odrzucenie komunizmu społecznego w jego klasycznym, tradycyjnym znaczeniu.

Zapewne dla usunięcia w tej kwestii wszelkich nie- jasności w osobnym rozdziale *Manifestu* jego autorzy dokonali krytycznego przeglądu całej ówczesnej litera- tury socjalistycznej i komunistycznej. Różne jej rodzaje zostały opatrzone stosownymi klasowymi charaktery- stykami i odrzucone jako socjalizm reakcyjny (feudalny, drobnomieszczański i niemiecki, czyli „prawdziwy”) oraz socjalizm konserwatywny, czyli burżuazyjny. Radykal- na krytyka nie ominęła także pism krytyczno-utopijnego socjalizmu i komunizmu za sprawą fantastycznych opi- sów przyszłego społeczeństwa, chociaż autorzy *Mani- festu* uznali za wartościowe zawarte w nich twierdzenia o „zniesieniu przeciwieństwa między miastem a wsią, o zniesieniu rodziny, zysku prywatnego, pracy najem- nej, zapowiedź harmonii społecznej, przekształcenia państwa w zwykłe zarządzanie produkcją”, ponieważ wyrażają one „zniknięcie przeciwieństwa klasowego, które właśnie zaczyna się dopiero rozwijać i jest im znane zaledwie w swej początkowej, bezkształtnej nie- określoności. Dlatego też same te twierdzenia mają jeszcze sens czysto utopijny”²².

Zatem teoretyczną podstawą koncepcji komunizmu w *Manifestie* jest założenie o panowaniu, używając dzi- siejszego języka, kapitalizmu w światowym wymiarze z czym łączy się rozwinięta charakterystyka burżuazji jako klasy, która „odegrała w historii rolę w najwyższym stopniu rewolucyjną”²³. Ponieważ wówczas termin „kapitalizm” jeszcze się nie pojawił w tym kontekście autorzy *Manifestu* użyli wyraźnie komplementujące- go zwrotu „nowoczesne społeczeństwo burżuazyjne”, którego rozwinięcie uzasadnia ich pogląd o burżuazji jako głównym czynnikiem postępu społecznego. „Burżu- azja nie może istnieć bez nieustannego rewolucjonizo- wania narzędzi produkcji, a więc stosunków produkcji, a więc całokształtu stosunków społecznych. Natomiast pierwszym warunkiem istnienia wszystkich dawniej- szych klas przemysłowych było zachowanie bez zmian starego sposobu produkcji. Ustawiczne przewroty w produkcji, bezustanne wstrząsy ogarniające całość życia społecznego, wieczna niepewność i wieczny ruch

odróżniają epokę burżuazyjną od wszystkich poprzed- nich. Wszystkie stężate, zaśniedziałe stosunki, wraz z nieodłącznymi od nich, z dawien dawna uświęcony- mi pojęciami i poglądami ulegają rozkładowi, wszyst- kie nowo powstałe stają się przestarzałe, zanim zdą- żą skostnieć. Wszystko, co stanowe i zakrzepłe, zni- ka, wszystko, co święte ulega sprofanowaniu i ludzie muszą wreszcie spojrzeć patrzeć trzeźwym okiem na swoją pozycję życiową, na swoje wzajemne stosun- ki”²⁴. Zrozumiałe, że pochwałę burżuazji zamyka wizja totalnej globalizacji produkcji i życia społecznego za sprawą potężnych i stale rozwijających się sił wytwór- czych, opanowujących przyrodę w niesłychanej skali i tempie. Wedle tej koncepcji komunizm możliwy jest tylko jako globalne społeczeństwo postkapitalistyczne, którego wyobrażenie musi być złączone z odrzuceniem wszelkich jego wizji i utopii, czyli koncepcji komunizmu społecznego.

Warto odnotować, że taka wizja komunizmu Mar- ksa i Engelsa pojawiła się już ponad rok wcześniej na kartach *Ideologii niemieckiej*, także w kontekście roz- różnienia dwu jego znaczeń przy użyciu odmiennego rodzaju terminologii. „Komunizm jest dla nas nie *stanem*, który należy wprowadzić, nie *ideałem*, którym miałyby się kierować rzeczywistość. My nazywamy ko- munizmem *rzeczywisty* ruch, który znosi stan obecny”. Widać wyraźnie, że wypunktowany przez autorów ko- munizm jako stan czy ideał odnosi się do pola seman- tycznego komunizmu społecznego i zastaje całkowicie zdyskwalifikowany. Z drugiej strony, komunizm jako rzeczywisty ruch oznacza, że rozwój kapitalizmu jest zarówno procesem kształtowania epoki przedkomuni- stycznej jak i powstania ruchu politycznego proletariatu zmierzającego do komunistycznej rewolucji. Warunki tego ruchu mają twarde podstawy ekonomiczne, po- nieważ istnienie handlu i zagrożonej utratą pracy masy siły roboczej „zakłada z góry, z racji konkurencji, istnie- nie *rynku światowego*. Proletariat może więc egzysto- wać tylko w sensie *światowo-dziejowym*, podobnie jak będący jego dziełem komunizm możliwy jest tylko jako egzystencja o światowo-dziejowym charakterze”²⁵.

Neokomunizm *Manifestu* polega zatem na odrzu- ceniu wszelkich utopii socjalistycznych i komunistycz- nych oraz przyjęciu perspektywy kształtowania bez- klasowego społeczeństwa jako rezultatu globalnego funkcjonowania kapitalizmu. Warto jeszcze przytoczyć zawarty w liście z sierpnia 1850 roku pomysł Marksa o pięciu fazach procesu rewolucyjnego, zarysowany zimą 1849-1950 na wykładach o *Manifestie* w londyń- skim Stowarzyszeniu Oświatowym Robotników Nie- mieckich przedstawił. Pierwsza faza miała objąć okres do najbliższej rewolucji, po której powinno dojść do władzy demokratyczne drobnomieszczaństwo, w drugiej fazie miała nastąpić republika demokratycz- na, a w trzeciej republika socjalna. W czwartej fazie Marks przewidywał republikę socjalno-komunistyczną, a dopiero piąta faza byłaby zwieńczeniem długotrwałej rewolucji w postaci czysto komunistycznej republiki²⁶. Oczywiście, że opis faz rewolucji ma znaczenie drugo- rzędne, natomiast istotne jest przekonanie Marksa, że

²⁴ Ibidem, s. 642-643.

²⁵ K. Marks i F. Engels, *Ideologia niemiecka*, MED., t. 3, przeł. K. Bie- szyński, S. Filmus, Warszawa 1961, s. 38.

²⁶ Por. G.A. Bagaturija, *Kontury griaduszczezo. Engels o kommunisti- czeskom obszczestwie*, Moskwa 1972, s. 117.

²² K. Marks i F. Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, op. cit., s. 679-680.

²³ Ibidem, s. 641.

początkiem permanentnej rewolucja komunistycznej powinien być demokratyczny przewrót pod dyktando drobnomieszczaństwa, aby poprzez społeczeństwo burżuazyjne zmierzać do komunizmu.

Państwo stanu wyjątkowego i kapitalizm państwowy

Pogląd, że PRL nie była krajem komunistycznym nie czyni zwolennika takiego stanowiska bezradnym w próbie zrozumienia niedawnej przeszłości. Bliższe wejście w niedawny bieg dziejów nie tylko naszego kraju pozwala na sformułowanie roboczej hipotezy, że po 1944 żyliśmy w państwie „stanu wyjątkowego”, którego ekonomiczną podstawą był kapitalizm państwowy. Ta poznawczo płodna koncepcja wymaga jednak na początek wyrwania się z okowów „ideologii polskiej” uwikłanej w pseudokomunistyczną retorykę.

Koncepcję stanu wyjątkowego sformułował Giorgio Agamben, aby pokazać, jak we współczesnych państwach demokratycznych, a zwłaszcza w USA, aktualna polityka prowadzona jest głównie w ramach stanu wyjątkowego, który przestał być nadzwyczajnym środkiem, „wyjątkiem od reguły”, stanem przejściowym i czasowym, ale stał się regułą, stanem permanentnym i normalnym. Już podczas I wojny światowej ekspansja władzy wykonawczej ograniczyła funkcję parlamentu do zatwierdzania jej rozporządzeń wydawanych w formie dekretów z mocą ustawy. Agamben ocenił, że wtedy i w pierwszych latach powojennych „były testowane narzędzia i funkcjonalne mechanizmy stanu wyjątkowego jako paradygmatu władzy. Jedną z zasadniczych cech stanu wyjątkowego – czasowe zniesienie podziału na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą – wykazuje w tym punkcie tendencję do przemiany w trwałą praktykę rządzenia”²⁷.

Agambena koncepcja stanu wyjątkowego, przy odpowiednich modyfikacjach, wydaje się być dobrym narzędziem analizy nie tylko maccartyzmu, który był wytworem demokracji, ale i stalinizmu, formacji politycznej funkcjonującej w tonie tyranii. Stan wyjątkowy przybierał w różnych ustrojach rozmaite formy, występując na wielu obszarach z różnym nasileniem. Terror fizyczny z użyciem wojska, służb czy policji polegający na stosowaniu przez organy państwa twardych metod sprawowania władzy, takich jak porwanie, tortury, więzienie bez sądu, skrytobójstwa czy fizyczne represje wskazuje, że mamy do czynienia ze stanem wyjątkowym w wersji *hard*. W odróżnieniu od *hard power* odpowiednie instytucje, które posługują się miękkimi metodami, takimi jak podsłuchy czy tajne rewizje, używają *soft power*. W tej formule doskonale mieści się traktowanie systemu szkolnictwa jako swego rodzaju części armii, które ma służyć mobilizowaniu młodzieży do wojny, tresowaniu jej w posłuszeństwie i kształtowaniu bezkrytycznej wiary w rząd. Obydwa typy stanu wyjątkowego występują łącznie albo oddzielnie, nie wspominając o wariantach pośrednich. W Polsce terror stalinowski polegał na sprawowaniu władzy w ramach stanu wyjątkowego przy zastosowaniu metod opartych na przemocach fizycznych. Twarde metody skomponowane były ze środkami miękkimi,

by poprzez nasiloną propagandę i edukację uzyskać autoidentyfikację obywateli z panującą ideologią i reżimem politycznym. Wraz ze zmniejszeniem brutalnej przemocy państwowej wzrasta znaczenie miękkich strategii oraz psychicznego i kulturowego nacisku.

Agamben przypomniał ważną myśl Waltera Benjamina, który w 1940 roku pod niemiecką okupacją we Francji, krótko przed samobójczą śmiercią napisał, że „naszym zadaniem będzie wprowadzenie rzeczywistego stanu wyjątkowego”²⁸, w miejsce „stanu wyjątkowego”, który faktycznie stał się normalnym sprawowaniem rządów. Wiele inspirujących też badawczych poświęconych tym kwestiom zawierają publikacje Carla Schmitta²⁹ i Franciszka Ryszki³⁰, pozwalając głębiej wniknąć nie tylko w mechanizmy polityczne PRL, ale także współczesnego ustroju demokratycznego RP.

Kluczową kwestią jest rozpoznanie rzeczywistych mechanizmów życia gospodarczego w PRL. W tej perspektywie poznawczo płodne są analizy kapitalizmu państwowego i państwowego socjalizmu w Polsce po II wojnie światowej³¹. Na specjalną uwagę w obszarze badań nad Związkiem Radzieckim zasługuje mało znana publikacja *Państwowy kapitalizm w Rosji*³², której autor Tony Cliff dowodzi, że system stalinowski jest biurokratycznym kapitalizmem państwowym. Jej pierwsza edycja była odbita na powielaczu w czerwcu 1948 roku jako *The Nature of Stalinist Russia*, a wersja poprawiona pod tytułem *Stalinist Russia: A Marxist Analysis* (1964).

Spór o komunizm w Polsce w miejsce solidnych analiz, chociażby wokół modelu państwa stanu wyjątkowego opartego na gospodarce kapitalizmu państwowego, czy innych konkretnych koncepcji, został faktycznie zmonopolizowany przez jałową debatę polityczną wokół państwa i partii w czasach PRL, ale ostatecznie ich komunistyczny charakter i tak nie został opisany. Równocześnie łatwo wykazać, że od Marksowej koncepcji partii komunistycznej, mimo pewnych deklaracji, PZPR była tak odległa, że wręcz jej przeciwstawna. W efekcie, lokując się na płaszczyźnie komunizmu politycznego, antykomunistyczna krytyka sama pozbawiła się godnego obiektu refleksji. Jednak antykomunistyczna krytyka, przy wszystkich słabościach³³, ma tę zaletę, że stanowiąc trwałe elementy naszej kultury politycznej zapełnia pustkę powstałą z braku komunistycznej czy marksistowskiej krytyki rzeczywistości zaprzęskiego, ale ciągle żywego ustroju, od rozpoznania którego nie ma ucieczki. Jak na razie, to zadanie ma nadal, mimo upływu czasu, bardzo dobrą perspektywę badawczą.

MAREK ZAGAJEWSKI

²⁸ W. Benjamin, *O pojęciu historii*, przeł. K. Krzemieniowa, w: idem, *Aniël historii*, wybór i opracowanie H. Orłowski, przeł. K. Krzemieniowa, H. Orłowski, J. Sikorski, Poznań 1996, s. 417.

²⁹ C. Schmitt, *Teologia polityczna i inne pisma*, wybór, przekład i wstęp M.A. Cichoński, Kraków 2000.

³⁰ F. Ryszka, *Państwo stanu wyjątkowego*, wyd. trzecie poprawione i uzupełnione, Wrocław 1985; F. Ryszka, *Historia – polityka – państwo. Wybór studiów*, t.1, Toruń 2002.

³¹ W. Morawski (red.) *Zmierzch socjalizmu państwowego. Szkice z socjologii ekonomicznej*, Warszawa 1994.

³² T. Cliff, *Państwowy kapitalizm w Rosji. Od Stalina do Gorbaczowa*, wstęp i postłowie Ch. Harman, przeł. P. Kędziński, A. Żebrowski, Warszawa 1991.

³³ Por. R. Legutko, *Etyka absolutna i społeczeństwo otwarte*, Kraków 1997, s. 11-23.

²⁷ G. Agamben, *Stan wyjątkowy. Homo sacer II,1*, przeł. M. Surma-Gawłowska, postłowie, G. Jankowicz, P. Mościcki, Kraków 2008, s. 16-17.

MARCIN POPŁAWSKI

MIECZ DAMOKLESA

Pisanie dziś o przyszłości Euro do półrocznika z nadzieją, że tekst się nie zdezaktualizuje, za bardzo przypomina rosyjską ruletkę. Wobec nerwowości inwestorów i braku zahamowań spekulantów jedna iskra może wywołać pożar, jak zaś wykazuje doświadczenie, jego gaszenie wymaga wiele czasu. I niekoniecznie musi być skuteczne... Wystarczy, że w jednym, małym państwie, będącym piętą Achilleusa unii walutowej, dojdzie wskutek zaburzeń do zmiany polityki fiskalnej albo padnie kolejna kostka europejskiego domina i może spełnić się scenariusz z gatunku *political fiction*. Rynki reagują w takich sytuacjach szybko, nazbyt szybko dla rządów, Brukseli czy nawet futurologów...

„Koł trójcański Europy” stał się teraz ulubionym konikiem mainstreamowych publicystów, ekonomistów oraz przywódców upatrujących wszelkiego zła w nieprzeżęciu dyscypliny budżetowej, nadmiernych wydatkach socjalnych, itp. Czy słusznie? W rzeczywistości Grecja ma niewiele wspólnego z europejskim państwem opiekuńczym, takim jak Szwecja, Belgia albo Niemcy, a zgoła więcej z krajami Ameryki Łacińskiej. Głównym problemem jest klientelizm i przeżarty korupcją, nieszczelny system podatkowy. Wiąże się to ponadto z trwonieniem funduszy publicznych i unijnych, które zamiast celom rozwojowym służyły dotąd rozpasanej konsumpcji. Wskaźniki makro były tajemniczą poliszynela, jedynie Komisja Europejska ignorowała te sygnały, najwyraźniej czekając na cud, tj. aż Grecja ograniczy korupcję, zaciśnie pasa lub wystąpi ze strefy Euro. Nieposiadająca wspólnej waluty Polska nie mogła liczyć na taką wyrozumiałość i jej deficyt był skrzętnie monitorowany.

W 2006 roku deficyt Grecji, podobnie jak Portugalii, nie przekraczał 4% PKB. Hiszpania miała nadwyżkę budżetową i nic nie zapowiadało katastrofy. Potem przez Europę i świat przetoczył się kryzys finansowy, przekładając się na realną gospodarkę. W efekcie grecki deficyt sięgnął 14% PKB, a zadłużenie – 115%; w Portugalii odpowiednio 8% i 90%, podobnie w Hiszpanii i Irlandii. Wymienione państwa, to nawiasem mówiąc, najwięksi beneficjenci akcesji do UE, będące wzorem wykorzystania funduszy strukturalnych. Gwałtowny przyrost deficytów był wynikiem skurczenia się ich bazy podatkowej. Na Hiszpanii, która prowadziła odpowiedzialną politykę fiskalną i nie fałszowała danych, mści się niekontrolowany boom na rynku nieruchomości. O tym, że nie należy winić państwa socjalnego, najlepiej świadczy katastrofalna sytuacja makro-

ekonomiczna W. Brytanii, Japonii i *last but not least* USA, gdzie stan Kalifornia jest bankrutem. O Irlandii czy państwach bałtyckich nie zapominając.

Kazus Grecji stanowi poważne ostrzeżenie głównie dlatego, że wiara w korzyści z przyjęcia wspólnej waluty, takie jak wzrost stabilności gospodarczej czy wiarygodności kredytowej, okazała się złudna, wręcz niebezpieczna dla stabilności makroekonomicznej państwa, całej strefy i w końcu samej integracji europejskiej. Stało się jasne, że przynależność do unii walutowej, dostęp do tanich kredytów, podobnie jak zawyżone ratingi, stępują czujność polityków i o dziwo - rynków. Jako pierwsi reagują spekulanci i wówczas krajowe obligacje są wystawione na żer. Przeciwnicy regulacji (np. zakazu niezabezpieczonych krótkich pozycji) mogą argumentować, że ograniczenie instrumentarium spekulantów jest jak rozbicie termometru, gdy wskazuje on wysoką gorączkę. Zapewne tak i było, dopóki spekulanci nie zaczęli przypominać stada rekinów rzucających się na ranną ofiarę. Jakże profetycznie brzmią słowa Johna Keynesa z 1936 r., które nie po raz pierwszy przytoczę na tych łamach *in extenso*: „spekulanci mogą być nieszkodliwi, gdy są niczym piana na równym strumieniu przedsiębiorczości. Ale sytuacja staje się poważna, gdy przedsiębiorczość staje się pianą na wirze spekulacji”. Brak regulacji skazuje na powtórkę tych samych błędów, których ofiarą będzie UE jako całość.

Gdyby Grecja, czy dajmy na to Portugalia, posiadała własną walutę, traciłaby ona na wartości w miarę narastania zadłużenia. W sytuacji kryzysowej można by poprzez dewaluację przywrócić konkurencyjność gospodarki, wrócić na ścieżkę wzrostu i pozbyć się części długu bez uciekania się do drastycznych, testujących wytrzymałość tkanki społecznej cięć. Można by również manipulować stopami procentowymi, pobudzając oszczędności i zapobiegając ucieczce kapitału. Podobne rozwiązania zastosowała w 1992 r. Wielka Brytania, ostatnio Węgry, a także Argentyna (dwukrotnie) i Meksyk. Najnowsza historia zna wiele przypadków wychodzenia z kryzysów zadłużeniowych, tyle że żaden z nich nie dotyczy heterogenicznego obszaru, jakim jest strefa Euro, bez wspólnego budżetu i polityki fiskalnej.

Przyjmując Euro państwo wyrzeka się własnej polityki monetarnej i jest wystawione na tzw. szoki asymetryczne. Dziurę budżetową można wypełnić jedynie w drodze zwiększenia podatków i drastycznych ograniczeń, co prowadzi w sytuacji kryzysu gospodarczego

do głębokiej recesji (przewiduje się, że w bieżącym roku grecki PKB skurczy się o ok. 7%) i masowego bezrobocia. Mechanizm stabilizacyjny oznaczający stabilne źródło finansowania może nie pomóc, a jedynie opóźnić niewypłacalność państwa. Nie jest też w stanie zapobiec narastającemu społecznemu niezadowoleniu, grożącemu wybuchem.

Wejście do strefy Euro jest w zasadzie krokiem nieodwracalnym, chyba że z czasem europejscy decydenci wyciągną wnioski z greckiej lekcji, tworząc mechanizm umożliwiający usunięcie z Eurolandu państw notorycznie naruszających kryteria konwergencji. Obecnie powrót do rodzimej waluty krajów z grupy PIIGS (Portugalia, Irlandia, Włochy, Grecja, Hiszpania) byłby, cytując jednego z publicystów, „matką wszelkich katastrof”. Nie tylko dla tych państw, których waluty i obligacje nie znalazłyby nabywców, ale dla całego modelu integracji, którą cofnąłby raczej bezpowrotnie o lat kilkanaście.

W praktyce pozostają dwa scenariusze rozwoju sytuacji i od tego, który zostanie wprowadzony w życie, zależy los Euro i Unii Europejskiej. Pierwszy, zachowawczy, „na odczekanie” aż przyjęty w maju mechanizm stabilizacyjny ECB i MFW zadziała bądź Grecja ogłosi niewypłacalność prosząc o restrukturyzację długu. To drugie jest zdaniem komentatorów gospodarczych bardziej prawdopodobne, mimo iż UE odrzuca z góry taką możliwość. Tymczasem Grecja będzie zaciągać nowe zobowiązania w ramach EMS i jej dług publiczny wzrośnie, gdyż rentowność obligacji będzie wyższa od dynamiki wzrostu gospodarczego.

Drugi scenariusz to „ucieczka do przodu” w kierunku wspólnego budżetu. Oznacza okrojenie suwerenności fiskalnej państw członkowskich i unijny podatek. Reformy trzeba by zacząć bezzwłocznie, gdyż UE jak rowerysta przewraca się, kiedy nie pedałuje, w czym przypomina dawne, wieloetniczne imperia. Aż strach pomyśleć, dokąd mogą prowadzić podobne analogie. Grecki syndrom będzie wisieć jak miecz Damoklesa, grożąc erupcją i ruiną wspólnego gmachu, wywołując wstrząsy na rynku walutowym i giełdowym. Perspektywa efektu domina spędza sen z powiek unijnym politykom, EBC i może ziszczyć się zanim niniejszy tekst trafi do czytelników. Zapowiedzią tego co może nastąpić była reakcja rynków na przyjęcie EMS, skutkująca silną deprecjacją Eurodolara i spadkiem indeksów. Dyskontująca spodziewane fiasko tego planu.

Obecnie państwa Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polska, nie spieszą się ze spełnieniem kryteriów z Maastricht, aby nie podkopać fundamentów potencjału wzrostowego. Kraje Eurolandu także nie spieszą się z przyjęciem nowych członków. Ponadto deprecjacja walut państw regionu, silniejsza niż spadek EURUSD, sprzyja konkurencyjności ich gospodarek. Nikt nie wie, co stanie się z Euro w najbliższych latach i - w związku z tym - co mu wypada czynić. Lapidarnie ujął to szef naszego resortu finansów mówiąc o domu, do którego nie wprowadza się w trakcie remontu. „Remont” miałby potrwać 4 - 5 lat, co powinno umożliwić m.in. Polsce spełnienie kryteriów konwergencji, zakładając, że będzie to jeszcze potrzebne. Okazuje się przy tym, że wejście do strefy Euro w warunkach kryzysu jest równie trudne, jak jej opuszczenie. Problem dotyczy przede wszystkim dwóch kryteriów: fiskalnego i kursu walutowego. W ślad za zmianą cyklu koniunkturalnego

nastąpiło pogłębienie się również i polskiego deficytu - z 2% w 2007 do 7% w 2010 r. Wypowiedzi członków rządu wskazują dziś raczej na chęć podjęcia działań zwiększających dynamikę PKB, a tym samym wpływów do budżetu, niż na radykalne ograniczenie wydatków. Będzie to jednak zależeć od czynników rynkowych i koniunktury. W mniejszym stopniu także od uwarunkowań polityki wewnętrznej.

Kryterium kursu walutowego jest równie trudne do spełnienia ze względu na dużą zmienność kursu złotego i ograniczone możliwości NBP przeciwdziałania istotnym wahaniom wywołanym atakami spekulacyjnymi. Gwałtowne wahania utrudniają, a obecnie wręcz uniemożliwiają wyznaczenie parytetu centralnego w ERM II. Silne osłabienie złotego powoduje też znaczny wzrost kosztów obsługi długu zagranicznego.

Ogłoszenie mechanizmu stabilizacyjnego jedynie kupuje czas, choć zarazem stanowi pierwszy krok, miejmy nadzieję we właściwym kierunku, jakim jest przemiana EBC w instytucję w rodzaju FED, mogącą skupować obligacje i tworzyć pakiety ratunkowe. Następnym krokiem powinien być wspólny budżet, wreszcie *de facto* federacja gospodarcza. Inne rozwinięte gospodarki, USA i Japonia, mają analogiczne problemy z zadłużeniem, z tą różnicą, iż posiadają jeden ośrodek kontrolujący sytuację.

Powodzenie europejskich reform, oprócz wyboru właściwej drogi, zależeć będzie od nastrojów społecznych i nieprzewidywalnych reakcji rynków. Jest oczywiste, że wszelkie reformy związane z narzuceniem na obywateli dodatkowych obciążeń lub cięciami, spotkają się ze sprzeciwem. Przy czym, jak zauważa Krugman, żadne z państw dokonujących cięć nie jest wyspą i redukcja deficytu rzutuje na sytuację pozostałych. Co dopiero gdy większość wprowadza w życie podobne plany! Działania niektórych rządów noszą obecnie znamiona paniki, miotania się od ściany do ściany - zadłużania, to znów oddłużania - co bezbłędnie odczytują rynki, bezlitośnie wyprzedając Euro. Prawdą jest, że nikt jeszcze nie znalazł złotego środka, który pozwoliłby zmniejszyć deficyt jednocześnie stymulując wzrost gospodarczy. Optymalnie należałoby pozwolić gospodarce, aby sama „wyrostała” z deficytu, przede wszystkim mając na uwadze spokój społeczny.

Można rzec, że kryzys gospodarczy powoli obnaża szkielet i słabości wspólnego gmachu. Kolejne pęknięcia są nieuniknione, zwłaszcza jeśli, co nie daj Boże, po siedmiu tłustych latach miałoby nastąpić siedem lat chudych. Heterogeniczność Eurolandu, w połączeniu z instytucjonalną ociężałością i niezdolnością do istotnych zmian systemowych, będzie prawdopodobnie skutkować dalszym osłabieniem wspólnej waluty i odpływem kapitału z Europy. Cięcia budżetowe mogą dopełnić miary, pchając zubożałych wyborców w objęcia populistycznych i nacjonalistycznych demagogów różnej maści. Proces ten powoli się zarysowuje od Islandii przez Holandię do Czech i Węgier, wraz z erozją popularności głównych partii, postrzeganych jako establishmentowe. Jeśli za 4 - 5 lat nowi gracze sięgną po władzę, prawdopodobnie zabraknie już politycznego konsensusu dla powstrzymania rozpadu unii walutowej.

MARCIN POPŁAWSKI

16 czerwca 2010 r.

KAROLINA RĄB

PRYWATYZACJA – UPADEK CZY NOWA SZANSA DLA KIBUCU?

Sto lat temu, nad brzegami rzeki Jordan, grupa rosyjskich Żydów utworzyła pierwszy kibuc-Deganię Alef. Dwunastu młodych ludzi postanowiło, „założyć komunę rolniczą, (...) w której nie będzie ani wyzyskiwanych, ani wyzyskiwaczy”¹. Choć życie w kibucu nie było łatwe (budowano je najczęściej na terenach bagnistych, malarycznych), to idea ta stawała się coraz bardziej popularna wśród syjonistów, początkowo przede wszystkim z Europy Wschodniej. Stopniowo kibuców zaczęło przybywać, a one same się rozrastać. Dziś w Izraelu działają 273 wspólnoty.²

Przez wiek swojego istnienia kibuce uległy sporej transformacji. Przed sześciu laty większość wspólnot zrewolucjonizowała sposób funkcjonowania. Dzień ich stuletnich urodzin to doskonała okazja, aby się tym zmianom przyjrzeć i spróbować zrozumieć ich naturę. Należałoby się zastanowić, w jakim kierunku idzie kibuc i co ma on dzisiaj do zaoferowania. Proces zmian zostanie pokazany na przykładzie wspólnoty Szaron³, leżącej w połowie drogi między Hajfą a Tel Awiwem. Kibuc ten, założony w 1933 roku przez grupę polskich syjonistów, przeszedł drogę typową dla większości izraelskich komun.

Kibucnicy nigdy nie stanowili dużej części populacji Izraela (w apogeum ich popularności było to zaledwie 4%⁴), jednak zawsze byli grupą szczególną. Przez dziesięciolecia funkcjonowali w świadomości zbiorowej jako pionierzy, budownicy młodego państwa. Członkowie kibuców służyli w najbardziej elitarnych jednostkach wojskowych, a liczba ich członków poległych na polach walki była znacząca. Wspólnoty cieszyły się szacunkiem nie tylko zwykłych Izraelczyków, ale także mogły liczyć na przychyłność władz. Do roku 1977 Izraelem nieprzerwanie rządziła lewica, która poprzez ulgi podatkowe czy pożyczki rządowe wspierała działalność komun. W efekcie z biednych osad przekształciły się one w bogate społeczności, z własnymi basenami, ładnymi domami.

Uprzywilejowana sytuacja kibuców zaczęła ulegać zmianie pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy to w 1977

roku Menachem Begin, z ramienia prawicowego Likudu, objął tękę premiera. Begin w swojej kampanii wyborczej grał na niepokojach społecznych. Wykorzystał wyraźny podział społeczeństwa izraelskiego na bogatszych Żydów aszkenazyjskich (którzy dominowali w kibucach), i biedniejszych, słabo w owym czasie zintegrowanych emigrantów z krajów arabskich. Strategia prawicowego premiera okazała się być bardzo skuteczna.

Po objęciu rządów przez Likud, kibuce straciły finansowe i polityczne wsparcie rządu. Najbardziej jednak bolesnym ciosem dla wspólnot okazał się być kryzys finansowy, który w roku 1985 ogarnął cały Izrael. W jego wyniku część kibuców zbankrutowała, a te, którym udało się przetrwać, tonęły w długach. Na dodatek modzi kibucnicy masowo zaczęli opuszczać wspólnoty. Pod koniec lat 90. można było znaleźć komuny, gdzie nie było w ogóle młodych ludzi.⁵

W kibucu Szaron, w latach dziewięćdziesiątych, większość młodzieży nie decydowała się na powrót do wspólnoty po odbyciu służby wojskowej. Jak wyznał mi Yosi, starszy kibucnik (68 lat): „Baliśmy się, że nasz kibuc stanie się w końcu domem starców”⁶. Eksodus młodych trwał do początku XXI wieku, kiedy nagle sytuacja uległa diametralnej zmianie.

W odpowiedzi na problemy ruchu kibucowego, zarówno ekonomiczne, jak i demograficzne, coraz częściej pojawiały się głosy o konieczności wprowadzenia zmian. Chociaż pierwsze reformy, jak choćby w Szaron częściowa prywatyzacja stołówek czy zamknięcie „domów dzieci”, miały miejsce jeszcze przed kryzysem lat osiemdziesiątych, to jednak idea prawdziwej rewolucji pojawiła się dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Yehuda Harel, kibucnik, opublikował w 1993 roku pracę, która okazała się być punktem zwrotnym dla większości wspólnot. W „Nowym kibucu” Harel zaproponował zupełnie inny od dotychczas stosowanego model zarządzania komunami. Jego zdaniem kibuce mogą z powodzeniem łączyć w sobie elementy socjalistyczne i kapitalistyczne. Postulował on rozdzielenie produkcji (która powinna działać wedle prawideł wolnorynkowych) i dystrybucji dóbr (mającej się odbywać wciąż w dawny, „socjalistyczny” sposób).⁷ Przedsiębiorstwa

¹ <http://www.degania.org.il/eng/history.htm>

² Idem.

³ Nazwa kibucu, jak i imiona jego członków na prośbę moich rozmówców zostały zmienione.

⁴ Henry Near, *The kibbutz movement. A History*. Oxford 1997, s. 17

⁵ Eli Ashkenazi, *Haaretz*, 7.01.2010

⁶ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 2.04.2010

⁷ Yehuda Harel, *The New Kibbutz*, 1993

kibucowe, wedle tej idei, zarządzane przez profesjonalnych menedżerów, powinny przynosić dochód. Zysk w ten sposób wypracowany byłby jednak rozdzielany wśród kibucników wedle „kibucowej”, egalitarnej zasady. Ponadto kibuc nie musi być głównym pracodawcą dla swoich członków, którzy powinni raczej być zachęceni do szukania zarobku w swoim zawodzie poza wspólnotą, a kibuc mógłby w ich miejsce zatrudniać „zewnętrznych” specjalistów.

Publikacja Harela wywołała ferment w środowisku. W efekcie większość kibuców wprowadziła zmiany znacznie bardziej rewolucyjne od tych przez niego proponowanych. Obecnie komuny działają podle trzech różnych modeli:

- Model wspólnotowy (szitufi): jest to kibuc tradycyjny, w którym wszyscy kibucnicy mają takie samo uposażenie pieniężne (obecnie w Izraelu jest 60 takich wspólnot);

- Model zintegrowany: członkowie otrzymują miesięczną płacę, składającą się z trzech części: identycznej dla wszystkich podstawy, dodatku za wysługę lat oraz renty od osiąganego dochodu (wedle tej zasady działa 20 kibuców);

- Nowy kibuc: metoda siatki bezpieczeństwa, funkcjonująca w badanej przez mnie komunie (większość wspólnot - ponad 190 - wprowadziło właśnie ten model)⁸.

W roku 2004, po dwóch latach dyskusji i dwóch nieudanych głosowaniach w sprawie zmiany systemu zarządzania, kibuc Szaron przeprowadził reformę. Od tego czasu kibucnicy otrzymują zróżnicowane wynagrodzenia. Równocześnie płać podatki, które są przeznaczane na tak zwaną siatkę bezpieczeństwa: mechanizm, gwarantujący wszystkim dochód minimalny. Osoby, które w dniu przeprowadzenia reformy miały 75 lat lub więcej, mogły pozostać przy starym modelu, wciąż otrzymując od kibucu pieniądze i opiekę, mając zagwarantowane wydatki związane z lekami czy hospitalizacją⁹.

Początkowo próby wprowadzenia diametralnych zmian prywatyzacyjnych w kibucu kończyły się niepowodzeniem. Wprawdzie w pierwszym głosowaniu poparła je ponad połowa jego mieszkańców (54%), to jednak zgromadzenie wspólnoty postanowiło poczekać, aż znaczna większość opowie się za reformami. W efekcie rozmów i działalności różnych komitetów, w trzeciej rundzie głosowań kibucnicy wyraźnie opowiedzieli się za reformami (ponad 75%)¹⁰. Dzisiaj, po 6 latach od ich wprowadzenia, prawie żaden z członków Szaron nie wyobraża sobie powrotu do dawnego, całkowicie kolektywnego modelu. „Tak, stajemy się bardziej kapitalistyczni, ale jeśli spytasz się 95% kibucników, czy reformy zmieniły kibuc na lepsze, to zobaczysz, że odpowiedzą: tak. Myślę, że jest to bardzo pozytywna i ogromnie ważna zmiana dla naszej wspólnoty”¹¹ - powiedział mi Dawid (40 lat), nowy członek kibucu Szaron.

Kibucnicy niemal jednogłośnie powtarzają, że teraz są szczęśliwsi, bardziej niezależni, mniej sfrustrowani. Ich zdaniem prywatyzacja zmusiła ludzi do cięższej, bardziej wydajnej pracy, dała kres swoistemu żerowaniu osób mniej pracujących kosztem bardziej zaangażowanych.

Przed wszystkim jednak członkowie Szaron podkreślają, że po wprowadzeniu zmian do kibucu zaczęli wracać młodzi ludzie. A jest to, jak powiedzieli Idan (68l.): „najlepsza rzecz, jaka nam się zdarzyła w ciągu ostatnich dziesięciu lat”¹².

„Odnowa”¹³ kibucu była koniecznością, która uratowała wspólnotę przed bankructwem i zapaścią demograficzną. Nasuwa się jednak pytanie: dlaczego ludzie, którzy w sposób dobrowolny wybrali życie w egalitarnej, socjalistycznej komunie, nagle popierają reguły wolnego rynku?

Yonina Talmon-Garber, izraelska socjolożka, badaczka ruchu kibucowego, opisuje zmiany w kibucu przez pryzmat teorii funkcjonalistycznej. Twierdzi, że to przede wszystkim procesy zewnętrzne, takie jak urbanizacja i industrializacja, wpłynęły na sposób działania wspólnot¹⁴. Wraz z uprzemysłowieniem się Izraela rola, jaką odgrywało proste, kibucowe rolnictwo, stała się coraz mniejsza. Nowi emigranci, szczególnie po roku 1948, nie kierowali tak chętnie swoich pierwszych kroków ku kibucowi; osiedlali się raczej w miastach, gdzie szukali pracy w przemyśle, usługach. Oczywiście też sam charakter powojennej alii był znacznie różny od wcześniejszych emigracji. Do Izraela przybywali masowo Żydzi z krajów arabskich, dla których socjalistyczne, świeckie ideały kibucników były zupełnie obce.

Proces industrializacji wpłynął również na sam system pracy. Rolnictwo stało się coraz bardziej uprzemysłowione; ponadto gros kibuców zmieniło obory na wielkie hale produkcyjne. W obliczu ogromnego postępu technologicznego, kibuc nie mógł się już wyłącznie opierać na średnio wykwalifikowanych ludziach od wszystkiego. Musiał postawić na świetnie wykształconych specjalistów. Drugie, a przede wszystkim trzecie pokolenie kibucników, zaczęło się więc kształcić na uniwersytetach. Ci młodzi, wykształceni ludzie zrozumieli, że aby przetrwać, kibuc musi być innowacyjny, konkurencyjny. Nie da się tego jednak osiągnąć, nie dając dużej autonomii jednostce.

Inne podejście do zmian przedstawił Israel Shepher, socjolog i zarazem kibucnik. Jego zdaniem kibuc hamował naturalne skłonności człowieka, takie jak chęć posiadania rodziny czy odgrywanie tradycyjnie przypisanych płciom ról. Z czasem natura musiała się zbuntować. Dlatego też, wedle Shephera, rodzina wygrała ze wspólnotą¹⁵. W podobnym tonie wypowiada się Elizer Ben-Rafael podkreślając, że od zawsze egalitaryzm kibuców był zagrożony przez rodzinę i indywidualizm¹⁶. Stąd też, można wnioskować, przychylność dla reform. Sprywatyzowany kibuc jest bardziej zorientowany na rodzinę/jednostkę niż wysoce kolektywna społeczność.

Funkcjonalistyczna perspektywa Talmon-Garber, jak i socjobiologiczna pozostałych badaczy tłumaczy, moim zdaniem, tylko do pewnego stopnia zmiany w kibucach. Sądzę, że kluczową rolę w tym procesie odegrały przede wszystkim czynniki kulturowe.

¹² Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 10.04.2010

¹³ Kibucnicy, zamiast terminu prywatyzacja, używają właśnie pojęcia „odnowa”.

¹⁴ Yonina Talmon-Garber, *Family and community in the kibbutz*, Harvard University Press 1972, s.71

¹⁵ Eliezer Ben-Rafael, *Crisis and transformation: The kibbutz at century's end*, New York Press 1997, s.17

¹⁶ Idem.

⁸ http://www.kibbutz.org.il/eng/081101_kibbutz-eng.htm

⁹ Z rozmowy przeprowadzonej z sekretarzem kibucu w dniu 31.03.2010

¹⁰ Idem.

¹¹ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 5.04.2010

Ronald Inglehart w swoich międzynarodowych badaniach (World Values Survey) uchwycił zmiany kulturowe, zachodzące w rozwiniętych społeczeństwach. Pokazuje on, że pokolenia wychowane w dobrobycie traktują ten stan jako coś normalnego, danego, coś, o co nie trzeba już zabiegać. Tym samym, w przeciwieństwie do generacji pamiętających biedę, są one niechętnie poświęcani własnej autonomii na rzecz stabilności ekonomicznej. Podkreślał też, że bezpieczeństwo materialne doprowadziło do zmian międzypokoleniowych, do zwrotu w kierunku wartości postmaterialistycznych w młodszym pokoleniu¹⁷. Do wartości tych zaliczył wolność, samorealizację, dbanie o jakość życia, troskę o środowisko naturalne. Inglehart tłumaczy ten fenomen przy pomocy „hipotezy braku/niedostatku”¹⁸. Ludzie cenią bardziej to, co jest w danym momencie trudniej dostępne.

I to właśnie przez pryzmat pokoleniowej zmiany kulturowej należy, moim zdaniem, spoglądać na transformację kibucu. Drugie, a przede wszystkim trzecie pokolenie mieszkańców Szaron, czyli grupa, która najbardziej przyczyniła się do „odnowy” wspólnoty, dorastało we względnie dobrobycie. Dzieci i wnukowie chaluców nie zaznali biedy i trudu, z którymi borykali się ich rodzice i dziadkowie. Jednakże za to poczucie bezpieczeństwa trzeba było płacić częściową utratą niezależności. Nie mogli dysponować własnym zarobkami, w pełni decydować o losach własnej rodziny. O ile starsze osoby, które doświadczyły ubóstwa, mogły się na to godzić, to już dla młodych ludzi było to nie do zaakceptowania; zaczęli więc opuszczać kibuc. Z moich rozmów z kibucnikami, którzy jako dwudziestolatki zdecydowali się odejść ze wspólnoty (a powrócili po roku 2004) wynika, że głównym powodem rezygnacji z życia kibucowego było ograniczenie swobody, autonomii. Uri (62 lata), który przez wiele lat był sekretarzem kibucu Szaron powiedział mi: „Jako sekretarz odbywałem wiele ciekawych rozmów z młodymi ludźmi i oni mi mówili: słuchaj, dopóki to miejsce jest wysoce kolektywne, my tu nie zamieszkamy, ponieważ chcemy mieć pewność, że odpowiedzialność za losy naszej rodziny spoczywa w naszych rękach”¹⁹. Jak wcześniej zostało wspomniane, reforma kibucu miała miejsce w roku 2004. Od tego czasu jest on dosłownie zalewany przez nowych członków. Lista oczekujących jest ogromna, trzeba było więc ustalić sztywne reguły przyjęć, takie jak poziom zarobków i roczny okres próbny. Mimo tego, ciągle liczba chętnych przewyższa możliwości absorpcyjne wspólnoty²⁰.

Mieszkańcy kibucu zgadzają się jednogłośnie, że głównym powodem powrotu młodych ludzi są wprowadzone zmiany. „Myślę, że [młodzi ludzie] wracają, ponieważ rzeczy w kibucu się zmieniły, mam tu na myśli sposób życia, prywatyzację.” (Shlomo, 63 lata)²¹. „W ostatnich dziesięciu latach przed wprowadzeniem zmian nikt nie wracał” (Roi, 46 lat)²².

Podobnych wypowiedzi usłyszałam dziesiątki. Wszyscy moi rozmówcy są przekonani, że reformy odmłodziły ich wspólnotę.

Powracający podkreślają, że w nowym kibucu wreszcie nie są ograniczani, mają swobodę. Czy oznacza to, że w przeciwieństwie do starszego pokolenia, nowi członkowie są skoncentrowani jedynynie na sobie i na swoim życiu rodzinnym, a wspólnotę traktują czyśto instrumentalnie?

Aby się tego dowiedzieć, spytałam członków kibucu Szaron, dlaczego tam mieszkają. Co interesujące: niezależnie od grupy wiekowej odpowiedzi były bardzo podobne. Najważniejszym powodem życia we wspólnocie jest, dla wszystkich mieszkańców, wychowywanie dzieci. Kibucnicy nie potrafią sobie wyobrazić lepszego miejsca dla rodziny.

„Urodziłem się tutaj i jako osoba urodzona w kibucu nie mogłem wyobrazić sobie lepszego miejsca do wychowywania dzieci. Żyłem przez pewien czas w Tel Awiwie, w bardzo przyjemnej dzielnicy, bardzo cichej, prawie bez samochodów, ale nie mogłem wyobrazić sobie, że moje dzieci dorastają w mieście²³” (Daniel, stary²⁴ członek kibucu).

„Po tym, jak się pobraliśmy (...) oboje wiedzieliśmy, że jako rodzina nie możemy żyć w mieście. Postanowiliśmy, że przyjedziemy tu na rok, na próbę, wynajęliśmy dom. I po czasie zobaczyliśmy, że następują zmiany, zmiany na lepsze. Postanowiliśmy zostać” (Hadar, nowa członkini wspólnoty). Dość często moi rozmówcy mówili też o „kibucowym stylu życia”. Powtarzali, że w ich wspólnocie życie toczy się wolniej, mniej stresująco niż w mieście. Cenią sobie prostotę i codzienny kontakt z naturą.

„Najbardziej lubię to, że dzień w dzień mogę budzić się słysząc śpiew ptaków. Przez trzydzieści lat żyłem w mieście i poczułem, że potrzebuję zmiany. Przyjechałem tu i już nie chcę być nigdzie indziej²⁵” (Itai, nowy członek kibucu Szaron). „Przed wszystkim mieszkam tu dla wspaniałej atmosfery, ludzi, ogrodów, pól. Jakość życia tutaj jest znacznie lepsza niż na zewnątrz²⁶” (Nir, stary członek kibucu).

Wobec takich odpowiedzi możnaby się spodziewać, że rzeczywiście kibucnicy, niezależnie od wieku, są przede wszystkim skupieni na swoim życiu prywatnym, a wspólnota gra tu rolę drugoplanową. Jednakże, jak się okazuje, ta koncentracja na życiu rodzinnym nie przeszkadza im wcale angażować się w sprawy kibucu. Spośród 46 moich respondentów jedynie dwoje nigdy nie uczestniczyło w kibucowych głosowaniach. Warto również podkreślić, że szczególnie aktywni są nowi członkowie wspólnoty. Ponad połowa osób zasiadająca w obecnym zgromadzeniu pochodzi właśnie z tej grupy²⁷. Młodzi mieszkańcy są zaangażowani w przeróżnych komitetach kibucowych, działają w komisji przyjmującej nowych członków (tak zwana klita). Bez wątplenia chcą mieć wpływ na przyszłość swego kibucu.

„Chcemy być zaangażowani, chcemy mieć coś do powiedzenia. Mój partner, na przykład, jest ogromnie zajęty, czasem wraca do domu później ode mnie, ale dla niego bardzo istotnym jest życie we wspólnocie, bycie

¹⁷ Ronald Inglehart, *Culture Shift in the advanced industrial societies*, Princeton University Press 1977, s.147

¹⁸ Ronald Inglehart, op.cit., s.145

¹⁹ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 5.04.2010

²⁰ Z rozmowy z obecnym sekretarzem kibucu z dnia 31.03.2010

²¹ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 10.04.2010

²² Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 7.04.2010

²³ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 31.03.2010

²⁴ Jako „starych” członków określiam osoby, które mieszkały w kibucu Szaron jeszcze przed wprowadzeniem reformy. Tym samym „młodzi” członkowie to osoby, które zamieszkały już w zreformowanej wspólnocie.

²⁵ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 8.04.2010

²⁶ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 20.03.2010

²⁷ Z rozmowy z obecnym sekretarzem kibucu z dnia 31.03.2010

jej częścią, ponieważ decyzje, które zapadają, wpływają na nasze życie²⁸ (Shimrit, nowa członkini kibucu).

„Jeśli spojrzysz na skład nowego zgromadzenia, zobaczysz, jaka to duża zmiana. I tak z czternastu członków siedem albo osiem osób jest bardzo młodych. To jest ogromna zmiana. W poprzednim zarządzie najmłodszy członek miał 55 lat. A dziś mamy jednego, co ma lat 33, jednego w wieku 35 lat i dwójkę czterdziestolatków. Oni chcą wziąć sprawy we własne ręce i mieć wpływ na wspólnotę²⁹ (Ehud, stary członek wspólnoty).

„Jestem bardzo aktywny, działam w klicie. Młodzi członkowie podnoszą ręce i stają się bardzo istotnym głosem³⁰ (Icchak, nowy człowiek). Biorąc pod uwagę, że większość tych młodych ludzi pracuje poza kibucem, działalność w jego strukturach wiele mówi o ich stosunku do wspólnoty.

To zaangażowanie w sprawy kibucu można tłumaczyć drugim najczęściej podawanym powodem mieszkania we wspólnocie, a mianowicie wartościami kibucowymi. To właśnie między innymi dla nich kibucnicy wybrali ten model życia. Pytani o to, co w życiu cenią najbardziej, najczęściej wymieniali obok siebie rodzinę i wspólnotę. Inne, także często podawane wartości, to: ojczyzna, socjalizm, natura, samorealizacja, praca. Niezależnie, czy pytanie było zadane nowemu, czy staremu członkowi kibucu, osobie przed czy po pięćdziesiątym roku życia³¹, odpowiedzi kształtowały się niemal identycznie.

Z rozmów z kibucnikami widać, że ich system wartości jest eklektyczny, zawiera w sobie zarówno wartości kolektywistyczne, jak i indywidualistyczne. Jednakże, co pokazują mieszkańcy Szaron, nie są one ze sobą sprzeczne. Życie rodzinne nie wyklucza zaangażowania w sprawy wspólnoty. Sfałszyfikowana została także hipoteza, jakoby młodsze pokolenie było mniej zorientowane na wspólnotę od swoich dziadków/rodziców. Młodzi ludzie, którzy w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych masowo opuszczali kibuc (a dziś powrócili), nie zanegowali idei wspólnoty jako takiej. Jest ona dla nich, obok rodziny, wartością autoteliczną.

Kibucnicy są zgodni, wyznają te same wartości, z tych samych powodów zamieszkują wspólnotę. Młodzi w równym stopniu cenią wartości kolektywne, co indywidualistyczne, podobnie jak ich rodzice i dziadkowie. Źródło konfliktu międzypokoleniowego, a tym samym i niedawnych zmian, tkwi więc nie tyle w wartościach, a raczej w sposobie ich rozumienia. Zarówno młodsze, jak i starsze pokolenie ceni przeciwieństwo rodzinę, wspólnotę, socjalizm. Młodsza i starsza generacja jednak inaczej patrzy na te same idee. Można powiedzieć, że młodzi, wychowani w dobrobycie i poczuciu bezpieczeństwa, nie koncentrują się na materialnych aspektach tych zagadnień. Patrzą oni na nie z bardziej „postmaterialistycznej” perspektywy. Socjalizm to dla nich nie tyle walka klas, kolektywna własność środków produkcji, co bardziej dbanie o jakość życia i środowisko naturalne, zaangażowanie w działalność lokalnych społeczności, etc. Szukają oni przeciwwagi dla kapitalizmu, jednak odrzucają radykalizm starszego

pokolenia. Nie jest to, rzecz jasna, fenomen jedynie kibucowy. Bazą lewicy dziś, w wysoko rozwiniętych społeczeństwach, jest raczej klasa średnia niż robotnicy, stąd też inne problemy, na które kładzie się obecnie nacisk. Również i na wspólnotę młodzi zapatrują się inaczej. Kibuc, w którym chcą żyć, to klasyczne tönniesowskie Gemeinschaft - miejsce, w którym relacje między ludźmi są bardziej intymne, mniej instrumentalne. Solidarność jest tu wartością kluczową, nie oznacza jednak urawniłowki. Kibucnicy mają dzielić ze sobą życie towarzyskie, kulturalne, ale niekoniecznie materialne. Dbają o edukację, środowisko, ale nie o zawartość portfela sąsiada. Nowy kibuc, w ich mniemaniu, to miejsce, gdzie ludzie sobie pomagają, wspierają słabszych, ale nie dzielą się wszystkimi pieniędzmi ze swoimi towarzyszami.

„Nie sądzę, żeby rzeczą, która opisuje kibuc, był koniecznie szituf. To było dobre w dawnych czasach, ale musiało się zmienić. Kibuc jest dobry i my postanowiliśmy zamieszkać tu nie z powodu szituf właśnie, ale dla innych rzeczy. Co jest istotne dla nas, to bycie częścią wspólnoty, małej wspólnoty³², powiedziała mi Shimrit (30 lat), nowa członkini Szaron. Pinchas (70 lat) natomiast, który w kibucu spędził całe swoje życie, twierdzi: „To, co ważne, to dbanie o osoby, które nie mogą tego zrobić same. To ciągle jest wspierająca się wspólnota. W końcu przecież nie zrezygnowaliśmy z idei kibucu. Dla przykładu, jednym z czynników, dla których młodzi ludzie wracają, jest wspólne życie kulturalne. Większość z nich myśli o swoich dzieciach i środowisku, w jakim je wychowają; chcą oni kształtować kulturę lokalną³³. Podobnie wypowiada się Roi (40 lat), który do Szaron wrócił przed czterema laty: „Najważniejszą wartością jest dbanie o siebie nawzajem we wspólnocie³⁴”.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku nastąpiła ważna, międzygeneracyjna zmiana kulturowa. Trzecie pokolenie kibucników, któremu kolektyw dał dobrobyt i poczucie bezpieczeństwa, zakwestionowało model wspólnoty wypracowany przez jego dziadków i rodziców. Odrzucając go, młodzi nieomal doprowadzili do kresu tego unikalnego, społecznego eksperymentu, jakim jest kibuc. Ich bunt zadziałał jednak jak zimny prysznic dla tych, którzy we wspólnocie pozostali. Pozwolił im przełamać sztywne ramy komuny i lepiej zrozumieć procesy społeczne i kulturowe, które działy się wokół nich. Kibuc postanowił się zmienić, nie odrzucając tym samym najważniejszych wartości, które leżą u jego podstawy. Redefiniując kluczowe idee kibucowe, wspólnota otworzyła się na młodych ludzi. Godząc się na wprowadzenie reguł wolnorynkowych, kibucnicy dali sobie więcej autonomii, niezależności, tak poszukiwanych przez zbuntowane pokolenie. Dzięki temu, zamiast obwieszczanego jeszcze niedawno kryzysu, możemy dziś mówić o odrodzeniu kibucu. Taka wspólnota na pewno nie przypomina kwuc założonych przez pionierów, ale, jak twierdzą moi rozmówcy, ciągle jest kibucem. Jak to trafnie ujął Avram, starszy członek wspólnoty Szaron: „To sposób myślenia się zmienił, ale baza, wartości, to wszystko jest ciągle takie samo³⁵”.

KAROLINA RĄB

²⁸ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 21.03.2010

²⁹ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 25.03.2010

³⁰ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 31.03.2010

³¹ Podział badanej społeczności na osoby przed i po pięćdziesiątym roku życia pokazuje tendencje wśród wszystkich, którzy mieli po dwadzieścia lat na przełomie lat osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych; niezależnie, czy opuścili kibuc, czy w nim pozostali.

³² Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 6.04.2010

³³ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 10.04.2010

³⁴ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 31.03.2010

³⁵ Z rozmowy przeprowadzonej w dniu 21.03.2010

ZBIGNIEW BAUER

JOURNAMORFOZA PO POLSKU

O plagiatowym charakterze przełomu medialnego w 1989 roku (część II)

Trudno nie zauważyć, że środowiska opozycyjne, w miarę jak słabła ich siła oddziaływania na społeczeństwo, jak traciły nośność wykorzystywane przez te środowiska argumenty i semiotyki – wykazywały coraz wyraźniejsze wewnętrzne skonfliktowanie. Linie podziałów biegły niekiedy wzdłuż pokoleń, ale także tworzyły bardziej skomplikowaną mapę, w niewielkim stopniu czytelną dla większości społeczeństwa, która – jak wspominałem – nie uczestniczyła czynnie w życiu konspiracyjnym. W zróżnicowaniu tym chodziło o przechwycenie tego, co wydawało się zakorzenione w świadomości polskiej: magazynu stereotypów, symboli, wyobrażeń związanych z pojęciami wolności, tożsamości, odwagi i patriotyzmu. Nic więc dziwnego, że niektóre obszary wspomnianej mapy zaczynały przypominać te, które rysowano w przestrzeni dyskursu politycznego Drugiej Rzeczypospolitej, a niekiedy jeszcze wcześniej. „Przekłète polskie pytania” w postaci demonów obudziły się wtedy, gdy rozum przysnął lub oszłomił go nagły powiew swobody.

9.

O ile w podziemiu podziały tego typu – ze względu na dość ograniczony zasięg wydawnictw nielegalnych – nie pociągały istotnych społecznych konsekwencji, o tyle w momencie „nałożenia” owej mapy na całą oficjalnie istniejącą strukturę mediów, ujawnienie się tych konsekwencji musiało nastąpić, choć nie natychmiast.

Dyskurs polityczny i społeczny w polskich mediach w latach 90. został zdominowany przez „paradygmat” skonstruowany przez „Gazetę Wyborczą” i bliskie jej otoczenie. Był to paradygmat czy model światopoglądowy, który można by nazywać „modernizacyjnym” i racjonalistycznym, choć był on wyrazem postawy wobec przełomu jednego tylko, choć poważnego, skrzydła polskiej opozycji: tego, które przyjęło wynik Okrągłego Stołu i tym samym zaczęło tworzyć Trzecią Rzeczpospolitą. Niemal od początku jednak sam Okrągły Stół i jego efekty zaczęły budzić wątpliwości i z czasem

z wątpliwości tych zrodził się obraz wielkiej zdrady wolnościowych ideałów.

„Gazeta Wyborcza” odwoływała się do tradycyjnego etosu polskiej inteligencji, ale chciała także utrzymać etos „Solidarności”, wyrastającej jednak z robotniczego protestu. Opowiedziała się po stronie idei wolnościowych, ale jednocześnie zdecydowanie nie chciała dopuścić do choćby tylko moralnego linczowania tych przedstawicieli komunistycznego establishmentu, którzy byli aktywni w doprowadzeniu do Okrągłego Stołu. Starła się o zachowanie dobrych stosunków z hierarchią Kościoła katolickiego, ale nawoływała do tolerancji i otwartości wobec innych wyznań. Podkreślała wagę przeszłości i wzniosłość polskich czynów – ale też wskazywała grzechy Polaków i niekiedy wręcz mroczne strony historii. Chciała być polska – ale także europejska i światowa, robotnicza, a zarazem inteligencka, pokazująca biedę – ale także promująca nowe, dynamiczne i coraz bardziej zamożne elity. Chciała być wrażliwa na skutki transformacji, ale zarazem otwarcie promowała liberalny program Leszka Balcerowicza. Oglądała Polskę z perspektywy warszawskich salonów – ale także, dzięki intensywnemu budowaniu (zwłaszcza w pierwszej fazie rozwoju) lokalnych dodatków, z perspektywy prowincji.

To nie była konstrukcja, która mogłaby się utrzymać trwale i wszczepić w polską rzeczywistość. Ma dużo racji Janusz Majcherek, pisząc:

„Inicjatorzy i założyciele »Gazety Wyborczej« wywodzili się z typowo inteligenckich środowisk i przyświecało im charakterystyczne dla tych środowisk poczucie społecznej misji, wyniesione z opozycyjnego etosu »Solidarności«, a poprzez Komitet Obrony Robotników sięgające dziewiętnastowiecznych ideałów wyzwolenia narodowego i społecznego. [...] Z drugiej strony silne poczucie misji, wyczuwalne w publicystyce »Gazety«, robiło na wielu czytelnikach wrażenie odstręczającego mentorstwa i moralizatorstwa”.²⁸

²⁸ J. A. Majcherek, *Etos inteligencji, etos dziennikarski*, [w:] *Dziennikarze – media – społeczeństwo*, s. 322.

Dodajmy: robiło także wrażenie kunktatorstwa, konformizmu i hipokryzji. Bardzo rzadko, na ogół w niezbyt pochlebnych kontekstach²⁹, zauważa się, że środowisko „Gazety Wyborczej” było dotknięte traumą Marca 1968 roku, która objawiła się szczególnym uwrażliwieniem na problem żydowski, na jego historyczne i współczesne uwikłania w polskie i międzynarodowe realia. Nadreprezentacja tej problematyki w „GW” spowodowała otwarcie pola, na którym mogły się objawić wspomniane demony i to w najgorszej postaci. Ukryte początkowo w niszowych pismach, broszurach i ulotkach dowodziły, że siła oddziaływania tak mocnych w Druhej Rzeczypospolitej i trzymany pod korcem po wojnie – wyjąwszy okolice 1968 roku – stereotypów jest przemożna i że zostanie użyta w wewnętrznym konflikcie, jeśli tylko powstaną okoliczności sprzyjające jego ujawnieniu. Ataki na środowisko „GW” są prowadzone z różnych pozycji i niekiedy bywają racjonalnie uzasadnione: przeważa jednak głos zdeklarowanych antysemitów, wzbudzając aprobatę, a nawet aplauz wśród sporych kręgów społeczeństwa.

Skomplikowana ideologia prezentowana przez „GW” nie mogła znaleźć odpowiedniego gruntu w społeczeństwie coraz dotkliwiej odczuwającym społeczne skutki transformacji, podlegającym stratyfikacji według nowych reguł i mechanizmów. Wprawdzie nigdy nie zanikły dawne podziały na „elity” i „pospólstwo”, jednak kształtowanie się tych stref dokonywało się wedle nowych kryteriów – zarówno materialnych, jak i niematerialnych. „GW”, promując aktywność, talent, kreatywność, kierując się do ludzi względnie młodych, powoli zaczęła być postrzegana jako organ reprezentujący pozbawionych skrupułów *yuppies*, bogatych i pewnych siebie. Nietrudno było dodać do takiego obrazu stosowne tło: niechętny narodowym, rdzennym wartościom kosmopolityzm.

Okoliczności tych bardzo długo w „Gazecie” nie brano zbyt serio: środowisko ją tworzące, oprócz pomarcowej traumy nigdy nie pozbyło się również swego skazania „kontrkulturowego”, wyrażającego się w przesadnym niekiedy idealizmie, skłonności do uznawania wizji własnych za powszechnie obowiązujące. Nie dostrzegało też dokonującej się istotnej zmiany pokoleniowej warty, rosnącego znaczenia nowej generacji ludzi biorących czynny udział w opozycji już u schyłku PRL. Generacja ta, wyraźnie odsunięta od polityki przez starszych braci, coraz śmielej zaznaczała swoją w niej obecność, ujawniała także resentymenty wywołane wcześniejszym przeniesieniem do „drugiej ligi”. W pewnym momencie zbiegły się one z resentymentami tych politycznych graczy, których rozpętana przez Wałęsę „wojna na górze” przesunęła do dalszych szeregów.

Bilans dwudziestoletniego istnienia „GW” jest z pewnością pozytywny, gdyż to ona przyczyniła się najbardziej do modernizacji polskiego dziennikarstwa nie tylko prasowego. Nie powinien on jednak przystępować do faktu, że popełniła też niewybaczalny i skutkujący poważnymi konsekwencjami grzech pychy, starając się zmonopolizować dyskurs medialny i uzurpując sobie prawo do wyrokowania we wszystkich sprawach bieżących i historycznych. Sądziła też, że jej siła będzie wieczna, w czym mogły ją utwierdzać efekty ekonomiczne. Te zaś sprawiły, że oprócz sprawowania rządu dusz zapragnę-

ła gry na rynku finansowym i to na skalę gigantomańską. Zapomniała – sprzedając zaufanie do swojego towaru – że w transakcji tej należy także sprzedawać zaufanie do sklepu.

Tymczasem o to zaufanie zaczęli zabiegać coraz skuteczniej inni gracze. Mówiąc inaczej: jeśli ma rację Anthony Giddens, że o stosunku ludzi do systemu decydują ci, którzy znajdują się na jego „bramkach”, „punktach dostępowych”³⁰ – to właśnie dziennikarze, z natury grający rolę *gatekeeperów*, muszą wywoływać i starać się utrzymać zaufanie do siebie i mediów jako systemu „pośredników” między społeczeństwem a rzeczywistością. Przejawy arogancji, pewności siebie i lekceważenia skumulują się i zostaną przeniesione na system, albo zaowocują utratą zaufania, cynizmem i zachowaniami ucieczkowymi.

10.

W pierwszych latach po przełomie w kształtującym się dopiero systemie demokratycznym trwa coś, co można określić „kooptacją sieci zaufania”.³¹ Uczestniczą w niej media – i uczestniczy nowa władza. Interesujący jest tu związek między mediami elektronicznymi: radiem i telewizją a strukturami władzy państwowej. Władza, obdarzona społecznym zaufaniem (choć, jak wspomniałem, było to zaufanie ograniczone) staje się dla skompromitowanej telewizji pozytywną płaszczyzną odniesienia: dzięki zastąpieniu kojarzonego z reżimem PRL kierownictwa TVP ludźmi z otoczenia Lecha Wałęsy i jego najbliższych doradców medium to starało się przekonać widzów, że rzeczywistość ulega gruntownej transformacji. Ten kierunek „kooptacji sieci zaufania” jest naturalnie władzy na rękę – nigdy, w żadnym momencie Trzeciej RP, sfery polityczne nie zrezygnowały z chęci wpływania na Telewizję Polską i Polskie Radio. Zresztą nigdy nie przeprowadzono uczciwej debaty ani o tym, czy media „publiczne” (przymiotnik ten przysłonił, jak figowy listek, niekwestionowaną w zasadzie symbiozę radia i telewizji i władzy) są w ogóle potrzebne, a jeśli tak – to komu, w jakim zakresie i w jakiej roli. Pojemne i przez to możliwe do karkołomnego naginania pojęcie „misji publicznej” stosowano wprawdzie w ustawowych umocowaniach zasad funkcjonowania PR i TVP, lecz mimo szumnych zapowiedzi i licznych naukowych konferencji na ten temat wszystkie próby jego zdefiniowania kończyły się fiaskiem. Opozycja polityczna zawsze zarzucała rządzącej ekipie podporządkowanie sobie mediów publicznych, ale kiedy sama zdobywała władzę – natychmiast wchodziła w rolę poprzedników, manipulując nie tylko przy rozstrzygnięciach ustawowych, ale dokonując – za pomocą modyfikacji stosownych zapisów prawnych – zmian na kluczowych stanowiskach w radiu i telewizji, a przez to wpływając na ich program i nachylenie ideologiczne w zakresie informacji i publicystyki.

„Kooptacja sieci zaufania” w początkowym okresie powstawania nowego ładu medialnego po 1989 roku była w ostatecznym rozrachunku sposobem przeniesienia relacji władzy i mediów elektronicznych z czasów PRL do warunków porządku kapitalistycznego. Warto przy tym pamiętać, że medium takie jak telewizja powstawało w Polsce za sprawą PZPR, zawsze pozostawało pod

²⁹ Por. wywiad Cezarego Michalskiego z byłym dziennikarzem „GW” Michałem Cichym: *Wojna pokoleń przy użyciu cyngli*, „Dziennik-Europa”, 20.02. 2009.

³⁰ A. Giddens, *Konsekwencje nowoczesności...*, s. 76; P. Sztompka, op. cit., s. 296-97.

³¹ Por. P. Sztompka, op. cit., s. 341-42.

partijną kuratelą i wśród tych, którzy telewizją zarządzali i ją robili przed 1989 rokiem, praktycznie nie było nikogo, kto znałby inne wzory niż utrwalone w komunistycznym reżimie. Radio i telewizja są nie tylko technologiami, instytucjami, ale wręcz systemami kulturowymi, których nie można po prostu jednym ruchem „przełączyć”. Tworzenie zawartości jest w tych mediach wysoce skomplikowanym procesem, wymagającym wiedzy, doświadczenia i umiejętności nieporównywalnych ani z dziennikarstwem, ani z twórczością dla innych mediów. Wymiana całego zespołu dziennikarzy, wszystkich pracowników planu i zaplecza technicznego byłaby dla telewizji wręcz samobójcza: skąd zresztą mieliby ci dziennikarze, nieskażeni komunistyczną telewizją, pochodzić? Jeśli dawni dziennikarze prasowi, w tym związani z wydawnictwami podziemnymi, przechodzili do pracy w radiu i telewizji, to praktycznie musieli uczyć się zawodu od początku. Dziennikarstwo prasowe różni się od radiowego i telewizyjnego tak bardzo, że wszystkie próby przenoszenia wzorów w jedną lub drugą stronę odbijają się na jakości pracy reporterskiej i tym samym naruszają pewne ramy, stabilizujące „umowę” między medium a jego publicznością, widownią czy audytorium. To samo dotyczy standardów zarządzania medium prasowym, różniących się poważnie od kierowania stacją radiową czy telewizyjną, i to na wszystkich poziomach.

Journalorfoza w radiu i telewizji przebiegała znacznie wolniej niż w prasie, a skomplikowała się wtedy, gdy rynek audiowizualny uległ rzeczywistej dywersyfikacji wraz z wejściem do gry RMF, Polsatu i TVN. Nadawcy komercyjni korzystali z doświadczenia ludzi związanych z mediami elektronicznymi w czasach PRL i ta przeszłość nie stanowiła dla właścicieli nowych stacji istotnej przeszkody. Zatrudniano więc „gotowych” fachowców przejmując ich na ogół z mediów publicznych, oferując lepsze warunki pracy i lepsze zarobki. Startową pozycję nadawców komercyjnych poprawiała – ponieważ wymuszona przez zagniętane przepisy prawne – konieczność korzystania z „okresu rozruchowego”, w którym retransmitowano programy zagraniczne, stopniowo zastępując je własną produkcją, zwłaszcza po otrzymaniu koncesji na nadawanie rozsiwecze. Ponieważ znajomość języków zachodnich w Polsce nie była zbyt powszechna – największą popularnością cieszyły się programy muzyczne i sportowe. Trudno także pominąć i to, że dwaj najwięksi dziś prywatni nadawcy telewizyjni – Polsat i TVN – wchodzili na ścieżkę przetartą niejako przez telewizję pozostającą pod kontrolą Nikoli Grauso i niezależnie od oceny działań sardyńskiego biznesmena na polskim rynku mediów (był też właścicielem „Życia Warszawy”) to jego stacje pierwsze złamały monopol TVP już wiosną 1990 roku. On też był autorem pierwszych na polskim rynku zakupów lokalnych, małych i amatorskich stacji telewizyjnych (m. in. pierwszej chyba w całym dawnym bloku wschodnim prywatnej telewizji PTV Echo we Wrocławiu), a także niefortunnym uczestnikiem pierwszych, bardzo niejasnych, wydarzeń związanych z wydawaniem koncesji po wejściu ustawy o radiofonii i telewizji w 1992 roku. Losy pierwszych „oddolnych” inicjatyw w dziedzinie mediów elektronicznych, działających „piracko” w myśl liberalnej zasady „co nie jest zakazane – jest dozwolone”, przejmowanych przez duże firmy i inwestorów zagranicznych, którzy bezparadonowo później nimi żonglowali (a więc także zespołami

ludzi, którzy je tworzyli), są bardzo podobne do spontanicznych przedsięwzięć prasowych i niejako symbolizują procesy transformacji mediów polskich po 1989 roku. Zderzenie z prawami rynku musiało z pewnością studiować idealizm i modyfikować polskie wyobrażenia o „wolnych mediach” i dziennikarstwie obecnym na takim rynku.

Złamanie monopolu TVP i PR wyznaczało także symbolicznie moment przemiany modelu „paleotelewizji” w „neotelewizję”: w tym drugim podstawową rolę odgrywają potrzeby widza, a nie ambicje nadawcy. Trzeba to jednak rozumieć ściśle: potrzeby te nie były wcale wykrystalizowane, gdyż nie znajdowały odbicia w modelu mediów realizowanym w PRL. Znajdowały się raczej w stadium załączkowym, w formie nieskonkretyzowanych „preferencji”, polegających na tym, że z oferty „reżimowej” telewizji czy radiofonii odbiorca wybierał rozrywkę lub ambitniejsze pozycje kulturalne dające mu poczucie kontaktu z lepszą rzeczywistością, bardziej kolorowym i ciekawszym światem. Niechętnie czy wręcz wrogo odnosił się natomiast do informacji czy publicystyki. Stacje komercyjne wchodząc na rynek mogły – i dokonały tego w sposób wręcz modelowy – wzmocnić tę pierwszą skłonność, wykorzystując przy tym zarysowujące się już w połowie lat 90. naturalne zmęczenie odbiorców problematyką polityczną. Tak oto sprzedawca tworzył klienta po to, by lepiej sprzedawać swój towar. Działał tu czynnik nowości, ciekawości, zdumienia możliwościami medium wprawdzie znanego, ale odkrywającego nieznaną dotąd oblicze. Chodziło o wmówienie ludziom, że właśnie na to czekali, że tego im trzeba, że tak właśnie wygląda świat medialny, czyli ich własny świat.

Mechanizmy te można opisać posługując się instrumentarium dostarczanym przez teorię kultury lub teorię wzmocnienia: ważniejsza od ujęcia teoretycznego może być – znajdująca potwierdzenie w praktyce – teza, iż komercyjne stacje telewizyjne i tabloidalna prasa znacznie lepiej pojmowały nastroje towarzyszące „traumie Wielkiej Zmiany”: zmęczenie polityką, rosnące poczucie rozczarowania, mechanizmy powodujące narastanie resentymentów w znacznej części społeczeństwa. Model dyskursu modernizacyjnego narzucany przez „Gazetę Wyborczą” stawał się coraz bardziej obcy. Tym, którzy odczuwali traumę, coraz mniej odpowiadał również tworzony przez środowisko „GW” nieznaną do tej pory wzorzec gazety jako politycznego gracza, nieformalnej partii – nie medium polityki i rzeczywistości, ale politycznego aktora. Dziennikarstwo „GW” odnajdujące partnera w ludziach lepiej przystosowujących się do zmienionych warunków – podobnie jak dziennikarstwo tygodnika „Polityka”, również w czasach PRL zaspokajające zapotrzebowania na opinie w kręgach elit – pogłębiało lukę informacyjną i wzmocniało działanie mechanizmów dzielących społeczeństwo.

11.

Nowi gracze medialni doskonale rozpoznali tę lukę: już w 1991 roku pojawia się „Super Express” – pierwszy na polskim rynku klasyczny tabloid³², sukcesywnie rozpoczynając działalność kolejne zagraniczne wydawnictwa z potężną ofertą czasopism kolorowych (Bauer, G+J, Marquard, Axel Springer). Atrakcyjna szata graficzna,

³² Jest rzeczą interesującą, że pomysłodawcą „Super Expressu” i jego pierwszym redaktorem naczelnym był jeden z założycieli „Gazety Wyborczej” Grzegorz Lindenberg, doskonale wykształcony socjolog, związany m.in. z centrum badania Rosji na Uniwersytecie Harvarda, a także z Fundacją Batorego.

lekka, plotkarska forma uprawianego tu dziennikarstwa sprzyjała raczej relaksowi i nieabsorbującej rozrywce, dobrze uzupełniając się z ofertą telewizji rozrywkowych (Polsatu, TV 4, RTL 7). Informacja polityczna – o ile w ogóle się pojawiała – podawana była w skondensowanej formie, bez wzbogacania jej komentarzem czy analizą, stanowiąc raczej rodzaj „szumu” towarzyszącego przekazom stanowiącym główny nurt³³. Ta względnie wyraźna korelacja między rosnącą popularnością nowych, nieznanych do tej pory w Polsce, odmian czasopism kolorowych i popularnością rozrywkowych odmian telewizji i stacji radiowych z całą pewnością jest pierwszym etapem dokonującej się w polskich mediach konwergencji. O ile bowiem rozmaite postaci konwergencji technologicznej czy instytucjonalnej są możliwe do przeniesienia w całości z zewnątrz i implementowania ich w nowym kontekście społecznym, o tyle konwergencji jako kultury medialnej w taki sposób „splagiatować” się nie da. Jeśli się ona rzeczywiście pojawia i umacnia – to jako efekt aprobaty dla niej odbiorców i zarazem dowód, iż wywołane przez nią zjawiska są odpowiedzią na rzeczywiste potrzeby publiczności³⁴. O ile jednak „utelewizyjnianie” dziennikarstwa informacyjnego na Zachodzie dokonywało się stopniowo, niejako ewolucyjnie (choć w różnych krajach „starej” Europy tempo zmian bywało odmienne ze względu na różnice tradycji i różną podatność społeczeństw na transformację), o tyle w krajach dawnego bloku sowieckiego można mówić o radykalnym zwrocie. Nakładanie się przekazu informacyjnego i rozrywkowego, określane jako infotainment, było w oczach widzów i czytelników zjawiskiem nowym i do tego stopnia fascynującym, że zaczęli od wszystkich dziennikarzy wymagać właśnie takiego podejścia i kojarzyć je z jakimś „idealnym” modelem uprawiania tego zawodu. Majestatyczny styl mediów elektronicznych z czasów PRL i „dyskurs modernizacyjny” narzucany przez „GW” zaczął być postrzegany jako spójny, lecz odrębny i alienujący się „paradygmat” utożsamiany z „mową władzy”. To były „ich media” – trudne, irytujące. „Nasze” mówiły językiem potocznego doświadczenia, wydawały się o wiele bardziej kolorowe, dynamiczne – a przez to mniej konfliktowe. Nie dążyły do przedstawiania jakiejś całościowej wizji rzeczywistości – przeciwnie, przekazywały ją w postaci intensywnych, nacechowanych emocjonalnie fragmentów, które stały się całością w akcie odbioru. Jako spoiwo służyło tu bezpośrednio „życiowe” doświadczenie widzów i czytelników³⁵. Nic więc dziwnego, że zaufanie odbiorców przesunęło się w stronę takiego typu przekazów, zaś media „poważne” już w połowie lat 90. zaczęły bić na alarm.

12.

„Tabloidyżacja” przekazu dziennikarskiego, z powodu której alarm ów wszczęto, nie była niczym nowym w mediach zachodnich. To zjawisko liczące sobie

³³ Por. K. Williams, *Media w Europie*, tłum. A. Piwnicka, Warszawa 2008, s. 32. Autor ten pisze, że poważne tematy pojawiają się w tabloidach w „rozmytej” postaci i przytacza sąd obrońców takiego właśnie stylu dziennikarstwa, którzy uważają, że dzięki niemu ludzie w ogóle chcą jeszcze o poważnych sprawach rozmawiać.

³⁴ Tak problem konwergencji rozumie najważniejszy jej teoretyk, Henry Jenkins: *Kultura konwergencji. Zderzenie starych i nowych mediów*, tłum. M. Bernatowicz, M. Filiciak, Warszawa 2007.

³⁵ Por. C. Sparks, *Popular Journalism: Theories and Practice*, [w:] P. Dahlgren, C. Sparks (eds.) *Journalism and Popular Culture*, London 1992, s. 39; S. Allan, *Kultura newsów*, tłum. A. Sokółowska, Kraków 2006, s. 107-113; W. Godzic, *Telewizja jako kultura*, wyd. II poprawione, Kraków 2002, s. 93-100.

co najmniej wiek. Skoro się pojawiła i przynosiła sukcesy wydawcom, a dziennikarzom znaczną sławę – widocznie istniało na nią zapotrzebowanie, podobnie jak na infotainment propagowany za pośrednictwem potężnego strumienia telewizyjnego, wzmacnianego przez pisma typu bulwarowego i kolorowe magazyny. Specyfika tego procesu w warunkach polskich – a z pewnością również w warunkach innych społeczeństw postkomunistycznych – polegała na tym, że proces ów wnikł w słabo ugruntowane jeszcze struktury demokracji, mocno labilne mechanizmy zachowań „obywatelskich”. Jeszcze nie zdążył uformować się model dziennikarstwa „poważnego”, model demokratycznych mediów jako istotnego ogniwa budującego sferę publiczną – a już, jako alternatywny i zarazem niesłychanie atrakcyjny, zjawiał się model zupełnie przeciwny. Tabloidy, wmawiając odbiorcy, że mówią w jego imieniu, są bowiem zainteresowane nie modernizacją społeczeństwa, lecz konserwacją istniejących przekonań, stereotypów, postaw i nastawień: to na nich opierają swoje istnienie. Skupiają się na budzeniu zaufania do siebie samych – kosztem zaufania do świata, o którym mówią. Są początkiem zjawiska, które określa się jako „spirala cynizmu”, stopniowo tworzące „kulturę cynizmu”³⁶. „Rozkręca się” ona bardzo podobnie jak opisywana przez E. Noelle-Neumann „spirala milczenia”, jednak nie jest ona oparta wyłącznie na wrodzonych człowiekowi skłonnościach do konformizmu i lękach przed odrzuceniem. „Cynizm”, rozumiany tu początkowo jako sceptyczny, ostrożny dystans, przedzający się w ironię, sardoniczny śmiech, a wreszcie w blazeński rechot i klownadę – mają świadczą o „dojrzałości”, „realizmie” i doświadczeniu, potwierdzają zasadę, że nikomu ufać nie należy, gdyż nic nie ma wartości. W warunkach odczuwania traumy Wielkiej Zmiany nie trudno o rozkręcenie takiej spirali – więcej: cynizm jest znakomicie sprzedającym się towarem, gwarantującym jego sprzedawcom finansowy sukces. To właśnie czyni tabloidy dziećmi sukcesu w czasach transformacji:

„Tabloidy można posądzać o wiele rzeczy, ale na pewno nie o to, że kształtują ufnych obywateli. Jednym z najbardziej charakterystycznych tonów, które przybierają, jest sceptyczny śmiech. Śmiech pełen niedowierzania i zadowolenia – społeczeństwo czerpie satysfakcję z faktu, że przejrzało ich (to znaczy jedną z aktualnie wpływowych grup). Dzieje się tak, ponieważ podporządkowanie społeczeństwa nigdy nie przerodziło się w poddaństwo”³⁷.

13.

Cytowany wcześniej Kevin Williams³⁸ dostrzega, iż sukces takiej właśnie prezentacji świata przez tabloidy przynosi się na media głównego nurtu, których właściciele, wydawcy i dziennikarze starają się naśladować ton, który sprzedaje się najlepiej. Ton ten można określić jako „obiektywizm tabloidalny”. Cechuje go agresywny, „inkwizytorski” sposób prowadzenia rozmów z politykami i osobami publicznymi (także gwiazdami show biznesu, celebrytami), zatarcie uważanego w dziennikarstwie zachodnioeuropejskim za świętość oddzielania informacji

³⁶ J. N. Cappella, K. H. Jamieson, *Spiral of Cynicism*, London 1997; C. H. de Vreese, *The Spiral of Cynicism Reconsidered*, „European Journal of Communication”, vol. 20 (2005), nr 3, s. 283-301; P. Sztopka, op. cit., s. 300.

³⁷ J. Fiske, *Popularity and the Politics of Information*, [w:] P. Dahlgren, C. Sparks, op. cit. s. 49; cyt. za S. Allan, op. cit., s. 109.

³⁸ K. Williams, op. cit., s. 96-97; s. 103-106.

od opinii, zainteresowanie skandalami, życiem prywatnym (w tym seksualnym) osób publicznych, inscenizowanie i prowokowanie wydarzeń tak, by można je było atrakcyjnie „sprzedać”, emocjonalność (najczęściej teatralna) w relacjonowaniu wypadków, a także przesłaniająca kardynalne niekiedy błędy merytoryczne i warsztatowe „szybkość” docierania do faktów, która staje się wartością samą w sobie, gdyż zapewnia przewagę nad konkurencją (J. Baudrillard porównywał to nastawienie reporterów do sytuacji znanej z filmu *Raport mniejszości*, w którym chodzi o zapobieganie zdarzeniom, które jeszcze nie nastąpiły). Dodatkowo – w roli ekspertów i komentatorów występują tu gwiazdy znane widzom z widowisk i seriali, a więc w specyficzny sposób obdarzane „zaufaniem”, uchodzące za „sąsiadów przez ścianę” oglądających ich widzów lub też rolę sędziów i analityków powierza się samym widzom, uruchamiając rozmaite mechanizmy interaktywności (telefony do studia, listy od czytelników, od chwili popularyzacji Internetu również maile i fora otwarte dla wszelkich komentarzy).

Rola dziennikarstwa analitycznego, publicznego poważnego dyskursu o poważnych sprawach, stopniowo maleje, zostaje zmarginalizowana i przesunięta do medialnych nisz. W mediach mainstreamowych zaczyna dominować wizja sfery publicznej jako sceny, na której toczą się widowiska. Życie społeczne – od polityki, poprzez ekonomię, sport po kulturę – traktowane jest jak spektakl tworzony przez media, dla mediów i następnie przez media relacjonowany. Zjawisko to, określane niekiedy jako *politainment*, w gruncie rzeczy nazwać należy *depolitainment*, „spektaklem depolityzacji”, którego efektem jest zniechęcenie odbiorców do aktywności publicznej, wzbudzenie w nich nieufności i dystansu, potwierdzające negatywne doświadczenie i rozczarowania. Współgra z tym spektaklem eksponowanie niepewności i zagrożeń, tworzące „kulturę strachu”, od dawien dawna należącego do składników kultury popularnej. „Infoidyzacja” mediów, w której podstawowymi składnikami są *newszaki* (informacja o nikłej ważności, podana w lekkiej formie³⁹) i „inford” (informacja niepełna, podawana jako kompletna, „surowiec” zamiast produktu dziennikarskiego⁴⁰) prowadzi do sytuacji, w której odbiorca czuje się „nasycony” informacjami – choć w gruncie rzeczy nie dowiaduje się niczego o świecie, czego nie wiedziałby lub nie przeczuwał wcześniej. Zarazem odczuwa satysfakcję, że jego wcześniejsza wiedza lub przeczucia znalazły potwierdzenie w przekazie medialnym. Jest to w istocie sytuacja opisana przez Pierre’a Bourdieua w jego paszkwilu na telewizję i nazwana „zidioceniem” dziennikarstwa: dodajmy jednak, że wywołwana dominacją takich przekazów społeczna apatia i nieufność staje się pretekstem do wzniesienia przez media – zwłaszcza w okresach przedwyborczych – „moralnej paniki” z powodu słabego zainteresowania społeczeństwa polityką i prognozowanej niskiej frekwencji. Potwierdza to działanie wspomnianej wyżej „spirali cynizmu” i znajduje odbicie w badaniach socjologicznych prowadzonych również w Europie Zachodniej i USA⁴¹.

³⁹ Por. B. Franklin, *Newszak*, London 1997.

⁴⁰ Por. S. Allan, op. cit., s. 218.

⁴¹ J. N. Cappella, K. H. Jamieson, op. cit.; P. Schyns, Ch. Koop, *Political Cynicism: Measurement, Characteristics and Consequences of a Growing Phenomenon*, Paper presented at the 30 th Annual Scientific Meeting of ISPP, Dublin 1999; D. Tannen, *Cywilizacja kłótni. Jak powstrzymać amerykańską wojnę na słowa*, przeł. P. Budkiewicz, Poznań 2003, s. 114 i n.

Prezentowaniu polityki jako spektaklu rozgrywającego się w obcej, a nawet wrogiej „zwykłemu obywatelowi” przestrzeni, towarzyszy wzrost zapotrzebowania na dziennikarstwo śledcze i traktowanie go jako jedynej postaci prawdziwie obiektywnego, niezależnego i odważnego uprawiania tego zawodu. Wprawdzie wyobrażenie dziennikarza jako „psa stróżującego” (*watchdog*) systemu demokratycznego znacznie się przy tym wzmacnia – co zgodne jest ze standardami „dobrego dziennikarstwa”, jednak połączenie go z wymaganiem, by ów „pies stróżujący” był jednocześnie psem tropiącym, a także psem gończym, prowadzi do paradoksu i swoistego rozdwojenia (jeśli nawet nie do rozstrojenia) jaźni. Przeszacowanie roli dziennikarstwa śledczego jest zjawiskiem dość powszechnym w Europie Zachodniej, która zresztą dość długo opierała się ekspansji angloamerykańskich wzorców, w których rola mediów jako instytucji śledczych jest bardzo wysoka. Trudno jednoznacznie ocenić, czy powodem takiej wstrzemięźliwości był fakt, iż dziennikarze „demaskatorzy” i „rozgrzebywacze brudów” (*muckrakers*), przedstawiani jako strażnicy demokratycznych wartości i transparentności władzy oraz biznesu, stawali się z reguły trudni do odróżnienia od zwyczajnych dostawców sensacji i plotek, żywiących tabloidy. Z drugiej strony – kryzys dotyczący również „poważnych” mediów zmusił je do poszukiwania atrakcyjnych czytelniczo form: prezentowanie spraw istotnych społecznie w sensacyjnej formie wydawało się przez jakiś czas dobrym wyjściem, gdyby nie to, że działało czasem jak bumerang. Powracał on do dziennikarza, który go wyrzucił, niekiedy powodując poważne obrażenia, a nawet cywilną śmierć, choć pierwotny cel pozostawał nietknięty. „Paradygmat marketingowy” – w którym osadzona jest współczesna definicja informacji – przysłania wszystkie inne aspekty dziennikarstwa postrzegającego odbiorcę nie jako partnera dyskursu publicznego, lecz jako konsumenta, któremu należy sprzedać odpowiednio opakowany, atrakcyjny towar. Wiadomość dotyczy więc nie tego, co rzeczywiście „istotne”, ale jedynie tego, co za istotne uznaje publiczność⁴².

Dobrym przykładem takiego bumerangowego efektu jest ujawnienie przez „GW” propozycji, z jaką – według relacji dziennikarskich – zwrócił się do Adama Michnika i zarządu Agory Lew Rywin. Publikacja materiału, przedstawianego jako efekt „dziennikarskiego śledztwa”, jest – jak sądzę – jednym z punktów zwrotnych w dwudziestoletniej historii polskich wolnych mediów⁴³. Niezależnie od poważnych politycznych konsekwencji, jaką miała ta sprawa, określona natychmiast jako „Rywingate”, doprowadziła ona do brzemiennej w późniejsze skutki, a niesłychanie spektakularnego przełamania granic oddzielających dziennikarstwo „poważne” od „sensacyjni-

⁴² Por. H. J. Gans, *Can Popularization Help the News Media?*, [w:] B. Zelizer (ed.), *The Changing Faces of Journalism Tabloidization, Technology and Truthiness*, NY 2009, s. 17 i n.; D. Underwood, *Reporting and the Push for Market-oriented Journalism*, [w:] W. L. Bennet, R. M. Entmann (eds), *Mediated Politics*, Cambridge 2001, s. 101.

⁴³ P. Smoleński, *Ustawa za łapówkę, czyli przychodzi Rywin do Michnika*, „GW” z 27.12.2002. Znacznie wcześniej (wrzesień 2002) w formie satyrycznej ujawnili tę sprawę dziennikarze tygodnika „Wprost” (nr 36 z 2002 roku), jednak inne media nie nadawały jej rozgłosu, stąd też opinia publiczna dowiedziała się o niej w wersji „GW”. Por. S. Czapnik, *Media a afera Rywina: Perspektywa ekonomii politycznej komunikowania*, [w:] *Media i władza*, pod red. P. Żuka, Warszawa 2006; M. Bil, A. Błoński, A. Małkiewicz, *Komisja Rywina. Próba spojrzenia politologicznego*, Wrocław 2005.

zmu”, a także naruszenia kodu, w jakim starała się formułować swoje przesłanie pierwsza gazeta w wolnym kraju. Witold Bereś pisze:

„Ale coś, co mogło stać się niewątpliwym sukcesem »Gazety« i jej szefa, stało się punktem oznaczającym odwrót nie tylko Agory, ale i Polski. W mniejszej skali chodzi o ujawnione po raz pierwszy ogromne pokłady medialnej niechęci do »Gazety« i do jej naczelnego. [...] Istotniejsze jest to, że publikacja nagrania przyczyniła się do powołania specjalnej komisji sejmowej, jednego z najciekawszych zjawisk politycznych, a może socjologicznych współczesnej Polski. Jej powstanie spowodowało wręcz modę na publiczne rozliczanie elit. [...] Istotniejsze, że oczom zdumionej publiki ukazało się to, na co zlorzeczyli zazwyczaj taksówkarze: szokujące kontakty towarzyskie najrozmaitszych środowisk politycznych, dla których tak naprawdę liczył się nie świat wartości czy opcja lewica-prawica, ale świat bankowych rachunków lub przynajmniej wpływów”⁴⁴.

14.

Wizerunek Adama Michnika, działacza opozycji i ofiary esbeckich prześladowań, zdeklarowanego moralisty posługującego się ukrytym dyktafonem, by nagrać rozmowę z człowiekiem, z którym łączyła go jeśli nawet nie zażyłość, to dobra znajomość, a następnie rozmowę tę upublicznić – to nie mieściło się w standardach aprobowanych przez tzw. poważne dziennikarstwo. Tym bardziej nie wyglądało wiarygodnie „opakowanie” tego wydarzenia w retorykę społecznego, obywatelskiego obowiązku.

„I tak doszło do największego paradoksu afery Rywina. Obryzgni przez nią zostali ci, którzy Polskę mieli za nic i patrzyli tylko na stan konta oraz ci, którzy interes Polski (a nie prywatę) stawiają najwyżej” – konkluduje Bereś⁴⁵. Jednak na „Rywingate”, której polityczne efekty były poważne i zadały śmiertelny cios lewicy, a także podważyły wiarygodność „okrągłostołowego” modelu rozwoju demokracji polskiej, można – jako na wydarzenie medialne – spojrzeć również z innej perspektywy, łącząc zjawiska pozornie nie mające z nią nic wspólnego, choć zaskakująca okazuje się ich czasowa koincydencja. Pierwszym z nich jest sukces programów typu *reality show*, wprowadzonych do repertuaru telewizji przez stacje komercyjne, głównie Polsat i TVN. Dzięki nim w świadomości widzów – a także twórców i aktorów takich programów – mogło wykrystalizować się wyobrażenie telewizji jako panopticonu, paradoksalnej struktury składającej się z elementów ekshibicjonizmu i voyeurizmu⁴⁶. Nie chodzi tu wyłącznie o produkcje takie jak *Big Brother*, lecz o cały kompleks zjawisk określanych jako *reality tv*. Wiesław Godzic zauważał, omawiając szeroko fenomen psychospołeczny *Wielkiego Brata*:

„To, co niewątpliwie zobaczyliśmy w *Wielkim Bracie*, to kres autorytetu, pojmanego jako element tradycji – zwyciężyła ekspansywna codzienność, którą niektórzy nazwą wulgarną – i będą mieli tylko małą część racji. To zaś, co z tego wynika, to konieczność przemyślenia własnej pozycji społecznej przez inteligencję i intelektualistów – i ich roli jako grupy opiniotwórczej,

jako instytucji myślowego odniesienia. Zobaczyliśmy bowiem świat wszechwładnego spektaklu i narcystycznego zachowania widza, dla którego najbardziej fascynujące jest oglądanie samego siebie oglądającego siebie. Wielki Brat mówi przede wszystkim o braku umiejętności włączenia się intelektualistów w dynamiczną kulturę codzienności. Masy zobaczyły swoje odbicie i było ono – jak zwykle – medialne i sztuczne. [...] Intelektualiści przez dziesiątki lat usypiali społeczeństwo arkadyjskimi wizjami sfery publicznej lub – przeciwnymi – zagrożeniami bagna kultury popularnej. Formułowano te opinie z wysokości katedr, ambon i salonów. Teraz chodzi o coś zupełnie innego i pozornie prostszego – trzeba być razem z pogardzanymi masami, zasiadać przed tym samym ekranem telewizora, próbując rozmawiać o tym, jak one rozumieją przedstawiony na nim świat”⁴⁷.

15.

Odkrycie voyeurystycznych pierwiastków w przekazie telewizyjnym dokonało się wprawdzie za sprawą formatu nienależącego do informacyjnych zadań telewizji, niemniej niezwykle szybko w świadomości widzów dokonała się swoista konwergencja gatunkowa: oto przed ich oczami zaczął rozgrywać się przedziwny spektakl obnażania i nicowania sfer do tej pory otoczonych tajemnicą lub co najwyżej plotkami i podejrzeniami⁴⁸. Ludzie uzyskali możliwość wglądu za kulisy władzy i mediów w zakresie do tej pory nieznanym – na dodatek były to kulisy „nowej” władzy i medium symbolizującego niejako ustrojową transformację: „Gazety Wyborczej” i koncernu Agora. „Gazeta” już wcześniej ujawniała niejasne interesy i korupcję w sferach władzy, biznesu, służbie zdrowia (np. sprawa łódzkich „łowców skór”), jednak tym razem to ona sama stawała się jednym z aktorów spektaklu i to takim, któremu powierzono rolę czarnego charakteru i szlachetnej ofiary spisku.

„Rama” formatu *reality tv* pozwalała widzom niejako „oswoić” zdumiewające zdarzenia – zresztą swoje działanie wykazała już w czasie wielogodzinnych relacji z zamachu na WTC (był to moment zbiegający się z debiutem kanału informacyjnego TVN – TVN24). Sposób przedstawiania zdarzeń (transmisja posiedzeń sejmowej komisji specjalnej wyjaśniającej aferę Rywina, a nie relacja lub sprawozdanie) okazywał się w tym przypadku szczególnie istotny: widz dowiadywał się o zagrożeniach systemu spowodowanych przez sam system – ten, którego częścią byli zarówno „oni” (politycy), jak i „my” (widzowie). Na dodatek – dowiadywał się za pośrednictwem mediów, które wprawdzie usiłowały zachować rolę zimnego, mechanicznego oka obserwującego pracę komisji niejako „w imieniu” widowni, niemniej to co było treścią przekazu, dotyczyło w poważnym stopniu samych tych mediów. Wytwarzał się w ten sposób specyficzny zamknięty krąg – powtórzenie zabiegu „GW”: upubliczniła ona sprawę, w której odgrywała rolę podmiotu i przedmiotu jednocześnie. Ów niejasny status medium, wahanie na granicy między aktywnym uczest-

⁴⁷ W. Godzic, *Telewizja i jej gatunki po „Wielkim Bracie”*, Kraków 2004, s. 155-56.

⁴⁸ W PRL najbardziej znane przykłady relacjonowania przez media wydarzeń kłopotliwych dla władz to transmisje z przebiegu pielgrzymek papieskich, podpisanie Porozumień Sierpniowych, a potem procesu morderców ks. Jerzego Popiełuszki. We wszystkich tych przypadkach transmisje były ściśle nadzorowane przez urzędników partyjnych i służby bezpieczeństwa.

⁴⁴ W. Bereś, *Tuzin przypadków dziennikarskich... które wstrząsnęły Polską*, [w:] *Dziennikarze – media – społeczeństwo*, s. 239.

⁴⁵ Tamże, s. 240.

⁴⁶ Por. A. Ogonowska, *Voyeurizm telewizyjny. Między ontologią telewizji a rzeczywistością telewizora*, Kraków 2006, s. 157 i n.

niczeniem w zdarzeniach a ich relacjonowaniem, zostaje przesądzony na rzecz „spektaklu faktów”, w czym nie małą rolę odgrywa rozciągnięcie pracy komisji na wiele miesięcy, wprowadzenie transmisji z nich do „ramówek” telewizyjnych oraz narastająca w politykach-członkach komisji chęć zostania „gwiazdą”. To, co miało być „wydarzeniem” – zrutyinizowało się, weszło w ramy pewnego „formatu”. Zwraca na to uwagę Wiesław Godzic, opisując transmisje z prac komisji do wyjaśnienia sprawy Rywina jako „polityczny reality show” lub polityczną „operę mydlaną”⁴⁹. Można jednak na to zjawisko spojrzeć jak na „dramę” czy też „grę społeczną”, jak proponują Daniel Dayan i Elihu Katz, powołując się przy tym na prace Victora Turnera. Drama zorganizowana „po karygodnym złamaniu norm, polaryzującym społeczeństwo i silnie mobilizującym każdy z odłamów do walki” staje się „zgrupowaniem naprawczym, które może przybrać formę rozprawy sądowej, kościelnego synodu czy też jakąś inną jeszcze formę ceremonii publicznej. Jeśli to się uda, następuje odbudowa lojalności wobec wartości wspólnotowych, a jeśli nie – może dojść do schizmy czy secesji”⁵⁰.

Wtedy właśnie, w 2003 i 2004 roku, „zgromadzenie naprawcze” zamieniło się w spektakl typu *reality* i w związku z tym nie mogło przynieść *katharsis*. Nie doprowadziło do tego, czego oczekiwali widzowie – wskazania, osądzenia i przykładowego ukarania sprawców, a mechanizmy rządzące „afery Rywina” pozostały niewyjaśnione. Wprawdzie Godzic pisał (jego książka została ukończona przed finałem prac komisji), że rezultatem owego politycznego *reality show* może być aktywizacja społeczeństwa i chęć powszechnego udziału w wyborach, niemniej fakty okazały się inne: frekwencja w wyborach w 2005 roku ledwo przekroczyła 40 proc., a najbardziej spektakularnym przejawem frustracji społecznej była druzgocąca klęska lewicy i rozpoczęcie rządów (przerwanych w połowie kadencji) PiS, Samoobrony i LPR. Już w czasie, gdy nadawano transmisje, zainteresowanie nimi było stosunkowo niewielkie (ok. 11 proc., choć sama sprawa przyciągała uwagę wielu Polaków: znaczyłoby to, że informacje krążyły raczej w obiegu nieformalnym, podawane z ust do ust, a nie były zdobywane z przekazów medialnych), pracę komisji oceniano wręcz fatalnie (61 proc.), a wiarę w możliwość wyjaśnienia wszystkich okoliczności sprawy wyrażał bardzo niewielki odsetek badanych Polaków (ok. 9 proc.)⁵¹.

Skutkiem zmediatyzowania „sprawy Rywina” było wzmocnienie przekonania odbiorców, iż polityka jest spektaklem rozgrywanym dla mediów i przez media w obszarze postrzeganym jako „obcy”, „nie nasz”. Politycy natomiast przekonali się, że można wykorzystywać walczące o pierwszeństwo w pozyskiwaniu „newsów” media do rozgrywania partii w politycznej grze. Utrwaliło się także przeświadczenie, że istnieje szerokie społeczne przyzwolenie na stosowanie przez media środków i metod uznawanych dotąd za niegodne dziennikarza, choć właściwych pracy operacyjnej służb dochodzeniowych, śledczych, wywiadu (podśluchy, ukryta kamera, prowokacja, wykradanie lub wyłudzenie niejawnych do-

kumentów). Marcin Frybes przywołuje w tym kontekście opinię francuskiego socjologa Dominique’a Woltona:

„Środowisko dziennikarzy nie jest przyzwyczajone – wbrew temu, co samo o sobie uważa – do tego, że mu się w pewnych sprawach nie przyznaje racji. Różni zaś aktorzy społeczni, którym zależy przede wszystkim na zaistnieniu w przestrzeni publicznej, wiedząc, że jest to możliwe tylko za pośrednictwem dziennikarzy i w obawie przed ewentualnym bojkotem, nie mają wystarczająco przekonania, siły i odwagi, by się tej sytuacji przeciwstawić. Dlatego też dziennikarze zamiast przedmiotem krytyki znacznie częściej stają się obiektem starań i załatwów wszelkiego typu”⁵².

16.

Te „załoty” to m.in. sterowanie „przeciekami” do prasy, spektakularne ujawnianie przez zaproszonych do telewizji polityków nieznanymi „kwitów” na zwalczanych przeciwników, a nawet organizowane przy udziale mediów happeningi. Zdarzenia, które następowały później: afera starachowicka, tzw. taśmy Beger (autorzy tej prowokacji, dziennikarze TVN24, otrzymali za nią nagrodę Grand Press) czy wyniesienie z IPN, a następnie opublikowanie w Internecie spisów agentów SB wymieszanych ze spisami ich ofiar (Bronisław Wildstein został za to wyrzucony z „Rzeczypospolitej”, co wywołało protesty dużej części środowiska dziennikarskiego i uznane za zamach na wolność mediów), skandale obyczajowe w Samoobronie, ujawnienie przypadków pedofilii w Kościele katolickim, wreszcie kolejne oskarżenia o współpracę z SB znanych postaci życia publicznego, w tym kościelnych hierarchów, uczonych, a nawet dziennikarzy (m.in. Lesława Maleszki, który – mimo iż sam potwierdził oskarżenia o agenturalność formułowane przez dawnych kolegów z podziemia – pozostał pracownikiem redakcji „Gazety Wyborczej”), afera Orłenu, spektakularne, odbywające się pod okiem specjalnie zapraszanych na tę okoliczność kamer aresztowania polityków, działaczy sportowych, lekarzy – to wszystko tworzyło potężną falę rozmywającą bardzo kruche fundamenty demokratycznego ładu w Polsce: pierwotne zaufanie do składających się na ten ład instytucji, wśród nich takich, które tworzą „instytucjonalną nieufność”: policji, służb wywiadowczych, prokuratury, a wreszcie mediów, które afery te ujawniały. Piotr Sztompka pisze o tej sytuacji, formułując „pierwszy paradoks demokracji”:

„Większość konstytutywnych dla porządku demokratycznego zasad zakłada instytucjonalizację nieufności, która stwarza swego rodzaju zabezpieczenie dla tych, którzy byliby gotowi zaryzykować zaufanie, a zniechęca tych, którzy myślą o jego nadużyciu. Stanowi ona także mechanizm korygujący rzeczywiste przypadki naruszenia zaufania, jeżeli już do nich dochodzi. W efekcie istnieją duże szanse, aby powstała spontaniczna, uogólniona kultura zaufania. Krótko mówiąc: im więcej zinstytucjonalizowanej nieufności, tym więcej będzie spontanicznego zaufania”⁵³.

ZBIGNIEW BAUER

Dokończenie tekstu w następnym numerze „Zdania”

⁴⁹ W. Godzic, op. cit., s. 184-191.

⁵⁰ D. Dayan, E. Katz, *Wydarzenia medialne. Historia transmitowana na żywo*, przeł. A. Sawisz, Warszawa 2008, s. 338-39.

⁵¹ *Oceny działalności sejmowej komisji badającej tzw. sprawę Rywina*, CBOS: Komunikat z badań, BS/120/2003.

⁵² M. Frybes, *Dziennikarz polski w procesie transformacji*, [w:] *Dziennikarstwo – media – społeczeństwo*, s. 229.

⁵³ P. Sztompka, op. cit., s. 345.

JANUSZ TAZBIR

„SPISKOWA TEORIA DZIEJÓW” JEST NIEŚMIERTELNA

W *Słowniku literatury polskiej XIX wieku* obok takich haseł jak „Cmentarz”, „Kain”, „Upiór” czy „Żywy trup” znajdujemy również artykuł poświęcony mistyfikacjom literackim. Autorka (Dobroslawa Świerczyńska) kończy go uwagą, że jest to zjawisko „nadal żywotne, choć jego apogeum przypadało najpewniej na w. XIX”. W istocie fabrykowanie utworów przypisywanych nigdy nie istniejącym autorom (najczęściej średniowiecznym) miało miejsce i wcześniej, i później.

Wystarczy tu przypomnieć mistyfikację poety szkockiego Jamesa Macphersona (1736-96), autora tak zwanych *Pieśni Osjana*, które przedstawiał jako tłumaczenie z oryginalnych starych ballad ludowych. Ich twórcą miał być Osjan, bard celtycki, żyjący rzekomo w III w. naszej ery. Wydane w 1765 r. *Pieśni* odniosły od razu znaczny sukces, wywierając ogromny wpływ na angielską literaturę doby romantyzmu. Choć dość rychło udowodniono ich nieautentyczność, to jednak *Pieśni Osjana* doczekały się tłumaczenia na wiele języków europejskich. Przekładał je m.in. Goethe, Napoleon zaś woził zawsze te *Pieśni* ze sobą.

O wiele trwalsza od nich była sława rękopisu znalezionego rzekomo przez historyka czeskiego Wacława Hankę w 1817 r. w kościelnej wieży miasteczka Dvur Králové nad Łabą. Tak zwany rękopis kralodworski zawierał najstarsze poezje czeskie, liryczne i epickie, powstałe rzekomo w latach 1280-90, a opiewające wydarzenia z IX stulecia. Poezja ta zyskała uznanie wśród czołowych pisarzy ówczesnej Europy; nawet uczeni traktowali ją jako wiarygodne źródło historyczne. Spór na ten temat trwał przez cały wiek XIX i dopiero w początkach ubiegłego stulecia uznano rękopis kralodworski za falsyfikat. O wysokim napięciu emocjonalnym towarzyszącym polemikom na jego temat świadczy i to, że zwolennik autentyczności znaleziska Hanki – Józef Ładysław Pic – pokonany w dyskusji popełnił samobójstwo (1911).

Po dziś dzień trwa spór na temat *Słowa o wyprawie Igora*, znalezionego rzekomo w 1795 r. w jednym z klasztorów przez rosyjskiego badacza hrabiego A.I. Musina-Puszkina. Stało się ono źródłem natchnienia dla ludowo-romantycznej poezji rosyjskiej XIX stulecia. Nadal bywa też cytowane w pracach traktujących o Rusi przed najazdem tatarskim. Tymczasem wiele wskazuje na to, iż jest to falsyfikat stworzony przez kogoś, kto pragnął przydać więcej splendoru najdawniejszym dziejom Rosji. Wiele do myślenia daje fakt, iż autentyk *Słowa* miał przepaść w czasie słynnego pożaru Moskwy (1812).

Literatura polska nie zdobyła się na mistyfikacje równie głośne i cieszące się przez wiele lat kredytem zaufania. Co prawda w XIX stuleciu Konstanty Majeranowski i Teodor Narbutt tworzyli opowieści przypisywane autorom żyjącym w XVI-XVIII w., to jednak nigdy nie były one tłumaczone na inne języki. Co nie przeszkadza, iż do dziś w naszych czasopiśmie pojawiają się opisy mieszczańskich przyjęć czy królewskich wjazdów, rzekomo autentyczne, a czerpane w istocie z relacji Majeranowskiego oraz Narbutta.

Rozgłos w całej Europie zyskały natomiast *Poufne rady* (1614), pióra Hieronima Zahorowskiego, przypisywane jezuitom chęć opanowania świata. Choć inne pamflety antyzakonne biły nieraz na głowę jego dziełko zaletami stylu, barwnością wywodów, umiejętnym ukazaniem słabych stron Towarzystwa Jezusowego, to jednak o utworach tych wiedzano dobrze, iż są pamfletami. Natomiast *Poufne rady* były dość powszechnie uważane za autentyk. Zahorowski potrafił dość udalnie (co przyznawała i strona katolicka) naśladować rzeczywiste instrukcje ułożone przez generała jezuitów Klaudiusza Akwawiwę. Posłuszeństwo, z jakim uczniowie św. Ignacego Loyoli wykonywali polecenia swoich zwierzchników, nie stanowiło dla nikogo tajemnicy. Dla tego wielu czytelników było skłonnych wierzyć, iż kie-

rownictwo zakonu udziela swym podwładnym instrukcji, które ci skrzętnie ukrywają przed oczyma postronnych. Wszystko to sprawiło, iż utwór Zahorowskiego już w XVII stuleciu doczekał się pół setki wydań, zarówno w łacińskim oryginale, jak w tłumaczeniach na wiele języków nowożytnych. W XVIII-XX w. liczba edycji *Poufnych rad* wzrosła do trzystu. Był to swoisty rekord, który można tylko porównać z późniejszą popularnością *Protokołów mędrców Syjonu*.

Z kolei *Protokoły*, rzekome tajne instrukcje, sfabrykowane u schyłku XIX stulecia w kołach zbliżonych do carskiej ochrony, doczekały się wielu wydań i to na całym świecie. Po pierwszym, które ukazało się w języku rosyjskim (1903), nastąpiły przekłady nie tylko na niemiecki, francuski czy angielski, ale również na hiszpański, portugalski, a nawet arabski i japoński. Wszędzie z wypiekami na policzkach czytano o tajnych planach Żydów, którzy – podobnie jak ongiś jezuici, a później masoni – chcieli sobie podporządkować całą kulę ziemską. W Europie o popularności *Protokołów* zdecydowało zwycięstwo dwóch totalitaryzmów: sowieckiego i hitlerowskiego. W wydarzeniach rewolucji 1917 r. dopatrywano się kierowniczej roli rzekomych mędrców Syjonu, natomiast III Rzesza uczyniła z *Protokołów* „biblię nienawiści”. Złowroga rola, odgrywana rzekomo przez Żydów, musiała uzasadniać holocaust.

Klęska III Rzeszy, a blisko pół wieku później rozpad imperium sowieckiego nie położyły kresu edycjom *Protokołów mędrców Syjonu*. Wszystkie kolejne drukowano ze wstępem uzasadniającym autentyczność tych instrukcji. Ukazywały się one m.in. w Azji, a w r. 1991 wyszły po słowacku w Bratysławie (Robert Helebrandt, *Kniežatá zloby. Protokoły síónskych mudrcov*). Miarą zaciętrzewienia autora przedmowy może być i to, że nawet procesy polityczne towarzyszące pieriestrojce przypisuje on makiawelskim planom „mędrców Syjonu”. Można jednak wątpić, czy jakakolwiek racjonalna perswazja będzie tu skuteczna.

Niełatwo jest bowiem przekonać ludzi o bezsensowności wiary w spiskową teorię dziejów. W to, że na losy świata wpływa jakaś demoniczna organizacja, której członkowie z żelazną konsekwencją realizują przeprowadzane wśród nich instrukcje. Tym bardziej że – w przeciwieństwie do XIX stulecia, kiedy to największą popularnością cieszyły się mistyfikacje historyczno-literackie (rzekome stare kroniki czy poematy) – przełom wieku XX na XXI stoi zdecydowanie pod znakiem wiary w tajne dyrektywy. Odżyła ona w całej rozciągłości w trakcie debaty nad przyczynami katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem (z 10 kwietnia bieżącego roku).

Przed dwudziestoma laty znaczny rozgłos zyskała rzekoma instrukcja dla rezydentury NKWD przy Ambasadzie ZSRR w Warszawie, sporządzona jakoby w Moskwie w czerwcu 1947 r. W 45 punktach przedstawiała ona program ujarznienia Polski i to w sposób tak sugestywny, że skądinąd inteligentni ludzie, z którymi na jej temat rozmawiałem, powiadali: no dobrze, skoro to jest falsyfikat, czym można wytłumaczyć, iż wszystko się sprawdziło? Odpowiedź jest prosta: ponieważ rzekoma instrukcja została sporządzona w roku 1990, a nie o 33 lata wcześniej.

Trudno bowiem uwierzyć, aby w roku 1947 zdołano przewidzieć powstanie „Solidarności” czy procesy rehabilitacyjne z lat 1956 i późniejszych. Tymczasem

w instrukcji czytamy, iż w razie powstania organizacji „popierającej sojusz z naszym państwem, ale zmierzającej do kontroli działalności gospodarczej oficjalnych władz kraju” należy ją dyskredytować poprzez „burzenie naszych pomników i cmentarzy, publikowanie ulotek wyszydzających nasz naród, naszą kulturę”. Do procesów rehabilitacyjnych można dopuszczać jedynie pod tym warunkiem, że sprawa będzie uznana „za pomyłkę sądową”, bez pociągania do odpowiedzialności jej winowajców (sędziów, świadków, oskarżycieli, informatorów). Obdarzone isticie proroczym darem NKWD pomyślało nawet o ekologii zalecając, aby przy rozbudowie przemysłu ścieki „spływały do rzek mogących stanowić rezerwuary wody pitnej”.

Wspólną cechą owych „tajnych instrukcji” jest niesłychane niechlujstwo oraz ignorancja polityczna, z jaką bywają one sporządzane. Do kolejnej anonimowej edycji *Protokołów mędrców Syjonu* (ukazała się około 1982 r.) dołączono referat, jaki Jakub Berman, członek Biura Politycznego PPR, a równocześnie sekretarz syjonistycznej organizacji (Poalej Syjon) miał wygłosić w kwietniu 1946 r. Przedstawił on wówczas plan roztoczenia przez Żydów kontroli nad wszystkimi dziedzinami życia politycznego w Polsce. Twórcy (twórca?) tego falsyfikatu pomylili jednak Jakuba Bermana z Adolfem Bermanem, ówczesnym przewodniczącym Centralnego Komitetu Żydów Polskich. Nie mógł on oczywiście łączyć tego stanowiska z funkcją lidera politycznego Polskiej Partii Robotniczej.

Tajne wytyczne musiały się sprawdzić jako narzędzie politycznej propagandy, skoro po Polsce u schyłku poprzedniego stulecia krążyło tłumaczenie fragmentów rzekomej uchwały Krajowego Prowydu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, datowane – zależnie od wersji – na dzień 22 czerwca (lub 22 lipca) 1990 r. Według tej „uchwały” niezawisła Ukraina powinna wejść w sojusz z Niemcami, doprowadzając do nowego rozbioru Polski. Jego linia ma przebiegać na Wiśle; poprzedzić go powinna eksterminacja Polaków nieprzychylnych powyższemu planom (dokument opatrzonego uwagą: „ściśle tajne – wagi państwowej”).

Rzekomą instrukcją OUN dostarczonego posłom naszego parlamentu, jej fragmenty ogłosiła 12 kwietnia 1991 r. „Polska Zbrojna”. Warto jednak przypomnieć, że żadne z ugrupowań postępujących się nazwą Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów nie używa terminu Krajowy Prowyd, żadna też z tych organizacji nie obradowała latem 1991 r. Nikt oczywiście nie oglądał pełnego ukraińskiego tekstu rzekomej uchwały, a przedstawione w niej postulaty (nowego rozbioru Polski) nie są wysuwane nawet przez najbardziej skrajne ugrupowania ukraińskich nacjonalistów, które domagają się co najwyżej pewnych korektur granicznych. Teoria spiskowa zawarta w tych tekstach przedostała się do niektórych utworów literatury pięknej. Dość niedawno (na karcie tytułowej brak daty wydania) ukazała się przedziwna powieść Henryka Arciszewskiego *Okrutni świata tego*. Zdaniem autora Hitler wraz z garstką podobnych doń łajdaków polecił wymordować wszystkich Żydów, aby na ich miejsce władzę nad światem mogli objąć jak najgorsi synowie Izraela.

Ograniczę się tylko do jednego cytatu. Führer III Rzeszy przybywa do podziemi, w których osadzono trzech generałów Wehrmachtu. „No co wy, świni

niemieckie – rzekł pełen nienawiści Hitler – nie macie ochoty słuchać moich ludzi?! Teraz już nikogo nie usłyszycie, wy goje przeklęte. Świnie niemieckie? – powtórzył z niedowierzaniem jeden z generałów – kimże więc ty jesteś? – Jednym z panów tego świata! – wrzeszczał Hitler jak opętany – częścią narodu wybranego! – Ty kanalio żydowska – rzekł generał. Hitler natychmiast strzelił rozmówcy w głowę pozbawiając go życia” (co za styl!). W tejże samej powieści znajdujemy dokładny opis mordu rytualnego („nakazał dwóm wybranym zwyrodnialcom włożyć ofiarę do beczki naszpikowanej ostrzami skierowanymi do środka”). Trudno oprzeć się wrażeniu, iż powieść pana Arciszewskiego (jeśli nie mamy tu do czynienia z pseudonimem) stanowi pastisz lub wręcz parodię powieści spiskowej. Gdyby nawet i tak było, to od *Lochów Watykanu* Gide’a, które można by określić mianem pastiszu, dzieli ją cała artystyczna przepaść.

Jedynym zagrożeniem dla powieści spiskowej może być film z gatunku, który szczególnie silnie jest reprezentowany w kinematografii USA. Idzie mi tu o przenieszone na ekrany walki samotnego zazwyczaj bohatera, który musi stawić czoło potężnej, dobrze zakonspirowanej organizacji dążącej do panowania nad światem. Jeżeli wszystkie poprzednie koncepcje mówiące o takim spisku (jezuitów, masonów czy Żydów) powstawały w Europie, to ojczyzną jego filmowej wersji jest inny kontynent (Ameryka Północna).

Jako historyk mogę stwierdzić, iż pewne formy pamphletu politycznego wykazują zadziwiającą stabilność. Od początków XVII stulecia (wspominał powyżej *Poufne rady* Hieronima Zahorowskiego z roku 1614), aż po dzień

dzisiejszy jego twórcy chętnie sięgają po wypróbowane wzorce tajnych instrukcji, zamykając je zawsze tą samą groźbą kary, jaka spadnie na wszystkich, którzy przekażą ją w niepowołane ręce. Nie zdarzyło się, aby ktokolwiek oglądał oryginał rzekomych uchwał. Mimo to zawsze znajdowały całe rzesze łatwowiernych czytelników. I daremnie Umberto Eco (*Wahadło Foucaulta*) wyśmiewa się z ich naiwności. Wszystkim, zarówno przeciwnikom, jak i zagorzałym zwolennikom spiskowej teorii dziejów gorąco polecam tę powieść, nawiązującą poniekąd do wspomianej już książki André Gide’a o uwięzieniu przez masonów papieża Leona XIII (*Lochy Watykanu*). Polski przekład *Wahadła Foucaulta* ukazał się w r. 1993.

Wszystkim, interesującym się spiskową teorią dziejów, gorąco polecam obszerne (600 stron druku!) dzieło Leszka Zdybela *Idea spisku i teorie spiskowe w świetle analiz historycznych krytycznych i badań historycznych* (Lublin 2002) oraz pracę Daniela Pipe-sa *Potęga spisku. Wpływ paranoicznego myślenia na dzieje ludzkości* (Warszawa 1998). Jak dalece zaś poglądy w tej sprawie różnią się od siebie, może się każdy łatwo przekonać sięgając po to samo hasło w dwóch różnych, równocześnie wydanych kompendiach: *Encyklopedii Socjologii. Suplement*, Warszawa 2005, s. 266-268 (*Spiskowe koncepcje historii*) oraz w *Encyklopedii białych plam*, t. XVI, Radom 2005, s. 266-268 (hasło „spiskowa teoria dziejów”). Rozwinięcie też autorów obu haseł znajdujemy z jednej strony w ultraprawicowej prasie, której patronuje „Nasz Dziennik”, z drugiej zaś w „Gazecie Wyborczej” czy „Polityce”.

JANUSZ TAZBIR



Stanisław Wiśniewski, Z cyklu: *Kawaleria*, litografia

ANDRZEJ S. NARTOWSKI

SSPONZ

WENTYL, KTÓRY PUŚCIŁ

Do windy w warszawskim bloku wsiada młody mężczyzna z togą przerzuconą przez ramię. Zerkam na kolor wypustki: radca prawny. On z zainteresowaniem wpatruje się w klapę mojej marynarki, na wpięty w nią znaczek. – SSPONZ? – pyta, i nie czekając na odpowiedź dodaje: – Tam to byli fajni ludzie!

Akurat winda zatrzymuje się, radca śle mi uśmiech i wysiada.

SSPONZ to Studenckie Stowarzyszenie Przyjaciół ONZ zawiązane w 1957 r., w czasie krótkiej odwilży październikowej. Krzysztof Wilski (rocznik 1943, a więc drugie – moje – pokolenie organizacji) powiada, że stowarzyszenie było nieślubnym dzieckiem Manfreda Lachsa i Stefana Olszowskiego. Manfred Lachs, wybitny prawnik-internacjonalista, późniejszy prezes Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości – głównego organu sądowiczego Narodów Zjednoczonych – był w tamtym czasie szarą eminencją MSZ, bliskim współpracownikiem ministra Adama Rapackiego, współtwórcą planu denuklearyzacji Europy Środkowej (1958) noszącego nazwisko ministra. Stefan Olszowski, późniejszy minister spraw zagranicznych, zapamiętany przez historię jako dyżurny beton przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w., był w owym czasie szefem Zrzeszenia Studentów Polskich. Profesor Lachs jeszcze nie wszedł do grona najwyższych cenionych jurystów globu, jowialny towarzysz Stefan jeszcze nie budził grozy.

SSPONZ rzeczywiście powstał z ich inicjatywy, ale nie powstał w próżni.

Przyjaciół miała już Liga Narodów. Działali w wielu krajach, także w Polsce. Jak wiadomo, ani przyjaciele nie pomogli Lidze, ani Liga świata. Narodzinom ONZ towarzyszyły nadzieje, że teraz wszystko będzie inaczej. Wszak trzeba uchronić przyszłe pokolenia od klęski wojny; przywrócić wiarę w podstawowe prawa człowieka, w godność i wartość jednostki, w równouprawnienie mężczyzn i kobiet oraz równość narodów wielkich i małych; itd., itp. W czasie gorącej wojny, przeto przed wybuchem jej zimnej następczyni, łatwiej było pleść warkocz

szlachetnych dążeń, celów i przekonań. Jeszcze nim powstały Narody Zjednoczone, nim podpisano *Kartę*, rządy częściowo utraciły kontrolę nad swoją organizacją.

Obrodom konferencji założycielskiej w San Francisco towarzyszył intensywny lobbing stowarzyszeń pozarządowych, głównie amerykańskich (co zrozumiałe, bo na innych kontynentach trwały jeszcze działania zbrojne), mocno wspieranych przez społeczność żydowską (co także zrozumiałe, ponieważ chodziło przede wszystkim o nasycenie wizji nowego lepszego świata silnymi pierwiastkami praw człowieka). Przeto wbrew pierwotnym planom mocarstw uzgodnionym w 1944 r. w Dumbarton Oaks, nową organizację wyposażono w misję promotora praw człowieka. Niebawem w państwach członkowskich zaczęły powstawać organizacje społeczne mające wspierać ideę Narodów Zjednoczonych. Nosiły one nazwę United Nations Associations, ale United Nations Association in Poland przetłumaczono, zgodnie z przedwojenną tradycją, na Polskie Towarzystwo Przyjaciół ONZ (PTPONZ). Założono je w 1946 roku, kiedy jeszcze nie było za późno na takie inicjatywy. Organizacja ta przetrwała do początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Od czasu do czasu słyszę o propozycjach jej reaktywowania, lecz w powodzenie takich zamierzeń nie wierzę.

Zapewne powołując SSPONZ wyobrażano sobie, że tworzy się studencką przybudówkę PTPONZ, instytucji wówczas grzecznej, wygodnej, apatycznej.

Opowiadając o nieślubnym poczęciu Wilski zapewne ma na myśli, że stowarzyszenie zawiązano na wariata i odtąd już zawsze działało na takich papierach. Przylepione do ZSP i przez nie finansowane rychło stało się niezależne programowo. Nie imać nas się prawo o stowarzyszeniach, ponieważ nigdy nikt nas nie zarejestrował. W stanie wojennym, kiedy zawieszono działalność niemal wszystkich organizacji społecznych w kraju, a te najbardziej uwierające rozpędzono – SSPONZ nawet nie zostało formalnie zawieszono, bo nie było go w papierach odnośnego departamentu MSW. Widocznie zajmowały się nami inne departamenty.

Spędziłem we władzach stowarzyszenia kilka lat, byłem jego (wówczas jedynym) wiceprzewodniczącym, ale nigdy nie widziałem żadnego kwitu wiążącego nas formalnie z ZSP. Gdyby taki kwit istniał, zapewne zostałby wykorzystany przeciwko nam.

Najprawdopodobniej decyzja zapadła gdzieś wysoko, Stefan Olszowski przekazał ją w dół i przestał zajmować się sprawą. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek sam należał do stowarzyszenia. Pierwszym przewodniczącym SSPONZ został Adam Kruczkowski, trochę polityk, trochę ideolog, pisywał później banały o pokojowym współistnieniu. Stworzono wentyl, przez który miało pod kontrolą uchodzić zainteresowanie młodzieży światem. Lecz wentyl natychmiast puścił. SSPONZ od początku został zdominowany przez studenterię mówiącą językami, zwłaszcza po angielsku, chętną na kontakty z młodzieżą innych krajów (przede wszystkim, co tu kryć, zachodnich), łaknącą wiedzy o świecie, a już najbardziej – głodną wyjazdów na Zachód. Na krótko, na trochę, na zawsze. Ktoś miał matkę w Anglii, komuś kroїła się możliwość zdobycia stypendium w USA, ktoś chciał poszerzyć znajomość języka, ktoś inny po prostu marzył, żeby kiedyś zobaczyć Jezioro Genewskie.

Nikt nie myślał wtedy o zmywaku.

W tamtych latach, studiując prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim na pierwszym albo drugim roku, nie myślało się o niczym innym jak nauka. Owszem, niektórzy myśleli, ale szybko znikali nam z oczu. Trzeci rok dawał już komfort rozwijania zainteresowań. Słyszałem o zebraniach SSPONZ, postanowiłem się zapisać. Nikt nie prowadził ewidencji, żadnej ankiety nie kazano mi wypełniać, żadnych składek płacić. Ktoś po prostu wskazał mi krzesło i szepnął, że się zaczyna. W pokoiku było kilka osób, wśród nich obdarzony szczególnym mirem student V roku. Mir należał mu się, bo czytywał „Newsweeka”, co wtedy było ewenementem. I opowiadał, co przeczytał. Zawiązała się ciekawa dyskusja. W jej trakcie dowiedziałem się o przebiegu słynnej debaty kuchennej Nixona z Chruszczowem. Nixon, wówczas wiceprezydent USA, oprowadzał w Moskwie premiera Chruszczowa po wystawie postępu technicznego w amerykańskim gospodarstwie domowym. Pokłócili się. W czasie tej kłótni obie strony zwięźle wyłożyły racje swoich ideologii. Dowiedziałem się o tym po pięciu latach! Chociaż chowałem się w domu otwartym na świat, chociaż miałem liczne zagraniczne powiązania rodzinne, przecież wcześniej o debacie kuchennej nie słyszałem. Związałem się ze stowarzyszeniem z nadzieją, że dzięki niemu będę dowiadywał się o ważnych sprawach świata jeszcze szybciej niż po pięciu latach.

„Newsweeka” miał Jerzy Mikułowski Pomorski. Został znanym socjologiem, rektorem Akademii Ekonomicznej (dzisiaj Uniwersytetu Ekonomicznego) w Krakowie. Wtedy człowiek noszący dwa nazwiska mógł spełnić się w AZS lub w SSPONZ. Po Jerzym widać, że nie wybrał AZS-u.

W wielu uszach najbardziej zgrzytało słowo „Przyjaciół”, jakże niecodzienne w tamtych latach. A i sama ONZ budziła podejrzenia, do tego jeszcze studencki charakter organizacji i forma stowarzyszenia. Spra-

wa stała się do tego stopnia podejrzana, iż wyjaśnienie mogło być tylko jedno: oni z pewnością mają na to wszystko koncesję, działają legalnie, pod kontrolą. Tak myślano – więc tolerowano. SSPONZ organizowało coroczne zjazdy, „szkoły zimowe”, „szkoły letnie”, cykliczne konferencje i seminaria, przyjeżdżali do nas prelegenci z wysokiej półki, z początku oczywiście każdy podtruwał, jak umiał. Pierwsze pytanie z sali traktował jeszcze jako prowokację i puszczał mimo uszu, po drugim pytaniu, i po reakcji słuchaczy na te pytania – łapał regułę gry i podejmował otwartą dyskusję. Łatwiej szło nam z profesurą prawa, ekonomii, stosunków międzynarodowych. Ci od razu przechodzili do rzeczy.

Dorastające w SSPONZ kolejne pokolenia najczęściej zawdzięczają niezapomnianemu prof. Remigiuszowi Bierzankowi. My byliśmy przyjaciółmi ONZ, on – naszym.

SSPONZ budził zdziwienie w obozie. W bratnich krajach także istniały United Nations Students' Associations, zrzeszone w International Students' Movement for United Nations, w skrócie ISMUN. Nasi spotykali się z tamtymi na konferencjach ISMUN i w genewskich letnich szkołach. Szkopuł tkwił w tym, że nasi odnosili się z dystansem do idei powszechnego i całkowitego rozbrojenia, walki z imperializmem, zachodnioniemieckiego rewizjonizmu, itd. Za to zdradzali gotowość do rozmów o murze berlińskim, kryzysie karaibskim, incydencie w Zatoce Tonkińskiej (od niego zaczęła się wojna w Wietnamie). To wszystko nie podważało pozycji SSPONZ w kraju.

Księgowi z ZSP przyznawali nam duże budżety, nasi jeździli po świecie, na seminarium norweskich kwakrów, na konferencję w Szkocji, na symulację Zgromadzenia Ogólnego NZ do Nowego Jorku, na coś tam w Ugandzie, na wymiany do Wielkiej Brytanii, Holandii, Szwecji. Nie było zakusów na opozycyjność, wystarczała ciekawość świata i możliwość zaspokojenia chęci podróżowania. Czasem ktoś z wyjazdu nie powrócił, była z tego bura, ale wszystko rozchodziło się po kościach. Zgorszenie budziła też łatwość nawiązywania międzynarodowych kontaktów przez niektóre koleżanki (jedna z nich na liście trofeów miała premiera pewnego kraju, małego acz kłótliwego). Mnie dotknęło szczególne traktowanie; przez te wszystkie lata (i kilka wcześniejszych) odmawiano mi paszportu nawet do NRD, ale to inna historia...

Podróżując z Almaturowem po ZSRR koledzy spotkali nad morzem rosyjską studentkę, miłą i ciekawą świata. Poradzili: – Zapisz się do waszego studenckiego stowarzyszenia ONZ. Na co usłyszeli: – Owszem, próbowałam, ale nie było miejsc.

Ruch młodzieżowy reformowano, jego głównym nurtom nadano socjalistyczne nazwy i cechy. SSPONZ nie był w głównym nurcie. Tkwił gdzieś na boku, z dala od gzieku polityki, miał biurczko przy Ordynackiej, szuflady w kilku Radach Okręgowych, oraz święty spokój, czasem przecież przerywany zakusami na zrobienie z nami porządku. Szczególnie przykry był rok 1968: nasz protektor Ryszard Stemplowski musiał opuścić komisję zagraniczną ZSP, wokół kipiało od chęci walki z kosmopolityzmem, z różnych stron płynęło do nas niepokojące sygnały. Przeszliśmy do czynnej obrony:

na krajowym zjeździe w Krakowie wygłosiłem płomienny referat o tym, że w jakkolwiek światu patrzymy stronę, nie tracimy przecież z oczu Odry i Nysy. Krok po kroku wprowadzano do stowarzyszenia politykę. Poznań organizował seminaria pod hasłem *Młódzież zwalcza imperializm*. Katowice usiłowały poddać tamtejsze koło indoktrynacji tow. Wsiewołoda Wołczewa i jego akolitów. Otrząsanie się z tego bagażu zajęło kilka lat.

Ale czy konferencja wymierzona była w imperializm, kolonializm, neokolonializm czy w rewizjonizm zachodnioniemiecki – zawsze wieczorem, przy flaszcze, Leszek Weres śpiewał przy gitarze. Śpiewał przez dwadzieścia lat. Jeszcze nie stawiał horoskopów, nie wróżył...

Oficjalna siedziba PTPONZ mieściła się w Warszawie przy Wareckiej, w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, gdzie pani Wanda odbierała korespondencję. Lecz od kiedy Marek Hagmajer został sekretarzem generalnym WFUNA i podjął próbę zdynamizowania światowego ruchu na rzecz ONZ, potrzebował oparcia w macierzystej organizacji, do tej pory istniejącej na papierze. Ryszard Ławniczak, który na wszystko znał sposób, zapisał do towarzystwa kilkadziesiąt osób sprawdzonych w działalności w SSPONZ, czyli dokonał „wrogiego przejścia” dorosłej organizacji przez dawny aktyw studencki.

Wróciły czasy ciekawych konferencji i programów towarzyszących, MSZ znowu otworzył kiesę i podrzowaliśmy po świecie: to do Genewy, to do Chin, Mongolii, Kanady, gdzieś jeszcze. Szczególnie utkwiła mi w pamięci scena z konferencji w Szczyrku w połowie lat osiemdziesiątych: Therese Gasteaud, szefująca służbom informacyjnym ONZ w Genewie, przystępuje się naszym obradom, Paweł Graniewski tłumaczy jej na ucho przebieg dyskusji bardzo krytycznej wobec polityki rządu, który w tamtym czasie zawiesił członkostwo Polski w Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO), a co ostrzejszym głosem potakuje aprobującą dyr. Władysława Neneman z MSZ. Do ILO wróciliśmy, nie bez udziału grupy roboczej SSPONZ, która wynajętym autosanem dotarła do Genewy.

A generałowi Jaruzelskiemu, gdy dopytywał czym jest PTPONZ, wskazałem na znaczek organizacji i głupio wypaliłem, że ta błękitna flaga dobra jest dla tych, dla których Polski Czerwony Krzyż jest zbyt czerwony. Nie zostałem skwitowany uśmiechem.

PTPONZ obumarł z początkiem lat dziewięćdziesiątych. Przewodniczący wyjechał na wykłady najpierw do Kalifornii, potem do Australii. Jeden z wiceprzewodniczących wyjechał na placówkę do Rzymu, drugi właśnie stracił pracę, a zresztą mieszkał w Krakowie; sekretarza generalnego wymieniono na gorszy model, nikomu już się nie chciało. Za to SSPONZ jeszcze trwał do połowy dekady. Lecz przestał być jedyną furtką wiodącą w świat. Studenci ekonomii mieli od lat AIESEC, studenci prawa zaczęli działać w ELSA. Wyjazdy zagraniczne stały się pospolite, już nie na tydzień, dwa, ale na semestr, rok, nawet na całe studia. Młode roczniki poszły gdzie indziej. Lecz nie rozplynęła się w powietrzu otaczająca SSPONZ aura elitarności jego członków, wyjątkowości przedsięwzięcia, specjalnych więzów między przyjaciółmi ONZ. Co kilka lat to Krzysztof Wilski, to Piotr Nowaczyk, to Lidka Retkowska organizowali spot-

kanie wielu pokoleń działaczy SSPONZ, na które przybywali liczni goście, także z zagranicy. 1 kwietnia 2004 r. Marek Belka otrzymał od prezydenta misję utworzenia rządu i wprost z Pałacu Prezydenckiego pojechał do hotelu Sheraton na spotkanie weteranów SSPONZ. Dziennikarze popędzili za nim. Zaczepili mnie w holu: – Co premier tutaj robi? Odpowiedziałem, że tworzy rząd. Zrazu wątpili, lecz gdy nadszedł Jacek Saryusz-Wolski, za nim inne znakomitości – uwierzyli.

Belka był kiedyś członkiem Prezydium SSPONZ. Po latach powiedział: – Po tym wszystkim postanowiłem, że już nigdy znikąd nie dam się wyrzucić.

Nie wiem, o co wtedy poszło. Wiem, że SSPONZ bywał nieobliczalny. Mam w oczach scenę podczas zjazdu krajowego w 1967 r. Liderem stowarzyszenia był Karol Jakubowicz, ale jego autorytarne metody działania budziły sprzeciw kół prowincjonalnych. Kiedy doszło do wyborów przewodniczącego, Karol ubiegał się o reelekcję, lecz my – Kraków, Poznań, Śląsk, Łódź, Lublin, Szczecin, Wrocław, Toruń – zakwaterowani w Domu Nauczyciela knuliśmy wieczorami pod nieobecność delegatów Warszawy. Postanowiliśmy wystawić przeciwko Karolowi kandydaturę Jana Bielawskiego. Jan opierał się, ustąpił dopiero pod silnymi naciskami, ale nie wycofał swojej jednoczesnej kandydatury na wiceprzewodniczącego. W rezultacie Karol wygrał z Janem jednym głosem, lecz Janowi zabrakło głosów w wyborach na funkcję wiceprzewodniczącego, został na lodzie. Podniósł się rwetes, obrażony Karol składał rezygnację, sala ją odrzucała, wreszcie Jana dokooptowano, wkrótce sam został przewodniczącym.

Po latach opowiadam komuś o tamtej nocy wyborczej. I słyszę pytanie: – No dobrze, a co na to wszystko czynniki? Otóż żadnych czynników nie było. Za nasze głupstwa sami jesteśmy odpowiedzialni.

Lista adresowa członków b. Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ (byłego, nie „byłych” członków, członkostwo zachowuje się na zawsze) jest imponująca. Są na niej osoby piastujące w różnych czasach różne funkcje: premiera, ministra spraw zagranicznych, wice ministrów i ambasadorów. Są funkcjonariusze międzynarodowi, czynni na kilku kontynentach profesorowie różnych dyscyplin, uznani prawnicy, menedżerowie, bankowcy, lekarze, byli wojewodowie, dziennikarze, jest wybitny eurodeputowany i szanowany bluesman. Koleżanki pozmiały nazwiska, powychodziły za mąż, rozjechały się po świecie, sięgnęły po prestiżowe stanowiska. Kobiet w SSPONZ nigdy nie brakowało, to one tworzyły niezapomnianą atmosferę naszych konferencji, szkół zimowych, letnich. Nie zliczę małżeństw zawartych dzięki stowarzyszeniu. Pokolenie później starsze roczniki naszych dzieci przejmowały po nas prezesurę kół.

Radca prawny z windy był za młody, by mógł należeć do SSPONZ. O tym, że tam byli fajni ludzie, zapewne słyszał w domu. Od ojca albo matki. Albo obojga.

ANDRZEJ S. NARTOWSKI

Autor był wiceprzewodniczącym SSPONZ i PTPONZ, jest prezesem Polskiego Instytutu Dyrektorów i wydawcą kwartalnika „Przegląd Corporate Governance”. Andrzej@Nartowski.pl

MARIAN STĘPIEŃ

MIĘDZY POEZJĄ A POLITYKĄ O WŁADYSŁAWIE BRONIEWSKIM

Wielki poeta rewolucyjny. Równie wielki twórca utworów lirycznych. W sferze emocji społecznych, zbiorowych, jak i osobistych, najbardziej intymnych. Jego wiersze – to świadectwo, że rozległość widzenia, intensywność uczucia we wszystkich dziedzinach ludzkiego życia, otwartość zarówno na zjawiska obejmujące zbiorowość, jak i drażące świat jednostki, uwalniają wyobraźnię, wyzwalają prawdę poetyckiego mówienia i warunkują prawdziwie rewolucyjną postawę społeczną.

Rodowód twórczości jednego z największych polskich poetów XX wieku wywodzi się z wielkiej tradycji romantycznej. Stamtąd się bierze to, co przenika całą poezję Broniewskiego – przekonanie o ważności słowa, które w pewnych okolicznościach ma wagę czynu, działania. Tu tkwi źródło mocy tej poezji, jej wielkiej energii. W wierszach poety nie ma miejsca na zwątpienie w sens uprawiania twórczości poetyckiej. Racja

jej bytu bowiem tkwi poza nią, w służbie ludzkiej zbiorowości walczącej o lepsze, piękniejsze, sprawiedliwe życie i w nadawaniu kształtu słownego ludzkim wzruszeniom.

Wiele nici łączy poezję Broniewskiego z tak mocno wpisaną w świadomość naszego narodu twórczością Adama Mickiewicza. I *Ballady i romanse* (o tragicznej doli żydowskiej dziewczynki z polskiego miasteczka zastrzelonej przez SS-manów), i przypomnienie dekabrystów – „przyjaciół Moskali” – w *Pokłonie Rewolucji Październikowej*, a także kilka późniejszych wierszy osobistych Broniewskiego, które potrącają o szlachetne struny Mickiewiczowskich liryków lozańskich.

Bardzo dużo wspólnego ma ta poezja z twórczością Juliusza Słowackiego, co czyni, że prezentuje się nam jako osadzona w głównym i znanym a żywym nurcie naszej tradycji socjalistów, twórców i działaczy Proletariatu. Oni to właśnie, uzupełniwszy tradycje walk po-

wstańców o ideały socjalistyczne, stanowili kolejne ogniwo w wielkim porywie Polaków walczących o pełne wyzwolenie. Ich też spadkobiercą był Broniewski. Jego „pieśń stłumiona, złowroga i głucha” poświęcona męczeńskiej śmierci Ludwika Waryńskiego w kazamatach Schlüsselburga, przywołuje pamięć zarówno bojowników polskiego proletariatu, jak i najbardziej przejmujących kart Mickiewiczowskich liryków patriotycznych i *Dziadów* drezdeńskich.

Tradycja biegnąca od Mickiewicza i Słowackiego poprzez proletariackie i ich rewolucyjne pieśni, którą podjął i z której wyrósł Władysław Broniewski, jest tradycją ideowej wielkości, uwarstwienia na niesprawiedliwość społeczną, patriotycznej walki o prawa narodu. Jest to przy tym tradycja silnego emocjonalnego porywu. I gniewu wybuchającego jako reakcja na krzywdę i ucisk. A także wiary, że ten poryw i gniew poprowadzi do zmiany świata na lepsze. I przekonanie o doniosłej roli poezji w tym dziele.

Władysław Broniewski należał do tego pokolenia Polaków, które u progu XX wieku podjęło testament powstańców i rewolucyjnych generacji poprzedniego stulecia. Jeszcze raz, biorąc na siebie ciężar największy sięgnęło po broń, by wywalczyć drogę do wolnej Polski w okolicznościach, które w latach dojrzenia poety przyniosły pierwszą wojnę światową.

Młodość poety była młodością żołnierską. „Byłem jeszcze zupełny szczeniak, kiedy wziąłem karabin do garści” – wspomni później. Nie miał jeszcze osiemnastu lat, gdy opuścił „nad Wisłą stary dom z ogrodem na wysokim wzgórzu mazowieckim” i wstąpił w 1915 roku do Legionów. Maszerujące bataliony, szwadrony i pułki, płonące chaty, stodoły i stogi, wołyńskie lasy, błoto i wilgoć okopów, rozerwani granatem i śmiertelnie ugodzeni kulą towarzysze broni – to pejzaż jego młodych lat, źródło pierwszej wiedzy o świecie, odkrycia „Pękniętego, głupiego serca – siedemnastoletniego”. Podobnie jak wielu legionistów odmówił złożenia przysięgi na wierność Austrii i został uwięziony w Szczybrnie.

W 1920 roku z bronią w rękę walczył przeciwko oddziałom rewolucyjnej Rosji zagrażającej Polsce niepodległej. Za dzielność w tych walkach został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, którym się szczylił przez całe życie. (By uprzedzić pojawienie się tego nazwiska na końcu szkicu, już tu warto zaznaczyć, że podobnie w oddziałach legionowych i potem w wojnie polsko-bolszewickiej brał udział także inny wybitny poeta polski, Kazimierz Wierzyński, który po drugiej wojnie światowej zatrzymał się na emigracji.)

Pierwsze ważniejsze utwory poetyckie Broniewskiego powstają pod ciśnieniem wojennych przeżyć. Napisana w 1923 roku *Ostatnia wojna* jest dramatycznym apelem poległych, żołnierzy różnych narodowości, ze wszystkich frontów, maszerujących w wielkim pochodzie protestu przeciwko światu, który wojnę przewiduje, wywołuje i na niej się bogaci. Jest to gniewny pochód żołnierski ku przyszłości, „gdy już nikt nie będzie dzielił ogromnej ojczyzny świata”. W debiucie poety, w tomiku *Wiatraki* z 1925 roku, jest również kilka mocnych antywojennych wierszy, które różnią się od ówczesnej literatury pacyfistycznej wyraźnym wizerunkiem klasowej istoty wojny, z której korzyści odnoszą państwa kapitalistyczne. Leżący pod łukiem Triumfalnym

żołnierz nieznanym z wiersza *Soldat inconnu* buntuje się przeciwko Francji rządzącej nad jego grobem ceremonie i obrzędy:

Ja nie jestem więcej jej synem –
ona krwi, ona męki pragnie.
Przeciw niej stanę karabinem,
w serce jej wepchnę bagnę!
Podepczcie to serce zimne,
na wiatry rozrzućcie kości –
Zaprowadzę was do Francji innej,
do ojczyzny zwycięskiej miłości! (I-27)¹.

Był Broniewski jednym z tych, których – jak powie w wierszu *Na śmierć Andrzeja Struga* – „zrodzili ludzie podziemi”, czyli polski socjalistyczny ruch konspiracyjny doby rewolucji 1905 roku, walczący zarówno o sprawę proletariacką, jak i narodową. Przeciw wyzyskowi społecznemu i przeciw uciskowi obcych zaborców na polskich ziemiach. O Polskę niepodległą, ale i sprawiedliwą, o wolną ojczyznę ludzi pracy mierzoną miarą „młota i pługa”. Taka była motywacja jego czynu legionowego.

Toteż po roku 1918 czekało poetę to samo wielkie rozczarowanie, z którego zrodził się najpotężniejszy głos społecznego i obywatelskiego sumienia – *Przedwiośnie* Stefana Żeromskiego. Droga dalszego marszu oddziałów legionowych nie była jego drogą. Zobaczył, że przed nim jest jeszcze trudniejszy i ważniejszy cel, ku któremu „idzie jak żołnierz dalej”. Tym celem była Polska sprawiedliwości społecznej.

Solidarności robotniczej zaczynał uczyć się Broniewski już w latach gimnazjalnych, w organizacjach młodzieży pozostających w kręgu oddziaływania ideologii socjalistycznej. Tę edukację pogłębiło żołnierskie doświadczenie wojenne. A uzupełnił ponadto „pocałunek Almanzora”, gdy w bolszewickich taborach w roku 1920 znajdował literaturę socjalistyczną.

Po roku 1918 dostrzegał prawdziwy charakter niepodległego państwa polskiego, w którym „ta sama krzywda, ta sama, idzie z krzykiem na wsie i miasta” i „płodzi upiora buntu”. Słowa ujęte w cudzysłowie pochodzą z wiersza *Róża*, zbudowanego kontrapunktycznie na opozycji radości z odzyskanej niepodległej Polski i świadomości, że dzieło nie zostało ukończone, że pozostaje jeszcze zniesienie krzywdy społecznej, zbudowanie sprawiedliwego ustroju. Oddał więc swój talent poetycki na służbę klasie robotniczej. Wraz ze Stanisławem Ryszardem Standem i Witoldem Wandurskim wydał w 1925 roku tomik poetycki *Trzy salwy*, z krótką a doniosłą deklaracją programową, która jest pierwszym tej wagi i tej dojrzałości dokumentem zjednoczenia polskiego twórcy z proletariatem:

„Nie o sobie piszemy. Jesteśmy robotnikami słowa. Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą. W bezlitosnej walce proletariatu z burżuazją stoimy zdecydowanie po lewej stronie barykady. Gniew, wiara w zwycięstwo i radość – radość walki – każą nam pisać. Niech słowa nasze padną jak strzały w ulice śródmieścia, niech odegrzmia echem w dzielnicach fabrycznych. Walczymy o nowy ład społeczny. Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości”.

¹ Wiersze cytuję wg Władysław Broniewski, *Poezje zebrane*. Wydanie krytyczne. Opracowała Feliksa Lichodziejewska. Tom 1-4. Płock – Toruń 1997. Cyfra rzymska oznacza nr tomu, arabska – strony.

Tą deklaracją i wspólnie wydanymi *Trzema salwami* łączył się Broniewski z radykalnie rewolucyjnymi poetami – współtowarzyszami walki o sprawiedliwość społeczną. Ale nie utożsamiał się całkowicie z ich poglądami i poetyckim programem. Jego wrażliwość obejmowała nieporównanie szerszy zakres ludzkich spraw. Oni natomiast zareagowali krytycznie na jego słowa z *Wierszy o wczesnej wiosnie pisanych późną jesienią*: „Żyję sobie, jestem poetą, diabli komu do tego”. Stąd wówczas napisał polemiczny wiersz *Do poety. Władkowi Broniewskiemu*, a w nim słowa:

Nie zawsze się pisze o wszystkim
Co nastrój na język przyniesie
Są rzeczy dalekie i bliskie
Trzeba wybrać, co włączyć masz
w pieśni. (II-544)

W odpowiedzi Witoldowi Wandurskiemu, który miał mu za złe, że nie poświęca swego talentu poetyckiego walce politycznej bez reszty, odpowiadał wierszem zaczynającym się od słów „Przyjacielu, los nas poróżnił...”, że „nic co ludzkie nie jest [mu] obce i nikomu nie pozwoli dotykać jego „Harfy ze stu żył – stustrunnej”

Niemniej w dwudziestolecie Polski niepodległej był Broniewski poetą życia i walki proletariatu. Wyrażał jego emocje, wskazywał słowem artystycznym na jego krzywdę, wzywał do walki o zmianę powstających po roku 1918 stosunków społecznych i umacniał wiarę w możliwość dokonania tych zmian, przekonanie o ostatecznym zwycięstwie. Umiał „strzelać pewnie i celnie”, jego słowa istotnie zadawały ciosy „jak kule śmiertelne na wojnie”, pełniły „rolę pocisków” i stawały się „sztandarem nad robotniczym pochodem”. Zawierały wielki ładunek emocji, umiały porwać, przekazywały energię działania. Mówiąc o sprawach bolesnych i trudnych przeciwstawiały im zawsze optymistyczną perspektywę zwycięstwa.

Walczący w Legionach Piłsudskiego o wolną Polskę on, „Orlik”, jak nazywano Władysława Broniewskiego, nie mógł pogodzić się z tym, co zachodziło w Polsce niepodległej, a co przybrało najostrzejszy wyraz w przewrocie majowym. Tu rozeszły się jego drogi z Piłsudskim i z wiernymi tu poetami, jak na przykład z Kazimierzem Wierzyńskim, który Komendantowi poświęcał panegiryczne strofy. Broniewski zwracał się „Do towarzyszy broni”, by wystąpili w obronie „sześciu tysięcy zamkniętych w więzieniach”, by nie zapominali, że krwią się opłaciła wolną Polskę nie po to, by „płynęła krew majowa na ulicach w szarżach policji”.

Jego znany, głośny wiersz *Zagłębnie Dąbrowskie* nie mógł się ukazać w „Wiadomościach Literackich”. Wykropkowano cztery wersy:

Milczy błotnista ulica,
Wiedzą górnicy, kto wróg.
Na rogu stoi policjant,
nad policjantem – Bóg.

Z wyjaśnieniem od redakcji: „Niestety, skrupowani warunkami cenzuralnymi zmuszeni byliśmy dokonać w tym utworze kilku opuszczeń”. Po latach Mieczysław Grydzewski uzupełnił: „Chodziło oczywiście o Boga, nie o policjanta”².

W całości wiersz ten ukazał się w *Wyborze poezji Władysława Broniewskiego* wydanym w Moskwie w

1932 roku. Tam zadziałała cenzura radziecka i „Bóg” zamieniła na „bóg”. A kiedy utwór ten ukazał się w 1939 roku we Lwowie pod radziecką okupacją, skreślona została inna strofa:

Powiedz, ziemio surowa,
Komu ty jesteś ojczyzną?
Groźnie milczy Dąbrowa
W noc głodu, kryzysu, faszyzmu.

Tu powodem było słowo „faszyzm” rażące i niecenzuralne w takim kontekście w czasie sojuszniczych stosunków między Związkiem Radzieckim i hitlerowskimi Niemcami.

Był Broniewski niepokojony przez policję. Obawiał się rewizji. Pisał do Janiny Broniewskiej: „Nie wiem dlaczego i po co, ale była dziś po mnie policja na Hipotecznej. Stąd przypuszczam, że czeka mnie rewizja, a kto wie, czy nie aresztowanie. Nie mam powodu tego się obawiać, ale przed pierwszym maja wszystko jest możliwe”³.

Aresztowanie też nastąpiło. Podczas zebrania redakcji lewicowego „Miesięcznika Literackiego” w mieszkaniu Oli Watowej weszło około dziesięciu policjantów. Dokonano rewizji i aresztowano Aleksandra Wata, Władysława Broniewskiego, Andrzeja Stawara, Jana Hempla. „Miesięcznik Literacki” przestał wychodzić, a Broniewski spędził w więzieniu około ośmiu tygodni.

Utworami swymi, opublikowanymi w kolejnych zbiorach poezji: *Dymy nad miastem* (1927), *Komuna Paryska* (1928), *Troska i pieśń* (1932) i *Krzyk ostateczny* (1938) – by się ograniczyć do wierszy opublikowanych przed wojną – wydał Broniewski wojnę kapitalistycznemu porządkowi społecznemu. „Temu światu ja się nie poddam, temu światu ja krzyknę: nie!” – pisał w wierszu *Troska i pieśń*. Tytuł wiersza i zarazem tytuł całego zbioru jest szczególnie znamieny dla całej międzywojennej twórczości poety, który ulegał urodzie świata i pragnął ją opisywać, był wrażliwy nie tylko na społeczne problemy, ale również na intymne, osobiste drgnięcia ludzkiej duszy, na kameralne wzruszenia, radość i przygnębienie – i tym także chciałby dawać wyraz. „Ale troska jak rdza przeżarła mojej pieśni serdeczną moc”, toteż na plan pierwszy wysuwały się w jego twórczości sprawy proletariatu. Jego to praca i wysiłek znajduje teraz pełnowartościową artystyczną nobilitację.

Poezja Broniewskiego nadaje właściwy patos twórczemu wysiłkowi polskiego robotnika, dzięki któremu wznoszą się w wolnej Polsce domy, rozwija przemysł, buduje mosty, drąży kopalnie dostarczające bogactwa. Wyraża dumę z robotniczej pracy, upomina się o jej pełną godność. Broniewski wprowadził do poezji polskiej tematykę fizycznej pracy ludzkiej na skalę i sposób przed nim niespotykany. Upominał się o jej wielkość i godność. W Polsce przedwojennej było to upominanie się przeciwko panującemu łaadowi społecznemu, przeciwko uznawanej oficjalnie hierarchii wartości; było walką z kapitalistycznym ustrojem. Toteż dużo miejsca w twórczości poety zajmuje oburzenie i gniew, rewolucyjny protest przeciwko istniejącemu porządkowi.

Broniewski stał się wyrazicielem gniewnych mas robotniczych i sam wyrażał gniew własny, poruszony

² Mieczysław Grydzewski *Silva rerum*. Teksty z lat 1947-1969 w wyborze Jerzego B. Wójcika. Gorzów Wlkp. 1994.s. 336.

³ Cyt. Za: Marci Shore, *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*. Z angielskiego przełożył Marcin Szuster. Warszawa 2008, s. 83.

wspomnieniem dramatycznych wydarzeń z przeszłości lub teraźniejszości proletariatu. Ten gniew klasowy wyrażany z taką mocą i sugestywnością był także elementem nowym w polskiej poezji. Pełna gniewu robotniczego jest *Pieśń o wojnie domowej* napisana w 1927 roku. Gniewem nabrzmiewa manifestacja robotnicza w wierszu *Pochód*. Pochwałą komunardów i hołdem ich pamięci złożonym jest z 1928 roku *Komuna Paryska*. Ale również jest w tym poemacie nienawiść do tych, którzy bezwzględnie rozstrzelali jej bohaterów. Gniew i pogardę, dzisiaj szczególnie poruszającą – po pośmiertnej rehabilitacji Sacca i Van-zettiego – zawiera wiersz *Prawodawcom*, poświęcony niewinnie skazanym na śmierć emigrantom włoskim w Stanach Zjednoczonych. Gniewem brzemiennie jest *Zagłębie Dąbrowskie*: „Po gniew – jak węgiel – kamienny, winda złej pieśni – na dół! Po gniew, moja pieśni, najgłębiej w serce ziemi się wwierć!” Gniew zawiera się w retorycznym pytaniu otwierającym jak klucz istotne pokłady ideowych treści utworów Broniewskiego:

Powiedz, ziemio surowa,
komu ty jesteś ojczyzną?

Ten gniew brał się z obserwacji życia. Wywoływał go widok nędznych ulic warszawskich, gdzie krzewiła się choroba, bieda, zbrodnia, jak na owej, przysłowiowej dzięki sile poezji Broniewskiego, *Ulicy Miłej*. Rodził się ze współczucia i solidarności z ludźmi prześladowanymi za ich ideowe przekonania, z oburzenia na wyroki ciężkiego więzienia i śmierci, na które skazywano rewolucjonistów. Wiersze Broniewskiego dodawały siły i energii podeptanym, ponizonym i dręczonym przez oprawców więźniom politycznym, jak o tym świadczą liczne wspomnienia tych, którzy dożyli Polski Ludowej. Poezja Broniewskiego bowiem, silna, energiczna, o mocnym, wyraźnym rytmie, o podkreślającym energię rymie, nie tylko umiała oburzać się, protestować, wywoływać i wyrażać gniew, ale również podtrzymać na duchu, sił dodać wizją zwycięstwa. Wiersze te zawsze prowadzą do optymistycznego wyjścia z najbardziej nawet przygnębiającej sytuacji. Ukazują wielkość moralną człowieka, wyzwalają w nim siłę przetrwania, pogłębiają wiarę w sens i skuteczność działania, ukazują moralne piękno rewolucjonistów. Na przykład w wierszach: *Na śmierć rewolucjonisty*, *Księżyc z ulicy Pawiej*, *Pionierom*, *Do towarzysza więźnia*.

Walkę polskiego proletariatu o wyzwolenie społeczne łączył Broniewski z międzynarodowym ruchem robotniczym. W jego poezji walka polskiego robotnika łączy się z ruchami społecznymi w innych krajach, którym również poświęcał uwagę. *Cześć i dynamit*, *No pasaran!* – to wiersze poświęcone walce ludu hiszpańskiego. W wierszu *Nike* dochodzi do głosu świadomość jedności proletariatu wszystkich stron świata i wszystkich krajów Europy; „Kominów ręce wznosząc grozą – Zagłębie, Baku, Ruhr, Manchester!”

U źródeł oburzenia, gniewu, pretensji do rządzących Drugą Rzeczpospolitą był patriotyzm poety wywodzący się z historii narodu, z romantycznych tradycji, które wyhodowały marzenia o pięknej i wolnej ojczyźnie. Polska niepodległa była dziełem Polaków, okupiona ich ofiarami i walką, szczególnie tej generacji, do której należał Broniewski. Jeśli tak się unosił gniewem, to dlatego, że sprawa Polski była dla niego najważniejsza.

Czuł się i zobowiązany, i upoważniony przez własną biografię i testament pokoleń poprzednich, którego czuł się wykonawcą – do walki o najpiękniejszy kształt odzyskanej po przeszło stuletniej niewoli niepodległości. Marzenie o tym, by Polska wyzwolona była na miarę wysiłków, ofiar i tęsknot pokoleń, które o nią walczyły, obecne jest w wielu wierszach poety. Żołnierz nieznany zapowiada „ojczyznę zwycięskiej miłości”. Jęk w wicherze z *Róży* – „wyróśniemy powszednim chlebem, wyróśniemy radością człowieka!” O „życiu piękniejszym i nowym” myśli skazany na śmierć rewolucjonista, wiersz *Pionierom* kończy zapowiedź „Jeszcze będzie jaśniej i piękniej, będzie radość i będzie śpiew”, bo „Jest gdzieś radość ludzka, zwyczajna, jest gdzieś jasne i piękne życie, [...] jest gdzieś życie piękniejsze od wierszy”. Bowiem:

Do nas należy ziemia ogromna,
nasze ją ręce ujmą, ażeby
na niej zbudować dom dla bezdomnych,
w domu tym radość dzielić jak chleby. (II-121).

Wśród wierszy pełnych gniewu i walki dochodziło do głosu wyznanie liryczne odsłaniające istotne motywy działania i twórczej inspiracji. W 1938 roku, w wierszu *Mój pogrzeb*, pisał:

Mnie ta ziemia od innych droższa,
ani chcę, ani umiem stąd odejść,
tutaj Wisłą, wiatrami Mazowsza
Przeszumię mi dzieciństwo i młodość.

W moim oknie pole i topole,
i ja wiem, że to właśnie – Polska.
Stąd i radość i chmura na czole,
Tutaj słowa me zbroję jak wojska. (II-129).

Gniew jest w wierszach Broniewskiego miarą miłości. Krytycyzm, sarkazm, gwałtowne, namiętne ataki na tych, którzy czynili z Polski własny folwark, są miarą jego poczucia odpowiedzialności za to, co robi się z Polską, której wolność nie przyszła za darmo, lecz została okupiona śmiertelnymi ofiarami niejednego pokolenia.

Toteż kiedy nad Polską zaczęły się gromadzić chmury, gdy faszyzm niemiecki po jej wolność sięgał, spod pióra właśnie tego poety, który tak surowo ją oceniał, wyszedł jeden z utworów najpełniej wyrażających niezłomność walki i oporu przeciwko najeźdźcy, wiersz *Bagnet na broń*. Z siłą i precyzją, w znakomitym poetyckim skrócie, w zwrotach o logice i lapidarności aforystycznej, ujął Broniewski istotę patriotyzmu, ambivalencję pamięci o krzywdzie odniesionej w Polsce kapitalistycznej i przywiązanie do Polski jako do własnego, wolnego kraju:

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i z pieśni.
Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń podniesioną nad Polską –
kula w łeb! (II-149).

Ten wiersz powstał w kwietniu 1939 roku, a później otwierał kolejny, wydany w 1943 roku tomik, któremu użyczył tytułu: *Bagnet na broń*. Historia wniosła nowe tony do twórczości poety. Kiedy „jak czołg przetoczył się Wrzesień ziemi ojczystej przez pierś”,

na pierwszy plan wysunęła się walka o byt narodowy. „Bo dziś Pielgrzymów jam rówieśnik, Wygnańców depczę ślad” – pisał w wierszu *List z więzienia*. Odżyły dawne stereotypy, przestały być tylko figurami literackimi i nabrały przerażającej aktualności. Stereotypy znane z dziewiętnastowiecznej historii polskiego narodu: tułaczki żołnierskiej, Polaka – pielgrzyma, poety – „syna podbitego narodu, syna niepodległej pieśni” i „drogi do Polski – drogi Golgoty”. Pojawiają się one w nowej funkcji w poezji Broniewskiego i służą ukazaniu tragedii polskiego żołnierza, żołnierza rozbitej armii, który w „złotą jesień polską” idzie „z niemieckiej niewoli”.

Te słowa z wiersza *Żołnierz polski* napisał po klęsce wrześniowej, gdy przebywał we Lwowie objętym radziecką okupacją. Nalegany przez redakcję „Czerwonego Sztandaru”, by podał coś do druku, zaproponował *Żołnierza polskiego*. Utwór pełen bólu, mówiący o napaści Niemców na Polskę został przez redakcję odrzucony. Upadek Polski był pozytywnym dla Związku Radzieckiego zdarzeniem, rezultatem jego sojuszu z Niemcami. Taki wiersz Broniewskiego nie mógł ukazać się w druku.

Podobnie pochodzący z tego samego czasu *Syn podbitego narodu*. Wiersz był znany wśród lwowskiej inteligencji. Poeta go wielokrotnie recytował na różnych spotkaniach. Nie zważał na ostrzeżenia. W dokumentach NKWD znalazł się jako dowód „nacjonalizowinizmu” poety. Nieco później, gdy wstąpił do armii Andersa, był za ten wiersz atakowany z powodu braku patriotycznych treści. Bo są w nim i takie wersy:

Podaj mi dłoń, Białorusi, podaj mi dłoń Ukraino

Wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy. (II-183).

(Wiersze: *Żołnierz polski*, *Syn podbitego narodu* i *Żydom polskim* opublikowała Wanda Wasilewska w „Nowych Widnokręgach” już po inwazji Niemiec na ZSRR).

A o napaści Związku Radzieckiego na Polskę ułożył Broniewski fraszkę nigdzie nie drukowaną, ale wówczas znaną, bo powtarzaną i przez samego poetę recytowaną:

Byłby Grunwald i Płowce,
Gdyby nie te bombowce
I gdyby nie te czołgi,
Które przyszły znad Wołgi⁴.

Broniewski odmówił wejścia do redakcji „Czerwonego Sztandaru”. Nie podpisał deklaracji *Pisarze polscy witają zjednoczenie Ukrainy*. Jest wprawdzie pod nią jego podpis, ale Aleksander Wat zapewnia, że Broniewski uchylił się od jego złożenia. To ktoś inny, bez jego wiedzy musiał za niego to zrobić⁵.

24 stycznia 1940 roku Broniewski został aresztowany przez NKWD wraz z Aleksandrem Watem, Wojciechem Skuzą, Tadeuszem Peiperem, Julianem Balickim i Anatolem Sternem. Po trzech dniach w „Czerwonym Sztandarze” ukazał się artykuł Witolda Kolskiego *Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną* z uzasadnieniem aresztowania poety.

Osadzony w ciężkim więzieniu na lwowskim Zamarstynowie nie tylko się nie załamał, ale przejawiał

niezwykły hart ducha. Aleksander Wat, również w tym więzieniu zamknięty, wspominał: „Władzio był niesłychanie dzielny, z ogromną siłą, jakieś orlątko [...]. Chodził żołnierskim krokiem, wybijał takt i śpiewał wszystkie legionowe pieśni [...]. Nie widziałem godniejszej postawy niż ta, którą miał wtedy Broniewski”⁶.

Podczas czterech miesięcy przebywania w więzieniu na Zamarstynowie ułożył kilka wierszy. Zapamiętanych, bo nie miał warunków do ich zapisywania. Wśród nich był *List z więzienia* adresowany do córki. Nie mógł się on ukazać w polskiej prasie wychodzącej w ZSRR, a w Polsce Ludowej ukazał się tylko w tomikach wydanych tuż po wojnie, a potem dopiero w zbiorze *Anka* z 1956 roku, ze skróconym tytułem *List*. Pojawiające się w tekście więzienie mniej zorientowani czytelnicy brali za aluzję do przedwojennego zaareztowania poety.

W więzieniu powstała ułożona w języku rosyjskim cierpka fraszka *Człowiek – eto zwuczit gordo*. Najlepszy jej przekład nieznanego tłumacza ukazał się w 1979 roku w wydanym w drugim obiegu tomie *Przemilczana przeszłość*, firmowanym przez Wydawnictwo Archiwum:

Człowiek to brzmi dumnie
Powiedział stary Maksym.
A tu biją cię w mordę
i mówią żeś sukinsyn.
I cóż taki – syn ma robić
Za kratkami w NKWD?
Więc pomódlmy się kurwiąmacią
Przygastej czerwonej gwiazdziej⁷.

Z przeżyciami więziennymi łączą się też wiersze *Rozmowa z historią*, *Kasztan*, które nigdy w Polsce przed 1989 rokiem się nie ukazały.

Z więzienia na Zamarstynowie przewieziono Broniewskiego do Moskwy i osadzono w słynnej Łubiance, a po dziewięciu miesiącach – do Saratowa, gdzie skazano go na pięć lat zesłania do Kazachstanu.

Zwolniony w wyniku amnestii będącej skutkiem układu Sikorski-Majski, dzięki zabiegom Wandy Wasilewskiej został telegraficznie wezwany do Moskwy. Jego pierwszym wierszem po wyjściu z więzienia była *Droga*, pomijana w krajowych wydaniach wierszy poety ze względu na wers: „Do Warszawy, Lwowa i Wilna, do Wisły, Bugu i Narwi”. „Sam Broniewski – wspominała Felicja Lichodziejewska – nie starał się o publikację *Drogi* z powodu wspomnianych w drugim wersie miast: Lwowa i Wilna. Nie chciał zastąpić tych nazw innymi słowami i dlatego zrezygnował z wiersza, który uznał za sprzeczny z powojenną polską racją stanu”⁸.

W kwietniu 1942 roku włączył się do czynnej służby wojskowej w oddziałach organizowanych przez generała Władysława Andersa. Towarzyszący tej decyzji przyплыw energii, optymizmu, wiary w przyszłość wypowiedział w wierszu *Co mi tam troski*. I ten został w Polsce Ludowej oceniony. W wersie „co mi tam tiurny i łagry, głód, poniewierka, szkorbut”, „tiurny i łagry” zostały zamienione na „obóz, więzienie”. A wydaniu *Wierszy zebranych* w 1952 roku został zupełnie pominięty.

⁴ M. Borowicz, *Inżynierowie dusz*. „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1963, s. 3

⁵ Por. A. Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*. Rozmowy prowadził i przedmową opatrzył Czesław Miłosz. Do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa. Warszawa 1998, część pierwsza, s. 281.

⁶ Tamże 385.

⁷ Cyt. za: Felicja Lichodziejewska, *Broniewski bez cenzury 1939-1945*. Warszawa 1992, s. 24.

⁸ Tamże, s. 32-33.

W sierpniu-wrześniu 1942 roku armia Andersa, a z nią kapitan Władysław Broniewski, opuszczali Związek Radziecki udając się na Bliski Wschód. W Iraku, na bankiecie, improwizował. Tak powstał wiersz *Mniejsza o to*. Swobodny, żartobliwy, wyrażający pragnienie powrotu do Polski słowami:

I chcę zobaczyć na Zamku
Polską chorągiew na zgłiszczach
a potem niech mnie już zamkną
a potem niech mnie już zniszczą

W złą chwilę wypowiedział słowo o „zniszczeniu”, po którym nastąpiło takie zakończenie utworu:

Ja po prostu chcę wrócić do Polski,
Mniejsza o to, co będzie potem. (II-159).

W środowisku oficerów armii Andersa uznano je za antypatriotyczne i wywrotowe. Doniesiono o nim generałowi Andersowi, który zaproponował poecie długoterminowy urlop i pracę w cywilu, w Polskim Centrum Informacji w Jerozolimie. Broniewski propozycję przyjął (czyż miał inne wyjście?) i został redaktorem technicznym dwutygodnika „W Drodze”. Ślad jego samopoczucia tym wywołanego zachował się w liście do córki z 30 maja 1943 roku:

„Ostatnie miesiące spędzone w armii były dla mnie przykre, bo różne pęta i durnie uwzięły się, żeby mi krew popsuć, i oszczerstwami, podstawianiem nogi itp. chwydami dokuczali mi bardzo gorliwie. W rezultacie wyjaśniłem te bzdury przy raporcie u Dowódcy Armii i skorzystałem z propozycji pracowania w cywilu”⁹.

Innego rodzaju kłopoty wywołał wiersz zaczynający się od słów „Wszystko nam jedno”. Nie mógł się on ukazać w dwutygodniku „W Drodze”. Tekst wrócił z angielskiej cenzury ze słowami: „Please, stop”. Była to odpowiedź na przewidywane w utworze decyzje dotyczące powojennych granic Polski, przygotowywane bez jej udziału, które niebawem miały się stać przedmiotem ustaleń teherańskich:

Wszystko nam jedno, żołnierzom,
Rachunek nie musi być ścisły,
Ile nam ziemi odmierzą
Na wschód i na zachód od Wisły.
My sami – bo żołnierz uparty –
Z bagnetem – a choćby i z nożem! –
Dojdziemy do Wisły i Warty,
Staniemy na Śląsku, nad morzem!

Rozmowa będzie króciutka –
o Wilnie, Krzemieńcu i Lwowie.
Nie damy też Nowogródka.
Dlaczego? – niech Adam odpowie. (II-310).

Wiersz *Homo sapiens* napisany 19 grudnia 1943 roku był gniewną reakcją poety na dochodzące do niego informacje o przebiegu konferencji w Teheranie. Jego gniew kieruje się przeciw Niemcom za zbrodnie wojny, zniszczenie Warszawy i pohańbienie słowa „człowiek”; także przeciw sprawcom zbrodni katyńskiej:

A druga bomba – w grób smoleński!
Niechaj rycerze zmartwychwstaną
I świecąc każdy piersi raną,
Świadectwo dadzą krwi męczeńskiej,
Tej krwi niewinnej, z ręki kata
przelanej w obcą ziemię czerstwą,
ze zgrozą, lecz milczeniem świata. (II-209).

Najsilniejsze wzburzenie dochodzi do głosu w ostatniej strofie na myśl, że Polski może nie być po wojnie wśród tych, którzy będą ustalać „miary wolności ludów”. Ona to przede wszystkim przesądziła o wycofaniu z druku tego wiersza w wydaniach krajowych od 1950 roku.

W powstałym kilka tygodni później *Targowisku* gniewne emocje są jeszcze silniejsze, wywołane frymarcheniem losami Polski przez aliantów, którzy w przetargach ze Związkiem Radzieckim nie liczyli się z jej zdaniem, decydowali o jej powojennej historii bez udziału jej przedstawicieli.

Po konferencji jałtańskiej powstał *Przepis na poezję*, tak okaleczony przez angielską cenzurę wojenną, że zarówno autor, jak i redaktor pisma „W Drodze” (Wiktor Weintraub) zrezygnowali z jego opublikowania. Cenzura bowiem skreśliła trzy strofy najważniejsze dla wymowy utworu, w którym do głosu doszedł gniew wywołany decyzjami podjętymi w Jałcie i wezwanie do nieliczenia się z nimi. Oto te trzy, skreślone przez Anglików, strofy:

Czas skończyć tę zabawę,
Prozą przemawiał Churchill,
A więc – kawę na ławę
Będziemy się bili do śmierci.
Obskubali nas, spustoszyli,
Gnębili nas od stuleci –
A my będziemy się bili,
I my, i nasze dzieci.

Furda nam „kwestia granic”
Z głosem obcych wyłącznym,
Bo my zrobimy powstanie
W roku dwutysięcznym. (II-392).

Wiersze powstające na Bliskim Wschodzie wypełniała też tęsknota do kraju tym silniejsza, że znajdował się on pod hitlerowską okupacją. Powtarzają się zwroty niezmiennie świadczące o ruchu myśli ku Polsce zwróconej: „Piękna jesteś, o Persjo, jak ziemia polska przed Wrześniem”. W wierszu *Damaszek* wspomina Broniewski Aleje Ujazdowskie, w *Ścianie płaczu* „Kilka starych kamienic i płacz – przez tysiąc lat [...] Gdybym to mógł zamienić na Wierzbową i Nowy Świat”. „Na północ wiatry wieją, na północ lecą myśli z rozpaczą i nadzieją ku Warszawie, ku Wiśle”.

W tomie *Bagnet na broń* obok wierszy mówiących o doli żołnierza polskiego i nawołujących do walki z zaborcą pojawiają się już silne tony tęsknoty do kraju i ojczystego pejzażu. A wydane w 1945 roku *Drzewo rozpaczające* jest wprost wybuchem nostalgii przenikającej każdy wiersz tomu. Tonację zbioru określają zwroty i słowa: szamocze, płacz, zawodzenie, jęk wniebogłosy, płaczka rozdiera płaszcz, drzewo po ziemi tarzające łbem, smutno duszy, zdechnę ze smutku, troška, tęsknota – wykrzyknik smutku.

Nawet największa melancholia nostalgiczna i smutek na myśl o losie, jaki Polsce przypadł w udziale (co dobrze ukazuje jakby niedopracowany, poszarpany, niedokończony wiersz *Wieczorem*) doprowadza jednak nie do skrajnego przygnębienia, lecz do nadziei powrotu.

Środowiska emigracyjne zwykle reagowały negatywnie na decyzje powrotu do kraju, a już szczególnie ostro w przypadku, gdy była to decyzja pisarza. Po tępieniu go, mówiono o „zdradzie”. Do Broniewskie-

⁹ Cyt. za: F. Lichodziejewska, *Broniewski...jw.*, s. 47.

go natomiast odniesiono się z dużym zrozumieniem, z gotowością raczej usprawiedliwienia niż potępienia. Aczkolwiek i jego nie ominęła kara. Na wiadomość, że zamierza wrócić do Polski wycofano z bibliotek i z księgarń *Drzewo rozpaczające* i nie wypłacono mu należnego za nie honorarium. Takie postępowanie spotkało się z oburzeniem Jerzego Giedroycia: „Uważałem to za nonsens i za zgodą Pragiera doprowadziłem do tego, że tom wrócił do sprzedaży, a honorarium Broniewskiemu wypłacono”¹⁰.

Redaktor „Kultury” wspominał później: „Powrót Broniewskiego do Polski był powodowany względami czysto osobistymi. Cierpiał na nostalgię. Nie mógł znaleźć dla siebie miejsca nigdzie poza Polską. Do tego doszły plotki o śmierci jego drugiej żony i córka, która była przecież w kraju. Wszystkie te czynniki spowodowały, że Broniewski zdecydował się na powrót. W kręgach literackich i rządowych ta sprawa była znana”¹¹.

Maria Danilewiczowa nie była zaskoczona decyzją poety. Już w *Drzewie rozpaczającym* widziała i powiedziała, że polskie uchodźstwo go utraci. „Bardziej w swoim żywiole czuł się w wierszach, w których na miejsce naczelną wysuwa się tęsknota za krajem. Są też one znacznie wyższe pod względem artystycznym [...]. Pisał uroczę erotyki i piękne wiersze poświęcał wspomnieniu żony; nade wszystko zaś tęsknił za ojczyzną”¹².

Gustaw Herling-Grudziński pisał po latach: „Nie zdziwiło mnie, że wrócił, tęsknił do kraju fizycznie [...]. Typowy i żywiołowy poeta krajobrazu ojczystego nie był jednak w stanie wytrzymać nostalgii za krajem i wrócił po wojnie do Polski”¹³.

W liście z 24 marca 1945 roku do Stefanii Zahorskiej, która na wiadomość, że zamierza powrócić do kraju radziła mu powrót do wojska, odpowiadał: „Do wojska już iść nie chcę, bo za późno. Staralem się wielokrotnie od 1939 r. i nawet byłem dwukrotnie, ale przyplaciłem to wielką dozą przykrości, zmartwień i upokorzeń. Dla niektórych kategorii osób ciągle jestem »wrogiem państwa«”¹⁴.

Z chwilą podjęcia decyzji powrotu do Polski zmienia się tonacja wierszy Broniewskiego. Rodzinny krajobraz, tylokrotnie wspomniana Wisła, zieleń pamiętanych jeszcze z dzieciństwa drzew i pagórków, które występowały w niedawnych wierszach pełnych tęsknoty do kraju, teraz przyjmują inną funkcję. Są wyrazem niecierpliwiej radości na myśl o powrocie i odbudowie, łączą się z Polską, gdzie dokonują się zmiany, „żeby było warto”.

Broniewski – poeta odzyskuje dawną energię i pisze w 1945 roku wiersz – odezwę *Do domu*. Otworzył on kolejny tom poetycki *Nadzieja* wydany w Warszawie w 1951 roku. Zapowiadał odbudowę „zwalonego domu”, oddanie chłopom ziemi, radość twórczej, dla siebie wykonywanej pracy robotnika, wznoszenie

„szklanych domów” w zniszczonej barbarzyńsko Warszawie. Wiersz kończył się słowami:

Trzeba rąk, trzeba serc, trzeba głów,
by tułaczy się sen ucieleśnił.

Dom zbudujemy – wtedy znów
ucz nas miłości, o pieśni! (III-14).

Ostatnie słowa dotyczą jednego z ciekawszych i bardziej złożonych zagadnień polskiego życia literackiego po drugiej wojnie światowej, kiedy to wystąpiła konieczność i możliwość przejścia od „pieśni gniewnej, „złej pieśni”, od „gniewu i pogardy”, od śpiewu zachłyśniętego krwią, „požadającego krwi” – do „pieśni miłości, do „pieśni radosnej”, do „ucieleśnienia tułaczego snu”. Od twórczości destruktywnej, burzącej – do poezji konstrukcji i budowy.

Mógł Gustaw Herling-Grudziński w artykule *Kłęska i bunt dworzanina* z 1957 roku szydzić sobie z Władysława Broniewskiego, widząc w nim dworzanina typu „poeta laureatus”, który żyje w luksusach dyskontując swoje przedwojenne rewolucyjne zasługi¹⁵. Niemniej jest faktem, że w listopadzie 1945 roku wrócił poeta do swojej – odmienionej w stosunku do Polski przedwrześniowej – ojczyzny. Zapowiadane i realizowane reformy społeczne odpowiadały jego marzeniom i dążeniom wyrażanym w twórczości poetyckiej z tamtego czasu. Dramaty polityczne, później występujące i później ujawniane, były – tuż po wojnie – nieznaną jeszcze przyszłością. A kraj wymagał pełnej mobilizacji energii społecznej, by dźwigać się z wojennych ruin.

A poza tym, ten – by użyć określenia Herlinga-Grudzińskiego – „poeta laureatus” był w Polsce Ludowej kontrolowany. Niewygodna była jego legionowa przeszłość, bardzo drażliwą kwestią jego pobyt i twórczość w ZSRR, a także – potem – w Armii Andersa. Przemilczano kilka lat jego biografii, skazywano na zapomnienie część jego twórczości. Felicja Lichodziejewska, autorka monografii *Twórczość Władysława Broniewskiego* wspomina, że jeszcze w 1973 roku cenzura skreślała wszystkie próby poszerzenia informacji o więzieniu poety w ZSRR¹⁶.

W chórze poetyckim zaangażowanym w budowę nowej Polski głos Broniewskiego od razu wybił się na czołowe miejsce. Był jasny i czysty. Powstały nowe wiersze, kojarzące się z powojennymi sukcesami odbudowy: *Most Poniatowskiego*, *Pieśń majowa*, *Pierwszy Maja*, *Zabrze*, *Związki Zawodowe*, *Nadzieja*, *Nasz Maj*, *Dwudziesty drugi lipca*, *Pokłon Rewolucji Październikowej*.

Ostatni z wymienionych wierszy to hołd oddany wielkiemu dziełu rosyjskich rewolucjonistów – od Rylejewa i Żelabowa po rewolucję październikową. Jest też wyrazem pamięci o żołnierzach radzieckich poległych w latach drugiej wojny światowej w różnych częściach Europy, także na polskiej ziemi. Broniewski w tym wierszu kłania się rosyjskiej rewolucji „czapką do ziemi, po polsku”, a czapka ta jest nie hetmańska, lecz „więzienna, polska, kajdaniarska, Waryńskiego czapka z Schlüsselburga”. Składanemu hołdowi towarzyszą słowa odwołujące się do historii polskiego narodu:

¹⁰ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*. Opracował K. Pomian, Warszawa 1994, s. 110.

¹¹ „Ja jestem kamień”. Wspomnienia o Władysławie Broniewskim. Zebrała i opracowała M. Przywzyn. Warszawa 2002, s. 113.

¹² M. Danilewiczowi, *Rzut oka na literaturę emigracyjną*. „Kontynenty” 1961, nr 27/8.

¹³ G. Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą*. Warszawa 1990, s. 104.

¹⁴ M.E. Cybulska, *Potwierdzone istnienie*. Archiwum Stefanii Zahorskiej. Londyn 1988, s. 179.

¹⁵ „Wiadomości” 1957, nr 9.

¹⁶ F. Lichodziejewska, *Broniewski bez cenzury...* [w:] s. 5.

My mamy sztywne karki,
kłaniać się uczono nas długo,
aż zerwał się kańczug carski,
aż wyleźliśmy spod kańczuga. (III-37).

W poemacie *Słowa o Stalinie* napisanym z okazji 70. rocznicy urodzin przywódcy Związku Radzieckiego Władysław Broniewski posunął się jednak za daleko. Wprawdzie panegiryczne utwory o „Jubilacie” pisało wielu, ale głównie pamięta się to Broniewskiemu. Istotnie wysunął się wówczas na czoło. A przecież poznał się na Stalinie bardzo wcześniej. Mieczysław Grydzewski wspominając spotkanie z Broniewskim w Moskwie w kwietniu 1934 roku opowiada, jak to poeta „postponował »wodza« w tak nieparlamentarnych wyrażeniach, że redaktor, lękliwy z natury, rozglądał się w przerażeniu na wszystkie strony”¹⁷.

Mając w pamięci ów „antystalinowski wybuch” Broniewskiego oraz to, że wiedział on o zamordowaniu z rozkazu Stalina polskich komunistów, w tym Jana Hempla, z którym siedział w jednej celi polskiego więzienia, Grydzewski nie mógł zrozumieć powodów, dla których poeta napisał *Słowa o Stalinie*. Wykluczał naciśki na niego. „Według jednolitej opinii ludzi z kraju, nawet w najgorszym radkiewiczowskim okresie kibitki nie czekały na tych, którzy nie chcieli się płaszczyc”¹⁸. Toteż przyjmował, że Broniewski pisał ten poemat z przekonaniem, które mu ułatwiała „beźmierna naiwność polityczna”. A w ogóle był zdania: „*Słowa o Stalinie* nie wolno wykreślić z dorobku poetyckiego Broniewskiego – pisał go z własnej nieprzymuszonej woli – ale tak samo nie wolno wykreślić [...] wiersza *Homo sapiens*”¹⁹.

Gustaw Herling-Grudziński był autorem pochwalnego szkicu o Broniewskim zatytułowanego *Powrót Czazarego Baryki*²⁰. Wspominał też, jak w jerozolimskich rozmowach poeta w niecenzuralnych słowach „znęcał się” nad Stalinem, był więc bardzo zaskoczony jego poematem, „z którego bezwstydnie głębokie pokłony przed »maszynistą rewolucji« i »imieniem jak dzwon« czynią swoiste arcydzieło komunistycznej poezji dworskiej”²¹.

Juliusz Mieroszewski widział bardzo prosto motywy, które skłoniły poetę do napisania tego poematu: „Broniewski, który w Palestynie grzmiał na Stalina [...], jak dostał wilę i samochód, doszedł do wniosku, że »Stalin imię jak dzwon«...”²².

Jerzy Giedroyc tak o tej sprawie pisał: „Utrzymałem do końca stosunki z Broniewskim, którego także bardzo lubiłem. Do *Słowa o Stalinie* odniosłem się z dużą pobłażliwością właśnie dlatego, że go znałem. Broniewski dość często tu przyjeżdżał. Za każdym razem zaczynało się od telefonu: »Panie Jerzy, czy pan mi poda rękę. Przecież poemat o Stalinie był doskonałym poematem«”²³.

Również w spotkaniach z Herlingiem-Grudzińskim Broniewski bronił swego utworu przyznając, że „boha-

ter *Słowa o Stalinie* był co prawda okropny, ale sam poemat jest bardzo dobry”²⁴.

Od połowy lat pięćdziesiątych tematyka polityczna znika z wierszy Broniewskiego. Ustępuje w stopniu jak nigdy dotąd treściom lirycznym, refleksyjnym. W 1954 roku dotyka poetę bardzo bolesny cios – tragiczna śmierć jego córki Joanny. „Moja córka, moja córka umarła!...”. Wielka boleść wywołała cykl utworów *Anka*. Pierwsze skojarzenie: *Treny* Jana Kochanowskiego. Podobne cierpienie, podobne pasowanie się z bólem ranionego śmiertelnie człowieka. Kochanowski dochodził do pocieszenia, że spotka się z córką po śmierci, w niebie. Broniewski mówi: „Nie wierzę ja w żadne przesady – materialista dziejowy”. W wierszu *Trumna jesionowa* zwraca się do zmarłej córki: „Nie jesteś duchem, tyś wspomnieniem, które za włosy w przeszłość wlecze. Nie wierzę w elizejskie cienie, lecz w ciężkie gorzkie łzy człowiecze” (III-117).

Broniewski wielokrotnie wracał wspomnieniem do rodzinnego Płocka, z którym kojarzy się znany i utrwalony dzięki utworom poety mazowiecki krajobraz. Jego elementem był często prastary dąb rosnący na dziedzińcu rodzinnego domu poety, który chętnie porównywał do siebie:

Starzeję się, jak płocki dąb

Silny podobnie.

Z czasem i losem zęb za zęb... (III-167)

Na krótko przed śmiercią poety „Nowa Kultura” opublikowała wiersz zatytułowany *Dąb*, w którym brzmi już nuta pożegnania:

I ostał się pień nagi,

Nad nim zamieci kłęb.

Odwagi! (III-185).

W liście do Czesława Miłosza z 5 lipca 1961 roku pisał Jerzy Giedroyc: „Iwaszkiewicz opowiadał, że Broniewski jest ciężko chory. Bermanowa mu przysłała bukiet czerwonych róż, a Cyrankiewicz pakiet »delikatessów«. Broniewski to wszystko odesłał i napisał Bermanowej, że radzi jej róże złożyć na grobie Stawara, a Cyrank[iewiczowi], by posłał te łakocie Kornackiemu do więzienia. Marzę, by się jakoś z Broniewskim dyskretnie skomunikować”²⁵.

Już nie zdążył. Władysław Broniewski zmarł w Warszawie 10 lutego 1962 roku.

Natychmiastową reakcją Giedroycia na wiadomość o śmierci poety był pomysł wydania jego wierszy nigdy w Polsce nie drukowanych. Chciałby, by przedmowę do nich napisał świetny eseista Jerzy Stempowski. Zwrócił się do niego z sugestiami, które informują, jak redaktor „Kultury” postrzegał poetę:

„Nie idzie, broń Boże, o robienie contre posągu, ale o danie jego charakterystyki. Uwypuklenie esencjonalnej polskości, patriotyzmu typowo szlachecko-socjalistycznego, tak wyrazistego w całym przebiegu życia i dzieła, od Legionów aż po upadek w Polsce Bierutowej. Jego patriotyczna i odważna postawa w okupowanym Lwowie. Jego powrót do kraju – też z pobudek patriotycznych – on naprawdę nie mógł żyć poza Polską. Wpadnięcie w sidła deprawacji stalinowskiej: między pokusą sławy a wódką. [...] Zapijanie swo-

¹⁷ M. Grydzewski, *Silva rerum...*Jw., s. 335. Grydzewski pojechał do Moskwy jako redaktor „Wiadomości Literackich”, by przygotować numer swego tygodnika poświęcony literaturze radzieckiej.

¹⁸ Tamże, s. 336.

¹⁹ Tamże, s. 347.

²⁰ Zamieścił go w zbiorze *Żywi i umarli*, Rzym 1945.

²¹ G. Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia*. Opracował Zdzisław Kuddelski, Warszawa 1993, s. 213.

²² Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, *Listy 1949-1956*. Wybrał i wstępem poprzedził K. Pomian. Warszawa 1999, t. II, s. 120.

²³ J. Giedroyc, *Autobiografia...*Jw., s. 165.

²⁴ G. Herling-Grudziński, *Wyjścia z milczenia*. Szkice. Warszawa 1998, s. 421.

²⁵ Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1952-1963*. opracował i wstępem opatrzył Marek Komat. Warszawa 2008, s. 534

jej *mauvaise conscience* [wyrzutów sumienia], coraz rozpaczliwsze upieranie się do końca przy *Słowiu o Stalinie*. To tylko Pan mógłby ująć swoim rzymskim stylem²⁶.

Stempowski okazał zainteresowanie propozycją Giedroycia, ale jej nie podjął. Nie z niechęci do Broniewskiego, lecz, jak przekonywał, z braku najpotrzebniejszych danych. Zachowane wspomnienia z lat międzywojennych nie wystarczyłyby na przedmowę.

Giedroyc więc zdecydował: „Jeśli idzie o Broniewskiego, to tomik jutro będę łamał. Przedmowę napisał Weintraub, a jako wstęp daję wiersz Wierzyńskiego, specjalnie na ten cel napisany. Bardzo dobry”²⁷.

Mniej był zadowolony ze szkicu Weintrauba *O Broniewskim na emigracji*. Dał temu wyraz w liście do Czesława Miłosza dziękując mu za artykuł o Broniewskim: „Szkoda, że nie przysłał Pan wcześniej, to dałbym jako przedmowę do tomiku wierszy, zamiast nudnawego Weintrauba”²⁸.

Już w marcu 1962 roku, a więc w miesiąc po śmierci poety, ukazała się, jak to Giedroyc określał, „plakietka z wierszami Broniewskiego”. Przynosiła utwory przemilczane i kaleczone przez cenzurę radziecką, wojenną angielską i polską w latach PRL. Z poczuciem satysfakcji donosił Bohdanowi Osadczukowi: „Plakietka z wierszami Broniewskiego zrobiła większe wrażenie, niż myślałem. Okazuje się, że te wiersze z okresu wojny były znane jedynie nielicznym. [...] Zaczynam się robić specjalistą od psucia uroczystości pogrzebowych PRL”²⁹. I do Czesława Miłosza: „Ku memu zdumieniu, wiersze Broniewskiego, które teraz wydałem, były prawie w kraju nieznane. Wywołują duże wrażenie, a nawet wzruszenie”³⁰.

Wiersz Kazimierza Wierzyńskiego *Na śmierć Broniewskiego*, określony przez Giedroycia jako „bardzo dobry”, istotnie należy do najlepszych utworów tego poety. Wierzyński dobrze zrozumiał intencje redaktora „Kultury”. Dał zwięzłą, poetycką charakterystykę złożonej osobowości Broniewskiego. Wydobył jego legionową młodość, zadziorność wobec świata, do którego „stawiał się sztorcem”, jego marzenie o wolności, sprawiedliwości. To Broniewski, który „wędrował po ojczyściach aresztach aż do wybranej sowieckiej wolności”, gdzie czekały go nieporównanie cięższe represje, który „zapił się” („Ale kto się nie zapił pod orenburski wiatr?”), a potem był wielbiony i zasypywany – Broniewski w portrecie poetyckim naszkicowanym przez Wierzyńskiego pozostaje ze swym „rebelianckim honorem”, ze swą „krwią sobiepana”, romantykiem z temperamentem szlagońskim.

Do wiersza bogatego w aluzje do biografii i twórczości poety wprowadził Wierzyński również strofę mó-

wiącą o zdarzeniu z ostatnich jego dni, wspomnianym w listach Giedroycia:

Zbliżała się ciemna, ostatnia noc,
Kwiaty odesłał na grób towarzysza
Który wyłamał,
Prezenty kazał dać koledze w więzieniu:
Jeszcze raz się zbuntował
W skotłowanym sumieniu.
Nie kłamał.

Wiersz ten świadczy o istnieniu więzi między poetami, których drogi się rozeszły, którzy znaleźli się na przeciwnych biegunach politycznych. A jednak łączyła ich legionowa młodość, walka o niepodległą Polskę i postawa protestu przeciwko wszystkiemu, co mogło ją pomniejszyć. Żegnający Broniewskiego wiersz Wierzyńskiego kończył się słowami:

Umarł mi ex-przyjaciel,
Zadziorny, niemądry, wrogi.
A jednak?

Przeszedł tu wszystko,
Ex-szalawiła i zawadiaka.
Dotarł do sedna.
Polska bez niego potoczy się dalej,
On wciąż będzie krzyczał:
Ale jaka?

I to nas pojedna³¹.

MARIAN STĘPIEŃ

Post scriptum:

Piękny wiersz Kazimierza Wierzyńskiego, „bardzo dobry”, jak go określił Jerzy Giedroyc, chciałem opublikować w latach 80. w „Zdaniu”. Okazało się to niemożliwe. Przeszkodą było zarówno nazwisko jego autora, jak i treść utworu. Po paru latach cenzura została zniesiona, Polska odzyskała niepodległość i w serii Biblioteka Narodowa ukazał się obszerny *Wybór poezji Kazimierza Wierzyńskiego*³². Wiersz *Na śmierć Broniewskiego* w nim nie ma. Tym razem ze względu na nazwisko jego bohatera. I tak, już po śmierci poety, w niepodległej Polsce, po cenzurze sanacyjnej, radzieckiej, angielskiej dosięgła go jeszcze jedna, skazująca go na przemilczenie, cenzura „solidarnościowa”, której egzekutorem okazał się nie cenzor państwowy, bo tacy zostali już zniesieni, lecz profesor historii literatury.

²⁶ Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946-1969*. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk. Warszawa 1998. Część druga, s. 182.

²⁷ Tamże, s. 188.

²⁸ J. Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy...Jw.*, s. 585. Artykuł Miłosza o Broniewskim ukazał się w numerze kwietniowym „Kultury” z 1962 roku.

²⁹ Jerzy Giedroyc, *Emigracja ukraińska, listy 1950-1982*. Wybrała, wstępem i przypisami opatrzyła Bogumiła Berdyczowska. Warszawa 2004, s.300. Giedroyc robi tu aluzję do wydania rok wcześniej *Pism ostatnich Andrzeja Stawara*, który zmarł w Paryżu 1961 roku i swoje teksty powierzył Instytutowi Literackiemu ku zaskoczeniu władz PRL.

³⁰ J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy...jw.*, s.599.

³¹ Kazimierz Wierzyński, *Poezje zebrane*. Zebrał i postłowiem opatrzył Waldemar Smaszcz. Białystok 1994, s.317.

³² Kazimierz Wierzyński, *Wybór poezji*. Wybór, opracowanie tekstu, wstęp Krzysztofa Dybciaka. Wrocław – Kraków 1991.

STANISŁAW GĘBALA

FATALNE ZAUROCZENIE JAROSŁAWA MARKA RYMKIEWICZA

Chyba tylko tak można określić – trwający od lat – stan emocjonalny, który z kolei pozostaje nie bez wpływu na miarę intelektualną dzieł pisarza. Konstatuję to ze smutkiem tym większym, że jeszcze ćwierć wieku temu sam uległem urokowi jego książki *Rozmowy polskie latem roku 1983*, a „ćwierć wieku temu” to jakby zaledwie wczoraj dla czytelnika (dziś) 70-letniego, czyli zaledwie pięć lat młodszego od autora. Podkreślam tę niewielką i jakby malejącą z czasem różnicę wieku, gdyż zapewne zupełnie inaczej odbierałbym utwory pisarza, od którego dzieliłaby mnie tzw. przepaść pokoleniowa.

Jako się więc rzekło, uległem urokowi tej książki. Urzeczonych było zresztą wielu, a wśród nich sam Czesław Miłosz, którego szczególnie ujęły opisy przyrody i gawędy o przeszłości Suwalszczyzny. Pewnie

jednak większość czytelników nie miała wówczas nastroju, by rozkoszować się akurat tymi fragmentami; wszyscy mieliśmy bowiem wysoką gorączkę polityczną, a świat przestaniatała nam rozlewająca się plama czerwieni. „Czerwoni” – to słowo powtarza się w *Rozmowach polskich latem roku 1983* chyba najczęściej, zarówno w ustach „pana Mareczka”, jak i jego rozmówców.

A jednak owa plama czerwieni nie przesłoniła zupełnie oczu autorowi, czego dowodem jest choćby to właśnie, że powołał do życia „pana Mareczka”. Że jest on *alter ego* autora, nie można mieć wątpliwości; nosi przecież jego drugie imię, ma tyle lat co autor, jest pisarzem... Gdyby jednak czytelnik miał jeszcze mimo wszystko cień niepewności, niech przeczyta uważnie takie zdanie:

„Ubrany w granatowy ortalionowy płaszcz i biały drelichowy kapelusz – ten kapelusz już od kilku sezo-

nów służy mi w czasie wypraw do lasu i tak się skurczył po wielu praniach, że z trudem wciskam go na głowę – a więc w takim to kapeluszu, nadto jagodami i malinami poplamionym, zatem już nie całkiem białym, raczej biało-sinym, pan Mareczek wychodzi na ganek”.¹

Ta literacka zabawa stwarza autoironiczny dystans, który jest chyba największą wartością *Rozmów...*, budząc spontaniczną sympatię czytelnika (przynajmniej takiego, jak ja) do „pana Mareczka”. Szczególnie lubię „pana Mareczka”, gdy sam do siebie zwraca się w trzeciej osobie: „Chwileczkę, panie Mareczku – myśli pan Mareczek” (s. 33); albo gdy czasem usiłuje sam siebie zawstydić: „Nie wstyd ci, panie Mareczku? – myśli pan Mareczek” (s. 201). Ów autoironiczny dystans pozwala panu Mareczkowi palnąć nawet jakieś głupstwo zupełnie bezkarnie, bo przecież wiemy, że on wie, że palnął głupstwo.

Głupstwa, które mówi pan Mareczek, są przeważnie nader wzniosłe, jak choćby to: „nawet jak nie będzie już Polaków, to nadal będzie Polska” (s. 31), którym przeliczyła słowa naszego hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”. Pan Mareczek ma nieuleczalną skłonność do duchowych wzlotów na wzór romantyczny, do apoteozy Polski i Polaków, która już w oryginalnej – romantycznej – wersji była pełnym anachronizmem. Twierdzi np. z pełnym przekonaniem, że Polacy są potrzebni Bogu do walki z Diabłem – czerwonym, rzecz jasna, bo Diabeł to „ruski książę tego świata” (s. 36). Pan Mareczek deklamuje więc w najwyższym uniesieniu: „Tak, dobro zwycięży. A my jesteśmy po stronie dobra i dobro jest po naszej stronie” (s. 32).

Tu jednak wyłania się pewna wątpliwość. Otóż wielu ludzi żyjących w XX wieku straciło wiarę w Boga, utwierdzając się natomiast w wierze w istnienie Diabła (oczywiście czerwonego), którego wszechmocy doświadczaliśmy na co dzień. Pan Mareczek w jednej z rozmów rozprasza tę wątpliwość definitywnie, a w dodatku w sposób mocno osadzony w naszej tradycji: „Daję panu słowo honoru, że Bóg jest” (s. 42). No tak, „słowo honoru” rozstrzyga ostatecznie każdą sprawę, przynajmniej wśród ludzi honoru. Pozostaje tylko pytanie, gdzie ich dziś szukać?

Jak widać, pan Mareczek nie może nie budzić sympatii i ja go szczerze polubiłem, z całym jego nieuleczalnym (ale nie bezkrytycznym) romantyzmem. W jego słowach nader często odzywają się echem cytaty, które kiedyś, w latach szkolnych, sam powtarzałem z przejęciem. Np. w pytaniu dotyczącym karnawału „Solidarności” z lat 1980-81: „I czy jeszcze kiedyś – myśli pan Mareczek – będę miał w życiu takie cudowne szesnaście miesięcy?” (s. 150) wyraźnie pobrzmiewa echo słynnego dwuwiersza z *Pana Tadeusza*:

„Urodzony w niewoli, okuty w powiciu
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu”².

Pan Mareczek kocha arcyepoemat Adama Mickiewicza, czyta go na głos pani Mareczkowej jak Biblię. Nawet w swoich pozornie antyromantycznych filipikach wydaje się powtarzać gesty sprzeciwu samego Wieszcza. Mówi np.:

„W tym kraju ciągle ktoś lamentuje na ruinach i zdaje się, że w całej Europie, a może i na całym świecie nie ma narodu, który by głośniej lamentował i który miałby

więcej tych lamentujących” (s. 200), a czytelnik, znający już słabość pana Mareczka do *Pana Tadeusza*, sięga od razu po fragment ironizujący na temat upodobania do teatralnych póz na ruinach:

„Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną;
Udrapowany płaszczem siadłbym na ruinach,
A ty byś mi o krwawych rozpowiadał czynach;”³

Pan Mareczek na pewno nie jest jednak epigonem romantycznym. Przynajmniej w zakresie stylu, gdzie może się poszczycić znakomitym wynalazkiem (nazwijmy go tak) figury tautologicznej. Przykłady: „polska polskość”, „podstępne podstępny”, „nikczemne nikczemności”, „był bytujący”, „moralny moralista”, „psujski Psuj” czy wreszcie „pierogi o smaku pierogowym”. W tej dziedzinie pan Mareczek ma z pewnością wielu naśladowców, a wśród nich znajduje się osobistość ze świata polityki, która wprowadziła w powszechny obieg wyrażenie „oczywista oczywistość”. Wyobrażam sobie, jaka duma rozpieiera autora, który uległ z kolei fatalnemu zauroczeniu ową osobistością – na razie jednak odwlekam jak mogę nieuchronne spotkanie z nim, ciesząc się towarzystwem pana Mareczka.

Rady, których nam udziela, pawają czasem nieocenne, np. ta, żeby „produkować wartości duchowe”. Rzecz domaga się jednak obszerniejszego omówienia. Pomysł, aby rozwinąć tę dość szczególną dziedzinę produkcji, zrodził się w polemice z panią Żabką, wynarodowioną kosmopolitką, która pana Mareczka irytowała wyrażeniami typu: „z waszego polskiego punktu widzenia”, ale do prawdziwego wybuchu furii doprowadziła go określając Mickiewicza słowami: „średni poeta” (s. 206). Otóż pani Żabka przestrzegająca przed konsekwencjami wycofania się z wyścigu cywilizacyjnego, co spotkało się z następującą repliką:

„– My w tym wyścigu – mówi pan Mareczek – i tak już nie mamy żadnych szans. Prześcignęli nas, jak się zdaje, nawet Albańczycy, więc chyba nie warto się dalej ścigać. Ten nasz regres cywilizacyjny jest oczywiście bardzo przykry, jeśli chodzi o jego skutki dla naszego codziennego życia. Ale ponieważ i tak niewiele da się na to poradzić, ponieważ i tak czeka nas życie w biedzie, może powinniśmy wycofać się z tego wyścigu i skupić naszą uwagę na czymś innym? **Z produkcją pralek automatycznych i magnetofonów nie dajemy sobie rady, no to spróbujmy produkować wartości duchowe. Gdybyśmy do tego się przyłożyli, to może nawet lepiej byśmy na tym wyszli?** Bo pralki nas nie ocalą. A od tego, co wykonamy w sferze ducha, zależy, jak będzie się nam w tym kraju żyło za pięćdziesiąt czy za sto lat” (podkr. SG, s. 213-214).

Pan to ma głowę, panie Mareczku! – wykrzyknąłem po przeczytaniu tego ćwierć wieku temu. Mojego podziwu nie osłabiał fakt, że bardzo podobne słowa do tych podkreślonych wypowiedział w samym apogeum karnawału „Solidarności” w r. 1981 Lech Wałęsa na jakimś wiecu. Nie jestem w stanie zacytować ich dosłownie, ale mocno wryły mi się w pamięć i na pewno nie zniekształcam ich sensu: „**Świat jest tak spragniony tego zbawienia, które ma przyjść z Polski, że nie pozwoli nam umrzeć z głodu**”. Zapadły mi w pamięć, bo gdy je usłyszałem, poczułem wstyd. Myślę, że pan Mareczek nie mówił tego wszystkim do końca serio, bo to się zupełnie nie zgadza choćby z jego my-

¹ *Rozmowy polskie latem roku 1983*. Warszawa 2003, s. 13.

² *Księga XI: Rok 1812*, ww. 77-78.

³ *Księga II: Zamek*, ww. 372-374.

ślami z początku książki, dotyczącymi jałowości naszej produkcji duchowej (zwróćmy uwagę, jak funkcjonuje tu owa wspomniana już figura tautologiczna):

„...ciągle tylko mamy w głowie naszą polską polskość, polską polskość, i nic nas więcej nie obchodzi, przynajmniej ja, pan Mareczek, niczego więcej w głowie już nie mam, wszystko z głowy wymiotłem, wszystko mi z głowy wymiotło, ten czas mi wymiotł, dzieje mi wymiotły, i nic mnie nie obchodzi poza moją polską polskością, polską polskością, polskością” (s. 24-25).

Pora jednak pożegnać się z panem Mareczkiem, przytaczając jeszcze pytanie, które sobie zadaje przed zaśnięciem: „Polsko – myśli – czego ty właściwie od nas chcesz, czego żądasz? I czego, Polsko, my od ciebie chcemy?” oraz słowa narratora: „Dobranoc, Polsko. I bardzo cię prosimy, nie męcz nas tak strasznie”. Wyznaczają one w dorobku pisarskim Jarosława Marka Rymkiewicza granicę krainy łagodności. Poza nią rozpościera się już świat horroru, w który wtrącają nas książki *Wieszanie* i *Kinderszenen*. Nim jednak utworzę drugą z nich (*Wieszanie* wydaje mi się mało interesujące w swojej nazbyt przejrzywej aluzyjności), sięgnę najpierw po trzecią – *Rozmowy polskie w latach 1995-2008*, gdyż jej tytuł, nawiązujący do tamtych niezapomnianych rozmów z lata 1983 r., może łatwo zmylić czytelnika mającego nadzieję na kolejne spotkanie z panem Mareczkiem lub kimś równie sympatycznym. Tymczasem tu czekają go już tylko spotkania z autorem, który – z całą powagą i bez cienia ironii – co najwyżej powtarza wzniosłe głupstwa, jakie pan Mareczek mówił z wdziękiem i trochę szelmowskim przymrużeniem oka.

Ot, przykład pierwszy z brzegu: tezę, iż Polska może istnieć bez Polaków, znajdujemy i to dwukrotnie powtórzoną, już w otwierającej książkę rozmowie z Tomaszem Majeranem i Dariuszem Suską:

„Polska, tego uczy nas jej historia, potrafi istnieć w sposób niewidomy, potrafi trwać i przetrwać w swojej duchowej istocie, i Polacy nie bardzo są jej do tego potrzebni. A Polakom, do tego, żeby mieli Polskę, bardziej potrzebne są siły duchowe niż siły materialne” (s. 8)⁴. „A jest przecież tak, że to nie Polacy są potrzebni Polsce, to Polska jest potrzebna Polakom” (s. 22).

Zauważmy tu również drugie głupstwo, które palnął pan Mareczek zirytowany przez panią Żabkę, co jest dla niego jakimś usprawiedliwieniem: że Polacy powinni się wycofać z „wyścigu cywilizacyjnego” i „produkować wartości duchowe”. Dla autora, który powtarza z namaszczeniem podobne tezy, nie ma usprawiedliwienia.

Teraz już musimy zmienić ton na bardzo poważny i powtórzyć: nie ma usprawiedliwienia dla Jarosława Marka Rymkiewicza, który cofa naszą świadomość zbiorową o całe dziesięciolecia, który narzuca nam wychowanie patriotyczne na modłę XIX-wieczną, który swój antykomunizm wspiera jakąś pseudo-genetyką i pseudo-kosmologią, nazywając np. komunizm „genetycznym uszkodzeniem duszy” (s. 10) czy przedstawiając go w wymiarach katastrofy kosmicznej (s. 20, 21), który mówi ignorując zwykłą chronologię: „Nazizm był generalną próbą komunizmu” (s. 21) i jeszcze: „le-

piej być głupim Polakiem niż przebiegłym komunistą” (s. 17). To wszystko już w pierwszej rozmowie z wymienionymi wcześniej dziennikarzami ówczesnego „Życia Warszawy”, którzy rozpalają temperament polityczny pisarza m. in. takimi pytaniami:

„Czy nie uważa pan, że gdzieś koło roku 1945 nastąpiło fundamentalne zerwanie z dziewiętnastowieczną polską tradycją? Tradycją oporu za wszelką cenę?” (s. 13).

Pominę tym razem odpowiedź pisarza, która jest obszernym (na ponad stronę druku) rozwinięciem jednego stwierdzenia („Otóż w tradycji polskiej nie było jeszcze nigdy tak jawnej kolaboracji z rosyjskimi okupantami”) i zatrzymam się chwilę przy słowach budzących dreszcz: „tradycja oporu za wszelką cenę”. Tak, około 1945 roku istotnie nastąpiło „fundamentalne zerwanie” z tą tradycją. Nastąpiło zresztą za późno, kiedy już osiągnęliśmy „granicę upływu krwi”. Oczywiście cytuję tytuł jednego z rozdziałów niewielkiej książki Edmunda Osmańczyka *Sprawy Polaków*, której pierwsze wydanie ukazało się jeszcze w r. 1946, i mam świadomość, że tym cytatem ostatecznie pograżam się w oczach wszystkich prawdziwych patriotów, wychowanych w kulcie dziewiętnastowiecznej polskiej tradycji powstańczej. To do tej tradycji odwołuje się Jarosław Marek Rymkiewicz, dla którego owa „granica upływu krwi” po prostu nie istnieje, skoro – jak czytaliśmy – Polska może obyć się bez Polaków.

Byłoby nas jednak chyba trochę szkoda, skoro jesteśmy tacy wspaniali i właśnie dlatego niezmiennie od stuleci zagrożeni przez wrogich sąsiadów: „Tuż obok nas są mocarstwa, które nas nie lubią i nie mogą lubić, bo jesteśmy inni, jesteśmy anarchicznymi odmieńcami, szaleńcami wolności, a odmieńców się nie lubi – właśnie dlatego, że są inni, odmienni, że reprezentują inną cywilizację. Cywilizację wolności. Te mocarstwa będą więc nam zagrażać”⁵.

Aż trudno uwierzyć, że nie mówi tego pan Mareczek; tym trudniej, że znajdujemy tu jeszcze jedną tautologię w jego stylu – owych odmiennych odmieńców. Trzeba jednak przyjąć do wiadomości, że to przemawia sam autor – z całą powagą i bez jakiegokolwiek autoironicznego cudzysłowu. Rymkiewicz uprawia tu coś w rodzaju egzorcyzmów, mających wypędzić z nas złego ducha szyderstwa – ducha Gombrowicza i Mrożka, z którymi rozprawił się już wcześniej⁶. Przytoczony cytat możemy przecież uznać za egzorcyzyczną formułę, która ma zneutralizować kpinę z hurrapatriotycznej edukacji, uprawianej w międzywojennej szkole, na jaką pozwolił sobie Gombrowicz np. w słynnym wypracowaniu bohatera-narratora opowiadania *Pamiętnik Stefana Czarnieckiego* na temat „Polak a inne narody”: „Jakaż ulga – być Polakiem i nic dziwnego, że wszyscy zardoszczą nam i chcieliby zmieść nas z powierzchni ziemi”⁷. Te egzorcyzmy zdają się również obejmować *Dziennik*, w którym autor pisał o sytuacji międzywojennej Polski, „wsadzonej między dwie koncentracje złowrogiej potęgi”⁸.

I teraz już trzeba sięgnąć do *Kinderszenen* – złowrogiej książki, która mnie przeraziła, książki, którą

⁵ *Rozmowy polskie w latach 1995-2008*, s. 143.

⁶ Tamże, s. 23-24.

⁷ Witold Gombrowicz, *Bakakaj*. Kraków 1986, s. 24.

⁸ Witold Gombrowicz, *Dziennik 1953-1956*. Kraków 1986, s. 248.

⁴ *Rozmowy polskie w latach 1995-2008*. Warszawa 2009.

można traktować tylko jako symptom choroby. Podzielający w dużej mierze poglądy autora Krzysztof Mastoń nazywa ją „piękną chorobą”⁹ – ja postrzegam ją przede wszystkim jako groźną i bardzo zaraźliwą. Otóż, jak wiadomo, *Kinderszenen* jest nie tyle nawet apologią co apoteozą powstania warszawskiego, owej „granicy upływu krwi”. Apologetów powstania jest legion, ale tylko Rymkiewicz zdobył się na porównanie jego znaczenia w naszej historii do chrztu Polski(!). Więcej, przyznał mu znaczenie bodaj ważniejsze, jak wynika z tego stwierdzenia: „Powstanie Warszawskie było największym wydarzeniem w historii Polaków – w całej naszej historii nie było (i pewnie nigdy już nie będzie) większego wydarzenia” (s. 140)¹⁰.

Cały spór o powstanie, który toczy się od dnia jego zakończenia, rozstrzygnął krótko i definitywnie: „Czy Powstanie Warszawskie poniosło klęskę?” (s. 151). „Powstanie zwyciężyło” (s. 157).

Trudno oprzeć się wrażeniu, iż ponadsiedemdziesięcioletni autor ciągle ogląda we wspomnieniach swoje *Kinderszenen* z powstania urzeczonymi oczami dziewięcioletniego chłopca, kiedy pisze np. o „pięknie Powstania Warszawskiego” (s. 55) i usiłuje sobie wyobrazić, jak wyglądała „kurtyna” z Krakowskiego Przedmieścia, której poświęca odrębny rozdział.

Następny rozdział ma tytuł *Mój zeszyt* i wart jest, jak mi się wydaje, najwyższej uwagi czytelnika. Rzecz jasna, całą książkę trzeba czytać z należną znakomitemu autorowi uwagą (piszę to bez cienia ironii; zresztą gdyby Rymkiewicz nie był tak znakomitym pisarzem, jego książka byłaby na pewno mniej groźna), ale ten rozdział – w ważnej lekturze – odśladania w całej intelektualnej konstrukcji pęknięcie, które autor na pewno chciałby ukryć. Opowiada tu o swojej szczególnie bolesnej dziecięcej kompromitacji, kiedy nauczycielka pokazała całej klasie (a więc i „wielkim czarnym oczom dozorcówny z ulicy Sniadeckich”, w które nader często ukradkiem zaglądał późniejszy pisarz) jego zabazgrany zeszyt. Trzeba koniecznie zacytować opis tego zeszytu: „O gdybyż to były bazgroły! To było namazane, naskrobane, nakleksane, naświnione, chciałbym powiedzieć – naplute i zasmarkane, ale chyba nie plutem i nie smarłem między kartki. Choć i to jest możliwe” (s. 74).

Otóż ten zeszyt określa w zakończeniu rozdziału słowami: „wojenny projekt całego mojego przyszłego życia”. Dodajmy do tego kolejny cytat: „Moja skażona (przez niemiecką wojnę) wyobraźnia [...]” (s. 102). Żeby nie narazić się na zarzut manipulacji cytatami, dodam, że ta „skażona wyobraźnia” kreowała parokrotnie (strony 99, 103, 104) nader plastyczną (i naturalistyczną) scenę powieszenia Hansa Franka. O jej „skażeniu” zdecydował natomiast obraz, który zobaczył jako pięcioletni chłopiec, wiosną 1940 roku. Przy drodze leżał trup kobiety: „Między łopatkami kobiety, dokładnie – trochę poniżej łopatek, na ich dolnej granicy, nie było ani płaszczka, ani zakietu, ani bluzki, może były tam jakieś strzępy materiału, jedwabiu czy wełny. Tam, gdzie powinny być zakiet oraz bluzka, była wielka, głęboka dziura wypełniona czerwonym mięsem i czarną krwią” (s. 49).

I znów trzeba zacytować wielkie uogólnienie z zakończenia rozdziału *Dziura*: „Krwawa dziura – to było właśnie moje dzieciństwo” (s. 53).

Pisarz chyba powiedział nam tu więcej niż zamierzał, bo czytelnik (uważny) dowiaduje się oto, że wszystkie wnioski (skrajnie pesymistyczne) dotyczące kondycji ludzkiej (tu warto przytoczyć choćby tyle razy cytowane w omówieniach prasowych książki stwierdzenie: „życie jest masakrą” – s. 117), relacji polsko-niemieckich („Zdaje się, że za szybko i za łatwo przebaczyliśmy Niemcom” – s. 156) czy obecnego ładu europejskiego, przedstawianego jako spełnione proroctwo Hansa Franka(!) (strony 80, 97, 143), oparte są w istocie na głębokiej traumie z dzieciństwa, której pisarz o wyobraźni skażonej przez niemiecką wojnę nigdy nie zdołał przezwyciężyć. Także i pod tym względem Rymkiewicz jest przeciwieństwem np. Różewicza, którego samoedukacja wiodła dokładnie w odwrotnym kierunku.

Przykład: Tadeusz Różewicz niedługo po wojnie podjął w swojej twórczości wysiłek „rehabilitowania” języka niemieckiego. (Ludzie w moim wieku pamiętają, że jeszcze wiele lat po wojnie reagowaliśmy alergicznie na dźwięk niemieckich słów.) Natomiast autor *Kinderszenen* pod koniec pierwszej dekady XXI wieku usiłuje na nowo rozjątrzyć naszą alergię na samo brzmienie języka niemieckiego. Może mu się to udać, bo cytuje szczególnego „klasyka” – Hansa Franka. Strategia Rymkiewicza warta jest chwili uwagi. Po przytoczeniu fragmentów przemówień tego zbrodniarza, skazanego na śmierć i straconego w Norymberdze, cytuje owe fragmenty w oryginale, poprzedzając je następującymi zapowiedziami: „Piękne zdanie, warto usłyszeć, jak ono brzmi po niemiecku” (s. 76). „Również i to wielkie zdanie generalnego gubernatora [...] powinniśmy zapamiętać w języku niemieckim” (s. 79-80). „Znów trzeba poznać to zdanie, w którym obwieszczony zostaje koniec historii, w jego przepysznej niemczyźnie” (s. 81).

Rymkiewicz unicestwia wysiłki Różewicza (mam nadzieję, że nieskutecznie). Rymkiewicz ożywia resentymenty, rozjątrza pamięć, budzi demony. Powtarza np. parokrotnie słowo „Hackfleisch” (siekanina), którego użył Hans Frank w jednym ze swoich przemówień („nie mam nic przeciw temu, aby zrobić siekaninę z Polaków i Ukraińców i z tego wszystkiego, co się tu wąsa” – s. 76). Po co to robi? Przestroga: TO SIĘ MOŻE POWTÓRZYĆ! wydaje się zbyt banalna. Kasandryczne proroctwa stały się dziś domeną tabloidów. Poważniejsza publicystyka (nie mówiąc już o literaturze!) powinna raczej odpowiadać na pytanie: co zrobić, żeby się nie powtórzyło? Odpowiedź Rymkiewicza: rozjątrzać pamięć, nie dowierzać, nie przebaczać! – raczej mnie zniechęca, a jego historiozofia, wysnuta z zabazgranego zeszytu, sama się ośmiesza.

Są jednak w *Kinderszenen* fragmenty ocierające się o świadomą autokompromitację, które budzą we mnie respekt dla pisarza nagle wysyłającego do czytelnika sygnał, że doskonale wie o tym podstawowym pęknięciu konstrukcji myślowej swojej książki i spina klamrą dzieciństwo ze starością. Oto dwa cytaty z rozdziału zatytułowanego *Ostatni tyżwiarz w Dolinie Szwałcarskiej*. Opowiada on o kolejnej traumie z wojennego dzieciństwa, ale ta akurat niewiele miała wspólnego

⁹ Krzysztof Mastoń, *Piękna choroba Jarosława Marka Rymkiewicza*. „Rzeczpospolita” z 13-14.06.2009.

¹⁰ *Kinderszenen*. Warszawa 2008.

z krwawymi koszmarami; po prostu starsza siostra autora wirowała na tyżwach, a on sam przeżywał męczarnię zazdrości i paroksyzmy nienawiści, wyładowując wściekłość na lisim kołnierzu płaszcza swojej mamy, który okładał pięściami krzycząc: „Ja też chcę jeździć!”.

„Myśl, że życie jest masakrą, że jego istotą, jego ukrytą siłą (jego napędem – umieszczonym wewnątrz niego motorem napędowym) jest masakra, że życie masakruje samo siebie, i że szklane oczka, sztuczne nosy i miękkie łapki na piersiach mojej matki są znakiem tej masakry, że ona, masakra, patrzy na nas, zimno i obojętnie, tymi szklanymi oczkami, raczej nie mogła mi wówczas przyjść do głowy, bo to nie jest myśl dla dzieci, myśl dostępna dziecięcym umysłom – to jest myśl trudna do przyjęcia, nie dopuszczają jej do siebie nawet dorośli. Starzec, owszem, starzec, taki jak ja teraz, już to wie – że życie to jest masakra, że wszystko, co żyje, będzie zmasakrowane (zmasakruje się)” (s. 117).

„Wieczorem, w mieszkaniu na Koszykowej, po wrocie z Doliny Szwajcarskiej, poczucie krzywdy osiągało swoje apogeum. To już nie było poczucie krzywdy – gniew, wściekłość, nienawiść wypełniały cały mój mózg, nawet całe moje ciało, może nawet dałoby się powiedzieć, że wypełniały całą moją osobę (gdyby znane mi było wtedy pojęcie osoby) i **zamieniałem się w skumulowaną nienawiść zwróconą ku światu, który nie kupił mi tyżew i nie pozwolił mi na nich jeździć**” (s. 118; podkr. SG).

Kapitałna analiza psychiki dziecka, które – w swoim skrajnym egotyzmie – niemożność natychmiastowego spełnienia własnych pragnień przeżywa jako katastrofę globalną! Bo jego wrogiem staje się od razu cały świat i cały świat w przekonaniu dziecka powinien zostać ukarany (najlepiej – zniszczony). Gdyby znakomity pisarz skupił się wyłącznie na swoim dziecięcym przeżyciu wojny i próbie odpowiedzi na pytanie, jak determinowało ono jego późniejsze poglądy na ewolucję świata powojennego, pewnie nie zabrnąłby w tak skrajnie upolitycznioną publicystykę w tych fragmentach *Kinderszenen*, w których dowodzi, że dzisiejszy ład europejski jest realizacją koncepcji Hansa Franka. Zadaniem literatury jest rozbrajać za pomocą refleksji ów ładunek „skumulowanej nienawiści”, który nosimy w sobie od dzieciństwa. Niestety, Jarosław Marek Rymkiewicz go po prostu zdetonował.

Odpowiedziała mu inna detonacja – szkoda, że nie tak donośna. Mam na myśli powieść Sylwii Chutnik *Dzidzia*¹¹. Autorka, młodsza od Rymkiewicza o dwa pokolenia (ur. w r. 1979), w formie ponurej i równocześnie prześmiewczej groteski zdaje się konkretyzować główną tezę *Kinderszenen* – iż „życie jest masakrą”. Aluzyjnych odwołań do tej książki znajdziemy w *Dzidzi* sporo, ale – zapewne żeby rozwiać wszelkie wątpliwości – autorka odwołuje się również wprost do tytułu znane go i nagrodzonego (przez Agorę – wydawcę „Gazety Wyborczej”(!), co dla Rymkiewicza było chyba piętnem hańby) tomu poezji: „Dziewczynka z matką przeprawiają się przez wieś, uciekają do rodziny, do Milanówka, tego od zachodu słońca” (s. 16). A tym od *Zachodu słońca* w *Milanówku* jest oczywiście Jarosław Marek Rymkiewicz.

Sylwia Chutnik nie polemizuje z autorem *Kinderszenen*, bo polemika z magicznymi formułami i zakłębieniami nie jest możliwa; jej książka jest wielkim krzykiem protestu i szyderstwem. Na Rymkiewiczową apoteozę powstania warszawskiego i całej naszej gęsto usianej trupami historii reaguje żądaniem: **odwołać historię!** Na jego fascynację piramidą poszarpanych ciał, rozzerwanych na strzępy eksplozją podrzuconego przez Niemców pod barykadę wozu amunicyjnego, odpowiada ustami swej bohaterki trawestującej *Wielką Improvizację*:

„Moja Pieśń to nieśmiertelność, czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność dla mnie i mojej córki dziś tu tworzę. Domagając się już nie tylko odszkodowania za krzywdy, domagając się odwołania historii tutaj, teraz. Od dziś!

Zakazuję używania tego słowa, myślenia o tym, co było, nie o tym, co należy zrobić” (s. 146).

Ona również dokonuje korekty naszego hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my rodzimy” (s. 149). Jest to korekta feministyczna, sarkastycznie podkreślająca różnicę ceny krwi kobiecej i męskiej:

„Krew jest ciepła i bardzo święta.

Ludzie lubią krew, bo jest im potrzebna.

Kobieca krew niepotrzebnie ulewa się co chwile i tym samym trwoni świętość.

Jak kobiety takie mądre, to niech tę swoją krew na polu bitwy przelewają, a nie na porodówce. [...]

Zawsze znajdzie się jakiś szaniec do bronienia, do poświęcania. Zawsze będzie można mieć możliwość zakupienia niedrogiego pistoletu na kredyt, aby zastrzelić nim wrogów. Jednego wroga, drugiego, potem przyjaciela zamienionego pospiesznie na wroga, potem jeszcze siebie. To na koniec” (s. 149, 150).

Ma ogromną siłę przekonywania ten wojujący (przeciw wojnom, traktowanym jako odwieczne infantrylne zabawy chłopców) feminizm. Jest mi on znacznie bliższy niż patetyczne hymny uświęcające hektolitry krwi przelanej dla obrony ducha polskiego, który podobno może przetrwać nawet bez Polaków. To poczucie bliskości bierze się zapewne również stąd, że historycznie wykrzywane przez bohaterkę powieści Sylwii Chutnik oskarżenia brzmią w moich uszach jak wielokrotnie wzmożone echo słów innej „feministki”, która pół wieku temu mówiła ze spokojną rezygnacją w *Kartotece* Tadeusza Różewicza: „SEKRETARKA [...] Mężczyźni są strasznie dziecienni. Ciągłe dążą, a jak już dotrą do celu, rozpaczają. Śpieszą się, mordują. Nigdy by w nich nie dojrzał płód. Są nieuważni. Żaden z nich nie uchroni przez dziewięć miesięcy owocu. Jak to dobrze, że my dźwigamy i rodzimy życie... Oni są urodzonymi abstrakcjonistami. W tym jest śmierć”.^a

Oby mądre feministki zdołały nas ocalić przed szaleństwami polskiego ducha.

STANISŁAW GĘBALA

¹¹ Warszawa 2009.

^a Tadeusz Różewicz, *Teatr 1*. Kraków 1988, s. 102-103.

JOANNA BĄK

WIERSZE

jeszcze zdążymy

zanim usiądziesz na parapecie
mojej filiżanki
przemyśl mnie sobie pod włos

za moimi plecami
rosną labirynty
jak kobiety po godzinach
zbyt otwarte

przemyśl mnie na przyszłość
wymyśl mnie dla siebie
jeszcze zdążymy spróchnieć
w samotności

nie-erotyk

pan tu nie leżał
herbata wystygła pojedynczo
w kubku dla dwóch żeber
nawet talerz jest tylko jeden
do spółki z drugim dnem

za progiem stoją kobiety
już przygotowane
proszę rozebrać się z twarzy
i napiąć brwi
pan wybaczy
ale ręce mam swoje
moja własność prywatna
pójdzie do łóżka z Herbertem

patrzymy na siebie
wymyślamy siebie
wymyślamy sobie
i skaczymy do gardeł

żona

*niektórym kobietom
jest zbyt ciasno w pudełku*

przeklinasz łyżkę
stoi niepoprawnie
żelazko przypała się na ciele

musisz się spieszyć
aby nie zostawić krzyku

zanim sen się wykrwawi
i zabraknie żeber do łamania
zasusz ją w ekspozycji

będzie skrzydłem na ścianie
obok babci – krzesła
dziecka – kołyski

przesady

bój się bocianów
przynoszą co chcą

wyprowadzka (z opowieści babci która przeżyła)

przeprowadzili się
kilka wiosek dalej
tuż za miedzę

niby nic się nie zmieniło
niby tacy sami
tylko wyłysieli z mycek

żyją od szabatu do szabatu
w pobliskim lesie
w domyśle palą się kominy

Julia

lubiła podróże
dojechała do grobowej deski
już nie musi udawać
że żyje

jeśli jest jej za dużo
moczy drewno
tak jak przed laty
moczyła powieki

kiedy się zapomina
w czekaniu na Boga
trzaskają drzwi

gdy przechodzi na ateizm
mamy święty spokój
przedmioty opadają
z powietrza i sił

modlitwa dzieci

ojcze nasz
któryś jest
w barze za rogiem
przyjdź i nie pij więcej

Dla księcia z nie-bajki

życie jeszcze nas zaskoczy
jeszcze będziemy zrywać boki
z poduszek i ubrań

przestrzeń

pomiędzy krzykiem a ciszą
istnieje przestrzeń dźwięków
na środku napiętej struny
budujemy domy słów



Stanisław Wiśniewski, *Faun*, plakieta, brąz

P.S.

jeśli zniknę w drodze
przedwcześnie lub za późno
odwiedzaj moje książki
podlewaj ciszę

LESZEK POLONY

KWIATEK DO KOŻUCHA

Na początek wspomnienie z sierniężnych lat realnego socjalizmu. W późnych latach 70., w atmosferze pogłębiającego się kryzysu społecznego i ekonomicznego, odbyło się w „Kuźnicy” spotkanie członków Stowarzyszenia z aktywnym partyjnym na temat polityki kulturalnej partii. Jeden z prominentnych członków zarządu „Kuźnicy” zaproponował na początek dyskusji, aby „sklasyfikować” twórczość artystyczną na taką, która sprzyja ideologii partii, taką, która jest wobec niej neutralna i taką, która jest z nią niezgodna. Taki podział „powinien być podstawą polityki kulturalnej” – perorował. Pierwszą należy wspierać, drugą tolerować, trzecią zwalczać.

Pozwoliłem sobie na polemikę z autorem tej koncepcji. Stosunek do władzy politycznej – wywodziłem – nie może być pierwszoplanowym kryterium oceny sztuki. Ma ona znacznie głębiej sięgające zadania: wyrażać podstawowe problemy ludzkiej egzystencji i współczesnego świata. Twórca ma ponadto prawo do krytycznego oglądu rzeczywistości. Sztuka staje zawsze po stronie indywidualnego człowieka, a przeciw nieuzasadnionej presji społecznej czy doraźnym racjom politycznym. Mój głos sprowokował kontropolemikę ze strony kolejnego działacza „Kuźnicy”, znanego z umiejętności łączenia „twardych” (by nie rzec: „betoniarskich”) poglądów z najbardziej pokrętną argumentacją. Dyskusja ewoluowała w bardzo nieprzyjemnym

dla mnie kierunku. Na szczęście wsparł mnie bardzo głęboką, mądrą i odważną na owe czasy wypowiedzią Józef Lipiec.

Jak pamiętam, podobne spory wiedliśmy na temat marksizmu. Bliscy mi duchowo i pokoleniowo młodzi członkowie stowarzyszenia traktowali marksizm nie jako ideologiczną doktrynę władzy, lecz ciągle aktualny i wartościowy poznawczo instrument krytycznej analizy rzeczywistości, który należy rozwijać i wzbogacać w dialogu ze zmieniającym się światem. W jednej z takich dyskusji znany partyjny literat-dinozaur wygłosił znamiennej deklarację: „nie wiem, czy jestem marksistą, ale z całą pewnością wiem, że jestem komunistą”. Nic dodać, nic ująć.

Wywołuję te zdarzenia, by przypomnieć, iż spór środowisk twórczych z władzą toczył się nie tylko na zewnątrz, ale i w samym jej tonie, a zasadniczym jego przedmiotem było instrumentalne traktowanie kultury, podporządkowywanie jej doraźnym celom propagandowym, politycznym czy ideologicznym. Już wówczas denerwował nas niepomierne bezwzględny prymat rozrywki i sportu w mediach publicznych, fetysz „oglądalności” w polityce programowej telewizji, obserwana od rzeczywistości „propaganda sukcesu”. Wobec ogromnych środków, ładowanych w rozmaite przedsięwzięcia „kultury popularnej” – na przykład festiwale piosenki żołnierskiej, radzieckiej, zaangażowa-

nej i wszelkiej innej – byliśmy mało wyrozumiali wobec argumentów o szczupłości państwowej kasy, będącej jakoby przyczyną ogólnego niedofinansowania kultury.

Nie będę w tym miejscu rozwijał tematu ograniczeń cenzuralnych. Ówczesna „Kuźnica” dała wyraz swojemu stosunkowi do odważnej twórczości, wyróżniając nagrodą Kowadła *Człowieka z marmuru* Wajdy, i to wbrew interwencjom płynącym z samego Komitetu Centralnego (pocziwy Lucjan Motyka przyjechał specjalnie do Krakowa, by nam to wyperswadować). Bardzo chciałbym zapytać po latach autora przytoczonej na wstępie propozycji, do jakiej „grupy” utworów artystycznych zaliczyłyby ten film? Czyba tej trzeciej?

Występowaliśmy, słowem, przeciwko traktowaniu kultury jako „kwiatka do kożucha”. Przeciwno obłudnemu chwaleniu się wielkimi osiągnięciami naszych twórców, przy pogłębiającej się mizerii w codziennej działalności instytucji artystycznych i kulturalnych, przy braku jakiegokolwiek dalekosiężnej polityki uprzystępniania i upowszechniania bardziej ambitnych treści, braku programu edukacji kulturalnej społeczeństwa.

Jednemu wszakże zaprzeczyc niepodobna: ówczesna władza żywiła wobec wybitnych twórców wielki respekt, w miarę możliwości chciała sobie ich zjednać (co przychodziło jej z coraz większym trudem), zasięgała ich opinii w różnych sprawach, zarówno merytorycznych, jak i kadrowych. Dekada Gierka odróżniła się pod tym względem korzystnie od lat rządów Gomułki. Przykładowo: za rządów Józefa Klasy w Krakowie byłoby już nie do pomyslenia bezceremonialne wyrzucenie wybitnego dyrygenta ze stanowiska dyrektora opery, jak to stało się w czasach Domagały. W powodzenie pierwszego po 1968 roku przedstawienia *Dziadów* w reżyserii Konrada Swinarskiego zaangażowany był bez mała cały pion ideologiczny Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Nie będę już plotkował na temat częstych wizyt prominentnych przedstawicieli świata kultury w siedzibach władzy; żadna poważniejsza decyzja kadrowa czy merytoryczna nie była podejmowana bez konsultacji z tak zwanymi autorytetami. Stosunek do tzw. kultury wysokiej czy twórczości „nowoczesnej”, awangardowej (zwłaszcza „niesemantycznej”, jak muzyka czy sztuki plastyczne) był w środowiskach władzy wręcz nabożny; partia chętnie przypisywała jej osiągnięcia w świecie swojej „liberalnej” polityce, tolerującej wszelkie eksperymenty formalne, jeśli tylko nie kojarzyły się z nieprzyjemnymi dla władzy treściami.

Zmiany ustrojowe powitaliśmy wszyscy (niezależnie od tego, w jakim miejscu sceny politycznej nas zastały) z ogromną nadzieją nie tylko na sensowne ułożenie spraw gospodarczych i modernizację kraju, ale także na „nowe otwarcie” w sferze kultury. Przypomnę w tym miejscu głos prominentnego literata-opozycjonisty z owych czasów, iż „ustrój realnego socjalizmu jest organicznie niezdolny do prowadzenia światłej polityki kulturalnej”. Autor przytoczonej diagnozy nie żyje; przypuszczam, że gdyby żył, rwałby sobie ostatnie włosy z głowy, a niejedno oskarżenie wycofał.

Co zaś nas spotkało? Najpierw naiwny program „urynkowania” kultury sygnowany przez Izabellę Cywińską, minister kultury w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Program nie wyszedł nawet z fazy projektów. Chciałbym być dobrze zrozumiany: nie neguję potrzeby zastosowania mechanizmów rynkowych w pewnych

sektorach i instytucjach kultury. Nieporozumieniem jest fetysz rynku jako regulatora wszelkich procesów kulturowych, dążenie do całkowitej komercjalizacji kultury; prowadziłyby ona do zupełnego wyparcia ambitnej twórczości czy wszelkich form tzw. kultury wysokiej przez niewybredną rozrywkę. Kuriozalne wypowiedzi profesora Balcerowicza na temat dotowania biletów do teatrów i filharmonii są dobitnym przykładem takiego liberalnego doktrynerstwa. Jest to zresztą w jakiejś mierze tendencja naszych czasów, rezultat naporu bezrefleksyjnej cywilizacji konsumpcji. Czy jednak w jej obliczu pozostaje nam tylko postawa *laisser faire*? Czy mamy jej bezwolnie ulegać?

Z góry proszę, by nie przypinać mi łatki zamykającego się w „wieży z kości słoniowej” antagonisty kultury popularnej. Bardzo lubię piosenkę i dobrą muzykę rozrywkową, cenię wielu jej twórców i wykonawców, czemu dawałem wielokrotnie wyraz w swojej działalności recenzencko-krytycznej. Jako muzykolog doceniam potrzebę szerokiego spojrzenia na rozmaite zjawiska kultury muzycznej. Współczesna kultura ma charakter złożony, wielowarstwowy, pluralistyczny. Występuję tu przeciwko *m o n o p o l o w i* tego co łatwiejsze i strawniejsze. Nie można żywić się samymi ciastkami, to prowadzi do mdłości.

Zresztą, dychotomiczne podziały na muzykę poważną i rozrywkową czy popularną i artystyczną tracą we współczesnej kulturze na ostrości i wyrazistości. Granice stają się płynne, rozmyte. Sam termin muzyka popularna czy rozrywkowa to pojemny worek, w który pakuje się najrozmaitsze gatunki – od najbanalniejszej piosenki, poprzez jazz (coraz częściej zaliczany do „wysokiej” kultury muzycznej), po współczesną muzykę elektroniczną, adaptującą eksperymenty muzycznej awangardy. Trzeba powiedzieć, iż tradycyjny model edukacji muzycznej nie nadąza za tymi zmianami, ale to już temat na inne opowiadanie. Zasadniczy problem tkwi wszakże w tym, iż ogromna część młodzieży nie ma w szkole żadnego kontaktu z jakąkolwiek muzyką. Nie ma szans poznania podstaw tej dziedziny sztuki, kształtuje swoje ewentualne muzyczne zamiłowania w sposób nieukierunkowany i żywiołowy, często na podstawie dość marnej czy kiczowatej produkcji.

Pośród całej plejady ministrów kultury III Rzeczypospolitej o rozmaitych opcjach politycznych – od Dejmka, poprzez Rostworowskiego, Podkańskiego, Wnuk-Nazarową, Dąbrowskiego, Ujazdowskiego, po Zdrojewskiego – nie potrafię wymienić jednego, który zapisałby się czymś szczególnym, opracował i podjął szerzej zakrojony program edukacji kulturalnej społeczeństwa, wywalczył znaczące zwiększenie dotacji na kulturę. Niektórzy, to prawda, podejmowali doraźne i dramatyczne działania ratunkowe, zawsze spóźnione i niedostateczne. Kazimierz Ujazdowski zapisał się dobrze w pamięci dyrektorów instytucji muzycznych jako uprzejmy bywalec koncertów, gorzej zaś w pamięci pozostałych środowisk artystycznych, mianowicie jako minister forsujący rażąco stronnictwą politykę dotacji. Widmo ideologizacji kultury wróciło za jego rządów pod innymi barwami i sztandarami. Rządy Platformy Obywatelskiej cechują się z kolei ogólnym chaosem i zaniedbaniem. Minister Zdrojewski zorganizował kongres kultury, na którym twórcy sobie ponarzekali i z którego nic praktycznego nie wynikło; ponadto poobiecował

rozmaite rzeczy, np. nowe prawo medialne czy na przykład przywrócenie po latach wychowania muzycznego w szkołach. I co? Jak na razie, nici... Mówiąc krótko, żadna z rządzących od 1989 roku formacji nie zdobyła się na coś więcej niż traktowanie kultury jako kwiatka do kożucha, ornamentu, który jest zarazem balastem, czy zgoła instrumentu propagandowo-ideologicznych celów.

Gorsze, gdy zaniechania mają charakter działalności celowej, perfidnej, w myśl zasady „im gorzej tym lepiej”. Drastycznym przykładem jest tu dziedzina mediów publicznych. To, co fundują nam w tej sferze, w zadziwiająco zgodnej współpracy, wszystkie orientacje polityczne, od PiS-u poprzez PO po SLD, to osobliwy sojusz, zgoła „zgoda narodowa” w złej sprawie – dziele niszczenia kultury czy raczej jej ostatnich pozostałości w mediach. Znamienne, iż solą w oku każdego kolejnego zarządu mediów jest „Dwójka”, II program Polskiego Radia, czyli rozgłośnia tzw. muzyki „poważnej”. W 80-lecie jego działalności, prezes Polskiego Radia z namaszczenia PiS-u, niejaki Krzysztof Czabański, odebrał temu programowi połowę częstotliwości, co drastycznie zmniejszyło jego zasięg i pogorszyło jakość odbioru. Uczynił to zresztą z powodów czysto propagandowych – aby zwiększyć zasięg oddziaływania Jedynki jako tuby PiS-u. Następnie, już za rządów PO, tenże prezes zapisał się obłudną akcją propagandową przeciw nowej ustawie medialnej pod hasłem „ratowania” mediów publicznych i ich „misji”.

W kolejnym bezwstydnym rozdaniu medialnych posad stołek prezesa Polskiego Radia przypadł niejakiemu Jarosławowi Hasińskiemu z rekomendacji partyjnej SLD. Ten zaś zaproponował przeróbkę zasłużonej „Dwójki” na rozgłośnie płytową na wzór RMF Classic. Ponadto oskarżył „Dwójkę” o „brak szacunku do odbiorcy” oraz kierowanie swej oferty kulturalnej „tylko do bardzo wąskiej grupy ludzi”. Wskutek protestu środowisk twórczych i samego zespołu Dwójki, autor przytoczonych słów wycofał się ze swych projektów i diagnoz. Jednakże osad pozostał. Jego enuncjacje były bowiem wyrazem pewnego symptomatycznego klimatu. Wyraża się on w braku w środowiskach politycznych decydentów jakiegokolwiek pojęcia o kulturze, muzyce czy roli radia, czyli o tym, o czym się mówi i czym się kieruje. W tym samym czasie Dwójka odwołała transmisję z przesłuchań Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki, zaś telewizja publiczna w ogóle nie raczyła poinformować o takim wydarzeniu, transmitując za to – a jakże – Konkurs Piosenki Eurowizji. To zresztą jedynie incydent w szerszym procesie wypierania kultury z mediów publicznych; dość wspomnieć stopniowe i systematyczne zamieranie teatru telewizji.

Les extrêmes se touchent. Prezes Kaczyński, nim zapalał miłością do lewicy, był uprzejmy określić socjalizm jako „ustrój hołoty i dla hołoty” oraz proklamował „walkę z postkomunom” (sic!). Prezes Czabański uderzył wszakże w jego imieniu nie tyle w „hołotę”, co w „wykształciuchów” – to oni przecież (często mieszkając na głuchej prowincji) interesują się czymś tak dalece hermetycznym i elitarnym jak muzyka „poważna”. Słowem, poszedł raczej za głosem socjalistycznego egalitaryzmu, niczym wierny i ortodoksyjny wychowanek PZPR. Hasiński okazał się jego godnym kontynuatorem. Jego frazeologia już bez ogródek nawiązuje

do ducha „marca 1968”. Tak oto uformowała się osobliwa koalicja „panów” z własnego nadania, czyli „tych z wyższej półki”, co to wychowywali się „nie na podwórkach”, i tych o mentalności Edka z *Tanga*, proponujących jedynie „równanie w dół”. Historia zatoczyła koło: słynne powiedzenie Kisiela o „dyktaturze ciemniaków” nabiera ponownie aktualności.

Można by powiedzieć na koniec, iż cieszymy się przynajmniej nieograniczoną wolnością twórczą. Czyżby? Ograniczenia cenzuralne nie zniknęły po 1989 roku jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zmieniła się jedynie barwa cenzury – z czerwonej na czarną. Dość wspomnieć takie sprawy, jak ciągnący się kilka lat proces Doroty Nieznalskiej, usunięcie z wystawy w Zachęcie rzeźby autorstwa Maurizia Catellana przedstawiającej papieża przygniecionej meteorytem, czy ostatnio kastrację rzeźby Agnieszki Wolskiej na polecenie SLD-owskiego prezydenta Zielonej Góry. Gdańskiemu Neptunowi oszczędzono litościwie utraty męskości, przyśrubowując w stosownym miejscu listek figowy.

Ktoś powie, iż malują jednostronnie czarny obraz. Odbывают się przecież, a nawet mnożą, wspaniałe festiwale muzyczne. Opera Wroclawska pod kierownictwem Ewy Michnik zastąpiła wielkimi plenerowymi przedstawieniami operowymi cieszącymi się ogromną frekwencją. Prężnie działają wydawnictwa, ukazują się liczne tomiki z poezją, książki naukowe adresowane z natury rzeczy do wąskich kręgów czytelniczych. Młodzież garnie się na studia. Kwitnie sztuka współczesna w najrozmaitszych odmianach, prądach i kierunkach. To wszystko prawda. I prawdą jest równocześnie, iż przytłaczająca większość społeczeństwa żyje zupełnie innymi sprawami, a cała owa działalność, adresowana do coraz węższych kręgów odbiorców, toczy się poza jakimkolwiek zainteresowaniem mediów. Spada w zastraszający sposób poziom recenzji, krytyki i publicystyki kulturalnej w prasie codziennej. Powierzchność refleksji i sądów, bardzo ograniczone bądź zgoła dziwaczne kryteria i opinie, brak profesjonalizmu, szerszej perspektywy intelektualnej czy myślowego osadzenia w tradycji kulturowej – oto cechy całej dzisiejszej pisaniny o wydarzeniach kulturalnych i artystycznych w codziennej prasie. Tak jak „śpiewać każdy może”, tak o kulturze czy sztuce „każdy pisać może”.

W dniach mistrzostw świata w piłce nożnej wstąpiłem do znanej krakowskiej piwiarni wiedziony nie chęcią wypicia piwa, lecz czymś wręcz odwrotnym. Ujrzałem długie stoły, przy nich gęsto młodzi piwosze wpatrzeni w ekrany. Pomyślałem sobie, iż katastroficzne wizje Ortegi y Gasset, Adorna czy Witkacego, a także niektórych antropologów kultury XX wieku, spełniły się. Jednak znaleziono znakomity sposób na „zbuntowane masy”. Zostały spacyfikowane. Wystarczyło usadowić je przed ekranami telewizorów. Wyhodowano odbiorcę podatnego na najbardziej prostą argumentację, najbardziej niewybredną propagandę polityczną. Takiego, który może stać się łatwo obiektem manipulacji. I o to chodziło.

Takim bowiem celom służy w swej istocie brak polityki kulturalnej. Nie jest on niczym innym, jak jej szczególnym i przemyślnym rodzajem.

LESZEK POLONY

EUGENIUSZ KABATC

OSTATNIE WZGÓRZE FLORENCJI

**Opowieść o Stanisławie Brzozowskim
ku stuleciu śmierci pisarza
apokryf**

Prolog

Dopiero po ciężkiej, błotnistej powodzi, jaka nawiedziła miasto w 1966 roku, wyszły na jaw braki w zabezpieczeniu bibliotek, ale też uświadomiono sobie bogactwo archiwów zepchniętych do starych podziemi. Tysiące ochotników z całego świata, dorosłych i niezupełnie, zjechało na pomoc w ratowaniu wydobywanych z tłustej mazi skarbów piśmiennictwa.

Od dawna zaprzestałem już poszukiwania zagubionych kart o Stanisławie Brzozowskim, o tym polskim Hiobie, zadręczonym wśród piękna sztuki i ludzkiej brzydoty. Przypadek, a ściślej cała seria przypadków, o których może kiedyś opowiem osobno, musiała rozwinąć się w długi łańcuch przyczyn i skutków, bym szczęśliwie trafił na te niewiarygodne zapiski pracowitego zakonnika, wśród których – oczyszczając je z uporem i entuzjazmem neofity – stopniowo odkrywałem opowieść nieznanego świadka czasów, wydarzeń i myśli z przełomu wieków. Wcale nie tak odległych, sam bym je podobnie zobaczył i opisał, gdybym miał wiedzę i moc sprawczą tego prawosławnego mnicha, budowniczego świątyni. Nie musiałbym nawet przedstawiać się na inny tor narracji, nieoczekiwany kronikarz bliskiej mi przyjaźni sprzed pół wieku również pochodził, jak i sam Brzozowski zresztą, z kresów wschodnich naszej ojczyzny, czuł się na poły Polakiem, mówił i pisał po polsku, zachowując tę szczególną polszczyznę mowy i ducha, jaka dopiero dziś ulatuje z nas bezpowrotnie.

Przyjechałem tu wówczas z Rzymu na papierach dyplomatycznych i nie miałem wielkich trudności, by w nagrodę za pracę naszych ratowników i konserwatorów uzyskać kopie podniszczonych rękopisów może nie o historycznej jeszcze wartości, ale przeniesionych już

do archiwów biblioteki Gabinetu Visseux. Za prawo do publikacji odwdzięczyłem się gospodarzom moim komentarzem po włosku (do przekazania w późniejszym czasie administratorom florenckiej cerkwi), przy pracy nad którym korzystałem rzeczowo z *Listów* i innych pism Brzozowskiego, ogłoszonych wcześniej w Warszawie.

Tekst mojej opowieści różni się nieco od oryginału wprowadzeniem pewnych szwów czasowych oraz interpretacyjnych psychologicznie, co może jest zabiegiem ryzykownym, ale też bardziej otwartym na wielką rozmowę o losach ludzi poza swoją ojczyzną, nie wykorzenionych z niej, przeciwnie, przeniesieniem ich na inny grunt i pod inne niebo wzbogacających swój los i los ojczyzny. Nie astronomiczną wiedzą współczesną (można dziś podjąć spór z Kantem o to niebo), lecz zrozumieniem, że „niebo gwiazdziste” nie jest puste ani jednakie, że odbija nie tylko blask dalekich, zimnych konstelacji, lecz przede wszystkim nas samych, dusze nasze w locie w nieznanne.

Florencka ekumenia

Wo imja Otca i Syna i światoho Ducha...

Ja, czarnoruski mnich z klasztoru „trędowatych”, odrzucony przez rosyjski, święty Kościół prawosławny do starej Florencji, książęcego miasta nad rzeką Arno, zaczynam spisywanie historii mojej niespokojnej przyjaźni z polskim pisarzem Leopoldem B., ufając, że kiedyś ktoś, kto tę opowieść przeczyta, lepiej zrozumie sens biblijnej legendy o znęcaniu się Boga nad Hiobem i nie skarże ich obu na unicestwienie w zapomnieniu.

Zaczynam tę moją kronikę spraw i wydarzeń od słów, wśród których ekumenia, jedno z pojęć najbliższych memu sercu, odegra rolę swoistego klucza do fi-

lozofii młodego cierpiętnika, który uwikłał mnie w swoje wyzwania bez granic. Z technicznym wykształceniem, jakie umożliwiono mi dla potrzeb nie tylko zakonu, i wiedzą nabytą przy wznoszeniu obiektów sakralnych wiązałem rozpoznawalną materię rzeczy z tajemnicą wiary nie bez błędzenia po manowcach, w sumie jednak sprzeczności żywota ludzkiego mieściłem w sobie niemal pogodnie. Bardzo mi to pomogło włączyć się sercem i rozumem w dolę tego nawet w chorobie niezwykłego pisarza, gdy pojawił się na florenckim bruku.

*

Od kilku już lat budowaliśmy w tym godnym, katolickim grodzie naszą prawosławną cerkiew, krzątałem się trochę po placu ze świeżymi murami, ktoś miał przyjechać, przywożąc nową cegłę potrzebną do wzniesienia górnej cerkwi, ale to nie był ten, co zza ogrodzenia od ulicy wychylił właśnie głowę i ciekawym spojrzeniem ogarnął plac budowy. A potem powiedział do kogoś za sobą: – Nie uwierzysz, oni tu budują cerkiew!

Powiedział to po polsku, w języku miłym memu uchu, ale zareagowałem niezbyt przyjaźnie. Stałem w proggu gotowej już stróżówki i mogłem widzieć całą jego twarz – młodego, raczej wysokiego człowieka o ciemnym zaroście. – Czemuż takie zdziwienie? Czyż nie chrześcijańska to świątynia? – Unicka? – zapytał, nie czując mojej niechęci do tego rodzaju pytań. – Prawosławną – odrzekłem. – Po polsku ojciec mówi – stwierdził usprawiedliwiająco. – Wszystko w tym mieście jest niezwykle.

Jakby uśmiechnął się wtedy. Krótko i chyba do siebie. Patrzył w moją stronę, ale nie czułem na sobie jego uwagi, kierował ją w dół, do kogoś bodaj niższego, obok. Jego twarz nie była zbyt czytelna, trochę zacierała ją odległość. Nie wiem, jak to się stało, bo w końcu miałem przed sobą człowieka zupełnie obcego, przypadkowego, ale postanowiłem wtedy wdać się z nim w rozważania wokół jego uwagi o niezwykłości tu czegoś, wyrażając przekonanie, że najczęściej dzieje się tak, iż to zupełnie zwykłe przechodzi w niezwykle, gdy się poddaje zwykłości sądu. Uniósł brwi i zastuchał się nieoczekiwanie cierpliwie w te strzępy moich myśli, rozwijane teraz w edukacyjnym tokowaniu. To miasto, mówiłem, tyle razy mogło już być stolicą świata, ale człowiek w nim sam nie wie czego chce. Wspomniałem coś o wiecznym człowieczym niezaspokojeniu, a widząc w oczach gościa zainteresowanie, dałem nura w historię.

Opowiedziałem mu o tym, jak to w XV wieku zebrali się tu mędrzy duchowi z obu chrześcijańskich światów i po kilku latach rozważań, sporów tudzież ugodowej pracy napisali i podpisali głośną bullę jedności. Podobno Kościół bizantyjski zaoferował wówczas florentyńczykom wzniesienie na chwałę wspólnego Boga ekumenicznej świątyni, takiej, by jej przepych architektoniczny mógł przerosnąć to, co Brunelleschi wyniósł był właśnie ku niebu jako wspaniałość jedyną w swojej wielkości, bliskiej swojej siostrzycy w Konstantynopolu... Oto Święta Maria i Święta Zofia wcielają się w jedno i tworzą Mądrość Bożą ponad Kościołami; takie jest przesłanie zamiaru i planu w uniesieniu posoborowym Bessariona i Paleologa ku przyszości ułożone i dawnym schizmatykom na utrwalenie wiecznej zgody przedstawione. Wielka pieczęć małej sprawy...

– Dlaczego małej? – zapytał on.

Mówiłem głośno, sam na wysokim diapazone egzaltacji otwierając się ku doniosłości tamtych dni, aż głos mi siadł i potoczył przed sobą już tylko drobne kamienie. Tyle zostało z tego, zdążyłem dodać, co z dobrych intencji chwili, bo gdy florentyńscy skalkulowali, że kosztowałyby to ich więcej niż nowa wyprawa krzyżowa, która jednak nie mogła dojść do skutku przez pamięć o tamtej haniebnej, antybizantyjskiej sprzed dwóch wieków, dali wszystkiemu spokój. Tym razem woleli skazać Konstantynopol na łup najeźdźcy mahometańskiego.

– To duża sprawa – on na to.

Wyznałem, że bardzo pomniejsza moją ekumenię, gdyż w intencji fundatorów świątyni jest ona ekspiacją za tamten grzech zaufania... Anim ja orator, ani aktor, lecz gdybym wówczas usłyszał siebie, zdziwiłbym się zapewne, skąd we mnie jeszcze tyle żaru. Już się przecież wypalał, a oczy dawniej wilgotne wyschły... Zobaczyłem, jak tamten znad płotu machnął mi pożegnalnie ręką, po czym, rzuciwszy „jeszcze tu wróć”, oddalił się w stronę tramwaju. Dopiero z pewnej odległości spostrzegłem, że był z kobietą, która wiodła za sobą małą dziewczynkę.

*

Po kilku dniach przyjechał dorożką, wszedł do mnie do stróżówki, która była i magazynem, i kantorem, a rozejrzawszy się po niewykończonym jeszcze wnętrzu zapytał, czy nie mógłby tu zamieszkać. Całkowicie mnie tym zaskoczył, nic w tym pytaniu nie zgadzało się z rzeczywistością, ale i wszystko od tej chwili zaczęło toczyć się inaczej niż zwykle. A jednak, wszystkim to się zdarza.

Wieczorem spisałem pierwsze impresje. Wiedziałem już, że bez uporządkowania ich nie poradzę sobie z tym nowym światem ludzko-boskim, który nagle zaczął tłoczyć się na moim cerkiewnym podwórku. Z Warszawy, gdzie budowaliśmy sobór na placu Saskim, przywoziłem echa różnych spraw, których pogłos nieoczekiwanie rozległ się we mnie nowymi znaczeniami. Załatwiłem młodemu człowiekowi chwilowe u nas zakwaterowanie, choć księżę zrobił duże oczy, kiedy go o zgodę poprosiłem. Nasz gość miał się tu zatrzymać z żoną i córką do chwili, gdy znajdzie w okolicy jakieś w miarę wygodne, a przy tym tanie mieszkanie z prawdziwego zdarzenia. Przyjechał do Florencji na dłuższy czas, żeby w południowym słońcu podkurować zdrowie, ale pensjonat, w którym zrazu próbował się urządzić, już po kilku miesiącach zjadł mu niemal wszystkie oszczędności.

Ustąpiłem przed moimi wątpliwościami nie bez trudu. Nasz pawilonik gospodarczy, składający się z dwóch skromnych pomieszczeń, na dom dla trzyosobowej rodziny na pewno się nie nadawał, tym bardziej że pozostawał jeszcze w stanie budowlanego bałaganu. Gdy w końcu porozumieliśmy się z podnajemcą co do warunków, coś pilnie zdążyłem uprzątnąć, coś przerobić, coś, zwłaszcza w sanitariach, uzupełnić. Młody Polak ani jego żona nie byli wymagający; grzeczni, spokojni kierowali uwagę bardziej na córkę. Kiedy podjął rozmowę o cenie wynajmu tak nietypowego, lecz przecież mieszkalnego lokalu, czemuś odrzekłem: – Dajmy spokój, będziesz pan tu stróżem. – Nawet nie roześmiał się. Pokiwał zgodnie głową, jakby

to było naturalne. Nie skomentował, w ogóle nie mówił dużo, przez cały czas ich wstępnego urządzania się odnosiłem wrażenie, że coś go dusi. Nie w oddechu, lecz w duszy. Potem zrozumiałem, że swoją powściągliwość w rozmowie zastępuje częstym pisaniem. Był pisarzem.

Kiedyś w Warszawie, nie mogło to być dawno, spotkałem się z jego nazwiskiem. A to przy okazji moich lektur niezawodowych, trochę jednak, powiedzmy, zakonnych, gdyż miały mi pomagać w rozwoju wewnętrznym. Nie rościłem sobie żadnych pretensji do poważnego filozofowania, ale lubiłem czasem, nie ukrywam, nad niektórymi sprawami naszego świata głębiej się pozastanawiać. W końcu w prawosławiu kształciłem się niemało, nawet w Moskwie, a to z seminaryjnym kolegą Bułgakowem, który zadziwiał mnie swoją uporczywością w dochodzeniu do społecznie ważnej duchowej myśli ruskiej, najpierw przenosząc się do krytyki kapitalizmu w politycznej działalności socjalistów, tych od Plechanowa i Kautskiego, potem wracając na łono Cerkwi w wymiarze myśli Bierdajewa i Mereżkowsiego.

Florencki Polak był młodszy od nas i wobec naszych poszukiwań ustawiony jakby na ukos. Wiedział dużo o świecie, ale o rzeczach w nim mało praktycznych; zrazu próbował zaimponować mi znawstwem organizacji życia, logiką obserwacji i wnioskowania – a to że mieszkanko urządzi się tak i tak, a że do tramwaju blisko i do szkoły odpowiedniej dla małej też niedaleko. Łatwo jednak spuszczał z tonu przechodząc, na przykład wtedy, gdy poznawaliśmy się przy cerkwi, na temat sztuki bizantyjskiej, z którą, zresztą, też był niezłe obeznanym. Przywiózł tę swoją wiedzę o Kościele wschodnim stamtąd, zza Wisły, by tu, nad Arno zadziwić się greckimi korzeniami łacinników. Wracaliśmy potem często do tej sprawy, do jej splotów w myśli religijnej, ale i samoistnej. To było bliskie mojej duszy, czego dowody składałem przy wznoszeniu prawosławnych świątyń i w dyskusjach z Rosjanami, dla których bizantyjskie odrodzenie często pachniało kolejną schizmą.

Nawiązałem z nim pierwszy kontakt niemal intuicyjnie, przypomniawszy sobie o kilku jego artykułach przeczytanych w Warszawie. Kiedy się zainteresował naszą florencką cerkwią, wyrażając zaskoczenie rozżewaniem potrzeb człowieka, ośmieliłem się odwołać do jego publikacji sprzed kilku lat i porównać ze sobą dwa obrazy, jeden z opisu literatury polskiej jako cechującej się „nadzwyczajnie bliską i bezpośrednią stycznością z życiem kulturalnym Europy”, drugi, w artykule po śmieci Mikołaja Michajłowskiego, pisarza należącego do „takich rosyjskich Lessingów, jak Bieliński, Dobrolubow, Pisariew, którzy nie zamykali się w mniej lub więcej abstrakcyjnej sferze czysto intelektualnej czy artystycznej kultury, lecz śmiało sięgali w sam rdzeń życia”. Te cytaty, owszem, dopisałem później, ale wtedy od razu uchwyciłem się wątku traktującego o współnocie kultur ponadwyznaniowych, czego upodobanie doznawało nieraz reakcji nieufności ze strony księcia i archimandryty. On podjął na krótko temat, ale do istoty rzeczy wróciłem potem, kiedy już sprawy mieszkaniowe jakoś się ułożyły.

Ułożyły się nie na długo. To nie był dobry pomysł z lokowaniem się w tak niewygodnym pod każdym względem miejscu, ciasnym (niektóre cerkiewne rzeczy musiały tam jednak pozostać), wilgotnym od świeżego cementu i wapna. Wyszło wkrótce na jaw, że jego choro-
roba nie jest tylko chwilowym niedomaganiem, toteż

w tych niezdrowych warunkach natychmiast dała znać o sobie i to właśnie, a nie niechęć do katolickiego inteligenta, przyspieszyło wkrótce decyzję o wyprowadzce. Odkładaliśmy ją, bowiem wielką zaletą ich rodzinnego pobytu w naszej służbowce były wyraźne oszczędności na wydatkach mieszkaniowych, co dla tych ludzi, których los sprowadził do naszego pięknego miasta bez zasobów pieniężnych, miało podstawowe znaczenie.

Pozostało po tym krótkim – i prostym w końcu – epizodzie mego życia coś, co zapisuję jako nieoczekiwany dar nieba. Sploty się tu ze sobą różne przyczyny i wątki duchowe, psychologiczne i materialne, których skutki na najbliższe lata włączyły mój świat i mnie samego w życie tych ludzi w sposób czynny, bardzo zmieniający moje myślenie o sobie i o sprawach i rzeczach wokół. Także religijnych, przesuając wiele kategorii wiary ku praktycznym rozwiązaniom kwestii człowieczej, z niejasnymi pojęciami dobra włącznie; gdzieś w środku lokując znaczenie przychylności, życzliwości, miłosierdzia. Użyłbym tu chętnie słowa przyjaźni, gdyby nie pewien szkopał, który jak rafę podwodną nadziewał co pewien czas na przeładowaną nawę naszych stosunków. W ciągu miesiąca, jaki spędzili pod dachem naszej służbowki, raz się tylko pojawił ów problem, ale był już jakby zapowiedzią późniejszych nieporozumień i dyskordii. I choć słowiańszczyzna w mojej wersji była polsko-ruska, a więc z akcentem na polski łącznik słowiańskich racji, to i tak moje rozważania na ten temat nie zrobiły na nim większego wrażenia. Po prostu to, co jawiło się przede mną jako *prima et ultima materia*, jemu wydawało się już ziemią jałową. Ja będę od tego jeszcze wracał, ale jego zajmowała teraz inna sprawa, śpieszył do niej, odnosiłem przy tym wrażenie, że wszystko zaczyna mu być pilne.

W pomieszczeniach naszej służbowej stróżówki nie miał dobrych warunków do pracy, wychodził często na podwórce cerkiewne, trochę przyglądał się pracom robotników, trochę rozmyślał, aż któregoś ciepłego popołudnia, kiedy wyniosłem z mojej technicznej szopki jakiś stolik ze starymi krzesłami i usiedliśmy w cieniu przy winie, powiedział: – Ta sprawa to wielka sprawa człowieka.

Nie wydało mi się to wówczas nazbyt odkrywcze, zareagowałem po swojemu, że wnosimy tę świątynię na chwałę Boga i z tą myślą lepiej się pracuje. Pociągnął nieco wina ze szklaneczki, pił małymi łykami, twarz pod ciemnym zarostem powoli mu się rozjaśniała. – Ojciec – powiedział – wznosicie ją na własną chwałę. – Czy to nie jest to samo? – spytałem. – Może tak się poznamie Boga?

Nie wiem, czy usłyszał. Jego oczy pobiegły za dziewczynką, która wyszła z domu i jakby na palcach, ostrożnie ruszyła w kąt zagraconego podwórza. Zdążyłem jeszcze go ponaglić: – Synu, jesteś filozofem, odpowiedz.

Więc odpowiedział, odrobinę niecierpliwie, jakby cytując samego siebie: – Filozofia ma podnosić zadanie praktyczne, nie poznawcze... Popatrz na nią.

– Irsy! – zawołała dziewczynka.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że pól łączki pod parkanem rozkwitło żółtymi kwiatami. Z daleka nie rzucały się w oczy wśród porzrzuconych materiałów budowlanych i rozkopanej, rozjeżdżonej ziemi. Można by rzec, kwiaty były tam nie na miejscu, nazbyt bezce-

remonialnie wpychały się na teren budowy, nie w porę pyszniąc się swoją urodą. Dziewczynka zatrzymała się niemal nabożnie i patrzyła na nie w zachwycie. Ale nierozważnie nastąpiła na źle ułożoną deskę, a ta na drugim końcu uniesiona gwałtownie, jak sprężyna zamachnęła się na nią. Krzyknęła załęczona dziewczynka, krzyknęła pani Antonina od drzwi stróżówki, krzyknął Leopold podrywając się z miejsca. Deska opadła nie uczyniwszy dziewczynce krzywdy, z cichym jękiem Leopold osunął się na krzesło. Wino się rozlało...

Wiedziałem, że choruje, ale nie odważyłem się go zapytać, co mu dolega. Wyprowadzili się wkrótce potem również i z tego powodu: nie tylko na małą czyhały tu niebezpieczeństwa placu budowy, i na rodziców też, za dużo tu było kurzu dla wszystkich, coraz częściej słyszało się ich pokastywanie. Opuszczali ten swój niespokojny azyl ku mojemu żalowi, ale nie mogłem ich powstrzymać przed tym, zwłaszcza po tej dziwnej wiadomości, jaką uraczył mnie książę, kiedy go odwiedził z kolejnym raportem o stanie robót. Niedługo mu opowiadałem, jak rosną mury górnej świątyni, ile kosztuje nowy kamień z Fiesole, *pietra forte* i *pietra serena*, z kim trzeba się układać w tym mieście kupców i bankierów, żeby nie uszczuplać przedwcześnie naszych kont. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że mnie nie słucha, że głowę ma zaprzątniętą czym innym. Wkrótce przerwał mi i oznajmił, że ma nowe wieści o naszych lokatorach domu przy cerkwi. To jakaś podejrzana rodzina, prawda? Najpierw indagował mnie na temat tych ludzi raz jeszcze, zgłaszając jakieś ogólne wątpliwości co do mojej litościwej decyzji, jak nazwał przyjęcie Polaków pod nasz dach, a gdy przypomniałem mu, że otrzymałem na to jego zgodę, zastrzegł się, że tylko na krótko. Przytaknąłem, zapewniając, że tak to rozumiem. – Bo widzisz, ojczulku, my tu jednak obcy – usprawiedliwił się. – Nie chcę dodatkowych kłopotów z tutejszą władzą. – Toż to chory, bezdomny pisarz – powiedziałem. – *Pribiedniajetsia..* On młody i *miatieżnyj* – odrzekł książę i roześmiał się nieszczerze. – Oni zawsze spiskują, rozumiesz? Ale – dodał pochylając się ku mnie z zabawnie konfidencjonalną miną – jest on ponadto agentem naszej ochrony. – Wypowiedział to prędko nie spuszczać ze mnie oka. Śledził wrażenie w napięciu, ale nie wytrzymał długo i zaraz zapytał wprost: – Czy ty też, ojczulku? Osaczacie mnie?

Aż mi się w głowie zakręciło; nagle wyrosło przede mną coś, co w moim zawodzie nazywa się drzwiami donikąd. Nie umiałem na to jakoś roztropnie zareagować. Patrzyłem na księcia niemal z przerażeniem i odpychałem od siebie jego słowa jak kwestie z ponurego teatru dostojewszczyzny. – Żartujemy sobie, książę – wydusiłem wreszcie z siebie. – Brzydko żartujemy...

Zawisło nade mną jak fatum to szalone podejrzenie. Leopold przeniósł się najpierw na ulicę Montebello, do pensjonatu „Suisse” w pobliżu dworca, już myślałem, że wkrótce odjedzie, pośpiesznie opuści to miasto uchodząc przed posądzeniami, o których przecież mógł wiedzieć wcześniej niż ja. Potem przeprowadził się dalej, ale nie zerwał znajomości, choć przez tę ze mną mógłby się czuć jeszcze bardziej w pajęczynę podejrzeń uwikłany. Działo w nim się coś, czego nie rozumiałem, tak jak i w sobie zresztą, rozumiałem natomiast, że mam do czynienia z sytuacją, której nie można bezkarnie opuścić. Tkwiłem już w niej dość głąbo-

ko i potrzebna mi była, bym mógł sobie odpowiedzieć na dziesiątki pytań przez lata życia zrodzonych.

Dom na via dei Michelozzi, dokąd się teraz przeniósł, był posępny w swojej ciężkiej bryle i w środku mroczny, niemal bez słońca, a światła potrzebował Leopold jak powietrza. Za to wokół było ciekawie, artystycznie i historycznie; gdy się tam czasem zjawiałem i wychodziliśmy między kościoły, ogrody, pałace, nie umiałem jednak pozbyć się uczucia dziwnej drętwoty w sercu. Wiele rzeczy powiedziałem sobie podczas nocy źle przespanych o losach ludzkich na rozmaitych drogach życia, uwikłanych w sprawy duże i małe, z których tak trudno wydobyć się przynajmniej raz tylko – jak z mroku lasu na jasną polanę – by w czystym strumieniu prawdy obmyć się wreszcie z brudów świata. Ha, a może własnych? Myślałem o mieście, do którego trafiliśmy z wielką nadzieją na coś dobrego dla każdego z nas, nawet jeśli inaczej dobrego, to zawsze w pięknie zanurzonego niczym w wodach ożywczych jeziora, którego brzegi to kloaki jednak, bagniste peryferia w sieci brudnych myśli, obłudy i zła. Tam, gdzie teraz zamieszkał Leopold z rodziną też było właśnie tak: znad smrodliwych rynsztoków wychodziło się na światłość placu Świętego Ducha i przenikało do sal złoconych pałacu Pitti z obrazami Perugina i Rafaela...

To wszystko dzieje się za rzeką, najlepiej idzie się tam przez Ponte Vecchio, most pełen srebra i złota – wziąć by garść tego bogactwa i korytarzem Vasariego przenieść na drugą stronę, by wspomóc dobrą panią Rigatti, tak przecież zasłużyła na to swoją gościnnością, życzliwością, wręcz poświęceniem, „nasz Carducci też był biedny”, powtarzała pozbywając się za grosze różności swojego domu, byle tylko „ci dzielni Polacy nie głodowali”. Przez jakiś czas był jeszcze na podorędziu stary patrycjusz florencki, który zapraszał nieraz Leopolda do swojego pałacu, by radować się tym, jak „młody poeta ze szlacheckiego rodu Polonów” zachwyca się poezją „włoskich wnętrz i dekoracji”. Kapryśne dusze bogaczy i arystokratów są jak pstre konie, daleko się na nich nie zajędzie. Bóg z nimi. Leopold nie stawał na takie konie, a wtedy stać go było jeszcze, by na własnych nogach przemierzać miasto między galeriami i w Uffizich rekomendować mi po swojemu, po naszymu, Madonny Cimabuego i Giotta.

Z coraz większym przekonaniem stwierdzałem, że sztuka jest częścią jego filozoficznego odczuwania. Nie była to jednak zupełnie czysta, bezintencjonalna konstatacja. Próbowiałem przy tym przekroczyć ów cień podejrzeń podsunięty mi przez księcia i wejść w świat mojego młodego przyjaciela z wiarą w czytelność jego buntu, choć nie było to łatwe i wisały nad nim nieprzeniknione chmury mściwości ludzi i okrucieństwo Boga.

Przesilenie (Sen o starym Brzozowskim)

Co pewien czas Leopold obdarzał mnie relacjami ze swoich snów. Robił to w sposób prosty, acz nie pozbawiony pewnego zakłopotania. Snu nie da się zrozumieć do końca, toteż odwieszamy go do szafy pamięci dyskretnie, z namysłem, w zadumie. „Miałem dziwny sen...”, mówił. Albo: „Miałem sen dziwaczny, pogmatwany i rozkietznanie ironiczny”. Jego wyobraźnia była tu podwójnie niebezpieczna, bo najpierw jakby kształtowała jakąś napiętą podświadomość senną, a potem ją

katapultowała narracyjnie. O prawdzie raczej nie mówmy, ale wartość rzeczy i wydarzeń nie zawsze prawdą się wyraża. Sienkiewicz, którego wszelkimi sposobami usiłował zepchnąć z piedestału sławy, pojawił mu się we śnie jako obiekt godny szczególnego, acz uduziwnionego uszanowania, a sam śniący wznosił toast na jego cześć, przybierając postać „pięciopudowego szlachcica i jakiegoś obywatelskiego dygnitarza”.

Cień rzuca cień. U mnie też nie inaczej bywało. Dochodziły wieści z Warszawy, z miasta, do którego czasem tęskniłem wspominając naszą budowę soboru na placu Saskim i chwile w towarzystwie młodych osób ptci obojga, śniłem o dziewczynach katolickich, a zwłaszcza o jednej z nich, z którą mógłbym się być związać na całe życie zmieniając stan cywilny, a nawet zakonny. Pokus było wiele, w karnawale podglądałem, jak się ludzie bawią, co się działo wtedy przed gmachem Resursy Obywatelskiej, ileż karet, dorożek, pięknych pań w kwiatkach i grubych panów w szapoklakach przybywało przed wejście umajone kolorowymi wstążkami, gdzie taki bal kosztował majątek, ale można było też za rubla urządzić się składkowo, byle było pianino, kanapki i wino. Kiedy raz spróbowałem wprowadzić moją siostrę w pewne towarzystwo, usłyszałem jak ktoś z boku skomentował to: „panna całkiem zgrabna, ale prawostawna”. Speszyliliśmy się oboje, gdy któryś z przyjaciół wyjaśnił nam, że warszawiacy tak mówią o pannie bez posagu. Opowiadając tę historyjkę Leopoldowi uznałem ten epizod za ważny w moim życiu, które rozpoczęło się w Puszczy Białowieskiej, a miało rozkwitnąć w stolicy, gdzie zdradziłem się jednak ze swoją biedą. Siostra mi wkrótce zmarła, nie zdążyła się nacieszyć życiem – tańcami, kwiatami – ani owocem mojej pracy, tym wspaniałym soborem pośrodku Warszawy i tą dzwonnica przy nim, tak podobną do wieży Giotto, że w końcu zdyskwalifikowaną przez komisję nadzoru jako obcą duchowi słowiańszczyzny. – Oni mieli rację – zauważył Leopold pogodnie. A ja wtedy odciąłem kąśliwie, że on pewne rzeczy ma jeszcze przed sobą, żeby zrozumieć, jak Włosi rozegrali „trzeci Rzym” w Rosji, a Bizantyjscy swoją sztukę we Włoszech. – Spójrz raz jeszcze na te trzy ikony, na te Madonny na tronie Cimabuego, Duccia i Giotto w galerii Uffizi i sam mi powiedz, czy duch sztuki religijnej w Europie nie jest po grecku uniwersalny? – A ty mi powiedz – on na to – czy dzwonnica należy do sztuki religijnej? – Czymżeż jest chram bez dzwonu? – odpowiedziałem pytaniem bezpośrednim, czyli o cerkiew we Florencji. – Swoją dzwonnice w Warszawie stawiałeś poza świątynią, jak pamiętam – zauważył jakby po drodze, bo od razu postanowił błysnąć inteligencją: – Założę się, że zdjęto cię wtedy z warszawskiej budowy i zesłano do Florencji.

Ale nawet nie uśmiechnął się, myślami był gdzie indziej. I kiedy ja z tarasu, na którym siedzieliśmy o tej przedwieczornej godzinie zaglądałem do wnętrza jego domu, gdzie na ścianie przy schodach od pewnego czasu irytował mnie obraz Szyncera przedstawiający ponury pogrzeb nocny przeciągający zaułkami średniowiecznej Firenzy, Leopold swoimi dużymi, lśniącymi oczyma, silnymi jak lampy Aladyna, wpatrywał się w potężną Bramę Rzymską oddzielającą nas od miasta i jakby gotując się do ostatecznego szturmu na to niesamowicie piękne gniazdo straszego mieszczaństwa, z nieoczekiwaną mocą powiedział: – To prawda, tyle

jeszcze przede mną, tyle wiedzieć, tyle zrobić! Zobaczysz, daj mi tylko czasu, daj mi dużo czasu, a przywrócę wielkość kulturze... Do swoich myśli, do swoich wątpliwości przemawiał, nie umiałbym teraz nawiązać z nim bezpośredniego kontaktu, ale zatrzepotała we mnie nadzieja, że dzieje się z nim coś nowego, ożywcze, że następuje w nim przesilenie, w chorobie przesilenie, przywracające go nam do długiego życia...

Być może to wtedy opowiedziałem mu – jakby odczuwając potrzebę miejsca i rewanżu – i o tym moim „długim, dziwnym” śnie. Śny zawsze są na swój sposób dziwne, są przecież snami, nie rzeczywistością (choć i ona potrafi być dziwna). Mam na myśli, że tym razem mój sen miał niejako podwójny rytm i charakter. Był snem we śnie, przy czym jego pierwsza odsona wyraźniej się wspierała na przesłankach realnych, stanowiących treść różnych bieżących dyskusji, jakie podejmowałem z Leopoldem również wokół spraw narodowych. W pewnym skrócie i uproszczeniu wyglądało to tak, że gdy ja popisywałem się naszą przyszłą Wschodnią Europą w ramionach jedni słowiańskiej, on deklarował swoje przywiązanie do wiary, że choć „Europa i ludzkość nie czczyimi są słowami, to można działać w nich i dla nich tylko poprzez swój naród”. Ziemię, na których jesteśmy, Włochy, nie są tego dobrym przykładem, zdążyłem jeszcze zareplikować, gdy on sumował już myśl swoją intuicją i racją: „Idealizm na cudzym gruncie łatwą jest rzeczą; tam ukazują się zawsze postulaty, nigdy ciężar urzeczywistnienia”.

Ten „ciężar urzeczywistnienia” towarzyszył mi potem przez całe miasto, gdy przemierzałem je cierpliwie, by dotrzeć wreszcie pod dach mojej cerkiewnej samotni. Zmęczyłem się podwójnie, najpierw martwiąc się szczerze, że bodaj niewiele mogę pomóc Leopoldowi w jego zamachu na polską, a może i światową szlachetczynę, choć chciałem, nawet wbrew sobie i mojej ekumenicznej słowianozofii. I martwiłem się, że jest ona coraz mniej popularna, przebieglej niż kiedykolwiek przecierana w brudnych żarnach historii. Chciałem być jej wiernym w tym wydaniu chrześcijańskim, zapowiedzianym godnością pierwszego tysiąclecia, ale traciłem siły w codzienności zmagania o dobre słowo i ufność wzajemną... Padłem na wyrko kompletnie wyczerpany tym marszem w udręce, z pamięcią już w sieci bezkształtnego czasu, nie wiedząc czy sen mój „długi i dziwny” mam poza sobą, czy za chwilę zacnie się dopiero, gdy w dudniące bicie serca uparcie wkraadały się powolne, niepełne uderzenia przedwcześnie próbowanego, żalobnego dzwonu...

Ocknąłem się – po krótkim misterium dźwięków – na cmentarzu w Trespiano, skąd rozciągał się rozległy widok na złotą michę Florencji i gdzie usłyszałem owe dwa głosy, co zderzyły się ze sobą bezdźwięcznie, gdy tylko przycupnąłem na mogilnym kamieniu, by spojrzeć na miasto z westchnieniem zachwyty: – Cóż za wspaniała panorama!, a Leopold przytaknął, ale grzecznie zwrócił mi uwagę, że siedzę na jego grobowcu. Ocknąłem się ze snu do snu, tym razem na szczycie gruzów pośrodku miasta i zobaczyłem Leopolda siedzącego na kamieniach cerkiewnych schodów wyniesionych wybuchem na wysokość dzwonnicy. Spoglądał czule na Ogród Saski i dalej na perłowo-srebrną panoramę Warszawy o wczesnym zmierzchu, sam w mglistej

siwiźnie wieku, i w pewnej chwili bardzo wyraźnie powiedział: – Jakież poruszający to widok, jakież głębokie piękno jest w naszej stolicy, prawda?” Dotąd nie znałem go od tej strony, od strony, rzekłbym, prostych uniesień, przeczuwałem tedy, że to nie musi być wcale proste. Godziłem się z nim jeszcze, powtarzając za Norwidem: „Bo piękno jest, by zachwycało do pracy”, ale gdy uśmiechnął się łagodnie, dodałem: „A praca, by się zmartwychwstało”. A ty siedzisz na moim grobie... – Czemuż nie rozumiemy się? – zapytał z troską o siebie. – Rozchodzimy się, nie podając sobie ręki... – Wyjaśniłem mu, że przed zburzeniem soboru byłem pochowany w krypcie pod schodami jako jeden z jego budowniczych; że boli mnie, gdy ktoś rozsiada się na moim grobie jak w wygodnym fotelu. Nie gadaj głupstw – powiedział i uśmiechnął się, mrużąc oczy jak chan krymski albo jak Mikołaj Cudotwórca, którego fresku poszukiwałem w gruzowisku, bo tylko on był w stanie przywrócić nas do siebie. – Wszystkie kamienie są jednaki – uznał podnosząc się – twarde i ciężkie.

– Jak ja im to powiem? – poskarżył się pierwszym gwiazdom od wschodu, gdy zesłaliśmy na plac i ruszyliśmy w stronę uniwersytetu. – A muszę tchnąć w nich ducha, którego nie mam już w sobie... Był bardzo stary i jakby naprawdę wielce zatroskany o swój stan i o los innych ludzi, którym był coś winien. A na moje pytanie jak się czuje, czy ze zdrowiem jest dobrze przynajmniej na tyle, żebyśmy się mogli napić razem wina, odrzekł wymijająco, że w dużej auli ma teraz pożegnalne spotkanie i wina potem będzie w bród.

Gdy doszliśmy do końca placu, odwróciłem się za siebie jakby z pewną obawą, czy wolno mi rozstać się z nim na zawsze, Leopold też w pół się obrócił i powiedział niemal litościwie: – Pewnie słyszysz jeszcze dzwony prawostawia... Zaprzeczyłem szorstko, co moje w sobie kryjąc i odrzekłem, że skończyłem ich słuchać we Florencji. – A ja dopiero teraz je słyszę – wyznał ze zdziwieniem. – Pamiętam, jak ściągano je z dzwonnicy, a one spadały ciężko, wbijały się w ziemię i spod ziemi jęczały jak z mogiły... Mijaliśmy się w czasie, w tej pętli czasu, której się nie rozumie do końca... Na rogu Królewskiej stał ni to żebrak, ni to grajek, z kapeluszem przed sobą i harmonijką przy ustach, słycać było wyraźnie *Mazurka Dąbrowskiego*, a w przerwach powtarzające się słowa dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy. – Zwyciężyliśmy – powiedział Leopold wrzucając do kapelusza monetę. – Prowadź! Grajek włożył kapelusz, schował harmonijkę i uśmiechnął się dobrodusznie. – Musiała być wojna – zauważyłem, – tyle zniszczeń wokół. – Wojna w Polsce jest zawsze – odpowiedział Leopold sentencjonalnie. – Jak nie z sąsiadami, to między sobą... – I tak musi być? – zapytałem niespokojnie, bo wydało mi się, że grajek sięga po broń. Może Leopold też to spostrzegł, bo skrzywił się ni to z bólu, ni to z gniewu. – Coraz częściej się myślę – wyznał. Ale jeszcze podrzucił buńczucznie swoją głowę patriarchy i patetycznie zadeklarował: – Wstąpiłem na schody świątyni z kopułą jak niebo. Sądziłem, że jest „formą myśli, odbijającą doskonale biologiczne przystosowanie gatunku do warunków, w jakich on żyje i rozwija się”. – I co? – zapytałem nie wiedząc po co. – I nic – odpowiedział z pewnym zniecierpliwieniem. – Przewróciłem się. – Nigdy nie miałeś mocnych nóg – przypomniałem mu. – A tyle lat już idę – odrzekł sa-

mochwalczo. – Pan pójdzie ze mną – powiedział grajek i wyciągnął broń.

Poszedłem za nimi zachowując jednak czujny dystans. Wkrótce zniknęli w bramie uniwersytetu, a ja znalazłem się w tłumie ruchliwej gawiedzi. Wejścia pilnowali żołnierze w czakach, pikielhaubach i kołpakach z czubem. Sprawdzali wchodzących i selekcjonowali ich, jednych wpuszczając do środka, drugich kierując w stronę Pałacu Staszica. Kopuła jak czapka Monomacha w niewiarygodnym blasku przykrywała gniazdo mojej dawnej szkoły i prawostawia w chramie, wyściełających nauce polskiej miejsce pod nazwą *Societas Scientiarum Varsaviensis*, a teraz czerwone płomienie wyrzucając na plac z mosiężnym Kopernikiem i Chrystusem z krzyżem u stóp kościoła. Nad nami, u wejścia na uniwersytecki dziedziniec zapłonął napis Drugi proces zdrajcy, ale nie poczułem w sobie zainteresowania tym ekscesem, szukałem drogi ku światłom ulicy. Wtłoczono mnie jednak do środka o nic nie pytając, niczego nie sprawdzając. I od razu znalazłem się w wielkiej auli uniwersytetu, wypełnionej już po brzegi, przedzielonej kratownicą, za którą wciśnięto jak śledzie do beczki sponych studentów. Część główną auli zajmowali ludzie w różnym wieku, różnej proveniencji i nieokreślonego stanu. W głębi na podium siedzieli sędziowie w togach, a przed nimi, nieco z boku spostrzegłem Leopolda. Był w stroju podobnym do tych, jakie mieli na sobie sędziowie, może bardziej uroczyście profesorskim. Ktoś obok powiedział: – Oni chcą powiesić magnificencję. Będzie ciekawie jak cholera... Nie wszystko docierało do mnie w należyтым porządku. Czuję się dumny, że Leopold tak urósł między procesami, wtedy, w Krakowie przed pół wiekiem był sponiewieranym socjalistą, agentem carskiej ochrany, dziś reprezentuje wysoki urząd rektora, nauczyciela studentów i profesorów. Może to powiedziałem głośno, bo człowiek siedzący z lewej zapytał: – Kto tu jest nauczycielem? Odpowiedziałem, że nauczycielem jest on, ten samotny przed nami, na którego patrzymy z najwyższym uznaniem, gdyż naucza rzeczy nieznanych. Niesie między nas wiedzę ewangeliczną, której jeszcze nie ma w ewangelii, ale będzie. Nie mieści się ona w naszych głowach, jak i tamta sprzed dwóch tysięcy lat, więc i on umiera w trzydziestym trzecim roku życia jak Chrystus. – Pan jest obrońcą oskarżonego? – zapytał człowiek siedzący z prawej, z wyglądu i oczu reprezentujący stan prawniczy. – Jakiego oskarżonego? – zachnął się mój sąsiad z lewej, po kombinezonie sądząc przedstawiciel klasy robotniczej. – Jeśli jest to ten nauczyciel, to dostanie dziś, jak pisali, tytuł doktora *honoris causa*. – Pozwolę sobie zauważyć, że mówi pan głupstwa – zareagował ten z prawej i aż napęczniał z tłumionego chichotu. – Mamy do czynienia z wysokim sądem, a nawet najwyższy sąd nie obdziela nikogo tytułami. Chyba że jak tego tu, tytułem zdrajcy... Robotnik z lewej sprężył się jak do skoku, ale odsapnął głośnie i powoli, wyraźnie powiedział: – Coś mi się widzi, że chcesz pan dostać w mordę... Wtedy prawnik z prawej trochę się mną ostonił i rzekł bardziej pojednawczo: – Niech mu pan wybaczy, bo nie wie co mówi... A na to robotnik z lewej też do mnie: – Rozduś go pan, to karaluch...

Gwizdy studentów za kratami nasiliły się. Przewodniczący kolegium ze zrozumieniem przyjął to zniecierpliwienie. – Nie możemy rozpocząć – usprawiedliwił

się – bo jacyś ludzie na środku sali toczą głośny spór o nasze kompetencje. Patrzył w moją stronę z przyszaną, więc zawstydzony wybąkałem przeprosiny. Ale przewodniczącego to nie zadowoliło, zapytał mnie, co ja tu robię, wszak nie byłem zaproszony. Odrzekłem nieśmiało, że znam magnificencję od pół wieku i mogę wystąpić w charakterze świadka, bardzo proszę. Ale i to przewodniczącego nie udobruchało, oświadczył, że świadków to on tu ma pół auli za kratami, czym wywołał wzmożone gwizdy studentów; a drugie pół, dodał znacząco, przed sobą, co wokół mnie skwitowano brawami. Jedynie mój sąsiad po lewej trzymał ręce w kieszeniach tłumacząc się, że czyni tak, by nie wybuchły jak granaty. Z dużym wysiłkiem zdobywając się na śmiałość zauważyłem, że ja tu jestem, bo jestem prawdziwy, natomiast jego, przewodniczącego obecność jest tu nierzeczywista, opiera się bowiem na przesłankach całkowicie się wykluczających, jako że osoba sądzona za zdradę nie może być równocześnie obdarowywana tytułem doktora *honoris causa*, zwłaszcza przy naszej nieprzyzwoicie skrywanej świadomości, że w pałacu warszawskiego es-es odbywa się właśnie osoby pożegnanie. Przewodniczący pouczył mnie, że respekt, jaki jestem winien sądowi, nie pozwala mi na formułowanie jakichkolwiek wniosków logicznych, gdyż we śnie supozycje odnoszące się do realności są funta kłaków warte, a pożegnanie osoby w *societas scientiarum* jest jej egzekucją. No, no, zaoponowałem może na zbyt gwałtownie, niech się liczy ze słowami, już kiedyś zbłąznili się z taką osobą we Florencji... Pouczył mnie raz jeszcze, że nie przystoi byle komu przed sądem się mądrzyć, a odwoływanie się do wydarzeń sprzed wieków i spoza naszej ojczyzny przypomina mu mundur jego dziadka z czasów, gdy trwały wojny i skrywano prawdy, a kiedy prawda objawiła swoje prawdziwe oblicze, mole mundur zjadły. Wyznałem w pokorze, że nic nie rozumiem z jego wywodów, zapewne dla mnie zbyt głębokich, ale uważam za stosowne zaznaczyć, że kładzione niegdyś podwaliny ojczyzny do dziś ją podtrzymują i byłoby rzeczą wielce nieroztropną cokolwiek tu burzyć. Aż zaśmiał się przewodniczący z potworną pogardą i jednym skinieniem ręki odrzucił moje pretensje do zrozumienia tu czegokolwiek, podsuwając rozwiązanie w formule procesu *dishonoris causa*. Na co prawnik z mojej prawej podskoczył i zawołał: – Genialne! A robotnik z lewej wystrzelił w górę pięścią, która jednak nie eksplodowała. – Kto tu rządzi na tym śmietniku? – krzyknął. – Żydy i kacapy! – odkrzyknął prawnik z błyskiem ostrza w oku. Powiało duchotą. – To i mnie powieście – stęknąłem desperacko. – A czemuż to? – zapytała grzecznie moi sąsiedzi. – Bo jestem kacapem – wyznałem jak głupi, a oni ze zrozumieniem odsunęli się ode mnie. – Trzeba, żebyś poszedł za kratę – powiedział ktoś za moimi plecami. – Tam jest miejsce dla takich... Ale nie nalegał, więc zostałem.

Gwizdy młodzieży wypełniły już całą aulę i zagłuszały głosy innych członków kolegium orzekającego. Jeżeli w ogóle były, jeżeli ruchy ust manekinów za stołem prezydią miały wyrażać cokolwiek innego niż myśl i dyspozycję przewodniczącego, którego stanowili paradne sobotwórstwo. Broniełem się przed złudzeniem, nie dawałem się zepchnąć za parawanu, gdzie wszystko jest możliwe, toteż z wielką ulgą powitałem głos Leopolda, który nie wstając z miejsca,

nie odrywając oczu od swoich niegdysiejszych pragnień trochę niezdarnie zaczął wyliczać swoje winy. Nie wszystko udało mi się w sobie zanotować, ale pewien nurt jego myśli wpisał się w rejestr mojej pamięci wyraźnie, jakbym znał je już wcześniej albo przeczuwał ich obecność. Obrócił swoją sytuację jak mocarz, co przegrywając jedno życie zapowie zwycięstwa w kolejnych lub w biegu wydarzeń niezależnych. „Moja siła jest w tym – snuł ten wątek myśli nie do uwięzienia – że strasznie skrzywdzony czuję mimo to wobec narodu głęboką winę: za setki straconych dni, za niedbalstwo w walce z niemrawością duszy, z dekadentyzmem... Ludzie nie mogą mieć ani ślepej wiary, ani jasnej myśli w tym piekle, jakim jest nasze polskie życie... Słowo utraciło wartość. Utraciło, bo jej nie miało w sobie. Nie miało wiary współczesnej, bo nie było stopieniem w jedno poznania, uczucia, woli. – Odetchnął głębiej – duszno tu było – nim podniósł głowę nieco wyżej i tchnął w przestrzeń półmroczonej sali wezwanie: – Na miłość boską nie dajcie się sami zatruć wszystkiemu, zachowajcie zdolność pracy, to znaczy zdolność do głębokiego przekonania, że czymś potrzebnym, jedynym jest, aby nasze społeczeństwo żyło. Ja nie chcę moralizować, tylko chciałbym wyrwać was z powietrza, w którym nie można oddychać”.

Nie mógł zamknąć tego zakłętego kręgu polskości bez obciążenia się odpowiedzialnością, choćby podzielną, od swojej nie uchodząc daleko, uwspólniając ją sprawiedliwie, zawsze ostro patrząc przed siebie, i prosto, nigdy z ukosa. „Czy i teraz nie rozumiecie, co znaczy należeć do Europy?”

Jak się obruszyło to ludzkie mrowie, jak zabulgotało, zabełkotało, zaciętrzewiało serdecznie, unosząc się w zaszczytnym dyshonorze, a ja z nim, choć obok, na moich własnych manowcach, z pamięcią półwiecza, odkąd poznałem Leopoldowe rozumienie europejskości, w którą wkraczał z obowiązaną sznurkami walizką słowiańszczyzny, a ja dbałem o to, by tego bagażu ła-two się nie pozbył. A chciał, podrzucał bądź mnie, bądź swoim słowianofilom na wychodźstwie, aż z gniewem wołałem: – Rozpakuj ten kufer wreszcie! – Bo to nie była zwyczajna walizka, to był kufer wielki jak dom, jak jego dom na Wołyniu, większy niż Mickiewicza dworek w Nowogródku, skąd ów też swoje korzenie czarnoruskie włócił przez całą Europę znacząc swój ślad nawet w Paryżu i wołając, żeby go nie zacierać. „Ważą się losy Słowiańszczyzny – zapisze potem dla lekcji XLI. – Polska podźwignie się jeszcze raz silna dla spełnienia odwiecznego swego celu. Ale Rzeczpospolita zajaśniawszy największym blaskiem swojej wolności i literatury, spada nagle pod względem politycznym i umysłowym”.

Rzuciłem tym tłumokiem przypomnienia w jego, Leopolda stronę, cytując niemal dokładnie prospekt wykładowy Mickiewicza, ale czemuś mi ten *prospekt* wyszedł z rosyjska i ujrzałem wieszczą w miedzi na prospekcie Wielopolskiego za Pałacem Namiestnikowskim, jak kryje w fałdach płaszczka swoją książkę, inną od wszystkich wydanych... Przeprosiłem obecnych za wątek osobisty, próbując otrząsnąć sytuację z oskarżeń tego onirycznego sądu i osobliwego, zmieniającego się nastroju ulicy. – Wrócimy do tego tematu, jak się obudzimy – zapewniłem, a śmiech gruchnął po sali jak w cyrku. Leopold odpowiedział dwuznacznym ruchem głowy, opuszczał mnie, miał swoją, ważniejszą spr-

wę i choć ryzykował całym swoim długim życiem, raz jeszcze zagrał *va banque*. Tonem wiecowego mówcy, podnosząc wysoko głos – czym mnie zaskoczył, nie znałem go takim – zwrócił się do sali niemal z żądaniem: „Dajcie mi dziesięciu ludzi i dziesięć lat wolnych od trosk życia, a ja zmienię klimat umysłowy w Polsce!” Wydawało mi się, że to już słyszałem, patrzyłem na niego pytająco, więc dorzucił tę swoją deklarację jak wyzwanie: „Nie jestem już z żadnej partii, z żadnego wyznania. Sam absolutnie decyduję za siebie!”

Burzliwymi brawami zareagowała aula za kratami, a zgodnym tupotem nóg moi sąsiedzi. I mnie zaczynał wciągać w narastający zgłęb gawiedzi jakiś wir chaosu, przemożna siła żywiołu, wyzwalający się z matni naszych dusz. Może to był wręcz duch święty, przetaczający się bez opamiętania w przeciągu między oknami, gotów porwać nas do wojny domowej, na co już się dawno zanosilo, bo oto przewodniczący zerwał z głowy swój biret, by nie pofrunął na skrzydłach świętej sprawiedliwości i zawałował głośniejsze niż inni wołali: – To jest to, magnificencjo, chcesz znowu wszystko poprzewracać! Stawałeś na czele ruchów wywrotowych w całej Słowiańszczyźnie, doprowadzałeś do zaburzeń w głowach młodych ludzi i na ulicy, wykladałeś nauki o kulturze przeciw polityce na uniwersytetach od Harvardu po Moskwę, miałeś do dyspozycji setki asystentów i pracowni naukowych, obiecywałeś nam, uczniom swoim, cud polski ... A cóżes ty z nami uczynił? – *Mea culpa* – przyznał Leopold. – Mistrzu! – nie wytrzymał robotnik. – Toż to tępaki! Weź nas na pomoc! – Byliście mu już z pomocą, byli – zakpił prawnik i z satysfakcją zrymował: – Brudne pranie zachowaliście, dziecko utopili! – Ruszyliśmy z posad bryłę świata! – odpalił robotnik i gotów był zaśpiewać *Międzynarodówkę*, ale go z sąsiedztwa uciszono. – Powiesz pewnie, jak ten tu – powrócił do swojej mowy oskarżycielskiej przewodniczący – żeśmy naród niezdolny, nie dojrzały do przemian, zaśniedziały w swoich jałowych tradycjach? Że leniwie gnuśniejemy, gdy świat poszedł do przodu? A może jednak i w nas coś się zmieniło, tylko ty, magnificencjo, tego już na starość nie postrzegasz i powtarzasz swoje do znudzenia? Może jesteś, nieszczęsny mędrco, zaślepiiony własną pychą? Dwie są tutaj możliwości: albo ty obrażasz swój naród, albo on obraża ciebie, traktując twoją mądrość jak mierzwę. *Tertium non datur!*

Leopold milczał, był już zmęczony. Tedy ja znowu zabrałem głos, jakby za niego ośmielając się tej żabie odpowiedzieć, gdy nieco ucichły gwizdy zza krat. Odpowiedziałem równie obcesowo, co mi się rzadko zdarza, lecz wydało się nagle, że czegoś tu się nie rozumie, politycznością kryjącą ziemię. – *Datur, datur!* – zawałotałem. – *Tertium est datur!* Mierzwa, jak z pogardą nazwał pan przewodniczący mądrość mistrza, to najbardziej urodzajny grunt pod waszą edukację na dziś i jutro! Pod ten czyn twórczy, do którego nie chcecie się zabrać w waszym polsko-katolickim zaścianku, skąd was wypędzą kiedyś wasze własne dzieci...

Pewnie dobrze zrobił Leopold przerywając mi, powracając na wokandę obudzony moją prowokacją, włączając się w porę, bom wkraczał już nie na swój pokład. Nawa to była chybotliwa, uzurpowałem sobie prawa mi nieprzynależne kryjąc się w oku cyklonu spokojny, że to nie ja mogę bezpowrotnie wypaść za burtę. – Jeśli nawet masz rację, mój wierny przyjacielu – podjął swój

samokrytyczny dyskurs – to wiedz, że to nie z winy tych tysięcy studentów, którzy rwą się do wiedzy, zwłaszcza gdy się wywodzą z ludu pracującego, lecz właśnie mojej, edukatora, z tej najgorszej winy skąpstwa, nieróbstwa i próżności bierze się ten cały marazm, o którym, jak miemam, chciałbyś mówić. Wyznaję, że „nie wypowiadałem nigdy najgłębszych prawd moich myśli, tylko ich pewną powierzchnię. Nie ma to nic wspólnego ze sprawą, ale myślę, że nie mam prawa wymawiać nieszczeroci i nieufności ludziom, z którymi sam nie byłem do ostateczności szczery. Socjalizm był dla nich końcem, dla mnie – początkiem, początkiem, z którym stojąc, budowałem sam dla siebie dalsze systemy. O tym nie wiedział nikt. Co gorzej, nieraz dopuszczałem się ciężkiego grzechu, szyderstwa wobec trudności, z którymi sam walczyłem: jest to świętokradztwo duchowe – coś, co moją istotę brudzi”.

Świętokradztwo duchowe, tego jeszcze nie było. Zaległa cisza na tej sali niezwykła, niesamowita. Samokrytyka tej miary sięgnęła zapewne sumień wszystkiej masy ludzkiej, co pulsowała tu bezgłośnie niwelując różnice pokoleń, klas, światopoglądów. Co to znaczy? – za chwilę przepytawali się już jednak między sobą, budząc się z oszołomienia, sprawdzając się wzajemnie w oczach innych, a najpierw przewodniczący i jego sobowtóry. Te niesocjalistyczne socjalizmy, ponadsystemowe systemy, bezgrzeszne grzechy izolacji i osamotnienia. Jak to należy przyjąć w obywatelskim i narodowym porządku rozumienia, a zwłaszcza odpowiedzialności? Czy jest w tym jakikolwiek porządek? Na każdym kroku wiemy wszystko na strzępy, ktokolwiek zechce je zszyć, obwoływany jest wrogiem wolności. Zawsze jest tak samo: chaos. Albo jeszcze gorzej: chaos we mgle. Oto jaką wolność mamy: odnajdujemy się w niej po trosze wszyscy, nikt w pełnym wymiarze. O innych jej możliwościach tu się nie mówi, bo to rzecz albo utopijna, albo religijna. Leopold do tego nawiązał, miał w zanadrzu, jak go znałem, nową przyszłość, która wyrośnie na mierzwie. – Polski nie da się zjednoczyć – oświadczył niespodziewanie. – Nie zamierzam orać na między, ponieważ bez skutku pozostają próby łączenia legendy z mitem, gdy rzeczywistość hasa samopas. Za dużo mówiłem i pisałem o narodzie... – Za mało! – przerwał mu przewodniczący stanowczym tonem. – I to w tobie, magnificencjo, jest grzechem największym. Opuścisz nas w tej mgle, zdradziłeś w chwili, w której uznałeś, że jest dwóch Bogów nad światem, lecz się jeszcze nie odnaleźli, nie podali sobie rąk, mówiliś. – W Polsce – uzupełnił Leopold. – Bo nie ma komu zaprosić ich do wspólnego stołu... – Bo nie sprawdził się ani twój katolicyzm, ani socjalizm! – krzyknąłem w porę, żeby powstrzymać wyrok trybunału. I tak się stało, teraz całą uwagę sędziów ściągnąłem na siebie pozwalając Leopoldowi złapać oddech. – Kacapie! – zwrócił się przewodniczący do mnie wystarczająco gwałtownie, bym zrozumiał, że za jednym zamachem chce upolować i drugą zwierzynę. – Nie bij w dzwony prawosławia, bo u nas czasy ruszczyzny dawno się skończyły. Nad Wisłą nikt już ich nie usłyszysz. Jesteśmy państwem jednego narodu i jednej wiary. Rzeczpospolita nazbyt długo tolerowała wschodnie odszczepieństwo, tę chorobę ojczyzny od czasów unii i Targowicy. Aż przyszedł dzień rozprawy i trzeba sobie powiedzieć jak w biblii: powieśmy stu, żeby zbawić miliony... – To

już było, wielki inkwizytorze – powiedziałem cicho w ci-szy sali. – Czy nie szkoda ci tego czarownika na stos?

Na chwilę zawrzało po naszej stronie widowni, żądano usunięcia mnie z sali, odesłania na wschód. Leopold złapał jednak drugi oddech i nie dopuścił do rozkołysania nastrojów. Jeszcze raz zabrał głos, tym razem, jak sam to podkreślił, także w imieniu „tych poetów i pisarzy głośnych, którzy odtąd będą się sądzili w sprawie i obowiązku wyrokowania o wszystkich sprawach bieżących, przewodniczenia ludowi i nauczania królów”. (Przypomniało mi się to zdanie z *Wieczorów florenckich* p. Juliana Klaczki, którymi zaczytywaliśmy się z Leopoldem dawno temu, gdy otrzymał był z Warszawy od Hoesicka wydanie tej książki z 1903 roku z nieodzowną pieczętką *dozwoleno cenzuroju, Warszawa, 26 nojabria 1902 goda*. Zachwycaliśmy się dziwem losów owej wędrowni myśli i pamięci dzieła, które ze źródeł florenckich w Treviso po francusku zrodzone, przez Akademię Francuską w Paryżu uwieńczone, przez hr. Tarnowskiego na polski przełożone i w Kraju Nadwiślańskim z pieczętką rosyjską wydane, powraca po latach do tejże Florencji, w której teraz inny pisarz polski odbywa podobne spacerki, by kiedyś, nazwawszy je *Passeggiate fiorentine* móc wydać po włosku...) Wyłamałem się ze snu, gdyż nazbyt silna była wizja pozao-niryczna człowieka z siwiejąca już bródką, wędrującego z laską ulicami tokańskiej stolicy w towarzystwie Danta i innych z kompanii artystów renesansu, którzy go wodzili za nos przez swoje piękno, „jakie nie mogło stać się szczęściem”... Węzły bólu na śmiertelnych, szorstkich pętlach skróconego życia zaciskały się bezduszenie na strzelistych myślach wśród wzburzonych uczuć. Właśnie tak, choć brzmi to z tokańska. Zawsze był jakby niedopięty, ale jego stosunek do miasta określał się funkcją jego cierpienia. Wiedział o tym i ubolewał nad popolitością swoich przeżyć, gdy otwierał zeszyt, w którym kreślił *itineraria* tych prawdziwych i tych wymaginowanych przechadzek po mieście. To w zachwycie biegania i zwiedzania z przyjaciółmi w pierwszym roku po przyjeździe do Florencji notował wrażenia, których później, gdy musiał się wynieść na drugą stronę wzgórz nad miastem, tak mu było brak i żal. „Mój Boże, ja już od roku nie byłem w żadnej galerii, w kościele, nawet w kaplicy Medyceuszów z pomnikiem Michała Anioła... A tyle innych rzeczy kocham tutaj: freski z hiszpańskiej kaplicy z całą duszą groźnego, wielkiego katolicyzmu, świętego Jerzego na Or San Michele, salę rzeźb Donatella, Ghirlandaja z Santa Maria Novella, różne obrazy z Uffizi, nawet starą Madonnę Cimabuego”. I te zaułki i place, te *lungarna* z rzeką między nimi, a nawet biblioteki z niezbędnymi książkami i schronieniem w zmęczeniu. Po ledwie dwu latach coraz częściej pozostawało już tylko wyklinanie swojej upokarzającej bezradności wobec egzystencji w chłodzie i głodzie, wśród ludzi bez serca, bez dobrego słowa. Zwymyślał wtedy to miasto za jego strasznych mieszczan, za „przeklętych tokańczyków”, jak ich nazwał potem inny pisarz odwołując się po raz ostatni bodaj także do literatury rosyjskiej, do poezji Błoka, który wówczas tak na to zwodnicze piękno wokół psioczył: *Proszczaj niemytąja Floriencja – zapadnij się, Judaszu, w mroki wieków, w swoje ropiejące, szpetne brudy na zdradzieckim obliczu...*

Alte wracajmy do snu, do Warszawy po nieznanym latach. Do tego równie dwuznacznego miasta, o którym

ówże Rosjanin Błok pisał, że jest *upozorowane, przy-czajone, kultywujące nienawiść*, ale Francuz Henri de Noussanne inaczej je określił: *można chcieć robić wiele przeciw Warszawie, nikt jednak nie pozbawi jej położenia, które z niej czyni punkt węzłowy świata*. Leopold nie mógł o tym zapomnieć, ale o kamienie nadziei boleśnie się potykał, po czym jakby inwalidzką laskę swoją zamieniał na koromysło równowagi. Gdy powiedziałem mu na placu Saskim, że jest jak ta samotna cerkiewna wieża, pochylona, lecz nie ze starości przecie, odrzekł, że jest jak to gruzowisko po świątyni chrześcijańskiej raczej, gdzie już tylko w podziemiach żyją korzenie dwóch ostatnich drzew umierających na placu...

I obrócił się cały do tych młodych za kratami, a wspierając się na swoim kosturze godności uniósł wysoko białą głowę starca głoszącego homilię do prawd zagubionych – jak u nas odprawia się panichidę dla sprawy przegranej, lecz gotowej zmartwych-wstać na dzwon życia.

– Moi młodzi bracia! – zwrócił się do zgniecionych serc i głów po drugiej stronie bariery. – Orły i szcuchy polskie! Zechciejcie wygwizdać mnie, a wy wciąż gwizdźcie przeciwko sobie... – Ale gdy przewodniczący przerwał mu uwagę, że to nie jest wiec, że znajdują się w uniwersyteckiej auli, burza gwizdów grzmotnęła ze zdwojoną siłą i uniosła całą kopułę mojego snu jak balon bez uwięzi grożąc eksplozją wydarzeń. Nic się jedna nie stało, bo przemożny gwizd opadł na prezydialny stół i stłumił protest władzy. Toteż Leopold ze spokojem powrócił do swojej homilii i powiódł ją posłusznie profesorskim szlakiem. – Teraz słowo potoczy się rażniej – zapowiedział – choć przywołuję je z myśli różnych czasów... Od początku wieku spisują je uparcie, pomnażając cierpliwie i o wasze sprawy, które coraz bardziej stają się wspólnymi. Niestety, po drodze nazbyt często przepadają bezpowrotnie... Wstyd się przyznać – zachrypiął nieco potrząsając zwichrzoną brodą, – ale, co wyznają przed wami z bolesnym niepokojem, spostrzegam coraz częściej, jak to wszystko wtapia się w ogólną myślową breję, nazwaną tu niefortunnie mierzwą.

Powiało zaduchem kłęski, ale stary strukturalista nowej gnozy ani myślał kapitulować. – Sądzę jednak, moi młodzi przyjaciele, że to jest w końcu fortuna mierzwa, wbrew popolitym sądom, nieodzowna. To żyzna gleba, na której dopiero teraz, po latach naszej orki drzewo waszej młodości może zapaść głębokie korzenie. Nie każdy sad od razu rodzi zdrowe owoce, ale bądźcie pracowici i cierpliwi, aż przyjdzie chwila, gdy spróbujecie raz jeszcze w imieniu wielu pokoleń odmienić koleje losów naszej ojczyzny... „Nie jest to żaden manifest ani wyznanie wiary – recytował swój stan ducha. — Nie czuję poza sobą żadnego zwarte-go zastępu, którego myśli i uczuć słowa moje mogłyby być wyrazem. Czuję się sam, jak każdy chyba piszący po polsku dziś – w tym smutnym okresie naszego duchowego życia (...), gdy słowa najbardziej piękne, najbardziej goryczą przesiąknięte nie dotykają nigdy nikogo do żywego, nie napotykać nigdzie żywej i czującej duszy. (...) I wszystko tonie w tej obmierzłej, flanelowej ciszy. Utoną zapewne w niej i moje słowa. (...) Byliśmy zbyt skromni i cisi, pozwalaliśmy, aby mówiono o nas i słuchaliśmy tego w milczeniu; pora nareszcie, abyśmy głos zabrali sami. (...) Głos

mój jest zbyt słaby, aby posłużyć za głos alarmowy, niechże będzie przynajmniej pierwszą pobudką. (...) Społeczeństwu naszemu opowiadano tysiące legend, nazywano nas *burzycielami najświętszych tradycji* (...), odwoływano się do najniższych instynktów motłochu (...), aby tylko skutecznie oczernić nas lub zdławić. (...) Bezczelność tylko zamienia tu oskarżonych w sędziów i odwrotnie, a tchórzostwo jedynie czyni tę przemianę możliwą. Dość! – Przerywał, skracał Leopold to swoje ostatnie słowo, a i tak każde z nich cięto napiętą sytuację sali jak odłamki granatu. – Oni to – rozgrzewał się, przeistaczając obronę w oskarżenie – uporczywie i systematycznie hodowali gnuśność myśli naszej publiczności, oni to doprowadzili do tego, że publiczność ta przestała wierzyć, aby wszystko, co wielkie, poważne, głębokie mogło być czymś innym niż frazesem lub pozą. (...) Jest to atmosfera, w której zaciera się różnica pomiędzy *przyzwoitą, dobrze wychowaną pobożnością* i *umiarkowaną pieprzną operetką*, atmosfera, w której wszystko mięknie, traci ton, maleje, w której każde słowo lub myśl głębsza stają się dziwactwem godnym pobłażliwego, wyrozumiałego uśmiechu. Atmosfera, słowem, w której żyjemy my wszyscy, w której powstają te tak dobrze znane, przyzwoite, ślimacze dusze, atmosfera, która niebawem stanie się synonimem polskości. Bo nie trzeba się łudzić, dusza naszego społeczeństwa karleje z dniem każdym, Warszawa staje się coraz bardziej cieplarnią przyzwoitego, dobrze wychowanego głuptactwa. – Gdy znowu zwrócił się w stronę prezydiального stołu, za którym przewodniczący trybunału to powstawał, to przysiadł, a jego współsędziowie zamarli z wytrzeszczonymi oczyma, zaczął mówić do nich jak do możliwych wychowawców, ale tak ustawiony, że nie wszystko do mnie docierało, pewnie pogubiłem jakieś ważne słowa, zrozumiałem, że odwoływał się do Orzeszkowej i Prusa, że to *drogie dla nas imiona*, na które młodych się jednak nie kieruje, bo są wandale i nihilisci, w nic już nie wierzą. – A kim wy jesteście – wołał – że im *brak wiary zarzucać śmiecie*? Czy doprawdy zachowaliście wiarę przodków waszych? Teraz jest chwila, kiedy nie można kłamać. Odważcie się spojrzeć w siebie samych, odpowiedzcie szczerze samym sobie na straszne pytanie, jakie wam zadają: *w co wy wierzycie*? Czy ośmielicie się twierdzić (...) że macie choć tylko tę prostą, rodzinną wiarę, jaką mieli rubaszni, nieoświeceni *sodales mariani* o podgolonych łbach, z których się najczęściej kurzyło? Wiara to zwyczaj, natóg, gorzej – to konwenans tylko. Gdyby zjawił się pomiędzy wami człowiek prawdziwie religijny, w głębi duszy uznałibyście go za szaleńca, dziwaka, człowieka pozbawionego taktu. O, bo wy jesteście bardzo taktowni! (...) Wasze dusze to śmietniki (...) wasze ideały to puklerze beczynności duchowej, to gnuśne zadowolenie z tego stanu chaosu i rozpyleń, w jakim się wasze dusze znajdują.

Musiał złapać więcej tchu, bo zaczął się potykać w słowach, ale i ruchach robiąc krok w stronę tych w prezydium, laską się powstrzymując przed gwałtem, jakim się ku nim z gniewem zamierzył. Gdy się opanował, mówił już o prawdzie, o tęsknocie za nią w młodym życiu nadiągających pokoleń. „Potrzeba prawdy jest tym, co w nas najgłębsze, najistotniejsze”. „Prysnąć muszą wszystkie najbardziej szanowne kłamstwa, na których się samo życie społeczne opiera”. „Pora

z tym kłamstwem skończyć”. Widać było, jak usilnie próbuje znaleźć dla tych oskarżeń argumentację w konkretach, w rzeczywistości ogólnie znanej, a przynajmniej odczuwalnej. I chyba trafił dobrze posługujący się tym konfliktem ogólnonarodowym, historycznym i współczesnym losem polskim o niezmiennej aktualności. Tkwić między wschodem a zachodem, jakaż to udręka! – Wyście to sprawili! Znowu wołał głośno i wyraźnie. – Wspaniały to sukces, że społeczeństwo nasze jest odgródzone od europejskiego życia parkanem, poprzez który przedostają się do nas tylko oddzielne gałązki tego niezwykłego duchowego lasu, który tam bujnie wyrasta w kulturze i ludziom nadziei przydaje! Wyście to sprawili, że do tego lasu wchodzimy z lękiem i w gorączce, wszak można zgubić się w jego stukwieciu i zapomnieć, spod jakiej strzechy żeśmy są! I wy śmiecie opowiadać o naszym kulturalnym przodownictwie pośród ludów słowiańskich! Wasza działalność to hodowla pobożnych kłamstw. Skończyły się czasy powierzchownego, lekkiego, z dnia na dzień prześlizgującego się życia. Życie musi na nowo stać się czymś głębokim, szczerym i dostojnym. I swobodnym, przyjaciele, s w o b o d n y m!

Poleciało to po sali całej, po tej dużej auli uniwersyteckiej rozkołysanej teraz wzburzeniem dobrym i złym, zgiełkiem rosnącym za kratą, ale i od stołu trybunalskiego, uspokojonym na chwilę, gdy ten mistrz socjotechniki edukacyjnej, jak go już wówczas nazywano, rzucił ku studentom zaiste zadziwiające zaproszenie: – A teraz synowie i wnukowie moi chodźcie ze mną do katafalku w warszawskiej SS, by przy winie pożegnać się z tym, który was niczego nie nauczył, ale zostawia wam rozumem i sercem wytyczoną drogę...

Jeszcze raz żachnął się przewodniczący i nakazał wszystkim pozostać na miejscu do chwili ogłoszenia wyroku, ale na reakcję oskarżonego, że wyrok wszak już zapadł, aula zakolebała się jeszcze gwałtowniej swoim demonstracyjnie obywatelskim nieposłuszeństwem, po czym Leopold odpląnął w nurcie młodzieży jako tej pokoleniowej korporacji ojciec i towarzysz.

Znalazłem się w ogniu potoku, a gdy dotarliśmy poza bramę uczelni, rozległy się żałobne dzwony świętokrzyskiego kościoła budząc we mnie niejasne przeczucie ostatecznego pożegnania. Oponowałem ściskającym się sercem spoglądając na kapiący od złota napis pod kopułą mojej dawnej szkoły – *Societas Scientiarum Varsaviensis* – dokąd zmierzaliśmy w głuchym od dzwonów pochodzie powtarzając sobie, że przecież nastąpiło przesilenie, jesteśmy na dobrej drodze do wieczności, płomienie wzniecone w duszach tej młodej fali ponad narodem płynącej nie gasną w powodzi licha lichoty.

Droga wiodła między spiżowymi posągami tych, którzy chcieli poruszyć niebo i ziemię, żeby ludzie nauczyli się wiedzieć, kochać i śnić, i nie byli skazani na milczenie – jak astronom w imieniu mesjasza, jak mesjasz przez lud swój bezduszny... „Myśmy nie korzystali z cudzego życia, myśleliśmy przeżyciami własnymi”, czytałem na ulotkach z *Płomieni*, rozsypywanych z góry przez chmarę aniołów, jakie znad soboru saskiego sfrunęły ku bazylice świętokrzyskiej, niosąc na białoczerwonych skrzydłach przesłania do epitafrum straconego pokolenia. Szum był wielki, melodyjny niczym muzyka sfer, przeszedł wiatr zrywając z muru strzępy teatralnego afisza, na którym z trudem dało się odczy-

tać: ...Polski, ul. Stanisława Brz.. [dawniej Karasia] od-
wołu...przedstawienie sztu...Pasterz pióra ...sława...
zowskiego z powodów... A potem wszystko ucichło,
płomienie przygasły i stało się.

– Tęsknisz ojczulku, za Warszawą – ocenił Leopold
mój sen.

Opowiedziałem mu go mniej lub więcej niż zapamię-
tałem i niż był naprawdę. Nie przejął się nim od razu, po-
śmiał się trochę z tego określenia *sen, który był naprawdę*.
Powiedziałem więc, że sen jest częścią rzeczywistości,
a ten akurat nadbudowuje nad nią pełen ruchu i cieni
taras, na którym dzieją się także rzeczy nie do końca
przeze mnie spostrzeżone, niedostatecznie wyraźne
i zrozumiałe, by móc je wprowadzić w zapis świadomości.

Zdziwił się, bo przedtem nie mówiłem mu o żadnym
tarasie... Odrzekłem, że teraz mówię, gdyż teraz wyda-
je mi się, że zostawiłem tam sprawy najważniejsze, te
z krypty podświadomości.

– Zmyślasz – skwitował Leopold rzeczowo. – Prze-
cież nie mogłeś usłyszeć tego, czego jeszcze nie ma.

– We śnie to Bóg prawdę przynosi – uznałem po-
ważniejąc. – Nigdy dotąd nie nazwałeś mnie kacapem.
Ale czy to znaczy, że nie nazwiesz? We śnie do mnie
tak powiedziałeś.

– *Nie żuriś, Aleksandrycz* – pocieszył mnie. – Ja po-
dobno też mam duszę zruszczoną, więc i ze mnie ka-
cap niegorszy. Wcześniej czy później nadejdzie czas,
kiedy obwołają mnie pisarzem ultrareakcyjnym...

– Nie za to będziesz sądzony na starość...

– I owszem, powieszą mnie za wszystko razem
wziąwszy. Katolicy za socjalizm, socjaliści za katoli-
cyzm. Na starość. W Polsce wyzwolonej.

Zamyślił się, zapatrzył się w siebie. Westchnął cięż-
ko, jakby go coś w środku zabolalo.

– Na starość... W Polsce wyzwolonej – powtórzył.
– Kiedy to się stanie? Czy się w ogóle zdobędziemy
na coś takiego, na coś wielkiego? Tkwimy w głębokiej
zapaści, trudno pchnąć do przodu wóz pobawiony kół.
Nawet gdy próbujemy je wstawić, to są to koła drewniane
do drewnianego wozu... – Odetchnął głębiej i oży-
wiając się po swojemu, sobie zaprzeczając dodał: – Ale
to przejdzie... Może przecież zdoła się choć o pół cala
łożysko myśli polskiej pogłębić... Ja potrzebuję tylko
dziesięć lat, a ty mi pół wieku oferujesz. Dzięki.

– Wcale nie zwyciężski to czas, jak usłyszałeś...

– Sen mara... Wprowadźmy w to mój czynnik histo-
riotwórczej świadomości, a wszystko nabierze blasku
jawy. Bo wszystko, co stanowi treść, zawartość świa-
domości, może być zdobyte tylko doświadczeniem,
przeżyciem w historycznym ciągu życie ludzkiego.

– Bóg wiara – uzupełniłem jego myśl przewodnią.
– Zwróć uwagę, że moja podświadomość uczciwie po-
sługiwała się zasobami twojej myśli współczesnej.

– I zaprzęszłej – uściślił. I nieoczekiwane konkludo-
wał: – I to jest właśnie straszne.

– Co jest straszne? – speszyłem się.

– Że nawet po pół wieku nic się w Polsce nie zmie-
ni, a moje zbuntowane idee z czasów młodości nadal
pozostaną trędowate.

EUGENIUSZ KABATC

Fragment przygotowywanej do druku powieści

URSZULA KUZIŃSKA

Kolczyk

W ucho wpinam jeden kolczyk
Tylko z lewej strony
Niektórzy wtedy pytają czemu,
Czemu jeden, czy drugi zgubiony?

Odpowiadam im wszystkim, że kaprys to,
Kaprys-mówią, a myślą: „by być bardziej przewrotną”
A prawda jest taka, że prawą stronę głowy mam
po prostu cięższą
i bardziej samotną.

Liść

Ta ławka jakich wiele
Jest niedziela i słońce popołudniowe we włosach błyska
I obejmuje
Oczy mam zamknięte bezpiecznie
przyjemnie piekące;
Pod stopami widzę liść
Znam ten kolor! – myślę
Patrzy na mnie poważnie
Wnika w głowę
splywa gardłem
zalewa serce
by wydostać się na powierzchnię rumieńcem.

Noc

jestem czarnym krukiem.
podróżuję nocą
pod niebnym firmamentem
iskrzą się demony
moi przyjaciele;
trzaskam skrzydłami
połamane drzewa,
lubię patrzeć jak zgaszone okna
żółte ulice
splywają do wnętrza ziemi.

LUDWIGA WITTGENSTEINA

DZIENNIKI SEKRETNE

Wybuch pierwszej wojny światowej prawdopodobnie uchronił Ludwiga Wittgensteina przed załamaniem psychicznym i samobójstwem. Nie powiodła się próba ukończenia w 1914 roku studiów u Georga Edwarda Moore'a¹ w Cambridge, ponieważ nie chciał się poddać zwykłemu obyczajom akademickim. Zrezygnowany powrócił w lecie 1914 roku do Austrii. Jego biograf pisze:

”Poznał duchowy świat Cambridge i zdobył jako przyjaciół dwóch największych filozofów swego czasu. Studia skierowały go do granicy ludzkich możliwości poznania, a mimo to świat akademicki nie potrafił go zadowolić... Utracił wiarę zinstytucjonalizowaną, a mistyczna, bezstłonna wiara oddzielała go od dążeń filozofów pozytywistycznych. U Williama Jamesa przeczytał, że amerykański filozof Charles Sanders Percie napisał, że przekonania są regułami działań człowieka. Teorii należy dowieść prawidłowościami, a wszystko, co nie pociąga z sobą praktycznych skutków etycznych, jest ostatecznie bezwartościowe. Wittgenstein nie widział już więcej żadnych możliwości wyciągnięcia konsekwencji ze swej wiary. Dlatego po wybuchu wojny postanowił wstąpić jako ochotnik do armii austriackiej. W zasadzie wybuch wojny był mu na rękę. Opowiadał później, że zgłosił się do wojska na ochotnika, bo szukał śmierci².”

Wittgenstein stanął do „asenterunku” 7 sierpnia 1914 roku we Wiedniu. Jako zwykły kanonier (w artylerii jest to odpowiednik szeregowca) został wcielony do 2. Pułku Artylerii Fortecznej i skierowany do Krakowa. Jako absolwent wyższej uczelni mógłby mieć prawa „ochotnika-jednorocznika” (odpowiednik podchorążego w Wojsku Polskim) i perspektywę służby oficerskiej. Zrezygnował z tego, ponieważ podczas wcześniejszych poborów uznano go za niezdatnego do służby wojskowej. 9 sierpnia przybył do Krakowa, miasta położonego o kilka kilometrów na południe od granicy rosyjskiej. W tym właśnie dniu rozpoczynają się jego *Dzienniki Sekretne*, pisane szyfrem, szczerze czasem do bólu (i może dlatego spadkobiercy filozofa nie chcieli się zgodzić na ich druk), często pełne pozornie nieistotnych drobiazgów, ale w istocie stanowiące niezwykłą kronikę jego dociekań, jakie doprowadził w trakcie pisania *Tractatusa*. Oto ich początkowe fragmenty:

ZESZYT PIERWSZY

9.VIII.14.

Wzięty przedwczoraj z asenterunku i przydzielony do 2 Pułku Artylerii Fortecznej w Krakowie. Wczoraj przed południem wyjazd z Wiednia. Dziś przed południem jestem w Krakowie. (...)

Czy teraz będę mógł pracować?? Pełen napięcia na nadchodzące życie! Władze wojskowe we Wiedniu były niewiarogodnie uprzejme. Ludzie, do których tyś się zwracają się codziennie o radę, dawali przyjazne i wyczerpujące odpowiedzi. Coś takiego niesłychanie dodaje odwagi; przypomina mi to angielskie stosunki.

10.VIII.14.

Przebrany za rekruta. Mało nadziei na wykorzystanie mojej wiedzy technicznej. Potrzeba mi bardzo dużo dobrego humoru i filozofii, ażeby się tu połapać. Gdy się dziś zbudziłem, było mi jak w jednym z takich snów, w których nagle całkiem bezsensownie siedzi się znowu w szkole. Również komiczna jest sytuacja na moim posterunku, wykonują najnikczemniejsze posługi z niemal ironicznym uśmiechem. Nie pracowano. To ogniowa próba charakteru, bo trzeba do niej tyle siły + nie tracić energii.

11. VIII.14.

Złe spanie (robactwo). Jak tylko pozamiatalem izbę, pomaszzerowaliśmy do paru starych [...] i poinstruowano nas o ich obsłudze. Straszliwy upał. Strawa niejadalna. Może w przyszłości będę spał poza kasarnią. Napisałem do Davida.⁴ Tęsknię za listem od niego, aby nie utracić kontaktu z moimi dawnymi czasami. Nie pracowano.

Gdy Ludwig Wittgenstein przybył jesienią 1911 roku do Cambridge poznał się tam przede wszystkim z Bertrendem Russellem, znajdując wkrótce w jego kręgu z Trinity College licznych kolegów. W tym gronie znalazł się również G. H. S. Pinsent, kuzyn wspomnianego powyżej w dzienniku Davida Pinsenta, którego później uzna za swego „jedynego prawdziwego przyjaciela”. Wittgenstein poświęcił jego pamięci „Tractatus”. David Hume Pinsent (1891–1918), w bocznej linii spokrewniony ze słynnym filozofem, początkowo studiował matematykę a potem prawo. David interesował się bardzo muzyką, co wkrótce związało go z Wittgensteinem. Obydwaj lubowali się szczególnie w muzyce Schuberta i Beethovena. Obok muzyki zbliżało przyjaciół zainteresowanie eksperymentami psychologicznymi. Wysublimowane

¹ George Edward Moore (1873-1918) – filozof brytyjski. Wraz z Bertrendem Russellem stworzył w Cambridge ruch, który znany jest dzisiaj jako filozofia analityczna. Do jego najważniejszych pism zalicza się *The Refutation of Idealism (Obalenie idealizmu)*. Moore próbuje zwalczać idealizm w stylu neoheglowskim. Jest autorem wyjątkowego w historii filozofii dowodu na istnienie świata fizycznego: uczynił to, pokazując dłoń.

² Wilhelm Bum: *Ludwig Wittgenstein – Köpfe des XX Jahrhunderts*. Berlin 1985 str. 26

³ Brak słowa

⁴ David Pinsent (1891 – 1918), angielski przyjaciel Wittgensteina ze studiów.

elementy homoerotyczne mogły odgrywać pewną rolę w tej przyjaźni, w której dominującą rolę pełnił Wittgenstein. Russell napisał w maju 1913 roku do lady Ottoline, swojej przyjaciółki, że Wittgenstein i Pinsent podczas jednego z jego wieczorków towarzyskich „zajmowali się wyłącznie sobą, nie troszcząc się o resztę świata”.

Dziennik Pinsenta ułatwia nam wgląd w stan ducha 23-letniego Wittgensteina. Po ich poznaniu się na początku maja 1912 roku na przyjęciu u Russella, David napisał w swoim pamiętniku pod datą 31 maja 1912 roku:

O trzeciej spotkałem Wittgensteina w laboratorium psychologicznym i przeprowadziliśmy dalsze eksperymenty rytmiczne. Na koniec znienacka zapytał mnie jak zamierzam spędzić wakacje i zaproponował żebyśmy razem popłynęli na Islandię. Potem, kiedy już oprzytomniałem z zaskoczenia, spytałem go jak ocenia kosztą: odpowiedział na to: „Ach, to nie gra roli. Ja nie mam pieniędzy, ty także ich nie masz – lub jeśli masz jakieś to też wszystko jedno. Mój ojciec ma kupę forsy”. (...)

Cała rzecz wydawała mi się niespodziewana i pociągająca; znam Wittgensteina zaledwie od trzech tygodni, ale dość dobrze pasujemy do siebie. Jest bardzo muzyczny i ma taki sam smak jak ja.

Podróż na Islandię odbyli późnym latem 1912 roku.

1 czerwca 1912 r. Pinsent pisał w swoim dzienniku o przyjacielu:

Był nadzwyczaj rozmowny i snuł mnóstwo opowieści o sobie: dziesięć lat, aż do ostatniego Bożego Narodzenia, boleśnie odczuwał straszną (duchową, nie psychiczną, samotność); stale myślał o samobójstwie, a wstydził się, bo nie mógł zdobyć na odwagę, żeby się zabić. Powiedział dosłownie: „miałem przeczucie, że jestem zbędny na tym świecie; czułem, że marnieję a nie potrafiłem podążyć za swoim przeczuciem.” Wykształcił się na inżyniera, ale nie odnalazł w tym wcale upodobania i nie czuł też w sobie do tego zdolności. Dopiero niedawno zakosztował filozofii i przybył do Cambridge, aby studiować u Russella. To okazało się ratunkiem, bo Russell natchnął go odwagą.

Wittgenstein żył na szerokiej stopie, podróżował z wielkim bagażem i rozdawał wysokie napiwki. Zdarało mu się rezerwować dla siebie na podróż salonkę. W ogóle podróżował wyłącznie pierwszą klasą, nocował w najlepszych hotelach; skromny tołstojski styl życia wtedy jeszcze nie dawał znać o sobie.

Obydwał przyjaciele sporo muzykowali: David grał na fortepianie a Ludwig gwizdał do tego melodie. Wittgenstein ciągle wypowiadał obawy, że wkrótce umrze – dają one o sobie znać również na wojnie, prnotowują je *Dzienniki sekretne*. Russell musiał mu przyrzec, że w razie śmierci ucznia dokończy jego dzieło.

W lecie 1913 roku Wittgenstein informował przyjaciela o swoich studiach logicznych. Pinsent zanotował wzmiankę, że Russell i Whitehead – autorzy dzieła *Principia Mathematica* – byli pod ogromnym wrażeniem rozważań Wittgensteina:

Zdaje się, że obaj, Russell i stary Whitehead, byli zachwyceni jego ostatnią pracą logiczną. Prawdopodobnie pierwszy tom „Principia” trzeba będzie napisać na nowo, a może nawet sam Wittgenstein obejmie pierwszych 11 rozdziałów. To jego błyskotliwy tryumf.

W roku 1913 w końcu sierpnia przyjaciele wybrali się w podróż do Norwegii. 24 września Pinsent zapisał w swoim dzienniku:

Dzisiaj rano Ludwig był w znakomitym humorze, jednakże nagle obwieścił mi niepokojący zamiar, a mianowicie, że usunie się na odludzie i przez kilka lat chce żyć z dala od wszystkich znajomych, choćby tu w Norwegii; chce żyć całkowicie samotnie i w odosobnieniu, jak pustelnik, i nie robić nic, poza pracą nad logiką. Poglądy jego uważam za osobliwe w najwyższym stopniu, lecz dla niego są one z pewnością niezwykle istotne; po pierwsze uważa, że w takich warunkach będzie mógł robić nieskończenie większą i jakościowo lepszą robotę niż w Cambridge, gdzie zawsze ma mnóstwo zakłóceń skupienia uwagi (choćby koncerty), co go rozprasza i stanowi straszną przeszkodę, Po drugie, uważa, że nie ma żadnego obowiązku żyć w antypatycznym świecie (a oczywiście niewielu ludzi uważa za sympatycznych), a więc w świecie, którym stale odczuwa pogardę dla innych i złości ich swoim nerwowym temperamentem.

Powyższy zapis w *Dzienniku* stanowi pierwszy sygnał o zamiarze wycofywania się Wittgensteina z życia akademickiego w Cambridge, którym stopniowo tracił zainteresowanie. Wittgenstein wrócił jeszcze w październiku 1913 roku sam do Norwegii, gdzie zbudował w Skjolden nad fiordem Sogne szałas i żył tam samotnie prawie przez rok. Wątpliwe, czy choć jeszcze raz zobaczył się z Pinsentem, bo latem następnego roku wybuch wojny pokrzyżował plany ich wspólnego urlopu.

13. VIII. 14.

(...) Dzisiaj wydało się, że mam maturę itd. i wielu jednorocznych⁵ tytułowało mnie panie kolego + naciskali na mnie, że powinienem jednak dochodzić swoich praw ochotnika. To mnie ubawiło. (It bucked me up.) Wczoraj i dzisiaj straszny katar i złe samopoczucie. Chwilami nieco zdeprymowany. Spotkałem dzisiaj w kantynie pewnego porucznika, który zauważył, że jem tam obiad. Spytał mnie bardzo uprzejmie, kim jestem w cywilu i bardzo się dziwił, że mnie nie wzięto do ochotników jednorocznych + był w ogóle bardzo przyjazny, co mi bardzo dobrze zrobiło.

Krótko przed wybuchem wojny Wittgenstein poinformował Ludwiga von Fickera, publicystę z Innsbrucka i wydawcę czasopisma literackiego „Der Brenner”, że zamiera ofiarować 100 000 koron ze swego spadku na darowizny dla niezamożnych artystów. Z tych pieniędzy Reiner Maria Rilke i Georg Trakl otrzymali po 20 000 koron, a architekt Adolf Loos, z którym Ficker zapoznał Wittgensteina, dostał 2.000 koron. Wittgenstein życzył sobie pozostać anonimowym mecenasem, tylko Georg Trakl poznał nazwisko darczyńcy. 14 sierpnia, o czym nie wspomina w dzienniku, Wittgenstein napisał do Ludwiga von Fickera, gdzie odbywa służbę wojskową. Listem z dn. 21 sierpnia Ficker pogratulował mu decyzji udziału w wojnie na ochotnika. Zawiadomił go, że poeta Georg Trakl służy również w Galicji jako pomocnik farmaceutyczny.

15.VIII. 14.

Wydarzyło się⁶ tak wiele, że dzień wydaje mi się jak tydzień. Zostałem przydzielony do obsługi reflektora na zajęty przez nas statku na Wiśle.

Załoga to świńska banda! Żadnego zapału, niewiarygodne chamstwo, głupota i złośliwość! Więc to nieprawda, że wspólna sprawa musi uszlachetniać ludzi. Przez

⁵ Posiadający maturę, przyszli kandydaci na oficerów;

⁶ Do tego miejsca normalne pismo, odtąd pismo szyfrowane

to najciężniejsza praca staje się pańszczyzną. Godne uwagi, jak ludzie sami czynią własną pracę wstrętnym mozołem. W naszych okolicznościach zewnętrznych praca na naszym statku mogłaby stać się wspaniałym szczęśliwym okresem, a zamiast tego! – To naprawdę niemożliwe porozumieć się tu z ludźmi (z wyjątkiem porucznika⁷, który wdaje się całkiem miłym człowiekiem). A więc w pokorze wykonywać robotę i, na miłość boską, [siebie samego]⁸ nie zagubić!!! Mianowicie najłatwiej traci się siebie, gdy chce się sobą obdarować innych ludzi.

16.VIII. 14.

Na „Goplanie”⁹. Jeszcze raz: głupota, bezczelność i złośliwość tych ludzi nie zna granic. Każda praca staje się męką. Ale dziś znowu pracowałem i nie pozwoliłem się pokonać. Napisałem dziś kartkę do drogiego Davida. Niech go niebo chroni i zachowa mi jego przyjaźń! Noc z biegiem Wisły jest wspaniała, a ja jestem w dobrym nastroju. a R b. a R c. b S c. = a R [b S c] Def.¹⁰

17.VIII.14

Zgryja bandycka! Oficerowie tylko są miłymi ludźmi i po części naprawdę bardzo delikatni. Musimy spać na gołej ziemi i bez koców. Jesteśmy teraz w Rosji¹¹. Przez ciężką pracę stałem się zupełnie beznamiętny. Dziś jeszcze nie pracowano. Na pokładzie jest za zimno, a na dole zbyt wiele ludzi, którzy mówią, wrzeszczą, śmieją, etc.

18. VIII.

W nocy o 1 zostałem nagle zbudzony. Kapitan pyta o mnie i mówi, że muszę natychmiast do reflektora. „Nie ubierać się”. Pobiegłem prawie nagi na mostek dowodzenia. Lodowate powietrze, deszcz. Byłem pewien, teraz umrę. Uruchomiłem reflektor i z powrotem, ubierać się. Było [...] wszystkim. Byłem straszliwie zdenerwowany i stękałem głośno.

Doznałem trwogi wojny. Teraz (wieczorem) przeżyłem już strach. Będę dążył ze wszystkich sił, żeby zachować życie, o ile nie stracę zmysłów.

21.VIII. 14.

Porucznik¹² i ja rozmawialiśmy już na wszelkie możliwe tematy – bardzo miły człowiek. Potrafi się obchodzić z najgorszym łajdakiem będąc uprzejmym i nie uwłaczając sobie. Jeśli słyszymy Chińczyka, bywamy skłonni uważać jego mowę za nieartykułowany bełkot. Ktoś, umiejący po chińsku, rozpoznaje w tym język. A często nie potrafię człowieka rozpoznać w człowieku. Pracowałem nieco, ale bez rezultatu.

~~_____~~

⁷ Najprawdopodobniej chodzi tutaj o dra Wojstawa Molè, Słoweńca z Karyntii, ur. w 1886 r. Studiował on prawo i historię sztuki w Wiedniu, Krakowie i Rzymie, doktoryzował się w 1912 r. w Wiedniu. W 1914 r. wcielony do służby wojskowej służył na froncie w Galicji, został później wzięty do niewoli rosyjskiej, gdzie przebywał w Krasnojarsku i Tomsku; w 1919 r. habilitował się w Tomsku i został docentem archeologii, historii oraz sztuki bizantyjskiej w Krakowie na UJ, gdzie w 1926 r. został profesorem historii sztuki słowiańskiej. Napisał: *Historię sztuki starożytności bizantyjskiej i bizantyjskiej*, dzieło *Sztuka rosyjska do 1914 r.*, monografię o *Słowiańskiej sztuce ludowej* oraz podręcznik *Sztuka, jej kształt i wyraz*.

⁸ Ujęte w klamry, bo przez Wittgensteina podwójnie podkreślone.

⁹ Statek patrolowy, na którym Wittgenstein pełnił pierwszy okres służby wojskowej.

¹⁰ W oryginale nawiasy kwadratowe

¹¹ Trzeba sobie uświadomić, że już Niepołomice były w Rosji (przyp. tł.)

¹² Patrz przypis 7

Czy to już na zawsze koniec z moim pracowaniem?!!!
Czy nie wpadnę więcej na żadem pomysł? (...)

22. VIII. 14.

Stoimy już 3 dni na mieliźnie. Pracuję sporo, często przerywając, dotychczas całkowicie bez sukcesu. Ciągłe nie mogę trafić na nic trwałego. Wszystko tonie we mgłę.. Tylko wytrzymać!!!¹³

25.VIII.14

Wczoraj straszliwy dzień. Wieczorem reflektor nie chciał działać. Gdy chciałem go zbadać, załoga przeszkadzała mi okrzykami, rykami, etc. Zamierzałem go zbadać dokładniej, wtem plutonowy wziął mi go z ręki. Prawie nie mogę pisać dalej. To było potworne. Zobaczyłem tylko to: nie ma ani jednego mężczyzny w całej załodze. Ale jak mam się zachować w przyszłości wobec tego wszystkiego? Czy mam to po prostu znosić? A jak nie będę chciał tego zrobić? Wtedy będę musiał żyć w nieustannej walce. Co jest lepsze? W 2 przypadku na pewno się wyniszczyć. W pierwszym może nie. Nadsciągają dla mnie niezwykle ciężkie czasy, bo faktycznie teraz zostałem znowu sprzedany i zdradzony jak swego czasu w szkole w Linzu¹⁴. Tylko jedno jest konieczne: analizować wszystko, co się komuś dzieje, WZIAĆ SIĘ W KUPĘ! Boże, pomóż mi!

26.VIII 14

Postanowiłem wczoraj nie stawiać oporu, dostosować swoją zewnętrzną, że się tak wyrażę, aby chronić swoje wnętrze.

29.VIII.14

W każdą noc stoję na mostku kapitańskim do ok. 3.30. Mego zamiaru doskonałej bierności jeszcze naprawdę nie przeprowadziłem. Podłość kolegów jest dla mnie zawsze straszna. Tylko zostać sobą. (...)

2.IX.14

Każdej nocy, wyjątek wczoraj, przy reflektorze. W dzień śpię.

Taka służba jest mi dalece miła, ponieważ w ten sposób uchylam się od złośliwości kolegów. Wczoraj słyszeliśmy o ogromnej bitwie, która toczy się od 5 dni¹⁵. Oby było to już rozstrzygnięcie! Wczoraj po raz pierwszy od trzech tygodni onanizowałem się. Jestem prawie całkiem beznamiętny. Podczas gdy wcześniej wyobrażałem sobie rozmowy z przyjacielem, to teraz prawie tak nie jest. Pracuję codziennie odrobinę. Ale jestem za bardzo zmęczony i rozproszony. Wczoraj zacząłem czytać Tolstoją „Objaśnienia do Ewangelii”¹⁶. Wspaniałe dzieło. Ale to jeszcze nie to, czego oczekiwałem¹⁷. (...)

¹³ Od tego miejsca rozpoczyna się pierwszy zapis z dn. 22. sierpnia 1914 normalnym pismem, jakim zarządcy masy spadkowej Wittgensteina rozpoczynają swoje wydanie *Dzienników* w I tomie „Schriften (Pisma).

¹⁴ C.K. Państwowe Liceum Realne (tł. – Przyrodnicze) w Linzu, gdzie Wittgenstein uczęszczał w latach 1903-06;

¹⁵ Zwycięstwo 1. Armii Dankla pod Kraśnikiem i 4. Armii Auffenberga pod Komarowem.

¹⁶ Nie wiadomo, co W. ma na myśli. Może chodzić zarówno o *Zmartwychwstanie*, albo o przekłady 4 Ewangelii. Tytuł *Erläuterungen zu den Evangelien* nie odwołuje się do żadnego konkretnego utworu Lwa Tolstoją (przyp. tł.)

¹⁷ W tym miejscu zaczyna się drugi, dokonany normalnym pismem, zapis, w wydaniu oficjalnym. (Ludwig Wittgenstein: *Schriften*, tom 1 str. 89 i nast.)

5.IX. 14

Jestem na drodze do wielkiego odkrycia. Ale czy dam radę?! Jestem bardziej zmysłowy. Dziś znowu o... Na zewnątrz jest lodowato i burzliwie. Leżę na słomie na ziemi. Piszę i czytam na małym kufierku drewnianym (cena 2,50 korony).

8.IX. 14

Dowiedziałem się dziś wczesnie rano, że Lwów został zajęty przez Rosjan¹⁸ Teraz wiem, że po nas! W ostatnich 4 dniach nie miałem nocnej służby, bo noce były bardzo jasne. Każdego dnia dużo pracowałem i dużo czytałem Tolstoja „Objaśnienia do Ewangelii”. (...)

12. IX. 14

Wiadomości stają się co raz gorsze¹⁹. Dziś w nocy będzie ostra gotowość. Pracuję codziennie, mniej lub więcej, i naprawdę pełen ufności. Ciągłe przepowiadam sobie w duchu słowa Tolstoja: „Człowiek jest bezsilny ciałem, ale wolny dzięki duchowi”. Oby ten duch był ze mną! Po południu porucznik słyszał strzały w pobliżu. Zdenerwowałem się bardzo. Prawdopodobnie będzie alarm. Jak się zachowam, gdy dojdzie do strzelaniny? Nie obawiam się tego, że mnie zastrzelą, ale tego, że nie wykonam swoich obowiązków należycie. Oby Bóg dał mi siłę! Amen. Amen. Amen.

13. IX. 14

Dzisiaj wczesnym rankiem opuściliśmy statek ze wszystkim, co na nim było. Rosjanie depczą nam po piętach. Przeżyłem straszne sceny. Od 30 godzin nie spałem. Czuję strasznie słaby i nie widzę żadnej nadziei z zewnątrz. Jeśli pisany mi koniec, obym umarł dobrą śmiercią, pomny siebie samego. Obym się nigdy nie zatracił.

Rosyjski „wojenny walec parowy” ruszył na granice austriackie w Galicji i niemieckie w Prusach Wschodnich. 11 września armia c.k. została zmuszona do odwrotu.

15. IX. 14

Przedwczoraj w nocy straszliwe sceny: prawie wszyscy ludzie spici. Wczoraj znowu na powrót na Goplanę, która skierowana została na Dunajec. Wczoraj i przedwczoraj nie pracowałem. Próbowalem daremnie; cała sprawa była jakby obca mojej głowie. Rosjanie depczą nam po piętach! Jesteśmy w bezpośredniej bliskości nieprzyjaciela. Jestem w dobrym nastroju; znowu pracowałem. Najlepiej mogę teraz pracować podczas obierania kartofli. Zgłaszam się do tego na ochotnika. To dla mnie to samo, co szlifowanie soczewek dla Spinozy²⁰. (...)

18. IX. 14

Straszliwie denerwująca noc. Miałem świecić, a w każdej chwili bałem się, że reflektor zgaśnie. Znajdowaliśmy się w najbardziej niepewnym miejscu i gdyby zgasł i coś się stało, cała odpowiedzialność spadłaby na mnie. Potem fałszywy alarm. Zachowałem

¹⁸ Klęska 3. Armii Brudermanna pod Lwowem.

¹⁹ Druga bitwa pod Lwowem lub bitwa pod Gródkiem Jagiellońskim (4 11.IX.1914), nastąpiło po niej wycofywanie się Austriaków.

²⁰ Baruch Spinoza (1632-77) po wykluczeniu z gminy żydowskiej przyjął imię Benedykt i osiedlił się w Paviljoensgracht w Hadze. Utrzymał się ze szlifowania szkieł optycznych (przyp. tł.)

pełny spokój i usłyszałem, jak plutonowy próbował mnie oczernić przed porucznikiem. To mnie strasznie zdenerwowało. Od 1 do 3 na posterunku. Bardzo mało spałem. Wczoraj nie pracowałem. Nieskończenie trudno nieustannie przeciwstawiać się złu. Ciężko, z pustym żołądkiem, niewyspany, służyć duchowi! Kim byłbym, gdybym tego nie potrafił. Przełożeni są ordynarni i głupi, koledzy głupi i ordynarni (z nielicznymi wyjątkami). W drodze do Krakowa z galarami. Dzień upłynął spokojnie, bez nieprzyjemności. Trochę pracowałem.

19.IX.14.

Do Krakowa. Wczoraj wieczór do godz. 11 musiałem świecić na moim statku. W nocy bardzo zimno. Już od 4 dni nie zdejmuję ubrania i butów. Ale to nic - - - Po co się na darmo martwić, co mnie spotka w Krakowie. Wiem, nie powinienem się tym troskać, lecz czuję się taki zmęczony, aż boję się wysiłku. (...)

22. IX. 14

Przed południem w kasarni u kapitana, aby przynieść pieniądze. Powiedział, że mam sobie naszyć paski jednoroczników²¹. Zrobiłem wiele sprawunków i z powrotem na statek, gdzie naszywki wywołały wielką sensację. Dostałem masę listów i kartek, m. in. od Fickera²² i Jolles²³. Nie pracowałem - - -²⁴

29. IX. 14

Dziś rano odstawiałem do szpitala kaprala, który zachorował na biegunkę. Tu teraz zdarza się wiele przypadków biegunki. Mam dziwne uczucie, jak pomyśle, co jeszcze będę musiał przeżyć w tej wojnie. Pracowałem, ale bez wyniku. Ciągłe jeszcze nie widzę jasno i nie mam dystansu. Widzę szczegóły, nie wiedząc, jak je [...] połączyć w całość. [...], każdy nowy problem odczuwam jako brzemię. [...] [...] musiałbym ukazać jasną perspektywę, że każdy problem jest problemem głównym, a rzut oka na kwestię główną (?) nie blednie, tylko przybiera na sile. Wieczorem pracowałem nie bez rezultatu. Tylko odwagi! - - -

30. IX. 14

Dziś w nocy zacząłem się czuć źle (żołądek i głowa). Bądź wola Twoja. (...)

Fragmenty Dzienników cytowane za: Ludwig Wittgenstein: *GEHEIME TAGEBÜCHER*, Turia & Kant Verlag; Wien

Opracował i przetłumaczył

JAN GÜNTNER

Ciąg dalszy w następnym numerze

²¹ Odznaki stopnia ochotników-jednoroczników w wojsku, tj. posiadających maturę.

²² 22. września Wittgenstein otrzymał obydwie listy Fickera, z dn. 21. sierpnia i 15 września i wyraził zgodę na wszystkie propozycje wsparcia finansowego fundacji „Brenner”, w tym dla Rilkego, itd. Na drugiej kartce z tego samego dnia wyraził nadzieję, że może spotka się z Georgiem Tracklem. Por.: Ludwig von Figner: *Korespondencja*, patrz przypis 7, tu str. 17 i nast., Nr. 274 i nast.

²³ Adela Jolles, żona Stanisława Jollesa, (1857–1942), który był nauczycielem Wittgensteina w Technische Hochschule w Berlinie-Charlottenburg w latach 1906-09. Obydwójce pozostawali w łączności z Wittgensteinem do 1939 r.

²⁴ W Brenner-Archiv w Innsbrucku są obydwie wzmiankowane listy, inne z tego samego okresu nie zachowały się.

²⁵ Tu słowo nieczytelne; wydaje się, że całe miejsce zostało mocno wytarte gumką.

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

„UMARŁA KLASA” W AMERYCE (II)

Zanim „światowe życie <Umarłej Klasy>” osiągnęło swój drugi amerykański szczyt, z perspektywy windy, mknącej niczym kosmiczna kapsuła po szklanej powierzchni jednej z kilku wież Westin Bonaventure Hotel – prawdziwej chluby nowej architektury Los Angeles – wszystko wydawać się musiało i bardzo proste, i bardzo skomplikowane. Proste, bo jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki nagle znajdowaliśmy się na widokowym tarasie – Szczycie Pięciu Wież, zwanym tu jeszcze krócej „Top of Five”. Stąd właśnie poprzez Downtown, nad którym Bonaventure króluje, ukazywały się zręby parterowego Hollywoodu, dokąd wiodł system niezawodnych freewayów (tak określa się tu autostrady, stanowiące zbawienie 15 milionowej metropolii). Komplikację natomiast stanowił dla europejskiego przybysza problem, jak ze wzmiankowanej cudownej windy – komfortowego wytworu japońskiej myśli eksportowej – trafić szybko do swego pokoju, ukrytego – jak się okaże – wokół magicznego kręgu jednej z pięciu wind. Wprawdzie kolor klucza (który jest tu tylko plastikowym prostokątem, zakończonym kodową perforacją) gwarantował znalezienie się wokół tej, a nie innej wieży, ale praktyka bywała różna, nie wszystkie bowiem windy obsługują wszystkie piętra. Jeśli zdarzyła się pomyłka, gościa czekał los psa myśliwskiego, który zanim wybierze swe leże, obiegnie całe piętro, klucząc po pięciu okręgach. (...)

Oto więc stoję w olbrzymim przeszklonym oknie komfortowego i dobrze klimatyzowanego apartamentu i za trzy dni jako aktor krakowskiego Teatru Cricot 2 wystąpić mam w ... Hollywood, podczas towarzyszącego wyczynom sportowców [*chodzi o letnie igrzyska olimpijskie w 1984 r., zbojkotowane zresztą przez kraje tzw. „demokracji ludowej” – przyp. red.*] Olimpijskiego Festiwalu Sztuki, kiedy to kilkutysięczna rzesza artystów z całego świata zadziwiać miała publiczność swymi sprawnościami. 10-tygodniowy przegląd rozpoczął się w Los Angeles już 1 czerwca i ujawnił z całą ostrością, iż w poszukującym teatrze, balecie, plastycznym działaniu równie istotnym elementem – obok odkrycia myślowego – staje się sprawność publicznej jego prezentacji, że w muzyce decyduje nie tylko pomysł zapisu, ale i skala podnoszonych w wyniku wieloletniego treningu możliwości interpretacyjnych, że wreszcie, by

nie mnożyć paralel, o każdym artystycznym sukcesie decyduje wieloletnia praca, wymagająca i poświęcenia, i wielu wyrzeczeń. Jest jeszcze jeden psychologiczny fenomen, który zbliża prawdziwą sztukę do wielkiego sportu. To element przypadku, który czyni odkrycie wielkim, to ten niepochwytny błysk zrozumienia, który zaskakuje odbiorcę i zdobywa jego sympatię, to ten łut szczęścia, który prowadzi do zwycięstwa.

Podążając luksusowym mini-busem, który przedrzeć się musiał przez sześciopasmowy freeway w kierunku Hollywood, gdzie w telewizyjnym centrum teatr Tadeusza Kantora pokazywał dwa jego słynne spektakle: „Wielopole, Wielopole” i „Umarłą klasę”, mieliśmy trochę czasu, by porządkować te wszystkie, narzucające się asocjacje. Było rzeczą zastanawiającą, jak w czasie teatralnego przeglądu do głosu dochodzili autorzy starogrecy, którzy być może – przed wiekami – uczestniczyli w Olimpiadzie na tej samej zasadzie, co i my. Może też w swym wielokonnym, reprezentacyjnym zaprzęgu dopatrywali się odpowiadającego im komfortu jazdy.

Spojrzenie zaś na miasto, z którego historią związała się już jedna z ważniejszych, bo ostatnia nieskażona polityką, Olimpiada międzywojenna 1932 roku, nakazywało ze sterty materiałów i ze złogów sportowo – młodzieńczej pamięci, odgrzebać jeszcze jedną historyczną paralelę, która legła u podstawy myślenia ludzi, organizujących Festiwal Sztuki. Otóż w Los Angeles w 1932 roku zaprezentowano 1100 prac artystów z 32 krajów, a zwycięzców nagradzano zgodnie z ceremoniałem sportowym.

Przedłużający się w nieskończoność wieczór 1 lipca 1984 roku wywołał jeszcze jedną asocjację: oto w 1932 jedynymi naszymi reprezentantami w konkursie sztuki byli artyści plastycy i oni to zostali medalistami: Józef Klukowski – złotym – za monumentalny blok granitowy „Wieńczenie zawodnika” i Janina Konarska – srebrnym – za barwny drzeworyt „Narciarze”. A teraz – ich dzieło, po przeszło pół wieku – w jakże zmienionych i dramatycznych okolicznościach kontynuuje... Tadeusz Kantor, przedstawiający najbardziej osobiste teatralne dokonania swego życia: „Umarłą klasę” i „Wielopole, Wielopole” w telewizyjnym Studio 9 w Hollywood, wypełnionym przez dziewięć wieczorów po brzegi prawie 700-osobową widownią. (...) 10 tygo-

dni prezentacji światowej kultury oznaczać miało, że od 1 czerwca do 12 sierpnia 1984 r. w galeriach i muzeach, salach teatralnych i kinowych, studiach telewizyjnych i na placach publicznych Kalifornii mieć będzie miejsce 400 przedstawień teatralnych, baletowych i koncertów muzycznych i 7 „mini-festiwałów”.

Znany teatralny prowokator angielski Steven Berkoff, twórca głośnego przed laty skandalu obyczajowego na scenie („East”), zaproszony przez Festiwal, zrealizował swoją wersję „Agamemnona” Ajschylosa w formie ordynarnego teatralnego skeczu. Twórca znanego w Polsce japońskiego zespołu „Waseda Sho-gekijo” – Tadashi Suzuki – przywiózł swoją wersję Eurypidesowych „Trojanek”, w których zasady teatru modyfikuje antywojenny protest kobiety, przeżywającej tragiczne wydarzenia w trzech wcieleniach. Te przewrotne interpretacje można było porównać z greckim spektaklem „Edypa”.

Royal Shakespeare Company, który po wielu latach tułaczki doczekał się w Londynie godnego swej historii teatralnego centrum, przywiózł komedię „Wiele hałasu o nic”. Na pierwsze jednak miejsce wysunął się paryski Theatre du Soleil z trzema inscenizacjami szekspirowskiego dramatu dokonanych przez Ariane Mnuchkine. „Ryszard II” ze świetny Georgesem Bigotem w roli tytułowej, „Henryk IV, część I” i „Wieczór Trzech Króli” – każda z tych sztuk stała się pretekstem do spektaklu bardzo atrakcyjnego, wyzywającego, ale dopracowanego do końca w swej fascynacji formą. Wspomniany „Ryszard II”, rzecz o mechanizmie historii, który zmiata z powierzchni życia słabego władcę, rozegrany został w konwencji japońskiego Teatru Kabuki, ze wszystkimi ruchowymi konsekwencjami tego zabiegu. Kunszt aktorski, jaki był potrzebny do realizacji tego przedsięwzięcia, to wynik wieloletniej pracy z aktorami, osiadłymi w podparyskiej Cartucherie, koło Vincennes. Olbrzymie wrażenie pozostawiła po sobie „Burza” w inscenizacji Giorgio Strehlera, którego ten „szekspirowski testament” wielokrotnie niepokoił. Wersja ostatnia, przygotowana w Mediolanie wraz z zespołem Piccolo Teatro, łączy w sobie dwa wymiary: kolorowego szaleństwa inscenizatora i filozoficznego zamyślenia nad granicami życia i kreacji. Oglądając raz jeszcze ten spektakl, nie potrafiłem oprzeć się złudzeniu, że oto przed nami stanie za chwilę Herodot, by – tak jak kiedyś w czasie 84 Olimpiady w roku 444 p.n.e. – cytując fragment swoich „Dziejów” przypomnieć nam raz jeszcze o przemijalności tego świata.

Jedna z point, sformułowanych głośno na peryferiach miasta – molocha, noszącego nie wiadomo dlaczego przydomek „Miasta Aniołów”, przypominała o przemijalności zasad. Zasad czystego amatorstwa. Pieniądze kryją się za nieukrywany już emblematami, znakami, symbolami czy nawet reklamowymi hasłami, którymi pokrywane są coraz gęściej koszulki, spodenki, dresy, kolce, buty, czapeczki zawodników – amatorów. Zgodnie z daleko posuniętą „liberalizacją” amatorskich przepisów można już właściwie wszystko, łącznie z inkasowaniem pokaznych pieniędzy. W tej kwestii – dla ruchu olimpijskiej podstawowej – znaleziono znakomite „obejście”: sportowiec-amator to taki typ zawodowca, który udaje, że gdzieś jeszcze pracuje (najczęściej zaś długo i uporczywie studiuje), zaś stypendia, zapomogi, nagrody, premie i honoraria umieszcza na koncie. Pieniężnej zaś zawartości tego konta używa tylko w określonej wysokości, oczekując momentu, kiedy on jako właściciel tych

pieniędzy, przestanie być... amatorem. [Od redakcji: *te uwagi opisują sytuację sprzed ćwierćwiecza, dziś już o amatorstwie w sporcie w ogóle zapomniano*]

Te rozważania stały się tematem mojego spotkania ze studentami teatrologii UCLA, którym to skrótem zrozumiałem tu przez wszystkich określa się wspaniale ukryty pośród zieleni University of California at Los Angeles, położony w sercu Miasta Aniołów między Beverly Hills a Westwoodem. Wywód na temat sportowego amatorstwa i zawodowstwa spowodowała wypowiedź jednej ze studentek. Piękna, wysoka blondynka nie wytrzymała mojego przewrotnego dowodu na „amatorstwo” Cricotu 2. „Jeśli wy jesteście amatorami” – wykrzyknęła niebieskooka, śniada Jane – „to kto, do jasnej cholery (tak krzyczała) jest w waszym kraju zawodowcem?”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, i ja też, tak żarliwe i niespodziewane było to wystąpienie. Ale – jak to bywa – każdy śmiał się z czego innego.

Oni z mojej sportowej paraleli, ja przypominając sobie pełne gniewnych profesjonalnych pomruków veto polskich nienawistników awangardy z Kazimierzem Dejmkiem na czele, odmawiających prawa teatralnego Olimpu najpierw Grotowskiemu i Szajnie, a ostatnio – Kantorowi. Śmiałybyśmy się pewnie dłużej, gdyby nie Jane, która stała i czekała na odpowiedź. Ale kiedy otwarłem już usta, by przedstawić nowe metaforyczne równanie: lekka atletyka = teatr awangardowy, powstrzymała mnie wzrokiem i zaczęła czytać:

„Spektakl Cricotu oznacza odkrycie głębszych prawd, niż zawiera jakakolwiek współczesna sztuka. Kantor i jego wyrazista, zdyscyplinowana grupa mają szczególną zdolność pobudzenia wyobraźni. Fragmenty „Umarłej klasy” stały się odtąd nieświadomą własnością widzenia większości widzów” („The San Diego Union” z 9 lipca 84, s. B. 8).

„Umarła klasa” jest sztuką, której materiał i zespół są nierozdzielne – aktorzy są częścią przedstawienia, w którym grają. Cricot 2, chwilami nie tak błyszczący czy pozornie nie tak rygorystycznie wytrenowany, jak członkowie zespołów „Le Theatre du Soleil” czy „Waseda Sho-Gekijo”, tym niemniej prezentuje taką galerię twarzy i ciał, że wypełniają one scenę w wschodnioeuropejski naród potępionych dusz. W tym bezmiernym, ale uderzająco intymnym układzie Studia 9 Telewizyjnego Centrum ekscentryczna, czarna, biała i szara obecność tej trupy zdawała się szlachetnieć jak w marzeniu”.

Jane przerwała i pokazała na tytuł: „Mistrzowie abstrakcji” („Los Angeles Herald Examiner” z 7 lipca 1984, s. B 6) i spytała: „Co to znaczy?”. Odpowiedziałem drażniąco: „Amatorski duch w zawodowym ciebie”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Jane tylko pogroziła mi palcem. Dowód był przeprowadzony.

„I jeszcze jedno” – powiedziałem, odzyskawszy swe pole wykładowcy – „Dobra sztuka nie zna kontroli antydopingowej”.

Jest rzeczą naturalną i zrozumiałą, iż analogie między sportem a teatrem musiały zaniepokoić zarówno typowych sprawozdawców sportowych, którzy to poza sportem życia nie widzą, jak i wyrafinowanych teatralnych sędziów, dostrzegających życie jako wszechogarniające theatrum mundi. Zwłaszcza, że Olimpijski Festiwal Sztuki poprzedzał same igrzyska, a poprzedzające same przedstawienia wieści kulturalne na temat zachowania i żądań poszczególnych ich twórców fascynowały

całą prasę na równi z kapryсами Najwyższego Człowieka Świata – Carla Lewisa. Słynna twórczyni awangardowego teatru tańca z Wuppertalu Pina Bausch zażądała przygotowania do swych dwóch spektakli 8 tysięcy goździków i pokrycia całej sceny żywą trawą, którą po każdym przedstawieniu, a były ich cztery, trzeba wymieniać, jako że nie przetrwa dłużej pod stopami 40 tancerzy. Bausch przywiozła ze sobą dwóch pasterzy – specjalistów do pilnowania żywych aligatorów, ale poprosiła także o pomoc Amerykanów. Inna grupa tańeczna, zespół Emila Dubois, potrzebowała do swojego przedstawienia „Ulysse” żywej białej gęsi, gdyż przepisy celne są zbyt skomplikowane, by przemycić przez amerykańską granicę gęś... francuską. Dwa potężne kontenery – jeden należący do japońskiego zespołu „Waseda Sho-Gekijo”, drugi mediolańskiego „Piccolo Teatro” – zawierały specjalny gatunek białego, potężnego w swych ziarnach... ryżu. Japończycy używali ryżu do charakteryzacji, natomiast Włosi jako piasku na wyspie Prospera, gdyż – jak twierdzili twórcy – ryż jest bezpieczniejszy od piasku i dla aktora, i dla kostiumów. Pięciu belgijskich mimów, którzy występują na specjalnej platformie ulicznego teatru, przywlokło ze sobą specjalny mikser... cementu. Belgowie ponadto zarezerwowali sobie każdorazowo 100 funtów złotego... żwiru do posypywania platformy. Ponad 30 zespołów zażądało pozwolenia na używanie w przedstawieniach broni palnej. Te wymogi można by mnożyć, ale organizatorzy mieli świadomość owego poświęcenia dla... sztuki.

Zresztą zespoły także się nie oszczędzały. Dotyczy to zarówno omówionych przeze mnie teatrów europejskich (Theatre de Soleil, Royal Shakespeare Company czy Piccolo Teatro), nicujących klasyków, jak i tych, którzy jak Kantor prezentowali swoje własne, oparte na swej artystycznej biografii, widzenie świata. Lata treningu widać było w spektaklu „Trojanek”, które przygotowywał długi okres czasu twórca teorii „ekspresji stopy” – Tadashi Suzuki.

Opanowanie absolutne ciała zaprezentował inny zespół Kraju Kwitnącej Wiśni – „Sankai Juku”, którego członkowie kontynuują religijno-rytualny taniec Buto. Sensację wzbudziła odwaga tancerzy, którzy dla reklamy swego spektaklu, zawieszeni na jednej nodze głową w dół na wysokości kilku metrów, wykonywali jeszcze taneczne ewolucje.

Widzowie zamierali również na występach chińskich akrobatów, kiedy na szczyt piramidy ustawionych ukosem dziewięciu krzesel wdrapywały się dziewczyny, by stanąć na szczycie na jednej ręce. Azjatyckiej akrobatyce, wynikającej i z religijnej tradycji, i z cyrkowego treningu, Australijczycy z Circus Oz przedstawili dystans akrobatyczny. Parodiując ćwiczenia cyrkowe osiągnęli nie mniejszą zręczność i swobodę. A co powiedzieć o kondycji i umiejętnościach kanadyjskiego „Theatre Sans Fil”, animującego na oczach widzów 48 lalek.

Czy to jeszcze jest teatr, czy już specjalistyczny rodzaj... sportu? Ale widz wcale nie marzy o konfrontacji tych zjawisk. Przyjmował bowiem Olimpijski Festiwal Sztuki jako Festiwal Mistrzów – artystów absolutnych, każdego w swoim fachu, porównywalnych i nieporównywalnych jednocześnie, jak mistrz pchnięcia kulą czy rzutu oszczepem, sprinter i specjalista od płotków, skoczek wzwyż czy płotkarz. A że zdarzy się wśród nich czasem dziesięcioboista, który zagrozi wszystkim specjalistom,

to już osobny urok sportu i sztuki. Sportowe życie sztuki ma właściwie tę przewagę, że sztuka poruszając, wywołuje zrozumienie dla stanu ducha i serca jej twórców.

Na trybunach stany te nie mają żadnego znaczenia. Publiczność żąda wygranej i fetuje zwycięzców. Przebranych czeka pogarda, drwina, a co najwyżej litość. Histeria stadionu jest jednak nietrwała, bo za chwilę trzeba oddać swe serce, głos i namiętność następnemu mistrzowi. Niecierpliwość rezultatu wywołuje szybkość uczucia, które jest tak nietrwałe, iż preferuje... niewierność. W sporcie zatem tylko stale „wygrywający” lub „czarne konie” i „fuksy” pogrążające Mistrzów, liczyć mogą na pamięć. Tę samą, przy pomocy której zniewolić potrafi całkowicie. Fałsz w sporcie polega na tym, że my sami, przez nikogo nie przymuszeni, cedujemy szybko i bez zastanowienia znaczną część swych ambicji i pragnień. W sztuce odwrotnie: artyści pozwalają nam odnaleźć swoje kompleksy w ich twórczości, a rozwiązania, które proponują pobudzają do catharsis, nie tylko do zaspokojenia emocji.

Ergo: czy sztuka jest zatem silniejsza od sportu, a sport bardziej potrzebny od sztuki? Nic podobnego. Udowodnił to Olimpijski Festiwal Sztuki poprzedzając Igrzyska Olimpijskie, pokazując, że i „sportowe życie” uzyskać musi drugi, niemniej od wygranej potrzebny ludziom, wymiar: samo dążenie. Dążenie do zwycięstwa. Właśnie: dążenie i jego trwanie. I to w sporcie jest najpiękniejsze.

Ed Philips stwierdził w „Guardianie”, że istnieją trzy rodzaje sportowców wyczynowców: sportowcy kierujący się jakby zwierzęcym instynktem; sportowcy, u których decydują nerwy i sportowcy, u których pracuje przede wszystkim mózg.

Tę opinię konesera rugby podzielał kiedyś bohater Davida Storeya, jednego z tych angielskich młodych gniewnych, który swą głośną powieść obyczajową opatrzył znaczącym tytułem „Sportowe życie”. Narrator, silny jak tur Artur Machin, który swój robotniczy kombinizon zmienia na strój sportowej gwiazdy, postanowił nie przegapić żadnej szansy, by poprzez zawodniczą karierę trafić do wymarzonego świata wybrańców, wielbionych i nienawidzonych przez tłumy. Przypomniała o tym w czasie filmowej retrospektywy Olimpijskiego Festiwalu Sztuki ekranizacja tej powieści, dokonana przez Lindsaya Andersona z Richardem Harrisem w roli głównej. Przypomniała bardzo wyraziście, wydobywając blaski i cienie psychologii każdej gwiazdy.

Przegląd teatralny, o którym rozpocząłem jeszcze opowieść na 23 piętrze Westin Bonaventure Hotel, a kontynuowałem w wożącym mnie do Hollywood mikrobuse, potwierdzał to zdarzenie w całej rozciągłości. I codziennie. Potwierdził zaś całkowicie dzięki poincie z... Kantorem.

„Przyszłość świata i tak należeć będzie do artystów” – wykrzyczał gniewnie Tadeusz Kantor do dziennikarzy, którzy obsiedli ze wszystkich stron przestrzeń hollywoodzkiego Studia 9, przygotowanego już do premiery „Umarłej klasy”. Konferencja prasowa, prowadzona przez samego dyrektora Olimpijskiego Festiwalu Sztuki, pana Roberta Fitzpatricka, który okazał się nie tylko wytwornym gospodarzem, ale i bezbłędnym tłumaczem z francuskiego („żona szefa jest rodowitą paryżanką i nauczycielką francuskiego” – tłumaczyła mi konfidencjonalnie zastępczyni Fitzpatricka, pani Hope Tschopik), kunsztownie podporządkowała cały

swój przebieg egzemplifikacji tej tezy artysty z Polski. Ale zanim do tego doszło, początek konferencji nie zapowiadał wcale dyskusyjnego Wersalu.

„Wchodzącego do studia Kantora powitał ryk rockowej muzyki” – opisywał to zdarzenie pięć dni później sprawozdawca „Los Angeles Herald Examiner” (z 10 lipca 1984 s. C 5) – „To miejscowy technik przy pomocy rockowego nagrania sprawdzał nagłośnienie sali. Dawka decybeli tego ryku zawróciła Kantora w miejscu, a krzycząc równie głośno z podniesioną głową wypadł on z teatru”. Co się zaczęło dziać, łatwo powiedzieć: Kantor biegając po hollywoodzkim podwórku krzyczał jeszcze kilkanaście minut, co miejscowy dziennikarz podsumował dyskretnie: „Kantor jest na całym świecie znany z dwóch rzeczy: ze swojej wspaniałej artystycznej opinii i ze swojego temperamentu”.

„Ten tysięcący mężczyzna ubrany cały na biało z wyjątkiem czarnych szelek przemierza wzdłuż i wszerz przestrzeń studia gwałtownymi ruchami, dziko gestykulując w ferworze wykładu, stanowiącego swoistą kombinację polskiego i francuskiego.”

To już opis zachowania Kantora podczas konferencji prasowej, na którą twórca Cricotu 2 po pewnym czasie powrócił przeproszany przez całą obsługę studia i samego Fitzpatricka. Ale samo to entré, o które Kantor dba zawsze, bo decyduje ono o kontakcie ze słuchaczami, wywarło ogromne wrażenie na przedstawicielach amerykańskich środków masowego przekazu, nie przywykłych do przebiegania w środkach, byle by tylko pozyskać widza. Lekcja, jaką otrzymali na początku, zaowocowała potem, kiedy w kwestiach podstawowych trzeba było nawiązać nic porozumienia i zyskać zaufanie. A, jak wiadomo, wszystkich interesować mogła głównie polityka. Kantor dlatego też, korzystając jeszcze z napięcia, które wisiało w powietrzu po udanej awanturze na wstępie, wyprzedził podchwytliwe pytania: „Nie interesuje mnie ani polityka, ani sport. To, że tu jesteśmy, jest zasługą siedzącego obok mnie pana prezydenta Roberta Fitzpatricka, który już w zeszłym roku przyjeżdżając osobiście do Genewy, zadbał o nasz przyjazd. Nie reprezentujemy nikogo poza sztuką i naszą kulturową tradycją. „Cricot” zawsze był teatrem nie instytucjonalnym, nie subwencjonowanym i nieoficjalnym. Długie lata istnieliśmy nielegalnie. Taki jest nasz artystyczny status i takim ten teatr do końca pozostanie. Żeby tu przyjechać, musieliśmy uzyskać zezwolenie naszego rządu, który dał nam paszporty. Obecny rząd stoi na wyższym umysłowym poziomie niż ekipy poprzednie. Jednym z dowodów jest nasza tu obecność.”

Każde z tych zdań – hasel otrzymało w czasie ponad godzinnej debaty swoje wyjaśnienie i artystyczną egzemplifikację. Kantor nie tylko nie stronił od tzw. trudnych pytań, ale swoimi odpowiedziami gasił podejrzenie o propagandowe uniki, które mu dyskretnie imputowano. Kwestia, która wywołała prawdziwą burzę, bo uświadamiała sytuację artysty na całym świecie, brzmiała:

„Znam sytuację wielu malarzy i pisarzy, którzy opuścili Polskę, by żyć i tworzyć za granicą. Ale w moim mniemaniu artysta musi mieć przed sobą mur, w który może walić głową. I ja ten mur znalazłem w Polsce. Ten mur jest potrzebny mojej twórczości”.

Dramaturgia tej godziny z prasą polegała na niespodziewanych woltach Kantora.

I oto nagle Kantor po sprostowaniu władz polskich zdobył się na ciekawe zwierzenie: „Mimo, że uważam się za ateistę, coraz częściej przychyliam się do myśli, że przewaga sztuki nad innymi przejawami ludzkiej działalności kryje się w niemal religijnej message, którą ma odbiorcy do przekazania”. Złośliwe zaś pytania o bezpieczeństwo poruszania się po Los Angeles Kantor skwitował dowcipem, który długo krążył w festiwalowych kuluarach. „Moją jedyną obawą i prawdziwym utrapieniem stał się hotel” – powiedział o superkomfortowej kwaterze zespołu w opisywanym już przeze mnie Westin Bonaventura Hotel – „Jest prawdziwie komfortowy, ale nieludzki. Czuję się naprawdę zamknięty w tym świecie szklanych wież. Ciągle krążę w kółko, nadaremnie szukając wyjścia. I to jest mój jedyny w tym zakresie problem”.

„Rozpracowywanie” prasy amerykańskiej, której Kantor nie pozwolił na zaliczenie go do grona antykomunistycznych dysydentów sprawiło, że Mistrz Tadeusz nie kontrolował widowni. Ten brak kontroli sprawił, że „Umarłą klasę” oglądnięt – po raz pierwszy w życiu – Jerzy Grotowski, już wtedy przebywający na emigracji i prowadzący wykłady właśnie w Los Angeles.

Kiedy Mistrz Jerzy zjawił się na terenie Studia Nine, wszyscy oniemieliśmy. Jeszcze awantura trwała, jeszcze nie wygasło zarzewie wybuchu, a tu na tyłach... wróg nr 1 Kantora (tak przynajmniej utrzymywał Mistrz Tadeusz).

Podbiegam więc do Grotowskiego, ubranego jak student – w dzinsach i kolorowej koszuli – i odciągam go na bok. Witając się kordialnie, szepczę prośby o zachowanie bezpieczeństwa i o nie wchodzenie w pole widzenia Kantora. Grotowski chichocze i pozwala nadziać na siebie jakieś kolorowe ponczo, z którym przybiegł niezawodny Stasiu Balewicz, twórca Galerii „Krzysztofor”. On, znający Kantora lat kilkadziesiąt, wie jak rozbroić „ten zegarowy mechanizm kontroli”. Niechże zarzuci Pan chustkę – prosi „Grot”, powtarzając nerwowo: „Szybko, szybko. Zupełnie twarzowa”. Stara indiańska chustka w połączeniu z ponczo sprawiają, że Grotowski prezentuje się dosyć dziwnie. „Jak stara squaw” - rechocze któraś z sędziwych aktorek. „Jak meksykański handlarz” – licytuje się któryś z „gówniarzy”. Zadowolony Balewicz krzyczy: „Idziemy, panie Jerzy, idziemy!”. „Przecież jeszcze dwie godziny” – usiłuje bronić się Grotowski. „Idziemy, bo Tadeusza nie ma w Studio. Później pan nie wejdzie. Zapowiedział przecież, że będzie stał „na bramce”.

Popędzany Grotowski vel Stara Indianka znika. Oddychamy z ulgą, bo Kantor zachodzi nas od tyłu. „Wszystko w porządku?” – pyta troskliwie. „Tak. Wszystko OK” – odpowiadam, spoglądając z niepokojem, czy Balewicz zdołał już przemknąć wraz z Grotowskim do wnętrza studyjnej sali. „Zdążyli” – mówię głośno. „Kto zdążył?” – Kantor podejrzliwie patrzy na mnie. „Zdążyli przywieźć piwo na włosy!” – mówię dobitnie, pamiętając, że pod tym pretekstem ansambl aktorski popijał ten żółty napój. „Bardzo dobrze, że tak się starają” – potwierdza Kantor, z dumą podkreślając: „To dzięki tym awanturom”. Uśmiecha się, bo wygrał ze wszystkimi. Uśmiecha się, bo jest już medalistą olimpijskim. Na pewno – złotym. Nie wie tylko, że wybijając mur „wybił się na medal” w obecności Grotowskiego.

PROGRAM DLA POLSKI

Janusz Reykowski, Marek Waldenberg, Jerzy J. Wiatr oraz Krzysztof Janik i Andrzej Kurz, to uczestnicy dyskusji panelowej, jaka odbyła się w Kuźnicy. Tematyką przewodnią, od której zebrani często odchodzili budując barwny obraz życia politycznego kraju, były prace zespołu kierowanego przez prof. Reykowskiego, skupiającego się na zarysowaniu „Programu dla Polski”. Pierwsza część projektu dotyczy losów lewicy w III RP, druga przygląda się jakości demokracji w Polsce, trzecia (pisana przez zespół prof. Zdzisława Sadowskiego) omawia uwarunkowania społeczno-ekonomiczne, a czwarta dotyczy tożsamości lewicy.

- Czy partie, w tym partie lewicy, są szansą czy chorobą demokracji? – pytał we wprowadzeniu prezes Kuźnicy prof. Hieronim Kubiak. - Na przełomie XIX i XX wieku miały one nawet po milion członków. Dziś najpotężniejsze liczą kilkanaście tysięcy, a kluczowym problemem jest kwestia, czym jest „lewicowość”, gdy to nie socjalizm pokonał rynek, a przeciwnie, to rynek triumfował...

Na początku było słowo

- Zwycięska, liberalno-konserwatywna ideologia - uważał prof. Reykowski - przybrała złośliwą formę, która nabiera groźnego dla demokracji charakteru. Zyskiwała autorytarna wersja prawicy, a lewica była w odwrocie. W końcu XX wieku odniosła ona bowiem bardzo poważne porażki. Klęską było np. załamanie się projektu zniesienia rynku i zastąpienia go gospodarką państwową. Także w krajach zachodu państwo opiekuńcze znalazło się w odwrocie. W efekcie, lewica przeżywa kryzys ideologiczny, a manifesty Schoedera czy Blaire'a nie okazały się projektami udanymi.

Czyżby więc minął czas lewicy? Nie mam takich obaw, bo mimo dominacji, „demokratycznego kapitalizmu”, opozycja między prawicą a lewicą nie przestała być aktualna. Dziś jednak podstawą odrodzenia lewicy musi być działalność intelektualna, która spróbuje zmierzyć się z wyzwaniem, jakie niesie współczesność, a organizacja polityczna wydaje się rzeczą wtórną. Bez zaplecza intelektualnego i światopoglądowego żaden sukces nie będzie miał charakteru trwałego. Dlatego wierzę w sformułowanie z ewangelii, iż „na początku było słowo”!

- Nie uniknie się tu pytania ani o stosunek do przebytej drogi politycznej formacji, ani o to, kogo reprezentuje – stwierdził prof. Jerzy Wiatr. - Z kim jesteśmy solidarni w okresie poprzedzającym powstanie Polski Ludowej? Oczywiście z ruchem socjalistycznym, bo reprezentował wartości sprawiedliwości społecznej, ale też niepodle-

głości i demokracji, gdy ruch komunistyczny od demokracji był daleki i błędził w sprawie niepodległości.

A jednak, lewica nie może przyjmować totalnie negatywnego stosunku do rzekomo „komunistycznej” PRL. W jej dorobku, obok rzeczy złych a nawet haniebnych, były sprawy wartościowe. Nie chodzi tu o rzeczy ważne, choć banalne, jak np. industrializacja. Lewica wzięła na siebie zadanie obrony interesu narodowego w warunkach systemu pojałtańskiego, którego nie stworzyła i na który nie miała wpływu. A popełniając nieraz błędy, zdała przecież egzamin. To, że Polska stała się krajem stale rozszerzającym zakres niezależności, że zwiększała się zakres wolności i że Polska jako pierwsza z „obozu”, weszła na drogę budowania demokracji, jest także zasługą lewicy, a przynajmniej jej części - ruchu reformatorskiego w PZPR i, przede wszystkim, ludzi lewicy spoza PZPR, którzy w tym duchu działali.

Jest jeszcze kwestia oceny III RP. Głosy totalnego potępienia pojawiają się albo ze strony PiS, dla której ten okres za wyjątkiem epizodu rządów Kaczyńskich jest jednym straszliwym nieszczęściem, albo ze strony skrajnej lewicy. A przecież nie było tak dobrego okresu w dziejach Polski w ciągu stuleci!

Druga część pytania o lewicową tożsamość dotyczy relacji między wolnością a sprawiedliwością społeczną. A przecież nie ma wolności bez pewnej dozy sprawiedliwości, a równość bez wolności staje się własną karykaturą, jest to równość więźniów Gułagu.

Wreszcie istnieje pytanie o różnicę między patriotyzmem a solidarnością międzynarodową. My patriotyzm rozumiemy jak np. profesor Walicki, że jest to służba interesowi narodowemu, a nie tylko patriotyzm cmentarny, w czym specjalizuje się prawica.

Kilka smutnych konstatacji

- Obawiam się, że znaczna część naszych rozważań – oponował prof. Marek Waldenberg – to pobożne życzenia. Na czym bowiem polegał sukces PiS, którego szef nie jest ani przystojny, ani błyskotliwy? Skąd sukces? Bo jest taki jak my! Jacy „my” i skąd się nas tyłu wzięło?

A w ostatniej kampanii wyborczej najwięcej niesmaku budziło we mnie SLD. Nie głosowałem na jego kandydata, nie będę głosował na SLD w najbliższych wyborach, ani w wyborach parlamentarnych. Pierwszy raz, od kiedy wstąpiłem do PPS w 1946 roku, nie głosowałem na kandydata lewicy! Bo najgorsze, co może SLD spotkać, to stanie się partią politykierską, w dodatku na marnej pozycji. Resort, trzy resorty, pół resortu... Tymczasem trzeba sobie odpowiedzieć, czym lewica chce być! Bo od tego „czym chce być” zależy, co ma robić!

- Czy i jakie partie się dogadają, pokłóca, porozumieją? To problemy ciekawe - dodał prof. Reykowski - ale dużo ważniejsze jest pytanie, „o co ma być ta polityka?”. I w naszym raporcie, który jest już częściowo dostępny, chcieliśmy się na tym skupić.

- Przyjęliśmy założenie – zauważył z kolei Krzysztof Janik - że mamy do czynienia z kryzysem polskiej polityki, nie tylko lewicowej. CBOS zapytał w zeszłym roku o poglądy: od podatków po ustawę aborcyjną. I okazało się, że w kwestiach gospodarczych Polacy są lewicowi, a w moralnych – konserwatywni. Wyborcy SLD są konserwatywni jak ci z PO, ale bardziej liberalni w kwestiach gospodarczych niż wyborcy PiS! PiS to prawdziwi miłośnicy PRL, a IV RP była po prostu próbą ożywienia PRL rozumianej jako filozofia państwa i gospodarki.

Słabość polityki to brak związku z rzeczywistym stanem poglądów społecznych, a słabość partii to słabość ideowa. Otóż dwa lata temu Wolny Uniwersytet w Brukseli przeprowadził wspólnie z Uniwersytem Wrocławskim badania aktywności polskich partii. 7,5 proc. delegatów na zjazdy wojewódzkie SLD określiło swoje poglądy jako prawicowe, około 15 proc. jako centrowicowe, reszta jako centrolewicowe i lewicowe... A wicemarszałek sejmu z lewicy, pytany ostatnio w telewizji o parytety, powiedział, że w parlamencie to on jest lewicowcem, ale w domu konserwatystą. Oto piękny przykład polskiego systemu partyjnego. Nie tylko SLD, ale wszystkich partii!

Odczarować „Polskę Ludową”!

- Bardzo cenię zdanie prof. Reykowskiego - stwierdził Andrzej Kurz - nawet wtedy, kiedy tak formułuje cele lewicy, by można było wokół integrować nawet osoby, które do lewicy się nie poczuwają. Bo najistotniejszym celem, jest modernizacja i zwalczanie upośledzenia społecznego. Zatem właśnie państwo opiekuńcze!

Ale warto zatrzymać się nad tym, co lewica pisze o stosunku do przeszłości. Oto za jej zgodą przyjęto nazwę „III RP”. To nawiązanie do II RP i rządu emigracyjnego, który po 1945 r. był tylko symbolicznie śmieszny, czyni z Polski Ludowej czarną dziurę i usiłowało wyłączyć ją z ciągłości państwowej, choć nikt rozsądny nie podważa tej ciągłości.

Państwo to powstało w szczególnych okolicznościach, przy szerokim dążeniu do głębokiej zmiany w porównaniu z II RP. Powstało w warunkach obcej przemocy – ale to, że Polacy wcale nie pod wpływem „bolszewii” chcieli głębokich zmian, nie ulega wątpliwości. Nawet Rząd Londyński z tym się zgadzał.

Od 1956 r. Polska Ludowa, choć dalej uzależniona geopolitycznie, nie była przecież zniewolona. Październik to data kluczowa, także na drodze do pełnej suwerenności, dla roku 1989, co udowodnił ostatecznie Andrzej Walicki. Jednak hegemon, lud czy „klasa robotnicza”, stał się w roku 1981, a potem w 1989, grabarzem swojej hegemonii. Nastąpiła katastrofa mitu założycielskiego PRL – dyktatury proletariatu, ale najważniejszym dorobkiem ideowym lewicy była koncepcja, choć daleka od realizacji, „polskiej drogi do socjalizmu”. Koncepcja zrodzona w PPS i uznana przez gomułkowski nurt PPR. Wokół tej sprawy istniał głęboki podział w PZPR, a tymczasem ulegliśmy mitowi monolitu nazwanego przewrotnie monolitem „komunizmu”. Także grupa poststalinowska w SLD, wdowy po Siwakach, po SB i Głównym Zarządzie Politycznym WP, ukryły się chętnie za obrazem „postko-

muni”, bo to było dla nich zbawienne. Politycy lewicy nie nawiązali też do nurtu Rakowskiego, niewątpliwie socjaldemokratycznego, który przecież, poprzez okrągły stół, stał się jednym z elementów założycielskich III PR.

Czynniki zmiany

- To, co u Marksa przegrało najbardziej - zauważał prof. Hieronim Kubiak - to przekonanie, że istnieje wizja docelowa, która kończy proces historyczny. A przecież to, z czym mamy do czynienia, nie jest trwaniem, ale „stawaniem się”. Tu chciałbym przypomnieć parę zmian. Jest tzw. wskaźnik Giniego, mówiący o poziomie zróżnicowania dochodu per capita. Zróżnicowanie 0 jest najmniejsze a 1 to sytuacja, gdy jedni mają wszystko, podczas gdy inni umierają z głodu. Polska ma wskaźnik 0,33, Niemcy 0,28, Szwecja 0,25. Jesteśmy, zatem społeczeństwem ogromnie zróżnicowanym! Drugi wskaźnik, Human Development Index, liczy się według oczekiwanej długości życia, poziomu wykształcenia i dochodu. Gdy chodzi o długość życia, jesteśmy na 46 miejscu w świecie, gdy o wykształcenie – na 38, a kiedy o dochód – na 48 miejscu.

A gdyby patrzeć, jak wygląda obecność w działaniach społecznych, bez czego nie ma demokracji, to okaże się, że udział obywateli UE wynosi średnio 13,6 proc. – a w Polsce 4,5! Polacy są obecni społecznie albo przez palenie opon, albo takie demonstracje, jak przy krzyżu na Krakowskim Przedmieściu. Mało tego. Okazuje się, że ponad 30 proc. polskich rodzin nie stać na mięso nawet co drugi dzień! Jeżeli jeszcze popatrzeć na wieś, to okaże się, że ponad 20-hektarowe gospodarstwa to zaledwie 7 proc. wszystkich gospodarstw rolnych, a pozostałych 2 mln nie sprzedaje swej produkcji. Czy to da coś ponad minimum przetrwania?

Wschodnia część kraju podzielonego Wisłą jest przeszczenią o najmniejszej modernizacji – od Polski przedrozbiorowej, przez zabory, II RP, PRL, po współczesność. Największa ilość koni na hektar – bo nie ma maszyn, największa ilość dzieci na matkę – bo taki typ rodziny, i największa ilość księży na 10 tys. mieszkańców.

Kto akceptuje zmiany? Młodzi, wykształceni, o dochodach 2 tys. miesięcznie, a ci inni to ponad 60 lat, o wykształceniu podstawowym, o dochodach poniżej 1 tys., o egzystencji biologicznej zapewnionej przez jakąś działkę, emeryci i renciści, pracownicy fizyczni. To podział nieprawdopodobny i nieprawdopodobne mogą być jego skutki. Wielu ludzi nie ma innej szansy i potrzebuje Kaczyńskiego. Gdy nie można poradzić sobie z rzeczywistością, szuka się dyktatora.

Nieco irytacji i kilka innych głosów

- Najbardziej mnie złości – zaatakowała europosłanka Joanna Senyszyn - że koledzy, którzy sprawowali funkcje rządowe w latach 2001-05 mówią, co trzeba zrobić, żeby lewica odżyła, a zapominają, że to oni ją pogrzebali. Bo co się stało w Polsce? Ano stało się to, że w 2005 roku odsetek osób żyjących poniżej minimum socjalnego był o 10 proc. wyższy niż na początku rządów lewicy, a liczba żyjących poniżej granicy biologicznego przetrwania zwiększyła się z 2 do 3,5 mln. To główny zarzut. Nie afery, które zostały rozdmuchane, tylko to, że większość Polaków poczuła, że żyje im się gorzej. Jeśli do tego dojdzie, że lekcje religii wzrosły z jednej godziny do dwóch tygodniowo, co oznacza wzrost kosztów z 750

mln do 1,5 mld rocznie, to jasne są przyczyny spadku popularności.

Gdy poparło nas 41 proc. wyborców, wielu uznało, że za chwilę wszyscy nas pokochają i będziemy mieli 60, 80, 110 proc! Wróćmy na ziemię! 50 proc. Polaków chce rozdziału kościoła od państwa? To nam wystarczy! Niech to będzie 30 proc. nawet 20... I tu apel do prof. Waldenberga, by koniecznie głosował na SLD. Gdy się popierało SLD, kiedy robił błędy, to teraz trzeba go popierać, gdy z nich wychodzi!

- To, co powiedziała pani poseł o rządach gabinetu Leszka Millera jest po prostu obraźliwe dla SLD, a przede wszystkim dla faktów! - zaprotestował b. wiceminister, Andrzej Szarawarski. - Przypominam o „dziurze Bauca”, przypominam, że oddawaliśmy rządy z nadwyżką 5 mld, które przejadł Kaczyński...

- Co różni lewicę od prawicy? - próbował wrócić do meritum inny z dyskutantów, poseł, prof. Jan Władki - Jest cała rzesza wykluczonych, choćby owych „ubeków”, z którymi lewica powinna się solidaryzować, ale nie dlatego, że byli ubekami, ale dlatego, że są dziś obywatelami drugiej kategorii. Lewica ma bronić praw wszystkich wykluczonych i usług publicznych oraz dostępu do tych usług, aby zapewnić równość startu do edukacji, dostępu do służby zdrowia.

Lewica musi też odwojować historię, bo to nie tylko PRL. Lewicą był także KOR a pierwsze pieniądze, jakie dostał na działalność, to były pieniądze PPS, od Ciotkoszowej!

Kolejne głosy dotyczyły kwestii ideologii... Nad problemem walki z klerykalizacją Polski zastanawiał się Mateusz Burzawa, który zauważał, że procesy sekularyzacyjne pojawiają się w krajach, gdzie ludzie nie boją się o swój byt. I nie chodzi o bogactwo, tylko o równy podział dóbr, o niski wskaźnik Giniego. Bo np. w USA to zróżnicowanie sięga 0.48 i mimo relatywnego bogactwa kraju, mamy tam do czynienia z silnym fundamentalizmem religijnym. Co to oznacza dla lewicy polskiej? To, że walka o sprawy bytowe i równościowe jest też rodzajem walki o sekularyzację. Niżej podpisany apelował o weryfikację podstaw teoretycznych opisu przemian ustrojowych. - Podejrzewam, że już żyjemy w epoce postkapitalistycznej i że jej początek wyznaczają równoległe toczące się procesy: welfare state na zachodzie i „realny socjalizm” w krajach bloku „demoludów”. Milovan Đilas dostrzegł tam kształtowanie się nowej klasy panującej, a przeciw i w krajach uważanych za „kapitalistyczne” przedsiębiorcy są uwikłani w stosunki z bankami i instytucjami państwowymi, a najwięksi gracze, autorzy kryzysu bankowego w USA, to zaledwie wynajęci urzędnicy. To wyjaśni może, dlaczego tak łatwo SLD weszło w program restytucji „kapitalizmu”, a utrata elektoratu masowego na rzecz PiS, to także reakcja biedniejszej części społeczeństwa na „zdradę klerków”...

- Do tego, żeby odzyskać poparcie – mówił kolejny dyskutant, prof. Lech Rościszewski. - trzeba znaleźć błędy, które spowodowały brak wiarygodności. Jednym z postulatów lewicy powinno być zakwestionowanie zwrotu dóbr i osobom prywatnym, i kościołowi! Oczywiście sprawą jest też stosunek lewicy do podatków. Na powrocie do progów podatkowych ja także stracę, ale świetnie rozumiem obowiązek składania się na działalność socjalną państwa.

Joanna i wspomnienia z młodości

- Joanna przypomniała czasy mojej młodości - uważał Krzysztof Janik.- Wtedy ekipa Gierka legitymizowała się błędami Gomułki, a Jaruzelski internował Gierka. Prawdą jest, że gdy sprawowaliśmy władzę, przybyło ludzi żyjących poniżej minimum socjalnego, ale Joasia nie dodała, że w 2001 r. wynosiło ono 231 zł, w 2005 podnieśliśmy je do 369 zł, a inflacji tej wysokości, jako żywo nie pamiętam, by była! Zatem poziom życia podniósł się jednak!

Inna sprawa jest coś, czego przyznaję, sam nie umiałem uniknąć, a mianowicie egocentryzm partyjny. Trzeba, zadawać pytanie nie, „jaka lewica”, ale „jaka Polska”!

Dziś ludzie patrzą na państwo jak na wroga i szansą na zdobycie poparcia jest jego niszczenie. Tymczasem, jak Tusk opowiada, że pozwalnia urzędników, to opowiada brednie! W Polsce administracja to 9,5 proc. ludzi zdolnych do pracy, w Niemczech 16 proc., a w Wielkiej Brytanii 18 proc., więc nie pytam ile administracji, ale jaka jest jej jakość. W Anglii, gdy mi się urodzi dziecko, nie muszę iść po metrykę, bo urząd sam mi ją przysyła i przynosi kwiaty! Państwo trzeba czynić przyjaznym i skutecznym w redystrybucji dóbr! Bo lewica to sprawiedliwa redystrybucja dóbr.

Zakład na 2015

- I dziś zadajmy pytanie – to ponownie głos prof. Wiatra - czy SLD jest lepsza, sympatyczniejsza, wartościowsza niż była 3 lata temu? Ona jest jak pacjent, który po chorobie przechodzi rekonwalescencję...

A teraz jestem gotów zaproponować Markowi Waldenbergowi zakład, że jeszcze za naszego życia SLD stanie się pierwszą partią w kraju i będzie wywierała zasadniczy wpływ na politykę. Jeszcze nie dziś, ale np. w 2015 roku! Bądźmy optymistami, przynajmniej w tym, że dożyjemy czasu, kiedy wypadnie przyznać, że jeden z nas wygrał.

- Nigdy nie byłem zwolennikiem liberalizmu ekonomicznego i jeśli głosowałem na PO, to w przekonaniu, że Tusk mniej więcej wie, czego chce, co jest realne, co nie. – odparł prof. Waldenberg - A co do przyczyn obecnego stanu SLD... Nigdy nie byłem entuzjastą Kwaśniewskiego. Przyprowadziłem, że przeprowadził SLD przez okres przemian, ale też on przyzwyczaił Polskę do usługowości wobec USA. Po cholere jesteśmy w Afganistanie? Wszystko, co się na ten temat mówi, to kłamstwa. Moim zdaniem najważniejsza jest zresztą ekonomika, a optymizm prof. Wiatra co do sukcesów lewicy wydaje mi się oparty na pesymistycznych prognozach. Podobnie kiedyś nic nie wyszło z nadziei na rewolucję na Zachodzie, komuniści oczekiwali, że gdy nadejdzie kryzys, wszyscy przyjdą „do nich”. Niestety, wszyscy poszli do Hitlera. I jeśli sytuacja się pogorszy, to wygra na tym PiS albo PiS-bis.

- Na koniec tej emocjonującej dyskusji – stwierdził prof. Hieronim Kubiak – muszę podkreślić, że jesteśmy w przededniu rodzenia się nowej formacji społeczno-ustrojowej, której na imię społeczeństwo informacyjne. Czym się charakteryzuje? Podmiotowością jednostki. Jednostka taka jest czasem naiwna i prymitywna, ale wie, że może sobie wystukać to, co chce powiedzieć i to sobie wystukuje. Zatem to, co lewica ma do zaproponowania, musi być ważne we wszelkich sferach życia, musi być racjonalne i musimy wiedzieć, że jest to osiągalne.

FILIP RATKOWSKI

ADAM BUDZYŃSKI

NADZIEJE I ROZCZAROWANIA RACJONALISTY

Inteligent, który nie jest lewicowy, nie jest inteligentem.

Dario Fo

Gdybym miał jednym zdaniem określić, na czym polega rola Krzysztofa Teodora Toeplitza w polskim życiu umysłowym, powiedziałbym, że był on w swoim pokoleniu jednym z najświetniejszych przedstawicieli inteligencji lewicowej. Było to pokolenie zetempowców, którzy po przejściu młodzieńczej choroby zafascynowania komunizmem przygotowali polski Październik. Toeplitz uosabiał wzór intelektualisty zaangażowanego po stronie oświeconej lewicy. Jak mało kto, potrafił wyciągać intelektualne wnioski z doświadczeń Polaków na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci.

Był racjonalistą i uczył racjonalnego myślenia o nieśmiertelnych absurdach w zmieniającej się Polsce. Mimo rozczarowania PRL-em uważał socjalizm za swój ustrój. Jednocześnie chciał zachować względną niezależność, źle się czuł w roli publicysty służącego swym piórem władzy. Dopóki jednak istniała Polska Ludowa, KTT popierał politykę rządzącej wówczas partii. Ale ze wszystkich odpowiedzi na ankietę nielegalnego Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” o stanie Rzeczypospolitej i drogach wiodących do jej naprawy (1979), odpowiedź Toeplitza była najbardziej pesymistyczna; przewidywał nieodwracalny rozkład niewydolnego systemu kosztem społeczeństwa. Kiedy wybuchła „Solidarność”, Toeplitz zajął krytyczne stanowisko wobec tego ruchu, obierającego rzeczywistość coraz groźniejsze dla kraju drogi, co przyznawał nawet Andrzej Kijowski, którego trudno było podejrzewać o uprawianie antysolidarnościowej propagandy. Jednym z niewielu intelektualistów, którzy poparli wprowadzenie stanu wojennego, był Toeplitz, czego mu nigdy nie wybaczone. Uczynił to jednak w przekonaniu podzielanym przez ok. 50 proc. Polaków, że nawet nietolerowana i niezdol-

na do dialogu władza jest lepsza niż radzieckie czołgi na ulicach Warszawy.

Na początku 1982 r. Toeplitz wyznał w powołanym w miejsce zlikwidowanej „Kultury” tygodniku „Tu i Teraz”: „Byłem przekonany, że tłumacząc uporczywie parę podstawowych prawd, które nazwać można racjonalistycznymi, zdobyłem sobie grono czytelników, mających do mnie zaufanie. W okresie, o którym mówimy, okazało się, że jest to iluzja...”. Podobne rozczarowanie z rozmaitych powodów przeżyli wszyscy Polacy, którzy żywili jakieś iluzje. Rozczarowanie przeżyła także władza. Używając siły wobec rodaków chcąc nie chcąc przyznawała się do własnej słabości i braku społecznej legitymizacji. Ale Toeplitz nie traci nadziei, w dalszej części przytoczonego wyznania mówi, że władza i społeczeństwo są czymś w rodzaju starego małżeństwa, które „zna się na wylot, nie ma zbyt wielu złudzeń, ale ma wspólne mieszkanie, wspólne dzieci (...), a może wspólnego »malucha« i nie ma jak, a także przecież nie chce się rozstać”.

A jednak to małżeństwo się rozstało, spisując przy Okrągłym Stole intercyzę, wedle której strona rządowa miała się podzielić władzą ze stroną społeczną. Koniec końców przejęła ona niemal całą władzę i za podszeptami dogmatycznych liberałów przystąpiła do realizacji programu urynkwienia gospodarki, co w praktyce oznaczało – ironicznie zauważył KTT – że polska klasa robotnicza reaktywowała na swą zgubę kapitalizm. Gdy w Trzeciej RP antykomunistyczna prawica nazwała PRL „czarną dziurą” (określenie prof. Jana Błotńskiego, który ową dziurę zasypywał swoimi książkami), Toeplitz pisał: „przeczą [tezie prawicy] zarówno biografie znakomitej większości Polaków, jak i rzeczywistość materialna, wśród której żyjemy, a wreszcie rzeczywistość kulturalna, gdzie co dzień korzystamy z książek, filmów, sztuk teatralnych czy obrazów malarskich wyrosłych w minionym półwieczu i stanowiących trwałą, nadal pobudzającą do myślenia dorobek myśli polskiej”.

To samo można powiedzieć o wieloletniej działalności publicystycznej i pisarskiej Toeplitza. Co prawda, ten racjonalista nierzadko się mylił, błędził i ulegał złudzeniom, ale był godnym następcą tak znakomitych felietonistów jak Bolesław Prus, Aleksander Świętochowski czy Antoni Słonimski. Był także jednym z najświetniejszych w swoim pokoleniu kontynuatorem myśli lewicowej obecnej nad Wisłą, zanim tu pojawiły się radzieckie czołgi.

* * *

Krzysztof Toeplitz był potomkiem spolonizowanej żydowskiej rodziny lewicujących kapitalistów, pionierów spółdzielczości mieszkaniowej, i synem przedwojennego komunisty. Wiara ojca w komunizm udzieliła się kilkunastoletniemu synowi, który w warszawskim liceum Batorego założył koło ZMP, młodzieżowej organizacji wzorowanej na Komsomole. Po ujawnieniu zbrodni stalinizmu były zetempowiec związał swe nadzieje z ideą demokratycznego socjalizmu. Bo tylko demokratyczny, zreformowany socjalizm – w przekonaniu Toeplitza – może skutecznie zarządzać państwem i gospodarką, zapobiegać nierównościom społecznym oraz stwarzać najlepsze warunki dla rozwoju kultury i oświaty.

Nowe nadzieje na reformy pojawiły się, gdy w 1956 r. do władzy powrócił Gomułka, dzięki czemu system pozbył się piętna sowieckiego pochodzenia i sowieckiej dominacji. A to oznaczało, że możliwe jest poszerzenie sfery wolności we wszystkich dziedzinach życia politycznego i społecznego. Poszerzenie sfery wolności polegało przede wszystkim na uznaniu przez władzę, że, obok poglądów narzucanych lub zakazanych, mogą istnieć poglądy, których partia ani nie zakazuje, ani nie narzuca. Wedle wspomnień Jerzego Putramenta, była to polityka „wprowadzona odgórnie, z całą świadomością” już od wiosny 1956 r. W praktyce okazało się to ustępstwem bardzo istotnym, bo umożliwiającym powstanie załóżków niezależnej kultury i myśli humanistycznej, a w dalszej konsekwencji także elementów autentycznej debaty nad stanem kraju.

Wprowadzoną odgórnie odwilż Toeplitz skwapliwie wykorzystywał publikując w kwietniu 1956 r. na łamach „Nowej Kultury” głośny felieton *Z własnego prawa bierz nadanie*. Nawiązując do obchodów pierwszomajowych autor pisał: „Tak oto komunizm, zwyciężając z roku na rok, porastał w barwne pierze szturmówek (...) rewolucja wyniosła na swoich barkach nowy aparat rządzenia. (...) Niekontrolowany początkowo przez masy, a później już zręcznie obwarowujący się przed kontrolą aparat ten zwyrodniał, uzbroił się we własne kanony i zasady, obwarował własną policją, broniącą bardziej interesów kasty urzędników niż mas, wyprodukował własną mitologię w postaci wiary w nieomylnego wodza. (...) To, co się dzieje obecnie, to jest rewolucja (...) mas pracujących przeciwko kostniejącemu, powlekającemu socjalizm systemowi biurokratycznemu z całą jego strukturą polityczną, moralną i obyczajową”. Ów felieton, mogący być manifestem założycielskim „Solidarności”, uznany został przez partię za wybitnie szkodliwy, a specjalnie powołana komisja KC wydała na Toeplitza wyrok: natchymiaś odebrać mu legitymację partyjną!

Nikt wówczas nie wiedział, jak do niedawna nie wiedziała ponoć dobrze poinformowana „Gazeta Wyborcza”, że Toeplitz w partii nie był, choć jesienią 1956 r. zamierzał się do niej zapisać, co wszakże nigdy nie na-

stąpiło. Tymczasem redakcja „Nowej Kultury” oświadczyła, że inkryminowany tekst zawiera wiele „niesłusznych uogólnień” i „zbyt pochopne sformułowania”. „Z gruntu fałszywa, krzywdząca i niesprawiedliwa – dodawała skruszona redakcja – jest zawarta w felietonie ocena całego aparatu władzy ludowej jako kasty urzędników broniących swych interesów”.

Dzięki temu tekstowi Toeplitz stał się powszechnie znanym publicystą, ale „Nowa Kultura” zerwała z nim współpracę, wszakże nie na długo. Oto bowiem w połowie września ukazuje się jego artykuł *Katastrofa proroków*, krytycznie analizujący „realizm socjalistyczny” jako okres „najwyższego chyba w dziejach triumfu zasady, że jeśli fakty nie zgadzają się z teorią, to tym gorzej dla faktów”. Tym razem autorowi się upiekło, jako że wtedy nikt już nie bronił (poza grafomanami na usługach twardegłowych aparatczyków) ani teorii socrealizmu, ani poronionych jego „dzieł”.

* * *

Pożółtkłe roczniki „Nowej Kultury” z lat 1950-1963 dziś są historycznym świadectwem ówczesnych procesów, które najpierw wyrażały się pozytywistyczną akceptacją narzuconego systemu i próbami pisarstwa socrealistycznego, potem były krytyczną refleksją „październikową”, której nierzadko towarzyszył bunt intelektualny, wreszcie – układami z nową, nie całkiem totalną, wciąż jednak totalitarną władzą Gomułki i kolejnym podporządkowaniem się redakcji polityce partii, teraz już podminowanej narastającym oporem tych twórców, którzy w połowie lat 70. mniej lub bardziej jawnie przechodzili do opozycji.

Toeplitz był aktywnym uczestnikiem większości tych procesów począwszy od szczenięcych lat, gdy w swoim liceum zakładał ZMP, przez rok 1956, co sam wspominał: „należałem wówczas – pisząc w »Nowej Kulturze« – do październikowej ekstremy (wtedy takich facetów nazywano rewizjonistami)”, aż po rok 1963, kiedy to – już w warszawskiej „Kulturze” – jako autor *Kuchni polskiej* próbował zbaczać ze ściśle partyjnej linii polityki kulturalnej. Robił to jednak ostrożnie, by odnowione kierownictwo partii nie posądziło go o sprzyjanie „siłom pragnącym nas cofnąć do ustroju burżuazyjnego” (cytat z wykładu wygłoszonego 16 II 1957 r. dla uczestników Kursu Partyjnego Aktywu Propagandowego).

„Kultura” zarówno pod rządami nienawidzonego opozycyjnych pisarzy i tępych aparatczyków Janusza Wilhelmi, jak i unikającego politycznych deklaracji Dominika Horodyńskiego, jednoznacznie popierała partyjną politykę, najpierw Gomułki, potem Gierka. Czyniła jednak swoją partyjną powinność w inteligentny, nienachalny sposób, czego znakomitym przykładem były felietony KTT. W roku 1968, podczas studenckich protestów i antysemitkiej nagonki, redakcja wykonuje różne polityczne slalomy. Sam pamiętam, jak na wiadomość o studenckim wiecu na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego nasz szef, red. Wilhelmi, zdjął z pierwszej kolumny artykuł o niepokojach wśród zachodniej młodzieży (!) i polecił na jego miejsce włamać reportaż Zbigniewa Stolaraka pod tytułem *Niełatwo być Flamandem* (!). Niepomiarnie łatwo było wówczas stać się „prawdziwym Polakiem”, bo właśnie na niego stawiali moczarowcy i partyjni nacjonalisci, z którymi flirtowało szefostwo „Kultury”. Nie był to jednak flirt zbyt namiętny, jako że szefowie tygodnika

byli nieskorymi do jednoznacznych deklaracji ludźmi. Dzięki temu „Kultura” nie znalazła się na pierwszej linii antysemitki nagonki, tylko próbowała tak wykonywać zlecenia władzy, by się korzystnie odróżnić od „Prawa i Życia” czy „Walki Młodych”, które były mocno zaangażowane po stronie „nacionalkomunistów”.

Mimo lawirowania i ostantacyjnego bojkotu ze strony pisarzy – opozycjonistów, „Kultura” była pismem szeroko czytany, głównie przez inteligencję, o wysokim nakładzie, w latach 70. sięgającym stu tysięcy egzemplarzy. Nie ma w tym zasługa Toeplitza, który oprócz znakomitych felietonów (wśród moich rówieśników nie znam nikogo, kto by ich nie czytał i nie komentował) publikował wiele innych tekstów. Raz będą to artykuły analityczne (np. *Dzieła wszystkie pisarza* o gettowym charakterze życia literackiego w Polsce), innym razem recenzje teatralne i filmowe (m.in. ostra krytyka *Po piotłów* w reżyserii Andrzeja Wajdy), omówienia ważnych ale niedostępnych u nas książek, wreszcie szkice o kulturze masowej (m. in. *Nasz człowiek w Abwehrze* – z przewrotną tezą, że prototypem postaci kapitana Klossa jest Mickiewiczowski Konrad Wallenrod, oraz *Wielkość i upadek rodziny Matysiaków* – tekst zapowiadający rychłe zniknięcie tej radiowej rodziny z anteny, co się nie stało do dziś). Oba te szkice znalazły się w książce *Mieszkańcy masowej wyobraźni* (1970), życzliwie przyjętej przez recenzentów, którzy uznali autora za jednego z najlepszych u nas znawców kultury masowej. Potwierdzeniem tej opinii była *Sztuka komiksu* (1985) często cytowana w polskiej i zagranicznej literaturze przedmiotu. W książce *Dokąd prowadzą nas media* (2006) Toeplitz – podobnie jak we wcześniejszym *Zaćmieniu informacyjnym* (1984) – pokazuje na wielu przykładach, jak mass media są coraz bardziej kontrolowane przez elity władzy politycznej i gospodarczej, które w ten sposób podporządkowują sobie myślenie i działanie społeczeństw; w tej sytuacji coraz trudniej odróżnić prawdę od kłamstwa, ponieważ i prawda, i kłamstwo wyglądają w przekazach medialnych bardzo podobnie.

* * *

Wbrew temu co dzisiaj twierdzą historycy promujący tezę o PRL jako kraju totalitarnym, sytuacja w Polsce pod koniec lat 70. minionego wieku nie miała w sobie nic dramatycznego. Wprawdzie trwa nadal nie całkiem totalny totalitaryzm, ale – jak trafnie zauważył prof. Jerzy Jedlicki – „znakomita większość inteligencji, unikając jednoznacznych deklaracji, mieści się dość wygodnie w tej rozległej szarej strefie ostrożnych kompromisów i życiowego rozsądku, jaka rozpościera się między władzą a niezbyt surowo prześladowaną opozycją”.

A gdzie wówczas mieścił się Toeplitz? W stratyfikacji społecznej zajmował znacznie bardziej eksponowane miejsce niż większość polskich inteligentów: był powszechnie znanym felietonistą, krytykiem filmowym, autorem scenariuszy filmowych (m.in. *Dzięcioł* w reż. Jerzego Gruzy) i telewizyjnych (serial *Czterdziestolatek* w tej samej reżyserii), a także programów telewizyjnych (*Słownik wyrazów obcych*).

Mogłoby się zatem wydawać, że Toeplitz był faworytem partii i pieszczochem systemu, bo jak inaczej wytłumaczyć ówczesne jego sukcesy i tak znaczącą obecność w życiu kulturalnym? Otóż niemal wszystko, co osiągnął, zawdzięczał przede wszystkim swo-

im rozlicznym talentom, stałej gotowości intelektualnej do podejmowania coraz to nowych tematów, błyskotliwej inteligencji i – co za tym idzie – umiejętności zaskakującego kojarzenia odległych na pozór od siebie faktów, niebanalnemu poczuciu humoru, wreszcie – wielkiej pracowitości. Prawdę mówiąc, Toeplitz nie był ulubieńcem ludowej władzy, choć w kontaktach z jej przedstawicielami często zabiegał o interesy własne i swojego środowiska. W czasach PRL-u była to powszechna praktyka wśród twórców, jako że władza dysponowała przywilejami niedostępnymi zwykłym „szaraczkom”.

Słowa „literat” czy „filmowiec” otwierały drzwi gabinetów udzielających takich łask jak mieszkanie, talon na samochód, pozwolenie na druk książki czy pieniądze na nowy film. Żeby móc korzystać z owych przywilejów, trzeba było zadeklarować lojalność wobec władzy. Ale któż w tamtych czasach nie składał takich deklaracji? Składał je także Toeplitz, najwidoczniej jednak były to deklaracje mało przekonujące, skoro partia ustami najbardziej pryncypialnych towarzyszy mówiła: – Wicie, rozumiecie, to nawet inteligentny, nie pozbawiony talentu felietonista, ale w każdej chwili może nam wyciąć jakiś numer; a poza tym, te jego włoskie garnitury i krawaty, ta fajka, w której pali zagraniczne tytoń, jak jakiś burżuj czy kapitalista. Trzeba mu pokazać, że nie jest tak niezależny, jak mu się wydaje...

Sam Toeplitz we wrześniu 1989 r. tak pisał o swoich doświadczeniach z PRL-u: „Jako bezpartyjny o pewnej samodzielności myślenia, nie pozwalającej mi w przeszłości np. na pozycję bezpartyjnego posta czy innego figuranta, wiem z własnego doświadczenia, co było przede mną zamknięte, gdzie kończyły się moje możliwości działania, wpływu, pełnienia funkcji publicznych itd., chociaż oczywiście nie jestem przypadkiem najbardziej drastycznym”. Autor nie wspominał o tym, ile razy ludowa władza odmawiała mu paszportu, zdejmowała jego teksty, pozbawiała go szefostwa redakcji (m.in. satyrycznego tygodnika „Szpilki”). Jak trafnie zauważył pewien rozsądny publicysta „Wyborczej”, takie represje, jakim był poddawany Toeplitz, wielu dzisiejszych antykomunistów „ostatniej minuty” przedstawia niemal jako zesłanie na Sybir.

* * *

„Był sumieniem lewicy” – powiedział jeden z liderów SLD o Toeplitzu. Było to jednak sumienie, którego kierownictwo SLD nie słuchało, a jeśli słuchało, to nie-uważnie, usprawiedliwiając się nadmiarem bieżących zajęć. Ale to tylko część prawdy. Wiecznie zajętym sobą politykom SLD nie w smak było słuchać Toeplitza, który przypominał im o ideałach lewicy, o jej powinnościach w Trzeciej RP, ostatnio rządzonej przez taką czy inną prawicę. Z kolei tej posolidarnościowej formacji, święcie przekonanej, że to ona obaliła komunizm, KKT uświadamiał (niestety, nieskutecznie), że Polska weszła na drogę odwrotu od komunizmu nad długo przed powstaniem „Solidarności”, bo w czasie Października, który był punktem wyjścia do wszystkich późniejszych zmian.

ADAM BUDZYŃSKI

Autor był zastępcą redaktora naczelnego „Wiadomości Kulturalnych”, którym szefował Krzysztof Teodor Toeplitz.

BOHDAN CHWEDEŃCZUK

UNIWERSALNE ZJAWISKO

PAMIĘCI STANISŁAWA TYROWICZA

Uniwersalne zjawisko, na które książka Stanisława Tyrowicza *Światło wiedzy zdeprawowanej. Idee niemieckiej socjologii i filozofii (1933-1945)* kieruje naszą uwagę, to *światło wiedzy zdeprawowanej*, brudne i zwodnicze. Tyrowiczowi zawdzięczamy poręczną nazwę oraz wnikliwy, a pionierski przed czterdziestu laty, opis wzorcowego przypadku tego zjawiska – niemieckiej humanistyki pod rządami nazistów (1939-45).

Niemieckiej filozofii natomiast zawdzięczamy rozróżnienie przydatne do charakterystyki książki Tyrowicza. Wilhelm Windelband (1848-1915) dzielił mianowicie nauki na te, które ustalają prawa (nauki nomotetyczne) i te, które ustalają fakty (nauki idiograficzne). Podział ten, jak wszystkie inne, nie aresztuje rzeczywistości, ta jest zawsze ponad podziałami, ułatwia jednak jej opis i sprzyja rozumieniu. Dziś wiemy, że nie ma ani czysto idiograficznych, ani czysto nomotetycznych nauk, ale wiemy też, że na przykład historię etykiety dworskiej w elżbietańskiej Anglii dzieli od teorii kwantów znaczny dystans. Nie tak wielki jednak, by ową historię dało się ambitniej opisać bez *ogólnej* wiedzy o zachowaniu człowieka, a teorię kwantów dało się uzasadnić bez sięgania do *jednostkowych* faktów. Wiemy więc, że nauki różnią się od siebie ledwie statystycznie: w jednych występują w przewadze narzędzia i treści idiograficzne, w innych przeważają nomotetyczne.

Światło wiedzy zdeprawowanej to książka co do zamysłu i głównych wyników przemożnie idiograficzna. Tyrowicz prowadzi w niej opis socjologii i filozofii w III Rzeszy, z akcentem na dwa programy nazistowskiej filozofii „rodzaju niemieckiego”, a w rozdziale trzecim, pod wymownym tytułem *Paramilitarna alternatywa nauki liberalnej*, charakteryzuje opozycję między mundurem a togą, opisuje instytucjonalną twierdzę nazistowskiej humanistyki, uniwersytet paramilitarny i szkicuje zastanawiającą odpowiedź na teoretyczne pytanie, dlaczego „sprzeniewierzenie się prawdzie naukowej oraz elementarnym zasadom rzetelności i solidarności z ludźmi stało się [w III Rzeszy] czymś zwyczajnym” (s. 231).

Odpowiedź na to intrygujące pytanie, której ciągle nie mamy, wymaga nauki, a raczej różnych nauk no-

motetycznych z ich hipotezami służącymi wyjaśnianiu ludzkiego postępowania – od psychologii społecznej, przez ekonomię, teorię gier i decyzji, aż do neurobiologii. Teoretyczna sugestia Tyrowicza (pokrewna myśli Tomasza Manna), że poza prozaicznymi przyczynami degradacji niemieckiej humanistyki, poza strachem i interesownością, „zawsze jednak mieliśmy do czynienia z rozpaczliwym brakiem oparcia w jakimś zespole wartości, a także głębokim poczuciem kryzysu i rozpadu mieszczańskiego świata oraz jego kultury duchowej” (tamże) – sugestia ta, z którą autor wykracza poza bezpośredni krąg zjawisk ku ich źródłom, prowadzi nas dalej.

Odnajmy jeszcze, zanim pójdziemy dalej z inspiracji Tyrowicza, że jego badanie toczy się na obszarze teorii znacznie wcześniej niż zajmą go teoretyczne pytania o źródła nazistowskiej metamorfozy nauki w pseudonaukę. Tyrowicz musi, jak każdy badacz opisujący fakty, zorganizować teren. Nie da się bowiem opisać wszystkich faktów, wcale nie dlatego, że nikt nie ma na to czasu, lecz najpierw dlatego, że *nie ma wszystkich faktów* albo, co na jedno wychodzi, że jest ich nieskończenie wiele. Badacz musi zatem dokonać wyboru, a wybór zakłada teorię, choćby prowizoryczną.

Materiał Tyrowicza to ogromna masa – przygnębiająca, bo ukazująca poniżenie i podłość człowieka – wypowiedzi i tekstów niemieckich socjologów i filozofów w czasach Hitlera, enuncjacji i działań hitlerowskich władz, powojennych komentarzy i opracowań badawczych. Teorie, z którymi Tyrowicz przystąpił do tego materiału, poznajemy po ich owocach, po doborze cytatów z ówczesnego piśmiennictwa (od wyrafinowanych do prostych, od groźnych do groteskowych), po tytułach paragrafów, które wskazują obszary problemowe składające się na świat socjologii i filozofii hitlerowskich Niemiec, tej „humanistyki zdeprawowanej”, uwięzionej „w matni urzędowego światopoglądu” (wyrażenia w cudzysłowach są tytułami zamykających książkę paragrafów rozdziału trzeciego). Tyrowicz kierował się wymagami założeniami, skoro powstała książka, która wymaga i skłania, by pójść dalej, ale pominąć jej nie sposób, gdy zajmuje nas

uniwersalne zjawisko deprawacji wiedzy oraz intelektualnej i moralnej korupcji świata uczonych.

Na tym jednak nie koniec zalet książki Tyrowicza. Pozostaje coś, co trudno opisać, a łatwo wskazać biorąc znany zwrot *sine ira et studio*. Tyrowicz nie grzmi prokuratorskim głosem, nie wygłasza tyrad piętnujących głupotę i małość jednych, cynizm, wandalizm i zbrodniczość innych. Mówi spokojnie, ze stoicką wyrozumiałością dla ludzkiej mizerii, a gdybyśmy myśleli, że jesteśmy bezpieczni i upadek nam nie grozi, bo żyjemy w świecie dramatycznie innym niż niemieccy humaniści pod rządami Hitlera, zauważy: „Filozofowie XX wieku są pracownikami państwowych instytucji, a fakt ten nie pozostaje bez wpływu na sposób filozofowania – gaje Akademosa wycięto już dawno” (s. 108). Tyrowicz różnicuje charaktery niemieckich uczonych tamtego czasu, ich motywacje, sposoby postępowania, poziomy odstępstwa od reguł i zwyczajów normalnej nauki, poziomy służalstwa względem władzy i panującej ideologii. W tej upiornej nocy nie wszystkie koty są czarne. Są też szare i bure, a Tyrowicz to widzi.

Gdy dostrzegłem tę osobliwość książki, jej *moralną* zaletę, nasunęła mi się pochwała tym silniejsza, jeśli uwzględnić, że praktycy „humanistyki”, o której pisze, puściliby go z dymem, gdyby go dopadli. Nieprzystojna to jednak pochwała, Stanisław nie mógł bowiem napisać książki innej intelektualnie i moralnie. Tylko taka, książka autentycznego uczonego humanisty, a więc antyfaszystowska w sensie najgłębszym, tylko moralnie wielkoduszna mogła mu – udręczonemu ciężarem zagłady Żydów – przynosić ulgę.

Idźmy dalej tropem Tyrowicza. Powierzchnowa nawet znajomość dziejów kultury, wsparta znajomością z autopsji jej treściwych fragmentów, pozwala na *uogólnienie* zjawiska deprawacji wiedzy. Zjawisko to występuje zawsze i wszędzie, w stężeniu silniejszym lub słabszym, na całym w danym czasie obszarze nauki lub tylko na peryferiach, w postępowaniu poszczególnych uczonych. Na czym polega? Niełatwo dać zadowalającą definicję, ale pomocne są tu słowa Tyrowicza, który mówi o „sprzeniewierzeniu się prawdziwie naukowej oraz elementarnym zasadom rzetelności” (s. 231). Z wiedzą zdeprawowaną mamy więc do czynienia zawsze wtedy, gdy uznawaniem zdań w nauce oraz przekazywaniem wyników nauki rządzą inne czynniki niż względ na prawdę. Względ na prawdę natomiast wymaga w nauce stosowania metod i narzędzi niosących wiedzę, czyli myśli, których prawdziwość lub znaczne prawdopodobieństwo potrafimy *wykazać* w publicznie dostępnym postępowaniu. Prawdą w nauce to za mało, liczy się prawda uzasadniona. Sprzeniewierza się prawdzie nie ten, kto mówi rzeczy fałszywe, choć stara się o uzasadnienie, lecz ten, kto lekceważy uzasadnienie, choćby zdarzało mu się mówić prawdę. Fałsz tego pierwszego to wypadek przy pracy naprawialny w krytyce naukowej, a prawda tego drugiego to ślepy traf, skoro lekceważy uzasadnienie.

Wymieńmy główne przejawy choroby. Zdeprawowany uczyony wystąpi z twierdzeniami bez pokrycia w świadectwach doświadczenia i bez wywodu podporządkowanego wymogom logiki, przedstawi bezpodstawne interpretacje zjawisk, wprzędnie naukę w służbę nienauki, religii, ideologii, gospodarki udzielając tym obszarom interesów merytorycznie nienależnego im

poparcia nauki. Zdeprawowany uczyony podporządkuje naukę nienauce, religii, ideologii, gospodarce, społeczeństwu, narodowi, eliminując z naukowego badania i dyskusji stanowiska nie po myśli reprezentantów tych obszarów interesów, a forsując stanowiska przez nich oczekiwane. Zdeprawowany uczyony zastąpi krytykę naukową, czyli kontrolę świadectw i rozumowań, tropieniem intencji, piętnowaniem błędów, imputowaniem naukowemu przeciwnikowi nagannych postaw i przekonań. Krytyka w wydaniu zdeprawowanym nie jest współpracą nastawioną na eliminację błędów, lecz konfrontacją w celu eliminacji przeciwnika. Zdeprawowany uczyony zignoruje zjawisko, odrzuci metodę badawczą, gdy te są nie po myśli dysponentów siły, której ulega. Zdeprawowany uczyony zajmie się zjawiskiem fikcyjnym, posłuży się pseudometodą, a wypowie się w ubogim rutynowym języku, bo tego chcą dysponenci siły, której ulega. Wiedza zdeprawowana to środowisko, w którym *rozumną niezgodę*, stan naturalny nauki, wypiera *nierozumną zgodą*, stan upragniony przez dominantów (opozycję tę wyrażam z pomocą terminologii Johna Rawlsa; zob. jego *Liberalizm polityczny*, Warszawa 1998, s. 98).

Przejdźmy od abstrakcyjnej charakterystyki do faktów. Znam z autopsji okazy deprawacji wiedzy, obserwowałem je i obserwuję. Sięgam jednak do nich z obawą. Obawiam się mianowicie, by wskazując zjawiska deprawacji wiedzy w Polsce powojennej nie znaleźć się w złym towarzystwie – w towarzystwie prawicowego antykomunizmu. Twór ten, hybryda agresywnej propagandy i prymitywnej mitologii urąga rzeczywistości złożonej, wielostronnej rzeczywistości tamtych czasów. W tej bajdzie straszą demony, których nie było, a blask męstwa bije od niezłomnych, których również nie było. Polska nie różni się w niej od Rosji pod rządami Józefa Wissarionowicza Stalina, wszystko spowija czerń, październik roku 1956 niczego nie zmienia, nie ma różnic między młodymi ideowcami a dynamicznymi arystami, potulnymi serwilistami czy cynicznymi karierowiczami.

Opowieść ta występuje skądinąd na różnych poziomach. W mediach i polityce służy dziś walce ideologicznej, natomiast w wypowiedziach i pracach zawodowych historyków, socjologów, politologów uosabia najnowszą mutację zdeprawowanej humanistyki.

Tragifarsowe są losy marksizmu – filozofii o znacznym ładunku myśli i dramatycznej sile społecznego oddziaływania – w powojennej Polsce. Wzięty na sztandary przez rządzącą partię, zdeformowany do postaci „filozofii” państwowej, używany do boju z filozofią „burżuazyjną”, zwulgaryzowany w wieczorowych uniwersytetach marksizmu-leninizmu, „nauczany” jako obowiązkowy przedmiot ideologiczny w wyższych uczelniach – zamierał przez dziesięciolecia wraz ze stagnacją systemu, tchórzliwie na koniec porzucony przez dawnych wyznawców i szerzycieli powraca dziś anemicznym echem w wielostłowi modnych autorów importowanych przez marginalne środowiska.

Ten opis powojennych losów marksizmu w Polsce jest rzecz jasna krzywdzący, lecz nieznaczący. Nie uwzględnia mianowicie zjawisk w życiu publicznym praktycznie nieobecnych – autentycznego znawstwa marksizmu i niekonkunkturalnej weń wiary w wydaniu starych komunistów, ocalałych członków Komunistycznej Partii Polski, grup młodzieży głównie studenckiej, studiującej własnowolnie marksizm, badawczego stosowania marksizmu

w pracach humanistów, interesujących prób skomunikowania bądź co bądź dziewiętnastowiecznej doktryny z współczesną myślą filozoficzną (na przykład w pracach Andrzeja Malewskiego i Leszka Nowaka).

Marksizm, a raczej jego mutant, interesuje mnie tu jako narzędzie, a zarazem symptom deprawacji wiedzy. Gdy grupa młodych bojowych marksistów, przypuszczalnie z inspiracji ówczesnych kierowników frontu ideologicznego, rusza z atakiem (u progu lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku) na Kazimierza Twardowskiego, Tadeusza Kotarbińskiego, Kazimierza Ajdukiewicza, wybitnych uczonych o dorobku trwale obecnym w dziejach logiki i filozofii, mamy urągawisko – grupę tekstów polemicznych urągających prostym wymogom racjonalności argumentów, rzetelności krytyki, przyzwoitości i zwykłego dobrego smaku.

Trudno dziś oprzeć się pytaniu, czy ci inteligentni ludzie mogli wierzyć w to, co piszą i aprobować to, jak piszą. Pokusie, by przyznać, że mogli, staje na przeszkodzie prosty test *odwrotności*: wystarczyłoby postawić ich na miejscu owych „burżuazyjnych” profesorów i spytać, jak reagują na taką krytykę swojego dorobku. Nie potrafię odrzucić przypuszczenia, że nie mieliby wątpliwości, iż to, co czytają o sobie, w ogóle nie koresponduje z ich dorobkiem, na miano krytyki nie zasługuje, a służy eliminacji piętnowanych z życia publicznego. Istnieje skądinąd wymowna odpowiedź Kazimierza Ajdukiewicza na „krytykę” jego filozofii przeprowadzoną przez czołowego ówczesnego marksistę. Ajdukiewicz pokazuje łagodnie, lecz stanowczo, że owa krytyka to ciąg nieporozumień. Warto zwrócić przy sposobności uwagę czytelnikowi oddalonemu od ówczesnych realiów, że odpowiedź Ajdukiewicza, nieprzynosząca zaszczytu jego polemście, ukazała się w centralnym wówczas czasopiśmie filozoficznym (czytelnik znajdzie oba teksty w drugim tomie wyboru pism Ajdukiewicza, noszącym tytuł *Język i poznanie*). Sytuacja ta skupia skądinąd niczym w soczewce obraz różnic między Związkiem Radzieckim a Polską. Radziecki uczyony zaatakowany przez czołowego marksistę nie opublikowałby odpowiedzi – z łagru nie wysyłało się tekstów do stołecznego czasopisma filozoficznego.

Polemiki te nie były epizodyczne. Przeciwnie, wyznaczały pułap i kanon w postępowaniu z niemarksistowską humanistyką, filozofią, socjologią, historiografią. Kluczowe jego składniki to zastąpienie prawdy użytecznością, argumentacji perswazją, krytyki odślaniającej wątpliwe założenia śledztwem tropiącym szkodliwe zamiary, współpracy badawczej z krytykowanym sytuowaniem go we wrogim obozie (w Polsce, przypomnijmy, nie były to obozy okolonie drutem kolczastym). Kanon ten tracił wigor, a z upływem czasu ulegał erozji. Historia zgotowała mu koniec końców standardowy los – zaczęło się od grozy, a skończyło groteską.

Deprawacja, którą niesie ten styl obecności w życiu umysłowym, tkwi w dwóch kluczowych miejscach społecznego przyswajania wiedzy. Przekonania urabiane z pogwałceniem prawdy i dowodu nie zasługują na wiarę, bo nie dają informacji. Wiedza zdeprawowana nie budzi zaufania, bo obciąża ją deficyt informacji, a nie daje informacji, bo nie różnicuje informacji i dezinformacji, skoro o dobrze jej treści decydują interesy pozapoznawcze, nie zaś uzasadnienie. Towarzyszy jej znane zjawisko demoralizacji – mało kto w to wierzy, choćby

werbalnie „wierzyli” wszyscy. Gdy znika przymus, zostają ruiny.

Czasy się zmieniają i oto mamy za sobą dwudziestolecie bez monopartii i jej ideologicznego ramienia – marksizmu. Odeszła w przeszłość zdeprawowana humanistyka spod marksistowskiego stempla. Odchodziła skądinąd nie skokowo, lecz w procesie stopniowego wygasania, a raczej degradacji, obok niej toczyło się pluralistyczne życie humanistyki czerpiącej garściami z myśli Zachodu. Niezdeprawowany przyszły badacz kultury polskiej lat 1956-90 nie natrafi w niej na ciężką rękę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, skoro jej nie było. Nie znaczy to oczywiście, że nie było postulatów jej gasnącej woli – z przekonania, z przyzwyczajenia, z wyrachowania. Ucisk urojony trwa znacznie dłużej niż rzeczywisty.

Kto by jednak sądził, że przy wielopartyjnym kapitalizmie, bez centralnej cenzury i wydziału ideologicznego Komitetu Centralnego rządzącej partii odetchnęliśmy swobodną pierś, byłby naiwny. Nad całym bowiem obszarem rzeczywistości wisi dziś tabu. Uniwersum zjawisk i przedmiotów interesujących humanistykę i refleksję filozoficzną składa się u nas z miejsc o nierównej dostępności nie ze względu na naturę tych miejsc, lecz ze względu na ograniczenia narzucone badaczom lub „dobrowolnie” przez nich, choćby dla świętego spokoju, przyjęte. Tabu – skutkujące niemówieniem w ogóle pewnych rzeczy, mówieniem półgębkiem, mówieniem jednostronnym, fałszywym, nieuwzględniającym innego ujęcia niż aprobatywne – chroni doniosłą intelektualnie i społecznie dziedzinę *religii*, ze szczególnym immunitetem katolicyzmu, chroni instytucję *Kościła katolickiego*, ze szczególnym immunitetem Kościoła w Polsce, jego minionych i obecnych działań politycznych, jego ról społecznych.

Płynie w humanistyce i filozofii od czasów Odrodzenia (a i wcześniej zdarzali się pojedynczy śmiałkowie) nurt badań, refleksji i krytyki, dotyczących religii, życia religijnego i organizacji wyznaniowych. Refleksji i krytyki sięgającej od metafizyki, od kwestii rozumności wierzeń religijnych przez problematykę usytuowania religii w życiu społeczeństw, aż do psychicznych funkcji indywidualnych przeżyć religijnych. Nurt ten, bez którego z nowożytnej humanistyki i filozofii zostają szczątki, zawsze był obecny na głównej scenie życia umysłowego. W dzisiejszej Polsce został zepchnięty na margines.

Powie ktoś, że są dziś w Polsce różne przejawy deprawacji wiedzy, a wskazany wyżej to jeden z nich. Inny okazały – to historiografia spod znaku Instytutu Pamięci Narodowej. Mamy tu jednak zasadniczą różnicę. Historiografii tej z powodzeniem przeciwstawia się inna, a raczej inne. Spór toczy się na wspólnej scenie między zasadniczo równorzędnymi stronami, dociera do mediów wspierających antagonistów, uczestnicy sporu występują zasadniczo we własnym imieniu, a korzystają z zasadniczo wspólnego zasobu reguł i zwyczajów rządzących wytwarzaniem i wymianą zdań w nauce.

Ateista natomiast, wyznawca poglądu o sprzeczności między nauką a wiarą religijną, badacz traktujący religię jako zjawisko naturalne i nic więcej, a instytucje wyznaniowe jako instytucje społeczne i nic więcej, rzecznik rozdziału Kościoła i państwa, przeciwnik religijnej indoktrynacji w szkolnictwie publicznym, zwolennik po-

glądu o wielu składnikach kultury europejskiej, a tym samym przeciwnik monolitycznego mitu o „chrześcijańskich korzeniach Europy” – ten, kto to wszystko powie w humanistyce, w filozofii, w politologii, w publicystyce, kto powie nie płacąc daniny uniżoności wobec religii, z góry stoi w kącie. W kącie z tak zwanymi kontrowersyjnymi poglądami, z ateizmem lekceważąco traktowanym jako irracjonalna quasi-religia, z rzekomo przestarzałym oświeceniowym racjonalizmem, z lewacką niechęcią do chrześcijaństwa – tam go sytuują przedstawiciele strony przeciwnej, a w mediach znanego redemptorysty bez ceregieli go zrugaają.

Nauka i jej obrzeża, w której panuje opisana wyżej sytuacja, jest w stanie deprawacji. Osiowym objawem deprawacji jest bowiem ograniczenie swobody badań i manifestowania ich wyników, reszta to jego owoce. Zepchnięcie do narożnika w szeroko rozumianej nauce postaw areligijnych w stosunku do religii, czyli zdeprawowanie pod tym szczególnym względem nauki, sytuacja zdawałoby się lokalna, bo występująca w pewnym miejscu kultury, wcale nie jest lokalna. Przeciwnie, infekuje całość polskiego życia umysłowego. Nigdy nie wiesz, gdzie się z nią spotkasz – z nią samą lub z czymś na jej obraz i podobieństwo.

Narzuca się tu wymagające osobnego namysłu pytanie o przyczyny tej sytuacji. Odpowiedź na nie prowadzi w głąb ustroju dzisiejszej Polski. Oto ona w dwuzdaniowym skrócie. Władza polityczna jest

w Polsce dwuskrzydłowa. Składa się ze skrzydła ruchomego, którym jest każdorazowa koalicja rządowa, oraz ze skrzydła stałego, którym jest hierarchia Kościoła katolickiego.

* * *

Zaczynając od lektury wybitnej książki Stanisława Tyrowicza – oto gdzie dotarliśmy: *wiedza zdeprawowana* to zjawisko uniwersalne, choć występujące ze zróżnicowanym natężeniem. Każdy ma w polu widzenia swoje wiedze zdeprawowane. W moim są trzy okazale – nazistowska, którą znam od Tyrowicza, zdeprawowana humanistyka w socjalistycznej Polsce, którą znam z niedysiejszej obserwacji, oraz zdeprawowane życie umysłowe w kapitalistycznej Polsce, w którym dziś uczestniczę. Tym trzem, w moim przekonaniu, coś istotnie wspólnego przysługuje, inaczej nie umieszczałbym ich pod wspólnym szyldem. W składzie warunków natomiast wytwarzających te nowotwory w organizmie umysłowej aktywności społeczeństw zdają się występować, na mocy kanonu jedynej zgodności, wspólne warunki.

BOHDAN CHWEDEŃCZUK

Stanisław Tyrowicz, *Światło wiedzy zdeprawowanej. Idee niemieckiej socjologii i filozofii (1933 – 1945)*, wyd. 2, Universitas, Kraków 2009; na podstawie wydania: Instytut Zachodni, Poznań 1970.

PIOTR SZTOMPKA

ZASKAKUJĄCA TRANSFORMACJA

Dr hab. Wiesław Gumuła nie jest uczonym czyto akademickim, lecz także wybitnym praktykiem życia gospodarczego. Przeszedł wiele szczebli kariery w różnych bankach, aby w rezultacie osiągnąć bardzo wysokie stanowiska w Narodowym Banku Polskim. Nie zerwał jednak kontaktów ze środowiskiem akademickim i nie porzucił ambicji naukowych. Świadczy o tym najlepiej recenzowana książka.

Jest to książka niezwykła. Moim zdaniem – najlepsza z prac socjologicznych, jakie ukazały się na temat przelomu ustrojowego i budowania systemu rynkowego i demokratycznego w naszym kraju. Znakomicie świadczy to o autorze, ale nie najlepiej o osiągnięciach polskiej socjologii, że w dwadzieścia lat po przelomie nie potrafiłbym wskazać żadnej książki zbliżającej się po-

ziomem do monografii Gumuły. Mimo ogromnej, przyczynkarskiej literatury „tranzytologicznej” mało jest na razie prac o walorze teoretycznym. Sam podjąłem taką próbę interpretując transformację przez pryzmat „traumy kulturowej” i „sekwencji traumatycznej”. To była teoria na średnim poziomie ogólności. Wiesław Gumuła buduje teorię bardziej ogólną, wobec której teoria traumy okazuje się tylko bardziej konkretną interpretacją. Być może socjologów akademickich paraliżuje niebywała gęstość i bogactwo zdarzeń, których byliśmy świadkami w okresie transformacji i ograniczają się do przyczynków, natomiast trzeba było praktyka życia gospodarczego i politycznego dysponującego równocześnie doskonałym przygotowaniem i warsztatem socjologicznym, aby porwać się na całościową syntezę.

Siła tej książki leży w dwóch obszarach, zarówno teoretycznym jak i empirycznym. W obszarze teoretycznym autor formułuje ni mniej ni więcej tylko własną oryginalną teorię zmian społecznych, którą określa jako „teorię osobliwości społecznych”. Punktem wyjścia każdej teorii jest prosty pomysł. U Gumuły jest to idea, że w toku każdego biegnącego pewnym prawidłowym torem procesu pojawiają się anomalie, „osobliwości”, które są zalążkiem procesów nowego rodzaju, zmieniając kierunek zdarzeń, a z czasem i same dotychczasowe prawidłowości – zastępując je prawidłowościami nowymi. W ten sposób dokonuje się nieustanna emergencja dziejowa, pojawianie się nowych zdarzeń i nowych „praw historii”.

Teoria ta ma dwa korzenie. Po pierwsze, stanowi twórcze rozwinięcie tych teorii zmian, które kładą akcent na podmiotowe działania jednostkowe i zbiorowe, pewien stopień indeterminizmu zmian, rolę przypadku w dziejach i alternatywność możliwych scenariuszy historycznych, z których jeden się realizuje, a inne stają się – jak określa Gumuła – „historią niebyłą”. Lokuje więc swoją koncepcję w kręgu teorii przyjmujących założenia posybilizmu dziejowego i odrzucających tezy deterministyczne, fatalistyczne i finalistyczne. Nie ukrywam sympatii dla takiego stanowiska, bowiem sam przedstawiłem w 1991 roku teorię tego typu, „teorię stawania się społeczeństwa”, do której autor recenzowanej książki często się odwołuje.

Druga idea teoretyczna, którą Wiesław Gumuła przyjmuje i konsekwentnie stosuje, to zaproponowany przeze mnie w roku 1989 model struktury społecznej jako układu czterowarstwowego, składającego się ze struktury interakcyjnej, normatywnej, ideowej i dystrybucyjnej (czy inaczej: rozkładu szans życiowych). Nowatorstwo autora polega na tym, że mechanizm „społecznego stawania się” odnajduje w ciągle odnawiającym się napięciu strukturalnym pomiędzy strukturami dla danego układu (reżimu, systemu) konstytutywnymi i typowymi, a pojawiającymi się osobliwościami strukturalnymi. Nie chodzi tu o akty indywidualnej dewiacji czy innowacji, ale o cechy struktur, a więc utrwalone, rozpowszechnione ramy ludzkich działań, które stanowią swoiste rysy, pęknięcia czy nowe pola szans w typowym kształcie zastanej struktury. Upowszechniając się, rutynizując w ludzkim działaniu i myśleniu, powoli kolonizują one cały zastany system, z czasem uzyskując rangę struktur typowych i nadając znamię osobliwości dawnym strukturom typowym. Osobliwości nie spadają z nieba, lecz są zawsze efektem działań podmiotowych: wybitnych, charyzmatycznych jednostek, bądź ruchów społecznych, albo światłych reformatorów kontestujących dotychczasowy porządek społeczny.

Nowe osobliwe struktury pojawiać się mogą w obszarze struktur interakcyjnych jako nowe rodzaje więzi społecznych, w obszarze struktur normatywnych jako nowe uregulowania prawne, moralne, obyczajowe, nowe hierarchie wartości i reguł życia codziennego, w obszarze struktur ideowych jako nowe ideologie, rozpowszechnione przekonania, sposoby myślenia, oraz w obszarze struktur dystrybucyjnych jako nowe formy nierówności społecznej czy różnicowania społecznego w dostępie do cenionych dóbr.

W pierwszym rozdziale książki Wiesław Gumuła szczegółowo przedstawia swój model osobliwości społecznych, rozbudowując cały potrzebny do analizy apa-

rat pojęciowy, np. pojęcia struktur pospolitych, osobliwych zasobów społecznych, osobliwości ustrojowych, osobliwości systemowych, itp. Sam w sobie prezentowany model stanowi oryginalne i ciekawe osiągnięcie. Ale swoją wartość pokazuje dopiero przez zastosowanie do procesów transformacji w Polsce, czemu poświęcona jest większość rozprawy.

Ogólniejsze prawidłowości ujęte w postaci modelu teoretycznego pozwalają z jednej strony lepiej zrozumieć sens pozornie chaotycznych i przypadkowych zdarzeń, a z drugiej same znajdują potwierdzenie w historycznych, konkretnych obserwacjach. Takie dwukierunkowe wzajemne wspomaganie się wyobraźni teoretycznej i materiału empirycznego jest znamieniem wartościowych teorii dynamiki społecznej.

I taką strategię przyjmuje właśnie Wiesław Gumuła. Swoją wizję teoretyczną odnosi do wielkiej historycznej transformacji ustrojowej, jakiej doświadczamy w Polsce przechodząc od reżimu realnego socjalizmu do radykalnie i niemal w każdym punkcie przeciwstawnego społeczeństwa demokratycznego i rynkowego. Tu tkwi druga potężna zaleta recenzowanej monografii – jej walor empiryczny. Autor zebrał niezwykle rzetelnie i drobiazgowo wielowarstwową faktografię polskiej historii ostatnich ponad 30 lat. Trzydziestu, dowodzi bowiem, że proces pojawiania się struktur osobliwych i ich stopniowego rozprzestrzeniania się nie rozpoczął się ani owego magicznego roku 1989, ani w owym heroicznym, „Solidarnościowym” roku 1980, ale znacznie wcześniej, a w każdym razie od połowy lat siedemdziesiątych, kiedy polski socjalizm zaczął istotnie zmieniać swój modelowy, typowy charakter.

Nie znam pracy, która równie dokładnie opisywałaby, co się działo w życiu gospodarczym, politycznym i społecznym Polski w tym długim okresie. Autor nie będąc historykiem korzysta oczywiście przeważnie ze źródeł wtórnych, istniejących opracowań historycznych, powszechnie dostępnych dokumentów politycznych. Ale czyni to z dużym dystansem krytycznym, a co najważniejsze – interpretuje fakty po nowemu. To nowatorstwo interpretacyjne wynika właśnie z tego, że pedantycznie i konsekwentnie oświetla fakty nowym reflektorem własnej teorii osobliwości. Jakże często w pracach podobnego typu tzw. część teoretyczna ma wyłącznie charakter erudycyjnej ornamentacji, polega na streszczeniu jakiejś znanej teorii w rozdziałach wstępnych, a potem w części empirycznej o niej się zapomina, by przypomnieć sobie w podsumowaniu. Gumuła nie dość, że formułuje własną, oryginalną koncepcję teoretyczną, to porządkuje, interpretuje i wyjaśnia przy jej pomocy cały zebrany, ogromny materiał empiryczny.

Daje to różne korzyści, istotną wartość dodaną w stosunku do czystej narracji faktograficznej. Na przykład widzimy jasno, że nic nie musiało się zdarzyć tak, jak się zdarzyło, że w wielu momentach staliśmy na rozdrożu o wielu ścieżkach, a to, jak historia się potoczyła, zależało od indywidualnych decyzji, zbiegu okoliczności, przypadku, emocji, nastrojów społecznych, itp. Liczne w książce hipotezy kontrfaktyczne uczą pokory tych, którzy wierzą w historyczną nieuchronność, nieodwracalność czy konieczną postępowość dziejów. Zarówno tych, którzy kiedyś deklarowali nieuchronne nadejście komunizmu, jak i tych, którzy dzisiaj sądzą, że od demo-

kracji nie ma odwrotu i że nie trzeba już stale czujnie stać na straży jej pryncypiów.

Inna korzyść teoretycznej strategii autora, to oryginalna i odmienna od powszechnych periodyzacja badanego okresu, a więc wyróżnienie wspomnianej już fazy dekompozycji systemu socjalistycznego w latach 1976-1983, kiedy pojawiają się już wyraźnie – zwłaszcza w Polsce – załączki nowych instytucji i praktyk wobec klasycznego modelu socjalizmu „osobliwe”, ale inicjujące procesy, które lata później okazują się normalne, np. urynkowienia, pewnego stopnia tolerancji dla pluralizmu poglądów, stworzenia pewnych szans dla społeczeństwa obywatelskiego i wobec których pozostałości realnego socjalizmu i *homo-sovieticus* zyskują same walor nowych osobliwości („przeżytków”, „dziedzictwa przeszłości”). Analiza klasycznego modelu socjalizmu i jego dekompozycji, jaką prowadzi Gumuła, ma rangę podobną tylko do jednej znanej mi pracy równie teoretycznie pogłębionej, a mianowicie *Ontologii socjalizmu* Jadwigi Staniszkis.

W kolejnym rozdziale autor analizuje kluczowy okres mnożenia się i rozprzestrzeniania osobliwości strukturalnych w latach 1984-94. Transformację datuje nie od owego magicznego roku 1989, lecz już od lat osiemdziesiątych, po zniesieniu stanu wojennego. Dekadę 1984-94 opisuje jako narastającą ekspansję „osobliwości” i zanik struktur „pospolitych” socjalizmu.

Wreszcie ostatni rozdział pokazuje okres 1995-2007 w całej jego ambiwalentnej dynamice, gdzie w „pospolitym” już w tym czasie rozwoju demokratycz-

nym i rynkowym pojawiają się niespodziewanie znowu anomalie: po części odrodzone echa mentalności socjalistycznej, zwłaszcza na poziomie elit politycznych, a po części populistyczne tendencje antydemokratyczne i antykapitalistyczne, odchodzące od nowoczesnych ustrojowych standardów „zachodnich”, a symbolizowane przez projekt „IV Rzeczpospolitej”.

Książka oparta jest na bardzo bogatej i dobrze przemyślanej literaturze, a także doświadczeniu i własnych obserwacjach autora, którego osobista kariera w sektorze bankowym przebiegała równoległe z procesami, które analizuje. To pomaga intuicji i pozwala na wgląd w dokonujące się zmiany. Język pracy – dojrzały, zarazem analityczny, ale i nie przeładowany sztuczną erudycją czy socjologicznym żargonem. Na podkreślenie zasługuje godna uznania wstrzeźliwość autora w ujawnianiu własnych opcji politycznych czy ideologicznych. Do badanych procesów, tak bardzo przecież namiętnych emocjonalnie, podchodzi z zimnym dystansem badacza.

Oczywiście, książka o takim rozmachu, traktująca o tak skomplikowanych zjawiskach i procesach, nie mogła być kompletna. Po pierwsze jest niedokończona, bo każdy autor badający zmianę społeczną nigdy nie zdoła nadążyć za badanym procesem, który umyka mu niczym ten „znikający punkt” w znanym filmie amerykańskim. Dlatego autor kończy w zasadzie analizę na roku 2006, a interpretacja okresu 2005-07 jest w porównaniu z okresami wcześniejszymi bardziej po-



Stanisław Wiśniewski, *Bez tytułu*, ołówek - papier

wierzchnowa, zabrakło bowiem dystansu historycznego pozwalającego w pełni dostrzec – żeby użyć terminu marksowskiego – „nędzę IV Rzeczypospolitej”. Na to nie ma rady. Gdyby autor czekał na dokończenie polskiej rewolucji roku 1989 i na finał transformacji, to pewno książka nie ukazałaby się jeszcze długo.

Po drugie, praca nie jest kompletna treściowo, uwaga autora spoczywa bowiem w głównej mierze na poziomie makrostruktur. To wynika zapewne z jego własnej perspektywy obserwacyjnej, gdy uczestniczył lub był bliskim świadkiem podejmowania decyzji o charakterze makroekonomicznym. Dlatego z pracy mało dowiemy się o zmianach cywilizacyjnych czy kulturowych w tkance codziennego życia: nowych zwyczajach, stylach życia, formach konsumpcji, modach, preferencjach estetycznych. Tu też dokonał się wielki, rewolucyjny przełom. Jeśli wskazuję na te dwa kierun-

ki możliwych uzupełnień pracy, to dlatego, że liczę, iż autor będzie nadal śledził równie uważnie kolejne etapy transformacji i że przyjrzy się także bliżej codziennej egzystencji Polaków w ramach coraz bardziej typowych makrostruktur demokratycznych i rynkowych.

Książka Wiesława Gumuły to bardzo wartościowa, oryginalna i w pełni udana próba syntezy doniosłego okresu naszej najnowszej historii. Stanowi ważny głos w debacie na temat polskiej transformacji ustrojowej, a także istotny wkład do ogólnej teorii zmian społecznych.

PIOTR SZTOMPKA

Wiesław Gumuła, *Teoria osobliwości społecznych. Zaskakująca transformacja w Polsce*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2008, stron 323.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

MŁODOŚĆ JANA SZCZEPAŃSKIEGO

Oto w sześć lat po śmierci pozdrawia nas zza grobu Jan Szczepański. Przypomniat nam o sobie nieoczekiwanie swoimi dziennikami z lat 1935-45. Mozołu przepisania, opracowania redakcyjnego i autorstwa wstępu podjął się prof. Daniel Kadłubiec, który poinformował czytelników, iż syn Jana, dr Artur Szczepański, udostępnił redakcji 58 zeszytów formatu A5. Pierwsze zapiski powstawały już na początku lat trzydziestych, niestety początkowe siedem zeszytów zaginęło w czasie wojny w Kościanie. Nic nie wiadomo o przyszłości zdeponowanych zeszytów: marzyłoby się, żeby ukazały się możliwie najwcześniej, ale niepokoić musi okoliczność, że w tomie wydanym zamieszczono dużo fotografii z okresu ostatnich lat życia Jana i jego małżonki oraz dzieci.

Dzienniki pisał Jan Szczepański nieregularnie, ale raczej zdyscyplinowanie, to znaczy utrzymywał ciągłość narracji w tym sensie, że określonych ważnych faktów i przeżyć nie spuszczał z pola widzenia do czasu aż się nie spełniły, jednocześnie jednak odnosił się do nich w różnych terminach: czasem z dnia na dzień, a czasem po upływie kilku lub kilkunastu dni, a nieraz nawet tygodni. W każdym razie jesteśmy informowani o tym, co się z naszym bohaterem dzieje, co i jak fizycznie, intelektualnie i uczuciowo przeżywa. A więc

wiemy, że jest zdrowy, że nie ma pieniędzy i w związku z tym prawie głoduje, że robi postępy w studiowaniu Husserla, że coraz lepiej radzi sobie z językiem francuskim i samodzielnym prowadzeniem proseminarium, nade wszystko zaś, że kocha z wzajemnością Norę, Noreńkę, najczęściej nazywaną Maleńką.

W autobiografii Jana Szczepańskiego wyróżnić trzeba dwie części: pierwsza obejmuje lata 1935-39 znaczone takimi doniosłymi wydarzeniami jak: ukończenie studiów, początek kariery naukowej, odbycie służby wojskowej, ożenek, doktorat, praca w Warszawie i powrót do Poznania, udział w wojnie i szczęśliwy z niej powrót do Kościana, stamtąd przeprowadzka do Ustronia. Część druga odnosi się do przeżyć wojennych i kończy się powrotem Szczepańskich do Polski.

Zajmiemy się najpierw pierwszym okresem, w którym Jan osiągnął wiek męski. W swoich wynurzeniach nawiązuje na wpół żartobliwie do Mickiewiczowskiego napiętnowania tej części życiorysu jako wieku kłęski dowodząc, że sam czuje się na siłach, aby pokonać ewentualne przeszkody egzystencjalne i ułożyć sobie życie godne, dostatnie i interesujące. „O życiu – powiada w lipcu 1936 r. – decyduje spokojna rozważa, bez celu, bez idei trudno żyć. Myślę o życiu przyszłym bez snów. Asystentura, wykłady zlecone. Czasopisma.

Życie we dwoje”. A zatem absolutnie realistyczny program życiowy?

Nic z tych rzeczy. Jan mógłby powtórzyć za wieszczem: „Choć mnie spokojnym zowią dzieci świata, burzliwą duszę kryję przed ich okiem”. To prawda, że oczekiwał tego, co dziś nazwalibyśmy bezpieczeństwem socjalnym, ale droga do tego przyziemnego celu prowadzić miała przez stałą, nieprzerwaną lekturę dzieł naukowych i literackich; ciągłe, bezustanne pisanie recenzji, artykułów, programów badawczych, ale także wierszy – wszystko to z myślą przewodnią: nie wypuszczać pióra z ręki, doskonalić kunszt literacki!; opanowywanie języków obcych z myślą osiągnięcia w nich mistrzostwa – aż do znudzenia beszta sam siebie z racji rzekomych zaniedbań w opanowaniu niemieckiego, angielskiego, francuskiego i rosyjskiego. Miał poczucie własnej wartości, ale nie okazywał tego, nie chełpił się tym, służyło mu za zachętę do stawiania przed sobą wyższych oczekiwań: „Dzieło tworzy świat. Tworzy historię. Człowiek jest elementem twórczym historii. Cóż zostanie z moich wspaniałe odczuty i przeżytych dni, jeśli nie zostanie z nich ślad symboliczny, ślad pisma?”.

Potrzeba, ściślej mówiąc przemożny przymus pisanie równoznaczny tworzeniu, staje się po prostu cechą przyrodzoną jego osobowości. W pewnym okresie rozważał nawet uprawianie zawodu pisarza lub dziennikarza, a nie naukowca, w każdym razie pisarstwo jest – jak wierzy – przypisanym mu posłannictwem. Był też chyba – jak się po latach miało okazać – obok Ludwika Krzywickiego najpłodniejszym polskim socjologiem. Zresztą jedną z głównych przesłanek znajomości studenckiej, z której wykluła się miłość z Noreńką. było obopólne uprawianie poezji: oceniali wzajemnie swoje wiersze, chwalili je lub krytykowali, poezja była przedmiotem stale obecnym ich rozmów, dyskusji i marzeń.

Jan był niewątpliwie wzorowym studentem, choć on sam z pewnością tego określenia by nie przyjął. Nie tylko skrupulatnie wywiązywał się z powinności uniwersyteckich, ale aktywnie udzielał się w Kole Socjologicznym. Za nic na świecie nie chciał stać się tępym molem książkowym, toteż dbał o zdobycie i zagospodarowanie czasu wolnego, najczęściej z kolegami i z Norą urządzali wielokilometrowe wycieczki do malowniczych lasów i jezior okalających Poznań. W 1935 roku po raz pierwszy był w Tatrach i zachwyił się nimi, czemu dał wyraz w opublikowanych wierszach. Ponad wszystko w świecie ukochał jednak swoją małą ojczyznę – bekskidzkie góry rodzinnego Ustronia z Czantorią i sąsiedniej Wisły; korzystał z każdej okazji, aby domowe pielesze odwiedzić, wciąż od nowa nasycić się przepięknym krajobrazem i swojską przyrodą. W pamiętniku Jan wielokrotnie z miłością opisuje swoją rodzinną ziemię, traktując te strofy jako literacką zaprawę, na modłę – tak sądzą – młodopolską.

Z notatek Szczepańskiego można wywieść sporo informacji na temat jego politycznej orientacji i światopoglądowych skłonności, chociaż nigdzie wyraźnie nie deklaruje się w tym względzie. Nie ulega wątpliwości, że nie sympatyzuje z żadną z istniejących partii politycznych. „Przede wszystkim – powiada w 1935 roku – czuję się chłopem. Ziemi i chleba dla chłopów! Wywłaszczenia bez odszkodowania [...] Żerują na chłopie

wszystkie warstwy »narodu«, chłopską pracą napychają się kiesy i brzuchy. Czas by wrócił Szela i pruć zaczął kiesy i brzuchy”. O endecji wyrażał się z przekąsem, o śmierci Józefa Piłsudskiego wypowiedział się lakonicznie: „Umarł czysty rewolucjonista – zostały szuje”.

Po odbyciu służby wojskowej i doświadczeniach wojny z Niemcami postawa Szczepańskiego wobec polityki zmienia się, staje się on coraz wyraziściej państwowcem, tj. obywatelem, dla którego interes i dobro państwa jest wartością nadrzędną i zarazem układem odniesienia przy ocenie przydatności stronnictw politycznych, instytucji publicznych, klas i warstw społecznych, działaczy i przywódców. Polskie życie polityczne nie wzbudza jego entuzjazmu, wręcz przeciwnie, staje się jego wymagającym i niezwykle surowym krytykiem.

Zaczął się od jednej z najważniejszych instytucji państwowych, tj. od wojska. Jan Szczepański po uzyskaniu tytułu magistra został we wrześniu 1936 roku powołany do Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu na Wołyniu. Podsumował swoje żołnierskie doświadczenia tymi oto słowami: „W wojsku uświadomiłem sobie wyraźnie, że nie mam ani narodowości, ani religii [...] Nie czuję się żołnierzem i całe życie walczyć będę z tą barbarzyńską organizacją”.

Po demobilizacji we wrześniu 1937 rozpoczął pracę w charakterze doktoranta w katedrze socjologii Floriana Znanieckiego, wkrótce jednak Józef Chałasiński zaproponował mu etat w kierowanym przez siebie, dopiero co utworzonym w Warszawie, Państwowym Instytucie Kultury Wsi. Z ramienia tego instytutu w czerwcu 1938 roku Szczepański po raz pierwszy w życiu wyjechał w celach badawczych za granicę, do Danii. Przez 6 tygodni zajmował się życiem społeczno-zawodowym duńskiej wsi. Porównując miasta i miasteczka duńskie z Warszawą dochodzi do smutnego wniosku, że „jesteśmy państwem biedaków, rządzących się na co dzień prawami dzungli” i że „smutno myśleć, że ten kraj dziki i biedny to moja ojczyzna”.

Owocny skądinąd, gdy idzie o twórczość publikacyjną i badawczą, pobyt Szczepańskiego w Warszawie nie potrwał długo, już od kwietnia 1939 roku podjął ponownie pracę jako starszy asystent na Uniwersytecie Poznańskim z zamiarem jak najszybszego uzyskania stopnia naukowego doktora. W międzyczasie nastąpiła w życiu nieodłącznej kochającej się pary Jana i Nory istotna zmiana egzystencjalna: na żądanie matki Nory wzięli ślub, porzucając niemile widziany w owym czasie związek wolnych kochanków. Uczynili to – powiada Jan – „dla świętego spokoju. Byle uzyskać świstek zatykający parszywe ludzkie mordy”.

Ważną cezurą w życiu (teraz) Szczepańskich był wybuch wojny, który zastał Jana w Kościanie, w miejscu zamieszkania Nory i jej matki. W pamiętniku znajdujemy dość szczegółową relację o przygodach, jakie przeżył w czasie kampanii na terenie Lubelszczyzny i Wołynia oraz o sposobie oceniania i wartościowania przez niego aktorów wydarzeń: Polaków, Niemców i Rosjan. Jego opinie są głęboko pesymistyczne, przepełnione gorącością. W zapisach adresowanych 23 września do Noreńki informuje, iż mógł w Kowlu porzucić znajdujące się już w rozsypce wojsko, ale zde-

cydował zgodnie z rozkazem ruszyć na południe, gdyż „póki jest jakaś organizacja wojskowa, nie rzucę jej, bo jestem Polakiem, za co teraz wstydzę się głęboko, bo należę do narodu blagierów, nędznych hochszpulerów, frazesowiczów i głupców”. W innym miejscu stwierdza, że wojna jest chaotyczna, bezsensowna i nie wiadomo jak prowadzona, że głupota i bezhołowie dowódców zmarnowało Polskę. Wchodząc na tereny, gdzie wcześniej byli już Niemcy, dowiadywali się od miejscowej ludności, iż zachowanie napastników było nad wyraz przyzwoite. Podobnie rzecz się miała w przypadku bolszewików, którzy według opinii tubylców, okazali się bardzo uprzejmi i życzliwi, aczkolwiek Jan zdawał sobie sprawę, że oto na Polsce dokonano kolejnej zbrodni rozbiorów.

W zasadzie Szczepański podzielał jednak wybuchę pod wpływem nieoczekiwanej totalnej klęski opinii o podłej nikczemności i umysłowej ograniczoności polskich przywódców, zwłaszcza głupawego Rydza Śmigłego i zdradliwego Józefa Becka (ciekawe, że ani razu nie pojawia się nazwisko Ignacego Mościckiego!), o tchórzostwie i sprzedajności polskich generałów, o kretynizmie i degeneracji części rozpicijanej kadry oficerskiej – przeciwstawianej odwadze, rozsądkowi, gotowości do poświęceń formacji podoficerskiej i zwykłych żołnierzy, a ponadto ofiarności i bezinteresowności polskich mas ludowych, zwłaszcza chłopów. Dopiero bardziej niż klęska Polski spektakularne zdruzgotanie Francji sprawiły, że „wojnę błyskawiczną” w Polsce zaczęto rozpatrywać w innej, zbliżonej do obiektywnej perspektywie.

Szczepański zdawał się nie przyjmować tej poprawki do wiadomości i zachował w pamięci okres wojny, w której „żołnierz bez oficerów walczył dzielnie. Ale generałowie wzięli pieniądze i uciekli, a oficerowie musieli ratować swoje żony i futra”. Już wcześniej analizując przyczyny bezprzykładnej klęski Polski czynił współodpowiedzialnym za nieprzygotowanie do wojny Józefa Piłsudskiego, ale prawdziwym wstrząsem dla niego stała się lektura IX tomu pism zbiorowych marszałka *Historia Polski od r. 1926*, w którym wszyscy więźniowie brzescy nazwani są złodziejami, oszustami itp. „To jest niepocztytalne, to jest obłąd – stwierdza Szczepański. – To jest piana wściekłości, ślepa nienawiść samodzielnicy, któremu ktoś się sprzeciwił”. I dodaje z przekąsem: „Jeżeli Piłsudski był największym Polakiem ostatnich czasów – ja dziękuję za zaszczyt bycia Polakiem. Wolę być obywatelem księżycy”.

W końcu października Szczepańscy przenieśli się do Ustronia, gdzie Jan pracuje w gospodarstwie rodziców, a jednocześnie dużo czyta, uczy się języków i wspólnie z Norą snują plany na przyszłość, niektóre nader osobliwe, jak na przykład objęcie gospodarstwa po rodzicach i zbudowanie muzeum w Ustroniu, inne z kolei prorocze, jak na przykład rychłe przystąpienie do wojny Rosji, Japonii i Stanów Zjednoczonych, stworzenie po zwycięskiej wojnie w Europie repliki Stanów Zjednoczonych.

27 października 1940 r. urodził się syn Szczepańskich Artur Allan. Jan wszczął starania o znalezienie pracy we Wrocławiu, chce „wyjechać z ponurego domu ludzi starych i zdziwaczatych”. Spełniło się to w lutym 1941 r., Nora dojechała w marcu, tylko na parę miesię-

cy. Praca w drukarni nie była uciążliwa i umożliwiała naukę języków obcych.

31 maja 1942 r. umarła matka Jana, do której był ogromnie przywiązany. Ponieważ Nora została wysiedlona z Ustronia, udała się do Wiednia, by poszukać pracy dla siebie i męża. Od lipca Jan został zatrudniony w Zakładach Garwensa, wiedeńskiej fabryce pomp i silników, Nora pracowała zrazu w tym samym przedsiębiorstwie, lecz później zmieniała pracodawców.

Szczepański zaczął się pasjonować polityką. Pilnie śledzi wydarzenia na frontach, zwłaszcza na froncie wschodnim, i stara się przewidzieć bieg zdarzeń wojennych oraz strategię polityczną walujących mocarstw. Niektóre jego tezy dotyczące organizacji powojennego świata sprawdziły się co do joty, w szczególności włączenie Polski do sowieckiego systemu wpływów, ale sporo jego koncepcji miało charakter nierealistyczny, jak chociażby te o roli Słowiańszczyzny lub o możliwości konfliktu ZSRR z Anglosasami, czy też prawdopodobieństwo inwazji niemieckiej na Wielką Brytanię w 1943 roku. Z sarkazmem wypowiada się o rządzie londyńskim, powstanie warszawskie nazywa krwawą tragedią i podejrzewa, iż nad nią „ponuro powiewa czarna flaga londyńskich intryg, gierki, ambicji i podłości”.

W 1944 roku objawy agonii Trzeciej Rzeszy stają się coraz wyrazistsze, ale wojna trwa nadal, mimo otwarcia przez aliantów zachodnich upragnionego drugiego frontu. Warunki życia rodziny Szczepańskich (dołączyli matka Nora z Arturem) znacznie się pogorszyły, gdyż rozpoczęły się anglo-amerykańskie naloty na Wiedeń powodujące olbrzymie zniszczenia i ofiary w ludziach, a także utrudnienia w postaci częstych wyłączeń prądu, gazu i wody. Trzeba przyznać, że kataklizm ten nasi bohaterowie znosili ze stoickim spokojem, Jan nadal każdą wolną chwilę poświęca na lektury i pisanie, Nora na tworzenie wierszy.

Kiedy na początku 1945 r. bombardowania Wiednia nasiliły się, Szczepańscy zdecydowali się wysłać Artura do miejscowości Payerbach koło Wiener Neustadt do państwa Krausów, których poznali rok wcześniej w Wiedniu i z którymi się zaprzyjaźnili. Jan odwiedził syna w końcu marca, kiedy Rosjanie byli już w pobliżu i zamiast zabrać dziecko ze sobą, wrócił sam do Wiednia. Zorientowawszy się, że Payerbach jest ewakuowane, wrócił po syna, lecz Krausów już w ich domu nie zastał. Wraz z Norą i jej matką udali się na poszukiwanie Artura i jego opiekunów. Ich wędrówka piesza i rozmaitymi środkami komunikacji trwała od kwietnia do sierpnia i jest czymś absolutnie jednorazowym zarówno w swoim tragizmie, jak i nonsensowności czy wręcz – jak to Szczepański sam nazwał – głupocie. W każdym razie rzecz skończyła się szczęśliwie aż w pobliżu Innsbrucku. Jan skwitował ten fakt następująco: „Artur zapomniał zupełnie po polsku, prawie zupełnie francuski, ale nauczył się najordynarniejszych klątw tyrolskich”.

Pamiętnik Szczepańskiego z okresu eskapad poszukiwawczych obfituje w opisy przyrody, stosunków międzyludzkich, oceny polityki okupacyjnej głównie amerykańskiej i UNRRA-owskiej, zachowania ogłupionych przez aliantów zachodnich Polaków – b. robotników przymusowych i b. więźniów, w tym także mętów społecznych.

Po niebywale uciążliwej podróży rodzina Szczepańskich wróciła 21 września szczęśliwie do Ustronia, stamtąd do Kościana i Poznania. Jan 17 października zjawił się w Łodzi, gdzie zgłosił się u prorektora nowopowstałego uniwersytetu, profesora Józefa Chałasińskiego, u którego objął starszą asystenturę i wykłady zlecone. I w ten sposób w wieku właśnie ukończonych 32 lat rozpoczął nowy okres swojego długiego i jakże bogatego, owocnego życia.

Z obowiązku recenzenta, skądinąd pełnego podziwu dla pracy wykonanej przez Daniela Kadłubca

i wydawcę, muszą na koniec zgłosić dwie poprawki: na s. 18 informacja o otrzymaniu Orderu Orła Białego jest nieprawdziwa, był to Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski; na s. 172 chodzi chyba nie o gwałcących muzyków lecz muzyków.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

Jan Szczepański, *Dzienniki z lat 1935 – 1945*. Przepisał, opracował i wstępem opatrzył Daniel Kadłubiec. Ustroń 2009, s. 272.

MARCIN KULA

STUKILOWY GŁAZ ZAGINAŁ, STRUMYK PŁYNIŁ TAK JAK PŁYNAŁ

Spadek. Zapiski mazurskie 2007-2008 Erwina Kruka to książka o upływie czasu. Autor pisze w konwencji sporządzania bieżących notatek. Przy lekturze pierwszych z nich przychodzi na myśl *Czarodziejska góra* Tomasza Manna. Wskazówki zegara posuwają się naprzód, ale niewiele się dzieje. Autor jest już na emeryturze, jego aktywność uległa ograniczeniu. Mógłby zapisać, że wstał, umył zęby, ubrał się. Zapisuje, że męczą go jakieś bóle, poszedł po butkę, potem załatwił jakieś rzeczy w Kościele ewangelicko-augsburskim, do którego należy, napisał kolejną kartkę z historii Mazurów, do wspólnoty z którymi się poczuwa, w końcu z kimś porozmawiał... Bliskich znajomych ma już mało. Olsztyn, miasto, w którym mieszka od młodości wydaje mu się jakby puste („nie ma już tych, do których chciałby się zbliżyć. Gdzieś są coraz młodszy, zajęci swoimi sprawami. Są właścicielami innych doświadczeń, a może też innego już świata,

w którym mazurska grupa etniczna, rozproszona do cna, należy już tylko do legend”).

Często przychodzi mgła, jak widoczna na okładce książki, nad jeziorem, czy pada deszcz, prawie jak w Macondo (Gabriel García Márquez, *Sto lat samotności*). Ten prawie nieruchomy czas ożywiają kontakty z dziećmi, które odplynęły daleko – jedno do Warszawy (wydarzenie: syn żeni się i oczekuje dziecka), drugie do Anglii (tam córce rodzi się drugie dziecko, a pierwsze jest ukochaną wnuczką, z którą rozmowa przez telefon to sama przyjemność). Brat mieszka w Gdyni, bo tam kiedyś zaniosło go życie z jedną walizką w rękę, a z Gdyni do Olsztyna jedzie się zdumiewająco długo. Bratanek mieszka w Norwegii, dobrze chociaż, że nienajgorzej mu tam płacą.

Czytelnik w pewnym wieku może łatwo odnaleźć się w tej książce. Z grubsza biorąc wszystkich nas czeka taki bieg czasu.

Jednocześnie jest to książka o upływie czasu w tym sensie, że stanowi refleksję nad historycznym losem zanikającej grupy Mazurów. To taki fresk zarysowany zaledwie kreską, a mówiący może więcej niż erudycyjne opracowanie. Autor się wypowiada pokazując własną rodzinę.

Najpierw, zaraz po wojnie dokładano starań, by grupa Mazurów zniknęła. Często postępowano brutalnie. Wtedy to autora i jego brata jako dzieci wyrzucono z gospodarstwa w miejscowości Dobrzyń. Nie było to trudne. Ich ojciec zginął gdzieś w ZSRR, a matka właśnie zmarła. W kontekście odnotowania pojawia się w księgarniach *Strachu* Jana Tomasza Grossa autor notuje:

„Tak jak stosunek ludności do Żydów, podobnie można znaleźć liczne, ale przemilczane przykłady, jak postępowano w stosunku do autochtonów na tzw. ziemiach zachodnich. W naszym regionie trudno było się zetknąć z Żydami. Ale to, co ludzie z Kurpiowszczyzny i Mazowsza wyprawiali z Mazurami, to można – przy odrobinie wyobraźni – porównać z sytuacją Żydów w regionach, w których po wojnie stanowili widoczną mniejszość.

Nie czytałem książki. Zdaje mi się jednak, że znam ten powojenny strach na Mazurach, na Warmii. W niektórych powiatach takie były zdarzenia, że jeszcze dzisiaj o tym nie chce się opowiadać głośno. Mało tego, słuchający nie uwierzą w te opowieści. Przecież Polacy są szlachetni. Taka opinia przeważa.

Gdy byłem w Nidzicy, stojąc na tle kościoła, to mówiłem, że po wojnie było sto tysięcy Mazurów, a teraz w całej diecezji mazurskiej Kościoła ewangelickiego zostało tylko niespełna pięć tysięcy. Nigdy mi do głowy nie przyszło jednak przeświadczenie, że antymazurskość jest cechą Polaków. Ale w warunkach, w jakich żyła ludność po wojnie, władze przy mazurskim exodusie mogły liczyć na przychylność społeczeństwa. Ci Mazurzy to Niemcy, mówiono. A i tamci, którzy nie wyjechali, też. Czy ja wiem, ludzie zacierają i wypychają z pamięci to, co niewygodne i co by źle świadczyło o ich postępkach. Dla nowych osiedleńców to było jakby oczywiste, że dawni mieszkańcy – jako resztkówka poniemiecka – muszą ustąpić im miejsca”.

W innym miejscu swoich zapisków autor wraca do sytuacji panującej po wojnie:

„Inteligencja mazurska podążyła do Olsztyna, wspierała budowę administracji i instytucji, które trzeba było dopiero utworzyć. A ci Mazurzy, którzy wcześniej tu mieszkali, jak najszybciej kryli się w innych powiatach, zmieniali nazwiska, bo rodzinny powiat stał się niebezpieczny. Straż obywatelska, samosądy, bezprawie. Ci, którzy byli parobkami u Mazurów przed wojną, teraz dawnych właścicieli czynili parobkami. Tworzono im tak zwane »belwedery«, trzymano w piwnicach. Niektórzy we współpracy z NKWD wysyłali Mazurów na Sybir. Straszono dorosłe kobiety, że jak nie przyjmą polskiej, czyli katolickiej wiary, i nie ochrzczą się w kościele, to zostaną wygnane z domów i ze wsi, i będą odśnieżać Kamczatkę”.

Potem reszta grupy rozpytywała się już stopniowo. Dziś jej prawie nie ma. Według autora, przed stu laty na miejscu żyło 300 tys. Mazurów, po 1945 r. jeszcze prawie 100 tys., a teraz paręnaście lub parę tysięcy.

Prawda, niektóre miejscowości szukają obecnie śladów swojej przeszłości. Szkoła w Dobrzyniu porządkuje dawny cmentarz ewangelicki, gdzie pochowani są najbliżsi krewni autora. Bardzo to miłe. Autor odnotowuje swoje wystąpienie na uroczystości, zorganizowanej na cmentarzu:

„Mówiłem, że po raz pierwszy po wojnie zgromadziło się tak wielu na tym wzgórzu. Przekroczyli bramę, która oznaczała, że historia zaczęła się w 1945 roku. W 1945 roku świat był podzielony, zerwana była ciągłość kulturowa. Wzgórze zarosło gąszczem było czymś prywatnym dla tych, którzy się tu pojawiali. Ta uroczystość świadczy, że za nami są wieki i że w tych wiekach żyli ludzie, rodzili się i umierali. Oni wszyscy należą do historii tej wsi”. Mimo tych słów, czytelnikowi (a może i autorowi?) renowacja cmentarza przypomina odgrzebywanie zabytków Majów.

Autor chce odzyskać swój spadek – rodzinne gospodarstwo. Człowiek, który posuwa się w latach i wie, że może w życiu zawodowym doszedł już do pułapu, którego nie przekroczy, zaczyna myśleć o rodzicach, o dzieciństwie, o swoim gnieździe (jak najpewniej wielu czytelników w podobnym wieku). Z trudem zbiera więc autor dokumentację (przecież nie zna nawet daty urodzenia rodziców, czego ludzie bez takich doświadczeń nie są w stanie zrozumieć). Potem uzyskuje wyrok sądu korzystny dla siebie i brata. Wykonanie orzeczenia spadkowego okazuje się jednak niemożliwe. Nikt nie jest przeciw, kłopot w tym, że już w żadnej dokumentacji nie pojawia się zapis, iż dane gospodarstwo należało kiedyś do ich ojca. W trakcie reformy rolnej i akcji osiedleńczej dawne zapisy zaginęły. Koincydencja i kropka. Przeszłości nie było, przedmiotu spadku po prostu nie ma. Trzeba tylko uważać, by urząd skarbowy nie ściągnął podatku od nieistniejącego spadku – skoro sąd go przyznał. Autor ponownie idzie z bratem na cmentarz w Dobrzyniu:

„Wszedłem, dźwigając westchnienie z wiersza Tadeusza Różewicza »Ciężko jest być pasterzem umarłych«. Staliśmy w milczeniu nad grobami. Ryszard był zdziwiony tym, jak bardzo się cmentarz zmienił. Zrazu patrzył na tablice. Potem ostrożnie rozglądał się wokół, jakby nie dowierzając, że nic się już nie odmieni i że cały nasz spadek jest tutaj. Ale zaraz pojawiła się refleksja, że przyszedłem nie do umarłych, ale do oddalonych, którzy bez własnej woli wcześniej i pospiesznie musieli odejść z mojego dzieciństwa”.

Dodajmy od siebie, że ów spadek materialny odgrywa w książce rolę trochę metaforyczną. To nie tylko gospodarstwo rodziców. Autor pośrednio mówi o całym spadku kultury, sąsiedztwa, tradycji. Hanna Krall w jednym ze swoich utworów pomieściła dialog, w którym uczestnicząca osoba mówiła, że Żydzi często nie mają nawet grobów swoich bliskich, na które mogliby chodzić, gdy wszyscy chodzą na groby. Autor jest w lepszej sytuacji, bo ma grób matki. Grobu ojca też nie ma.

W spisanych dziejach Polski nie bardzo jest miejsce dla dziejów Mazurów – mimo wysiłków autora, by podkreślać wiedzę o nich:

„Oto przeczytałem w gazecie o obchodach siedemsetlecia Lidzbarka Warmińskiego, które odbyły się 29 czerwca. Duchownych i gości powitał marsza-

tek województwa: »Należy przypomnieć – mówił Jacek Protas – że dawniej to miasto było stolicą katolickiego kraju i skutecznie opierało się naporom innych wiar«. I tak, chcąc Warmię wyszczególnić, odnalazł się jako marszałek katolickiego kraju. Nie było to za bardzo zręczne ani roztropne.

Teraz to może wyglądać już tak, że Mazury się prawie rozpadły. Jest tylko Warmia i katolicki kraj. Również gmina Olsztynek w dawnym powiecie ostródzkim, która dla mnie i Ryśka była światem chłopięcych lat, to też już jakby Warmia, ponieważ należy obecnie do powiatu olsztyńskiego. Raz w tygodniu ukazuje się dodatek powiatowy do miejscowej gazety pod tytułem „Nasza Warmia”. Niebawem może się okazać, że młodzi ludzie będą się uczyć, że Mrągowiusz urodził się w Olsztyнку na Warmii. A jeśli tak się przyjmie, to przyjmie się także, że i ja chłopięcę lata spędziłem na Warmii. Dla większości historia nie ma większego znaczenia”.

Nie ma też gdziekolwiek miejsca dla współczesnych resztek grupy. Nie, nikt tych ludzi nie atakuje. Nikt nawet nie pisze na ścianach haseł przeciw nim, jak nieraz przeciw Żydom. Mazurów po prostu nie ma i ma nie być. Na pytanie człowieka z zewnątrz o znajomość mowy mazurskiej, autor odpowiada:

„Na Mazurach dziś nie ma żadnej wioski, w której by było skupisko ludności mazurskiej – wyjaśniłem. – Niedaleko stąd, w powiecie działowskim nieżyjąca już znajoma mówiła mi, że po mazursku to mogą już tylko na podwórku pogadać, ze zwierzętami. Bo tych ludzi, którzy gadkę znają, już nie ma”.

Czy podobną książkę mógłby napisać przedstawiciel jakiegokolwiek innej spośród grup mniejszościowych w Polsce, wszystkich w końcu nielicznych? No cóż, każda grupa jest specyficzna. Grupa kaszubska została podobnie przetrzebiona, ale jest bardziej zwarta, ma więcej możliwości życia społecznościowego. Niemcy, Litwini, Ukraińcy, Czesi, Słowacy mają inne samopoczucie z powodu istnienia za miedzą tych narodów, co czasem może ich sytuację polepszać, a czasem pogarszać. Romowie nie znikają ze względu na wielkość dystansu kulturowego. Grupa ludzi pochodzenia żydowskiego jest z punktu widzenia naznaczenia etnicznego tak niejednolita, że jej sytuacja jest zróżnicowana. Jeśli jednak mowa o zdeklarowanej grupie Żydów poczuwających się do własnej kultury oraz religii, padło o niej słowo „ostatni” (*Ostatni: współcześni Żydzi polscy*, tekst Małgorzata Niezabitowska, zdjęcia Tomasz Tomaszewski, WAiF 1993). Autor pisząc o Mazurach i sobie samym jako jednym z nich chyba też mógłby użyć tego słowa. Inna sprawa – akurat obecnie obserwuje się pewien renesans grupy żydowskiej.

Mimo całego zróżnicowania sytuacji poszczególnych grup mniejszościowych, chyba wszyscy ich przedstawiciele mogliby jednak powiedzieć, że w Polsce dominuje wizja państwa etnicznego (polskiego) w miejsce państwa obywatelskiego. Za taką postawą nie musi koniecznie tkwić wrogość. Jednak autor odnotowuje słowa Karola Małka, który kiedyś niejednokrotnie mu powtarzał, że „rozpoczęta walka ze syjonizmem, to tylko przykrywka do walki z wszystkimi obcymi”. W tej warstwie rozważań książka staje się zbiorem refleksji o rozumie-

niu polskości. Tu czas stanął już dawno, bowiem wizja państwa narodu etnicznego ukształtowała się za czasów zaborów, trwała w dwudziestoleciu (mimo 30-procentowych mniejszości narodowych!), a po wojnie została wzmocniona przez skutki wojny i przez zmiany granic, a także przez ruchy migracyjne, politykę komunistyczną, w końcu chyba także w ramach sprzeciwu wobec komunizmu. W trzecią rocznicę śmierci Jana Pawła II autor zanotował:

„Jak zwykle, dla niekatolików dziwna to sytuacja. Wygląda to tak, jakby w Polsce byli tylko katolicy. Inni powinni zamilknąć, wstrzymać oddech lub schować się w mysia dziurę. Możliwe, że rację miał mój biskup, gdy w rozmowie z nim powiedziałem mu, że zagłosuję a Lecha Kaczyńskiego jako kandydata na prezydenta, on wykazał wstrzemięźliwość i nie próbował do niczego agitować. Nie miał nic przeciwko kandydatowi, o którym mówiłem, że jest propaństwowcem. Po chwili tylko podszedł do jednej z półek i wyjął otrzymaną broszurę programową Prawa i Sprawiedliwości.

– A co pan na to? – zapytał, podając mi broszurę, która na okładce miała tytuł: *Katolicka Polska w chrześcijańskiej Europie*. – Ciekawe, prawda?

Nie miałem żadnych argumentów. Nawet nie mogłem tłumaczyć, że taki tytuł pojawił się na skutek niezręczności. Po chwili miałem okazję obejrzeć też zachowaną kopertę, na której było nazwisko biskupa, a także jego stanowisko: proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej. To było jednoznaczne zaproszenie: głosuj, a będziesz w katolickiej Polsce.

– Mogli nie wysyłać, bąknąłem.

– No, widzi pan – powiedział wtedy, gdy odłożył broszurę. – To samo otrzymali pocztą i prawosławni”.

Zacytowana rozmowa odzwierciedlała sytuację i tak lepszą niż w 1991 r., gdy przed Kościołem katolickim autora zachęcano: „Prosimy tutaj. Tu możemy wybrać prawdziwego Polaka. Tylko Lechu i nikt więcej. Kto chce polskiego prezydenta, tu składa swój podpis”. Kiedy powiedział, że jest za Tadeuszem Mazowieckim, usłyszał zaczepnie z boku: „Co pan, starozakonny?”. Ostatecznie w drugiej turze autor zagłosował jednak na Lecha Wałęsę. Nawet, będąc wówczas senatorem zadeklarował publicznie: „Nie chcę, ale muszę”. Jak wielu wyborców, chciał przeciwdziałać kandydaturze Stanisława Tymińskiego. *Ex post* zanotował:

„Kto dziś pamięta, że w województwie olsztyńskim oraz w sąsiednim ciechanowskim najwięcej głosów w wyborach prezydenckich oddano na Stana Tymińskiego? Niezależnie od tego, że prezydentem został ostatecznie Wałęsa, w moim województwie unosił się duch »prezydenta Stana«. Dla mnie osobiście niepokojące było to, jak narodowy duch w swoim poszukiwaniu obcych ujawniał się pracowicie na płotach, w zdobieniu plakatów bazgrołami”.

MARCIN KULA

Erwin Kruk, *Spadek. Zapiski mazurskie 2007-2008*, Oficyna Retman, Dąbrówno 2009, s.269.

JERZY J. WIATR

CZY TO JUŻ WIOSNA?

We wrześniu brałem udział w trzech konferencjach o lewicy. Najpierw w krakowskiej „Kuźnicy” dyskutowaliśmy o projekcie „Lewica III Rzeczypospolitej”, potem w Lublinie – o socjaldemokracji na przełomie XX i XXI wieku, wreszcie w Warszawie (w redakcji „Polityki”) o europejskiej socjaldemokracji w XXI wieku. Były to ciekawe imprezy z udziałem wielu znakomych postaci nie tylko polskiej, ale także międzynarodowej socjaldemokracji.

Zmienia się także ton wypowiedzi prasowych. „Polityka” dała mi miejsce na swoich łamach (pierwszy raz od wielu lat!), bym skomentował tezę, że SLD „idzie po władzę”. Tygodnik „Wprost” – cudownie przeobrażony pod inteligentną redakcją Tomasza Lisa – pisze o szansach na odrodzenie polskiej lewicy.

Są po temu powody. Ostatnie wybory – do Parlamentu Europejskiego w zeszłym i prezydenckie w tym roku – po raz pierwszy od 2004 roku przyniosły tej lewicy, której trzonem jest SLD, wyniki lepsze niż wybory poprzednie. Jeszcze daleko do poziomu poparcia, które lewica miała w wyborach odbytych między 1993 i 2001 rokiem, ale nastąpił koniec spadkowego trendu.

Lewica jest, jak pacjent po ciężkiej chorobie. Jeszcze nie stanęła w pełni na nogach, ale proces rekonwalescencji się rozpoczął. Są przesłanki dla (umiarkowanego) optymizmu.

Widzę je w czterech okolicznościach.

Po pierwsze: Sojusz Lewicy Demokratycznej w kolejnych wyborach udowodnił, że jest jedyną liczącą się siłą na lewicy. Mrzonki o tworzeniu „nowej” lewicy skierowanej przeciw SLD kończą się kolejnymi rozczarowaniami. Wokół SLD powstaje dość szeroka koalicja lewicowych ugrupowań i organizacji społecznych, co powinno znaleźć wyraz w kolejnych wyborach.

Po drugie: SLD od ponad dwóch lat wyraźniej niż w przeszłości określa swą ideową tożsamość, wyzbywa się cech bezideowej „partii władzy”, nawiązuje myślowy kontakt ze środowiskami lewicowymi, które w ostatnich latach nie bez racji odwracały się od niego zrażone brakiem ideowej wyrazistości. Wielokrotnie pisałem o tym, że w tym właśnie skrzyżowaniu głównej partii polskiej lewicy tkwiła główna przyczyna jej bezprzykładnej klęski w 2005 roku¹

Po trzecie: w wyborach prezydenckich 2010 roku kandydat lewicy po raz pierwszy uzyskał lepszy wynik wśród najmłodszych wyborców niż wśród wyborców w wieku średnim czy starszych, co dobrze wróży na przyszłość.

Po czwarte: w Grzegorzcu Napieralskim lewica ma przywódcę, którego popularność znacznie przewyższa poparcie udzielane partiom lewicowym, w tym SLD.

W sondażach popularności przywódców politycznych Napieralski ustępuje jedynie prezydentowi Komorowskiemu, a sytuuje się albo przed premierem Tuskiem, albo dzieli z nim drugie miejsce. Takiej sytuacji na lewicy nie było od czasu, gdy Aleksander Kwaśniewski po wyborze na stanowisko prezydenta opuścił kierownictwo SdRP. Silny i popularny przywódca to dla każdej partii bardzo ważny kapitał polityczny.

Lepsze wyniki wyborów i mocna pozycja Grzegorza Napieralskiego skutkują dwiema korzystnymi zmianami na lewicy. Pierwszą jest zanik sporów wewnątrz SLD, które jeszcze niedawno osłabiały tę partię i zrażały do niej wielu ludzi o lewicowych przekonaniach. Komu dziś przyjdzie do głowy dywagować, czy przewodniczący SLD ma „charyzmę”? Z pewnością posiada zdolność trafiania do wyborców – i to większą niż jego niedawni krytycy. Druga zmiana to wyraźna, choć jeszcze nie uwieńczona pełnym powodzeniem, tendencja do zwierania przez lewicę szeregów. W wyborach SLD będzie przedstawiał listy, na których pojawią się kandydaci kilku innych partii lewicowych i różnych organizacji społecznych o lewicowym rodowodzie. Coraz więcej ludzi rozumie, że tylko tą drogą lewica może zapewnić sobie godne miejsce w ciałach przedstawicielskich.

Lewicy sprzyja też sytuacja, która powstała na prawicy. Bliski PiS-owi poeta Jarosław Rymkiewicz ma rację pisząc, że „to, co się podzieliło, to się już nie skleji”. Między Prawem i Sprawiedliwością a Platformą Obywatelską nie toczy się zwykła walka polityczna, lecz bezkompromisowa wojna, w której zniszczone zostały (głównie przez Jarosława Kaczyńskiego) wszelkie możliwości współpracy. W języku nauki o polityce nazywa się to utraceniem przez PiS zdolności koalicyjnej. W tej sytuacji Platforma Obywatelska, jeśli nie zdobędzie bezwzględnej większości (na co się nie zanosi), będzie po wyborach sejmowych 2011 roku musiała szukać koalicjanta – i to zapewne właśnie na lewicy. Premier Tusk już zapowiedział, że takiego scenariusza nie wyklucza. Dla lewicy byłby to scenariusz bardzo trudny z uwagi na głębokie różnice dzielące obie partie, ale w demokratycznych państwach takie wielkie koalicje się zdarzały i dobrze służyły państwu i jego obywatelom.

Są więc powody, by porzucić nieustanne żale nad rozlanym mlekiem, czyli nad niedawnymi błędami, które doprowadziły do ciężkiej choroby lewicy. Jestem najdalej od tego, by błędy te lekceważyć, tym bardziej, że mówiłem i pisałem o nich, gdy jeszcze nie było to tak oczywiste, jak obecnie. Ale wszystko musi mieć swój czas. Teraz najważniejsze jest, by wspólnym wysiłkiem – także lewicowych środowisk naukowych i kulturalnych – ten proces rekonwalescencji przyspieszać.

To zapewne jeszcze nie wiosna lewicy, ale z pewnością już przedwiośnie. Jutro będzie lepiej.

¹ Między innymi: „Kryzys SLD i szanse jego rozwiązania” (*Myśl Socjaldemokratyczna*, nr.3-4, 2004) oraz „Dylemat polskiej lewicy” (tamże, nr.1-2, 2008),

KRZYSZTOF KOMORNICKI

CALL FOR PROPOSALS

czyli jak prosić J. Truszczyńskiego & Co o europieniądze

Pod tym tytułem PT czytelnik znajdzie w poniższym tekście wezwanie do uczestnictwa w najnowszym wójtowickim projekcie, a że zajmie on kilka dobrych lat – będzie najpewniej ostatnim, o którym sens będzie w Listach z Wójtowic pisać. Zwracam się do tych, Mili Moi, którzy nigdy nie starali się o środki europejskie na osiągnięcie szczytnych celów, do tych, którzy chcieliby więcej wiedzieć o tym wielkim temacie, jaki od dłuższego czasu interesuje wójtowickie społeczeństwo obywatelskie i jakiemu społecznie poświęcamy dzień w dzień po kilka godzin. Chodzi o wielki unijny program: o bioróżnorodność, o różnorodność kulturową, o opiekę nad tym tygłem – w Wójtowicach - czesko-niemiecko-polskim, nad tradycjami i obyczajami, czyli to co bliskie np. wybitnemu regionaliście E. Chudzińskiemu... Wszystko to ma stanowić wiano na rzecz zrównoważonego rozwoju ziem górskich.

Śpieszno mi, bo niewiele lat zostało, więc pozwólcie Państwo, że podokazuję sobie trochę. Do roboty.

O tym szczególnym kawałku europejskiej mapy („taka jest już polska mapa, nie lżja drażnić nam ka-

capa...” – jak mówił wierszyk, którym prowokator częstował mnie w IV klasie; tu w Sudetach 30 lat później polski kacap drażnił nas Hupką i Czają, tak jak dziś PiS i Wiadomości TVP I Eriką Steinbach) jakim są Sudety, miejsce największych przymusowych migracji XX wieku, opowiedzieliśmy już ponad 600 samorządowcom z różnych stron Polski, którzy wydają pieniądze ze specjalnego programu Banku Światowego. Opowiedzieliśmy im również o „dobrych górskich praktykach” i o projektach, których tytuły są jak literatura, np. „Winica w górskim krajobrazie lub syndrom Tomka Sawyera”. Lub jak półstówka, np. „Chyży Rój” albo „Cicha Lipa” w programie Batorego „Pszczoty do Ula”, czy też „Buhaj z Rogiem” – autorstwa młodszego z Braci Bratkowski - o odnawianiu zapomnianych ras była.

W czasie seansu w Stodole Europejskiej pozwalamy samorządowcom przejrzeć kilka ostatnich numerów „Zdania”, co też czynią. Z czcią nabożną.

I dobrze się stało, że na UE-tronie tematów roku usiadła wreszcie bioróżnorodność. I w ogóle każda

różnorodność. Uppss! Raczej – *biodiversity* czy w ogóle *diversity*... Z tymi „u z kreską”, „z z kropką”, „s i c z akcentem” słowo „różnorodność” nie ma szans na funkcjonowanie w dokumentach unijnych. Mimo patriotycznych wysiłków Kamińskiego, Migalskiego & Co.

W Liście z Wójtowic obowiązuje perspektywa wójtowska. Zabieramy więc manatki ze stolicy Unii i jedziemy w towarzystwie Bogusława Sonika w Sudety. A dlaczego Sonika? Niedawno był on cytowany w „Zdaniu”: „PZPR? Kuźnica miała lepsze papiery? Niby jak? Jedni bili, drudzy inwigilowali, trzeci [to my, to my! – dop. K.K.] dyskutowali”...

Jedziemy z nim nie dlatego, ale dlatego bo, proszę Państwa, to on utworzył w PE grupę poselską terenów górskich, które w zgodzie z art. III-220 Traktatu Lizbońskiego mają funkcjonować „pod specjalnym nadzorem”. Razem z wyspami, pustyniami i kołem polarnym. Oznacza to dodatkowe punkty w Funduszu Spójności – nie tylko dla bogatych Tatr, ale dla ubogich Gór Świętokrzyskich, no i oczywiście dla Sudetenlandu. A na dołek w ostatnich dniach, tj. 22 września, doprowadził do podjęcia na plenarnym posiedzeniu PE stosownej Rezolucji.

Jak się nic nie uprawia – bo albo nie ma komu, albo nic się nie opłaca, albo raczej jeśli drugie to pierwsze – to jak gorszy pieniądz wypiera pieniądz lepszy, tak nie koszone chwasty całkowicie zatłamsi szlachetne trawy i zioła, zaś brzoza i inne samosiejki potrafią najechać nie uprawianą łąkę i zamienić ją w zagajnik. W 1902 r. anonimowy fotograf z Atelier Marx zrobił ze szczytu wzgórze serię zdjęć panoramy Wójtowic – a raczej ówczesnego Voigtsdorfu. I co? Widać uprawę obok uprawy, łąki, przydomowe sady obok kilku mógów owsa, lucernę na przemian z tymotką. Prostokątne poletka pod niemiecki strychulec. Nic, tylko wlecieć nad tym światem, kędy zapach (i ciężka praca) tworzy cud. Dziś, z tego samego miejsca, ujrzyć można jedynie chaszczki, niewidoczne są już nawet kamienne fundamenty dawnego osadnictwa. Jedynie w środku fotograficznego planu obleczone w nadziei złote malowidło DEMO Stowarzyszenia „Zdanie” czyli Winnica „U Abrahama”, Winnica „Noe & Synowie” oraz „Sudecki Sad Kolekcja”. Tu pielgrzymują pątnicy z innych gór polskich, by przekonać się, że życie nie musi być znojem, gnojem i kończyć się „ruralnym exodusem”. Walczymy jak umiemy o tę bioróżnorodność, widząc w niej gwarancję zachowania w jakimś przyzwoitym stanie tego naturalnego dziedzictwa człowieka – z krajobrazem na czele. Niech świadczą o sprawie nasze dotychczasowe projekty:

- „Winnica jako agroturystyczna atrakcja” (10 000 euro z programu PHARE) – małe, ujutne чудо na południowym zboczu, gdzie każdy mieszczuch chce chociaż chwilę popracować;

- „Sudecki Sad Kolekcja” (50 000 zł z programu GEF) – 60 śliw, gruszek i jabłoni, które dzięki projektowi „Rozkwitły jabłonie i grusze (a także i śliwy...)” – na znaną melodię” mają przypomnieć dawne smaki i zrobić sobie trochę miejsca obok przechodzonego już nieco skierniewickiego pięknisia;

- „Odnowa sudeckiego cisa” – cóż to za niezwykle drzewo, rośnie wolniej niż sękacz (8 000 USD z progra-

mu FAO) – założona przez Nadleśnictwo Jugów szkółka *Taxus Baccata L.*;

- „Śródleśny sad dzikich owoców” (5 000 USD z programu FAO), zwany potocznie projektem „ptaszka Drongo”, prowadzony przez Nadleśnictwo Bystrzyca Kłodzka;

- „Łąka Sudecka” (5 000 USD z programu FAO) – 1 ha kolekcji sudeckich traw i ziół, których nasiona już niedługo zaczną rozprowadzać realizator naszego projektu czyli jedyna w tej części Europy Stacja Górską w Paszkowie.

Po kilku latach mamy już w tej części Sudetów 6 małych winnic i 3 sady dawnych odmian tutejszych owoców. Pierwsze owoce za 2-3 lata i umieram z ciekawości, czy wyjdzie nam np. jabłko, które – wg słów starszej pani autochtonki – w ciągu jednej nocy (jaka musi być wtedy koniunkcja Saturna?) robi się...niebieskie. Albo inne, o kształcie gruszki pokrywające się w chwili dojrzewania warstwą wosku. Sponsor, ONZowski Program Global Environmental Facility (GEF), służący przez kilkanaście lat odkrywaniu na nowo – „powrót do przyszłości”! – odmian, rodzajów i gatunków, zmienił oblicze tej ziemi i na zawsze będzie identyfikowany z Przemkiem Czajkowskim – Wielkim Koordynatorem. Tak jak z Jego Ojcem identyfikujemy wprowadzanie w trudnych czasach – wraz z Instytutem PAX - znakomitej literatury za parę złotych zarówno do salonów, jak i na wieś. Czy nasz Wielki Wydawca Andrzej Kurz też tak uważa? Andrzeju, jeśli tak uważasz, to machnij tu na czerwono swój krzyżyk, ok? O, tu, tu, w tę kratkę...

Program zakończyła w Polsce mocą swego nieprzeżywanego ukazu Pani Minister Fotyga – co najmniej o pokolenie za wcześniej. A ja wszystko, co mogłem zrobić, to założyć „sudecki sad – kolekcję” i umieścić opasły raport z opisem projektów GEF na półce między PAX-owskimi wydaniem Chestertona i Bernanosa, między ks. Browna a wiejskiego proboszcza w zielonych okładkach. W szacunku dla Czajkowskich – Ojca i Syna.

A koziańnia, mleczarnia i serownia, wzorowo prowadzona przez Barbarę i Ryszarda Kalińskich (80 000 zł z programu Equal)? I te ich 6 rodzajów sera, każdy o innym aromacie i innym stopniu dojrzałości? I wszystko to mimo wysiłków Ministerstwa Rozwoju Regionalnego, które nie chciało uznać zakupu kozła rasy Saanem, nie wiedziało co to jest „krewniacze krycie” (zgadnij, co to?, Koteczku...Przysięgam, że to nie zboczenie!) i – jak podejrzewaliśmy – uważało, że by się rozmnażać nie trzeba kopolować. Chciałoby się zafundować im na ścianie ministerialnej toalety zamaszyste graffiti: „Vive la baise! A bas la branle!”

A ponad 300 maturzystów z zespołów średnich szkół zawodowych: hotelarskich, gastronomicznych i rolniczych Ziemi Kłodzkiej, wysłanych przez Stowarzyszenie Parlamentarzystów i Samorządowców Ziemi Górskich na 100-dniowe płatne staże w Dolinę Aosty (1,2 mln euro z programu EFS)? By pokazać, jak można gospodarzyć w górach i jak można o nie zadbać... I jak wrócić z nowoczesną wiedzą w ciągle zapyziałe Sudety?

A projekt – prezent od G. Sorosa – na realizację pomysłów, które stanęły z powodu kryzysu? Dziesiątki tysięcy PLN-ów na działalność różnych „atelier”

dla dzieci w potrzebie...Głównie z ubogich rodzin zamieszkałych w pustoszejących podgórskich wsiach.

A XXI-wieczna koncepcja biblioteki wiejskiej w zaprzęgu z lokalnymi partnerami – za pieniądze M. i B. Gatesów? Wszystko po to, by te podgórskie wyludniające się powoli tereny zaczęły wreszcie śnić o srebrnej szpadzie...

Tu, w górnej części Wójtowic, zajęliśmy się właśnie 18 cudownymi hektarami – by nie kupić ich od gminy żaden przyjezdny z walizką dymiących pieniędzy lub by władzy ludowej nie przyszło do głowy zacząć je sprzedawać jak plasterki salami. Widok jest taki, że śni mi się latanie. I nie powinno ulegać wątpliwości, że za milion lat ewolucja taki właśnie prezent rasie ludzkiej uczyni.

Muszę toto załatwić zanim wyniosą mnie nogami do przodu, zaczynam więc lokalizować i macać ewentualnych sojuszników. Nadeszła chwila, by ogłosić niniejszym prawdziwy „call for proposals” i zacząć na poważnie skrzykiwać partnerów. Potrzebny nam prawnik, inżynier eko, inżynier ds. finansowania – najlepiej z World Banku, ocieplacz/optyk mechanik, leśnik i botanik, ewentualnie serowar i akuszer ds. porodów owczych i kozich, spec od ziół do schabu, znawca Starego Testamentu – ds. ziół występujących w Biblii. Przydałby się także Murzyn, Żyd, Indianin i Muzułmanin, by wsjem widna stała się nasza tolerancja. Oraz Cygan czyli przedstawiciel mniejszości Romskiej, by zamanifestować nasz sprzeciw wobec poczynania Sarkozy’ego. Z kandydatów Afroamerykańskich - Denzel Washington w ogóle się nie odezwał. A Tiger Woods przez swego agenta odparł, że wszedłby – ale w 18 000 ha.

18 ha... Kibuc? Falanster? Sudecki owocowy sownoch? Zdecyduj się Komornicki! Begin? Owen? Fourier? Czy też Miczurin z Łysenką? Nic z tego..

Od 1989 może to być samodzielna, samorządna, „wolnostojąca” fundacja. Lub stowarzyszenie. Zbudowałyby kilka tzw. siedlisk – przy użyciu najnowocześniejszych, przyjaznych człowiekowi i naturze technologii, np. błoto, szlam, glina, sitowie, cegły z suszonego fajna (może być andyjskich lam). Do tego światłowody, panele i ewentualnie wiatrak, którego śmigło o geometrii „made by NASA” rusza już z wiatrem 1,2 m/sekundę.. Szambo z bakteriami, które potrafią zeżreć nawet ropę wenezuelską. Jednym słowem trochę Atahualpy, trochę Chaveza i Moralesa. Nad wszystkim mural Rivery z rozczochranym Trockim i z Salmą Hayek wyglądającą zza kaktusa. W lodówce tequila. Na krzaku sudeckie limonki (niech żyje bioróżnorodność!). A o krok tylko dalej, w beczce w ziemię wkopanej sól gruba z sudeckiego morza mezozoicznego. Na głowie sombrero, a w zimie peruwiańska wełniana czapeczka à la Tusk.

Żeby wniosek „naszego” Dyrektora Dykcji Generalnej Education & Culture Jana Truszczyńskiego o chociażby częściowe sfinansowanie tych fanaberii wyglądał przyzwoicie pomyśleliśmy o siedlisku Stacji Górskiej i miejsu na Lasy Państwowe – w zgodzie ze statutem: „bioróżnorodność i opieka nad górkim krajobrazem”, o czymś dla kobiet, by nie dać nikomu pretekstu, że zarzucamy na stałe inny wielki temat

unijny czyli równouprawnienie; będzie też siedlisko poświęcone żywej ekspozycji „alternatywne źródła dochodu rolniczego” – by zapis w statucie o wysiłkach na rzecz zatrzymania górala w górach nie był zapisem pustym. Pomyśleliśmy o „domku pracy twórczej” dla Fundacji Batorego i o Izbie Pamięci, poświęconej historii buntu oraz wydarzeniom Marca i Maja owego pamiętnego 68-go Jako, że weterani tych wydarzeń regularnie w Sudetach bywali i bywają.

Siedlisko z sauną, która będzie udawać, że jest pomieszczeniem na sudeckie króliki, obok siedlisko ze sprowadzonym z Uzbekistanu warszatem tkackim, który będzie udawał, że jest jakby poniemiecki. Tak jak w znanej, pełnej wrzasku reklamie – panowie leczyć będą kaca Heinekenem, panie przeprowadzone zostaną arbitralnie z magazynu pantofelków do krosien, by tkać sudecki kilim. I polecieć przy tym rzewną dumką. Wszystko w ramach równouprawnienia i kulturowej „diversity”. Zamiast kilimu, w okresie miłościwie panującego nam „patriotyzmu trumiennego” (to chyba nasz laureat, prof. A. Romanowski?) może być ewentualnie sztandar lub ornat. Haftowany w „honor i ojczyznę” od Chicago do Tobolska. Via Wójtowice....

I to wszystko musi stanąć, zanim my się położymy.... We wsi, gdzie sprowadzałem się jesienią 1976 r. pod niezbyt wesołymi auspicjami. Kiedy to w Warszawie sędzia Dzedzyk skazywał ursuskich warchotów za „chuligańskie rozkręcanie śrub” (kolejowych) na serio rozważając oskarżenie o „przerwanie strategicznej łączności między Krajem Rad a NRD-owskim partnerem” (groziła „czapa”), a w mojej dolince szykowano kolejną budowę socjalizmu czyli elektrownię szczytowo-pompową Młoty. „Czyś ty zwariował ?!” – pytał jeden z wtajemniczonych w te sekretne inwestycje. „Tama będzie nasypowa, w Wójtowicach zbudują Ci komisariat MO dla 2000 robotników napływowych, owce Ci zjedzą (szykowałem się na licencjonowane stado polskiej długo-wełnistej), psa zabiją (nabyłem od przedstawiciela ENI w Polsce cudo pt. „bouvier des Flandres”, czarnego ogroma o imieniu Critot), babę zgwałcą (blond Dorota twierdzi, że zaśpiewałaby im jak Marylin braciom Kennedy)... Nie zjedli, nie zabili, nie zgwałcili. Bo inwestycja spadła z listy.

I dlatego oto przed Wami jestem, chociaż już bez psa i bez owiec. Ale za to z moim „CALL for PROPOSALS”. Dorota jeszcze tego nie czytała....

KRZYSZTOF KOMORNICKI

Wójtowice, 25.07.2010 (Św. Krzysztofa)

PS. Donoszę, że 25 września, w czasie winobrania, powstało Stowarzyszenie „Wójtowice – Powrót do Przyszłości” czyli: „Wójtowice – Nawrat do Budoucnosti”, „Voigtsdorf – Drucker in Die Zukunft” lub „Wójtowice – Back to the Future” W składzie swym nie jest tak różnorodne jak planowałem. Ale ważne, że jestem prezesem i wzorem Sulejmana Najebanowa przeferosowałem w statucie odpowiedni zapis na „dożytność”.

JERZY PIEKARCZYK

RODOS NAD WISŁĄ

Arcybiskup Józef Życiński ma – jak to się mówi potocznie – przechlapane. Nie po raz pierwszy zresztą podpadł swoim wiernym, bardziej papieskim niż sam papież. Metropolita lubelski nazwał organizacje wspierające intronizację Chrystusa na Króla Polski i budowę w Świebodzinie superpomnika, organizacjami radykalnymi, z nauczaniem Jana Pawła II nie mającymi nic wspólnego. Powoływanie się zaś na odczucia mistyczki, Rozalii Celakówny, której Jezus objawił się we śnie i oświadczył, że chce być królem Polski, jest niczym innym jak jednym z przejawów megalomanii narodowej.

W podtekście wypowiedzi lubelskiego hierarchy można było doszukać się bezradności wobec objawów religijnego oszobotstwa. Arcybiskup próbował tłumaczyć uczestnikom marszu intronizacyjnego w Lublinie, że postępują wbrew nauczaniu Jana Pawła II, ale kto by słuchał „liberalnego katolika”, za którego uchodzi Życiński, skoro wiadomo, że „liberalny katolik jest gorszy od komunisty”.

Zamieszanie wywołane budowaniem w Świebodzinie największego na świecie pomnika Chrystusa odsunęło chwilowo religijne pryncypia, skupiając uwagę wiernych na poczuciu dumy, że oto w mało komu znanej miejscowości na ziemi lubuskiej powstał posąg, przy którym zaliczany do siedmiu cudów starożytnego świata Kolos Rodyjski to Pikuś. Posąg boga Słońca Heliosa miał 36 metrów, gdy nasz, w Świebodzinie, wznosi się na wysokość 52 metrów. Nijak się ma do niego ani nowojorska Statua Wolności (46 metrów wzrostu), ani Chrystus Zbawiciel z Rio de Janeiro niższy od świebodzińskiego o 14 metrów. Można więc przypuszczać, że wierni pielgrzymujący od tej pory do sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Świebodzinie, miast się skupić na modlitwie, powtarzać będą dla zapamiętania: korona w całości połączona – 3,5 metra średnicy i 2 m wysokości, dłoń – 6 metrów, do tego wysoki na 16 metrów kopiec, którego usypanie z gruzu, ziemi i kamieni, zajęło 2 lata. Mirosława Pateckiego z Przybyszowa nikt wcześniej nie znał, a teraz już świat się dowie, kto jest twórcą Kolosa Świebodzińskiego.

Odstłonięty w 1931 roku pomnik Chrystusa Zbawiciela w Rio de Janeiro miał upamiętnić setną rocznicę niepodległości Brazylii. Nasz, największy w świecie, to wotum za święty spokój, który od jakiegoś czasu panuje w Świebodzinie, omijany przez pożary i inne nieszczęścia. W 2000 roku, wyznaczając w planie przestrzennym miejsce kultu, radni pytali, czy mieszkańcy naprawdę chcą mieć drugą Częstochowę. Wynik głosowania świadczył, że chcą. Może nie od razu drugą Częstochowę, ale drugi Licheń na pewno.

Dwukrotnie wyższy niż Chrystus z Rio miał być pomnik Króla Zbawiciela Świata, który najpierw miał stanąć w Kielcach, potem w Tarnowie, na górze św. Marcina. Pomysł pochodził od działacza polonijnego z Chicago, Adama Ocytki. Góra św. Marcina w pobliżu Tarnowa była wyższa od kieleckiego Telegrafu, więc 10 lat temu rozpoczęto rozmowy z tarnowskimi władzami, które się początkowo zapaliły do idei Centrum Jedności Polonii i budowy pomnika 80 - metrowej wysokości z dwoma tarasami widokowym za pieniądze polonusów rozproszonych po świecie. Teraz mieli dać dowód, że są jednością gotową sfinansować kosztowne jakby nie było przedsięwzięcie. Z czasem okazało się, że z jednością będzie kłopot. Po czterech latach od utworzenia Tarnowskiej Fundacji Millennium 2000 Pomnik Chrystusa Króla zamiast 1.2 mln zł zebrano 317 tys., z czego połowę wydano na utrzymanie fundacji oraz podróże jej działaczy po świecie. W kraju o pieniądzach się nie dyskutowało, co innego w USA, gdzie krytykowano fundację za przejadanie polonijnych pieniędzy. A przy tym tarnowska kuria diecezjalna odcięta się od tej inicjatywy, rozsyłając do duszpasterstw polonijnych wiadomość, że w tej sprawie zachowuje daleko idącą wstrzeźliwość.

Pomnik Chrystusa Króla Zbawiciela Świata spolaryzował opinie zarówno wiernych, jak i hierarchów kościelnych. Abp Życiński wykpił pomysł, porównując go do projektu gigantycznego pomnika Lenina, co w środowisku polonijnym Chicago uznano za nikczemność i od tej chwili ksiądz arcybiskup ma u zwolenników intronizacji i pomnika krechę. Pisarz Henryk Pająk nazwał jego wystąpienie „godnym pożałowania wyskokiem”, tym bardziej, że dyskredytował publicznie głównego autora projektu, prof. Czesława Dźwigaję. Dlaczego żaden hierarcha, a szczególnie metropolita lubelski, nie zaatakował projektu upamiętniającego Konstytucję III Maja, której patronuje Episkopat – pytał Pająk, ale nie czekał na odpowiedź, bo wiedział, że masoni nie będą krytykować przecież dzieła masonów. Z dalszych wywodów Pająka można się dowiedzieć, że czeka na biskupa „w pełni katolickiego”, Kościołem bowiem rządzą filosemici.

Na ostatnim etapie wznoszenia Kolosa Świebodzińskiego okazało się, że kontynuowanie budowy zagraża bezpieczeństwu ludzi i środowiska. Stwierdzono bowiem, że pozwolenie na budowę, wydane kilka lat temu, dotyczyło małej architektury ogrodowej, a to, co małe ma mniej ograniczeń w przepisach niż to, co wielkie. Tak więc zbudowano pomnik największy w świecie, który do historii architektury zostanie wprowadzony „kuchennymi schodami” z przekonaniem, że wiara działa cuda.

więc
wątpię
jestem

MUZYKA I OBYCZAJE

Już starożytni Grecy odkryli, że muzyka łagodzi obyczaje. Żyliśmy – myślę o gatunku homo sapiens – w tym przekonaniu dwa i pół tysiąca lat z okładem, aż do ogłoszenia wyników XVI Konkursu Chopinowskiego, który w październiku tego roku odbył się w Warszawie. Towarzyszyła mu bowiem atmosfera przypominająca bardziej zawody sportowe z dominującym udziałem kiboli niż rywalizację młodych pianistów z całego świata o miano najlepszego szopenisty. Oczywiście emocje ujawniają się także w filharmoniach, a zwłaszcza wtedy, kiedy trzeba wskazać zwycięzcę prestiżowego konkursu, który w nagrodę otrzyma 30 tysięcy euro i występy z filharmonią nowojorską. Ale w takich pomieszczeniach jak Filharmonia Narodowa nie wypada zachowywać się jak na stadionie Legii, a w kanale tematycznym TVP Kultura, bądź co bądź misyjnym, nie można prowadzić rozmów w stylu przypominającym okładanie Bogu ducha winnej laureatki cepami.

* * *

Na zakończenie konkursu tenże kanał zafundował nam „Noc z Chopinem”, alisci kiedy przed północą ogłoszono wyniki, zaczął się niestety horror, który z Chopinem, jego muzyką i ideą konkursu nie miał nic wspólnego. Towarzystwo zebrane w studiu telewizyjnym, złożone z jednej damy z tytułem profesora i trzech gentlemanów w randze ekspertów, na naszych oczach przeistoczyło się – po zapoznaniu się z werdyktem jury – w żądne krwi wampiry, gotowe wysać ją z i tak ledwie żywej zwyciężczyni, Julianny Awdiejewej, też tą wiadomością zaskoczonych, choć zapewne w mniejszym stopniu niż jej oprawcy. W końcu ta 25-letnia pianistka, urodzona w Rosji, po studiach muzycznych w Zurychu i we Włoszech, mieszkająca na stałe w Monachium, zna swoją wartość. W Polsce już jeden konkurs, mający za patrona Rubinsteina, wygrała osiem lat temu i to z samym Rafałem Blechaczem. A w ogóle to do naszego kraju przyjechała, gdy miała osiem lat i była to jej pierwsza podróż za granicę. Matka studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim i mówi biegle po polsku. Już choćby z tego względu można jej było zaoszczędzić upokarzających ocen i uwag naszych przeświatnych znawców. Ale gdzie tam. Jakby tego było mało rządzący w studiu wodzirej z laptopem przed oczyma wezwał na pomoc internautów, cytując obficie ich niewy-

bredne, a czasami wręcz chamskie opinie, o co w internecie nie trudno. Dopiero dopuszczona przez telefon do głosu jakaś melomanka, oglądająca ten sabat czarownic na antenie TVP Kultura, wezwała jego uczestników do opamiętania i na szczęście poskutkowało. Przyszło ono jednak o wiele za późno, podobnie jak mętne tłumaczenia dyrektora stacji, który po tym niewątpliwym skandalu półgębkiem próbował go zakłajstrować, ale na słowo przepraszam się nie zdobył. Zapewne tego wieczora, a właściwie owej nocy, apel o godne zachowanie, umiar w ocenach i elementarny obiektywizm w ogóle by się nie pojawił, gdyby eksperci zebrani w studiu nie wyszli ze swojej roli, wcielając się w muzycznych kiboli.

* * *

Patrzyło się na to wszystko razem z dużym niesmakiem, a nawet powiedziałbym z obrzydzeniem. Nasi odważni zoilowie przedmiotem swojego ataku uczynili bowiem laureatkę, która przecież nie przyznała sobie Grand Prix, tylko zrobiło to międzynarodowe jury, złożone ze światowych znakomitości. Do momentu ogłoszenia werdyktu ci sami eksperci podkreślali, że tegoroczne jury Konkursu Chopinowskiego zasługuje na miano najlepszego w jego historii. Ale kiedy zapadł werdykt, nie starczyło im odwagi, by zaatakować owe znakomitości z imienia i nazwiska, jak choćby Marthę Argerich czy Kevina Kennera (głosowali za Awdiejewą), tylko całą złość i żółć, że nie był po ich myśli, wylali na zwyciężczynię. Jeden z nich w studiu zawyrokował: „na koncercie laureatów publiczność pokaże, kto jest prawdziwym zwycięzcą”.

I nazajutrz otrzymał odpowiedź, zarówno od publiczności, jak i od Awdiejewej, która wykonała koncert e-moll „właściwie bezbłędnie, z dużą klasą” (ocena prasowa występu).

A w ogóle – jak wieść po nadwiślańskim kraju nie sie – to ona wygrać musiała, bo tak postanowili Putin z Tuskiem, jak również i to, że czterech ruskich było w finale. Nie wiem, czy zoile z TVP Kultura ten światły pogląd podzielają, ale swoim zachowaniem i bezkompromisowymi wypowiedziami w studiu po zakończeniu konkursu do jego upowszechnienia się przyczynili, choćby nieświadomie, czego im szczerze gratuluję.

SCEPTYK

Kraków, sierpień 2010 rok

Podziękowania dla Członków „Kuźnicy” oraz jej Przyjaciół i Sympatyków

Składamy serdeczne i gorące podziękowania wszystkim Członkom „Kuźnicy” oraz jej Przyjaciółom i Sympatykom, którzy przekazali na rzecz Fundacji wpłaty w wysokości 1% podatku dochodowego na jej działalność statutową.

Zarząd Fundacji „Kuźnica” uzyskał po wielu staraniach decyzją Sądu Rejonowego Kraków-Śródmieście z dnia 2 listopada 2009 roku status Organizacji Pożytku Publicznego, co oznacza, że wypełniając roczne zeznanie podatkowe macie Państwo możliwość wspomagania realizacji zadań statutowych „Kuźnicy”, w tym w pierwszej kolejności wydawania kwartalnika „Zdanie”, jednego z najlepszych i najciekawszych pism w Polsce o tematyce kulturalnej, społecznej i politycznej.

W pierwszym roku posiadania przez Fundację statusu OPP wpłaty na nasze konto wyniosły ponad 5 tys. zł. Miło nam donieść, że wpłaty te pochodzą przede wszystkim z Krakowa i Małopolski ale także – co przyjmujemy z dużą satysfakcją – z Warszawy, Poznania, Łodzi, Katowic, Gdańska, Rzeszowa. Jest to dla nas oczywistym dowodem akceptacji i poparcia naszych działań, swego rodzaju świadectwem społecznego zaufania.

Jeszcze raz dziękujemy i liczymy, że w latach następnych będziecie Państwo również o nas pamiętać.

Prezes Zarządu Fundacji

dr Ryszard Bąk

Przewodniczący Stowarzyszenia

prof. Hieronim Kubiak

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Współpraca redakcyjna: Marian Szulc

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Korekta: Marian Dziwisz

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



Stanisław Wiśniewski, Z cyklu: *Kawaleria*, litografia

